



ANGGUS WATSON

ZIEMI TEJ
NIE OPUŚCISZ



fabryka słów®
WODOWIRICTWA

ANGUS WATSON

ZIEMI TEJ
NIE OPUŚCISZ

PRZEŁOŻYŁ
MACIEJ PAWLAK

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA

COPYRIGHT © BY Angus Watson

COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2019

TYTUŁ ORYGINAŁU The Land You Never Leave

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-417-9

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Ten ebook jest materiałem chronionym prawem autorskim i nie wolno go kopiować, powielać, przenosić, rozpowszechniać, dzierżawić, licencjonować ani publicznie odczytywać ani używać w żaden inny sposób, niż jest to wyraźnie dozwolone na piśmie przez wydawców, jak dopuszczono na mocy warunków, na jakich został on zakupiony lub w sposób dozwolony przez obowiązujące prawo autorskie. Jakikolwiek nieautoryzowane rozpowszechnianie lub korzystanie z tego tekstu może stanowić bezpośrednie naruszenie praw autora i wydawcy, a osoby się tego dopuszczające mogą zgodnie z obowiązującym prawem zostać pociągnięte do odpowiedzialności.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Azbooka-Atticus Publishing Group LLC

PROJEKT OKŁADKI ORAZ ILUSTRACJE Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE Maciej Pawlak

REDAKCJA Gabriela Niemiec

KOREKTA Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 2519
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 2519, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Mapa

Dedykacja

Część pierwsza. Droga do domu i w nieznane

Rozdział 1 Niechętna strażniczka

Rozdział 2 Niełatwy sojusz

Rozdział 3 Przekłęta rzeka

Rozdział 4 Nieprzyjemna niespodzianka

Rozdział 5 Pająki beeba

Rozdział 6 Wędrowiec Równin

Rozdział 7 Pierwsza Calnianka za Matką Wodą

Rozdział 8 Przejazdzka

Rozdział 9 Nad jeziorem

Rozdział 10 Trzeba powstrzymać Chippaminkę

Rozdział 11 Bizoni żołnierze

Rozdział 12 Mokre głowy

Rozdział 13 Wodospad

Rozdział 14 Narkotyki są niezdrowe

Rozdział 15 Przez Ojca Wodę

Rozdział 16 Rządy Chippaminki

Część druga. Pająki Badlandów

Rozdział 1 W głąb Badlandów

Rozdział 2 Skały jak ptaki

Rozdział 3 Marsz ku zwycięstwu

Rozdział 4 Urocze więzienie

Rozdział 5 Grzechokonda

Rozdział 6 Finnbogi Nieustraszony

Rozdział 7 Pieśń

Rozdział 8 Atak calnijskiej armii

Rozdział 9 Spotkanie, opowieść i śmierć

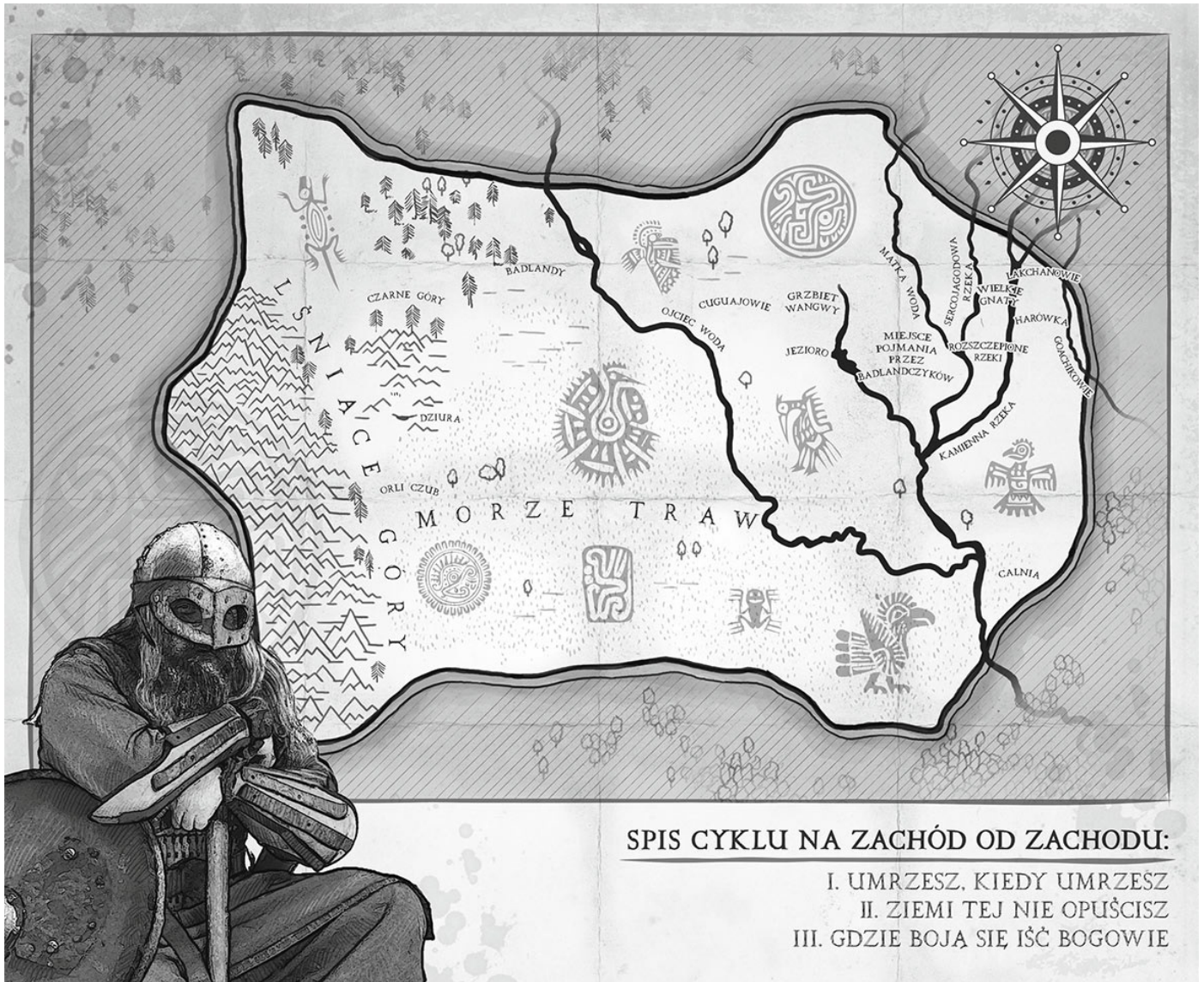
Rozdział 10 Próba ucieczki

Rozdział 11 Bitwa na arenie
Rozdział 12 Po drugiej stronie

Część trzecia. Ku Lśniącym Górcom

Rozdział 1 Pogoń
Rozdział 2 Finnbogi Gołąb
Rozdział 3 Nadzy mężczyźni i owslańska śmierć
Rozdział 4 Królewskie jaszczury
Rozdział 5 Pod górkę
Rozdział 6 Chłód
Rozdział 7 Zielone Plemię
Rozdział 8 Huzia na Bobrocześnie!
Rozdział 9 Pocałunek i potwór
Rozdział 10 Orli Czub
Rozdział 11 Wiszące klify

Podziękowania



SPIS CYKLU NA ZACHÓD OD ZACHODU:

- I. UMRZESZ, KIEDY UMRZESZ
- II. ZIEMI TEJ NIE OPUŚCISZ
- III. GDZIE BOJĄ SIĘ IŚĆ BOGOWIE

Dla Jasmine i Napy

Część pierwsza

DROGA DO DOMU I W NIEZNANE





Rozdział I NIECHĘTNA STRAŻNICZKA

Luby Zefir była całkiem pewna, że jej strażniczka, Caliska Kojot, ją zabije.

Wędrowały przez gęste, tętniące życiem lasy i rozległe trawiaste równiny, gdzie powietrze drżało od bzyczenia owadów i gdzie pyszniły się w słońcu różowe, niebieskie i żółte kwiaty. Im piękniej było wokoło, tym bardziej pogarszał się humor Caliski. Otwierała usta tylko po to, by zelżyć Luby, nie pomagała rozbijać obozu ani gotować i notorycznie zapominała smarować jej ran maściami, które zostawił jej czarnoksiężnik Yoki Choppa. Gdy już Caliska zbierała się w sobie, by rzucić okiem na swoją pacjentkę, jej palce mocniej zaciskały się na trzonku toporka, a twarz krzywiła się, tak jak krzywi się twarz rodzica,

gdy jego latorośl po raz trzeci tego dnia butami nanosi łajna do chaty.

Ale Luby współczuła Calisce. Sofi Tornado, dowódczyni owslanek, obiecała, że wybaczy jej zdradę, jeśli tylko dostarczy Luby całą i zdrową do Calnii. Gdyby Luby wróciła niecała lub niezdrowa, Caliska miała zostać zabita i zjedzona, co było równoznaczne z unicestwieniem jej duszy.

Sofi może i wybaczy Calisce, ale nigdy nie zapomni jej zdrady, więc jej pozycja wśród owslanek ulegnie znacznemu osłabieniu. Może byłoby lepiej, gdyby porzuciła Luby w dziczy i ruszyła na południe, by za sprawą swoich nadzwyczajnych zdolności bojowych wywalczyć sobie miejsce w gwardii przybocznej któregoś cesarza z dżungli. Jeśli zostawi Luby przy życiu, pozostałe wojowniczkę znajdą Caliskę po śladach. A zatem sprawa jest jasna: Luby musi zginąć. Każdy bezwzględny zabójca podjąłby taką decyzję na miejscu Caliski, a ona była najbezwzględniejsza i najbardziej zabójcza z nich wszystkich.

Teraz, sześć dni po tym, jak zbuntowane owslanki przyłożyły jej w łeb podczas błyskawicznie stłumionego zamachu na Sofi Tornado, Luby prawie już wróciła do zdrowia. Ale nie przyznawała się do tego przed Caliską. Przeciwnie, udawała otępiałą, by strażniczka uznała ją za łatwiejszy cel. Luby niemalże odczuła zawód, gdy zorientowała się, że druga wojowniczka się na to nabrała. Jak zwykle wlokła się za Caliską, która ani myślała cackać się z poturbowaną jeszcze Luby. Minęła zakręt leśnego traktu i znalazła Caliskę czekającą na nią z toporkami w rękach.

– Widziałam niedźwiedzia. – Kojot wpatrywała się w leśną gęstwinę. – Chyba poszedł tam, a potem... – Zduszony krzyk wyrwał się z jej ust: – Uważaj! Za tobą!

Luby obróciła się, jakby rzeczywiście uwierzyła w ten stary numer, a potem przypadła do ziemi. Rychło w czas, bo nad jej głową przeleciał ze świstem toporek. Zeskoczyła ze ścieżki i stanęła na ugiętych nogach. Bez trudu uchylła się przed drugim toporkiem, który śmignął dwa cale od jej twarzy, po czym przeturlała się na bok i dała nura w zarośla, bezgłośnie jak zefir, od którego wzięło się jej przezwisko.

Caliska umiała miotać swoimi toporkami z nadzwyczajną siłą i celnością, ale Luby była mistrzynią podstępu. W odpowiednim otoczeniu umiejętność ukrycia się i ataku z zaskoczenia górowała nad

siłą i precyzją, a trudno o bardziej odpowiednie otoczenie niż środek lasu. Caliska zmarnowała swoją szansę. Drugiej nie będzie.

Kojot podniosła broń z ziemi, nie odrywając wzroku od miejsca, gdzie zniknęła w gęstwinie ranna wojowniczką.

– Myślisz, że Sofi cię kocha? Nie rozśmieszaj mnie! – krzyknęła. – Wykorzystywała cię tylko. Pewnie jest już z kimś innym. Pewnie z Palomą. Ona jest nie tylko piękniejsza od ciebie, ale też...

Nie musisz tak krzyczeć, jestem bliżej, niż ci się wydaje, pomyślała Luby, zeskakując z drzewa. Caliska obróciła się. Luby cięła ją po masywnym karku swoim obsydianowym mieczem o klindze w kształcie sierpa księżycy, drugim zaś, bliźniaczo podobnym, po odkrytym brzuchu. Następnie błyskawicznie schowała się w krzakach i bezszelestnie odeszła kilka kroków w las, podczas gdy umierająca Caliska, bezskutecznie usiłując podążyć za nią, niemrawo zamachnęła się bronią.

Kojot złamała rozkaz Sofi, karą za to była egzekucja i unicestwienie duszy. Luby powinna więc rozpaść ogień kryształem Innowaka, upiec Caliskę na wolnym ogniu i zjeść kęs jej ciała. Ale ponieważ była przyjaciółką zaszła z nią tak daleko, Luby rozpałała ognisko normalnie, a zamiast posilić się jej ciałem, spaliła zwłoki i na pożegnanie uroniła łzę.



Uporawszy się z Caliską, Luby ruszyła na południe. Łuk zarzuciła na plecy, dwa obsydianowe miecze zawiesiła na biodrach. Na ramieniu niosła skórzaną torbę z bukłakiem z wodą i alchemicznymi suplementami oraz leczniczymi maściami, które Yoki Choppa powierzył zdrajczynie.

Przeszła tego dnia szmat drogi, a nazajutrz jeszcze więcej. Spodziewała się, że lada moment napotka pozostałe owslanki, które powinny już wracać do stolicy po wyrżnięciu w pień grzyboludów. Ale wojowniczek jak nie było, tak nie było. Luby zaczęła się zastanawiać, co też mogło im się przydarzyć. Czy starły się z silniejszym przeciwnikiem? Czy padły ofiarą jakiegoś podstępu?

Ale ponieważ czarne myśli psuły jej radość z podróży, odepchnęła je

na bok i uznała po prostu, że najwidoczniej przyjaciółki zawędrowały nieco dalej, niż zamierzały. Ich zwierzyna łowna musiała uciec daleko na zachód. Sofi Tornado, Paloma Widłoróg, Sitsi Pustułka i pozostałe dziewczęta na pewno już dawno dogoniły swoje ofiary, unicestwiły je, a potem ruszyły do Calnii drogą odbijającą na zachód. Tam Luby na nie zaczeka.

Obudziwszy się następnego dnia rano, zjadła śniadanie i przeciągnęła się po kocie. Czuła, że w pełni wróciła do formy sprzed urazu, że w jej ciele buzuje moc. Wiedziała, że gdyby chciała, mogłaby dobiec do Calnii jeszcze dzisiaj.

Ale nie chciała.

Dorastając w Calnii i będąc później pełnoprawną owslanką, Luby Zefir nigdy nie miała za wiele czasu dla siebie. Teraz więc szła powoli okrężną drogą, by cieszyć oczy widokiem małych pagórków, odkryć jakiś urokliwy wodospad lub strawić chwilę na to, na co tylko przyjdzie jej ochota. Wmawiała sobie, że mitręży, bo czeka na pozostałe kobiety, choć przecież wiedziała, że nie o to chodzi. Wędrując sama przez świat, była tak szczęśliwa jak jeszcze nigdy.

Maszerowała żwawym i pewnym krokiem, bujając w obłokach. Wdychała zapachy lasu, wsłuchiwała się w jego muzykę i nie myślała o niczym i o nikim. Gdy rano ruszała w drogę, myśli i zmartwienia zaprzątały jej umysł, ale gdy przeszła kilka kroków, zagłuszał je subtelny rytm natury. Po kilku milach była już tylko jedną z wielu istot przemierzających ten świat, drobną, lecz ważną częścią wielkiego, skomplikowanego systemu.

Polowała, zbierała owoce leśne, jadła, myła się i spała, przepełniona radosnym spokojem mijających bez pośpiechu dni. Czuła, że mogłaby zanurzyć się w nim, obrócić na bok i po prostu zasnąć.



Przekroczyła granicę calnijskiego imperium czternaście dni od opuszczenia stolicy i siedem dni od zabicia Caliski Kojot. Dopiero teraz dotarło do niej, w jakim hałasie podróżowała. Trajkotanie leśnych zwierząt, ćwierkanie ptaków i szmer poruszanych wiatrem liści i traw zły się w jej uszach w jednostajny szum. Gdy wyłoniła się z dziczy

i ruszyła ścieżką przez wieś, świat pogrążył się w upiornej ciszy.

Luby Zefir była już zdrowa, ale smutna, że tak szybko wróciła do domu.

W oddali skrzył się wierzchołek Góry Słońca. Rolnicy podnosili wzrok od roboty i witali Luby radosnymi okrzykami. Odpowiadała tym samym, nie przypominając sobie, by spotkała kiedyś któregoś z nich. Nie licząc Łabędziej Cesarzowej Ayanny, owslanki cieszyły się największą sławą w całym imperium. Obcy podchodzili do nich na ulicy i zagajali niczym starzy znajomi. Niektórym wojowniczkom ci spoufalający się głupcy działali na nerwy. Jutrzenka, Caliska Kojot i Sadsy Wilczyca nieraz częstowały natrętów kułakami, ale Luby oni nie przeszkadzali – gdyby tak było, skorzystałaby ze swoich zdolności, by uciec lub się schować. Wybijało ją to jednak z rytmu, bo miała kiepską pamięć i nigdy nie była pewna, czy zbliża się do niej przyjaciel z dzieciństwa, czy zupełnie obcy facet.

Jakby w odpowiedzi na jej myśli, z przeciwnej strony drogi nadszedł starzec w chłopskim odzieniu, zatrzymał się i otworzył ramiona w powitalnym geście.

– Luby Zefir! A niech to dunder świśnie! Co robisz tak daleko na północy? Jak się miewasz? Trzeba ci czego?

– Czołem! Nie, wszystko mam. A co u ciebie?

Po co te rozpostarte ramiona? Spodziewa się, że go przytulę, czy jak? Postanowiła sama rozłożyć ręce w geście umiarkowane serdecznego powitania.

– Nie mogę narzekać – odparł, opuszczając ramiona, najwyraźniej usatysfakcjonowany.

Czy ja go znam?

– A chciałbyś? – odrzekła, starając się wyglądać tak, jakby sama nie miała ani jednego zmartwienia. Gdy tak na niego patrzyła, zaczynał wyglądać znajomo.

– Chciałbym czy nie, narzekać nie zamierzam.

– I dobrze. Jakie wieści z Calnii?

– A długo cię nie było?

– Dwa tygodnie.

– No proszę. W takim razie wieści się nazbierało. I to sporo!

– Na przykład?

– Cesarzowa powiła wczoraj niemowlę. Chłopca!

– Chłopca? Świetnie.

Świetnie? W jakim sensie świetnie? Luby zaczynała żałować, że wyszła z lasu.

– A jużci! W końcu jakieś dobre wieści. A nie w kółko wojna i wojna.

– Jaka wojna?

– Ano, rzeczywiście. Mówiłaś, że nie było cię dwa tygodnie, to skąd miałybyś wiedzieć.

– Wiedzieć o czym?

– Cesarzowa wypowiedziała wojnę Badlandczykom.

– Badlandczykom? Tej zgrai sadystów? Ale czemu?

– A mnie tam wiedzieć. Ale podobno już wszystko gotowe na wojnę. Mówią, że w stolicy zebrała się największa armia na świecie. Musiałem oddać ćwierć zbiorów żołnierzom. Obiecali zapłatę w złocie i kolcach jeżozwierz, ale dotąd żaden się nie pokazał i coś mi się widzi, że już się nie pokaże.

– Wiesz może, gdzie jest reszta owslanek?

– A nie z tobą? O ile wiem, jeszcze nie wróciły do stolicy. Różne plotki się słyszy. Niektórzy nawet twierdzą, że sprzymierzyły się z Badlandczykami.

– A Yoki Choppa?

– Mówią, że jest z owslankami.

– To ci dopiero. No nic, muszę już lecieć.

– Się rozumie! Miło się gadało, Luby Zefir!

Ruszyła w kierunku, gdzie w oddali majaczyły stołeczne mury, a po dwudziestu uderzeniach serca przypomniała sobie, kim był spotkany na drodze rolnik.

Rodzice Luby, nauczycielka i budowniczy palisad z Calnii, nie kryli się z własną opinią na temat powołania ich córki do gwardii przybocznej cesarza Zaltana. Podobnie jak pozostałe wojowniczk, Luby wybrana została w równej mierze ze względu na swoje umiejętności, jak i wygląd zewnętrzny.

– Wstyd nam za Calnię i wstyd nam za ciebie – orzekła jej matka, gdy Luby opuszczała rodzinną chatę z małym tobołkiem pod pachą, do

którego upchała swój mikry dobytek.

Od tamtej chwili nie widziała ojca ani matki, nie kontaktowała się z nimi przez lata morderczego treningu. To był niezwykle ciężki okres w jej życiu i bogowie jej świadkiem, że przydałaby jej się wówczas rodzicielska porada lub słowo otuchy.

Później owslanki wygrały kilka bitew, pokonały potężnych wrogów i walnie przyczyniły się do ugruntowania pozycji Calnii na świecie. Wtedy ludzie głoszący opinie podobne jak rodzice Luby zaczęli zmieniać zdanie. Do czasu publicznych egzekucji na placu Słońca pogarda przerodziła się w uwielbienie. Ci, którzy dotychczas nie potrafili wymówić nazwy doborowego oddziału bez splunięcia, teraz uznali grupę dziesięciu usprawnionych alchemicznie wojowniczek za najlepszą rzecz od czasów wymyślenia tłuczonej kukurydzy. Ludzie pozdrawiali je na ulicach. Niektórzy próbowali ich dotknąć, ale kończyli wówczas z połamanymi palcami.

Po latach milczenia rodzice Luby w końcu dali o sobie znać. Wyprawili przyjęcie, by okazać córce rodzicielską miłość i zapewnić o dozgonnym wsparciu. Zjawili się wszyscy przyjaciele, a nawet dalsza rodzina. Luby przyszła z uśmiechem przyklejonym do twarzy. To był najgorszy dzień w jej życiu. I to wtedy właśnie spotkała rolnika. Miał na imię Eeyan i był kuzynem matki.

Przeklinając się za dziurawą pamięć, Luby pobiegła prosto na Górę Słońca i wspięła się na szczyt po schodach. Plac Innowaka, gdzie wraz z pozostałymi wojowniczkami masakrowały wrogów ku uciesze Calnian, pokryty był przewróconymi skórzanymi namiotami, stertami włóczni i kamiennych toporów oraz innymi rzeczami niezbędnymi do prowadzenia wojny.

Plebejusze kręcili się po okolicy, nadzorowani i popędzani przez przedstawicieli wyższych klas, powiększając i tak już spore sterty rynsztunku i przenosząc rzeczy z kąta w kąt.

Luby czuła się pewnie przy Sofi Tornado, bo w chwilach zamieszania zawsze mogła liczyć na to, że dowódczyni wyjaśni jej, co jest grane. Drugą taką osobą był Yoki Choppa, a trzecią – może szambelan Hatho. Ale skoro pierwsze dwie były daleko stąd, a trzecia zginęła w ataku Goachików, który stał się później przyczyną ich misji na północy, Luby

mogła zwrócić się tylko do cesarzowej Ayanny, nawet jeśli ta wypoczywała jeszcze po urodzeniu syna.



Luby kiwnęła strażnikom na powitanie. Zrobili pół kroku w jej stronę, ale widocznie się rozmyślili i pozwolili jej przejść. Luby była owslanką, a oni nie byli głupi.

Gdy mijała saunę, usłyszała od strony basenu kobiecy głos:

– Luby Zefir!

Należał do młodej kobiety, właściwie dziewczyny, zanurzonej po szyję w nasyconej minerałami wodzie, z której unosiły się kłęby pachnącej pary. Jej włosy kleiły się do małej, kształtnej główki, jakby dopiero wynurzyła się z wody. Miała zadarty nos i olśniewające spojrzenie.

Któż to może być? Tylko cesarzowa zażywała tu kąpiele. I skąd tyle pary? Intensywna ziołowa woń uderzała do głowy.

– Kim jesteś? – spytała Luby, nabrawszy pewności, że dziewczyna ma zamiar tylko uśmiechać się do niej, jakby przejrzała ją na wylot i uznała za zabawne to, co wyczytała w jej myślach.

– Chciałabyś zobaczyć się z cesarzową – domyśliła się nieznajoma. – Akurat śpi wraz z dzieckiem. Przebyłaś długą drogę i jesteś zmęczona. Zrzuć te brudne łachy i poczekaj tutaj ze mną. Opowiesz mi o swoich przygodach, a ja tymczasem wymasuję ci stopy.

Dziewczyna była pewna siebie i przekonująca. Miała zresztą rację, Luby padała z nóg. No i ta para tak pięknie pachniała.

– Ale kim ty jesteś? – ponowiła pytanie.

– Zwę się Chippaminka. Pełnię funkcję arcyczarnoksiężnicy.

– A gdzie Yoki Choppa?

– Na pewno nie tutaj. Odłączyłaś się od owslanek prawie dwa tygodnie temu. Skąd miałybyś wiedzieć, co się z nimi stało?

– To prawda, ale jakim cudem ty...?

– To żaden cud, tylko magia. Rozbierz się i chodź tu do mnie. Przysięgam, audiencja nastąpi, gdy tylko będzie to możliwe. Wejdiesz do komnaty pierwsza, nawet jeśli inni czekają o wiele dłużej od ciebie.

Luby Zefir w końcu dała się przekonać. Zdjęła ubranie i usiadła na zanurzonej w wodzie ławeczce naprzeciwko Chippaminki. Westchnęła,

czując rozchodzącą się po ciele błogość. Ależ wspaniała woda!

– Nogi poproszę.

Uniosła stopę. Dziewczyna wzięła ją w dłonie i osadziła delikatnie na swoich kolanach. Wcisnęła kciuki w obolałą od drogi podeszwę i umiejętnie zaczęła ją ugniatać. Luby nie zdołała powstrzymać kolejnego westchnienia. Dotyk wprawnych palców dostarczył jej większej rozkoszy niż gorąca woda.

– Czy wiesz, gdzie znajdują się teraz pozostałe wojowniczkki i dlaczego ruszamy na Badlandy?

– Owszem – odparła Chippaminka z uśmiechem, na którego widok serce podskoczyło owslance do gardła. – Ale o tym później, teraz się odpręż.



Rozdział 2

NIEŁATWY SOJUSZ

Widziałam kiedyś tornado nad Słodkim Morzem Olafa – wydyszała grzyboludka, podbiegając do idącej na czele kolumny Sofi Tornado.

Grupka niebiesko-białych jaskółek frunęła na południe ponad rozfalowanym zielonym morzem. Po błękitnym niebie sunęły niespiesznie flotylle puszystych, białych chmur.

Choć nie dbała o nich i ich bzdurne imiona, Sofi wiedziała, że Wotanie zwali tę kobietę Bodilą Gęsiodziobą. Gdy tylko któryś z grzyboludów odzywał się do Sofi, utwierdzała się w przekonaniu, że trzeba wyróżnić ich wszystkich, gdy tylko zakończą tę niedorzeczną misję.

– I jeszcze jedno kilka dni temu. – Dowódczyni owslanek nie okazała nawet krztyny zainteresowania, mimo to Gęsiodzioba paplała dalej. – Porwało Chnoba Białego w górę, hen wysoko, tak wysoko, że już nie spadł. To dlatego nazywasz się Sofi Tornado? Rzucasz ludźmi? To twoja specjalna zdolność?

Najsilniejsza wojowniczką w oddziale najsilniejszych wojowniczek na świecie zaszczyciła dziewczynę spojrzeniem. Bodila miała wielkie oczy i usta rozdziawione jak ryba, której ktoś przyłożył w łeb trzonkiem noża. A niech mnie, ona naprawdę myśli, że będziemy tu sobie gadać jak kumy przy studni.

Sofi westchnęła. Już szósty dzień szli na zachód wraz z grzyboludami. Prędzej nadstawi się niedźwiedziowi, niż nazwie ich plemieniem Wota, jak nalegał ich wódz Gruby Wulf. (Facet nazywa się „Gruby”. Co oni mają z tymi imionami, na litość Innowaka?)

– Tak, nazywam się Tornado, bo kręcę się w kółko i wyrzucam ludzi w powietrze. Burzę też chaty i obory, a także przyginam do ziemi zboże, po czym znikam w chmurach.

– O rety, poważnie?

Powinni ją nazwać Gęsiogłową, słowo daję. Dziewczę pod względem inteligencji znajdowało się na poziomie drobiu.

– A jakże – przytaknęła Sofi. – Zwykle atakuję tych, którzy zadają głupie pytania...

– Moja mama nazywała mnie Bodilą Szczebiotliwą. Myślę, że to dlatego inni nazywają mnie Gęsiodziobą, gęś to ptak, a ptaki przecież szczebioczą.

Sofi nie była przyzwyczajona do tego, by jej przerywano. Może od kilku dni nie jadła mięsa swojego zwierzęcia mocy, ale i bez alchemicznych zdolności mogłaby zabić tę zidiociałą babę i resztę grzyboludów, zanim pojęliby, co się w ogóle dzieje. Jej palce zacisnęły się samoistnie na rękojeści broni, którą odebrała jednemu z grzyboludów – na tym niesamowicie ukształtowanym kawałku metalu, który zwali mieczem.

– Kiedyś codziennie pływałam w morzu. Potrafiłam wypłynąć bardzo daleko, ale nie zbyt daleko, żeby nie...

Czarnoksiężnik Yoki Choppa przestał podawać owslankom mięso

magicznych zwierząt i specjalnie zniszczył swoje zapasy, by je osłabić. Później wytłumaczył Sofi swoje motywy, ale fakt był faktem – gdyby nie pozbawił ich mocy, dogoniłyby i zabiły grzyboludów jeszcze na terytorium Calnii, kawał drogi od Matki Wody. Nie musiałyby wtedy przeprowiać się przez wielką rzekę, a Talisa by nie utonęła.

Choćby sam Innowak usprawiedliwił Yokiego przed Sofi, czarnoksiężnik działał za plecami dowódczyni, a jego czyny doprowadziły do śmierci jednej z owslanek.

Ale choć pałała złością, wierzyła, że powstrzymanie się od zemsty na grzyboludach i wędrówka wraz z nimi na zachód to w tej sytuacji właściwa decyzja. Nie dlatego, że „po prostu wiedziała” czy coś w tym guście, lecz dlatego, że tak powiedział Yoki Choppa. Był najinteligentniejszym i najrozsądniejszym człowiekiem, jakiego знаła, wolnym od egoistycznych ambicji i bez wybujałego ego, mędrcom tak bliskim nieomyślności, jak to tylko możliwe. Jeśli powiedział, że trzeba chronić tych odmieńców, zapewne miał ku temu powody. Nawet jeżeli do tego stopnia działał jej na nerwy, że czasami tylko sekundy dzieliły Sofi od zdobycia broni.

Wśród grzyboludów był mały chłopiec o zniszczonym umyśle, imieniem Ottar Niemowa. Yoki Choppa ujrzał w swojej wizji, jak ten właśnie chłopiec unicestwia źródło mocy bijące daleko na zachodzie, w miejscu zwanym Łakami. Grzyboludy nie znały natury owej mocy, ale wiedziały, że jej pragnieniem jest sprowadzić na cały świat zagładę. Twierdziły, że jeśli nie zaprowadzą tam Ottara, wszyscy – mężczyźni i kobiety, dzieci, a nawet zwierzęta – zginą. Sofi miała głęboko w dupie wszystkie zwierzęta i ludzi, dzieci nie wyłączając, ale wydawało jej się, że ratując ich, postąpi właściwie.

Lecz zanim to zrobi, zanim szczęśliwie przeprowadzi tę bandę idiotów przez wszystkie niebezpieczeństwa niechybnie czekające ich na drodze, będzie musiała zdobyć magiczne mięso, którego pozbawił jej kobiety przeklęty Yoki Choppa.

Czarnoksiężnik nabył trochę mięsa karibu u Rozszczepionych Rzek, więc wytrzymałość wojowniczek wróciła do normy, ale wciąż nie miały mięsa grzechotnika diamentogrzbietowego i osy tarantulojastrzębiej, które zwiększały ich szybkość, siłę i inne cechy.

Poza trzema rodzajami magicznego mięsa, które musiały jeść wszystkie owslanki, każda kobieta czerpała moc z jeszcze jednego zwierzęcia, obdarzającego ją indywidualnymi zdolnościami. Słuch Sofi wyostrzał się za sprawą mięsa rzadkiego gatunku sowy zwanej pójdką ziemną.

Okazało się, że pójdkę łatwo znaleźć, ale tylko na jej terytorium, które leżało kilkaset mil na zachód. Sofi już czuła, że gorzej słyszy. Jeśli będą dalej wlekli się w tym tempie, minie miesiąc, nim znajdzie pierwsze zwierzę mocy. Pozbawiona swoich zdolności, czuła się naga i rozbrojona. Były to dwa zupełnie nowe uczucia, dotąd ich nie знаła. I nie podobały jej się ani trochę.

Płomykiem nadziei rozświetlającym czarne myśli Sofi było to, że udało im się znaleźć żuka gnojowego, który dawał nadludzką siłę Chogolisie, ustonogi, zwiększające siłę ciosu Jutrzenki, oraz widłoroga, odpowiedzialnego za niesamowitą szybkość Palomy, a więc moce przynajmniej tych trzech wojowniczek powoli wracały do normy. Sęk w tym, że bez grzechotnika i osy wszystkie dziewczyny będą o wiele słabsze i wolniejsze niż zwykle. I nie tylko Sofi odczuwała deficyt magicznego mięsa – brakowało im również sauromalusa, zwierzęcia mocy Sitsi Pustułki, które wyostrzało jej wzrok i wzmagало zdolność posługiwania się łukiem. Sauromalusa można było znaleźć tylko na Pustyni z Której Się Nie Wraca, leżącej po drugiej stronie Lśniących Gór. Co prawda tam właśnie zmierzali, ale wzięwszy pod uwagę ślimacze tempo grzyboludów, będą się tam wlekli do usranej śmierci.

O ile w ogóle dojdą.

Pomimo osłabienia owslanki wciąż były niepojęcie skutecznym oddziałem wojowniczek, z tym że ich liczebność spadła do pięciu. Jeśli w tym stanie zdybią ich Badlandczycy, nie będzie co zbierać...

Usłyszała za sobą przyspieszone kroki. Nieustanna paplanina Bodili prawie zagłuszyła dźwięk. Dziewczyna wypracowała chyba technikę cyrkulacyjnego oddechu, tak jak śpiewacy, którzy potrafili dzięki temu śpiewać bez przerwy.

Ręka Sofi odruchowo pomknęła do rękojeści miecza, ale okazało się, że to tylko Gunnhilda Pobożna, najstarsza i chyba najbardziej bezużyteczna ze wszystkich bezużytecznych grzyboludów.

– Bodilo, bądź łaskawa zamilknąć na chwilę – powiedziała kobieta. – Chciałabym porozmawiać z Sofi w cztery oczy.

Gęsiodzioba, czy jak jej tam, urwała w pół słowa, wcale nie żywiąc urazy.

– I spróbuj zapamiętać, moja droga – podjęła Gunnhilda. – Kto słucha, ten się uczy, kto gada, pozostaje głupcem.

Bodila kiwnęła głową i zwolniła kroku, rozglądając się już za kolejną ofiarą. Pobożna przyspieszyła, by zrównać się z Sofi, która żwawiej ruszyła naprzód.

– Widziałam, jak szylaś zeszłej nocy – zagadnęła grzyboludka.

Sofi milczała. Rzeczywiście szyla. Frustrujące zajęcie. Nie była zbyt wprawną szwaczką, ale przecież wcale nie miała takich ambicji, więc na pewno nie będzie słuchać dobrych rad tej starej ciotki.

– Robiłaś małe worki. Zgaduję, że dla twoich kobiet, żeby miały gdzie gromadzić mięso zwierząt mocy, na wypadek gdyby Yoki Choppa znów zgubił zapasy.

Sofi pokręciła głową. Skąd ta Gunnhilda wiedziała o zwierzętach? Powinna zakazać swoim wojowniczkom rozmawiać z Wotanami. Paloma, Chogolisa i Sitsi zanadto się z nimi spoufalały. Tylko Jutrzenka zachowywała właściwy dystans. Sofi powinna była jasno określić zasady: nie rozmawiać z nimi, nie odpowiadać, gdy się odezwą.

Ale ponieważ Gunnhilda najwyraźniej nie miała zamiaru odpuścić, Sofi odrzekła:

– Uszyłam dwa worki.

– I obydwie wrzuciłaś do ognia dziś rano, bo do niczego się nie nadawały, prawda?

Sofi potwierdziła skinieniem.

– Ile potrzebujesz? Pięć? Po jednym dla każdej owslanki?

– Tak.

– Zrobię je dla was. Skóra z królika nada się lepiej niż z jelenia. Bo chcesz, żeby były lekkie i wodoodporne, prawda?

– Tak... przydałoby się.

– Zostawię cię teraz samą – powiedziała Gunnhilda. – Ale pamiętaj, proszę, że często uznajemy za wrogów tych, którzy nie zdążyli podzielić się z nami swoją opowieścią.

– Nie, Gunnhildo. Moi wrogowie to ci, których wskaże moja cesarzowa.

– Władca wydaje rozkazy. Owce są posłuszne. A lwy dociekliwe.

Sofi zachowała milczenie. Nie chciała, by grzyboludka odebrała odpowiedź jako zaproszenie do dalszej dyskusji.

– Jeśli Bodila będzie ci się jeszcze naprzykrzać, przyjdę po nią. – Z tymi słowy Gunnhilda odeszła.

Dowódczyni owslanek szła dalej skrzywiona, jakby opiała się stęchłej wody.



Trawa, trawa, nic, tylko trawa.

Finnbogi Zbuk włókł się naprzód, łypiąc tęsknie na Wrogobójcę, swój miecz, który obijał się o zapierające dech w piersi udo Sofi Tornado.

Odkąd sięgał pamięcią, czuł pociąg do silnych kobiet. Gdy był mały, chciał je uszczęśliwiać i imponować im. Przez kilka ostatnich lat kobiety z plemienia Wota Thyri Drzewonoga i Sassa Gryziwarga budziły jego zmieszanie, podniecenie i frustrację, bo wyglądało na to, że zamiast realizować swoje pragnienia, może tylko gapić się na nie jak ciele na malowane wrota. I czasem o nich śnić.

A zatem dołączenie do grupy pięciu magicznych superwojowniczek, najpotężniejszych i najpiękniejszych dziewcząt w całym calnijskim imperium, powinno być ukoronowaniem wszystkich jego fantazji. Niestety, to tak nie działało. Minęło już sześć dni, a owslanki wciąż traktowały go jak powietrze, on zaś był zanadto oszołomiony podziwem i podnieceniem, by wykonać pierwszy ruch.

Ich dowódczyni zabrała mu Wrogobójcę już pierwszej nocy, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem, a co dopiero grzeczną prośbą. Właściwie miecz tak naprawdę nie należał do niego – został skradziony z grobu Olafa Odkrywcy przez jarla Brodira Przecudnego – a Finnbogi, choć przykładał się do lekcji walki, których udzielała mu Thyri, z pewnością nie władał nim tak wprawnie jak wypełniona magiczną mocą półboska wojowniczką, więc może lepiej, by to ona miała go przy sobie. No ale mogła przynajmniej poprosić... Tymczasem zrobiła z Finna głupka na oczach Thyri i reszty, po prostu odbierając mu miecz jak

szczeniakowi i w zamian rzucając pod nogi swój gówniany kamienny toporek.

Finnbogi pozwolił jej na to, bo był tchórzem, za to Gruby Wulf stanął w jego obronie, ponieważ był bohaterem. Wódz zażądał, by owslanka zwróciła miecz prawowitemu właścicielowi. Przez chwilę wyglądało na to, że zrobi się nieprzyjemnie, ale wtedy czarnoksiężnik Yoki Choppa poprosił Wulfa na stronę. Wódz wrócił chwilę później z ponurym wyrazem twarzy.

– Sofi Tornado, zachowaj miecz. Wybacz, Finn, ale tak będzie lepiej.

Sofi obrzuciła ich obu spojrzeniem, które mówiło jaśniej niż słowa, że nie potrzebuje niczyjego pozwolenia, by wziąć to, na co ma ochotę. I tyle, nie wracali już do tematu.

A teraz Finnbogi nie mógł oderwać wzroku od Sofi. Tak jak wszystkie owslanki, nosiła coś, co przypominało wysokie do kolan skórzane skarpety, krótkie spodnie i kamizelkę odsłaniającą brzuch i ramiona. Wmawiając sobie, że nie obłapia jej wzrokiem, po raz nie wiedzieć który prześlizgiwał się spojrzeniem z łydek na uda i wyżej. Ale nie w „taki” sposób, bo przecież świata nie widział poza Thyri Drzewonogą. Po prostu kontemplował figury owslanek w ten sam beznamiętny, lecz pełen uznania sposób, w jaki patrzyłby na zdrowego, silnego lwa lub zachód słońca odbijający się w tafli jeziora. I tyle. Kochał Thyri całym sercem. Owslanki były godne podziwu jedynie przez wzgląd na swoją fizyczną doskonałość. Przecież to nic złego być wrażliwym na kobiece piękno, powtarzał sobie w kółko.

Za jego plecami Paloma Widłoróg i Sassa Gryziwarga trajkotały jak stare przyjaciółki, które przypadkiem spotkały się po latach. Ma się rozumieć, cieszył się, że Sassa tak dobrze dogaduje się z owslanką, ale może zaprosiłaby go do rozmowy? Z Palomą Widłoróg chciał porozmawiać jeszcze bardziej niż z pozostałymi wojowniczkami. Bo po prostu wyglądała na najciekawszą z nich. Obiektywnie i bez emocji stwierdził również, że była najpiękniejsza ze wszystkich, ale to wcale nie dlatego chciał z nią pogadać.

Kilkanaście jardów za Sassą i Palomą szedł u boku zwalistej Chogolisy Zadrzyziemi jego dopiero co odnaleziony ojciec Eryk Złośnik. Mężczyzna niósł na barana Ottara Niemowę, a Chogolisa – Frejdis Złośliwą. Eryk był

najwyższy i najszerszy w ramionach wśród Wotan, którzy z natury byli wysocy i barczyści, ale przy kolosalnej kobiecie wyglądał jak dziecko. Ku zdziwieniu Wotan pomimo onieśmielającej powierzchowności Chogolisa okazała się nad wyraz miłą osobą. Nawet teraz na jej osobliwie dziewczęcej twarzy rysował się uroczy uśmiech, gdy podrygiwała w rytm piosenki wymyślanej na oczekaniu przez małą Frejdis. Dwa szopy Ottara, Hugin i Munin, chowały się w wysokiej trawie, ale słyszał ich popiskiwanie, a od czasu do czasu widział wystające ponad poziom zieleni pasiaste ogonki.

Czworo ludzi i dwa szopy tworzyli idylliczny obraz, wyglądali niemal jak rodzina. Do której Finn nie należał.

Obejrzał się, chcąc złapać spojrzenie Thyri. Ona też szła sama. Skinęła mu głową, nie obcesowo, ale w taki sposób, że wiedział od razu, iż nie ma ochoty z nim gadać.

Wznowili wieczorne treningi, ale Thyri odnosiła się do niego z dużą rezerwą. Wciąż sądziła, że Finn przyczynił się do śmierci Gartha Kowadłogębego. Finnbogi niczego bardziej nie pragnął, niż powiedzieć jej, że to Sassa zastrzeliła Gartha, gdy ten wredny drab próbował go zamordować – tak żeby zrozumiała, że jej poprzedni kochanek był dupkiem, po czym, jakżeby inaczej, wpadła w ramiona Finnbogiego. Ale nie mógł. Skarżenie było przez Harowian, czy też członków plemienia Wota, jak się teraz nazywali, objęte jeszcze surowszym tabu niż samo morderstwo. Ech, jakie to wszystko niesprawiedliwe!

Thyri również nie rozmawiała z owslankami, a przynajmniej Finn nie widział, by to robiła. Podczas gdy on łąknął kontaktu z nimi, ale nie podejmował inicjatywy, bo był rozlazłym ciemięgą, Drzewonoga nie bratała się, bo po prostu nie miała ochoty. Thyri była od niego o dwa lata młodsza i jakieś pięćdziesiąt razy fajniejsza.

Szedł więc przed siebie wydeptaną przez stulecia drogą. Nie był pewien, czy wydeptali ją ludzie, czy też zwierzęta, ale nic go to nie obchodziło. Wszyscy i wszystko poza Finnem, ludzie i zwierzęta, łączyli się ze sobą w jakiś wielki wzór, którego on nie był częścią.



Sitsi Pustułka i Jutrzenka pełniły tego wieczoru wartę. Stały plecami

do siebie na pagórku sto kroków za obozem Wotan i Calnianek i omiatały wzrokiem ciągnącą się w nieskończoność równinę, której skraj barwiły na złoto ostatnie promienie zachodzącego słońca. Wysmagane wiatrem Morze Traw powoli wtapiało się w ciemność nocy.

Minęło dziewięć dni, odkąd Sitsi ostatni raz jadła mięso sauromalusa, ale wciąż sięgała wzrokiem dalej niż pierwszy lepszy nieulepszony magią człowiek. Nie dostrzegła na równinie żadnego zagrożenia, jedynie nieprzeliczone masy bizonów, orłów, żurawi, wilków, kojotów, kilka niedźwiedzi, jednego lub dwa lwy, mnóstwo jeleni i innych zamieszkujących ją ptaków i zwierząt. Mrowie mniejszych polnych stworzeń przemykało wśród traw, zajęte swoimi sprawami, a powietrze ponad równiną drżało od owadzich głosów.

Hen daleko na niebie majaczyła szara chmura, która po bliższych oględzinach okazała się olbrzymim stadem gołębi wirującym nad czymś, co musiało być osobliwie ukształtowaną formacją skalną. Gdyby Sitsi zjadła minionego ranka swoją porcję zwierzęcia mocy, wyłuskałaby z rozmazanej ptasiej masy pojedyncze osobniki i zarysy pęknięć na kamiennej powierzchni. Utrata zdolności napawała ją obawą. Od dawna zdawała sobie sprawę, że spośród wszystkich owslanek to ona jest tą najmniej odważną – no, może nie licząc Luby – ale to przerażenie, które ją ogarniało, im bardziej czuła się słabsza, było dla niej czymś zupełnie nowym. Czy tak się czują starcy, gdy w miarę upływu lat odchodzą im siły? To by tłumaczyło ten znękany wyraz malujący się na ich pomarszczonych twarzach.

Yoki Choppa, przyczyna nurtującego ją strachu, kręcił się w okolicy, szukając sów lub os tarantulojastrzębich, które mogły zawędrować na wschód od swojego terytorium. Na sauromalusa nie miała co liczyć tak daleko od Pustyni z Której Się Nie Wraca.

– Co myślisz o naszych nowych znajomkach? – spytała Sitsi Jutrzenkę, wciąż odwrócona. Podchodziła do warty ze śmiertelną powagą.

– O grzyboludach?

– A o kim?

– Nie mogę się doczekać, aż zatłukę wszystkich na śmierć. Nie mieści mi się w głowie, że Sofi zgodziła się ich niańczyć. Wyglądają okropnie, śmierdzą jeszcze gorzej. Powinniśmy były zabić ich od razu.

– Naprawdę tak brzydko pachną?
– Wyglądają mi na śmierdzieli. Nie pochodzą stąd. Nie powinno ich tu być. Brzydzę się nimi. A ty nie?

Sitsi namyśliła się.

– Nie, nie powiedziałabym. Znaczą, ma się rozumieć, że nie przepadam za nimi, ale... No cóż, lubię dzieci. Zwłaszcza tego małowównego chłopca.

– Tylko dlatego, że ma najebane w głowie i przypomina ci twoich braci.

– Możliwe, chociaż ja ujęłabym to inaczej. W każdym razie lubię go i już. I tę jego siostrzyczkę. Są tacy niewinni, że nie sposób ich nie lubić.

– Ja jakoś daję radę – prychnęła Jutrzenka.

– Naprawdę? Przecież to małe dzieci.

– No, może dzieci nie są jeszcze takie najgorsze. Ale dorosłych po prostu nie mogę zdzierżyć.

– Kif Berserk wykazał się odwagą, gdy Talisa urznęła mu ucho i wyłupiła oko – zaprotestowała Sitsi. – A Gruby Wulf postawił się Sofi, gdy odebrała miecz tamtemu smutasowi. Jak oni go wołają? Fiutbogi?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie pozwoliłabym mu zlizać koziego gówna z sandałów osoby, której pozwoliłabym zlizać kozie gówno z moich sandałów, a co dopiero zaśmiecać sobie pamięć jego imieniem. Jak mówiłam, to nie jest ich miejsce. Im szybciej ich zabijemy, tym lepiej.

Jutrzenka była córką Zaltana, który był cesarzem Calnii przed Ayanną, a przy tym sadystą, mordercą i zboczeńcem. Wziąwszy pod uwagę środowisko, z którego się wywodziła, Sitsi była gotowa uznać, że jej przyjaciółka nawet wyszła na ludzi. Pod fasadą snobki kryła się dobra, życzliwa dusza. Sęk w tym, że kryła się naprawdę głęboko.

Kif Berserk, ten, któremu obcięły ucho i którego oślepiły, machał swoim oburęcznym toporem, płatając wymyślonych wrogów. Wydawało się, że większość życia spędzał na mordowaniu wyimaginowanych przeciwników.

– Myślisz, że naprawdę ich zabijemy, gdy już załatwimy, co tam mamy do załatwienia na tych całych Łąkach? – zaciekawiała się Sitsi.

– Ja tam nie mogę się nadziwić, że jeszcze tego nie zrobiłyśmy i nie zjadłyśmy ich, by dopilnować, żeby nie wrócili się mścić. Nie wierzę, że

Sofi łamie rozkaz Ayanny, bo tak jej powiedział ten pokurczony dziadyga.

– Ten pokurczony dziadyga obdarzył nas naszymi mocami...

– Jest jedną z trzech osób, które obdarzyły nas naszymi mocami, i jeśli wierzyć mojemu informatorowi, wcale nie najważniejszą.

– A czy twoim informatorem nie był Pakanda?

– Owszem.

Pakanda był głównym czarnoksiężnikiem przed Yokim Choppą. Zaltan zabił go za to, że dobierał się do jego córki Jutrzenki. Ale każdy, kto znał Jutrzenkę, podejrzewał, że to „dobieranie się” polegało raczej na wykonywaniu przez dziewczynę prac ręcznych w zamian za różne poufne informacje i że przeważnie do spotkań dochodziło z inicjatywy samej Jutrzenki. Ona nie była typem osoby, którą da się zmusić do czegoś, na co nie ma ochoty. Ale słyszało się również głosy, że Pakanda miał słabość do wielu innych młodszych i bezbronnych dziewczyn, które nie były córkami cesarza i nie zostały obdarzone magicznymi mocami. Podsumowując, nikt za dziadem nie tęsknił.

– Oj, nie wiem... – zamyśliła się Sitsi. – Jest w Yokim Choppie coś bardzo przekonującego.

– Nie wydaje mi się.

– Wierzysz facetom tylko wtedy, gdy masz ich soki na rękach.

Jutrzenka roześmiała się.

– Gdybyś nie była taką cnotką, wiedziałabyś, że pytania trzeba zadawać, zanim ubrudzi się rączki, bo po wszystkim mężczyźni nic już nie mówią, bełkoczą coś tylko pod nosem i czmychają nie wiedzieć gdzie. A poza tym wcale nie trzeba brudzić sobie rąk.

Młoda łuczniczka wyobraziła sobie starca Pakandę i zadrzała.

– Nie? Jak?

– Trzeba zacisnąć mocno usta i połknąć.

Sitsi wybałuszyła oczy. Obejrzała się na Jutrzenkę, czego nie wolno jej było robić, bo była w końcu na służbie. Przyjaciółka, która nie grzeszyła przesadnie nabożnym stosunkiem do obowiązków, już patrzyła jej w oczy. Skrzywiła się uroczo i rozszerzyła usta w uśmiechu.

– Ty... nie... Fuj! Powiedz mi, że tego nie zrobiłaś! – Sitsi ogarnęły mdłości.

– Oczywiście, że nie zrobiłam. Prędzej połknęłabym łajno jeżozwierza. Właściwie to całkiem trudne nie ubrudzić sobie rąk w trakcie, ale przecież ręce można potem umyć. Nie żeby tobie groziło w najbliższej przyszłości upaćkanie sobie rąk czyimiś sokami, moja miła.

Sitsi powiodła wzrokiem do Kifa, który właśnie odrzucił topór, jakby nieistniejący przeciwnik wytrącił mu go z rąk, przetoczył się naprzód i zaatakował go pięściami.

Jutrzenka podążyła za jej spojrzeniem, a potem wróciła nim do przyjaciółki.

– Na spuchnięte jaja Innowaka! – Oczy córki byłego cesarza były niemal tak wielkie jak sarnie oczęta Sitsi. – Nie możesz! Nie wolno ci! To ohydne! – wykrzyknęła, choć brzmiała, jakby była raczej podekscytowana niż obrzydzona. W jej głosie grała ochocza nuta. – To jakby lwica dała dupy knurowi! – Zrobiła pauzę. – To co, kiedy masz zamiar wykonać ruch? Ależ mu się to spodoba! W czepku urodzony, będzie mu dane przelecieć owslankę. Musisz mi później wszystko opowiedzieć. Głowę dam, że mają tam takie chaszczce, że będziesz musiała szukać kutasa z pochodnią.

– On mi się wcale nie podoba.

– Akurat, ty zboczona mała...

– Po prostu wydaje mi się dzielny. I zabawny.

– A mnie się wydaje, że uderzyłaś się w głowę. A gdybyś zaszła w ciążę i urodziła mu dziecko o twoich wielkich oczach osadzonych w jego małej główce? Ludzie by pomyśleli, że bzykałaś się z puchaczem. Jeśli już musisz go pukać, lepiej znajdź trochę kwiatu marchwi i...

– Nie mam zamiaru go pukać ani szukać ziół. – Sitsi pokręciła głową. – A poza tym wydaje mi się, że on czuje miętę do Bodili Gęsiodziobej.

– Dlatego, że nie wie, że ma szanse u ciebie. Daj mu jakiś znak, a obskoczy cię jak wygłodniały pies rannego bizona. Jak stary zbok młodą i jędrną dzierlatkę...

– Dość. Mówiłam już, on mi się nie podoba.

– Podobno mają zakrzywione drągi. Musisz mi później powiedzieć, czy prostują się, jak im stają. To mogłoby być miłe, taki zakrzywiony...

– Powiedziałam: dość! – Sitsi znowu pokręciła głową i odwróciła się od przyjaciółki. Omiotła wzrokiem horyzont. Chmara gołębi wylądowała

wśród traw, zapewne szykując się do snu.



Finnbogi zwany Zbukiem zajął miejsce obok Bjarniego Kurzej Twarzy, który siedział sam przy ognisku naprzeciwko Sassy Gryziwargi i Grubego Wulfa.

– Co tam, Bjarni? – zagaik. Gdy Garth Kowadłogęby spiknął się z Thyri Drzewonogą, a Finnbogi cierpiał męki nieodwzajemnionej miłości, Bjarni obiecał, że pozwoli mu poczęstować się tytoniem zawsze, gdy przyjdzie mu na to ochota, ale jak dotąd dał mu tylko trochę.

– Mówiłem ci już, została mi garstka tytoniu na czarną godzinę.

– Wcale nie dlatego obok ciebie usiadłem.

– No pewnie.

Nie uszło uwadze Finnbogiego, że ostatnimi czasy Bjarni się zmienił. Zgadywał, że stało się to wtedy, gdy wraz z Kifem ścięli włosy, by wpędzić w maliny goniące ich owslanki. Puchata kula loków okalająca dotąd twarz przyjaciela nadawała mu wygląd niefrasobliwego zgrywusa. Teraz miał fryzurę rozsądnego człowieka, który doszedł do wniosku, że najlepsze, co można zrobić z włosami, to przycinać je na krótko, by nie przeszkadzały w wykonywaniu obowiązków. Wydawał się przez to jakiś poważniejszy, doroślejszy. Czy ze zmianą fryzury zmienia się też charakter?

Siedzieli w cokolwiek niezręcznej ciszy, patrząc na pogrążonych w swojej grze Wulfa i Sassę. Wódz trzymał przed nią strzałę i odsuwał ją, gdy ona próbowała ją łapać. Oboje śmiali się w głos, jakby byli najszczęśliwymi ludźmi na świecie.

– Rozumiem cię, przyjacielu – podjął Finnbogi po taktownej pauzie. – Ale jak doskonale wiesz, wciąż mam złamane serce, gdyż obiekt moich westchnień Thyri Drzewonoga odrzuciła mnie, jak odrzuca się dziurawe onuce. Możemy więc chyba uznać, że oto nadeszła czarna godzina.

Bjarni spiorunował go spojrzeniem podkrążonych czerwienią oczu.

– Co ty, kurwa, wiesz o odrzuceniu?

Kurza Twarz wstał i zniknął w mroku, a Finnbogi zamrugał oczami, nic nie rozumiejąc. Co to miało być, na Hel?



Znajdująca się o wiele bliżej ich obozu, niżby sobie tego życzyli Wotanie i owslanki, łowczyni Tansy Burna poklepała po boku swojego sztyletozębnego kota, patrząc na opadające na równinę stado gołębi. Miliony dziobów gmerały przy niciach z pajęczego jedwabiu, którymi przywiązano ptaki do gigantycznego Wędrowca Równin. Odczekawszy, aż wszystkie będą gotowe, ptaszyska zatrzepotały skrzydłami, wzbiły się w niebo i pofrunęły szukać pożywienia. Ich pragnienie trzymania się w kupie było jeszcze silniejsze od głodu, nawet po długim dniu spędzonym na ciągnięciu Wędrowca Równin przez Morze Traw.

Badlandczycy rozbijali obóz na noc. Sztyletozębne koty pobiegły na polowanie, łosie rozproszyły się po okolicy i skubały trawę, a ich jeźdźcy gromadzili się już wokół dymiących ognisk i wznoszonych właśnie stożkopodobnych namiotów. Wyprzęgnięte z Wędrowca bizona pasły się na równinie, a ich juczni bracia stali nieruchomo, czekając, aż słudzy zdejmą z ich grzbietów dźwigane przez cały dzień ładunki. Skupione w gromadkach Puste Dzieci krążyły po okolicy na grzbietach swoich wielkorogich owiec, pilnując zwierząt.

Czy czuła się tak ściśle związana ze społecznością Badlandczyków jak gołębie ze swoim stadem? Tansy doszła do wniosku, że nie. Nie była nawet Badlandką z urodzenia. Podobnie jak niemal wszyscy mężczyźni i kobiety, którzy tworzyli plemię Badlandczyków, otrzymała wybór – albo dołączy do badlandzkich grasantów, albo będzie żyć w ich cieniu i prędzej czy później zginie z ręki któregoś z nich. Wybór nie był trudny, a gdy przetrzymała kilka chudych lat, w końcu przyszedł czas na te tłuste. Była teraz dowódczynią oddziału sztyletozębnych kotów i za nic nie oddałaby tej funkcji.

Rappa Hoga wyłonił się zza masywnego cielska Wędrowca. Jechał galopem, a gdy dostrzegł Tansy, obrócił swojego sztyletozęba w jej kierunku. Łowczyni usłyszała pełne podziwu tchnienie, które wyrwało się z jej własnych ust. Mężczyzna wyglądał po prostu wspaniale. Promienie słońca pięknie podkreślały rysy jego mięśni i barwiły ciemną skórę na miodowy kolor. Rzadko, nawet przy srogiej pogodzie, miał na sobie coś więcej niż tylko przepaskę biodrową. Ku uciesze Tansy. Nie mogła doczekać się dnia, gdy znów zaprosi ją do swojego namiotu.

Zarazem obawiała się rozmowy z nim i łaknęła jego uwagi. Rozmowa zawsze przenikała ją ekscytacją, ale i wprawiała w drżenie, tak że przez kilka godzin nie była w stanie wziąć niczego do ust.

– Tansy – powiedział głębokim głosem, aż podniosły się włoski na jej przedramionach.

– Czołem – wydukała.

– Ruszymy na Calnianki i ich nowych znajomych jutro. Upewnij się, że twój oddział jest zwarty i gotowy.

Zwiadowca Nya Muka doniósł kilka dni temu, że jest ich siedemnaścioro. Czyżby już deptali im po piętach?

– Czy udział w akcji weźmie tylko... mój oddział weźmie...? Znaczący... – Zaczzerwieniła się.

– Nie, wszystkie sztyltozęby i łosie.

– Jasne...

Rappa Hoga opromienił ją szerokim, ciepłym uśmiechem.

– Zastanawiasz się pewnie, czemu idziemy taką gromadą na tę garstkę?

– Tak.

– Ano dlatego – podjął jeździec – że zgodnie z raportem Muki są wśród nich calnijskie owslanki.

– Poważnie? O rety.

– W rzeczy samej.

– Będziesz z nimi walczył? – Już sama myśl o Rappie Hodze zwartym w śmiertelnym boju z magicznymi wojowniczkami zelektryzowała Tansy po czubki palców. To chyba niemożliwe, by ktoś dorównał mu w boju? Z drugiej strony ludzie opowiadali o tych owslankach rzeczy, od których włos jeżył się na głowie.

– Mam nadzieję, że zanim dojdzie do starcia, naszpikujemy je strzałkami.

– Może powinieneś oszczędzić jedną, żeby...

– Jesteśmy tutaj, żeby zdobyć dla Bobrocłeka ludzi i zwierzęta, Tansy. A nie dla zabawy. Dopilnuj, żeby twój oddział był gotowy do ataku.

Szarpnął za cugle i odjechał.

– Tak jest – powiedziała, wpatrzona w jego szerokie plecy. Będzie mogła mówić o szczęściu, jeśli tej nocy zmruży oko choć na godzinę.

W jej głowie Rappa Hoga już toczył bohaterską walkę ze słynnymi calnijskimi owslankami.



Rozdział 3 PRZEKŁĘTA RZEKA

Najazd na Badlandy to nie taka prosta sprawa, rozmyślała Luby Zefir. Pierwszą rzeczą, która stanie na drodze potężnej calnijskiej armii, jest rozległa i rwąca rzeka Matka Woda. Jeśli istnieje jakiś sposób na to, by armia okazała się niezbyt potężna, to jest nim przeprawa przez rzekę tak starą i tak wielką, że nawet najliczniejsze wojsko będzie przy niej wyglądać jak kolonia mrówek. Ale przynajmniej wszystkie pozostałe rzeki, które przyjdzie mu pokonać w drodze na zachód, będą przy Matce Wodzie wyglądać jak strumyki końskich szczyn.

Przeprawiali się już drugi dzień. Wyżej sytuowani wojownicy i oficerowie czekali w stolicy, aż piechota wraz z zapasami znajdzie się

na drugim brzegu. Pierwszy dzień przeprawy Luby wykorzystwała więc na odwiedzinach u rodziców. Byli zaskoczeni i niespecjalnie gościnni, gdy zjawiała się w rodzinnym domu bez uprzedzenia, i tak już zostało do końca spotkania. Nie mogła powiedzieć, by ją to zasmuciło. Wydziedziczyli ją już kiedyś, gdy najbardziej ich potrzebowała, więc również i teraz nie spodziewała się po nich nie wiadomo czego.

Próbowała zobaczyć się z cesarzową Ayanną jeszcze dwukrotnie, ale czarnoksiężnica Chippaminka nie dopuszczała do spotkania, za każdym razem znajdując inny powód niedyspozycji władczyni. Luby spodobała się ta cała Chippaminka. Robiła wrażenie inteligentnej, porządnej młodej kobiety, która zawsze kierowała się wyłącznie dobrem cesarzowej.

Nie mając zbyt wiele do roboty, Luby zajęła się swoim nowym hobby – pieszymi wycieczkami. Obeszła całą dzielnicę plebejuszy i przemierzyła wszystkie ulice i aleje w dzielnicy dużych domów, gdzie mieszkała klasa średnia – i to tam wpadła przypadkiem do swoich rodziców. Okrążyła większe i mniejsze piramidy, gdzie mieszkali wysoko urodzeni obywatele, przyglądając się uważnie wystrojonym kobietom i szykownym mężczyznom oraz złotym statuom zdobiacym wypucowane na glanc ulice dzielnicy bogaczy. Rozmyślała o bogu Innowaku, za którego sprawą dzieje się wszystko, co się dzieje. Dlaczego – przyszło jej na myśl – podzielił ludzi na klasy? I dlaczego ci, którzy mieli wszystko, wydawali się najmniej na to zasługiwać?

Drugiego dnia znalazła się na urwisku, skąd rozciągał się widok na Matkę Wodę, i oglądała przeprawę. Dowódcy i kwatermistrzowie próbowali zapanować nad tysiącami żołnierzy, robotników i jucznych zwierząt, wprowadzić jakiś ład i porządek, ale Matka Woda miała własne plany.

Luby już chciała wracać do miasta, gdy raptem wywróciła się łódź znajdująca się w jednej czwartej drogi na drugi brzeg. Wszystkie przewożone na jej pokładzie bizony zdołały jakoś wydostać się z topieli, a większość mężczyzn i kobiet została wyłowiona przez ludzi na okolicznych łodziach. Kilkoro nieszczęśników zniknęło jednak w błotnistych odmętach i już nie wynurzyło się na powierzchnię.

Oto, jak działa bezlitosna ręka losu. Kilka dni temu ci ludzie żyli, później gruchnęła wieść, że idą na wojnę, która pewnie będzie straszna,

ale i ciekawa, a potem, zanim w ogóle...

Luby poczuła, jakby ukłucie smutku na widok bezsensownej śmierci tych ludzi skruszyło jakąś tamę w jej głowie. Nawał trzymany dotąd w ryzach myśli zalał jej umysł. Po co w ogóle szli na tę wojnę? Jakim sposobem Chippaminka, kobieta znikąd, o której jeszcze miesiąc temu nikt nie słyszał, została wyniesiona do rangi pierwszej czarnoksiężnicy i stała się prawą ręką cesarzowej? Kim ona w ogóle jest?

Owslanka potrząsnęła głową. Próbowwała przypomnieć sobie pierwsze spotkanie z Chippaminką. Wspięła się na szczyt piramidy, by porozmawiać z Ayanną, i natknęła się na nią w łaźni. Luby dołączyła do niej. Ale dlaczego? Nie mogła sobie przypomnieć, wspomnienie zamazało jej się przed oczami. Dziewczyna ujęła jej stopę i zaczęła ją pieścić, a później... Nie miała pojęcia, co było później. Och, na Innowaka, co ona zrobiła? Czyżby ta dziewczyna rzuciła na nią urok?

Co za cudaczna myśl. Luby widziała na własne oczy, jak czarnoksiężnicy wpływają na decyzje innych, ale nie słyszała jeszcze, by któryś był w stanie do tego stopnia kontrolować drugą osobę. Na czymkolwiek polegałby ten fortel – na paleniu halucynogennych ziół lub na innych alchemicznych sztuczkach – Chippaminka z całą pewnością zrobiła coś, by przekonać Luby, że wszystko jest w porządku, że nie ma nic dziwnego w rozmyślnym odwlekaniu jej audiencji u Ayanny i że inwazja na niegościnne i niebezpieczne Badlandy, zamieszkane przez hordy zdziczałych szaleńców, to zupełnie niezły pomysł. Jakże sprytnie i niepostrzeżenie tknęła swoją sieć ta zdradliwa pajęczycyca!

Czy Chippaminka naprawdę rzuciła urok na cesarzową? A może jest jakieś inne wytłumaczenie?

Luby pobiegła do Calnii, popędziła do cytadeli... a potem stanęła w połowie schodów na cesarską piramidę Słońca.

Bo jeśli Chippaminka omotała cesarzową do tego stopnia, że ta przez jej podszepty rzuciła całą calnijską armię na Badlandy, to co dopiero zrobi z Luby? W najlepszym wypadku, choćby owslanka wpadła do sali tronowej z krzykiem, jakimś sposobem sprawi, że Ayanna po prostu ją zignoruje.

Nie, Luby musi rozegrać to ostrożnie... Tylko co właściwie miałyby zrobić? Może zakraść się do komnat cesarzowej pod osłoną nocy,

obudzić ją i wtedy z nią porozmawiać... Ale jeśli Ayanna rzeczywiście jest pod magicznym wpływem Chippaminki, rezultat będzie przecież taki sam. Strażnikom wymknie się bez trudu, rzecz w tym, że później będzie musiała uciekać z Calnii, która i tak pójdzie na wojnę z Badlandami.

Mogłaby pogadać z wartownikami... gdyby ich знаła. Zresztą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Chippaminka ich też owinęła już sobie wokół palca. W piramidzie nie ma więc nikogo, komu Luby Zefir mogłaby zaufać.

Zawróciła i zeszła po schodach, spocona i skołowana, głowiąc się na próżno i żałując, że nie ma tu Sofi Tornado.



Rozdział 4

NIEPRZYJEMNA NIESPODZIANKA

Aniech mi niedźwiedź barć wylize, wy naprawdę jecie ludzi? – Sassa Gryziwarga gapiła się oniemiała na Palomę Widłoróg. Po nocnym wypoczynku wznowili marsz i ruszyli śladem swoich długich, porannych cieni na zachód, torując sobie drogę przez bezkresne Morze Traw.

– No, nie w całości. Jemy kawałki tych złych ludzi. Korzyści są dwojakiej natury. Po pierwsze, jest to kara, bo w ten sposób zabijamy ich dusze, a po drugie, my odradzamy się w przyszłym życiu w jakiejś ciekawszej postaci. Poza tym dobrze przyrządzone mięso właściwej osoby to delicje. Czyli korzyść jest potrójna.

– Właściwej osoby?

– Młodej, zdrowej i nieco przy kości. Ty byś się nadała.

Sassa poczuła się dziwnie – komplement sprawił jej radość, jednocześnie myśl o tym, że ktoś miałby ją zjeść, obrzydziła ją, a ostatnia wzmianka wzbudziła irytację. Może i jest „nieco przy kości”, ale tylko w porównaniu z wojowniczkami, które trenują od świtu do zmierzchu! Ale nie było sensu się kłócić.

– Co to za przyszłe życie, o którym mówisz? – spytała zamiast tego.

– Jeśli twoje ciało nie zostało upieczone w ogniu rozpalonym kryształem Innowaka i zjedzone, twoja dusza odradza się w kolejnym wcieleniu. A jeśli zostało, to dupa zimna, twoja dusza umiera i przestajesz istnieć.

– Kryształ Innowaka, powiadasz?

– Tak. Innowak to najważniejszy z naszych bogów. A oto i on. – Paloma wskazała słońce. – To płonący łabędź.

– Tak, to ma sens. A czy jego pióra...

– Ognioodporne skrzydła.

– A co z tym kryształem?

– Innowak obdarzył swoich wiernych kryształami, które skupiają jego moc i rozpalają ogień. Można je znaleźć tu i ówdzie.

Sassa rozejrzała się wokół, niemal spodziewając się, że ujrzy spadające z nieba odłamki kryształu, ale zobaczyła tylko fruujące nad równiną ptactwo. Nie byłoby tak źle odrodzić się jako ptak, przyszło jej na myśl.

– A można się odrodzić jako inna osoba?

– To możliwe. To nic innego jak system punktów dodatnich i ujemnych. Gdy przecięłaś linę nad Matką Wodą, ratując w ten sposób swoje plemię, zdobyłaś punkty dodatnie. Chyba że Innowak chciał, żebyśmy was dogoniły i zabiły, bo wtedy, ma się rozumieć, zgarnęłaś punkty ujemne. Nie zawsze wiadomo, co uzna za dobre, a co za złe. – Paloma przerwała wywód i delikatnie pokierowała Sassą, żeby ta nie wlaźła w świeże bizonie łajno, po czym podjęła: – Podobnie jest z duszą. Jeśli zjesz kogoś, otrzymujesz punkty duszy lub jakąś ich część, jeśli podzielisz się posiłkiem z kimś jeszcze. Ja jestem owslanką, więc zjadłam mnóstwo ludzi. Pewnie odrodzę się jako niedźwiedź, lew lub

czarnoksiężnica. Kto wie, może nawet jako owslanka. Nie sposób przewidzieć, ale to na pewno będzie jakieś dobre wcielenie. Może widłoróg? Nie, to chyba zbyt oczywiste, choć Innowak to przekorny bóg, a na pewno taki, który lubi nieźle zamieszać. Pewien inny bóg nazwał go kiedyś nudziarzem, bo ciągle, dzień w dzień, frunie po niebie tą samą trasą, a więc Innowak próbuje pokazać, jaki jest intrygujący i skomplikowany. To dlatego wydarza się tyle dziwnych rzeczy... Na przykład cały ciąg wypadków, który doprowadził do tego, że sobie teraz z tobą rozmawiam, zamiast ścierać twoją krew z broni.

Sassa zadygotała. Czasem zapominała, że rozmowna i nieładzko piękna Paloma została zmieniona alchemicznymi miksturami w sadystycznego potwora, który w try miga zaszlachtowałby całe jej plemię. Zresztą to właśnie by się stało, gdyby nie zainterweniował Yoki Choppa.

– Twierdzisz więc, że jesteś owslanką, bo zjadłaś mnóstwo ludzi w poprzednim życiu?

– Tak mi się widzi, choć to nie takie proste. Jest w tym wszystkim element losowości. Musi być, żeby jakiś nędznik lub zwierzę nie odradzało się co wcielenie w jakiejś gównianej formie. Gdy byłam mała, mówiłam ludziom, że pamiętam, jak byłam kiedyś widłorogiem... Stąd moje imię. Ale...

Paloma rozejrzała się wokoło. Sofi Tornado szła ładny kawałek drogi przed nimi, wysłuchując paplania Bodili. Eryk Złośnik i Chogolisa wraz z dziećmi byli dostatecznie daleko w tyle. Z odległości pięćdziesięciu kroków przyglądał się kolumnie wędrowców czarnonosy widłoróg, tak jakby pojawił się na zawołanie Palomy. Jego głowa wystawała konspiracyjnie z wysokiej trawy, jakby był podglądaczem w krzakach przy strumieniu, gdzie kąpią się młode dziewczęta.

– Ale tak naprawdę to kłamałam, wcale nie pamiętam żadnego poprzedniego wcielenia. Po prostu lubiłam biegać, a widłorogi to najszybsze ze wszystkich zwierząt. Ale wszyscy mi wierzyli. Dlaczego wierzyli pięcioletniej smarkuli?

Obydwie wybuchnęły śmiechem.

– A więc Wotanie nie jedzą ludzi? – spytała Paloma.

– Nie musimy, my nie przechodzimy reinkarnacji.

- Wasze dusze umierają wraz z ciałem? Jakie to smutne.
- Ależ skąd, żyjemy dalej u boku naszych bogów.
- To brzmi ciekawiej. Jakich bogów?
- Jest ich mnóstwo. Moją ulubioną boginią jest Freja, bo... – Tym razem to Sassa popatrzyła wokoło, by się upewnić, że nikt nie strzyże uszami. – Bo bardzo bym chciała, wręcz rozpaczliwie, jeśli mam być szczerą, zająć w ciążę, a Freja pomoże mi w tym bardziej niż na przykład Thor, którego czci większość z nas. Jego obchodzi tylko walka i bzykanie.
- Jeśli chcesz zająć w ciążę, nie ma to jak bzykanie.
- Trudno się nie zgodzić, ale Wulf czci Thora, więc to on zabiega o jego wstawiennictwo w imieniu nas obojga. I wierz mi, jeśli jeszcze nie zaszłam, to nie dlatego, że się nie... staramy.
- Ależ wierzę, wierzę. Gdyby Wulf był moim mężczyzną, ujeżdżałabym go o świcie, w południe i w nocy.
- Dziękuję, jakież miły komplement. A po południu też?
- Ależ proszę. W południe by odpoczywał. Długo staracie się o potomka?
- Od dwóch machnięć owczego ogona za oborą moich rodziców do kilku godzin pośród polnych kwiatów.
- Paloma roześmiała się dźwięcznie, a Sassa uśmiechnęła się do niej. Jak to miło rozmawiać z kimś, kto łapie jej żarty.
- Staramy się od pięciu lat, odkąd wzięliśmy ślub. Przedtem jadłam polną miętę, żeby nie...
- Powinnaś pogadać z Yokim Choppą. Cesarzowa też nie mogła zająć, a on...
- Czekaj, nie powinnaś czasem iść na zwiad? – przerwała jej Sassa.
- Może i powinnam, ale z samego rana wybiegłam dziesięć mil naprzód i nie napotkałam nic niepokojącego. Jeśli ktoś tam na nas dybie, musiałyby być cholernie szybki, żeby nas dopaść. Więc jak już mówiłam, Yoki Choppa powiedział jej, żeby...



- Wezmę od ciebie Ottara. – Chogolisa Zadrzyzemia wyciągnęła olbrzymią rękę.
- Już masz Frejdis. – Eryk chętnie pozbyłby się z barków coraz

cięższego chłopca, ale nie chciał wyjść na słabeusza.

– Tak, ale ja zmieszczę po jednym na każdym ramieniu.

– To niesprawiedliwe.

– Rozmawialiśmy już o tym. Po co masz się męczyć, skoro ja mam niewyczerpaną wytrzymałość i siłę całego plemienia, bo korzystam z dobrodziejstw alchemii?

– Bop – wciął się Ottar.

– On mówi, że chce jechać ze mną na Chogolisie – przetłumaczyła Frejdis.

– No, skoro chce... – Eryk sięgnął do chłopca, ale Chogolisa już podniosła go jedną ręką i posadziła sobie na masywnym lewym ramieniu, dobrą stopę wyżej niż ramię Eryka.

– Wooo-ta! – krzyknął Ottar i zachichotał szaleńczo. Złapał Chogolisę za ucho. Zagryzła zęby, ale się uśmiechnęła.

Małe szopy Ottara, Hugin i Munin, piszczały, biegając wokół nóg Chogolisy, oburzone tą nagłą zmianą wierzchowca. Eryk uznał, że pewnie domagają się uwagi. Schylił się, by je pogłaskać, ale one odskoczyły na kilka kroków, obróciły się i łypnęły na niego spode łba. Ottar obłaskawił je kilkoma niezrozumiałymi słowami i pomknęły w trawę, machając pasiastymi ogonkami.

– Skąd wzięliście te szopy? – zaciekawiała się Chogolisa.

– Są z plemieniem dłużej niż ja – odparł Eryk.

– Aha! To ty musisz być tym wygnanym Wotaninem, który mieszkał z Lakchanami.

– To ja.

– Czemu dopiero teraz o tym mówisz?

Eryk coraz częściej wędrował i rozmawiał z Chogolisą – głównie o niej, o owslankach i Calnii. Nie przeszkadzało mu to, wręcz przeciwnie. Fascynowały go jej opowieści. Lubił brzmienie jej głosu i łagodne, lekko żartobliwe podejście do życia. Nie sposób było pogodzić tej ładnej, inteligentnej, wręcz uroczej, choć olbrzymiej dziewczyny z opowieściami o okrutnicy miażdżącej czaszki i wyrywającej kręgosłupy.

– Nigdy nie pytałaś.

– To prawda, że nigdy nie spytałam: „Hej, nie zostałeś czasem wygnany?”. Bo nikomu nie przyszłoby do głowy pytać o coś takiego.

- Chyba po prostu nie zahaczyliśmy dotąd o ten temat.
- No to zahaczmy. Dlaczego zostałeś wygnany? Ale nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.
- To długa historia.
- W takim razie lepiej zaczynaj.

Eryk Złośnik opowiadał historię swojego życia, Frejdis śpiewała piosenkę, Ottar ćwierkał sobie po swojemu, siedząc na ramieniu Chogolisy, a zwierzęta równin przypatrywały się tej osobliwej kompanii.



– Więc nikt z nas nie wiedział, że Eryk mieszka z Lakchanami. No, może Gunnhilda i wydaje mi się, że Garth też. I może Wulf. Nie wiem. Garth zginął. To bardzo smutne. Rozbiliśmy obóz na szczycie najwyższego klifu, jaki widziałam, a potem...

Sofi Tornado wzięła głęboki wdech. Bodila niezmordowanie głądziła już od godziny i nic nie wskazywało na to, by miała się w końcu zamknąć. A najgorsze było to, że Sofi sama sprowadziła na siebie to nieszczęście.

Minionej nocy Gunnhilda uszyła dla owslanek małe skórzane woreczki na mięso i rano wręczyła je Sofi, a ona przyjęła je bez podziękowania. Gunnhilda najwyraźniej poczuła się urażona, bo nie trzymała już Bodili na wodzy, jak obiecała.

Powinno być jej podziękować, psiakrew, pomyślała Sofi.

I wówczas to usłyszała.

Coś kryło się za niewielkim wzgórzem przed nimi i zmierzało w ich kierunku.

– Sza! – uciszyła Bodilę.

– Mam być cicho? A co, usłyszałaś jakiegoś ptaka? Kiedyś w Harówce...

Sofi podcięła gadatliwej kobiecie nogi, przycisnęła ją do ziemi, unieruchomiła ręce i zatkała dłonią usta. Bodila protestowała zawzięcie, powarkując i złorzecząc w przyciśniętą do jej ust dłoń. Sofi zacisnęła jej dziurki od nosa palcami i kolaniem wydusiła powietrze z płuc. Gdy idiotka w końcu zamilkła, Tornado nadstawiła uszu.

Miała rację. W ich stronę galopowały zwierzęta. Wielkie jelenie lub nawet łosie – i coś jeszcze, co brzmiało jak całe stado mniejszych kotów

sztyletozębnych, takich jak ten, który zaatakował je kilka dni temu. Zwierzęta miały przyciężkawy krok, jakby każde dźwigało jakiś ładunek. Wynoszący mniej więcej tyle, ile waży jeździec.

Łagodny łuk wzgórza nie pozwalał dostrzec, z czym dokładnie przyjdzie im się mierzyć, ale cokolwiek nadciągało, zaraz ukaże się ich oczom. Sofi Tornado spojrzała wokoło. Najbliższą kryjówką pośród falującego oceanu zieleni była kępa drzew oddalona o jakąś milę.

Otworzyła usta do krzyku:

– Owslanki, do mnie!

A grzyboludka Frejdis wrzasnęła:

– Badlandczycy! Całe mnóstwo!

Siedząca na barku wysokiej Chogolisy dziewczynka pierwsza zobaczyła napastników.

– Do mnie! – powtórzyła Sofi.

– Wotanie, do mnie! – zawtórował jej Gruby Wulf.



– Bębny! – zawołał Rappa Hoga, wbijając pięty w boki swojego sztyletozęba i wyrywając naprzód.

Dwunastu bębniarzy dosiadających łosi wydobyło z kotłów złowróżbny ton, z początku cichy, tak że rytm zmieszał się z tętentem kopyt i człapaniem łap, lecz prędko osiągający ogłuszające apogeum.

Oddziały sztyletozębów zwiększyły tempo, stado łosi rozwinęło obie flanki i runęło naprzód równym cwałem.

Tansy Burna poczuła, że ogarnia ją znajomy strach zmieszany z bitewnym szałem.

– No dalej! – wrzasnęła do swoich ludzi, popędzając wierzchowca do biegu. Kot rzucił się naprzód i Tansy pomknęła przez równinę, szybciej, niż większość śmiertelników odważa się marzyć, otoczona przez podobnych do niej jeźdźców, którzy parli przed siebie, nie mogąc doczekać się rzezi. Raptem u jej boku znalazło się pięciu innych wojowników, uzbrojonych w kije, łuki z ogłuszającymi maczugostrzałami na cięciwach i łapisiatkami w rękach. Po ich ustach przemykały ochocze uśmiechy.

Za nimi szła wśród huku kopyt jazda wielkich łosi o rozłożystych

porożach. Niektórzy jeźdźcy ściskali łuki, inni mieli wetknięte pod pachy więzikię, pętle na długich drzewcach, jeszcze inni już parami rozpinali między sobą łapisiatki na jeńców. Dalej gnały Puste Dzieci na swoich wielkorogich owcach – nadspodziewanie szybkich zwierzętach, które potrafiły dotrzymać tempa rozpędzonym kotom czy łosiom. Puste Dzieci przydzielono do oddziałów bojowych, w razie gdyby któraś z bestii dostała szau i rzuciła się na kogoś ze swoich.

Tansy otarła łzy, które pęd wycisnął jej z oczu. Chmary ptaków wzbijały się w powietrze, a zwierzęta uciekały przed mknącymi jeźdźcami. Zwiadowca Nya Muka doniósł, że grupa liczy siedemnaście poruszających się pieszo osób, w tym dwoje dzieci. Czeka ich nie lada zaskoczenie, gdy zobaczą, że przez Morze Traw sunie na nich setka wojowników.

Byli coraz bliżej szczytu wzniesienia. Już za chwilę ich dopadną. Tansy mocniej ścisnęła wierzchowca udami. Chciała nacieszyć oczy widokiem ich przerażonych min.

– Strzelajcie tylko do łuczników! – polecił Rappa Hoga, uchylając się przed pierwszą wrażą strzałą.

Tansy Burna drżała z podniecenia. Do ataku!



Wotanie popatrzyli po sobie, niektórzy z ekscytacją malującą się na twarzach, inni zdjęci strachem. Niewidoczne zza trawiastego wzgórza bębny, kopyta i łapy łomotały coraz głośniej. Huk narastał z każdą chwilą. Ziemia drżała, drżało powietrze.

– Co to jest, do kurwy nędzy? – zaklął Eryk Złośnik, z rozpędu przechodząc na dialekt lakchański.

– Jak ty mówisz, Eryku Złośniku! – ochrzaniła go Frejdis.

– Stado bizonów – orzekł Kif z taką nonszalancją, jakby to motyl leciał w ich stronę.

– Nie, Kifie Berserku – poprawiła go dziewczynka. – To Badlandczycy.

– Thyri, Kif, Bjarni, Eryk, formacja małego prosiaka – rozkazał Wulf. Podobnie jak Kif, nie zdradzał większego zdenerwowania, niczym nestor rodu rozsadzający członków rodziny podczas kolacji. Eryk był pod wrażeniem. Spędziwszy wiele lat wśród ekspresyjnych Lakchanów,

zapomniał już, jak ważne było dla Harowian, by w obliczu niebezpieczeństwa zachowywać niezmałony spokój. Lub przynajmniej udawać.

Thyri Drzewonoga podbiegła i zajęła pozycję, już trzymając w rękach długi saks i tarczę. Pokazała wszystkie zęby w uśmiechu. Eryk nie widział go wcześniej.

– Sassa – podjął Wulf – dziesięć kroków na południe i łuk w gotowości. Finnbogi i Gunnhilda, stańcie po jej bokach. Bodila, ty i dzieci schowajcie się w trawie dziesięć stóp za Sassą.

Eryk pobiegł przez wysoką trawę, by zająć pozycję obok Thyri. Pięćdziesiąt kroków na północ owslanki zgrupowały się wokół Sofi. One stoczą swoją własną bitwę. Najwyraźniej nie uznawały wartości bojowej Wotan i właściwie trudno było mieć im to za złe. Ale czy nadciągający napastnicy mogą żywić nadzieję na to, że dorównają w boju calnijskim owslankom? Sądząc po odgłosach, wrogów było wielu.

Za plecami wojowników kuczał w trawie Yoki Choppa, pochylony nad swoją alchemiczną miską. Z miejsca, w którym stał Eryk, czarnoksiężnik wyglądał, jakby postanowił przed bitwą pozbyć się zbędnego balastu.

Eryk miał wiele szacunku dla magii. Nabrał go, obserwując owslanki w akcji. Był wdzięczny losowi za swój – ograniczony – dar porozumiewania się ze zwierzętami, ale zaawansowana alchemia wymagała ręki sprawnego czarnoksiężnika, nadzwyczaj dobrze wyszkolonych wojowniczek oraz długich lat szlifowania magicznych umiejętności. Nie można było ot tak wyczarować zaklęcia z miski i zabić za jego pomocą przelatującej jaskółki, a co dopiero przyjąć na siebie moc tak wielką jak ta, którą wypełnione były calnijskie wojowniczeki. Chyba że Eryk nie wiedział czegoś o Yokim Choppie. Ostatnimi czasy los co rusz płatał Wotaninowi figle. Może ten cały Yoki Choppa zaraz wyczaruje ze swojej miski tysiąc smoków, które będą za nich walczyć? Albo zakpi sobie z nich wszystkich, obficie się wypróżniając?

Thor mu świadkiem, że smoki by się przydały. Zgiełk i tumult kazał przypuszczać, że sunie na nich cała armia.

Eryk mocniej osadził stopy w gruncie. Jego ciężka maczuga, Najlepszy Przyjaciel Indyka, była w jego rękach lekka jak gałązka. Patrzył przed siebie, na poły przerażony, na poły zafascynowany, gotując się do walki

na śmierć i życie.



Sitsi Pustułka wypuściła strzałę, gdy tylko pierwsza głowa wyłoniła się z za linii wzgórza. Tak jak się spodziewała, mężczyzna zrobił unik, ale ona zdążyła już wystrzelić cztery kolejne o kamiennych grotach, celując w miejsce, gdzie za ułamek sekundy znajdzie się wierzchowiec napastnika. Zwierzęta nie były już tak biegłe w sztuce uników. Słyszała, że Badlandczycy jeżdżą do bitew na grzbietach wielkich bestii. Nigdy do końca w to nie uwierzyła, ale skoro Sofi Tornado zaklinała się, że to prawda, najwidoczniej tak właśnie było, bo dowódczyni nie myliła się nigdy.

Jeździec, zwałisty olbrzym, szarpnął wodze, a zwierzę zarzuciło zadem w prawo. Pociski Sitsi chybiły. Niemal zapomniała napiąć cięciwy, gdy dostrzegła, co to było za zwierzę. Sztyletozębny kot. A za nim kolejni wojownicy, każdy dosiadający swojego. Z osłupienia wyrwała ją salwa lecących w jej stronę strzał.

Niełatwo zrobić unik przed tyloma pociskami naraz. Była to jej ostatnia myśl, nim dostała w głowę i padła na ziemię.



Finnbogi Zbuk stał z toporem Sofi Tornado w garści i rozdziawioną aż do ziemi gębą. Widział mężczyznę na wielkim kocie, który wyskoczył właśnie z za krawędzi wzgórza, a za nim kolejnych zbirów dosiadających olbrzymich bestii. Dawniej w Harówce, zanim jeszcze stali się Wotanami, fantazjował o upolowaniu takiego kota, żeby zaimponować Thyri. Teraz, gdy stanął oko w oko z wieloma takimi potworami, rozumiał już, że nigdy by tego nie dokonał.

Nie były wiele mniejsze od bizona, miały żółtawe futro z brązowymi plamami i absurdalnie wielkie, długie na stopę i wystające z górnej szczęki poza linię żuchwy kły, nieco podobne do sztyletów. Zgoła niepraktyczne, rzuciło mu się na myśl. Jak one przeżuwają? Finnbogi zastanawiał się, czy...

Jedna z owslanek padła na ziemię. Ta wielkooka łuczniczka, Sitsi

Pustułka.

Zabili owslankę! No to mamy przejebane.

Podczas gdy on stał jak słup soli, Sassa zdążyła wypuścić trzy strzały.

W jej stronę pofrunęło o wiele więcej. Gryziwarga zwała się na ziemię.

Finnbogi przypadł do gruntu obok niej. Była ranna w głowę, ale krew tylko się sączyła, więc chyba nie odniosła poważniejszych obrażeń. Odgarnął jej włosy na bok. Mrugnęła swoimi zadziwiająco niebieskimi oczami i ułożyła usta w charakterystyczny grymas.

– Nic mi nie jest – powiedziała, siadając. Dotknęła ręką rany. – Oj, w dupę bizona, może jednak jest. – Osunęła się z powrotem na ziemię.

– Obuchowe groty – powiedziała Gunnhilda, podnosząc jedną ze strzał, które posłał w ich stronę przeciwnik.

Pomyślane tak, żeby ogłuszać, nie zabijać, główkował Finnbogi. A niektórzy z atakujących mieli siatki. Nie trzeba być mędrce, żeby wiedzieć, co się święci. Badlandczycy chcieli ich wziąć żywych. Ale po co? Trudno mu było znaleźć dobry powód. Przełknął ślinę. Bo znalazł całą masę złych.

– No dobra – rzekła Gunnhilda, patrząc na niego, wsparta na swojej wysadzanej klejnotami trzepaczce do ubrań przechrzczonej na Skrælingotrzepa. – Niechaj przerażenie jednych doda odwagi drugim.

– Nie jestem przeraż... – zaczął Finnbogi, ale jego ciotka już rzuciła się na horde jeźdźców, sadząc nadzwyczaj sprężyste kroki, jak na kobietę po czterdziestce. Czy już po pięćdziesiątce? Finn nie pamiętał. Jak to w ogóle jest być sędziwym, pięćdziesięcioletnim dziadem?

To zabawne, jak w chwilach zagrożenia jego głowa wypełniała się błahostkami. Tak błahymi jak przykładowo myśl o tym, że błahostki wypełniają jego umysł w chwilach zagrożenia.

Mały kamienny toporek, który otrzymał w zamian za swój miecz, na niewiele się zda w walce z tymi bestiami i dosiadającymi ich siepaczami. Spojrzał na leżący u jego stóp łuk Sassy. Żaden był z niego łucznik, ale gdyby tak poczekał, aż się zbliżą... Tak, jasne, kogo on próbuje nabrać?

Setki wojowników na łośiach i sztyletozębach przesadziły wierzchołek wzgórza. Ci mieli jeszcze większe siatki.

Gunnhilda doskoczyła do jednego wielkiego kota i zamachnęła się

obuchem. A jeździec palnął ją kijem w głowę i obalił na ziemię.

Byli bez szans. Wróg miał przewagę liczebną, a oni nie mieli się nawet gdzie schować. Finnbogi wolał już dać się złowić w siatkę, niż dostać w łeb strzałą lub kijem. Stał więc i czekał, aż go złapią.



Sofi Tornado patrzyła, jak Gunnhilda rzuciła się, wymachując swoją bronią, na oddział Badlandczyków. Oczywiście natychmiast padła. Naprawdę powinna była podziękować starej kobiecie za te worki na mięso.

– Trzymać szyk – poleciła swoim wojowniczkom.

Wysłuchując się w narastający łomot bębnow i czekając na pojawienie się wroga, Sofi czuła budzący się bitewny szal, zaprawiony nutką frustracji i wielką domieszką łaknienia zemsty. Gdyby Yoki Choppa specjalnie nie zniszczył zapasu magicznego mięsa, usłyszałaby nadciągającą armię z dużym wyprzedzeniem, mieliby więc dość czasu, by uciec lub znaleźć dogodniejsze miejsce do obrony. Choćby to skupisko drzew o tam. Z pewnością lepiej niż otwarta preria sprawiłoby się w charakterze ostatniej reduty garstki wyszkolonych piechocińców walczących z przeważającą liczebnie jazdą.

Nieustanne gadanie Bodili również opóźniło moment, w którym Sofi usłyszała wroga. Kiedy już będzie po wszystkim, polecą głowy!

Lecz gdy tylko jej oczom ukazał się przeciwnik, złość i frustracja ustąpiły pod naporem bitewnej euforii. Słyszała od kogoś, że da się jeździć na łosiach, ale jeszcze nigdy nie widziała podobnego wyczynu na własne oczy. I nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, by dosiąść sztylotozębnego kota, ale, na płonące dupsko Innowaka, cóż za genialny pomysł!

I jaki wspaniały przeciwnik. Najeźdźcy pochodzili z Badlandów – tyle wiedziała na pewno – i najwidoczniej chcieli ich pojmać, a nie pozabijać. I to okaże się ich zgubą, jeśli wszystko pójdzie po jej myśli. Owslanek było tylko pięć, a ich od cholery i ciut.

Strzała wbiła się w ciało Sitsi, która zwała się na ziemię.

Już nie pięć, lecz cztery.

Sofi zobaczyła, że Sassa też oberwała strzałą, a potem salwa ustała.

Domyśliła się, że Badlandczycy chcieli w pierwszej kolejności zdjąć łuczniczki, bo na razie tylko one stanowiły zagrożenie. Ta pewność siebie bardzo jej się nie podobała.

Sztyletozębne koty prawie już ich dopadły. Jeźdźcy wznieśli broń.

– Owslanki – powiedziała – szyk luźny. Do ataku!



Paloma Widłoróg puściła się biegiem na grupę sześciu sztyletozębów, których jeźdźcy wzięli na cel gromadę Wotan. Ruszyła im z pomocą nie dlatego, że taka była miła, tylko dlatego, że pomagając im, pomoże wszystkim. Ich nowi sprzymierzeńcy nie byli tacy źli, jak twierdziła Sofi. Owszem, w porównaniu z owslankami grzyboludy były mniej więcej tak użyteczne w bitwie jak wór kijanek, ale każdy hirdman był lepszym wojownikiem od przeciętnego szmaciarza, których masakrowały w przeszłości, nawet się nie męcząc. Choć Wotanie nie stanowili wyzwania dla zbirów na sztyletozębnych kotach, Paloma oceniła, że powinni poradzić sobie osobno z kotami i uziemionymi jeźdźcami, zwłaszcza że Badlandczycy brylują raczej w walce z grzbietu.

A więc gdy poszły w ruch siatki i włócznie, pobiegła naprzód z zamiarem zrzućcia wrogów z ich wierzchowców i ułatwienia wszystkim zadania.

Złapała pierwszego za kostkę i szarpnęła, tak że stoczył się po grzbiecie kota na ziemię, po czym uniknąwszy ciosu wielkiej, pazurzastej łapy, dała susa i wbiła swój kostur w oko kolejnego wojownika. Zanim ten dotknął ziemi, ona już wirowała w piruecie, następnie odbiła się od zadu zwierzęcia, wykonała salto i z mocą kopnęła obunóż w pierś kolejnego przeciwnika. Zwalając go z wierzchowca, jednocześnie odbiła się mocno i pofrunęła do tyłu, obracając się w powietrzu, by następnie przyładować kosturem w łeb sztyletozębowi, który zarył o ziemię dwie stopy od niej, gdy lądowała bezpiecznie na nogach. Ciosem na odlew dobiła skołowanego jeźdźca.

Usłyszała wołanie Grubego Wulfa, nim jeszcze zabity Badlandczyk upadł na ziemię.

– Naprzód!

Domyślił się, co zamierzała zrobić, i zareagował od razu. Dobry

początek.

Później zastanawiała się nad tym, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby nie zawahała się wówczas przez swoją próżność.

Odszukała wzrokiem kolejną ofiarę, dosiadającą sztylotozęba kobietę o żółtych oczach, która pędziła na nią, trzymając pięść przy ustach. W tej pięści znajdowała się krótka dmuchawka, z której właśnie wystrzeliła. Od nagiego brzucha Palomy strzałkę dzieliło raptem kilka cali. Owslanka nie zdołała się uchylić. Pocisk wbił się w jej ciało i tak został, pierzysko zadrżało od impetu.

– Ciekawe, czy jest zatru... – zdążyła jeszcze pomyśleć, nim świat zawirował wokoło, przyprawiając ją o mdłości, po czym zwała się na ziemię.



Mało brakowało, pomyślała Tansy Burna, okręcając swojego wierzchowca, gdy do jedyne go ocalałego jeźdźca z jej oddziału dołączyło sześciu kolejnych. Zastanawiała się, z jakiego zwierzęcia czerpie moc ta calnijska kobieta, poruszająca się tak niesamowicie szybko. Badlandzcy owslanie również byli niesamowicie szybcy, ale ona biła ich na głowę. Tansy zdusiła przypływ ekscytacji – w końcu powaliła wzmocnioną alchemiczną magią wojowniczkę, a zwykłym ludziom rzadko się to udawało – i skupiła się na swoim zadaniu.

Jej oddział został pokonany. Nie było w tym ujmy, w końcu mierzyli się z nie byle kim. Tamci bladzi wojownicy radzili sobie całkiem nieźle, choć nie byli wspomagani magią. Wyglądali za to dość dziwnie, niektórzy zafarbowali włosy na żółto. Zwłaszcza tamta nieco przysadzista, ale bardzo sprawna kobieta o trochę ciemniejszej skórze okazała się szczególnie skuteczna w boju. Jednym uderzeniem rękojeści tego swojego przydługiego noża pozbawiła przytomności sztylotozęba, a potem poważnie raniła jeźdźca. Teraz wyprowadzała ostateczny cios. Tansy Burna trafiła ją strzałką i kobieta zwiotczała w pół uderzenia, po czym padła na ziemię. Ranny jeździec podziękował Tansy uniesioną dłonią.

Kolejny przeciwnik – uderzająco szpetny mężczyzna z obandażowaną głową – cudem wywinął się siatkarzom i zdjął obydwu za pomocą

swojego topora o długiej rękojeści i masywnym obuchu. Już rozglądał się za trzecim. Tansy wpakowała mu strzałkę w szyję.

Pozostała trójka, prawie dorównująca wzrostem Rappie Hodze, została schwytana i poskromiona. Reszta – dwójka dzieci i kobieta z rozdziawionymi ustami, której walka ewidentnie była obca – robili wrażenie niegroźnych.

Tansy przeskoczyła wzrokiem do drugiej grupy wrogów, Calnianek, i ujrzała, jak gigantycznych rozmiarów babsko wysadza jeźdźca z siodła, a potem łapie łosia za zadnie nogi i machając nim nad głową, przypuszcza szturm na gromadę sztyletozębów zwartych w boju z jej przyjaciółkami.

Tansy była szczęśliwa, że ruszyła do walki na prawej flance.

Obok olbrzymki zobaczyła kolejną kobietę, która właśnie zamachnęła się na sztyletozęba pięścią. Tansy niemal się roześmiała, widząc ten komiczny popis odwagi. Zupełnie jakby Calnianka była w stanie zrobić mu coś gołą dłonią! Ale Tansy przeszła ochota do śmiechu, gdy kot złożył się wpół i znieruchomiał na ziemi, a kobieta celnym ciosem prawie urwała głowę dosiadającemu go wojownikowi.

W tym samym czasie trzecia Calnianka skakała po polu bitwy jak fryga, wyprowadzając serie śmiertelnych cięć nożem, jeszcze dłuższym od tego dzierżonego przez przysadzistą, bladą kobietę. Broń była tak długa i cienka, że nie mogła się nie złamać, napotkawszy większą przeszkodę. Ale klinga trzymała się świetnie, naznaczając ciała kotów i jeźdźców wielkimi, ziejącymi ranami.

Z odsieczą przybył oddział łosich jeźdźców z łapisiatkami i dmuchawkami. Zwaliste kobiecisko i jej koleżanka o nokautującym ciosie szybko zostały obłaskawione. Ostatnia wojowniczką uniknęła frunących w jej stronę strzałek i dalej bez litości rżnęła Badlandczyków swoim długim nożem. Jeźdźcy otoczyli ją. Kobieta radziła sobie świetnie, ale Tansy wiedziała, że nawet napełniona magiczną energią, będzie w końcu musiała ustąpić pod naporem przeważających sił.

Potyczka miała się ku końcowi.

Tansy Burna objechała pole bitwy. Zrobiła, co do niej należało. Jej oddział poskromił magiczne wojowniczkę i jeszcze dwójkę wrogów. Póki walka nie ustanie, Tansy będzie pilnować, by ta blada kobieta na tyłach

nie umknęła gdzieś z dziećmi.



Sofi Tornado skoczyła i obróciła się w powietrzu... i znowu oberwała kijem. Po raz kolejny źle wymierzyła odległość i zareagowała zbyt wolno. Usłyszawszy dźwięk dmuchawki, rzuciła się naprzód do samej ziemi, wylądowała na rękach, wykonała przewrót i stanęła na nogach, szukając wzrokiem następnego wroga.

Dowódca Badlandczyków zlął ze swojego sztyletozęba i stanął naprzeciwko.

Pozostali wojownicy odciągnęli swoje wierzchowce, robiąc miejsce na pojedynki. Sofi rozejrzała się. Chogolisa leżała twarzą do ziemi, kilka strzałek sterczało z jej pleców. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że chcą ich wziąć żywych, założyła, że to strzałki usypiające, a nie zabijające. Jutrzenka próbowała pięściami zerwać z siebie cztery czy pięć siatek, które zarzucili na nią jeźdźcy na łośiach. Yoki Choppa leżał nieprzytomny, odkąd oberwał kijem w początkowej fazie potyczki.

– Jestem Rappa Hoga z Badlandów, kapitan Wędrowca Równin i dowódca oddziału łowców – powiedział olbrzym.

– Ja jestem Sofi Tornado z Calnii.

– Dobrze walczyłaś.

Zmrużyła oczy. Nie tak dobrze, jak powinnam, pomyślała.

– Walczyłam? Ja dalej walczę – powiedziała.

Rappa Hoga trzymał w ręku wielki topór o bliźniaczym obsydianowym ostrzu, lśniącym na podobieństwo leśnego stawu, w którym przegląda się rozgwieżdżone niebo. Godny przeciwnik dla znakomitego miecza Finnbogiego.

Mężczyzna i kobieta zaczęli krążyć wokół siebie z bronią gotową do uderzenia.

Rappa Hoga był wyższy i cięższy od Eryka, największego z grzyboludów, ale jakieś dziesięć lat młodszy i szczuplejszy. Głęboko osadzone czarne oczy mieniły się tak samo jak ostrze topora. Miał twarz o wyraźnych, symetrycznych rysach, skórę ciemniejszą od reszty Badlandczyków, ale gładką, pełne wargi i kanciastą żuchwę. Był wręcz rozpraszająco piękny.

Wydawał się także sprawnym wojownikiem, choć to mało powiedziane, bo w jego oczach błyskała niezachwiana pewność siebie, ale nie dufna zaczepność głupców, których wraz z dziewczynami masakrowała na placu Innowaka. Widział, co potrafi Sofi – która nie była w formie, ale i tak walczyła lepiej niż ktokolwiek inny – a mimo to postanowił rzucić jej wyzwanie. A więc wiedział coś, czego ona nie wie. Sofi wołała, kiedy jest odwrotnie. Niech wszystkie demony porwą wszystkich zdradliwych czarnoksiężników!

Zamknęła oczy i wyteżyła słuch, chcąc usłyszeć jego ruchy.

Jego lewa stopa poruszyła się, potem prawa. Nie pomagało to, że był w tak daleko posuniętym negliżu, ale i tak usłyszała mięśnie ocierające się o jego skórzaną przepaskę i wiedziała, że składa się do ataku.

Runął na nią z prędkością błyskawicy.

Uchyliła się, okręciła, zamachnęła mieczem... a on złapał ją za nadgarstek. Zamachnęła się drugą ręką. Tę też złapał. I jeszcze się uśmiechał. Kopnęła go, celując w krocze, ale on trzymał ją na długość ramienia, więc noga nie dosięgnęła celu. Czują się jak karczone dziecko.

– Strzałka – rozkazał ze spokojem, trzymając Sofi w nieustępliwym uścisku.

Tornado kopała jak oszalała, próbowała się wyrwać. Nagle coś trafiło ją w dolną część pleców. Idealna twarz przeciwnika oddaliła się, a później przybliżyła. A potem zapadła ciemność.



Finnbogi wyjrzał z trawy.

Hird został pokonany! Ci dranie powalili Thyri! Prawie wyskoczył z kryjówki, by ją pomścić, ale się powstrzymał. Nic bym nie zdziałał, tłumaczył się sam przed sobą. Jest ich zbyt wielu. A przecież powierzono mu ważne zadanie obrony dzieci.

Zresztą miał teraz własne problemy.

Skrælińska kobieta prowadząca wielkiego sztyletozęba wokół pojmanego hirdu zbliżała się do niego, Bodili, Ottara i Frejdis.

Emanowała zwierzęcą gracją i siłą. Swobodna niedbałość ruchów była tylko pozorna i Finnbogi wiedział, że kobieta jest gotowa do walki. Była parę lat starsza od niego, nosiła skórzaną spódnię i białą bawełnianą

koszulę – ubranie podobne do tego, które sam miał na sobie. Jej twarz zdobił uśmiech, a spojrzenie żółtych, przenikliwych oczu wywołało zdecydowaną reakcję w łędźwiach Finna. Ten wzrok przypominał mu spojrzenie Hrolfa Falenia, gdy ten gapił się na Sasse lub Thyri. Z tą różnicą, że gdy patrzyła ona, nie zbierało mu się na mdłości, lecz na coś zgoła innego.

Ottar pisnął, gdy ujrzał zmierzającą w jego stronę bestię. Frejdis, chyba po raz pierwszy w życiu, wyglądała na skrajnie przerażoną. Bodila wstała i zasłoniła dzieci własnym ciałem. Wyciągnęła przed siebie nóż.

Finnbogi skoczył na równe nogi i pobiegł w kierunku kobiety.

Kot zauważył Finna. Jego oczy mówiły: „Jak cię drapnę, skończysz w plasterkach”.

Staął na tylnych nogach i zamachnął się łapą. Finn odskoczył, po czym rzucił się naprzód i złapał jeźdźca w pasie. Kobieta obsypała go ciosami, chłopak zachybotał się na nogach i odleciał do tyłu, ale nie puścił. Zwalił się na ziemię, przygnieciony jej piersiami. Rozważał ugryzienie jej, ale zaraz uznał to za czyn niegodny bohatera, więc zaczął się z nią szamotać, chcąc znaleźć się na górze. Może i by się udało, gdyby nie to, że wtoczyła mu pięść w bok głowy, a potem zaczęła wić się w jego objęciach jak piskorz. Nie minęły dwa uderzenia serca, a siedziała na nim, blokując mu ręce nogami.

Uśmiechnęła się, błysnęła żółtymi oczami jeszcze bardziej zalotnie niż poprzednio, a potem przygrzmociła mu pięścią w podbródek. Zamrugał, chcąc przepędzić gwiazdy spod powiek, a ona znowu uniosła pięść. Czy ma zamiar tłuc go do utraty przytomności? Bo wszystko na to wskazywało. To nie było bezbolesne złapanie w sieć, na które miał nadzieję.

Wydobył rękę spod jej nogi, zablokował uderzenie, a potem z gardy przeszedł płynnie do ciosu. Zrobiła unik, uwalniając w ten sposób jego drugą rękę. Zamachnął się na nią, spostrzegając ku własnemu zaskoczeniu, że palce wciąż ma zaciśnięte wokół trzonka topora Sofi. Kamienne ostrze wbiło się w mostek kobiety. Żółte oczy rozwarły się na pełną szerokość, a potem Badlandka upadła na bok nieprzytomna.

Finnbogi przyskoczył do dzieci, chcąc otoczyć je ramionami, ochronić.

Nieopodal jeźdźcy sztyletozębów wiązali Kifa, Wulfa, Bjarniego, Thyri i Eryka. Wszyscy byli albo nieprzytomni, albo martwi. Kawalek dalej inni wojownicy robili to samo z powalonymi owslankami. Jakiś potężny Badlandczyk przyglądał się niedającej znaków życia Sofi Tornado, trzymając ją w powietrzu za nadgarstek, jakby był wędkarzem oceniającym połów.

Oni pokonali owslanki!

W ich kierunku jechała na dziwnych, przypominających wielkie kozy zwierzętach szóstka łysych dzieci. W całej tej plejadzie niecodzienności właśnie one były najbardziej niecodzienne.

– Już dobrze – powiedział Finnbogi do Bodili, Ottara i Frejdis. – Już po wszystkim. Byliśmy już w gorszych tarapatach.

Wtedy spostrzegł ich jeden z napastników. Wykrzyczał rozkaz i grupa sześciu sztyletozębów poczłapała w ich kierunku.

– Naprawdę? – zapytała z powątpiewaniem Frejdis.



Rozdział 5

PAJĄKI BEEBA

Utrzenka już nie spała, ale oczy wciąż miała zamknięte. Zorientowała się, że jest związana w pozycji pionowej. Sprawdziła więzy. Trzymały mocno. To jej wina. Powinna była przewidzieć, że ją złapią, i zamiast bić się z wierzchowcami – skupić się na jeźdźcach.

Słyszała odgłosy i czuła zapachy ludzi i zwierząt, zwłaszcza grzyboludów, sztyletozębnych kotów, łosi, bizonów i... gołębi, jeśli się nie pomyliła.

Obróciła głowę i rozchyliła lekko powieki, tak jak robiła to jako mała dziewczynka, gdy nie chciała, by służba zobaczyła, że już nie śpi.

Co tu się...?

Zapomniała się i wybałuszyła oczy.

Tkwiała przywiązana do drewnianej ramy. Naokoło rozciągało się we wszystkie strony Morze Traw, złotozielone i zamazane poranną mgłą. Przed sobą widziała rozległą łąkę wyjedzonej przez bizona trawy, a dalej wierzchołki stożkowatych namiotów ze skóry, w których musiało mieszkać jakieś wędrownie plemię. Wszędzie było pełno Badlandczyków i ich zwierząt. Jak dotąd nic nadzwyczajnego. Tylko że w dali ponad osadą majaczył kształt jakiejś olbrzymiej drewnianej konstrukcji. Z początku pomyślała, że to wysoka ściana, ale potem zorientowała się, że nie ma zwartej formy, że jest to raczej płatanina słupów i czegoś na kształt klatek. Tak, widziała zwierzęta w niektórych z nich... Czy tamten niedźwiedź jest biały?

Machina budziła skojarzenie z wielkimi saniami, ale przecież nie mogła nimi być, bo zwierzę, które zdołałoby ciągnąć ją przez niezmiernie połącie trawy, musiałyby mieć siłę tysiąca bizonów i być wielkie jak Góra Słońca. Choć gdyby zsumować siłę wielu zwierząt i gdyby niektóre umiały latać... Nie, wciąż nie udałoby się wprawić jej w ruch. Nieważne, wkrótce dowie się, co to jest.

Rozejrzała się i zobaczyła dwóch grzyboludów związanych jak ona. Drewniane ramy okazały się zwykłymi saniami opartymi o wysoki do piersi słupek. A więc przywleczono ich tu z pomocą łosi. Ale dlaczego podparto?

Próbowała okręcić się, by zobaczyć, kto jest za dwoma mężczyznami. Ujrzała jeszcze więcej sań, ale nie rozpoznała, kto na nich leży. Miała nadzieję, że są tam pozostałe owslanki, a ją umieszczono między dwoma grzyboludami tylko po to, żeby ją wkurzyć.

– Czołem. Miałem nadzieję, że niedługo się obudzisz. Jak się czujesz? – spytał wysoki, ciemnowłosy grzybolud po jej prawej. Bjarni Świński Ryj czy jak mu tam.

Po jej lewej leżał ten ponury, całe szczęście, że wciąż nieprzytomny, więc na razie musiała znosić tylko jednego przygłupa. Nie żeby miała zamiar zaszczycić go odpowiedzią.

– Ja obudziłem się w nocy i dopiero teraz przyciąłem komara – wyjaśnił nieproszony Świński Ryj. – Chyba mam wysoką tolerancję na tę truciznę, którą nasączają swoje strzałki. Dziwne, ale obudziłem się całkiem czysty, jak na tak mocny cios w łeb. A ty jak tam?

– Owslanki, czy mnie słyszycie? – zawołała Jutrzenka.

– Chyba obudziłaś się pierwsza – skonkludował Bjarni. – Po mojej prawej jest Paloma... Palomo Widłoróg!... Tak jak myślałem, wciąż śpi jak dziecko. Ale wygląda dobrze. Wręcz świetnie, powiedziałbym...

– Szlag mnie trafi... – mruknęła Jutrzenka.

– Nie wiesz może, do czego służy to coś?

Teraz zobaczyła, że na szyi grzyboluda zawieszono było na grubym rzemieniu jakieś drewniane pudełko. Ponurak po lewej stronie miał takie samo. Raptem poczuła, że ona również. Nie większe od zaciśniętej pięści, było otwarte od strony krtani. Czują na skórze jakiś dotyk. Nie było to miłe wrażenie.

– Nie wiem, co siedzi w moim pudełku, ale przed chwilą się poruszyło – powiedział Kurza Twarz. – To najobrzydliwsze, co w życiu poczułem.

A więc zawiesili im na szyi jakieś zwierzęta. To by tłumaczyło te dziurki po bokach. Zwężyła powieki. Bardzo nie lubiła, gdy ktoś obwieszał ją zwierzętami bez jej zgody.

– Czujesz swoje?

Nie odpowiedziała. Po zachodniej stronie olbrzymiej konstrukcji podniosła się w niebo, a potem wylądowała chmara ptaków. Tak, teraz Jutrzenka była pewna, że ten zapach to gołębie.

Bjarni próbował podtrzymać konwersację, a ona lustrowała obóz, chcąc uzyskać jakieś wskazówki, które mogłyby pomóc w ucieczce. Stado gołębi co jakiś czas wzlatywało w górę i opadało. Wzdłuż drugiej burty wielkiej budowli ludzie dosiadający łosi pędzili dokądś stado bizonów.



Finnbogi obudził się, zamrugał oczami, a potem jeszcze raz. A więc to, co miał przed sobą, to nie sen.

Czy przeżył ktoś z pozostałych? – zastanawiał się. Czy przeżyła Thyri?

Wokół siebie widział ramy podobne do tej, do której go przywiązano. Próbował dostrzec, kto na nich wisi, ale rozpoznał tylko Gunnhildę i Jutrzenkę.

– Jutrzenko – zwrócił się do niej – widzisz kogoś?

Oląła go.

Po prostu go oląła. Co za niewychowana baba!

– Jutrzenko, słyszysz mnie czy nie?

Brak odpowiedzi.

– Ja cię słyszę! – dobiegł go głos Bjarniego. – Jestem po drugiej stronie Jutrzenki. Ze mną też nie chce gadać. Na pewno ma jakiś powód. Obok mnie jest Paloma, ale jeszcze się nie obudziła. Poza tym nie widzę nikogo.

Bjarni był jakby weselszy niż wtedy, gdy Finn widział go ostatnio.

– Czy ktoś jeszcze odzyskał przytomność? – krzyknął Finnbogi.

Cisza.

Finn rozmawiał o ich położeniu z osobliwie wesołym Bjarnim. Zabawne, pomyślał, co cieszy niektórych ludzi. Na przykład pomimo oparów, w jakich się znaleźli, Finn poznał po żyłce pulsującej na szyi Jutrzenki i okazjonalnych głośnych westchnieniach, że ich rozmowa doprowadza ją do szału, i cieszyło go to niezmiernie. Ignoruj nas dalej, myślał, a zemścimy się, działając ci na nerwy, aż ci ta żyłka pęknie.

W międzyczasie Gunnhilda wróciła do zmysłów. Finnbogi spytał, czy nic jej nie jest, ale tak naprawdę nie słuchał, co mu odpowiedziała. Zamiast tego kontynuował rozmowę z Bjarnim o wszystkim, co mogli zobaczyć.

Uznali, że ta olbrzymia budowla to jakiś rodzaj fortyfikacji, które musiały okalać niewidoczne z ich położenia miasto. Gołębie – a było ich od cholery – mogły być zwierzątkami domowymi, może pełniły funkcję dekoracyjną, a może składano z nich ofiary. Skąd tu, do diaska, tyle bizonów? I kim były te przedziwne łyse dzieci na kozach? Co to za pudełka mieli na szyjach? Dyskutowali wylewnie o wszystkich tych rzeczach, budując wielowarstwowe teorie i zapętając się w wyjaśnieniach, a uwięziona między nimi, coraz bardziej rozeźlona, sądząc po żyłce, Jutrzenka prychała gniewnie.

Oczywiście Gunnhilda musiała wszystko zepsuć.

– Nie ma większego nudziarza niż ten, kto mówi o wszystkim, co przyjdzie mu do głowy.

– Robimy to, żeby wkurzyć Jutrzenkę – szepnął do niej Finnbogi kątem ust. – Bo nie chce z nami gadać.

– Nie dość, że ją drażnisz, to jeszcze nudzisz. Taki jesteś z siebie dumny?

Finn jeszcze przez jakiś czas kontynuował konwersację z Bjarnim, ale cała radość gdzieś uleciała. Dzięki, ciociu, pomyślał z wyrzutem.

Tymczasem doszły do siebie Paloma i Sitsi. A potem pojawili się Badlandczycy dowodzeni przez faceta z wymalowanym na twarzy uśmiechem. Jego pogodne oblicze kazało Finnowi myśleć, że przyszedł ich rozwiązać, wyjaśnić, że zaszła pomyłka, a potem podjąć wystawnym śniadaniem.

Jeszcze nigdy się tak nie pomylił.



Jutrzenka z tak wielkim utęsknieniem wyglądała końca bezsensownej paplaniny tych dwóch idiotów, że niemal ucieszyła się na widok maszerującego w ich stronę wyszczerzonego Badlandczyka w otoczeniu wojowników i innych ludzi, którzy, sądząc po braku uzbrojenia, skwaszonych minach i pudełkach przy szyjach, musieli być niewolnikami. Byli całkowicie posłuszni, choć nie widziała żadnych więzów. Nie podobało jej się to.

Zza ich pleców na owcy o przysadzistych rogach wyjechało łyse dziecko z dużą głową.

Ten uśmiech na twarzy dowódcy, zorientowała się po chwili, wcale nie jest wesoły. To był uśmiech demona, który wylazł spod ziemi z zamiarem utopienia wszystkich ludzi w ich własnych flakach.

– Dzieńdoberek! – przywitał się, wodząc małymi czarnymi oczkami po więźniach. Zimnokrwisty uśmiech rozciągał mu skórę twarzy pokrytą śladami po wypryskach. – Zwę się Chapa Wangwa. Co tak stoicie, siadajcie! O, nie bardzo możecie. Ha, ha, ha!

– Zawsze rzucasz takie drętwe żarty? – wypluła Jutrzenka.

Uśmiech na twarzy Chapy Wangwy jeszcze się poszerzył, gdy szedł w jej stronę. Zajrzał jej głęboko w oczy, błyskając morderczo swoimi. Przesunął palcem po odsłoniętym brzuchu, kiwając głową. Zaszamotała się w więzach, chcąc je zerwać i zmienić tę uśmiechniętą mordę w krwawy siniec.

– Panowie, mamy tutaj masochistkę! – zawołał, cofając się o krok. – Dobrze! Spodoba jej się to, co ją później spotka. Wy wszyscy, którym umknęła nasza przemiła wymiana zdań, ta oto ślicznotka zasugerowała,

że nie pierwszy raz żartuję sobie w ten sposób. I ma rację. Robię to za każdym razem, gdy dostaję nowych więźniów. Za każdym jednym! Zawsze mnie to śmieszy. Ale wiecie, co śmieszy mnie jeszcze bardziej? A to, że wyjąwszy świeżo upolowaną zwierzynę na Wędrowcu, o tam, wszyscy, którzy ten żart usłyszeli, a były ich setki, może tysiące, nie żyją. Wszyscy co do jednego! Czyż to nie zadziwiające? Mało tego, żaden nie umarł śmiercią miłą, łatwą i przyjemną. Ani jeden. Ich ostatnie dni... uch, nawet gadać się nie chce. – Pokręcił głową, ale współczucie było udawane, bo uśmiech nie zniknął z jego wykrzywionej twarzy. – Umierali strasznie. Wielu ubiłem własnoręcznie. Jednemu rozciąłem nogi i kazałem mu patrzeć przez wiele dni, jak robaki zżerają mu stopy, łydki, uda i co tam jeszcze miał. Nierzadko łamałem im kręgosłupy, żeby mi nie wchodzili w paradę, gdy na ich oczach zamęczałem na śmierć ich przyjaciół i rodziny. Śmiechu było co niemiara!

Jutrzenka zadrżała. Od dziecka nie czuła strachu i prawie zapomniała już, jak to jest. Teraz niespodziewanie przypomniał o sobie, wpęłzył po kręgosłupie do mózgu i zaczął się panoszyć. Niech szlag trafi Yokiego Choppę za to, że pozbył się osy tarantulojastrzębiej, która czyniła owslanki nieustraszonymi.

– Moglibyśmy sobie tak gadać i żartować cały dzionek – podjął oprawca – ale pewnie ciekawią was wasze nowe naszyjniki. Ładne, choć chyba nieco drapią? Ha, ha, ha! To mój drugi ukochany żart!

Jak na komendę stworzenie w pudełku na szyi Jutrzenki się poruszyło. Nie zdołała zdusić krzyku, a sądząc po odgłosach naokoło, inni poczuli to samo.

Kąciki ust Chapy Wangwy musiały chyba stykać się na potylicy.

– Myślicie, że sam dotyk jest obrzydliwy? Powinniście zobaczyć, co siedzi w tych pudełkach! Nie jest to miły widok, oj, nie jest. Nazywamy te pająki beeba. Wyobraźcie sobie najohydniejszego, najobrzydliwszego pająka na świecie, dajcie mu większe kły i pomarańczowe futerko, mniej więcej tak wyglądają.

Za nimi największa dotąd gromada gołębi wystrzeliła w zachodnie niebo, a potem niespiesznie osiadła na drewnianym kolosie. Jutrzenka mogłaby przysiąc, że machina uniosła się, gdy ptaki wzbiły się do lotu. Chapa Wangwa wspomniał o jakimś „Wędrowcu”, ale to przecież

niemożliwe, by tak wielkie coś mogło gdzieś powędrować.

– Gdy taki pajęczek człowieka uduzi, uch, dzieją się rzeczy straszne!
– Badlandczyk znowu pokręcił głową. – Ma się rozumieć, mamy nad nimi pełną władzę. Dobiegło mnie przed chwilą dziecięce kwilenie, które dobyło się z waszych gardeł. To dlatego, że Puste Dziecko, które tu widzicie, obudziło pajaka mocą umysłu. – Wskazał łysego malca na owcy. – A teraz słuchajcie, bo to ciekawe. Jak będziecie niegrzeczni, dajmy na to, zaatakujecie mnie lub innego Badlandczyka albo zanadto oddalicie się od Pustego Dziecka, albo zaczniecie gmerać przy naszymi nosami, ukąszą was oba pajaki. Oczywiście wystarczyłby jeden, ale macie tam wepchnięte dwa, na wypadek gdyby jeden zdechł. Sprytnie, co nie?

Jutrzenka zadygotała.

– Zastanawiacie się pewnie, co też się wydarzy, jak pajak was ugryzie. Zaszczypie, jakby użądliła was pszczoła? To chyba nic takiego? Kto by się bał pszczoły? Zapewne odetchnęliście z ulgą, bo ukąszenie pajaka wcale nie przeszkodzi wam w ucieczce, prawda? Otóż nieprawda. Wybaczcie mi, moi nowi przyjaciele, ale beeby są gorsze od pszczół, gorsze od miliona pszczół. Choć z pewnością wszyscy jesteście bardzo inteligentni, zaręczam, że nie macie bladego pojęcia, co się dzieje z człowiekiem ukąszonym przez beebę. Zresztą co ja będę gadał, po prostu wam pokażę. Znaczący nie ja, ale może nasza mała masochistka zechce zademonstrować? No, co ty na to, pięknoto?

Przekrzywił głowę i wwił się wzrokiem w Jutrzenkę, a jego zuchwa zaczęła ruszać się w przód i w tył, jakby wymalowany na jego twarzy uśmiech żył własnym życiem i zapragnął potać się.

Jutrzenka wytrzymała to spojrzenie. Stwór przyczepiony do jej szyi przesunął zjeżonym włosiem po jej skórze.

– Jeśli nie masz ochoty, powiedz tylko „nie, dziękuję, Chapo Wangwo”. A wierz mi, że nie masz ochoty. – Kiwnął ręką, a dziecko na owcy podjechało bliżej. – Szkoda byłoby stracić taką lalunię, ale jeśli to przez arogancję nie chcesz ze mną rozmawiać...

Jutrzenka prędzej skisłaby, niż zrobiła, o co prosi ją ta gnida. Nawet jeśli się boi. Jębać strach i jego też jębać.

– Policzę do trzech, a potem pajak cię ukąsi. No to jedziemy: raz, dwa...



Może i go olała, ale jeśli Finn rzeczywiście chciał, by pająk ją ukąsił, to pragnienie wypływało z najgłębiej ukrytych pokładów prymitywnej mściwości i ślepej ciekawości.

Tylko że wszystko wskazywało na to, że duma nie pozwoli Jutrzence spełnić tej prośby.

– Mądry głupiemu ustępuje! – wypluła Gunnhilda.

– Trz... – zaczął Chapa Wangwa.

– Nie, dziękuję, Chapo Wangwo – wymówiła Jutrzenka głosem, który zamieniłby Słodkie Morze Olafa w bryłę lodu.

– Jakąż mądrość kryje w sobie ta starucha. Choć to niezbyt mądre nazywać mnie głupim. Bardzo mi się to nie spodobało. – Wyszczrzył się złowróźnie, przenosząc wzrok na Gunnhildę.

– Obrażliwe słowa rozguszczą się w twoim domu tylko wtedy, gdy otworzysz drzwi i zaprosisz je do środka – powiedziała.

Finnbogi zagryzł zęby. Czy ona zwariowała? Naprawdę ma zamiar droczyć się z tym sadystą?

– Obrażliwe słowa... – Chapa Wangwa zmieszał się widocznie, choć uśmiech ani myślał zejść mu z warg. Jego powieki rozszerzyły się wolno, gdy dotarło do niego znaczenie słów ciotki. – Ach, rozumiem! Ależ cwane, podoba mi się to! Ktoś może cię zranić tylko wtedy, gdy na to pozwolisz! To od ciebie zależy, czy zasmuca cię szyderstwa innych! Dobrze, dobrze. Szkoda, że sam do tego nie doszedłem, gdy byłem dzieckiem, ale za to od teraz twoje słowa będą moją tarczą. Na razie zachowam cię przy życiu. Później powiesz mi jeszcze coś mądrego.

Finnbogi prawie mu współczuł.

Chapa Wangwa obrócił się do czterech ludzi z pudełkami przy szyjach, których ze sobą przyprowadził.

– Użyjemy... ciebie. – Wskazał łysiejącego faceta średniego wzrostu, mniej więcej w wieku Eryka.

– Nie mnie! – Mężczyzna padł na kolana. – Błagam, zrobię, co zechcesz! Potrzebujesz mnie do identyfikacji zwierząt!

Chapa Wangwa uśmiechnął się do Wotan i owslanek.

– Tego złapaliśmy na samym początku łowów. Nie przedstawiał dla nas zbyt wielkiej wartości, a my nie trzymamy stworzeń

bezwartościowych, więc wymyśliłem, że otworzę mu ten łysy łeb i zobaczę, co ma w środku, ale on przekonał Rappę Hogę, że zna się na zwierzętach. – Chapa Wangwa potrząsnął głową. – Ale kłamał, bo wcale się nie zna! Nie wie o nich więcej ode mnie. Więc przynajmniej posłuży do celów edukacyjnych.

Skinął głową na Puste Dziecko.

– Nieee! Ja... – zaczął mężczyzna i urwał, rzucił się, sięgnął rozcapierzoną dłonią do pudełka przy szyi, a drugą potrząsnął w powietrzu, jakby doszedł do punktu kulminacyjnego jakiegoś skomplikowanego tańca. Wył tak strasznie i tak głośno, że Finnbogi czuł, jak wibrują mu wnętrzności, a potem zassał haust powietrza. Jego twarz zrobiła się czerwona, a następnie wpadła w fiolet. Coś trzasnęło.

Chapa Wangwa podskakiwał na palcach, zacierając dłonie.

– To pękła mu szczęka! Niesamowite, nie?

Złamana żuchwa obwisła mężczyźnie na piersi, wybałuszone oczy wyrażały dzikie, zwierzęce przerażenie i niemożliwy do zniesienia ból. Wstrząsnęła nim seria spazmów, zabrzmiała sekwencja trzasków i zgrzytów, po czym nieszczęśnik upadł na ziemię jak mokre pranie. Jedna noga zastygła wyprostowana pod nienaturalnym kątem za jego plecami, druga, strzaskana w kilku miejscach, leżała zwinięta jak lina.

Chapa Wangwa był w ekstazie.

– A teraz kręgosłup! Rozumiecie to? Kręgosłup mu pękł! To się dzieje za każdym razem, ale dla mnie każdy jest jak ten pierwszy.

Ukąszony przez pająka człowiek skurczył się w coś na kształt piłki ulepionej z płataniny rąk i nóg, jego głowa drgała, wstrząsana skurczami. Chapa Wangwa kucnął przy nim. Pociągnął wzrokiem po Wotanach i owslankach jak straganiarz zachwalający towar, a potem przetoczył skulonego człowieka, rozwinął go, ucałował za włosy i uniósł jego głowę.

– Widzicie jego oczy? – Finnbogi widział. Musiał odwrócić wzrok. – Nie sposób wyobrazić sobie jego agonii, ale wyraz oczu mówi nam co nieco. Poleży tak dość długo, zanim umrze. Oczywiście nie może się ruszać, bo jego kręgosłup jest pogruchotany w dziesięciu miejscach. Wydaje mi się, że to przez raptowne skurcze mięśni i ścięgien, ale pewności nie mam, nie jestem lekarzem. Choć moja profesja to dziedzina pokrewna

chirurgii. – Upuścił głowę mężczyzny i wstał. – Za moment was rozwiążemy. Pójdziecie ze mną na Wędrowca. To ten zdumiewający pojazd, nad którym tak dumacie.

– Dokąd nas zabierasz? – spytała Sofi.

Chapa Wangwa zatoczył oczami koło i utkwił je w owslance.

– To niespodzianka. Na razie postarajcie się nacieszyć podróżą. Powiem tylko tyle, że zajedziemy tam za kilka dni, a jak już się tam znajdziemy... no, postarajcie się nacieszyć podróżą. Aha, i żebyśmy mieli jasność! – podjął, wciąż uśmiechnięty. – Jeśli zaatakujecie mnie lub jakiegoś innego Badlandczyka, jeśli nie wykonacie polecenia, jeśli choć pomyślicie o ucieczce, jeśli spróbujecie zdjąć pudełko, pająki was ukąszą i... – wskazał na drżący ludzki wrak u swoich stóp – zmienicie się w to.



Rozdział 6

WĘDROWIEC RÓWNIN

Ludzie Chapy Wangwy rozwiązali Sofi Tornado. Mogłaby zabić obu. Obok przejechał mężczyzna na sztyletozębnym kocie. Jego też mogłaby zabić, a potem odjechać na jego wierzchovcu.

Zamiast tego stała posłusznie, a po chwili ruszyła z resztą przez obozowisko Badlandczyków w kierunku Wędrowca Równin. Dobrze to wymyślili z tymi pajakami. Może udałoby jej się zerwać naszyjnik, zanim ją ukąszą. Może owślański trening i zmiany, jakie zaszły w jej organizmie pod wpływem alchemicznych eliksirów, uczyniły ją odporną na pajęczy jad. A może skończyłaby z połamanymi nogami, szczęką i kręgosłupem.

Badlandzcy wojownicy, kucharze i słudzy prawie nie zwracali na nich

uwagi, nawet Chogolisa nie wzbudzała takiego poruszenia jak zwykle. Wysoko na pokładzie Wędrowca widziała białego niedźwiedzia w klatce i jeszcze jakieś olbrzymie zwierzę, którego nie znała.

Nie trzeba geniusza, by poskładać wszystko do kupy. Badlandczycy, a przynajmniej ich duża grupa, przemierzali Morze Traw, a chyba nawet i przyległości, szukając ludzi i zwierząt, które warto było zabrać z powrotem do Badlandów. Złapali owslanki i Wotan nie dlatego, że ich szukali, tylko dlatego, że się na nich natknęli i uznali za interesujących. Zupełnie jakby wyprawili się na polowanie, a owslanki były stadem jeleni.

To poniżające. Pokaże im, że nie są jeleniami. Że owslanek nie można schwytać i zawieźć gdzieś wbrew ich woli. Tylko jak to zrobić? Pochwyciła spojrzenie Yokiego Choppy i uniosła brew, jakby chciała spytać: „Czy mam zaryzykować i spróbować zdjąć naszyjnik?”

Pokręcił głową, ledwo dostrzegalnie i bardzo wolno, wylewny jak zwykle. Sofi pokładała wiarę w jego osąd. Zaczeka na właściwy moment.

– Chodź tu! Ty tam, z tyłu. Chodź no tutaj! – zawołał Chapa Wangwa, gdy znaleźli się przy burcie monstrualnego wehikułu. – To ty walczyłaś z Rappą Hogą, a przynajmniej próbowałaś. Ha, ha, ha! Och, alem się uśmieł! – A potem dodał głośnie, by usłyszeli go wszyscy w promieniu stu kroków: – Większość z was nie mogła się cieszyć tym widowiskiem! Rappa Hoga sprął ją, jakby była zwykłą gówniarą. Podejdź tutaj, mała wojowniczo. Jak się nazywasz?

Owslanki i Wotanie rozstąpili się, by dać jej przejść, ale Sofi nie miała zamiaru poddać się rozkazom wyszczerzonego psychopaty, chyba że, ma się rozumieć, akurat wyszczerzony psychopata zasiadałby na tronie Calnii. Zaltan był co prawda psychiczny, ale rzadko się uśmiechał. Stała nieruchomo, mierząc go wzrokiem.

Uśmiech Chapy Wangwy tylko się poszerzył.

– Och, ależ jesteś zła, biedna malutka! Ty! – wskazał Gunnhildę. – Na pewno masz coś mądrego do powiedzenia o złości?

– Gniew jest matką odwagi – wygłosiła Pobożna wyraźnie.

– Nie! Nie tego szukałem. Powiedz coś o tym, że złość jest zła, a nie dobra.

Gunnhilda wzruszyła ramionami.

– Wybacz, nic więcej nie przychodzi mi do głowy.
– Trudno. Ty, wojownicza dziewczynko, chodź tu, powiedziałem.
– Sofi – szepnęła Sitsi Pustułka – proszę cię, rób, jak mówi. Nasz czas przyjdzie i wtedy będziemy cię potrzebować. Gniew jest jak wąż, jeśli będziesz się go trzymać, ukąsi cię.

Sofi podeszła do Chapy, prawie się uśmiechając, bo lubująca się w rywalizacji Sitsi po prostu musiała pokazać grzyboludce, że ona również ma w zanadrzu niejedną mądrą maksymę.

– No proszę, jaka grzeczna. Jak się nazywasz, dziewczynko?

– Sofi Tornado.

– Sofi Tornado! Jak ładnie. Posłuchaj mnie, Sofi. Dostąpisz zaszczytu wejścia na pokład Wędrowca jako pierwsza. Fajnie, co?

Sofi westchnęła i wspięła się po drabinie. Co innego mogła zrobić z tymi przekłętymi pajakami na szyi?



Sassa Gryziwarga wspięła się za owslankami i współplemieńcami, nie wyłączając szopów Ottara, na kolosalny wehikuł. Gruby Wulf zamykał pochód. Dowódczyni owslanek poszła pierwsza, więc wódz Wotan musiał pójść ostatni. Nie żeby było to coś szczególnie istotnego. Po prostu Wulf po raz kolejny udowodnił, że wie, co należy zrobić, i to zrobił.

Sassa odczuła dumę i radość na myśl, że urodzi mu dziecko. A przynajmniej żywiła nadzieję, że urodzi. Dziś rano wymiotowała, poprzedniego ranka też. Z początku uznała, że zatrzymała się rybą. Bjarni złowił jakieś podejrzaną stworzenie, a Sitsi orzekła, że można je jeść. Ale nikt inny się nie pochorował, a potem Sassa nie jadła już nic wątpliwego, a i tak wzięło ją na wymioty.

A więc była w ciąży.

W jej sercu euforia zmagiała się z przerażeniem. Nie czuła się zbyt pewnie, idąc w nieznaną, a na domiar złego uwięzili ich ci przerażający ludzie i miała przyczepione do szyi dwa jadowite pajaki, które w każdej chwili mogły ją ugryźć... Na jaką przyszłość może liczyć mały człowieczek, który rośnie pod jej sercem? Jedno wiedziała na pewno: robi, co tylko w jej mocy, by zachować życie i go urodzić.

Wspinała się po drabinie, widząc nad sobą przysadzisty tyłek Thyri

Drzewonogiej. Na pierwszym poziomie wehikułu składowano klatki ze zwierzętami – niedźwiedziami, lwami i innymi. Zatrzymała się na chwilę, ujrawszy białego niedźwiedzia. Nigdy jeszcze takiego nie widziała, ale przewijał się w opowieściach o podróżach jej przodków ze starego świata.

– Szybciej tam! – krzyknął z dołu Chapa Wangwa. – Zaraz wyruszamy!

Drabina wiodła na szeroką drewnianą platformę wznoszącą się ponad poziom najwyższego dachu w Harówce. Sassa przelazła przez dziurę w burcie i znowu się zatrzymała, zadziwiona tym, co ujrzała.

Nigdy nie widziała na oczy okrętu, ale widziała łodzie i знаła opowieści przodków na tyle dobrze, by wiedzieć, że Wędrowiec jest czymś na kształt okrętu właśnie, a ona stoi teraz na jego pokładzie. Platforma miała kształt zwężonego przy końcach prostokąta, na oko długiego na siedemdziesiąt kroków, szerokiego na piętnaście przy rufie i około trzech w najwęższym punkcie przy dziobie. Wzdłuż boków biegła wysoka do pępka barierka. Badlandczycy kazali Wotanom i owslankom usiąść wzdłuż niej.

Na przedzie jednostki siedziały ze skrzyżowanymi nogami odwrócone do nich plecami łyse dzieci, a nieco bliżej – czwórka ludzi wpatrująca się szeroko rozwartymi oczami w nowo przybyłych. Rozwartymi i owadzimi, odnotowała Sassa. Ich tęczęwki i źrenice były wypukłe. Wyglądali dziwnie, ale ani oni, ani łyse dzieci nie były najdziwniejszą rzeczą, jaką ujrzała na Wędrowcu.

Oparte o barierkę przy rufie siedziało nowe dziwadło – człekokształtny stwór porośnięty rudoczarnym futrem, większy jeszcze od Chogolisy Zadrzyziemi. Grzebał między palcami stóp, marszcząc brew i najwidoczniej mając w głębokim poważaniu, co dzieje się wokoło.

– Szybciej, siadać! – krzyknął jakiś Badlandczyk. – Zaraz ruszamy!

Czy on naprawdę myślał, że ten wielki okręt gdzieś ruszy? No chyba nie!

– Dalej, siadać! Wszędzie, tylko nie przy wielkiej stopie.

– Wielkiej stopie? – zaciekawiał się Wulf.

– To ten wielki kudłacz na rufie. Lepiej trzymać się poza zasięgiem jego długich łap, chyba że szukasz szybkiej śmierci.

Wulf zaprowadził Sassę na wolne miejsce przy czworgu obcych,

trzech mężczyznach i jednej kobiecie, którzy skinęli głowami na przywitanie. Nie wyglądali na wesołów, ale nie mogła im się dziwić. Też mieli pajęczę pudełka przy szyjach.

– Czołem... – zaczęła Sassa, starając się nie gapić na ich rybnie gały. – Skąd jesteście...?

Wulf położył jej rękę na ramieniu i wskazał głową na zachód.

Olbrzymie stado gołębi wzlatywało w niebo, zasłaniając znaczną jego część. Przypomniała sobie dzień, w którym chmara tych ptaków przeleciała nad Harówką, dokumentnie całą obsrywając. Przypuszczała, że skoro Wędrowiec ma zaraz ruszyć w drogę, ktoś przepędził z jego szlaku gołębie.

Wtedy wehikuł drgnął. Sassa złapała się poręczy. Poczowała falę mdłości i jakiegoś pierwotnego strachu, gdy machina zatrzeszczała jak las w czasie burzy, a jej dziób uniósł się w powietrze. Sassa obrzuciła Wulfa spojrzeniem.

Mrugnął do niej.

– No to jedziemy.

Drewno trzeszczało, przód jednostki wciąż się podnosił. Wędrowiec Równin zatrząsł się i... pojechali naprzód. Spojrzała na rozciągającą się w dole równinę. Cała konstrukcja sunęła po trawie niczym wielka łódź niesiona nurtem rzeki, podążając za chmurzyskiem gołębi.

– Jak...? – głowiła się Sassa.

– Wspaniałe, nieprawdaż? – powiedział jeden z obcych z jeszcze bardziej wybałuszonymi oczami. – To wielkie sanie, nic więcej, ale zdumiewające, no nie?

– Czy te gołębie...?

– Zgadza się, ciągną nas za sobą. Każdy z nich jest przywiązany do Wędrowca jedwabną nicią, którą przędą pająki beeba. To te małe gnojki, które mamy w pudełkach. Każdego wieczoru gołębie przedziobują włókna i lecą szukać pożywienia. Gdy wracają na noc, pająki splatają nowe nici i z powrotem przywiązują je do Wędrowca.

– Sporo tu mają do roboty te pająki – skomentował Wulf.

– To za sprawą Pustych Dzieci. To one kontrolują zwierzęta. Nie wiem jak. I nie tylko pająki i gołębie. Zad jednostki wsparty jest na grzbietach bizonów. Nie przepadam za Badlandczykami, ale ta konstrukcja to jest

coś!

– Jak ta machina pokonuje rzeki? – spytała Sassa, nie mogąc oderwać wzroku od równiny. Sunęli naprzód, wiedziała to już, w tempie biegnącego bizona. Pomimo grózb Chapy Wangwy wydało jej się, że to o wiele lepszy sposób na podróżowanie od tarabanienia się piechotą.

– Do uprzęży bizonów i burt okrętu przymocowane są nadmuchane pęcherze – wyjaśnił obcy. – Bizony płyną, gołębie lecą, a wehikuł przepływa na drugą stronę. Ale dość już o Wędrowcu. Powiedzcie raczej, kim jesteście i dokąd zmierzaliście, zanim złapały was te sukinsyny?

– Miałem was spytać o to samo – powiedział Wulf.

– Ale ja spytałem pierwszy! – Obcy uśmiechnął się przyjaźnie.

– Dobra, zdradźcie mi swoje imiona, a ja opowiem wam o nas.

– Zgoda. Ja jestem Ovets. On ma na imię Walex, to jest Sandea, a to Clogan. – Każdy po kolei uśmiechnął się i skinął głową. – Jesteśmy z plemienia Wytrzeszczów.

– Domyśliłem się.

– Jak to?

– No bo... W sensie...

Sassa z trudem powstrzymywała śmiech.

– Nazwę wzięliśmy od naszego boga. Ale jak się domyśliłeś?

– No...

– Ach, już wiem, co próbujesz zrobić. Usiłujesz wydobyć z nas naszą opowieść, zanim zaczniesz swoją! – Ovets zachichotał. – Daj spokój, nie taka była umowa. Ty pierwszy.

– Przeniknąłeś mnie na wskroś. – Wulf zachichotał w odpowiedzi. – Jakieś sto lat temu nasi przodkowie przypłynęli tutaj z za Dzikiego Słonego Morza...

Wulf i Sassa opowiedzieli Wytrzeszczom o Harowianach, którzy stali się Wotanami. Gdy pierwszy raz wspomnieli o Łąkach, Ovets przerwał im:

– Macie na myśli Łąki za Pustynią z Której Się Nie Wraca?

– Tak. Podobno leżą za Lśniącymi Górami i...

– Nie idźcie tam. – Na twarzy Ovetsa po raz pierwszy odmalowała się powaga, wręcz strach. Jego współplemieńcy zdradzali podobne odczucia.

– Dlaczego? – dociekała Sassa.

– Ziemie Wytrzeszczów leżały na zachód od Lśniących Gór, właśnie na Pustyni z Której Się Nie Wraca.

– Leżały? – zapytała Sassa, choć już czuła budzący się u podstawy kręgosłupa dreszcz.

– Jesteśmy jedynymi pozostałymi przy życiu Wytrzeszczami.

– Jak do tego doszło?

– Zaczęło się od nagłej powodzi zimą, zanim jeszcze zaczęły się roztopy. A przecież w tym okresie nie dochodzi do powodzi. Później przyszły lawiny, tornada, potem jeszcze jedna lawina i kolejne powodzie. – Ovets potrząsnął głową, a jego wybałuszone oczy nabiegły łzami. – Nauczyliśmy się żyć w rytmie kataklizmów, unikać niebezpiecznych miejsc i znajdować schronienie. Ale potem przyszły potwory.

– Potwory?

– Olbrzymie osy i wrzeszczące, fruujące bestie o pazurach jak kły sztylotożębów. Roją się po drugiej stronie gór, a słyszałem o jeszcze gorszych stworach... Większych, dzikszych, jeszcze bardziej niebezpiecznych. I o znacznie okropniejszych kataklizmach. My żyliśmy w miejscu osłoniętym od najgorszego, wiele dni drogi od Łąk. Ale im bliżej Łąk się znajdziecie, w tym większym będziecie niebezpieczeństwie.

– Jak daleko było od was do tego miejsca? – spytał Wulf.

– Jakieś pięćset mil.

Wulf spojrział na Sassę.

– Ostatecznie jednak naszą zagładę przypieczętowały nie dzikie zwierzęta czy kłęski żywiołowe, tylko ludzie. Plemię obcych, którzy parli na wschód. Zagarnęli nasze ziemie i kazali nam się wynosić. Było ich więcej i mieli lepsze uzbrojenie. Porzuciliśmy więc nasze wioski i uciekliśmy na wschód. Tylko naszej czwórce udało się pokonać Lśniące Góry. Resztę zabiły wielkie stopy. – Wskazał kudłatego małpoluda na rufie. – Takie jak ten tutaj, ale on musi być strasznie słaby lub chory na umyśle, jeśli dał się złapać Badlandczykom. Bo one zwykle są potwornie silne i złe... i zbyt inteligentne, żeby je zwać zwierzętami. To prawdziwe monstra.

Naczelnik Wytrzeszczów ujął rękę Sassy i zaczął przeskakiwać

wzrokiem od niej do Wulfa.

– Błagam, jeśli Badlandczycy was wypuszczą lub jeśli uda wam się uciec, obiecajcie mi, że zawrócicie, że pójdziecie z powrotem na wschód i zrezygnujecie z tego wariackiego pomysłu, żeby szukać Łąk. Jeśli jakimś nadzwyczajnym zrządzeniem losu wymkniecie się małopodom w Lśniących Górach, i tak zginiecie tego samego dnia, kiedy wasza stopa postanie na Pustyni z Której Się Nie Wraca.

– Nie musicie się martwić Pustynią z Której Się Nie Wraca – wciąż się w rozmowę jakiś głos.

Sassa spojrzała w górę. Nad nimi stał z rękami wspartymi na biodrach uśmiechnięty promiennie Chapa Wangwa.

– A to czemu? – rzucił wyzywająco Wulf.

– Bo wszyscy umrzecie w Badlandach. Ha, ha, ha!



Rozdział 7

PIERWSZA CALNIANKA ZA MATKĄ WODĄ

Labędzia Cesarzowa Ayanna przepłynęła Matkę Wodę w swoim złotym łabędzim czóźnie, wprawionym w ruch ramionami dwudziestu krzepkich wiosłarzy. Za nią sunęły przez wartki nurt dwie kolejne łodzie, wypełnione bębniarzami i trębaczami, którzy nieopisanym jazgotem obwieszczali światu, że oto jedna bogini rzuciła wyzwanie drugiej.

Jej armia stała w ordynku na drugim brzegu: dziesięć tysięcy wojowników, nie licząc kucharzy, krawców, zbrojmistrzów i barwnej zbieraniny rozmaitych rzemieślników, którzy mieli wspomóc kilkusetmilowy marsz przez Morze Traw oraz wojnę z Badlandczykami.

Za każdym razem, gdy nawodna orkiestra kończyła kolejną frazę, wszyscy mężczyźni i kobiety w jej armii kwitowali interwał gromkim „Hooo!”.

Mówiło się, że Calnianie nie przekraczają Matki Wody, ale jeśli już jakiś musiał – postanowiła Ayanna – to niech zrobi to z pompą.

Chippaminka była u jej boku. Głębiej w łodzi stali cesarscy niewolnicy z wachlarzami oraz dogładająca księcia świta trzech nianiek.

Sześciodniowe niemowlę potrafiło jak na razie tylko machać drobnymi rączkami i nóżkami, jęczeć, piszcząć i wrzeszczeć jak armia demonów. I ssać tak mocno, jakby chciało wychłęptać wraz z mlekiem wszystkie jej wnętrzności. Właściwie nie było niczym więcej jak tylko piskliwym robalem, a jednak ku swojemu zdumieniu Ayanna odkryła, że już kocha je nad życie. Nie spodziewała się tak gwałtownego przyływu miłości, ale była gotowa bez mrugnięcia oka oddać życie za synka. No, może jednak z mrugnięciem, bo zanim złożyłaby życie na ołtarzu matczynego uczucia, poszukałaby mniej dramatycznej alternatywy, ale gdyby naprawdę musiała za niego umrzeć – zrobiłaby to z radością.

Nazwała syna Calniar i wszyscy zarzekali się, że to najpiękniejsze imię na świecie. Oczywiście twierdziłiby to samo, gdyby nazwała go Lachociąg, a jednak sądziła, że mówili szczerze. Bo to naprawdę było piękne imię. Jego pełny tytuł – Łabędzi Książę Calniar – ładnie spływał z języka.

Niektórzy zalecali, by zostawiła synka w stolicy, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Chippaminka zajrzała do swojej alchemicznej miski i orzekła, że matka nie powinna się rozstawać z dzieckiem. Dziewczyna była drugą osobą, bez której Ayanna od niedawna nie wyobrażała sobie życia. Nadzwyczaj uzdolniona czarnoksiężnica, co najmniej tak potężna jak Yoki Choppa, była też w odróżnieniu od poprzednika biegła w sztuce cielesnej. Jej zmysłowy rytuał rozpoczynał się masażem z użyciem wonnych olejków, które wcierała w brzuch Ayanny, a kończył na czymś więcej. Innowak mi świadkiem, westchnęła cesarzowa w duchu, ta dziewczyna ma magiczne dłonie.

Młoda kobieta wzięła na siebie więcej obowiązków, niż przewidziano dla głównej czarnoksiężnicy. Nie była oficjalną zastępczynią

zamordowanego Hatha, ale pełniła jego obowiązki: doradzała cesarzowej i brała na siebie wszystkie nużące aspekty władania państwem, na przykład kwestie logistyczne związane ze zgromadzeniem tak licznej armii. Ayanna nie musiała już rozmawiać prawie z nikim, nie licząc Chippaminki i Calniara.

Tak, Ayanna była szczęśliwa. Miała ślicznego małego synka, zdolną i pokorną doradczynię i kochankę, a w dodatku wypowiedziała wojnę Badlandczykom, których zmiażdży i zagarnie Morze Traw dla Calnii i Calniara.

Jedyną chmurką na przejrzystym nieboskłonie jej życia był brak wieści od owslanek. Alchemiczna miska Chippaminki zdradziła, że Yoki Choppa podstępem skłonił je do przyłączenia się do Badlandczyków. Nie sposób było tego ogarnąć umysłem, lecz przecież nie miała powodu, by podawać w wątpliwość jej słowa, a wręcz przeciwnie – ich potwierdzeniem było zniknięcie wszystkich wojowniczek. Poza Luby Zefir oczywiście.

Jak się okazało, Luby odniosła rany i została porzucona przez pozostałe owslanki, zanim jeszcze weszły na terytorium Goachików, a więc ona nie była zdrajczynią. Ayanna posłała po Luby, lecz Chippaminka wyręczyła ją i nadała Luby funkcję prefekta. Jedyna pozostała wojowniczka miała trenować i nadzorować podział armii, której zadaniem będzie, jeśli zajdzie taka potrzeba, rozprawienie się ze zdrajczyniami.

To całkiem sensowne rozlokowanie środków. Ayanna raz jeszcze powinszowała Chippamince trzeźwości umysłu i przedsięwzięcia przemyślanych działań bez zawracania głowy cesarzowej.

Obejrzała się i dostrzegła Luby Zefir na dziobie jednej z płynących w ogonie łodzi z dygnitarzami i generałami. Skinęła jej głową, na co wojowniczka odpowiedziała dość nerwowym machaniem. Prawdopodobnie chciała pogratulować cesarzowej synka. Tak jak pozostałe owslanki, była przyjaciółką Ayanny na tyle, na ile cesarzowa może mieć przyjaciół.

– Chippaminko – zwróciła się władczyni do czarnoksiężnicy.

– Moja cesarzowo? – Dziewczyna uśmiechnęła się służalczo i lubieżnie zarazem.

– Zaaranżuj prywatną audiencję z Luby Zefir, gdy tylko będzie to możliwe.

– Oczywiście.

Wioślarze wiosłowali, nieustrudzenie przyspieszając chwilę, w której Łabędzia Cesarzowa Ayanna postawi stopę na drugim brzegu Matki Wody, w imperium Badlandów.



Rozdział 8 PRZEJAŻDŻKA

Około południa następnego dnia Sitsi Pustułka i Finnbogi zwany Zbukiem siedzieli przy barierce, spoglądając w dal z pokładu Wędrowca Równin.

– Gdyby ktoś powiedział mi rok temu – rzekł Finn – że będę jechał saniami wielkimi jak wioska, niesionymi przez stado bizonów i zaprzężonymi w milion gołębi, z jadowitymi pajakami przyczepionymi do szyi, i rozmawiał z calnijską owslanką setki mil na zachód od Harówki, patrząc na gromadkę łysych dzieci na kozach, podczas gdy obok jadą jacyś goście na sztyletozębnych kotach, chyba bym nie uwierzył.

– To nie kozy – skorygowała Sitsi. – To wielkorogi.

– Wielkorogi? Czemu widzę je po raz pierwszy?

Sitsi powiedziała Finnowi wszystko, co sama wiedziała o wielkorogach: że żyją w górach, że potrafią wlaźić na strome klify i z nich zlaźić, że samce walczą ze sobą, trykając się z rozpędu zakrzywionymi rogami, i jeszcze kilka ciekawostek. To pociągnęło za sobą kolejne wyjaśnienia, bo musiała wytłumaczyć mu, co to są góry, że istnieją formy skalne o wiele większe od klifów, które widział w Sercojagodowym Kanionie i w okolicy Matki Wody, że w różnych krainach żyją różne zwierzęta, przystosowane do panujących tam warunków, i tak dalej, i tak dalej.

Wotanie byli całkiem w porządku, stwierdziła Sitsi. Mili, pomocni, ale na gorące promienie Innowaka, tępi jak dzięcioł na kamiennym słupie. No, może niezupełnie tępi. Głupotą nie jest brak wiedzy, ale brak ciekawości, jak powiedział jej kiedyś pewien nauczyciel. Patrząc z tej perspektywy, Wotanie nie byli idiotami, ale mieli rażące braki w wykształceniu.

Dorastając, Sitsi odbyła wiele pouczających wycieczek. Wiele zwierząt i roślin, których nie widziała w naturalnym habitacie, obejrzała sobie w calnijskich ogrodach, menażeriach i na targowiskach, ostatecznie zawsze mogła liczyć na wyczerpujące opisy nauczycieli.

Wiedziała, że miała wiele szczęścia. Wotanie nigdy nie podróżowali, a Goachikowie nie dawali im nic poza jedzeniem i nie dzielili się z nimi wiedzą o szerokim świecie. Mieli pecha, ale tym bardziej cieszyła Sitsi ich nieposkromiona ciekawość. Zwłaszcza Finnbogi był jak bystre dziecko, które spędziło całe życie samo na Górze Słońca w Calnii i zeszło na dół dopiero po osiągnięciu wieku męskiego. Właściwie nie „jak” dziecko; on dokładnie nim właśnie był.

Wędrowiec toczył się przez Morze Traw pod błękitnym niebem upstrzonym z rzadka drobnymi plamkami białych chmur, płynącymi z południa na północ. Jechali cały poprzedni dzień, zatrzymując się tylko na noc, a potem ruszyli znowu, ciągle i ciągle kierując się na zachód.

Pomimo całego odebranego wykształcenia Sitsi nigdy nie słyszała o maszynie podobnej do Wędrowca Równin. Nigdy nie natrafiła nawet na wzmiankę o tym, że możliwe jest zbudowanie czegoś podobnie

cudacznego. Nie wiedziała też, że Badlandczycy jeżdżą po świecie, polując na ludzi i zwierzęta. Odgadła, że po prostu trzymali to w tajemnicy, a każdy, kto zobaczył ich wielki lądowy okręt na własne oczy, zostawał jeńcem albo trupem.

Pomijając więc to, że mieli u szyi jadowite pająki, że niepokonane owslanki zostały w końcu rozgromione i że Chapa Wangwa stale przypominał im o potwornej śmierci czekającej na nich w Badlandach, ich aktualna sytuacja była wprost fascynująca.

Niekończąca się preria rozciągała się we wszystkie strony. Było na co patrzeć, bo Morze Traw tętniło życiem, ale najciekawszymi spośród wszystkich występujących tu stworzeń były bizona. Sitsi widziała już wcześniej stada tych olbrzymich zwierząt, ale dopiero patrząc z wysoka, zdobyła jakieś pojęcie o ich zatrważającej liczebności. Wczoraj minęli stado, które musiało liczyć z milion osobników. Sunęło na północ kolumną szeroką na kilkanaście bizonów, uciekając przed pożarem prerii, który zasnuł dymem niebo na południu.

Gdy wchłaniała rozciągające się przed nią widoki, próbując dowiedzieć się czegoś nowego i snując nowe teorie, postanowiła wypytać Finnbogiego o plemię Wota.

- Nasi przodkowie przybyli tu zza Słonego Morza Olafa.
- My chyba nazywamy je Dzikim Słonym Morzem.
- Możliwe.
- Czego tu szukali?
- Mieli zastrzeżenia co do sposobu, w jaki byli rządzeni, więc opuścili stary świat w poszukiwaniu nowego.
- A jak byli rządzeni?
- Większość ludzi wiodła naprawdę gówniane życie. Pracowali ciężko, a chodzili głodni, czasem nawet umierali z głodu lub zamierzali na śmierć, żeby mała, ale wpływowa grupa mogła bawić się w zbrojne najazdy, ucztować i się awanturować. Władca mógł zabić twoje dziecko i wyruchać twoje bydło, jeśli tylko chciał.
- Mógł wyruchać moje bydło?
- Może przesadziłem, ale właściwie to tak. Mógł robić wszystko, na co miał ochotę. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo nie słuchałem zbyt uważnie opowieści starszych.

Sitsi wyciągnęła z młodzieńca ile tylko się dało o historii Wotan. Nie trwało to długo. A potem uznała, że skoro nie dowie się od niego zbyt wiele, równie dobrze on może dowiedzieć się czegoś od niej.

– Jeśli chcesz, podzielę się z tobą moim najnowszym odkryciem dotyczącym bizonów.

– Pewnie, że chcę! – powiedział Finnbogi, jak jej się wydawało, szczerze.

Świetnie! Wśród owslanek tylko Luby Zefir słuchała z zainteresowaniem jej pogadanek o zwierzętach, ale Luby z nimi nie było. No, to nie do końca prawda. Chogolisa też słuchała, udając zainteresowanie, choć Sitsi domyśliła się, że niezbyt ją to pasjonuje.

– Widzisz tamto stado? – spytała.

Finnbogi utkwiał wzrok w horyzoncie.

– No, niezbyt.

Jej poprawiony alchemicznie wzrok się pogarsza, ale wciąż widzi lepiej od zwykłych ludzi, a przynajmniej od Finna.

– Masz normalne oczy?

– Co?

– Czy masz jakąś wadę wzroku?

– Nie, ale tam, gdzie pokazałaś, widzę tylko zielen i błękit.

– Dobrze.

– Co?

– Nieważne. A widzisz tamto stado? – Pokazała palcem w innym kierunku.

– Tak.

– Dobrze. A teraz spójrz na połąć lądu przed nim, tam, dokąd prowadzi obrona przez nie ścieżka. Widzisz, że ma inny kolor?

– Tak.

– To pas ziemi o szerokości równej szerokości kolumny bizonów, zgadza się?

– Tak, ma podobne wymiary.

– I co możemy z tego wywnioskować...?

– Że one naprawdę idą ścieżką?

– Dokładnie! A kto przetaił ten szlak?

Przez moment wydawał się zmieszany, a potem odparł:

- One.
- Właśnie!
- No... dobra, ale co z tego?
- Teraz słuchaj: przyjrzałam się tym ścieżkom i zauważyłam, że wszystkie przebiegają przez najbardziej płaskie obszary równin, gdzie trawa rośnie najbujniej.
- Więc bizona wytyczyły najlepsze ścieżki! Już łapię.
- Sitsi czuła się szczerze uradowana jego entuzjazmem.
- A teraz popatrz tam. Wędrowiec podąża jednym z bizonich szlaków. Widzisz, jak droga skręca w lewo, żeby ominąć wzgórze?
- Tak.
- To znaczy, że zaraz skęcimy.
- Z satysfakcją patrzyła, jak wielka chmura gołębi przesunęła się w lewo, a dziób pojazdu podążył za nią.
- Niesamowite – powiedział Finnbugi. – Mój tata, Eryk – Finnbugi wskazał największego z Wotan, brodacza opartego o barierkę po drugiej stronie, pogrążonego w rozmowie z Chogolisą – uważa, że zwierzęta są tak samo inteligentne jak ludzie, po prostu nie zawracają sobie głowy ubraniami i gadaniem o bzdurach jak my.
- To on zamieszkał z Lakchanami po tym, jak został wygnany?
- Tak.
- Nie dziwi mnie, że tak myśli.
- A to czemu?
- Bo miał okazję nauczyć się tego i owego.
- Aha.
- Nie przejmuj się, ty też się nauczysz. Całe życie spędziłeś w zamknięciu, a prawie sam rozgryzłeś kwestię bizonich szlaków, a z tego, co wiem, ty i ja jesteśmy jedynymi ludźmi zza Matki Wody, którzy tego dokonali.



Wreszcie jakaś owslanka zechciała z nim porozmawiać! Ignorowały Finnbugiego przez cały pierwszy dzień na pokładzie Wędrowca, a drugiego dnia, gdy podano im na śniadanie całkiem smaczne danie z dzikiego ryżu i bizoniego mięsa, najniższa z nich podeszła do niego,

oparła się o nadburcie, przedstawiła jako Sitsi Pustułka i zaczęła go wypytywać o Harówkę i jej historię.

Finnbogi był zachwycony, gdy odkrył, że choć miała niesamowicie wielkie oczy, wcale nie była niedostępną boginią, za jaką ją uważał. Była taka jak kobiety z Harówki, choć zarazem zupełnie inna. Z jednej strony normalna i ludzka, a z drugiej indywidualistka różniąca się od poznanych dotąd przez Finna ludzi w ten sam sposób, w jaki Thyri różniła się od Sassy, a Bodila od Gunnhildy.

Sitsi fascynował każdy szczegół jego opowieści, zwłaszcza kraina, z której przybył Olaf Odkrywca, Finn zaś z radością dzielił się z nią swoją wiedzą. Jeśli miałby doszukać się u niej jakiejś skazy charakteru, to była nią nadmierna duma z własnego wykształcenia i skłonność do wyszukiwania luk w jego zasobie wiedzy, ale to tylko jeśliby naprawdę chciał się do czegoś przyczepić. Postanowił tego nie robić.

Thyri Drzewonoga, siedząca obok Bodili po drugiej stronie pokładu, nie zaszczyciła ich ani jednym spojrzeniem, ale po sposobie, w jaki ułożyła nogi, Finnbogi domyślił się, że jej zdaniem zdecydowanie zbyt długo zabawia rozmową tę młodą, piękną i sławną wojowniczkę.

I czuł się wspaniale, bo choć miał na szyi zabójcze pająki, a Chapa Wangwa wieszczył jemu i jego ludziom straszną śmierć, w końcu mógł odpocząć od tego całego chodzenia. Finnbogi sądził, że zdążył przyzwyczaić się do łażenia od świtu do zmierzchu i że nawet to polubił, ale dzień spędzony na pokładzie Wędrowca, gdzie prawie nie naprzykrzały mu się insekty, a on mógł tylko siedzieć i podziwiać widoki, pokazał mu, że jednak bardziej leży mu nieróbstwo, a już na pewno nieróbstwo z pięknym widokiem.

Oglądał kłębiącą się nad horyzontem wielką burzę, która popłynęła nieboskłonem wiele mil na południe, zygzakujące kawał drogi od Wędrowca tornado, niewyobrażalne stada bizonów i innych zwierząt oraz pożary traw, barwiące widnokrąg pomarańczową luną. No i ucinał sobie pogawędki z przepiękną wojowniczą boginią z legend, która nawet jeśli nie okazała się kimś zupełnie zwyczajnym, to z pewnością uznała, że czas spędzony na rozmowie z Finnem nie jest czasem straconym.

Kolejną rzeczą, która sprawiała mu radość, choć nie do końca to rozumiał, był fakt, że gdy już został schwytany, przestał obawiać się

schwytania.

Byli co prawda w oficjalnym sojuszu z owslankami, ale widział, jakim wzrokiem spoglądała na Wotan Sofi Tornado, i nie ufał jej nawet tyle, ile miał brudu za paznokciem. Nawet podróżując u boku wojowniczek, czuł się jak zwierzyna łowna. Teraz zaś jechali na jednym wózku – dosłownie i w przenośni – co czyniło z nich wszystkich zwierzynę łowną. Wiedział, że to głupie. Gdyby spróbowali ucieczki, ukąsiłyby ich beeby i umarliby w męczarniach. Nie próbując ucieczki, narażali się na straszny los, który zapowiadał im w Badlandach Chapa Wangwa. No ale przynajmniej nikt ich już nie ścigał.

Właśnie w tym momencie, chcąc zapewne pokazać mu, jak bardzo się myli, lub może po prostu mu dokuczyć, bogowie położyli kres jego rozmyślaniom, bo powietrze rozdarł dziki wrzask. A potem kolejny.

Finn zakrył uszy dłońmi. Sitsi Pustułka zerwała się na nogi i przybrała pozycję bojową, szukając wzrokiem źródła alarmującego odgłosu.



– Umiesz rozmawiać ze zwierzętami? – zdziwiła się Chogolisa Zadrzyziemia.

– Sza. Nikt o tym nie wie. – Eryk nie był pewien, czemu zdradził swój sekret akurat Chogolisie. – To nie tak, nie umiem z nimi rozmawiać czy coś w tym stylu, ale czasem słyszę ich myśli. Mogę poprosić, żeby coś dla mnie zrobiły, a one mogą to zrobić lub nie. Sęk w tym, że większość zwierząt to paranoiczne, niechętne zmianom i samolubne stworzenia i często po prostu nie da się ich nakłonić do tego, czego same nie miały zamiaru zrobić.

– Potrafisz usłyszeć myśli wszystkich zwierząt?

– Większości. Czasem niewiele się dzieje w ich głowach, innym razem nieprzyjemnie się ich słucha. To, że możesz wszystkiego dotknąć, nie oznacza, że powinienes albo że sprawi ci to przyjemność.

– Na przykład psiej kupy, żeby daleko nie szukać.

– Doskonała analogia. Jak spróbujesz pogadać z wiewiórką, nabierzesz ochoty, żeby wyjąć sobie mózg z głowy i wypłukać go w rzece. To pokręcone małe skurwysyny.

– A czy mógłbyś przekonać nasze pająki, żeby nas nie kąsały?

Stado gołębi poleciało w lewo, wehikuł zaskrzypiał i skręcił w ślad za nimi. Chogolisa poprawiła się, żeby zachować równowagę, a jej kolano zetknęło się z kolanem Eryka i tak zostało.

– Właśnie próbuję – odparł, nie unikając dotyku. – Ale nie mogę. Jakbym próbował rzeźbić w drewnie wzrokiem. Gołębie są jeszcze dziwniejsze. Każą mi spadać w obawie, że uszczuplę im stado. Myślę, że cokolwiek robię, Puste Dzieci robią to o wiele lepiej. Może to one blokują mi dostęp do umysłów zwierząt.

– A wielka stopa? – Skinęła na futrzastego olbrzyma siedzącego samotnie na rufie.

– Próbowałem wczoraj. Poniosłem porażkę, ale w trochę inny sposób. Ja nie potrafię komunikować się z ludźmi. Gdy wybiegam myślami do niej, odczuwam tę samą niemoc.

– Do niej?

– No, coś tam wyłapałem. Choćby to, że to ona i że jest nieszczęśliwa, ale to wszystko. Co ty...

Nagle ktoś wrzasnął. Potem znowu. I jeszcze raz.

– Co się... – Eryk położył rękę na ramieniu Chogolisy. – To pająki – powiedział, widząc poruszenie wśród owslanek i Wotan. – Spokojnie, to tylko pająki!

– Co się dzieje? – przekrzyczała zgiełk Chogolisa.

– Nie wiem, ale chyba nic złego.

– Jednak się z nimi komunikujesz? To stąd wiesz, że to ich sprawka?

– Nie, ale popatrz po ludziach.

Eryk wskazał czterech Wytrzeszczów, którzy byli już na pokładzie, gdy trafili tu Wotanie. Wydawali się spokojni.

– Ma rację! – zawołał jeden z nich, ten imieniem Ovets. – To tylko krzyk pajaków.

– Ale po co krzyczą? – zadziwił się Wulf.

– Patrz – powiedział Ovets.

Eryk też patrzył. Dwie muchy wylądowały na pudełku Chogolisy i wpełzły do środka przez otwory, które wywiercono, żeby beeby się nie podusiły. Jej pająki przestały krzyczeć, wkrótce uspokoiły się też pozostałe.

Wszyscy rozejrzeli się naokoło, niektórzy przerażeni, inni

zdezorientowani. Eryk już miał im wyjaśnić, co się stało, gdy odezwała się Sofi:

- To pająki wołały o jedzenie. Już je nakarmiono.
- Wróciła na miejsce, gdzie siedziała sama od wczoraj.
- Zawsze trzyma się na uboczu? – spytał Eryk Chogolisę.
- Nie zawsze. Ale jak się trzyma, lepiej ją zostawić.



Sassa Gryziwarga siedziała cicho z Grubym Wulfem i Yokim Choppą, nie mogąc się uspokoić po wrzasku pajaków. Czarnoksiężnik był dobrym kompanem, bo potrafił milczeć przez cały dzień, co w tej chwili bardzo jej odpowiadało.

Sassa nie przepadała za pajakami. Kiedyś, gdy jako dziewczynka karmiła wiewiórki na skraju lasu, zauważyła, że jedna z nich straciła całe futerko, a jej nagie ciało pokryło się wypryskami. Po kilku dniach znalazła ją martwą. Podniosła zwierzątko i ku swojemu przerażeniu zobaczyła, jak z wyprysków wyciskają się zatrważająco długie i tłuste larwy. Czuła się teraz, jakby była tą wiewiórką, jakby nosiła w ciele mordercze zwierzę, które sprowadzi na nią śmierć.

– Teoretycznie najlepszym sposobem na pozbycie się pajaków jest niepozbywanie się ich – powiedziała, patrząc na niedźwiedzia, który wyrósł z trawy, by przyjrzeć się przejeżdżającemu Wędrowcowi.

– Że niby...? – zaczął Wulf.

– Jak spróbujemy, to nas pokąsają. Więc musimy to zrobić, nie próbując.

– Ale jak?

– Jeszcze nie wymyśliłam. Jakiś pomysł, Yoki Choppo?

Mężczyzna wskazał Frejdis i Ottara, którzy szli właśnie w kierunku potwora na rufie.

– To kiepski pomysł.

– Frejdis! – zawołała Sassa. – Co ty robisz?

– Porozmawiamy sobie z kudłatą panią. Nie martw się, Ottar mówi, że wszystko będzie dobrze.

– Aha, to w porządku. – Odwróciła się do Yokiego. – On nigdy się nie myli – wyjaśniła przepaszająco.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami.



Sofi Tornado czuła, jak moc wycieka z niej przez pory skóry. Gdy obudziła się po tym, jak uśpiono ją strzałkami, słyszała umieszczone w pudełkach na ich szyjach pająki. Teraz, a więc w południe dnia następnego, już ich nie słyszała.

Podeszła do niej Paloma, łapiąc równowagę, by nie przewrócić się na falującym pokładzie.

– Może i warto poświęcić cały dzień, żeby przyglądać się własnym stopom – odezwała się prędkonoga owslanka – ale zastanów się, czy życie ci nie umyka. Sporo widłorogów biega po tych równinach.

– No.

– Wiesz, że niebawem dotrzemy na ziemię, gdzie żyją sowy i osy?

– Tak.

– I że to całkiem cwany pomysł z tymi pająkami, ale wieczorami mamy większe pole manewru, więc niebawem nadarzy się okazja, żebyś zdobyła swoje zwierzę?

– Tak.

– Dobra. Hm, chcesz zobaczyć największe stado bizonów w historii? Albo niedźwiedzia, którego nigdy wcześniej nie widziałaś? Bo ja widzę teraz jedno i drugie, i ty też byś mogła, gdybyś się rozejrzała.

Sofi zajrzała przyjaciółce w oczy.

– Mogłabym, gdybym nie miała w dupie lokalnej fauny. Odwal się, z łaski swojej.

– Odwalę się natychmiast, ale przedtem dam ci do zjedzenia coś, co kazał mi przekazać Yoki Choppa. – Paloma wcisnęła Sofi do ręki skrawek suszonego mięsa karibu. – No to się odwalam. Cześć!

Sofi Tornado próbowała ułożyć jakiś plan, ale przytłaczało ją przemożne wrażenie bezradności. Tak musi się czuć ryba, gdy ręce wędkarza wyjmą ją z rzeki i trzymają nad powierzchnią wody, bezsilną, zdaną na jego łaskę i niełaskę. Nie mogła wyrzucić z głowy świstu własnych kończyn, którymi nie była w stanie dosięgnąć Rappy Hogi, oraz dźwięku wbijającej się w jej ciało strzałki.

Przegrała walkę.

Siedziała w samotności, aż poczuła, że wehikuł wytraca tempo. Usłyszała, jak Paloma każe pozostałym dziewczynom zostawić ją samą, a potem poznała po odgłosie, że schodzą po drabinie. Dobiegło ją powarkiwanie spędzanej z pokładu wielkiej stopy. A więc mogli kontrolować ją w taki sam sposób jak jeńców – za pomocą pajaków. Zaciekawilo to Sofi do tego stopnia, że niemal wyrwało ją z zamyślenia. Niemal.

Puste Dzieci minęły ją i zeszły na ląd. A może jeśli odejdą zbyt daleko, stracą kontrolę nad pajakami, a te zaczną gryźć jak szalone? Nawet jeśli nie, to prędzej czy później ktoś się do niej weźmie, a ona nie pozwoli się dotknąć i go zabije. Wtedy dzieci każą pajakom ją ukąsić. Śmierć byłaby wówczas wybawieniem.

Siedziała i słuchała odgłosów krzątających się wokoło ludzi, którzy nadzorowali lądowanie, przygotowywali Wędrowca do nocnego postoju i rozbijali wokoło obóz. Przypomniało jej to dawne dni, gdy leżała chora w łóżku, wsłuchując się w odgłosy codzienności, która toczyła się za oknem własnym torem. Świat radził sobie bez niej zupełnie dobrze.

Słyszała rozmowę Badlandczyków, którzy zastanawiali się, co z nią zrobić. Dyskusję przerwał Rappa Hoga na swoim sztyletozęcie. Spytał, o co chodzi, a potem zeskoczył z kota i wspiał się po drabinie.

Dowódca badlandzkich łowców, jedyna osoba na świecie, która pokonała ją w walce, szedł w jej stronę. Maszerował na szeroko rozstawionych nogach, lecz nie dlatego, że próbował balansować na nieruchomym teraz pokładzie – zostało mu tak po całym dniu jazdy na grzbiecie sztyletozęba.

– Walczyłaś osłabiona – rzucił.

Otworzyła oczy.

Barczysty, wysoki, na owinięte w biodrach przepaską ciało nałożył skórzaną, rozpiętą szatę. Był to strój praktyczny, ale niewiele zakrywał. Dobrze widziała obłe zarysy jego klatki piersiowej, wypukłe mięśnie wyrzeźbionego jak ze skały brzucha i masywne uda.

Lata temu, gdy owslanki dopiero co powstały, a Sofi nie była jeszcze dowódczynią, żeńska gwardia Zaltana wyprawiała się z karną ekspedycją do pewnego plemienia, które hodowało bizona. Plemieńcy podążali za migrującymi zwierzętami i kontrolowali ich populację, zabijając te słabe

i chore. Ukształtowane na przestrzeni stuleci stado stanowiło kolekcję najpiękniejszych zwierząt, jakie Sofi w życiu widziała, ale było wśród nich jedno tak olśniewające, że nawet w otoczeniu najdorodniejszych osobników zwracało szczególną uwagę – gigantyczny byk o gładkiej skórze i błyszczącym futrze, istna góra mięśni. Był bardzo zajęty, bo plemieńcy co rusz podtykali mu nowe samice, chcąc sprowadzić na świat jak najwięcej podobnie udanych okazów.

Rappa Hoga przywodził jej na myśl tamtego byka.

– Walka trwałaby dłużej, gdybyś była w pełni sił. Może nawet byś zwyciężyła. – Kucnął, by zrównać się z nią wzrokiem. – Ja również czerpię siłę z magicznych zwierząt. Gdyby nie to, z pewnością pokonałabyś mnie z równą łatwością co moich żołnierzy. Gdybym na kilka dni odstawił mięso, tak jak ty to zrobiłaś, nie sposób przewidzieć, jak zakończyłoby się nasze starcie.

Skąd to wiedział? Czyżby Yoki Choppa jednak zdradził?

– Jakim zwierzęciem mocy się karmisz? – spytała wbrew woli.

– Nie wiem. Jestem wojownikiem, nie kucharzem. Chodź. Zatrzymałem Wędrowca w wyjątkowym miejscu. Chcę ci je pokazać.

Sofi Tornado rozważała, czy nie rzucić się na niego. Może zdąży zmiażdżyć mu krtań, zanim zareaguje albo zanim ugryzie ją pajak.

Zamiast tego wstała.

– Dobrze, chodźmy.



Rozdział 9 NAD JEZIOREM

Wędrowiec Równin osiadł na trawie kawałek na północ od małego lasu. Ludzie i zwierzęta kręcili się po okolicy, rozpalono już ogniska i zaczęto przygotowywać stawę. W pewnym momencie wzbily się w niebo grzebiące w ziemi gołębie, wzbudzając bryzę, od której zafalowały płomienie.

Sofi Tornado szła za Rappą Hogą. Minęli Sitsi Pustułkę, która pokazywała Sassie Gryziwardze, jak efektywniej strzelać z łuku, zmieniając uchwyt na gryfie. Kawałek dalej Kif Berserk sparował z Palomą Widłoróg, oburęczny topór przeciw kosturowi. Jednooki i jednouchy grzybolud nie należał do owslanek, ale poruszał się płynnie

i skutecznie wyprowadzał ciosy. Sofi nie lubiła patrzeć, jak jej podkomendne spoufalają się z wrogiem. To nie pomoże im zabić go, gdy już nadejdzie czas. Przynajmniej Jutrzenka to rozumiała. Rozłożyła się kawałek dalej i przeciągała zeszywniałe od siedzenia członki.

Bjarni Kurza Twarz przeszedł obok, ziewając, a Sofi musiała zdusić przemożną chęć zrobienia tego samego. Chwilę później prawie podskoczyła, słysząc jakieś wrzaski. To Frejdis i Ottar biegali dookoła namiotu, gonieni przez Grubego Wulfa. Bjarni dołączył do nich, a Sofi westchnęła, widząc, że do zabawy włączyła się też chichocząca jak podlotek Chogolisa.

– Zaletą pajęczych pudełek jest to – przerwał jej rozmyślenia Rappa Hoga – że możemy dać naszym więźniom odrobinę wolności, nawet pozwolić im zachować broń. Kto nie jest w ciemię bity, wykorzysta tę wolność, żeby swoje ostatnie dni przeżyć radośnie. Reszta zmarnuje swój czas na zamartwianiu się.

Na skraju obozu Hoga przywołał do siebie Puste Dziecko. Chłopiec, a może dziewczynka, wskoczył na wielkoroga i potruchtał za nimi do lasu.

– Jak daleko można odejść od dzieciaka, zanim pająki zaczną kąsać? – spytała Sofi.

– Niezbyt daleko.

Może to jest szansa, na którą czekałam, rzuciło się na myśl Sofi Tornado. Tylko jeden dzieciak... Musiała tylko zabić go, zerwać obrożę, zanim pajak ją ugryzie, a potem pokonać mężczyznę, który dwa dni temu stłukł ją na kwaśne jabłko. Potem trzeba będzie już tylko wrócić do obozu, w okamgnieniu zerwać wszystkim pudełka z szyj, pokonać wszystkich łowców, sztyletozębne koty i łosie, no a potem już z górki.

Nie był to dobry plan.

Dróżka wiodła do szerszego traktu, który okrążał jezioro. Spłoszony jeleń uciekł na ich widok niezgrabnym truchtem. Gęsi, kaczki i inne wodne ptactwo przeprawiały się wraz z mrowiem młodych na drugi brzeg. Z wody wyskoczyła ryba i zaraz zniknęła, błyskając białym podbrzuszem. Na zachodnim brzegu pasło się stadko bizonów, chlepcząc wodę i skubiąc trawę w miękkim wieczornym świetle.

Szli wzdłuż wschodniego brzegu, milcząc, płosząc opopy, piźmaki

i jednego wyjątkowo oburzonego skunksa. Las kończył się równym, usypanym ludzkimi rękami brzegiem. Jezioro stykało się tam z dziesięciokrokovym uskokiem. Przecięli brzeg i doszli do wzniesionej z bali tamy. Rappa Hoga zatrzymał się i wsparł ramiona na biodrach.

– My to zbudowaliśmy – powiedział. – Zwieźliśmy tu drewno Wędrowcem.

– Bardzo ładne.

– Robocizna nasza, ale pomysł wzięliśmy od bobrów.

– Jak się uczyć, to od najlepszych.

– Wędrowiec jeździ po bizonich szlakach.

– To ci dopiero.

– Chodzi mi o to, że uczymy się od zwierząt.

– Nie ma broni potężniejszej od wiedzy, jak mi mówiono.

– Dowiedzieliśmy się od nich zwłaszcza jednego: jeśli usunie się z jakiegoś obszaru wszystkie drapieżniki, to niepilnowani roślinożercy zaczną się mnożyć z tak zatrważającą szybkością, że zniszczą dany obszar nie tylko dla swojego gatunku, ale dla wszystkich innych. Brzmi jak paradoks, ale tylko pozornie. Jeśli przestanie się polować na zwierzę, na które należy polować, ono prędzej czy później ucierpi z tego powodu.

– Łapię.

– Ludzie to też zwierzyna łowna.

Spojrzała w jego ciemne oczy. Mówił poważnie.

– Wiele lat temu – podjął, wytrzymując jej spojrzenie – wielkie drapieżniki, takie jak sztyletozębne koty, były o wiele liczniejsze. Wówczas żyły też inne wielkie zwierzęta polujące na człowieka. Nękani kłopotami ludzie nauczyli się tworzyć broń i jej używać oraz działać w grupach, żeby móc tą drogą pokonać silniejsze od nich zwierzęta. Budować domy i fortyfikacje. Podjęli walkę z drapieżcami i wyszli z niej zwycięsko. Wręcz zbyt dobrze sobie poradzili. Wytracili cały gatunek, a liczebność pozostałych ograniczyli do tego stopnia, że dziś człowiek musiałby się bardzo postarać, żeby paść ofiarą drapieżnika.

Sofi natychmiast przypomniała sobie o trzech Harowianach zabitych przez niedźwiedzie, ale zmilczała. Calnijscy historycy również głosili, że w zamierzchłych czasach człowiek zmagął się z drapieżnikami i że później ten stan rzeczy udało się zmienić.

– Wytępienie drapieżców może wydawać się człowiekowi dobre – kontynuował Rappa Hoga. – Jednak prawda jest taka, że zaburza się w ten sposób równowagę w naturze i cierpi na tym ogólny dobrostan świata. To tak, jakby jelenie zebrały się i zaczęły miotać w nas włócznie. Brak drapieżników sprawił, że człowiek zanadto się rozmnożył.

– A więc należy przeprowadzić czystkę, a Badlandczycy wzięli ten trud na siebie?

Gdzieś zaskrzeczała wściekle gęś.

– Owszem.

– Więc czemu porywać ludzi? Czemu nie zabijać ich na miejscu?

– Z dwóch powodów. Niektórzy z was, lepsi wojownicy i co ciekawsze zwierzęta, służą nam za rozrywkę. Jesteśmy krwiożerczym ludem. Mniej sprawni jeńcy służą za materiał do badań nad tym, co zwykłe, i nad tym, co niezwykłe. I jest jeszcze trzecia możliwość.

– Mówisz o przyłączeniu się do was.

– Zgadłaś.

– Kolor twojej skóry, kształt twarzy, wzrost... Ty nie jesteś Badlandczykiem. Zostałeś pojmany i otrzymałeś ten sam wybór, który teraz chcesz dać mnie. Zgiń honorowo ze swoimi pobratymcami lub żyj jako Badlandka.

– A ty wybierzesz honorową śmierć.

Sofi potwierdziła skinieniem.

– Oczywiście. Ja też tak wybrałem. Wybacz te podchody, nie chciałem obrażać twojej inteligencji. I nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym, że masz wybór, dopóki nas nie poznasz, nie zrozumiesz naszych celów i mocy oraz, co najważniejsze, nie spotkasz się z naszym wodzem, Bobrocześnie.

– Bobrocześnie? Dziwne imię.

– To gra słów. Wypowiedziane szybko brzmi jak „dobry człek”.

– Dobry człek? Ale to...

– Gówniane imię? Tak, wiem. I on też to wie. Miał dziwnych rodziców, ale szanuje ich pamięć i nie zmieni go, nawet jeśli cierpi z jego powodu.

– Nie wiedziałam, że z wielkiego wodza Badlandów taki cierpiętnik.

– To skomplikowany człowiek. Na przykład tych rodziców, których

pamięć tak szanuje, zabił własnoręcznie. No, wracajmy już.

Milczała aż do chwili, gdy weszli z powrotem na leśną ścieżkę.

– Spytam czysto teoretycznie, bo nie ma takiej możliwości, żebym dołączyła do Badlandczyków: czy oferta obejmuje również moje kobiety?

– W rzeczy samej. Wszystkie calnijskie owslanki zostaną przyjęte.

– Yoki Choppa?

– On również się nam przyda.

– A grzyboludy?

– Oni nie. Są interesujący, więc zdziwiłbym się, gdyby Bobroczył zabił ich szybko, ale to, że ich zabije, nie ulega wątpliwości.

Sofi kiwnęła głową.



Finnbogi zwany Zbukiem minął Sassę Gryziwargę i Sitsi Pustułkę w drodze do lasu, gdzie znalazł Thyri Drzewonogą. Biegała sprintem między drzewami, potem robiła przerwę, a następnie wznawiała ćwiczenie.

– Pokonałabyś tę samą odległość, po prostu stojąc w miejscu – podsunął.

– A ty mógłbyś dostać w zęby za pieprzenie głupot, które nie zasługują, żeby nazwać je żartami – zripostowała i znów pobiegła.

– Nie boisz się, że rozzłościś pająki? – krzyknął, gdy dotarła do drzewa.

– Nie... bo jak mnie pokąsają, nie będę już musiała na ciebie patrzeć – wydyszała.

– Ha, ha! Rozumiem więc, że nie masz ochoty na lekcję walki, co?

– Straciłeś swój miecz.

– Mam to. – Uniósł topór Sofi Tornado.

– Słusznie się domyślasz, że nie mam ochoty.

Wciąż była przekonana, że to on zabił Gartha.

– A gdybym poćwiczył obok ciebie?

– Tego nie mogę ci zabronić.

– Oboje wiemy, że mogłabyś.

– Nie zabronię ci.

Zmiękła.

Finnbogi powstrzymał chęć, by podskoczyć i zaklaskać w ręce. Wojownicy tak nie robią.

Podbiegł do niej.



Jakiś czas później obrócił się w śpiworze. Nie wiedział, czy to chrapanie Bjarniego nie pozwala mu zasnąć, czy może wypełniające jego głowę fantazje o Thyri i owslankach.

Raptem wzleciał w niebo ponad rozległą połącią lądu. To było Morze Traw, ale trawa znikła, a jedynymi drzewami były te przy skupiskach przerośniętych chat oraz wielkich, srebrnych, penisopodobnych wieżach. Naga ziemia cuchnęła, co nie dziwiło, skoro pokrywała ją warstwa gnoju, w której pełzały owady.

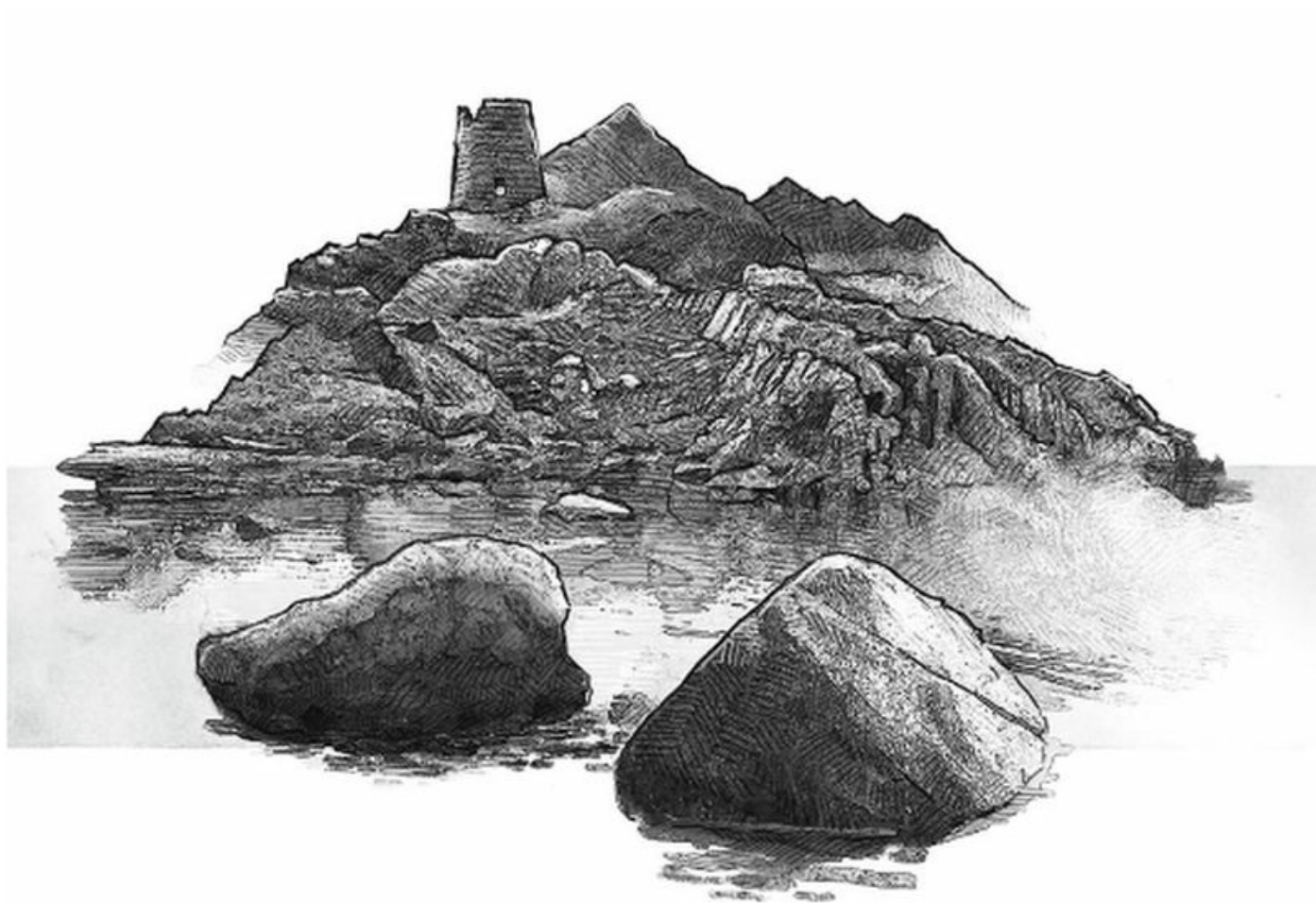
Wzleciał wyżej i zobaczył, że grunt przecinają proste czarne szlaki. Mniejsze insekty leciały wzdłuż tych ścieżek z nieprawdopodobną prędkością, większą od tej, którą rozwijała Paloma. Wielkie ptaszyska o sztywnych skrzydłach dryfowały w powietrzu nad jego głową, skrzecząc ogłuszająco.

Wtem goła ziemia zaczęła porastać zielenią, a Finnbogi dostrzegł w oddali Wędrowca Równin. Sfrunął niżej, by mu się przyjrzeć. Okazało się, że to nie Wędrowiec, tylko kolejny gigantyczny, lśniący owad, który ścinał trawę i wypełniał nią wóz. Trawa zaś nie była trawą, tylko kukurydzą o nienaturalnie regularnym kształcie, każda tej samej wysokości, porastającą pole ciągnące się po horyzont we wszystkich kierunkach. Nie widział tu ani jednego jelenia, szopa, lisa czy innego stworzenia.

Leciał dalej, ale wszędzie krajobraz wyglądał identycznie. Wysoka kukurydza i żrące ją wielkie, pełzające insekty. Przeleciał nad prostymi ścieżkami, po których kursowały owady. Wreszcie dostrzegł żywą duszę – kobietę idącą w towarzystwie dwóch psów. Sfrunął do niej.

– Co się stało? – zapytał. – Co się stało z Morzem Traw? Gdzie są wszystkie bizona?

– Zabiliśmy Morze Traw i wszystkie zwierzęta – odparła – żeby wykarmić grzyboludów.



Rozdział IO

TRZEBA POWSTRZYMAĆ CHIPPAMINKĘ

Luby Zefir wskoczyła między dwa namioty z bizoniej skóry, minęła strażników i przemknęła między tańczącymi cieniami na obrzeżach obszaru, na którym płonęło w ogniskach bizonie łajno.

Odkąd wczorajszego dnia przekroczyli Matkę Wodę, Luby chciała jak najszybciej odwalić obowiązki, które jej powierzono, a więc maszerowała razem ze swoimi ludźmi, omówiła z nimi taktykę walki z owslankami, a gdy zatrzymali się na odpoczynek, trenowała z nimi aż do zmierzchu. Nie umiała ocenić, czy dwustu jej wojowników poradzi sobie z elitarnym oddziałem, ale wiedziała na pewno, że nawet jeśli tak, okupią to stosem trupów.

Oczywiście wiedziała, że owslanki wcale nie zdradziły Calnii – bo niby po co? Calnijska armia szła na Badlandy pod fałszywym pretekstem, który zrodził się w umyśle czarnoksiężnicy Chippaminki. W co ona grała? Luby próbowała przekonać samą siebie, że młoda kobieta działa w najlepszym interesie Ayanny i imperium. Tylko dlaczego ucieka się do manipulacji? Jedyna sensowna odpowiedź brzmiała: Chippaminka pragnie zguby imperium. A więc obowiązkiem Luby jest wyrwać cesarzową z łap tej zdradliwej baby i pokazać jej, jak bardzo się pomyliła, dopuszczając ją do siebie.

Właściwie nie było pośpiechu. Od samych Badlandów dzieliło ich jeszcze wiele mil. Ale Luby nie spocznie, dopóki nie powstrzyma tego szaleństwa, a wojsko nie wróci bezpiecznie do stolicy.

Morze Traw z pozoru wydawało się płaskie, ale Luby wiedziała już, że było poznaczone dolinami, w których mogłaby się schować gotująca się do zasadzki armia. Każda chwila spędzona na terytorium Badlandczyków zwiększała ryzyko zagłady cesarstwa.

Przemknęła między kolejną parą strażników strzegących wejścia do wielkiego namiotu cesarzowej, odgarnęła zasłonę z jeleniej skóry i wniknęła do środka.

Wnętrze oświetlone było jednym nikłym płomykiem, od którego bił zapach jakiegoś egzotycznego drewna. Cesarzowa nie pali łąjnem.

Luby odczekała, aż jej oczy przyzwyczają się do półmroku. Z wielkiego łoża w środku namiotu dobiegło ją ciche pochrapywanie. W kołysce nieopodal oddychał miarowo Łabędzi Książę Calniar.

U boku Ayanny spała Chippaminka. Kobiety były nagie, splecione członkami, nieruchome, jeśli nie liczyć unoszących się w oddechu piersi. Czarnoksiężnica przyłgnęła policzkiem do nabrzmiałego od mleka biustu cesarzowej.

Luby zatrzymała się. Spodziewała się, że cesarzowa będzie sama. No proszę, okazja nadarzyła się prędzej, niż myślała. U pasa Luby zawieszono dwa półksiężycowe miecze. Dopiero co naostrzone. Śmierć Chippaminki z pewnością rozproszy urok, który rzuciła na Ayanę.

Podeszła bezszelestnie do łoża. Wyeksponowana szyja dziewczyny aż się prosiła o cięcie. Jedna krótka chwila i będzie po wszystkim. Uniosła

ostrze.

Chippaminka otworzyła oczy, a Luby zachłysnęła się powietrzem.

– Lepiej stąd odejść – wyszeptała czarnoksiężnica przerażająco cichym głosem.

Umysł owslanki wypełnił strach, tak nagle, jak zajmuje się ogniem kałuża smoły, do której ktoś wrzucił pochodnię.

Nie myślała. Puściła się biegiem i nie zatrzymała, dopóki nie wróciła do swojego namiotu i nie owinęła się w ponczo, drżąc z trwogi.



Rozdział II

BIZONI ŻOŁNIERZE

Postanowiłam, że oficjalnym terminem na dużą liczbę bizonów w jednym miejscu będzie: w chuj – ogłosiła Paloma następnego dnia, gdy mijali kolejne olbrzymie stado.

– A oficjalny termin na dużą liczbę gołębi? – Sassa powiodła wzrokiem do chmary ptaków ciągnących Wędrowca naprzód.

– W chuj i ciut?

– Chyba kiepsko to brzmi.

– Chyba tak. – Paloma podrapała się po głowie. – Pomyślmy, jak zgrabniej wyrazić porażającą ilość czegoś?

– Od zajebania? Nie, jakieś takie wulgarne.

– Rzeczywiście, zupełnie nie masz klasy.

- A może bizonów będzie w cholere, a gołębi od cholery?
- Chyba nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Patrz, a ci znowu swoje.

Na rufie Wędrowca siedzieli z wielką stopą Frejdis i Ottar. Chłopiec opowiadał coś bestii w sobie tylko znanym języku, akcentując wypowiedź obfitą gestykulacją. Kudłacz patrzył na niego z wyrazem umiarkowanego zainteresowania widocznym na twarzy o małych oczkach i mięsistych wargach.

- Ten olbrzym zbiję ich na papkę, zanim nawet ja zdołam do nich dobiec – stwierdziła Paloma. – Na pewno nic im nie będzie?

Sassa wzruszyła ramionami.

- Na pewno. Ottar nigdy się nie myli, a Frejdis ma więcej rozumu niż długi dom upchany jarłami.

– Co upchane czym?

– Chodzi mi o to, że jest bardzo bystra. A poza tym umrzesz, kiedy...

- Kiedy umrzesz, wiem, tłumaczyłaś mi to wczoraj, a ja nie mogę zaprzeczyć. Rzeczywiście, kto umarł, ten nie żyje. A skoro już jesteśmy przy gruntownych zmianach w życiu, widzisz ten nastroszony czub na głowie wielkiej stopy?

– Tak.

– Świetnie by ci było z takimi włosami, tylko nieco dłuższymi.

– Mówisz?

- No pewnie. Mam to przed oczami. Długie pasmo falujących włosów od karku do czoła.

– Ha, ha, boki zrywać!

- Mówię poważnie. Chodź, niech ci się przyjrzę. – Paloma ujęła twarz Sassy w dłoń i przekrzywiła ją na jeden bok, potem na drugi. – Tak, jestem pewna. Twoja fryzura nie pasuje łuczniczce, długie włosy włożą w oczy podczas celowania. Wygol boki i zostaw długie przez środek czaszki, usztywnij tłuszczem i będziesz wyglądała o wiele groźniej od takiej Sitsi Pustułki. Nawet jeśli nie dorównasz jej w walce.

- Pewnie, że groźniej. Gdy wróg poczuje fetor tego zeschłego tłuszczu, padnie trupem i walka skończy się, zanim się rozpocznie.

- Ależ skąd, będziesz seksowna jak ta lala. Masz na tyle kobiece rysy, że nie zeszpeci cię takie uczesanie. Będziesz wyglądała świetnie: kobieta

z blond czubem w krainie czarnowłosych. Sama bym cię puknęła. Żałuję, że ja nie mogę się tak ostrzyć.

– A to czemu?

– Gdybym wygoliła sobie boki i nastroszyła czub, Sofi Tornado zerwałaby mi go z głowy i kazała zjeść. Nie lubi ekstrawaganckich fryzur i pilnuje dyscypliny. Czy twój mąż ukarze cię, jeśli zrobisz coś z włosami? To dlatego się boisz?

– Masz przy sobie nóż?

– Chcesz to zrobić od razu?

– Raz się żyje.

– Jak się ostrzyżesz, to się ostrzyżesz, zawsze to powtarzam.

Paloma wyciągnęła nóż zza pasa.



– Chrystus umarł za nasze grzechy. Każdy, kto w niego wierzy, może po śmierci trafić do nieba – wyjaśniła Gunnhilda Sitsi Pustułce, gdy razem obserwowały, jak Paloma goli Sassę po drugiej stronie pokładu.

– Jak rozpuszczone dziecko, które obiecuje kolegom, że będą mogli zobaczyć pałac jego tatusia na szczycie piramidy.

– Rozpuszczone dziecko nie oddałoby życia za innych.

Sitsi lubiła rozmawiać ze starszą kobietą. Była zdecydowanie najbogatszym źródłem informacji spośród wszystkich grzyboludów, nawet jeśli czasem mówiła rzeczy dziwne, które nie miały sensu w przekonaniu Pustułki. I ten jej bóg! Co za nudziarz. Zwykle nie obśmiewała bogów innych plemion, ale ten cały Chrystus był tak nadęty i drętwy, że nie mogła się powstrzymać.

– Ale czy nie powiedziałaś mi wcześniej, że Chrystus wcale nie umarł?

– Umarł, a potem wstał z martwych.

– Trudno więc powiedzieć, że umarł.

– Przeszedł proces umierania od początku do końca.

– Co nie jest takim wielkim wyczynem, jeśli się wie, że za parę dni człowiek wróci do życia.

– On tego nie wiedział.

– To chyba przydaje mu nieco charakteru... I wybacza wszystkie grzechy?

- Tak.
- I jeśli wierzysz w niego i jego tatę, trafiasz po śmierci do tej wspaniałej krainy?
- Zgadza się.
- I to grzech nie wierzyć w niego?
- Tak.
- Ale on ten grzech też wybacza, więc ostatecznie wszyscy idziemy do nieba hurtem?
- Niektórych grzechów nie da się odpuścić.
- Głowę dam, że ten koleżka popełnia tylko takie. – Kiwnęła głową na Chapę Wangwę. Badlandczyk szedł w ich kierunku, uśmiechając się od ucha do ucha.
- Gunnhildo Pobożna, Sitsi Pustułko – rzekł. – Cieszę się, że widzę was razem, bo to właśnie was dwóch szukałem. Ze wszystkich tu obecnych wy chyba najbardziej docenicie spektakl, który zaraz się tu rozegra. – Ugiął nogi i rozłożył ramiona, sygnalizując kierującym machiną, by zwolnili. – Za chwilę zatrzymamy się przy Grzbiecie Wangwy. Uprzedzę pytanie: otóż nie, nie nazwano go tak na moją cześć, ani też ja nie zostałem tak nazwany po nim. Otóż zarówno grzbiet, jak i ja nosimy imię badlandzkiego boga Wangwy.
- Demona Wangwy, chciałeś powiedzieć – poprawiła Sitsi – znanego też jako Wódz Zła i Kupa Gówna. – Nie kpiła sobie, ich bóg naprawdę nosił te wdzięczne przydomki.
- Jeden powie: zły, inny powie: zabawny – odparł Chapa Wangwa.
- Nie ciesz się złem, lecz w dobru odnajduj przyjemność. – Gunnhilda pogroziła mu palcem.
- Czy to dobrze zerwać komuś mięso z ramion? Czy to dobrze sprawdzić, ile stonóg zmieści się w brzuchu kobiety, zanim umrze? Te rzeczy sprawiają mi przyjemność, a więc są dobre, no nie?
- Człek prawdziwie zły wierzy w dobro swoich uczynków – powiedziała Sitsi. Wymyśliła ten aforyzm na oczekaniu, ale uznała go za przynajmniej tak dobry jak mądrości Gunnhildy.
- Och, jak ty mnie rozumiesz! – zakrzyknął oprawca. – Z wami na pewno nie będę się nudził. Chociaż obie wkrótce umrzecie, i to w okropny sposób, raduje mnie myśl, że choć te kilka dni nacieszę się

jeszcze waszym towarzystwem.

Wędrowiec Równin zwolnił i stanął.

– Chodźcie ze mną – podjął Chapa Wangwa. – Pokażę wam coś nadzwyczajnego.

Poszedł, kiwając na nie palcem.

Sitsi spojrzała na Gunnhildę i wzruszyła ramionami. Podążyły za nim przez pokład z klatkami na ziemię, zeszyły ze wzgórza i ruszyły wzdłuż granicy bagna. Były to okrągłe brązowe szuwary, niczym ciemna plama na zielonej tkaninie prerii, zamieszkałe przez rozmaite gatunki ptaków, w większości o długich nogach i dziobach. Na zachodnim skraju, niecałe dwieście kroków od nich, grunt podrywał się raptownie w górę, formując półkoliste trawiaste wzgórze, wysokie na pięćdziesiąt kroków. Była to największa nierówność terenu, jaką widziała Sitsi od opuszczenia klifów nad Matką Wodą.

– A teraz stańcie tam – wskazał Chapa Wangwa. – Zaraz zobaczycie coś takiego, że wam oko zbieleje.

– Przynajmniej ty tak twierdzisz – zdradziła się z wątpliwościami Sitsi.

– Owszem!

Sitsi i Gunnhilda wymieniły spojrzenia. Owslanka domyśliła się, że trawia je te same wątpliwości.



Tansy Burna wydała z siebie okrzyk i jeszcze mocniej wbiła pięty w boki swojego sztyletozęba. Bestia ryknęła. Bizony przyspieszyły, rycząc i roztrącając zadami pobratymców, by za wszelką cenę umknąć drapieżnikowi. Jej kot wydłużył krok i utrzymał ich tempo.

Tansy kochała gonitwy. Lubiała występującą przy tym zajęciu współpracę i dziki pęd, ale najbardziej na świecie kochała zabijać bizony, a to dlatego, że Tansy Burna gardziła nimi. Przez długi czas pojono ją bzdurami w stylu: „Zobacz tylko, jakie to szlachetne zwierzęta, jakie mają smutne oczy, ileż w nich mądrości i godności”. Tansy wiedziała swoje – bizony to zadzierające nosa dupki, które mają się za lepsze od innych z tych samych powodów, dla których ludzie uznali je za takie wspaniałe, a mianowicie: były ładne i duże. Lecz poza tym nie reprezentowały sobą niczego. Miały szerokie łby, grube rogi i kręconą

brązową sierść. Sądziły, że to właśnie czyni je czymś wyjątkowym, ale na litość Pajęczycy, to zwykli roślinożercy, nie lepsi od królików.

Mimo to wszyscy uważali bizony za pierwszy cud świata. Polowanie stanowiło więc przypomnienie, że to tylko tchórzliwi jarosze, którzy tak się boją sztyletozębnych kotów i kilku krzyczących ludzi, że wolą zlecieć z urwiska i roztrzaskać się na skałach, niż stawić im czoła, choć przecież mają szerokie łby, grube rogi i kręconą brązową sierść.

Nie żeby Grzbiet Wangwy dało się nazwać urwiskiem. Nie było to nawet pełnoprawne wzgórze, ale raczej, jak wskazywała nazwa, niezbyt strome wzniesienie, drobna skaza na gładkiej tafli Morza Traw. A jednak było dość wysokie i dość strome, by zabić głupiego bizona.

Wokół łomotały kopyta. Jedno zwierzę prychnęło i zaniósło się wyciem. Kot Tansy przedarł się gładko przez mrowie bydląt niczym smukłe pomarańczowe czółno mknące po kudłatej rzece.

W dali przed nią, na zachodzie i wschodzie, jeźdźcy powoli zatrzymywali wierzchowce i wycofywali się z dzikiego pędu. Prawie dotarli już do Grzbietu Wangwy. Czasem wyrwanie się z masy zwierząt stanowiło niełatwe zadanie, należało więc rozpocząć hamowanie zawczasu, tak by stado nie porwało nieuważnego jeźdźca ze sobą. Zresztą dalsze płoszenie miało się z celem, na tym etapie gonitwy zwierzęta były już tak oszalałe, że mogły zabić się same.

Tansy jechała naprzód, nawet dalej, niż zamierzała. Jej własna odwaga zapierała jej dech w piersi. Wszystkie koty zostały w tyle. Nigdy jeszcze nie była ostatnim pozostałym jeźdźcem w pogoni. Jedna łowczyni z jej oddziału stała na swoim wierzchowcu, machając na nią, by się zatrzymała. Tansy zakrzyknęła radośnie, pochyliła się naprzód i ścisnęła rozpędzone zwierzę udami.

Kilkaset kroków od wierzchołka pagórka leżało złamane przez cyklon drzewo, które jeźdźcy nazywali „punktem ostatniej szansy”. Jeśli minęło się je w trakcie gonitwy, zostawało zbyt mało miejsca, by wyhamować, i spadało się z grzbietu wraz z bizonami.

Widziała je już. Było coraz bliżej. Tansy Burna wyprostowała się, gotowa ściągnąć cugle.

Lecz wtedy rozbłysła jej w głowie myśl. A nie, jebać to. Przyłgnęła do sztyletozęba, ścisnęła go udami, wpiła się weń palcami i wgrzyzła w futro

na jego grzbiecie. Wcześniej dobiegły ją przypadkiem słowa jednego z tych nowych jeńców i zapamiętała je sobie. Miała zamiar się ich trzymać. Jak to dokładnie leciało? Ach tak.

Umrzesz, kiedy umrzesz.



Badlandczycy zgromadzili się wokół Sitsi, Gunnhildy i Chapy Wangwy. Utkwili wyczekujący wzrok w widocznym na zachodzie wybrzuszeniu terenu. Wangwa zapowiedział swoim ziomkom, że jeśli ktoś zdradzi jeńcom, co się zaraz stanie, zostanie przywiązany za nogi do liny i opuszczony do kotła z wrzącym olejem.

Pozostali Wotanie, jak zwykle ciekawscy wszystkiego naokoło, zbliżyli się do nich wraz z Chogolisą Zadrzyziemią, Palomą Widłoróg i innymi więźniami. Yokiego Choppy ani Jutrzenki nigdzie nie było widać, co nie zdziwiło Sitsi, bo nigdy nie lubili mieszać się z tłumem i nie łapali się na stadny instynkt każący podążać za innymi. Martwiło ją jednak przesadne umiłowanie samotności przez Sofi. Owslanki przywykły do wykonywania rozkazów, a w obecnej sytuacji potrzebowały dowódczyni bardziej niż kiedykolwiek. Sitsi podejrzewała też, że odrobina strategicznego myślenia i rozstawianie wojowniczek po kątach pomogłyby Sofi wyrwać się z marazmu. Dowódczyni znowu spędzała całe dni sama ze sobą, nie odzywając się do nikogo ani słowem. Sitsi nie przychodził do głowy żaden sensowny pomysł na uwolnienie się od pajaków, ale przecież Sofi prędzej czy później chyba coś wymyśli? Nigdy wcześniej ich nie zawiodła.

Sitsi domyśliła się już, czym będzie to zapowiedziane przez Wangwę widowisko. Calnianie nie bawili się w gonienie bizonów, gardzili podobnymi praktykami i zabronili ich w cesarstwie. Zabicie bizona dla mięsa czy futra to nic złego, ale w czasie gonitw ginęło całe mnóstwo tych zwierząt, więcej, niż zdołałoby wykorzystać nawet największe miasto, więc zabite bizona po prostu się marnowały.

Innowak uznawał gonitwy za barbarzyństwo. Sitsi podzielała jego zdanie.



Eryk Złośnik stał wraz z Finnbogim, Chogolisą i Palomą oraz dziećmi i szopami. Wszyscy wpatrywali się w widoczny ponad moczarami wierzchołek.

– Ale że o co się rozchodzi? – spytał Finnbogi.

– Pojęcia nie mam. – Chogolisa pokręciła głową.

– Ja się chyba domyślam – powiedziała Paloma. – Ale nasz śmieszek Wangwa obiecał każdemu, kto się wygada, że utopi go we wrzącym oleju, zaczynając od głowy. Mam więc wrażenie, że gra jest niewarta świeczki. Po prostu patrzcie.

– A spodoba nam się to, co zobaczymy? – zdradził się z wątpliwościami Finnbogi.

– Nie sędzę. Może przyprawi cię o koszmary, ale mimo to powinieneś to zobaczyć. To pomoże ci zrozumieć Badlandczyków. Ale dzieciom może lepiej zasłonić oczy.

– Tak, powinniśmy – potwierdziła Frejdis.

Zapadła cisza. Nikt nic nie mówił. Podskoczyli, gdy chmara ptaków poderwała się nagle z moczarów i pofrunęła w dal. Chwilę później Eryk poczuł, że ziemia drży i że ogarnia go fala przerażenia. Zachwiał się na nogach.

Finnbogi położył mu rękę na ramieniu.

– Wszystko w porządku? Może lepiej... ooo, co to było?! – Finnbogi poleciał na ziemię, ale Eryk go podtrzymał.

– Finn! Finn!

– Już dobrze. O rety! Nogi ugięły się pode mną. Wybacz.

– Wyobraź sobie cycki Thyri – szepnął Eryk.

– Co takiego?

– Wyobraź je sobie. No, dawaj.

Za każdym razem, gdy Eryka napadały czarne myśli, przywoływał obraz piersi atrakcyjnych kobiet. W tym momencie nakazał wyobraźni odmalować biust Jutrzenki, lecz niespodziewanie zamiast tego zaczął myśleć o piersiach Chogolisy. Zdumienie skutecznie przepędziło bizony z jego głowy.

– Dobra... – Na twarz Finna wystąpił grymas usilnej koncentracji. – I... już. Dzięki. Przestraszyłem się. Co to było, na Hel?

– Podejrzewam, że masz to po mnie.



Na szczycie wzniesienia pojawiły się pierwsze bizona i natychmiast zaczęły spadać na łeb na szyję. Większość, gdy tylko traciła podparcie, od razu koziołkowała w powietrzu. Niektóre przebierały jeszcze kopytami w locie, ale wpadały na nie inne zwierzęta i wkrótce one również zaczęły się malowniczo obracać. Masywni roślinożercy uderzali o ziemię u stóp wzgórza w akompaniamencie ryków i trzasków łamanych kości. Było ich coraz więcej, spadały zwartą kaskadą, po czym piętrzyły się na stosie trupów i zdychających pobratymców.

Eryk pokręcił głową. Zablokował impet gorączkowych bizonich myśli, ale wciąż czuł ich strach i ból. Osadził wzrok na Finnbogim. Chyba nic mu nie było. Jeśli Finn odziedziczył zdolność Eryka do komunikowania się ze zwierzętami, to normalne, że nie odczuł tego z pełną mocą. Eryk też z początku odbierał tylko delikatne wibracje.

Przez ryk ginących bizonów przedarł się ludzki krzyk. Na szczycie pojawił się zarys sylwetki człowieka na grzbiecie sztyletozębnego kota. Zwierzę dało susa naprzód. Frunąc w dół z uczepionym sierści jeźdźcem, zaczęło obracać się w powietrzu tak jak bizona.



– Ale przecież skrælingowie żyją w harmonii z naturą. – Gunnhilda rozdziawiła usta. – Szanują ją...

– Skrælingowie? – nie zrozumiała Sitsi.

– No, wy.

– W sensie Calnianie?

– Calnianie, Badlandczycy, Lakchanowie, Goachikowie.

– Ale Wotanie nie?

– Nazywamy skrælingami wszystkich tubylców, wszystkich poza nami.

– Ale wymyśliliście. Równie dobrze moglibyście wrzucić do jednego wora ślimaki, wiewiórki i orły.

– Ale my przybyliśmy z za morza. Wy nie.

– No i?

– Wyglądamy inaczej.

– Istnieją czarne i brązowe wiewiórki. Czy zaliczamy pierwsze do bizonów, a drugie do lwów? – Sitsi irytowało to, że zdaniem Wotan ona sama niczym się nie różni od Badlandczyka. – I jeszcze jedno...

– Fascynująca dysputa, doprawdy – przerwał jej Chapa Wangwa. – Lecz pięknie proszę, podziwiajcie widowisko. Później sobie pogadacie.

Kolejne bizona spadały w przepaść. Jeśli to jedno z tych dużych stad, pomyślała Sitsi, to jeszcze długo będą tak spadać.

– Widowisko? – wypluła oburzona Gunnhilda. – Chciałeś powiedzieć: masakrę.

– Oj tam – zachnął się Chapa Wangwa. – Przecież jest całe mnóstwo bizonów.

– I dlatego wolno zabijać je w tak okrutny sposób? Ludzi też jest całe mnóstwo. Potraktowałbyś ludzi w ten sposób?

– Przecież traktuję. – Jego uśmiech mroził krew w żyłach. – I to o wiele gorzej.

– Co?

– Nieważne. Teraz podziwiajcie widowisko. I nie zapomnijcie nacieszyć się odgłosem.

Po drugiej stronie moczarów wyły bizona. Niektóre próbowały czołgać się na złamanych nogach, ale ostatecznie padały na ziemię. Kilka miało szczęście i nie odniosło ran, po prostu pobiegły dalej. Przez chwilę Sitsi myślała, że Badlandczycy pozwolą im uciec w nagrodę za przeżycie upadku, ale jeźdźcy sztyletozębów zaczęli dobijać je włóczniami. Bezsensowna rzeź.

– Nawet gdybyście zabijali te stworzenia dla mięsa i skóry, to wzniesienie nie jest na to wystarczająco wysokie – powiedziała Gunnhilda głosem niezbyt dalekim od jęku.

– Ja uważam, że jest wysokie w sam raz – odparł Wangwa. – O wiele ciekawiej jest, gdy umierają powoli.

Sitsi nie mogła oderwać wzroku od brązowej kaskady. Ku jej zaskoczeniu na szczycie pojawił się jeździec na sztyletozębnym kocie, który przeskoczył krawędź i rzucił się w dół.



Tansy Burna podniosła głowę ponad linię karku jej galopującego kota.

Bizony przed nią biegly, a potem znikaly. Slyszała wycie spadajacych bestii i tych, które już upadły. Za nimi było tylko niebo. Oglądała już nieraz taką pogoń z drugiej strony, wiedziała więc, co zaraz nastąpi. Rzeka zwierząt dopłynęła do wodospadu.

Tansy nie wiedziała, dlaczego to robi. Kierował nią instynkt. Czuła przypływ nieokiełznanej radości. Wrzasnęła, nabrała tchu i wrzasnęła ponownie.

Jej kot znalazł się na szczycie. Czas stanął w miejscu. Ujrzała w dole trawiastą równinę. Zobaczyła gapiących się na nią Badlandczyków i jeńców. Wyprostowała się, wbiła w boki sztyletozęba twarde skórzane pięty swoich butów jeździeckich i szarpnęła za futro. Przednie łapy zwierzęcia uniosły się, a tylne ugięły, gotowe do skoku.

Przez chwilę frunęli, a potem zaczęli spadać. Kot wylądował na grzbiecie bizona, wysunięte pazury rozerwały mu mięśnie i drapnęły o kość. Po chwili znów lecieli w dół, obracając się delikatnie. Tansy poczuła, że odrywa się w powietrzu od grzbietu i spada sama w skłębioną masę futra i kopyt. Kot zdołał wpić się potężnymi szponami w kolejnego bizona i powrócić do pionowej pozycji, wciskając swój grzbiet między nogi Tansy.

Kot zawsze spada na cztery łapy.

Odbił się od jednego bizona, potem od drugiego, a następnie wylądował na spiętrzonych stercach truchła. Przeskakując nad martwymi i umierającymi zwierzętami, kot i jego jeździec znaleźli się na granicy moczarów, po czym wpadli z pluskiem do mętnej wody.

Tansy wyprowadziła sztyletozęba z zarośli na twardey grunt. Dyszała, jej twarz pokryta była łzami i śluzem z nosa. Jej kot ryczał, jakby chciał powiedzieć: „To było coś!”. Lub może: „Jeśli zrobisz to jeszcze raz, to cię zjem!”. Tansy nie miała pewności. Dała nura w ciepłą sierść, a z jej oczu polały się łzy szczęścia.



Sassa Gryziwarga stała obok Grubego Wulfa, patrząc na szalonego jeźdźca, który wyłonił się z masy rzucających się ze wzgórza i umierających bizonów. Cokolwiek by myśleć o Badlandczykach i o bezsensownej hekatombie takiej liczby niewinnych zwierząt dla

zabawy, sfrunięcie na grzbiecie sztyletozęba w gradzie potężnych bydląt wymagało wręcz straceńczej odwagi.

Wreszcie bizona przestały spadać. Niewielka gromada zwierząt zbliżyła się do uskoku, ale nie rzuciły się w przepaść, tylko ogarnęły wzrokiem górę zabitych i umierających towarzyszy. Sassa dostrzegła dwoje jasnobrązowych młodych. Jedno uniosło głowę i zamuczało rozdzierająco. Pozostałe bizona dołączyły się do żałobnego chóru. Był to najsmutniejszy dźwięk, jaki Sassa słyszała w życiu. Łzy pociekły jej po policzkach.

– Uszy do góry – powiedział Wulf. – Przynajmniej znowu będzie bizon na kolację.

Sassa otarła oczy i podrapała wygolony bok czaszki. Łzy ani myślały przestać płynąć. To przez te młode, które pewnie straciły matki. Wstrząsnęło to nią do głębi. Wulf otoczył ją ramieniem, a ona objęła go w pasie i ścisnęła.

Dziś rano znowu zebrało jej się na wymioty. To już czwarty poranek z rzędu. Raz jeszcze zaniósła modły do Frei, Thora i Odyna, by uchwali ją od śmierci, tak żeby mogła urodzić dziecko. Ale tym razem dodała jeszcze jedną prośbę: by dziecko nie musiało patrzeć na śmierć swojej matki, przynajmniej do momentu, aż będzie na tyle duże, by sobie z tym poradzić.



Tej nocy przy ognisku Eryk postanowił spróbować wytłumaczyć, czym jest jego dar porozumiewania się ze zwierzętami. Ale ponieważ nie miał właściwie zbyt wiele do powiedzenia na ten temat, opowiedział synowi o kilku zwierzęcych znajomych. Ledwie zaczął mówić o pierwszym – rudym lisie numer cztery, który zginął z rąk Lakchanów po zjedzeniu ich świętego indyka imieniem Rucha Się w Deszczu – pojawił się Chapa Wangwa z jedną strzałą w ręce, a wraz z nim Puste Dziecko na wielkorogu.

– Nie chciałem przeszkadzać, proszę, kontynuuj – powiedział oprawca, siadając, po czym włożył grot strzały do ognia. Wielkoróg stał za nim, skubiąc trawę. Płomienie rzucały plamy pomarańczowego światła na pozbawioną wyrazu twarz Pustego Dziecka.

Eryk wcale nie chciał kontynuować przy Wangwie, więc zamiast tego zaczął mówić o tym, jak Lakchan Kobosh próbował zakazać przeklinania.

– Przepraszam, przepraszam – przerwał po chwili Chapa Wangwa, machając w powietrzu strzałą.

– Tak? – spytał Eryk.

– Grot jest już gorący, bardzo gorący. Wiesz, co by się stało, gdybym włożył ci go w oko?

– Bolałoby?

– Twoje oko by wybuchło! Nie tylko wylałaby się z niego woda, jak zapewne myślałeś, ale po prostu by strzeliło, jakby ktoś wyciskał wielkiego pryszczka. Robiłem to wiele razy, ale nigdy mi się nie znudzi.

– Wiem, mnie też nie – powiedział Eryk.

– Zastanawiasz się pewnie, co ma moja strzała do twojej opowieści.

– Nie, znajduję pociechę w niewiedzy.

– Ha, ha! Otóż ma bardzo wiele, Eryku Złośniku. Bo jeśli jeszcze raz spróbujesz porozumieć się z gołębiami, pajakami, bizonami lub jakimkolwiek badlandzkim zwierzęciem, oślepię cię nie na jedno, ale na dwoje oczu, a potem na dokładkę oślepię też tę małą dziewczynkę Frejdis. Czy się rozumiemy, Eryku olbrzymie?

Eryk poczuł rosnącą potrzebę, by przeskoczyć ognisko, wbić temu typowi strzałę w dupę i porządnie go wygrzmocić. Pajaki w jego pudełku poruszyły się, łaskocząc go w szyję. Zdusił więc gniew i spojrzał na łyse dziecko i nieruchomą maskę obojętności na jego twarzy.

– Rozumiemy się – powiedział Eryk, patrząc Badlandczykowi w oczy.

– Ojej – westchnął Chapa Wangwa. – Coś mi się widzi, że wątpisz, że to zrobię. Taki już jestem dziwny, czasem nie mogę zdobyć się na zaufanie do drugiego człowieka. Wybacz, ale jednak musimy to zrobić. – Wsunął strzałę z powrotem do ognia. – Pamiętajcie, że Puste Dziecko kontroluje wasze pajaki. Jeśli ktoś z was mnie zaatakuje albo spróbuje powstrzymać, zginie. A teraz wysuń rękę, proszę. Nie, wnętrzem dłoni do góry. Tak właśnie. Możesz siedzieć, ja podejdem. Nie chciałbym zawracać ci głowy.

Wangwa wyjął strzałę z ogniska, kucnął przy Eryku, złapał go za nadgarstek i wcisnął grot w miękkie ciało między kciukiem a palcem

wskazującym.

Był taki okres w życiu Eryka, gdy jeden ze starszych chłopców w Harówce znęcał się nad nim. Właściwie nie było to znęcanie się, raczej eksperymentowanie z bólem, którego Eryk był niezbyt chętnym podmiotem. Ale Złośnik wyniósł z tego doświadczenia jedną przydatną umiejętność, mianowicie jeśli wiedział, że zaraz go zaboli, potrafił zmniejszyć uczucie bólu, skupiając uwagę na innej części ciała. Więc gdy Chapa Wangwa wbił mu grot w dłoń, palcami drugiej Eryk przebierał w źdźbłach trawy przy lewej nodze, koncentrując uwagę na wrażeniu, jakie pozostawiały one na skórze, na ich temperaturze, na tym, jak zachodziły na siebie nawzajem, i tak dalej. Podziałało tak sobie, zwłaszcza że czuł już swąd palonego ciała, ale przynajmniej udało mu się nie wrzasnąć.

– Ależ dzielny! – pochwalił go Chapa Wangwa, zabierając strzałę. – Cieszę się. Lubię łamać tych odważnych. No, muszę już iść. Jutro, jeśli utrzymamy dobre tempo, ujrzymy nadzwyczajne widowisko. Zobaczycie, bizona to przy tym pikus!



Sassa siedziała dwa ogniska dalej z Wulfem, Bjarnim i Kifem. Mężczyźni omawiali sposoby na pozbycie się pajaków. Wszystkie były do niczego, na część z nich Sassa wpadła już sama i odrzuciła jako niemające szans na powodzenie, więc teraz w ciszy myślała nad imieniem dla dziecka. Rozważała Olafa, jeśli będzie chłopiec, lub Gunnhildę Widłoróg, jeśli dziewczynka, kiedy z ciemności wyszła Thyri i usiadła obok.

– Sasso, mogę na słówko?

– Jasne.

Wzdłuż grani płonęły ogniska, więc odeszły kawałek na wschód i skryły się na zacienionej połaci prerii. Sassa zauważyła, że trawa była tu krótsza niż na przemierzonych wcześniej terenach. Nie sięgała jej nawet do kolan.

Thyri szła w ciszy. Gdy pokonały pięćdziesiąt kroków, Sassa powiedziała:

– Nie oddalajmy się zanadto. Nie chcę sprawdzać zasięgu pajaków.

Drzewonoga zatrzymała się.

– Podoba mi się twoja fryzura.

– Dzięki. – Sassa miała ambiwalentne uczucia. Odkąd zmieniła uczesanie, codziennie poświęcała mu więcej czasu niż poprzedniej fryzurze przez cały miesiąc.

– Sassa, jak to było z Garthem? – Thyri walnęła prosto z mostu. – Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Gryziwarga przypomniała sobie tamto popołudnie. Gartha trzymającego Finna nad głową, gotowego rzucić go w przepaść.

– Nic przed tobą nie zataiłam. Po tym, jak nas napadnięto w obozie nad Matką Wodą i Garth nas uratował, Wulf poprosił, żebym poszła z nim i Finnbogim za czterema ocalałymi skrælingami.

– Czemu?

– Chyba uznał, że mogę być pomocna. Miałam przy sobie łuk. Ty i on byliście ranni, a Kif, Bjarni i Eryk byli gdzie indziej.

– Dobrze, słucham dalej.

– Trafiliśmy na polanę w momencie, w którym ostatni ocalały skræling rzucił się na Gartha i obaj spadli w przepaść. Żaden z nich nie przeżył upadku.

– A pozostali skrælingowie?

– Dwóch już nie żyło, jeden umierał od ran. Garth i Finnbogi... choć właściwie chyba sam Garth zdążył się z nimi uporać.

– A co robił Finnbogi, gdy Garth został zepchnięty z klifu?

– Tego nie wiem. Finnbogi powiedział mi po wszystkim, że walczył z jednym skrælingiem, a Garth z drugim. Gdy Garth powalił swojego, ten walczący z Finnbogim rzucił się na Kowadłogębego.

– I to właśnie się stało?

Sassa przypomniała sobie, jak wycelowała i strzeliła z łuku. Pamiętała mieszankę satysfakcji i wstydu, gdy trafiła Gartha w potylicę. Przypomniała sobie wyraz jego twarzy i to, jak zezował na grot wystający mu z ust. Wyglądał jak jakaś groteskowa żaba.

– Powiedziała ci wszystko, co widziałam. Garth zginął śmiercią bohatera.

– Hmmm – zamyśliła się Thyri.



Rozdział I2

MOKRE GŁOWY

Gdy następnego dnia Wędrowiec Równin wznowił podróż na zachód, Sitsi Pustułka postanowiła, że już najwyższy czas wyciągnąć Sofi Tornado z otchłani samotności.

– Siemasz, Sofi! – zaświergotała wesoło.

Spojrzenie dowódczyni było tak mordercze, że Sitsi cofnęła się bez słowa na drugą stronę pokładu, by wraz z Palomą Widłoróg i Sassą Gryziwargą, a także Thyri Drzewonogą, Bodilą Gęsiodziobą i Kifem Berserkiem wodzić wzrokiem po równinie.

Niedźwiedzica, niedźwiedź i ich mały niedźwiadek zeszli z drogi sunącemu po trawie wehikułowi. Kif opowiadał historię o dziewczynce,

która podkradała w lesie jedzenie rodzinie niedźwiedzi.

Może i jechali ku niechybnej śmierci, ale pajęcza pułapka była tak skuteczna, że nie pozostawało im nic innego, jak tylko cieszyć się podróżą, wywnioskowała Sitsi. Nie czuła się całkowicie beztrosko, godzinami myślała o sposobie zdjęcia pajęczej obroży z szyi, ale nic nie zwojowała. No i nie bardzo miała jak knuć z Sofi, skoro Sofi z nią nie rozmawiała. Czemu nie miałyby więc się rozluźnić i posłuchać jednouchego i jednookiego mężczyzny?

Yoki Choppa ograniczył opatrunki na głowie Berserka do jednego na oku i uchu, rozciął go też, by Kif widział na drugie oko i słyszał na drugie ucho. Najwyraźniej rany goiły się szybko. Jasne włosy, które Berserk ściął, by wykiwać owslanki, odrosły i wystawały spod bandaży, ale były cienkie i wiotkie niczym pióra pisklęcia, jego skalp zaś był chorobliwie blady.

Choć Wotanin wyglądał okropnie, najwyraźniej nie chował urazy do owslanek, które go okaleczyły. Właściwie torturowała go Talisa, która już nie żyła, ale na rozkaz Sofi Tornado, któremu nikt się nie przeciwstawił. Sitsi uznała, że Kif podszedł do tego na chłodno. Rozumiał, że to nic osobistego, tylko po prostu rozsądne zachowanie wobec wroga próbującego zataić istotne informacje, bo przecież byli wówczas wrogami. Spokój Kifa dowodził, że ma chłop charakter, ot co. Sitsi myślała początkowo, że mężczyźni z plemienia Wota to niedojrzałe dzieciuchy, lecz teraz wiedziała już, że to twardzi i porządni ludzie, którzy lubili i umieli się bawić, i nie bali się stawiać czoła przeciwnościom losu. Uznała, że to dobre podejście do życia. Szkoda, że to życie tak szybko się skończy.

Dzień upłynął bez rewelacji; wokół ciągnął się regularny przestwór Morza Traw. Wędrowiec przekraczał rzeki z rozpędu, bez specjalnego przygotowania, gładko jak po maśle. Grunt nie był całkowicie płaski, ale też niezbyt pagórkowaty. Właściwie pod względem atrakcyjności plasował się gdzieś między chodzeniem w kółko a patrzeniem, jak rośnie trawa. Sitsi doszła do wniosku, że bogom nie chciało się budować ciekawego krajobrazu na zachód od Matki Wody.

Robiła, co mogła, by szczerze cieszyć się panoramą, ale nie widziała już niczego, czego nie oglądałyby wczoraj czy przedwczoraj. Jej serce

zabiło szybciej, gdy dostrzegła lwa w pogoni za dwoma widłorogami, ale leniwe zwierzę od razu dało za wygraną. Nie było na czym skupić uwagi, usiadła więc sobie obok Bodili Gęsiodziobej i tak siedziała.



Jutrzenka wciąż stroniła od reszty towarzystwa, ale patrzyła, jak Sitsi Pustułka słucha z uwagą paplającej grzyboludki. Widok uprzejmej małej Sitsi próbującej utrzymać wyraz zainteresowania na twarzy, gdy Bodila głądziła o wszystkim i o niczym, był najciekawszym z tych, które oglądała od momentu pojmania.

Chogolisa, Paloma i Sitsi z przyjemnością bratały się z grzyboludami. Jutrzenka nie mogła tego zrozumieć. W pewnym sensie zazdrościła im umiejętności dogadywania się z gorszymi od siebie, ale nie do tego stopnia, by zazdrość ta przyćmiła zdumienie, a nawet obrzydzenie. Calnianie byli o niebo lepsi od grzyboludów, a owslanki były calnijską elitą. Klasowy rozróżnik był tak wielki, że Jutrzenka nie była w stanie go pokonać. O czym niby miałyby rozmawiać z ludźmi pokroju tego głupka Grubego Wulfa czy napuszonej Gunnhildy Pobożnej?

Yoki Choppa nigdy z nikim nie rozmawiał, a Sofi Tornado tkwiła w swoim kokonie, z którego nie pozwoliła się wydobyć. Takie samo zdanie Jutrzenka miała o czwórce więźniów z plemienia Wytrzeszczów – zupełnie nie wzbudzali jej ciekawości. Tak więc spędzała dzień, patrząc na przeraźliwie nudną prerię i starając się wymyślić, jak pozbyć się tych pierdolonych pajaków u szyi.

Gdy wrzeszczały o jedzenie, tylko nadzwyczajnym wysiłkiem woli powstrzymywała się, by nie zedrzeć obroży w cholerę.

Gdy późnym wieczorem Wędrowiec stanął, a gołębie zaczęły dziobać pajęczne włókna, Jutrzenka usłyszała gardłowy ryk. Pomyślała, że to jakieś zwierzę, może stado lwów lub jakieś nowe, nieznane dziwadło, ale dźwięk był zbyt regularny, by wydawała go istota żywa.

Zeszła wraz z innymi po drabinie, niemalże zaciekawiona tym dziwnym hałasem. Wspięli się za Chapą Wangwą na wzgórze, zza którego dochodził narastający dźwięk. Wyjechało im na spotkanie sześcioro jeźdźców na bizonach, a za nimi – grupka łysych dzieci na wielkorogach. Czy nikt już nie chodził pieszo na tym cholernym Morzu

Traw? Podeszła do niej Sitsi, która zostawiła Bodilę.

– A ci co za jedni? – spytała Jutrzenka.

– Sądząc po odgłosie, to Cuguajowie – poinformowała Sitsi.

– A cóż to za odgłos, moja ty mądra przyjaciółko?

– To wodospad. A właściwie sekwencja wodospadów.

– Pewna jesteś? Szum jest bardzo głośny. A wodospad wydaje się zbyt ciekawą formacją terenu, jak na monotonne Morze Traw.

– Jeśli to ten, o którym myślę, to jest dostatecznie wielki, żeby być uznanym za boga.

– Na tym pustkowiu nawet małe drzewko można by uznać za boga. Co wiesz o tej zgrai?

– Te wodospady to Cuguai, plemię przejęło ich nazwę. Ich wódz, kobieta, nazywa się Clembura. Przewodzi im, odkąd skończyła jedenaście lat. Nie rozumiem tylko, czemu jeżdżą na bizonach. Nie wiedziałam, że to robią.

– Może zaczęli niedawno?

– Kto wie? Może Badlandczycy...

– Bądź pozdrowiona, szlachetna Clemburo! – zawołał Chapa Wangwa.

– Oto nasi goście. Szanowni goście, oto Clembura, wódz plemienia Cuguajów!

Kątem oka Jutrzenka spostrzegła, że Sitsi kiwnęła głową i uśmiechnęła się, gratulując sobie poprawnego zidentyfikowania obcych.

Clembura spoglądała na nich z wysokości swojego wierzchowca. Była mniej więcej trzydziestopięcioletnią kobietą o wielkich oczach i tak topornej i masywnej zuchwie, że jej ciężar odsłaniał dolne zęby. Nic nie powiedziała, tylko wyłowiła z kieszeni skórzanego bezrękawnika drewniany flet, przyłożyła go do ust i wydobyła zeń skomplikowany, smutny ton. Choć trudno było nazwać to należytytym powitaniem, Jutrzenka musiała przyznać, że kobieta jest zdolnym muzykiem, a melodia mile zabrzmiała w uszach. Więcej niż mile – wspaniale harmonizowała z hukiem niewidocznego jeszcze wodospadu, splatała się z nim i niosła pod samo niebo, jakby wódz chciała w ten sposób nakreślić związek chmur z wodą i potwierdzić boski status wodospadu.

– Witaj, Chapo Wangwo – przywitała się Clembura, gdy skończyła grać. Wydawała się zadowolona z siebie. – Czy przybywasz

z podarunkami dla plemienia Cuguai?

Jutrzenka zauważyła, że wódz też ma pajęczę pudełko na szyi, podobnie jak otaczający ją bizoni jeźdźcy. Ach, oczywiście, westchnęła w duchu.

Cuguajowie to wasale Badlandczyków. Muzyczny popis Clembury był próbą podkreślenia, że jest czymś więcej niż tylko niewolnicą. Ale Jutrzenka nie dała się zwieść.

– Ile podarków pragnie otrzymać bogini? – spytał Chapa Wangwa.

– Trzy?

– Dam wam dwa.

– Cuguai może zadowolić się dwoma, ale...

– Cuguai dostanie dwa. I będzie zadowolona. Dam wam jednego z tych tutaj. – Wangwa wskazał Wytrzeszczów. Obrzucili go spojrzeniem, zapewne bojaźliwym, ale Jutrzenka nie umiała ocenić, bo te wybałuszone gały malowały na ich twarzach permanentną maskę przestachu. – Oraz jednego z naszych egzotycznych przybyszów z wielkiego morza. – Przesunął palcem w kierunku grzyboludów.

Jutrzenka stłumiła uśmiech. To będzie ciekawe. Bycie podarkiem dla bogini mogło oznaczać wiele rzeczy, ale zawsze było równoznaczne z widowiskową i bolesną śmiercią.

Clembura omiotła wzrokiem Wytrzeszczów, a potem zatrzymała się na dłużej na grzyboludach.

– Zaprawdę wyglądają obrzydliwie – stwierdziła. – Cuguai będzie zadowolona!



Finnbogi spojrział na Eryka. Odpowiedzią ojca było wymowne uniesienie brwi. Co to ma znaczyć, na szpiczastą faję Lokiego? Czyżby jeden z nich miał zostać złożony w ofierze jakiejś bogini? Jedyłą ofiarą, jaką Harowianie składali bogom, było bizonie mięso dla Thora. W skład ceremonii wchodziło opieczenie mięsiwa na rożnie i zjedzenie go. Nie jest dobrze, Finn zaczął się denerwować. I co to za ryk? Skąd bije tamta chmura pary? Znajome uczucie przyprowadzającego o mdłość strachu wbiło lodowate szpony w jego wnętrzości.

Poszli za Wangwą i pozostałymi jeźdźcami. Finnbogi zerknął na

zabandażowaną dłoń Eryka. Ten zarzekał się, że go nie boli, choć Finn widział przecież, że poparzenie jest dotkliwie. Gdy patrzył, jak oprawca krzywdzi jego ojca, odnalazł w sobie nowe pokłady nienawiści do Chapy Wangwy. Dotąd nie sądził, że może nienawidzić kogoś bardziej niż Gartha Kowadłogębego.

Cuguajowie zeszli z bizonów i zaprowadzili przybyszów nad skalną przepaść, skąd rozciągał się widok na dziwny wodospad. Trawa rzedła tutaj, ustępując miejsca schodkowatej formacji skalnej w osobliwym, różowobrazowym kolorze. Rzeka nie tyle przepływała przez ten kamienny obszar, ile przepychała się, spływając na złamanie karku po stromych stopniach i tworząc serię wodospadów, o której wspomniała Sitsi. Finnbogi widział już wodospady, ale nigdy takie. To był zupełnie inny poziom. Dwa największe były zatrważająco potężne, woda spadała z wysokości co najmniej dziesięciu kroków z tak wielką siłą, że musiała gruchotać kości nieszczęsnego zwierzęcia, które przypadkiem wleciało do wody.

Po obu stronach rzeki stali Cuguajowie, ubrani tak jak Clembura w skórzane kamizele. Przyglądali się nowo przybyłym z wyrazem wyczekiwania na twarzach.

– Rety... – wyrwało się Finnbogiemu.

– Właściwie to jestem zawiedziona – skwitowała stojąca obok niego Sitsi. – Na północnym wschodzie jest wodospad wysoki na siedemdziesiąt kroków.

– Ten jest dostatecznie wielki, żeby zabić każdego, kto próbowałby go przepłynąć. Albo każdego, kto zostanie wrzucony do...

Olśnienie spadło na Finna, jakby ktoś rzucił mu w pysk mokrą szmatą.

– To jest bogini Cuguai, prawda?

– Tak – potwierdziła Sitsi.

– A ofiara dla Cuguai zostanie...

– Najoczywistsza odpowiedź to z reguły ta poprawna – powiedziała stojąca z drugiej strony Gunnhilda. – Patrz.

Wskazała Chapę Wangwę, który krążył dookoła czwórki Wytrzeszczów. Zerwał kilka źdźbeł trawy i kazał każdemu wyciągnąć po jednej. Zrobili to, choć wyraźnie wbrew woli.

– Gratulacje! Wyciągnąłeś najkrótszą! – zawołał Badlandczyk przy

trzecim Wytrzeszczu.

Pechowcem okazał się Clogan, nestor plemienia, o najbardziej chyba wybałuszonych oczach, którymi wpatrywał się teraz w króciutkie pasemko trawy. Finnbogi przeskoczył wzrokiem do ryczącej, spienionej rzeki, a gula przerażenia rozpychająca się w jego wnętrznościach podeszła mu do gardła. Cóż za straszny sposób na rozstanie się z tym światem.

– Klękaj! – krzyknął Wangwa na oszołomionego nieszczęśnika, a gdy ten nie wykonał polecenia, sam rzucił go na kolana. Zrobił mu coś, czego Finn nie uchwycił wzrokiem, lecz gdy Clogan wstał, jego pajęczce pudełko zwisało spomiędzy palców Wangwy.

– Tylko żadnych głupstw – przestrzegł jeńca, uśmiechając się wrednie i pokazując palcem jego pobratymców. – Pamiętaj, że twoi przyjaciele wciąż mają obroże.

Mężczyzna kiwnął służalczo głową.

– A teraz idź z wodzem Clemburą.

Clogan usłuchał, ruszył za kobietą w górę rzeki, do zebranej na brzegu masy Cuguajów. Ovets i dwaj pozostali plemieńcy chcieli iść za nim, ale Wangwa odepchnął ich bez wysiłku. Kościsty mężczyzna był o wiele silniejszy, niż na to wyglądał.

W międzyczasie tłum Badlandczyków gęstniał. Finnbogi odgadł, że przybiegali po skończonej robocie przy Wędrowcu, nie chcąc przegapić przedstawienia.

Wódz wstąpiła na wystającą poza linię urwiska drewnianą platformę. Kawałek dalej w górę rzeki widniał most, wypełniany się teraz Badlandczykami i Cuguajami.

Clembura stała na platformie sama i wygrywała na flecie jakąś melodię. Finnbogi usłyszał tylko poszatkiwaną przez szum rzeki, jazgotliwą frazę, ale wcale nie wyteżał słuchu. Taka muzyka ani go ziębiła, ani grzała.

Wódz skończyła grać i schowała flet do kieszeni. Czterej Cuguajowie podnieśli jeńca za ręce i nogi, zaczęli kołysać nim w przód i w tył, skandując jakąś formułę, z której Finnbogi zrozumiał tylko imię ich bogini, a potem wrzucili Clogana do rzeki.

Impet sprawił, że na chwilę zniknął pod powierzchnią wody, ale

potem wynurzył się i zaczął płynąć w stronę lądu, rozgarniając wodę zamaszystymi wymachami rąk. Wcale nieźle pływał. Finnbogi uśmiechnął się pod nosem. Tego się nie spodziewałeś, ty sadystyczny draniu. Ale czy Clogan zdoła dopłynąć do brzegu?

Prawie mu się udało. Był już blisko, ale opadł z sił i gdy zatrzymał się na moment, by dać odpocząć ramionom, porwał go silny prąd. Spadł ze średniego wodospadu, znowu zniknął pod wodą i znowu wypłynął na powierzchnię. Przed nim pienily się wody pierwszego z dwóch większych wodospadów. Rozdzielał się on na cztery mniejsze strugi, przedzielone odcinkami ciemnej od wilgoci skały. Clogan przeleciał tyłem przez pierwszą z nich i rozbił sobie głowę o skalny występ u jej stóp.

Jego przyjaciele zanieśli się płaczem. Wraz z Badlandczykami, Cuguajami, Calnianami i Wotanami zaczęli wyciągać szyje i szukać go wśród fal i chmur drobniutkich kropelek.

Finnbogi zaniósł bezwiedną modlitwę do Odyna, pragnąc z całego serca, by Clogan wyłonił się z topieli. Nie było sensu modlić się do Lokiego. On pewnie bardziej by się ucieszył ze śmierci Wytrzeszcza.

Clogan już nie wypłynął. Minęło parę chwil – niezbyt długo dla gapiów, ale bardzo długo dla kogoś zanurzonego w wodzie. Ovets, Walex i Sandea skupili się w grupie i otoczyli ramionami. Finnbogi odwrócił wzrok.

– Źle wytyczył trasę spływu – skomentował Kif Berserk, podchodząc do Finna.

– Co?

– Płynął w naszą stronę, zupełnie jakby chciał, żeby nurt go obrócił i rzucił nim o skałę. Widzisz tamten wir? – Berserk wskazał palcem. – To go zabiło. Gdyby płynął w przeciwnym kierunku, czyli byle dalej od nas, dotarłby do drugiego wodospadu, który jest co prawda wysoki, ale gładszy. Nic by mu nie było.

Finnbogi przyjrzał się drugiemu wodospadowi. „Nic” to może lekka przesada. Prawda, na tym odcinku nie było wystających skał, ale masy wody były z mocą w kotłującą się głębię u podstawy skały niczym pięści wściekłego olbrzyma.

Nawet jeśli Clogan jakimś cudem przeżyłby pierwszy upadek, to

kolejne wodospady wydawały się jeszcze bardziej zdradliwe.

– Tak, na pewno byłoby w porządku – powiedział do Kifa.

– Toż mówię. Gdyby szybko płynął, mógłby przeżyć trzeci spadek i wtedy lepiej się ustawić pod ostatni wodospad. Choć w sumie trudno powiedzieć, musiałbym sam spróbować.

– Może wkrótce nadarzy się okazja. Idzie tutaj nasz śmieszek.

Chapa ścisnął w pięści kępkę trawy. Badlandzki dowódca Rappa Hoga zeskoczył ze sztyletozęba i dołączył do niego. Wielki kot także ruszył za nimi.

– Zbierzcie się, Wotanie, zbierzcie się! – zawołał wyszczerzony jak zwykle oprawca. – Czas wyłonić kolejnego ochotnika.

– Chyba trochę ode mnie jedzie, co? – Wulf uniósł ramię i powąchał pachę. – O fuj, to nie do przyjęcia. Chyba wszystkim dobrze zrobi, jak się wykąpię. Ja się zgłaszam.

– Ależ nie, nie, nie. Cuguai przyjmuje tylko ochotników wyłonionych drogą losowania. Wszyscy musicie ciągnąć losy.

– Wszyscy poza dziećmi.

– Nieustępliwy z ciebie człek, Gruby Wulfie! Ja zaś mam miękkie serce, więc tym razem się ugnę. Szopy nie muszą ciągnąć losów.

Wulf zrobił krok naprzód i zawisł nad niższym Wangwą jak burzowa chmura.

– To dobry początek. Ale ludzkie dzieci też wyłączymy z losowania.

Badlandczyk ani drgnął.

– Uderz mnie! Proszę, proszę, proszę! A kiedy już pająki zrobią swoje i zmienią cię w kupę bezużytecznego mięsa, wyświadczę ci przysługę i kopniakiem obrócę cię tak, żebyś widział, kto wylosował najkrótsze źdźbło.

– Nie pošlesz dzieci do wodospadu. Nie będą losować. – Wulf się uśmiechał. Jeśli uśmiech Wangwy przywodził Finnowi na myśl węża, to ten Wulfa przypominał mu tornado, które zabiło Chnoba Białego.

– Obawiam się, że to wbrew zasadom – odparł Chapa Wangwa. – Czyż nieprawdą jest, że każdy kandydat musi losować źdźbło trawy, wodzu Clemburo?

– Badlandczyk ma rację. Gdy wzrok bogini Cuguai spocznie na grupie, każdy jej członek musi ciągnąć los.

– Każdy. Z wyjątkiem dzieci.

Chapa Wangwa przywołał skinieniem dziecko na wielkorogu.

– Pajaki na szyi Grubego Wulfa...

– Chwila – odezwał się Rappa Hoga. Gdyby potężny dowódca przystąpił wraz z Wulfem do konkursu na najbardziej wojowniczo wyglądającego bohatera, jury ogłosiłoby remis. – Dzieci będą losować, tak jak żąda tego potężna Cuguai.

– A więc ty i ja... – Wulf zrobił krok w jego stronę.

– Poczekaj. Jeszcze nie skończyłem. Wszyscy będziecie ciągnąć losy, ale jeśli padnie na niedorosłego Wotanina, dorosły Wotanin będzie mógł zająć jego miejsce.

– Ale... – Clembura ruszyła w ich stronę.

– Cuguai przystanie na ten warunek – przerwał jej Rappa Hoga. To nie było pytanie.

Kobieta o potężnej zuchwie zawahała się, a potem kiwnęła głową.

– Dziękuję, Rappo Hogo – powiedział Wulf.

Przez chwilę obaj mężczyźni przypatrywali się sobie. Finnbogi czuł, że powietrze aż trzeszczy od męskości.

– Dobrze, już dobrze! A więc kontynuujmy – zawołał Chapa Wangwa, rozpraszając samczą aurę. – Zbliźcie się, ciągniemy losy.

Wotanie otoczyli uśmiechniętego Badlandczyka.

Gunnhilda sięgnęła pierwsza i wylosowała długie źdźbło. Potem ciągnęła Thyri, później Sassa. Dalej Frejdis i Ottar. Same długie źdźbła.

Wulf skinął na Finna. Ten wziął trawkę w palec wskazujący i kciuk. Pociągnął. Chapa Wangwa szarpnął ręką, źdźbło przerwało się i w dłoni Finna pozostał króciutki jego fragment.

– Ja... ty... – Finnbogi rozejrzał się. Nikt inny nie zobaczył tego, co zrobił Badlandczyk.

– Świetnie! – zakwilił Chapa Wangwa. – Jakże się cieszę, że padło na ciebie. Nie lubię cię. Palcem nie kiwnąłeś, gdy krzywdziłem twojego ojca.

– Ale przecież...

– Czy to nie dziwne, że akurat ciebie wybrała bogini? Choć po prawdzie czasem wybiera kogoś tylko po to, żeby zdjąć ciężar z barków jego towarzyszy, nie zaś ze względu na jego przymioty.

Gunnhilda była przerażona. Frejdis uśmiechnęła się do Finna. Czy

zobaczył łzy w oczach Thyri? Twarze wpatrzonych w niego owslanek wyrażały coś, co bardzo przypominało obojętną akceptację. Sofi po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. Trzej pozostali Wytrzeszcze mierzyli go wzrokiem wyrażającym współczucie, a w spojrzeniach Badlandczyków doszukał się skrywanej nieudolnie drapieżnej wesołości.

Finn rzucił okiem na rozpędzoną, spienioną wodę i pokiwał głową. Niech tak będzie. Gdy już wiedział, że padło na niego, nie obawiał się tak jak wtedy, gdy zżerała go niepewność. Był gotów. Był też, rzecz jasna, przerażony, ale co mu tam. Umrzesz, kiedy umrzesz.

– Ja pójdę za niego.

To była Jutrzenka! Wyglądająca jeszcze bardziej bohatersko od Wulfa i Rappy Hogi wojownicza bogini, druga – zaraz po Palomie Widłoróg – w jego prywatnym rankingu najpiękniejszych owslanek, na równi z Sofi Tornado, tą najmniej przyjazną. Czy on się czasem nie przesłyszał?

Zaległa cisza. Wszyscy byli co najmniej tak samo zdumieni jak Finnbogi.

– Zajmę jego miejsce – powtórzyła, rozwiewając wątpliwości.

– Nie, nie, nie. – Chapa Wangwa pokręcił swoją uśmiechniętą główką.

– Cuguai dokonała wyboru! Ten wkurzający gnojek zginie w wodospadzie.

– Rappa Hoga powiedział, że jeśli niedorosły Wotanin wylosuje krótkie źdźbło, dorosły będzie mógł się z nim zamienić.

– Miał na myśli dzieci!

– Sam właśnie nazwałeś go gnojkiem, a więc niedorosłym.

– Ale... – zaczął Chapa Wangwa.

– Zdejmij mi obrozę. Sama rzucę się do wody.

– Nie – zabronił Rappa Hoga.

– Powiedziałeś...

– Powiedziałem: dorosły Wotanin, a ty nie należysz do ich plemienia.

– Nie, nie tak było. Powiedziałeś...

– Dokładnie tak powiedział – rozbrzmiał pierwszy raz od dawna głos Sofi Tornado. – Wracaj do szeregu, Jutrzenko.

Wojowniczką usłuchała.

– Klęknij, poproszę – polecił Wangwa Finnbogiemu. – Zdejmę ci pająki. Nie chcemy przecież, żeby spotkał je tak straszny los. Ale pamiętaj, że

jeśli mnie zaatakujesz lub spróbujesz uciec, to każę pająkom pokąsać... kogo by tu... ją.

Wskazał Thyri Drzewonogą. Dziewczyna uniosła rękę, przyłożyła ją do obroży i zgromiła Wangwę takim samym spojrzeniem, jakim potraktowała swojego brata Chnoba Białego, gdy wyszło na jaw, że ich zdradził.

Finnbogi spojrział na rzekę. Znów obleciał go strach, i to o wiele silniejszy niż ten, który zawładnął nim, zanim jeszcze odezwała się Jutrzenka. Nadzieja to straszna rzecz, rozbłysło mu w głowie.

– No dobra, Cipa Wangwa! – zawołał do Wangwy Kif Berserk. – Zdejmij pająki, a ja przepłynę rzekę.

Ukląkł przed Badlandczykiem. Uśmiech na twarzy Wangwy zrzędł. Chapa przeskoczył wzrokiem do Rappy Hogi. Dowódca błysnął zębami.

– Nie o to mi chodziło, ale właściwie mieści się to w moim postanowieniu. Kif Berserk zajmie miejsce Finnbogiego i zostanie oddany bogini.

– To nie żadna bogini – powiedział Kif. – To rzeka, która płynie z góry na dół.

Rappa Hoga uniósł brew.

– Kif Berserk niech lepiej nie przegina. Gdy poziom wody się obniża, wiążemy ofiary, żeby się upewnić, że pochłonie je rzeka. Zachowaj milczenie, Kifie, jeśli chcesz umrzeć tylko z jednym brakującym okiem i uchem. Zauważ ponadto, że wszystkie rzeki płyną z góry na dół.

– Rzeczywiście! Znaczą przepraszam. – Kif potaknął zdecydowanie. Wciąż klęcząc, podniósł głowę, by Wangwa mógł odczepić obrożę.

Finnbogi rozejrzał się naokoło. Wszyscy mierzyli go wzrokiem.

– Kif, nie możesz tego zrobić – powiedział z ociąganiem. – To ja wylosowałem najkrótsze źdźbło.

– Mogę i zrobić. No nie, Wulf?

– Na pewno tego chcesz? – spytał dowódca Wotan.

– Ta, czemu nie.

– W takim razie, Finnbogi, rozkazuję Kifowi zamienić się z tobą. To nie twoja decyzja i nikt nie będzie mógł mieć do ciebie pretensji. Czy to jasne, ludzie?

Finnbogi podniósł wzrok na Thyri. Odwróciła głowę.

Chapa Wangwa zdjął Kifowi pudełko. Berserk wstał i wręczył Duporąba Ottarowi.

– Opiekuj się nim, mały.

– Przecież Ottar jest za mały, żeby nim walczyć – zauważyła Gunnhilda.

– No to co? Wrócę za chwilę. – Kif zmierzwił chłopcu włosy, Ottar się rozpromienił.

– Chodź, przybyszu – przywołała go Clembura.

Kif stanął obok niej na platformie.

– Stopy wody pod kilem, Kif – powiedział Wulf.

Clembura raz jeszcze zagrała na flecie, a czterech Cuguajów wzięło Kifa za nogi i ręce. Berserk głośno instruował ich, gdzie mają go rzucić.

Skandowali i machali, aż w końcu cisnęli go do skotłowanej toni.



Rozdział I3

WODOSPAD

Sitsi Pustułka wspięła się na palce. Stojąca obok Eryka Złośnika Chogolisa z Ottarem na ramieniu miała nachmurzoną minę. Jedną dłoń Palomy spoczywała na ramieniu Frejdis, a palce drugiej splecione były z palcami Sassy. A Jutrzenka – Jutrzenka! – postanowiła oddać życie za Finnbogiego.

Sofi Tornado pokręciła głową. Przez chwilę nosiła się z myślą, by odpuścić widowisko i wrócić na Wędrowca, żeby poćwiczyć walkę mieczem odebrany Finnowi – postanowiła wykorzystać swobodę, jaką Badlandczycy zapewniali więźniom – lecz po chwili uznała, że ciekawiej będzie patrzeć, jak tonie Kif Berserk.

Pokraczny grzybolud wisiał chwilę nad wezbrany nurtem, a potem plusnął do wody, rozłożywszy szeroko ręce i nogi, by jako tako utrzymać się na powierzchni pomimo siły rozpędu. Natychmiast obrócił się na brzuch i zaczął machać rękami w ten sam sposób co poprzednia ofiara Cuguajów, sięgając ramionami ponad głowę. Wotanin obrał jednak inny kierunek niż Wytrzeszcz, a mianowicie oddalił się od brzegu i znalazł w środku nurtu.

Czy chce w ten sposób skrócić swoje męki? – zastanawiała się Sofi.

Rzecznej bogini najwyraźniej nie obchodziły jego zamysły; niosła go z dziką siłą ku pierwszemu, niskiemu wodospadowi. Kif, dotarwszy do uskoku, wybił się silnie, okręcił w powietrzu jak jakiś wodny akrobata i poleciał w dół na nogi, ramionami osłaniając głowę.

To wcale nie najgłupsze, co w życiu widziałam, pomyślała Sofi Tornado.

Kif płynął z prądem jak gałąź odłamana z drzewa przez gwałtowną burzę. Zbliżał się nieuchronnie do drugiego uskoku. Stopy trzymał wyprostowane, głowę uniesioną, by wiedzieć, dokąd płynie, i sterował ramionami.

Sofi wiedziała, że grzybolud ominie skały, które okazały się zgubą Clogana. Wytrzeszcz nie wyłonił się jeszcze na powierzchnię, prawdopodobnie siła spadającej wody trzymała go przy dnie. Sofi musiała przyznać, że robi się coraz ciekawiej.

Kif przelał się przez śliski zrąb.

– Woota! – wrzasnął i wpadł z chlustem do wody. Zniknął za kurtyną białej mgły.

Pojawił się uderzenie serca później. Wskoczył ze spienionej toni jak łoś w tarle. Przez chwilę zdawało się, że prąd znowu wciągnie go pod wodę, lecz Kif pochylił głowę i zamachnął się ramionami, kopiąc jednocześnie mocno nogami. Utrzymał się na powierzchni.

– Woota! – odkrzyknął Gruby Wulf.

– Woota! Woota! Woota! – dopingowały pobratymca grzyboludy w akompaniamencie Palomy, Chogolisy i Sitsi.

Jutrzenka spojrzała na Sofi. Uniosła brew.

Tornado raz jeszcze przyrzekła sobie, że popracuje z dziewczynami nad ich zdolnościami pływackimi. Kif Berserk sprawdziłby się jako

nauczyciel, gdyby tylko nie był przeznaczony na ofiarę dla bogini. I gdyby nie płynął właśnie w kierunku największych wodospadów, które z pewnością zabiją go, zanim zrobi to Sofi.

Niezmordowany Kif przepłynął na drugą stronę nurtu i ustawił się w linii wolnego od skał odcinka wodospadu, po czym znowu okręcił się, niesiony prądem, tak by nogi i głowa wystawały ponad tafelę.

A potem zniknął pod wodą.

Sofi niemal chciała, by skoczył tak jak poprzednio. Nie lubiła Cuguajów. Jeśli Kif przeżyje ten szalony spływ, to tak jakby napluł w twarz ich bogini. Sofi nie darzyła miłością grzyboludów, ale to były jej grzyboludy.

Wpatrywała się w nurt z resztą gapiów, nie wyłączając Chapy Wangwy i Rappy Hogi.

Kif nie wyskoczył z wody. W ogóle się nie pokazał.

Na brzegu zaległa cisza.

Owslanki, Wotanie, Badlandczycy, Cuguajowie i Wytrzeszcze lustrowali wzrokiem skotłowany basen u podstawy wodospadu. Po Kifie ani śladu.

– Tam! – zawołał Bjarni. – Wooo... – zaczął i urwał. Pomylił się.

Nieubłagany czas dotarł do punktu, w którym człowiek może jeszcze przeżyć pod powierzchnią wody, a potem popłynął dalej. Kif wciąż się nie wynurzał.

– Nie! – załamała się Bodila Gęsiodzioba.

Sassa objęła dziewczynę. Łzy ciekły jej po twarzy. Z jakiegoś powodu czuła się jak idiotka w swoim nowym uczesaniu.

Sofi zamrugała. Nie przepadała za grzyboludami, właściwie nie lubiła ich ani trochę, przecież wszystkich ich zabije, gdy to się już skończy, ale nie lubiła patrzeć, jak ktoś ginie w taki sposób. Potrząsnęła głową. Im szybciej owslanki zaczną spożywać magiczne mięso, tym lepiej. Wtedy przestaną się tak emocjonować i kumplować z kim popadnie. Nie mogła uwierzyć, że zebrało jej się na łzy przez to jednookie dziwadło.

Odwróciła się, by ruszyć w stronę Wędrowca i jednak odbyć trening. Nie mogła już patrzeć, jak jej wojowniczkę łączą się w bólu z grzyboludami. Brało ją na mdłości, gdy pomyślała, że mogą się nawet obejmować. Gdyby to zobaczyła, sama by chyba którąś zabiła...

– Tam jest! – wrzasnęła Sitsi Pustułka.

Sofi okręciła się w miejscu.

– Gdzie? – wydyszała Sassa. – Nie widzę...

Ale Sofi widziała. Wynurzył się sto kroków dalej, w dole strumienia, ale coś było nie tak. Wyglądało na to, że prąd niesie nie jedną, lecz dwie osoby.

– Woouoooo-aaaa! – ryknął Kif, znikając za osłoniętym drzewami zakolem rzeki.

Rappa Hoga wskoczył na swojego sztyletozęba i puścił się galopem po wieźnia. Gruby Wulf i reszta grzyboludów pobiegli za nim, ale Chapa Wangwa ryknął:

– Pajaki was pokąsają! Wracać tu do mnie i do Pustych Dzieci!

Wulf zatrzymał swoich ludzi. Cofnęli się niechętnie, ale nie musieli czekać długo, bo Kif wrócił biegiem, a za nim Rappa Hoga z jakimś tłumokiem przerzuconym przez kolana.

Kif zgubił bandaż, w miejscu brakujących oka i ucha widniały zaróżowione dziury, ale poza tym wyglądał na okaz zdrowia i szczerzył się, jak może się szczerzyć tylko człowiek, który oszukał samą śmierć. Grzyboludy zgromadziły się wokół niego, wznosząc radosne wiwaty, podczas gdy Rappa Hoga zszedł z kota i zdjął ładunek, którym okazał się utopiony Clogan. Przez chwilę Sofi myślała, że Wytrzeszcz żyje. Może trafił na podwodną dziurę powietrzną? Ale nie, był bledszy od grzyboludów i najzupełniej, nieodwołalnie martwy.

Ciemnoskóry wojownik ułożył zwłoki na nagiej czerwonej skale. Wytrzeszcze stanęli naokoło współplemieńca.

– Tyle przeszedł... – odezwał się Ovets. – Dziękujemy ci, Kifie, żeś go przyniósł.

– Nie ma sprawy! – krzyknął grzybolud. – Wybaczcie, że tyle mi to zajęło. – Wyswobodził się z wianuszka gratulujących pobratymców i podszedł do wodza Clembury. Sofi śmieszyły jej nieudolne próby ukrycia zdumienia i rozczarowania.

– Fajna ta wasza rzeka – powiedział, powiódłszy swoim jedynym okiem po sekwencji wodospadów, tak jak wytrawny inżynier oglądałby świeżo wzniesiony mur. – Trochę nie doceniłem tego drugiego uskołu. Mogę jeszcze raz?



Spędzili noc nad rzeką. Finnbogi Zbuk usiadł przy ogniu wśród swoich, gdzie zasiadły też Sitsi i Paloma. Wszyscy słuchali opowieści Kifa po raz piąty lub szósty. Finnbogi oczywiście cieszył się, że Berserk wyszedł z opresji cało, ale wciąż łajał się w myślach za to, że tak chętnie pozwolił mu zająć swoje miejsce. Finn nieźle pływał, może dokonałby tego samego co Kif i teraz to jego wszyscy by uwielbiali i słuchali jego opowieści.

– Ale skąd wiedziałeś, że to ciało Clogana, a nie jakieś zwierzę czy coś?
– dopytywała się Bodila.

Siedzący na pniu Kif pochylił się naprzód i oparł łokcie na kolanach.

– Jak płyniesz wodospadem, myślisz tylko o tym, żeby wydostać się na powierzchnię, i to jak najszybciej. – Z jakiegoś nieodgadnionego dla Finna powodu Kif uznał, że najlepiej opowiedzieć tę historię w drugiej osobie. – Nie wiesz, gdzie jest góra, a gdzie dół, a poza tym... O, cześć, Drzewonoga, przyszłaś akurat na najlepszą część! Siadaj sobie.

Thyri wyłoniła się z mroku i weszła w krąg światła. Od opuszczenia Harówki nie minęło wcale tak wiele czasu, a była już zdecydowanie mniej „drzewonoga”. Miała smuklejszą twarz, a mięśnie coraz wyraźniej rysowały się na pulchnych uprzednio nogach i ramionach. Zawsze ubierała się podobnie do owslanek, nie licząc sięgających kolan skórzanych spodni, ale dopiero teraz zaczynała je przypominać. Finnbogi pomyślał, że to dość szlachetne, może nawet bohaterskie z jego strony, że nawet w otoczeniu drapieżnie seksownych kobiet Thyri wciąż podoba mu się najbardziej.

– Przyszłam po Finna – powiedziała.

Finnbogi aż podskoczył. Po Finna! To przecież on!

– Co? – zaczął. – Znaczy... Hej, co tam?

– Strasznie się opierdzielasz ostatnio. Wznawiamy trening.

– Nie ja się opierdzielam, to ty powiedziałaś, że...

– Idziesz czy nie?

Jeśli Finnbogi spodziewał się, że Thyri pęknie i wyzna mu dozgonną miłość, to się mylił. Pozostała przygaszoną, wyciszoną wersją dawnej pyskatej siebie, ale trening wcale nie stracił na intensywności. Kazała mu ćwiczyć – sama też wykonywała wszystkie zadania – aż zebrało mu

się na wymioty. A potem jeszcze mocniej docisnęła śrubę.

– No to widzimy się później – powiedziała po wszystkim.

A potem poszła Loki wie gdzie. Finn wrócił samotnie do Wotan i do Bjarniego, z którym dzielił śpiwór.



Po powrocie odkrył, że Wotanie rozpierzchli się, a przy ognisku siedziały tylko Sofi Tornado i Jutrzenka.

Finnbogi przełknął ślinę i wszedł w krąg światła.

– Eee... Jutrzenko? – odezwał się.

Podniosła wzrok. Złota poświata podkreśliła jej krągłe policzki, idealnie gładką skórę i pełne usta.

– Tak?

– Dzięki.

– Za co?

– Za to, że próbowałaś mnie ratować.

Jutrzenka westchnęła.

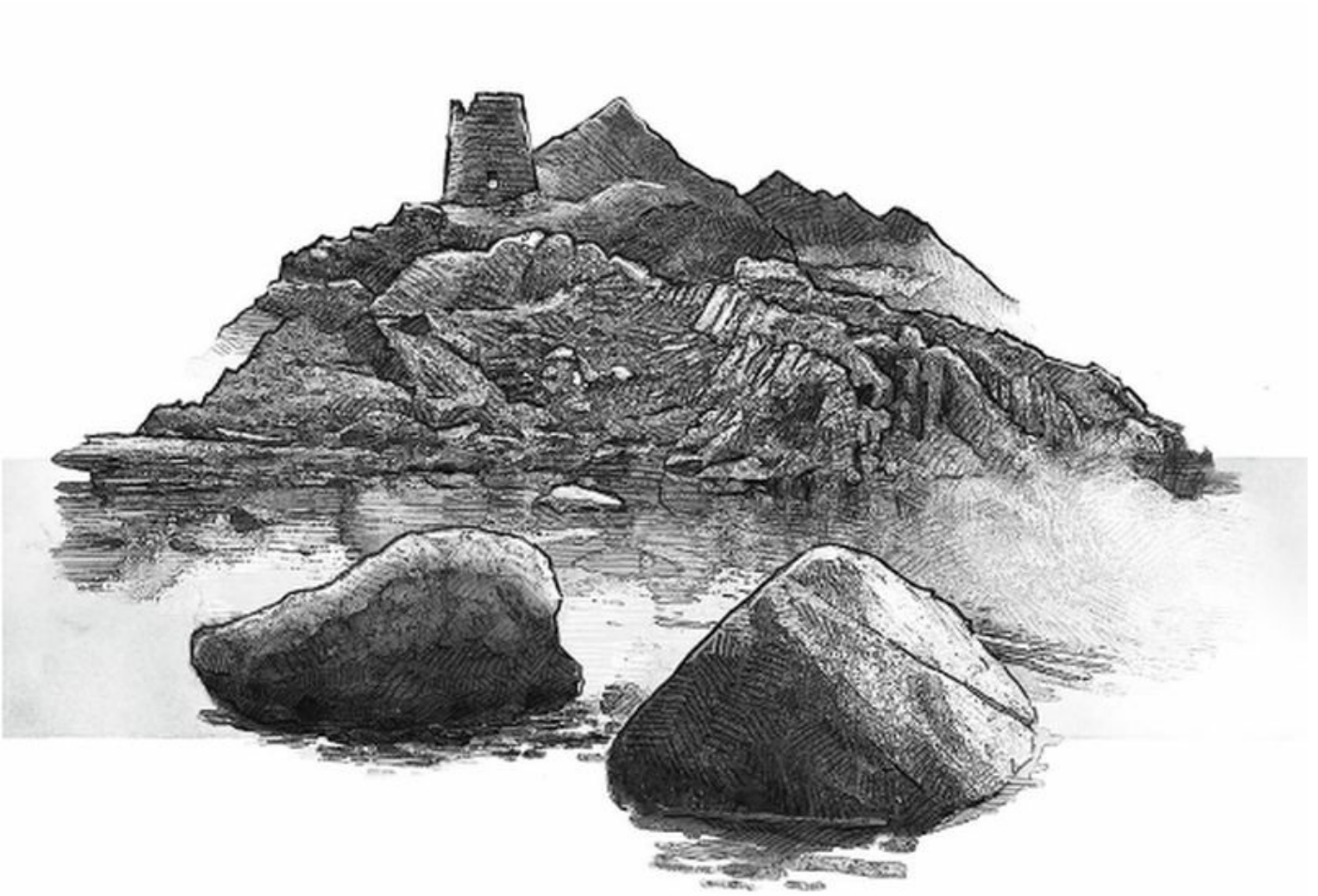
– Jeśli myślisz, że próbowałam cię ratować, to chyba masz nie po kolei w głowie. Chciałam tylko pozbyć się pajaków, nic więcej. Dla mnie to bez znaczenia, czy toniesz ty, czy, dajmy na to, bizonie gównu.

– Rozumiem. A często patrzysz, jak tonie gównu?

Piękna bogini wojny obrzuciła go takim spojrzeniem, jakby rzeczywiście był kupą bydłych odchodów. Patrzyła tak długo, że Finn zaczął się pocić.

– A może byś się tak odpierdolił? – zasugerowała.

Finnbogi odszedł uśmiechnięty. Jego cięta riposta była świetna. No i udało mu się uciąć sobie pogawędkę z owslanką.



Rozdział I4

NARKOTYKI SĄ NIEZDROWE

Spędzili wśród Cuguajów cały następny dzień. Podobno na trasie przejazdu rozszalały się burze tornad, nie wsiadali więc na Wędrowca, choć na ziemiach gospodarzy dzień był słoneczny i tylko czasem dmuchnął wiatr. Sassa Gryziwarga spytała mijanego Badlandczyka, skąd wiedzą o tornadach.

- Po prostu wiemy i już.
- Rozumiem. A co to jest burza tornad?
- Wybacz, muszę nakarmić wielkorogi! Cześć!

I tyle go widziała.

Rano Sassa znowu wymiotowała i mogłaby przysiąc, że jej brzuch się

zaokrągli. Chciała z kimś o tym porozmawiać, może poprosić o radę Gunnhildę Pobożną, wysłuchać radosnych okrzyków Bodili, może nawet znieść sarkazm i obrzydliwe żarty Palomy Widłoróg. A najbardziej chciała zobaczyć wyraz twarzy Wulfa, gdy mu powie, że niedługo zostanie ojcem.

Ale Chapa Wangwa obiecał im, że w Badlandach czeka ich śmierć, a od celu podróży dzielił ich raptem dzień drogi. Czy Wangwa na pewno mówił poważnie? A może to tylko okrutny żart? Próbowali utopić Kifa i z pewnością byli zdolni do niewysłowionego okrucieństwa, ale ten cały Rappa Hoga wydawał się porządnym gościem. Pajęczne pudełka na szyjach z początku przejmowały ją paraliżującym strachem, a teraz już tylko irytowały, bo były niewygodne, ale poza tym zapewniały więźniom względną swobodę, więc trudno jej było uwierzyć, że rzeczywiście wiozą ich na rzeź.

Zresztą i tak nie było sensu się o to martwić. W końcu umrzesz, kiedy umrzesz. A jednak ilekroć pomyślała o małym człowieku rosnącym w jej wnętrzu, ogarniała ją fala podniecenia i miłości, ale też obawy, że nie zdoła uchronić go przed śmiercią. Tym gorzej więc, że poza czekaniem na okazję do ucieczki nie mogła zrobić nic innego, jak tylko zdrowo jeść i patrzeć pod nogi.

Cuguajowie bardzo dobrze ich karmili. Najwyraźniej Kif był pierwszym człowiekiem, który przetrwał spływ wodospadami. Z początku łypali na niego spode łba, a ciągle przechwałki Kifa nie pomogły rozładować napięcia. Poprzedniego wieczoru odnosili się do Wotan z wyraźną rezerwą, ale dziś rano Rappa Hoga przekonał Clemburę i jej ludzi, że skoro Kif przeżył, to najwidoczniej taka była wola bogini, a skoro tak – trzeba to uczcić.

Argumentacja dowódcy przemówiła do Cuguajów, którzy z miejsca poczuli się o wiele lepiej, po czym złożyli w ofierze niedźwiedzia i małe stadko psów, by należycie uhonorować popis Kifa. Tego popołudnia gospodarze, łowcy i jeńcy zebrali się przy wodospadzie i zajadali pieczonym niedźwiedziem, daniem z trawy – tak obrzydliwym, że Wotanom zbierało się na wymioty – oraz psim mięsem w puszystym cieście, doprawionym ostrym sosem. Pies był tego wieczoru ich najlepszym przyjacielem.

– A mnie się wydaje, że Rappa Hoga może być Thorem! – powiedziała Bodila, podchodząc do Sassy, podziwiającej wodospady.

– Może z wyglądu.

– Co? Jak to?

– Thor nie jest zbyt cwany, a Rappa Hoga, nie uciekając się do przemocy, przekonał tych ludzi, którzy jeszcze wczoraj nas nienawidzili, żeby urządzili biesiadę na naszą cześć. Thor przyłożyłby każdemu młotem, a potem sam się nawalił.

– Chyba masz rację! Mili są ci Badlandczycy, nie?

– Twoim zdaniem Chapa Wangwa jest miły?

– Ciągłe chodzi uśmiechnięty.

– Skrzywdził Eryka. I zabił na naszych oczach tamtego nieszczęśnika. I to w straszny sposób. Wszystko to zrobił z uśmiechem na twarzy.

Gładkie czoło Bodili poznały linie znamionujące głębokie zamyślenie.

– No tak... Ale zobacz, jak on się uśmiecha. A Rappa Hoga jest fajny.

– Kiedy dotrzemy do ich wioski czy miasta, czy co oni tam mają w tych Badlandach, zabiją nas wszystkich. Nie wiem, w jaki sposób, ale na pewno nie będzie to miłe.

– Och nie, nie zrobią nic takiego.

– To czemu nas pojмали?

– A pojмали nas?

– Tak.

– Ale przecież i tak szliśmy na zachód, nie? – Bodila wytrzeszczyła na nią oczy.

– Tak.

– A oni podwożą nas na zachód, dzięki czemu nie musimy drałować piechotą. Czyli wyświadczają nam przysługę, prawda?

– Jeśli tak na to spojrzeć, ale...

– Mówiłam ci przecież, że są w porządku. A teraz powiedz mi: gdybyś nie była z Wulfem i musiałabyś się przespać albo z Kifem, albo z Rappą Hogą, kogo byś wybrała?

Sassa pomyślała: z Rappą Hogą, za każdym razem, ale powiedziała:

– A nie mogłabym się po prostu zabić?

– Nie mogłabyś. – Bodila pokręciła głową. – Albo mogłabyś, ale dopiero

po wszystkim.

– Jakbym przespała się z Kifem, chyba nie miałabym wyjścia.

Obie kobiety spojrzały na Berserka, który właśnie demonstrował tłumowi Cuguajów technikę walki toporem, po czym wybuchnęły śmiechem.



Sofi Tornado siedziała na skałach. Po prawej stronie miała wodospady bogini Cuguai, a po lewej obozowisko Badlandczyków. Rozprostowała nogi i przeciągnęła się, chcąc się pozbyć tępego bólu z napiętych mięśni ramion. Od rana ćwiczyła z owslankami i wycisnęła z nich siódme poty, a teraz czuła satysfakcjonujące zmęczenie. Wokół niej narastał piknikowy nastrój, Badlandczycy, Cuguajowie, Calnianki, grzyboludy i Wytrzeszcze gadali i żartowali, zupełnie jakby Badlandczycy nie byli hałastrą morderczych sadystów, którzy wzięli połowę z nich, a drugą połowę okupowali.

Spostrzegła, że człapie ku niej Yoki Choppa. Czarnoksiężnik usiadł na kamieniu obok i podał jej miskę grudkowatego brązowego mięsa. Pachniało przyprawami i z lekka zgnilizną, jak ludzkie mięso, które za długo wisiało na haku.

– Jadłam już niedźwiedzia – powiedziała. – Raz wystarczy.

– Ten będzie ci smakował.

Spojrziała na niego. Prawie się uśmiechał.

– Co znalazłeś? – spytała.

– Osę i sowę.

Sofi nie pamiętała, kiedy ostatnim razem spontanicznie kogoś wyściskała, a Yoki Choppa był osobą zupełnie niekojarzącą się z wyściskiwaniem, mimo to z trudem powstrzymała się przed rzuceniem mu się na szyję. Odzyska swój słuch, a wszystkie owslanki – siłę, wytrzymałość i odwagę. Co prawda wciąż brakowało im grzechotnika, który przywróciłby ich legendarne zamięłowanie do okrucieństwa, oraz sauromalusa dla Sitsi, ale osa i sowa to więcej, niż spodziewała się dostać.

– Skąd to masz?

Odpowiedź Yokiego Choppa ograniczyła się do przechylenia głowy.

– Sitsi powiedziała mi, że zbliżamy się do terytorium występowania pójdzki, schwytałeś jedną – domyśliła się. – Ale na tych ziemiach jeszcze nie występuje osa tarantulojastrzębia, więc na pewno żadnej nie schwytałeś żywej. Ukradłeś cuguajskiej czarnoksiężnicy.

Głowa Yokiego Choppy opadła nieznacznie na piersi. Odczytała to jako potwierdzenie.

– A więc ich czarnoksiężnica ma na stanie magiczne mięso. – Sofi zmrużyła oczy. – Nigdy jeszcze nie spotkałam czarnoksiężnika, który by nie był zbieraczem. Jeśli ma jeden rodzaj mięsa powszechnie używanego w alchemii, zapewne ma też inne. Na przykład grzechotnika. Czy się mylę?

Yoki Choppa zaczął wstawać, ale Sofi ucapiała go za ramię.

– Ma czy nie?

Kiwnął na tak.

– Ale tego mięsa jej nie buchnąłeś, prawda?

– Prawda.

– Bo wzmacnia naszą krwiożerczość i czyni nas bezlitosnymi, a ty nie chcesz, żebyśmy takie były. Chcesz, żebyśmy były miłe dla twoich grzyboludków.

Utkwił spojrzenie w ziemi.

– Starczy już tego enigmatycznego milczenia, Yoki Choppo. Straciłam już przez ciebie dobrą wojowniczkę i prędzej szlag mnie trafi, niż stracę kolejną. Więc albo podaj mi dobry powód, dla którego nie przyniosłeś mi grzechotnika, albo idź po niego w te pędy.

Czarnoksiężnik wyduł dolną wargę nieco bardziej niż zwykle. Jego twarz pociemniała.

– Ani się, kurwa, waż stroić na mnie fochy.

Wciąż milczał.

– Jeśli nie wyznasz mi prawdy, dzisiaj zabiję Ottara Niemowę.

– Grzechotnik wzmacnia wasze okrucieństwo – powiedział w końcu.

– No tak, i co z tego? Który calnijski czarnoksiężnik czy jakikolwiek czarnoksiężnik brzydzi się okrucieństwem? Grzechotnik zwiększa też nasz refleks, prawda? Potrzebujemy go.

– Wpływ grzechotnika na refleks jest znikomy. Podawano go wam po to, żebyście polubiły zabijanie. – Wreszcie spojrział jej w oczy. – To

pomysł Pakandy i Zaltana. Zły pomysł. Zabijałybyście wrogów Calnii i bez tego. Jedyłą przyczyną, dla której zostałyście przystosowane do mięsa grzechotnika, był pomysł Zaltana na widowiska na placu Innowaka. Zabawa dla mas. Więc już go nie potrzebujecie.

Sofi otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale Yoki Choppa jej nie pozwolił.

– Wystarczyło, że zabieraliśmy rodzinom małe dziewczynki i robiliśmy z nich morderczynie. Nie musieliśmy robić z nich sadystek. Niepotrzebny nam grzechotnik, żeby dostarczyć Wotan na Łąki i wszystkich uratować. Nie potrzebujemy go też, żeby ich zabić, gdy już to zrobimy. I nie potrzebujemy go już, żebyście mordowały dla czyjejś przyjemności.

– Cesarzowa Ayanna uważa inaczej, bo gdyby tak nie było, jeszcze w Calnii kazałaby ci wyłączyć grzechotnika z naszej diety. Kim ty jesteś, żeby sprzeciwiać się jej woli? Kim jesteś, że chcesz nas zmieniać?

Yoki Choppa spojrział na własne dłonie.

– Tym, który pomógł was stworzyć.

Z tymi słowy wstał, by odejść. Nie powstrzymała go. Przed chwilą wymówił z rzędu więcej słów, niż przez wszystkie te lata, odkąd go poznała. Poczowała się lekko wstrząśnięta, gdy nazwał ją „sadystką”. Słyszała już gorsze wyzwiska pod swoim adresem, ale dotąd zawsze miotali nimi ludzie, którzy jej nie obchodzili. Co się stało, że nagle on i wszyscy naokoło zrobili się tacy wrażliwi?

Czarnoksiężnik wrócił do Calnianek, Wotan, Wytrzeszczów, Badlandczyków i Cuguajów. Wzmogły się krzyki i pozdrowienia. Większość z nich dobiegała od strony grupy dowodzonej przez Wulfa i Chogolisę. Szykowali się do jakiejś gry z łapaniem piłki na kij z siatką, ale nastąpiła zmiana planów i zamiast kijów piłkę miały łapać dzieci siedzące na ramionach dorosłych. Paloma i Sitsi już biegły, żeby się przyłączyć.

– Łaaaaaa! Łaa-aaaaa! – krzyczał trzymający piłkę w rękach Ottar na ramionach Palomy, która pędziła slalomem między zawodnikami, nieuchwytna jak naoliwiona łasica.

Sofi słyszała jej kroki na twardej ziemi. Już w kilka uderzeń serca od zjedzenia pójdzki ziemnej jej słuch znacznie się polepszył.

Pomyślała o propozycji, którą złożył owslankom Rappa Hoga. O przyłączeniu się do Badlandczyków. Pomimo łzawego kazania Yokiego Choppy była daleka od jej kategorycznego odrzucenia. Właściwie to przez gadaninę czarnoksiężnika nabrała ochoty, by na nią przystać. Badlandczycy na pewno mają czarnoksiężników zdolnych przygotować mięso grzechotnika.

Ktoś strzelił gola i podniósł się radosny wiwat. Bjarni i Kif zdjęli portki i potrząsali bladymi tyłkami, chcąc dodatkowo pognać przeciwnika. Wulf podbiegł do nich na paluszkach i chlasnął ich po dupach otwartą dłonią.

Sofi pokręciła głową.



Gra dobiegła końca i Bjarni odszedł na bok. Wygrali, z czego bardzo się cieszył, ale tyłek wciąż miał czerwony po chlaśnięciu Wulfa, które bolało tak bardzo, że prawie nie było śmieszne. Ponadto czuł się zdezorientowany, co wzbudziło ochotę na buch czegoś dobrego.

Upewniwszy się, że jest poza zasięgiem słuchu – i pomimo obserwującej go bacznie Sassy, która doskonale wiedziała, co mu chodzi po głowie – popytał robiących odpowiednie wrażenie Cuguajów o jakieś grzyby. Zastanawiał się, co mieli na myśli, mówiąc: „Poczekaj trochę, nie zawiedziesz się”.

Zjadł trochę wybornej niedźwiedziny i odczekał, ile było trzeba. Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, zobaczył kilku plemieńców niosących długi słup ozdobiony rzeźbieniami. Patrzył, jak osadzali go w dziurze w ziemi i podpierali solidnymi słupkami, by stał prosto.

– Co to takiego? – spytał.

– Słup wspinaczkowy.

Inni Cuguajowie targali w stronę wzniesionego masztu jakieś toboły. Zaintrygowany Bjarni stał i czekał.

Większe pakunki zawierały cienkie, okorowane i zastrzone patyki.

Jakaś kobieta usiadła na ubitej trawie i otworzyła zawiniątko ze skóry jelenia albinosa. Rozłożyła ją jak matę i postawiła na niej duży móździerz, tłuczek, trzy fajki z różowego kamienia o czerwonych ustnikach, jakieś brązowe grudki budzące skojarzenie z suszonymi

korzeniami, lub może sękami drzewnymi, oraz suszone liście, które musiały być tytoniem.

– Czołem! – przywitał się. – Co robisz?

Kobieta mogła mieć około czterdziestki. Miała wynędzniałą twarz, ostry nos i małe oczy, którymi ciągle mrugała. Bjarni uznał, że wśród jej przodków musiał znaleźć się jakiś opos. Jak wszyscy Cuguajowie, miała przy szyi pudełko z pajakami.

– Siadaj, kochanieńki, a sam się przekonasz. Nazywam się Tuffbura. – Miała głęboki głos podszyty charakterystyczną chrypką zadeklarowanej miłośniczki tytoniu.

– Miło mi, Bjarni jestem.

Zrobiła mu miejsce, by usiadł, a potem przysunęła się z powrotem, by jej kolano zetknęło się z jego udem.

– Dziś wieczorem świętujemy twoją szczęśliwą podróż przez wody bogini Cuguai.

– Moją?

– To nie ty pokonałeś wodospad?

– To był Kif, ja jestem Bjarni.

– Wszyscy wyglądacie tak samo. Nieważne. Ważne jest to, że musimy podziękować litościwej Cuguai za ocalenie pierwszego śmiałka w historii, dlatego spizgamy się jak szpaki wariackim ciastem i wężowym siemieniem.

– Cóż za wspaniały pomysł! – uradował się Bjarni.

– Możesz pomóc w przygotowaniach, jeśli masz ochotę.

– Mam jak cholera.

– Świetnie. Te tutaj kulki to właśnie wariackie ciasto. A nasiona to wężowe siemię. Obydwie te rzeczy pochodzą z pustyni kawał drogi na południe stąd, gdzie lepiej się nie zapuszczać. Poszłam tam kiedyś, gdy byłam o wiele młodsza od ciebie... a niech mnie Cuguai utopi, wtedy to było... i wróciłam z pełną sakwą. Mam jeszcze niemało, ale musimy dawkować, bo walą po łbie jak młotem, a jak się je pomiesza... – Gwizdnęła przeciągle.

– Działają podobnie jak grzybki?

– Lubisz grzybki, co?

– Wprost uwielbiam.

– W takim razie to też ci się spodoba. W porównaniu z grzybami są jak orzeł przy wróblu. Teraz tak, najpierw musisz zmiażdżyć je na drobno, a potem...

Gdy pracowali, Bjarni spytał Tuffburę o pajęcze pudełka.

– A wiesz, że prawie ich już nie zauważamy? Nosimy je od lat.

– I nie próbowaliście ich zdjąć?

Przestała ubijać wariackie ciasto i węzowe siemię. Osadziła na nim wzrok.

– Oczywiście, że próbowaliśmy, kochany. Z początku nic innego nie robiliśmy, tylko próbowaliśmy wspólnie dojść do tego, jak się ich pozbyć. Ludzie mieli najdziwniejsze pomysły. Wszyscy nie żyją, tak jak większość tych, którzy próbowali im pomóc.

– Co to były za pomysły?

– Ano próbowaliśmy je podpalać i podtapiać, na próżno. Te małe skurwysynki gryzą, gdy tylko orientują się, że są w tarapatkach. Ktoś usiłował trafić w czyjeś pudełko z łuku, ale natychmiast został ugryziony, a Badlandczycy zabili tego drugiego, którego pająki zginęły przeszyte strzałą. Zabili go w najgorszy z możliwych sposobów.

– To znaczy w jaki?

– Kazali pająkom go pogryźć, oczywiście.

Beeby na szyi Bjarniego poruszyły się. Przeszedł go dreszcz.

– Ugryzły kiedyś kogoś przez pomyłkę?

– Jak dotąd nie. Zabiły tylko tych, którzy chcieli zdjąć pudełka lub jakoś inaczej wkurzyć Badlandczyków. Teraz po prostu żyjemy sobie i nie myślimy już o nich. Ma się rozumieć, wciąż rozmawiamy o tym, jak się ich pozbyć, ale nikt nie próbuje. Choć nie, to nie do końca prawda. Jedna dziewczynka, niewiele starsza od tej waszej, wpadła zeszłej zimy na pomysł, całą noc przeleżała w śniegu, a rano zdjęła pudełko. Pająki zamarły.

– A więc jest sposób!

– Tego dnia sama zmarła. W końcu przeleżała w śniegu całą noc.

– Jak daleko możecie odejść od dzieci na kozach?

– Od Pustych Dzieci? Może to dziwne, ale właściwie nie wiemy. Wiemy, że zginiemy, jak odejdziemy zbyt daleko, więc nikt się nie wyrывa.

– Skłamałbym, mówiąc, że nie rozumiem.

– Wiemy, że mamy swobodę przynajmniej stu kroków. A jak pójdziemy dalej...

Przerwał jej wrzask dobiegający z pudełek.

– Zawsze się tak drą o tej porze! – krzyknęła. – Najlepiej je...

Czekali, aż do pudełek zlecą się muchy i zaspokoją głód pajaków, a potem rozmawiali, aż się ściemniło. Inna kobieta, sądząc po tym, jak się droczyły i sprzeczały, bliska przyjaciółka Tuffbury, rozpałała ognisko i zagotowała wodę na grzańca z wariackiego ciasta i węzowego siemienia. Tuffbura nabiła fajki. Bjarni nie mógł się doczekać, aż spróbuje nowego narkotyku.

– Nie, ty musisz poczekać. A kiedy przyjdzie twoja kolej, to proszę cię, Bjarni, nie sztachnij się za mocno. Wystarczy mały buszek. Większy potrafi nawet zabić.

– A długo muszę czekać?

– Niedługo. Clembura już idzie.

Wódz Cuguajów zgromadziła swoje plemię oraz gości i wspięła się na łagodne wzniesienie, gdzie przy słupie siedział Bjarni z dwiema kobietami. Clembura objęła słup rękami i nogami, po czym z gracją wspięła się do jednej czwartej wysokości, więc jej stopy były na poziomie głowy Chogolisy.

Tłum zebrany wokoło nie odrywał wyczekującego wzroku od naczelniczki.

– Witajcie wszyscy – zawołała. – Ażeby uczcić miłościwą Cuguai, która oszczędziła życie Kifa Berserka, zapraszamy wszystkich gości do uczestnictwa w naszym najświętszym rytuale.

Cuguajowie wznieśli gromkie okrzyki.

– Tuffbura przygotowała wariackiego węża. To mieszanka wariackiego ciasta i nasion z węzowej rośliny, potężny narkotyk, z którym nie ma żartów. Który należy traktować poważnie, śmiertelnie poważnie. To najsilniejszy ze wszystkich znanych narkotyków, słabszy chyba tylko od tych substancji, które zabijają człowieka od razu. Większość ludzi po zażyciu dobrze się bawi, ale istnieje prawdopodobieństwo, może jeden do sześćdziesięciu, że wcale nie będziecie się dobrze bawić. Śmierć zdarza się bardzo rzadko, tylko

wówczas, gdy weźmiecie zbyt dużą dawkę, ale się zdarza. Więc nie zażywajcie więcej, niż trzeba, a jeśli macie wątpliwości, nie bierzcie w ogóle. Bo im bardziej się martwicie, tym większa szansa, że coś pójdzie nie tak.

Clembura zrobiła pauzę i popatrzyła po zebranych.

– Mówię poważnie. Dzieciom nie wolno zażywać wariackiego węża, a dorośli mogą to zrobić tylko wtedy, jeśli naprawdę tego chcą. Powtarzam: śmierć to realna możliwość. Nie da się wyrazić słowami, jak ważne jest, żebyście nie przesadzili z ilością. Czy to jasne?

Rozbrzmiały pełne namysłu potwierdzenia, ludzie pokiwali głowami. Bjarni już nie mógł się doczekać.

– Doskonale! – zawołała Clembura. – Skoro najnudniejszą część rytuału mamy już za sobą, czas rozpocząć wielkie ćpanie! – Zeskoczyła zwinnie na ziemię i przyjęła od Tuffbury fajkę, z której pociągnęła krótko. – Tyle właśnie potrzeba, nie więcej. Ustawcie się w kolejce do mnie, jeśli chcecie bucha, i w kolejce do Tuffbury, jeśli chcecie łyka wężowej herbaty. Nie bierzcie obu naraz!

Bjarni stanął w kolejce po napar. Za nim ustawili się Wulf, Thyri i, ku jego zdziwieniu, Gunnhilda. Finnbogi czekał na fajkę.

Zauważył, że Bodila rozmawia z Sassą i Erykiem. Nie słyszał, co mówią, bo zagłuszał ich szum podekscytowanych głosów uczestników rytuału, ale Eryk i Sassa mieli poważne miny i kiwali głowami. Cokolwiek powiedzieli, widocznie podziałało, bo Bodila nie stanęła w żadnej z kolejek.

Kif również nie. Szedł w kierunku rzeki z Duporąbem na ramieniu, niechybnie mając zamiar potrenować. Zważywszy na to, że narkotyki przygotowano na jego cześć, Bjarni uznał zachowanie Berserka za wyjątkowo niegrzeczne.

Dotarł na czoło kolejki, gdzie ukląkł wraz z Thyri i dwoma innymi chętnymi. Cuguajka, która przygotowała herbatę, stanęła przed nimi i obniżyła miskę z naparem do ich ust. Odjęła ją, nim wypili za dużo. Thyri wzięła mały łyżeczek, niby ptaszek pijący z kałuży, i wówczas przyszła kolej na Bjarniego.

– Co znowu wymyślił ten walnięty Kif? – powiedział Bjarni, nim zrąb miski dotknął jego warg. A potem przyssał się do niej i łyknął dwa

potężne hausty, nim kobieta zorientowała się, że zrobił ją w ciula.

Zgromiła go wzrokiem, uniósłszy jedną brew.

– Masz problem, synu.

– Co, co chcesz zrobić? – Bjarni raptem zrobił się nerwowy.

– Ja? O nie, nie zrozumiałeś mnie. Pytanie brzmi: co ty teraz zrobisz? Na twoim miejscu bym się porządnie wyrzygała. I to jak najszybciej.

Bjarni uśmiechnął się do niej. Najwyraźniej nie słyszała o nadzwyczajnej odporności Bjarniego Kurzej Twarzy.



Sofi Tornado patrzyła na zgraję ćpających głupców. Była świadoma swojej hipokryzji, w końcu sama codziennie przyjmowała mięso zwierząt mocy, które niczym się nie różniło od narkotyku. Tylko że jej narkotyk ją ulepszał, a wątpiła, by wpływ wariackiego węża na jej kobiety można było nazwać „ulepszeniem”.

Podeszła do owslanek. Na ustach Palomy malował się niemrawy półuśmiech. Sofi widziała go już kiedyś. Dawno temu, gdy Paloma odpuściła sobie trening, by ganiać za chłopakami.

– A może – zaczęła nieśmiało Widłoróg – skoro jesteśmy więźniami, a więc nie tak do końca owslankami, to mogłybyśmy...

– Nie.

– Tak też myślałam.

– Będziemy ćwiczyć na skałach przy wodospadzie.

– To dopiero będzie zabawa. A ci biedni głupcy niech sobie tu siedzą.

Sofi spojrzała jej w oczy.

– Przepraszam, masz rację. Jak zwykle. Chodźmy nad ten wodospad.

Sofi ruszyła pierwsza, ucieszona, że wciąż słyszy Sitsi Pustułkę szepczącą Palomie na ucho:

– Czyś ty oszalała? Jak to nie jesteśmy owslankami? Tym właśnie jesteśmy, a nie bandą rozpieszczonych dzieci z dobrych rodzin. Masz fart, że Sofi cię nie ukarała. Patrz, co się będzie działo z głupimi Wotanami. To nie będzie miły widok, wspomnisz moje słowa. Narkotyki to...

Tornado zapomniała, że wadą tak wyostrzonego słuchu jest to, że słyszy się wszystko, również rzeczy, które wolałoby się puścić mimo

uszu.

Znalazły się na skalistym brzegu, gdzie Kif Berserk ciął swoim toporem wzbijaną przez wodospad wodną mgłę.

– Kifie Berserku! – powiedziała Sofi.

Zatrzymał się w pół ciosu, nieudolnie skrywając zdumienie. Pierwszy raz zwróciła się do niego, i to po imieniu.

– No?

– Nie potrenowałybyś z nami?

– Jeśli dotrzymacie mi kroku.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecała Sofi. – Najpierw walczysz ze mną.



Sassa siedziała z Erykiem i patrzyła, jak Wulf, Bjarni, Bodila, Finnbogi, Thyri i Gunnhilda tańczą z pozostałymi plemieńcami. Wygrywany przez bębniarzy rytm był szybki i porywający. Inny muzyk wydobywał z wielkiego strunowego instrumentu jednostajny basowy pomruk. Dwaj hasający wesoło fleciści dorzucali do tego własne piskliwe nuty.

Sassa nie słyszała nigdy piękniejszej muzyki – melancholijne nuty niosły ze sobą jakąś szaloną ekscytację, tchnęły prawdziwą pasją – ale odniosła też wrażenie, że marnuje się ona przy tym audytorium. Pomijając Bodilę, która nie wzięła wariackiego węża, żaden tancerz nie trzymał rytmu i zdawał się nie zauważać innych tańczących. Ale nie zmniejszało to ich entuzjazmu.

Finnbogi wymachiwał rękami przed twarzą i wpatrywał się w nie, jakby nosił pierścienie wysadzone najpiękniejszymi klejnotami. Gunnhilda kręciła się w kółko z zamkniętymi oczami, łapiąc równowagę dzięki rozłożonym szeroko ramionom. Eryk już dwukrotnie przyskoczył do niej, by odsunąć ją od wielkich ognisk płonących we wszystkich rogach wydzielonej na uroczystość łąki. Wulf, cały zlany potem, podskakiwał w miejscu wraz z grupką Cuguajów i Badlandczyków.

Bjarni i Thyri tańczyli z Clemburą przy jednym z ognisk – jeśli można to nazwać tańcem. Zgiąwszy ramiona i zacisnąwszy pięści, przeskakiwali sztywno z nogi na nogę. Zasuwali tak już szmat czasu i nie zdradzali oznak zmęczenia.

Wulf zauważył, że Sassa i Eryk im się przyglądają. Rozpędził się,

skoczył i wylądował przed nimi na tyłku.

– Dobrze się bawisz? – zagała Sassa.

– Wybornie. – Miał tak wielkie źrenice, że niebieskie zwykle oczy wydawały się czarne. – Czuję, jak krew krąży mi po rękach. Widzę nowe kolory. Odkryłem nowy sposób poruszania się. A skakanie? Skakanie to jest coś, jak babcię Kocham. Czemu tak mało skaczemy w życiu, co? Musisz spróbować wariackiego węża.

– Nie muszę.

– No, właściwie nie musisz, ale szkoda. To świetna rzecz taki wąż. – Utkwił wzrok gdzieś ponad jej głową, wydawał się dziwnie zmieszany.

– Cieszę się, że dobrze się bawisz.

– Mogę obciąć ci włosy?

– A nie wolisz potaćzyć?

– Podoba mi się ten czub, ale byłby jeszcze fajniejszy, gdyby miał długość małego palca. – Uniósł palec, by zademonstrować dokładnie, o jaką długość chodzi.

Sassa właściwie była tego samego zdania. Nie ze względu na wygląd, tylko na wygodę, bo miała już dosyć stawiania włosów na sadle. A poza tym, jeśli pozwoli Wulfowi się obciąć, będzie mogła mieć go na oku.

– Dobra – przystała. – Zrób to, tylko uważaj.

– Masz, użyj tego – powiedział Eryk, wręczając mu swój obsydianowy nóż.



Ogień wydawał się tańczyć specjalnie dla Bjarniego. Jak to się stało, że nie zauważył wcześniej tych wszystkich zwierząt i kwiatów, które rosły i więdły, fikały koziołki i bzykały się ze sobą? Z płonących dREW strzelał w górę czerwony bluszcz, wnikając w ciała szamoczących się lwów i sztyletozębów, a później przekształcał się w wielkiego żółtego jesiotra o diamentowych bokach, który wyskoczył w górę, a potem opadł swobodnie na dno ogniska, liżąc splątany zwierzyniec wielkim jęzorem.

Wiedział, że tańczące po jego bokach Thyri i Clembura widzą to samo co on. Czuł ich zapach nie tylko nosem, lecz całym ciałem. Woń Thyri, syrop klonowy i dziewczęcy pot, mieszała się z trawiastą wonią Clembury, zaprawioną dziwnie miłym swędem świeżego moczu. Ciepło

napływało falami z brzucha do głowy. Przez chwilę myślał, że znowu chwycą go mdłości i przyozdobi roztańczone płomienie pawimi piórami wymiocin, ale uczucie przeszło i tańczył dalej.



Ręce Finnbogiego rosły i malały, jego palce robiły się to grubsze, to dłuższe, znacząc powietrze różowymi smugami, gdy machał nimi we wszystkie strony. Gwiazdy podążały za nimi, niby muchy nęczone miodem, a on wyrysowywał w nich niestworzone kształty, jakby mieszał palcami w odwróconej misce z wodą wypełnionej drobkami światła. Gdy to robił, zmieniały kolor, przechodząc z czerwieni w zieleń, potem w błękit, a potem w jeszcze ciekawsze barwy – przydymiony róż i jaśniutką czerń. Lśniące drobinki rysowały w przestrzeni świetliste linie, a te łączyły się ze sobą w sześciiany, trójkąty i prostokąty, które następnie, drgając i rozmywając się, przybierały nowe kształty, o wiele bardziej skomplikowane niż wszystko, co widział na świecie, lecz w tej chwili zupełnie i całkowicie dla niego zrozumiałe. Sięgnął ręką głębiej w gwiazdzisty przestwór, a przez jego ramiona i twarz przepłynęły globulki światła, wypełniły jego otwarte usta, aż zjednoczył się z gwiazdami i wraz z nimi ruszył w leniwy, wolny od grawitacji taniec wyznaczony brzękliwym rytmem instrumentów.

Wtem do jego świadomości przepchnęło się wrażenie, że ktoś tańczy obok niego. Kobieta. Ta, którą powalił w starciu z Badlandczykami. Uśmiechnęła się do niego i zaczęła naśladować taneczny ruch jego rąk.

– Jestem Tansy Burna – przedstawiła się, wzbogacając swój taniec płynnym ruchem bioder.

– Finnbogi, miło mi. – Spróbował zrobić to samo z biodrami, ale mu nie wyszło, więc skupił się na rękach.

– Pokonałeś mnie w walce – powiedziała. Odwróciła się i przycisnęła tyłek do jego krocza, a potem zakręciła szybciej biodrami.

To było dość niespodziewane. Zrobił krok w tył, a ona obróciła się do niego przodem i przysunęła bliżej, nęcąc go kołysaniem bioder.

– To znaczy, że możesz mnie mieć – powiedziała, wodząc palcami po jego udzie.

– Och! Znaczy... jestem z kimś związany i... – zająknął się.

– Doprawdy? – Oblizwała usta. – Może się jej spodobać? Gdzie jest miejsce dla dwojga, znajdzie się i dla trojga.

– Dziękuję za propozycję, ale... jestem w niej tak jakby zakochany i...

– Ale nudzisz. No nic, daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. – Tansy ujęła jego krocze zdecydowaną dłonią, wspięła się na palce i liznęła go w otwarte usta. A potem, nie przerywając tańca, zniknęła w tłumie.

Finnbogi chwilę gapił się na jej plecy, a potem wrócił do niezwykle ważnej rzeczy, jaką był taniec.



Sitsi Pustułka wróciła znad spokojniejszego odcinka rzeki poniżej wodospadów i usłyszała, że ktoś cicho wymiotuje, skryty za skalnym wybrzuszeniem. Czekwała, nasłuchując, w razie gdyby rzygający potrzebował pomocy, ale po kilku charknięciach, splunięciach i kaszlnięciach z za wzniesienia wyszła o własnych siłach Thyri Drzewonoga. Miała łzy w oczach i nie były to zwykłe łzy kogoś, kto dopiero co zwrócił obiad.

Sitsi chciała dać nogę, zanim Thyri ją zauważy. Nigdy jeszcze nie pocieszała kogoś, kto był na tak wielkim haju, że prawie unosił się w powietrzu, ale uznała, że lepiej tego nie robić... lecz z drugiej strony biedna dziewczyna wyraźnie potrzebowała pomocy. Sitsi odkaszlnęła w pięść.

– Kto tu jest? – spytała Thyri, ocierając łzy.

– Sitsi Pustułka. Wszystko dobrze?

– Tak. Nie. Och, sama nie wiem. Czuję się strasznie. Ale zwymiotowałam i już mi lepiej. Ziemia przestała się ruszać, a olbrzymie świetliste króliki pokicały Hel wie gdzie.

– No cóż, chyba nie powinnaś... – Sitsi już miała wygłosić wykład o rekreacyjnych stymulantach i głupocie wszystkich, którzy je zażywają, ale zmieniła zdanie. – Nie martw się, niedługo poczujesz się lepiej. Chodź ze mną, znajdziemy ci jakieś jedzenie i łyk wody. To pomoże.

– Byle nie tego niedźwiedzia co wcześniej.

– Nie. Ohydny był, no nie? Ale za to pies był dobrze doprawiony.

– Tęsknię za cukrem klonowym.

– O matko, ja też! – Sitsi wzięła ją pod ramię. – I za syropem

klonowym. Moja mama robiła syrop i leguminę z dzikiego ryżu...

Znalazły w końcu jakieś jedzenie przy słupie. Cuguajowie pod komendą Wulfa wspinali się na niego, a zmartwiona Sassa przyglądała się temu z rosnącym zdenerwowaniem. Kawałek dalej inni wbijali sobie w ramiona naostrzone patyki. Sitsi nie zgłębiała znaczenia tej części rytuału, po prostu okręciła Thyri w miejscu i odeszły, nim grzyboludka to zauważyła. Na Innowaka, nienawidziła tych wszystkich głupot, które ludzie robią na haju.

Usiadły na kamieniach na brzegu wodospadu. Thyri wzięła się do jedzenia.

– Jestem zakochana w trupie – wyznała.

– Jak zginął? – spytała Sitsi w nadziei, że to nie owslanki go zabiły.

Thyri opowiedziała jej, jak związała się z nieokrzesanym Garthem Kowadłogębym, którego zabili plemięcy Rozszczepionych Rzek po tym, jak ocalił Wotan przed śmiercią.

– A nie wolno nam opłakiwać zmarłych. – Thyri pokręciła głową. – Umrzesz, kiedy umrzesz, i tak dalej. Ojca ani brata też nie opłakałam. Chciałam spędzić życie u boku Gartha. Niektórzy nie przepadali za nim, bo był twardy, ale ja za to właśnie go lubiłam. Reszta naszych mężczyzn... no cóż, to nie są prawdziwi mężczyźni, nie jak ci w sagach. Nawet sprawni wojownicy, jak Wulf i Kif, niczego nie traktują poważnie. Są jak dzieci.

– A Finnbogi?

Thyri utkwiała w Sitsi spojrzenie szklistych oczu.

– A wiesz, że był taki moment, kiedy myślałam, że mogłabym polubić Finnbogiego? Ale gdy ginął Garth, on tam był przecież, a nie zrobił nic. Nie był w stanie mu pomóc, bo to słabeusz i mięczak. Uczę go walki, żeby następnym razem sprawił się lepiej, ale nie sądzę, żebym mogła kiedyś znowu spojrzeć na niego jak na mężczyznę. Nie, myślałam, że osiedlimy się z Garthem na Łąkach, tam gdzie reszta plemienia, nie za daleko, ale i nie za blisko, i że wychowamy nasze dzieci tak, żeby bardziej przypominały naszych przodków, a mniej tę gówniarzerię, w którą zmienili się Wotanie.

– Nie jesteś chyba...

– W ciąży? Nie. My nigdy... Pierwszy raz pocałowałam go na kilka dni

przed jego śmiercią.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina.

– Pośrednią przyczyną śmierci twojego ukochanego jest rozkaz wydany przez calnijską cesarzową. Ja jestem jej poddaną i wykonawczynią tego rozkazu. Wówczas ścigałyśmy was po to, żeby was zamordować.

– Bo taki otrzymałyście rozkaz.

– To prawda, ale i tak chciałabym ci to jakoś wynagrodzić. Daj mi znać, jeśli będę mogła ci w czymś pomóc.

– A możesz pozdejmować nam obroże i zabić wszystkich Badlandczyków?

– Sofi nad tym pracuje. Jeśli ktoś może tego dokonać, to właśnie ona. Chodź, wracajmy. Zwiększymy naszą szansę przeżycia, jeśli będziemy wypoczęte.



Finnbogi czuł się świetnie do momentu, gdy Tansy Burna wczepiła się tyłkiem w jego krocze i polizła go po twarzy. Spotkanie z nią wprowadziło go w osłupienie, głównie dlatego, że nie do końca rozumiał, dlaczego ją odtrącił. Choć był wśród przyjaciół, czuł się samotny. A przyjaciele nie pomagali mu otrząsnąć się z tego wrażenia. Próbował tańczyć z Bjarnim, ale Bjarni był zbyt zajęty tańcem z samym sobą i gapieniem się w ogień. Wulf i Sassa też nie mieli ochoty się z nim bawić. Eryk paplał w najlepsze z Chogolisą – znowu.

Leżał przez chwilę przy ognisku i patrzył na małe czerwone pajęczki, może kleszcze, biegające wokół kopca. Wiedział, że robi to, bo słyszał, że to właśnie robią ludzie naćpani podejrzanymi substancjami. Czuł się przez to głupio i trochę go mdliło.

Wstał i poszedł na szczyt pagórka, gdzie stał słup, ale nikt z Cuguajów nawet na niego nie spojrział. Próbował nawiązać rozmowę z jednym kolegą, ale ten zarechotał piskliwie i gdzieś pobiegł.

Usłyszał krzyk. Jakiś młody facet wpychał okorowany kijek we własne przedramię, w połowie odległości między dłonią a łokciem.

Finnbogi nie mógł oderwać wzroku. Czuł fascynację i obrzydzenie,

widząc, że mężczyzna przedziurawił się na wylot. Gdy czubek wyłonił się z drugiej strony, wypychając z rany odrobinę mięsa i wzbudzając potok krwi, posilek podszedł Finnowi do gardła.

Przełknął i uznał, że jak na pierwszy raz, wystarczy mu już wariackiego węża. Po prostu pójdzie spać w nadziei, że zanim się obudzi, zejdzie mu faza.

Gdy schodził chwiejnie ze wzgórza, podbiegł do niego Eryk Złośnik.

– Wszystko w porządku?

– Tak, tylko jakby trochę... Idę spać.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Chyba wąż przestaje działać, bo nie czuję się za dobrze, ale ogólnie wszystko gra.

– Wybacz. Może powinienem był ci powiedzieć, żebyś nie brał tego świństwa. To chyba taka ojcowska rzecz, nie? Choć właściwie może to i lepiej, że wzięłeś. Ja odpuściłem, bo nie lubię rzeczy, od których pieprzy się w głowie. Ale doszedłem do tego wniosku, wzięwszy to i owo, żeby się upewnić, że tego nie lubię.

– Czyli twoja ojcowska rada brzmi: wszystkiego trzeba w życiu spróbować?

– Tak, dokładnie.

– Dzięki, tato. Do zobaczenia rano.

Finn wgramolił się do śpiwora. Kręciło mu się w głowie, nie mógł przestać zgrzytać zębami i miał niezagospodarowaną, nadzwyczaj silną erekcję, ale nie mógł teraz temu zaradzić, bo obok spała Gunnhilda z dziećmi.

Z ulgą powitał nadciągający sen.



Lewitował nad zadziwiająco piękną doliną. Naga czerwona skała i białe góry – Finn nigdy nie widział wyższych – wyłaniały się z majaczącej na horyzoncie połyskliwej plamy lasu. Leciał w tym kierunku, trzymając się nieregularnej linii rzeki, meandrującej delikatnie przez rozrastającą się nizinę aż do szerokiej łąki, gdzie w niewielkiej wiosce żyli w harmonii skrælingowie i duże stado jeleni.

Usłyszał jakiś grzmot, a potem wściekły ryk. Odwrócił się. Dolinę

zalewał potok kamieni, drzew i wody. Finn wzleciał wyżej, a brązowa fala przetoczyła się pod nim jak potworny, rozwścieczony wąż.

Spłynęła ze skarpy i straciła na sile, ale wioska, jelenie i ludzie zostali zmieceni z powierzchni ziemi. Nieskazitelnie zielona przestrzeń uwalana była błotem, kamieniami i połamanymi drzewami.



Ognisko przygasło i zwierząt prawie nie było widać! Bjarni rozejrzał się, nie przerywając tańca. Świat wokół niego wirował. Przestał tańczyć. Stał sam jeden na polanie. Nawet muzycy już sobie poszli. Ze szczytu wzgórza dobiegł go jakiś harmider. Tam płonęły nowe ogniska, ludzie skandowali coś jednym głosem, w niebo strzelała wieża, po której ktoś się wspinał. To tam przeniosła się impreza.

– Bjarni! – zawołał ktoś.

Obrócił się.

– Może Bjarni, a może nie Bjarni. Kto chce wiedzieć?

Był całkiem pewien, że to jego imię, ale nie chciał nic przedwcześnie deklorować.

– Jesteś Bjarni Kurza Twarz. – Eryk Złośnik szedł w jego kierunku. Z jego twarzy zwisała obfita broda, w której roilo się od malutkich, błyszczących krabów.

– Hi, hi, hi, ale czym właściwie jest Bjarni Kurza Twarz? Albo Kura Bjarni Twarz? A wiesz, że masz kraby w brodzie?

– Bjarni, tańczyłeś kilka godzin. Najwyższy czas coś zjeść, a potem lulu.

Bjarni zamknął oczy i zamyślił się. Tak, był jakiś sens w słowach krabobrodego.

– Dobra, przekonałeś mnie.

Uczylił, co mu powiedziano, i wrócił z Erykiem do obozowiska. Tak, sen dobrze mu robi.

Wsunął się do śpiwora obok chrapiącego smacznie Finnbogiego. Zamknął oczy i wtedy nawiedziła go pewna myśl.

– Eryku, wciąż tu jesteś?

– Tak.

– Co robiłeś sam na polanie?

- Pilnowałem, żeby nic ci się nie stało.
- Dzięki, stary.
- Na pewno wszystko gra? Mam zamiar się położyć.
- Wszystko gra i buczy.
- To świetnie.

Eryk ruszył w kierunku rzeki, a Bjarni znowu zamknął oczy. Na skraju jego pola widzenia tańczyły świetliste iskierki, które zaczęły łączyć się ze sobą w sylwetki tańczących postaci, gestami zapraszających Bjarniego do zabawy. Wyraźnie słyszał krzyki i śmiechy od strony słupa.

Wygrzebał się ze śpiwora i potruchtął w tamtym kierunku, by przyłączyć się do zabawy. Gdy znalazł się na wzgórzu, kolory powróciły, a nawet jeszcze lepiej – wróciły zwierzęta, które znów płąsały wokół słupa. Szop wyglądający do złudzenia jak Wulf wspiął się na maszt i zawołał:

- Wooota!
- Wooota! – odwrzasnął Bjarni.

Jeleń o twarzy Sassy podszedł do niego i spytał, czy dobrze się czuje. Odpowiedział, że nigdy nie czuł się lepiej. Jeleń rzucił, że musi pilnować Wulfa, po czym odszedł.

Przy samym słupie inne zwierzęta wkładały do swojego ciała nowe kości, by stać się silniejszymi. Bjarni też chciał być silny. Taki jak Wulf. Może Wulf polubi go, gdy stanie się twardy?

- Mogę spróbować? – spytał.
- Jasna sprawa – odparła wiewiórka.
- Jak to się robi?
- Pokażę ci. Masz, ten jest ostry. Wciśnij czubek tutaj, o właśnie, w odstęp między kośćmi.

Bjarni zrobił, jak mu kazano. Jakie to śmieszne uczucie mieć nową kość w ciele.

– Nie, nie – powiedział wiewióroczłek. – Pchasz wzdłuż, tak lepiej nie robić. O, patrz, w ten sposób, na wylot. – Wcisnął kość w swoje własne ciało i pchnął, aż wylazła z drugiej strony pod odpowiednim kątem. Pokazał mu swoje ramię. – Widzisz? A potem musisz wyciągnąć i oddać patyk Cuguai, kładąc go przy słupie.

Ale głupota. Wkładać kości do swojego ciała tylko po to, by je potem

wyciągnąć? W ten sposób nie zwiększy się swojej siły. Trzeba wcisnąć ich do ciała jak najwięcej, bo im więcej, tym człowiek silniejszy.

– Wiem, co robię. Zostaw mnie! – Bjarni nie chciał na niego krzyczeć, ale ten gość był jakiś walnięty.

– Dobra, jak chcesz być kutasem, to proszę bardzo. – Wiewióroczłek zostawił go i poszedł sobie.

Bjarni warknął coś, a potem usiadł przy stosiku kości i zaczął po kolei wpychać je sobie w rękę.



Paloma Widłoróg galopowała wraz ze stadem spienionych z przerażenia zwierząt, starając się umknąć olbrzymim pomarańczowym pająkom. Na próżno, były o wiele za szybkie. Wiedziała, że są coraz bliżej, że lada moment ich dogonią, ale za nic nie chciała się odwrócić.

Coś złapało ją za ramię. Próbowwała podnieść rękę, ale nie mogła. Otworzyła usta do krzyku...

Obudziła się. I zorientowała, że patrzy prosto w oczy wielkiej stopy. Kudłata bestia gapiała się na nią, nie zdejmując wielkiego łapska z jej ramienia.

To wcale nie lepsze od snu z pająkami, rzuciło się Palomie na myśl.

Monstrum obróciło jej głowę w kierunku słupa wspinaczkowego i warknęło coś, co brzmiało jak „idź!”.

A potem zniknęło w ciemności.

No cóż, pomyślała Paloma. Kimże jestem, żeby ignorować na wpół zrozumiałe polecenia kudłatego małpizona, który budzi mnie w środku nocy? Wstała i poszła w kierunku słupa.

Czy tego małpoluda też sobie wyśniła? Czy może to jej umysł próbował ją skłonić, by poszła dołączyć do imprezy, choć Sofi jej zabroniła? Ale Paloma nie miała zamiaru tego robić. Popatrzy sobie tylko, nie łamiąc zakazu. Przecież nie może ot tak, po prostu olać biednego kudłacza. A jeśli to, co chciał jej pokazać, będzie miało wpływ również na owslanki? Z całą pewnością ani jej w głowie pić czy palić wariackiego węża. Chyba że znajdzie się w sytuacji, w której nieskosztowanie lokalnego specjału będzie wyjątkowo nieuprzejme.

Pokręciła się na obrzeżach imprezy. Nie znalazła w tłumie nikogo znajomego, a ponieważ wszyscy uczestnicy wzięli coś, czego ona nie wzięła, nie miała ochoty do nich podchodzić.

Jakiś człowiek wspinał się na maszt. Był już w trzech czwartych drogi na szczyt. Nie radził sobie najlepiej, a upadek z tej wysokości na pewno nie skończy się dobrze.

Zauważyła, że coś jest nie tak z jego ręką. Była napuchnięta i zlana krwią. Po chwili rozpoznała Bjarniego Kurzą Twarz.

– Woota! – huknął, jakby chciał potwierdzić, że to on. Odchylił się zbyt mocno od słupa i...

Paloma puściła się biegiem. Rzuciła się naprzód i złapała spadającego mężczyznę.

Potoczyli się po trawie i znieruchomieli. Owslanka wyplątała się z wiotkich kończyn Bjarniego i kucnęła. Wotanin leżał na plecach, mrugając niekontrolowanie oczami. Jego lewe ramię wyglądało jak nabijana ćwiekami maczuga. Było naszpikowane białymi patykami, z ran lała się czarna krew. Co on sobie zrobił? Pociągnęła za jeden patyk, ale nie chciał wyjść. A było ich chyba z dziesięć.

Spojrzała wokoło. Ludzie tańczyli, inni wbijali takie same patyki we własne ręce, jeszcze inni całowali się i pieścili. Byli tak zamroczeni, że nawet nie zauważyli, że pospieszyła z pomocą spadającemu człowiekowi.

– Yoki Choppo! – wrzasnęła na całe gardło, wciskając Bjarniemu kciuk pod pachę, by spowolnić krwawienie. – Yoki Choppo!!!

Z mroku wychynęła postać kobiety. Sofi.

– Yoki Choppa już idzie – powiedziała, omiatając wzrokiem całą scenę. – Co mu się...?

– Nie wiem. Widzisz tamte patyki? Ci kretyni wbijają je sobie w ręce. Spójrz, jego ramię wygląda jak poduszczyk na igły.

– Idiota.

– A nie, bo ty – wymamrotał Bjarni.

– Weź się lepiej zamknij. Trzymaj rękę w górze. Palomo, spróbujmy...

Sofi Tornado szarpnęła jeden z patyków.

– Już próbowałam – powiedziała Paloma. – Zostaw, w ten sposób tylko pogorszymy sprawę.

Znikąd pojawił się Yoki Choppa. Też siłował się z patykami.

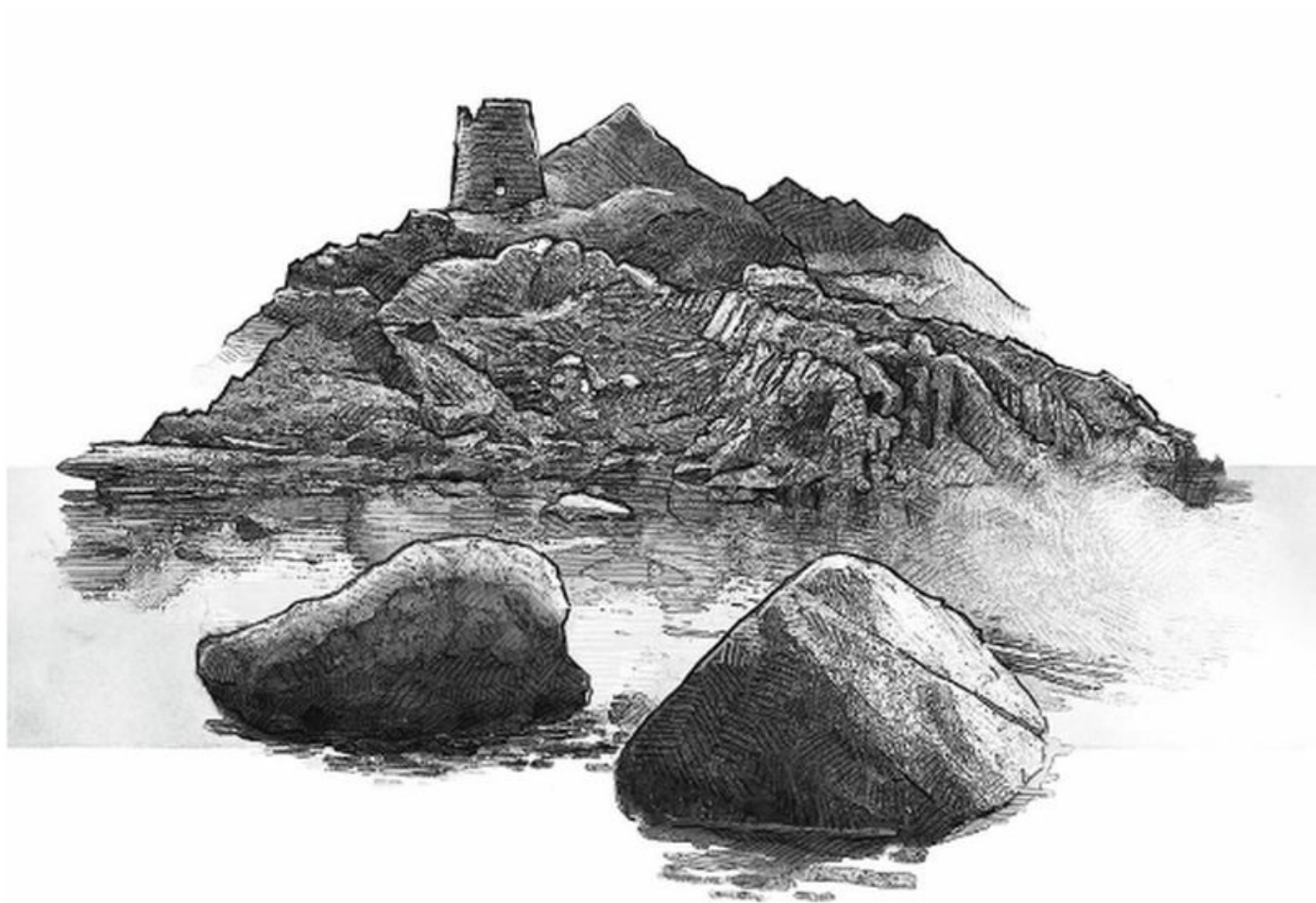
– Nie da rady – powiedziała Paloma.

Czarnoksiężnik skinął głową.

– Sofi, gdzie twój nowy miecz?

– Tam, gdzie spałam.

– Palomo, przynieś go szybko.



Rozdział I5 PRZEZ OJCA WODEĘ

Finnbogi nie mógł przestać gapić się na Bjarniego. Jego przyjaciel był blady, ale chyba spał dobrze, owinięty w koce i przywiązany do barierki Wędrowca, by utrzymał się w pozycji siedzącej. Eryk Złośnik siedział po jednej jego stronie, Gruby Wulf po drugiej. Eryk wydawał się tak nieszczęśliwy, jak tylko może czuć się istota ludzka. Z pozoru Wulf był wesoły jak zwykle, ale w oczy rzucały się niezdrowa bladość jego cery i przygarbiona sylwetka.

Nocne zamieszanie zbudziło Finnbogiego z dziwnego snu, ale zaraz znowu zasnął, nie zauważywszy nawet, że Bjarniego nie ma w śpiworze. Czuł się przez to strasznie. Przez to i przez kilka innych rzeczy. Gdy

wódz Cuguajów ostrzegała go przed niebezpieczeństwem związanym z zażywaniem wariackiego węża, nie wspomniała, że następnego dnia człowiek czuje się chory i snuje się jak duch, a serce ma puste jak pień spróchniałego drzewa.

Nie można zaprzeczyć, ostrzegała, że odnotowali przypadki śmierci po zażyciu węża. Bjarni prawie stał się jednym z takich przypadków. Gdy Finnbogi się obudził, usłyszał, jak Thyri mówi, że Kurza Twarz nie żyje. Potem, gdy przewrócił się, starając się wyswobodzić ze śpiwora, ktoś inny powiedział, że Bjarni stracił nogę. Gdy Finn pytał gorączkowo ludzi, co się właściwie stało, Chogolisa przyniosła Bjarniego z części obozu, w której opiekowały się nim owslanki.

Olbrzymia kobieta powiedziała im, że Bjarni wypił za dużo wariackiego węża i wpadł w szal. Albo, innymi słowy, zbyt duża dawka wariackiego węża zrobiła to, czego należało się po niej spodziewać. W narkotykowym amoku Bjarni wziął białe zaostrzone gałęzie, które przepychali sobie przez ręce co odważniejsi cuguajscy wojownicy, ale zamiast wcisnąć i wyjąć, wsuwał je w swoje ciało jedną po drugiej i tak zostawiał. A potem wlaź na słup i spadł na łeb. Całe szczęście, że akurat znalazła się tam Paloma.

Na domiar złego Bjarni korzystał z już zużytych patyków, które leżały zakrwawione na ziemi. Skoro więc było jasne, że prędzej czy później wda się infekcja, czarnoksiężnik uciął mu rękę w łokciu. Chogolisa twierdziła, że wciąż istnieje zagrożenie, że infekcja rozwinie się w jego klatce piersiowej, i że wówczas na pewno umrze.

Zamilkła na chwilę, a potem dodała, spuściwszy wzrok:

– Sofi poprosiła, żebym wam przekazała, że gdy następnym razem weźmiecie tak silny narkotyk, powinniście wyznaczyć kilku trzeźwych, żeby opiekowali się naćpanymi.

Tak więc atmosfera na pokładzie Wędrowca była cokolwiek kwaśna. Finnbogi próbował sam siebie przekonać, że interesuje go widok za burtą, ale nic z tego. Wielkie stado gołębi dzisiaj wydało mu się zupełnie nieciekawe. Pokonali rozległą rzekę, którą ktoś nazwał Ojcem Wodą. Nie była tak imponująca jak Matka Woda, ale warta obejrzenia. Tylko że Finnbogi nie mógł odwrócić głowy od Kurzej Twarzy. Ilekroć odbiegał wzrokiem, ten samoistnie wracał do Bjarniego i do Eryka, który doglądał

go z poczuciem winy wypisanym na twarzy.

Ostatecznie Finn stwierdził, że nie może znieść bezczynności, więc podszedł do Sitsi, siedzącej obok Sofi. Dowódczyni owslanek miała jego miecz przy pasie.

– Sofi? – zagadnął, starając się nie wlepić wzroku w miecz. – Mogę ci coś powiedzieć?

– Słucham – odpowiedziała. – Finnbogi Zbuk, nie mylę się?

– Mów mi Finn.

Twarz owslanki pozostała jak wykuta z marmuru. Finnbogi doszedł do wniosku, że już nie może się wycofać, więc wypalił:

– Ktoś pilnował Bjarniego. Mój tata, Eryk Złośnik, siedział i godzinami patrzył, jak Bjarni tańczy sam ze sobą, a potem odprowadził go do obozu, dał mu jeść i pić, położył go spać obok mnie. Bjarni był przytomny i powiedział, że czuje się dobrze, ale Eryk i tak odczekał, aż zaśnie, zanim odszedł. Ale Bjarni obudził się, gdy Eryk był nad rzeką, wstał i wrócił na wzgórze.

Sofi patrzyła na niego obojętnym wzrokiem.

– Pojmuję.

Czy jej rysy złagodniały, czy tylko mu się wydawało?

– Więc to nie była wina Eryka ani Wulfa. To nie była niczyja wina. No chyba że Bjarniego. – Finn zagryzł usta i ścisnął je, by się nie rozplakać. Chyba lepiej nie szlochać jak dziecko przed dowódczynią najtwardszych wojowniczek na świecie. – To tyle. Tylko to chciałem ci powiedzieć. – Odwrócił się, by odejść na swoje miejsce.

– Finnie – odezwała się Sofi.

– Tak? – Spojrzał na nią.

– Spytaj Yokiego Choppe, czy ma jakiś lek, który złagodzi kaca po dragach. Wybij klina klinem.



Sassa oparła się o nadburcie Wędrowca Równin. Podłużne linie niziny wyostrzyły się i przeszły w niewysokie wzgórza. Wszystko wskazywało na to, że niebawem opuszczą Morze Traw i znajdą się na terenie o ciekawszej topografii. Olbrzymi pojazd ominął wzgórze i zjechał po pochyłości w kierunku największej rzeki, jaka ukazała się ich oczom od

czasów Matki Wody. Ale Matka Woda była brązowa i błotnista, a ta miała barwę głębokiego błękitu, jak Słodkie Morze Olafa w pogodny dzień.

Ktoś krzyknął, że ta rzeka to Ojciec Woda. Sassa była pewna, że się zatrzymają, ale Wędrowiec wparował do rzeki, prawie nie zwalniając.

Dobiegające spod kadłuba prychnięcia były jedyną oznaką tego, że płyną napędzani bizonimi nogami, unosząc się na przywiązanych do Wędrowca nadmuchanych pęcherzach. Po obu stronach wehikułu płynęło po sześć sztyltozębów, każdy z jeźdźcem na grzbiecie.

Jelenie i inne zwierzęta uciekały w popłochu, wspinając się po zboczach doliny i niknąc między drzewami. Dwa widłorogi przyglądały się machinie z bezpiecznej odległości pobliskiego pagórka. Sassa zastanawiała się, co też mijane przez nich zwierzęta myślą sobie o takim przedziwnym zjawisku jak Wędrowiec Równin i czy będą o nim pamiętać za parę godzin, gdy już będzie wiele mil dalej.

Przekroczywszy rzekę, wdrapali się na najwyższe wzgórze, jakie Sassa widziała w życiu, minęli wierzchołek i ujrzeni... Morze Traw. Preria ciągnęła się w nieskończoność, pozbawiona nieregularności płaszczyzna nizin była jak okiem sięgnąć zielona, zielona i zielona. Może opadała lekko w kierunku zachodnim, ale Sassa nie była pewna.

Obecnie widziała w oddali rozproszone wśród przytłaczającej zieloności punkciki skał. No, zawsze to coś nowego, żeby zająć wzrok.

Analizowała widok, chcąc oderwać myśli od Bjarniego. Jego wypadek strasznie ją zasmucił, ale bardziej była na niego wkurzona. Jak można być tak zatraconym, całkowitym kretyńcem? Nikt z Wotan nie wiedział, że Bjarni wypił o wiele więcej cuguajskiej mikstury, niż powinien, dopóki nie wypyтали o to kobiety podającej narkotyk. Przez głupotę Bjarniego stracili wojownika, a duch w plemienu wyraźnie przygasł. Wulf udawał wesołka, ale Sassa wiedziała, że nigdy nie był tak przybity. Czuł, że zawiódł przyjaciela.

Najgorsze było to, że Wulf miał rację. Zawiódł nie tylko Bjarniego, ale całe plemię. Znaleźli się w niebezpiecznej sytuacji. On był ich wodzem, a jednak zamiast pilnować swoich ludzi, nawalił się w sztok. Gdyby Wulf pozostał trzeźwy, Sassa nie musiałaby mieć go na oku i oboje mogliby pilnować reszty. Wówczas ktoś z pewnością pomógłby Erykowi doglądać

Bjarniego.

Jeśli przeżyją dostatecznie długo, by Wulf został ojcem, Sassa dopilnuje, by nigdy już nawet nie spojrział na wariackiego węża.

Gryziwarga poczuła, że Wędrowiec Równin wytraca prędkość. Dostrzegła w dali martwego bizona. Minęli już kilka, ale z czasem pojawiało się ich coraz więcej. Chwilę później wehikuł stanął, a gołębie sfrunęły na ziemię.

Przestrzeń przed nimi usiana była martwymi bizonami; niektóre piętrzyły się w stertach, inne leżały wśród traw samotnie, ale było ich tak wiele, że zwierzęta niosące Wędrowca na swoich grzbietach nie dadzą rady się przedrzeć. Obszary niezawalone truchłem wydawały się skopane, jakby całe plemię szukało ukrytego pod ziemią złota.

Sassa dołączyła do Sitsi, która lustrowała równinę u boku Palomy.

– Co tu się mogło wydarzyć? – spytała Gryziwarga.

– Burza tornad – powiedziała Sofi, podchodząc do nich.

Sassa chyba pierwszy raz usłyszała jej głos.

– A co to takiego? – spytała, wcale nie mając pewności, czy otrzyma odpowiedź.

– Przedwczoraj przeszła tędy burza. – Dowódczyni owslanek zdawała się znużona, ale nie zirytowana. – Była tak potężna, że zrodziła wiele trąb powietrznych, przed którymi bizony nie zdołały uciec. Yoki Choppa ujrzał ich cierpienie w swojej alchemicznej misce. Zginęły ich tysiące.

Sassa wyobraziła sobie bizony wirujące w trąbie powietrznej na tle ciemnego nieba. To musiał być widok.

– Zobaczył też magię, która dała początek burzy. Mówi, że jej źródłem są Łąki.

– Ale od Łąk dzieli nas jeszcze z tysiąc mil! – wykrzyknęła Sitsi. – Jeśli tutaj dokonała tak wielkich zniszczeń, to...

– W rzeczy samej – powiedziała Sofi. – Dlatego właśnie zdaniem Yokiego Choppy jest tak ważne, żebyśmy was tam zaprowadziły.

– Przykro mi z powodu Bjarniego – powiedziała Sassa.

– Nie pozwól, żeby ponownie doszło do takiej sytuacji – doradziła jej Sofi.

– Nie bardzo wiem, co...

– I nie rozpamiętuj tego. Jeśli nie będziemy współpracować, nie

pozbędziemy się tych pajęczych pułapek. Badlandczycy wyświadczyli nam przysługę, wioząc nas tak daleko na zachód, ale teraz...

– Ludzie, coście tacy smutni! – Chapa Wangwa podbiegł do nich sprężystym krokiem. – Jest mnóstwo bizonów takich jak te tutaj, całe mnóstwo! Och, już wiem, co was tak smuci! Boicie się, że przez tę przeszkodę wydłuży się czas podróży. No cóż, obawiam się, że macie rację! Normalnie dotarlibyśmy wieczorem, ale w zaistniałych okolicznościach przyjdzie nam nadłożyć drogi i odbić kawałek na południe. Tak więc dojedziemy jutro. Ale nie przejmujcie się! Jak już dojedziemy, wybawimy się za wszystkie czasy. Wybawimy i wymordujemy! Jak wy to mówicie? A, tak: Woou-ta!

Chapa Wangwa omiótł je wzrokiem, zaglądając każdej w oczy. Jego uśmiezek zrzędł nieznacznie, gdy dostrzegł podobny malujący się na twarzy Sofi.



Rozdział I6

RZĄDY CHIPPAMINKI

Luby Zefir maszerowała wraz ze swoim oddziałem daleko za strażą przednią wielkiej calnijskiej armii idącej przez Morze Traw na spotkanie zguby.

Minęły cztery dni, odkąd zakradła się do namiotu Ayanny, gdzie przez Chippaminkę prawie popuściła ze strachu w spodnie. Znajdowali się o cztery dni drogi bliżej Badlandów, cztery dni bliżej nieuchronnej klęski, a Luby nie mogła zrobić kompletnie nic, by ich zatrzymać lub chociaż spowolnić.

Najwidoczniej nie tylko Ayanna była omotana przez Chippaminkę, również Luby czuła, że padła ofiarą jej magii, bo wystarczyło, że pomyślała o powrocie do namiotu cesarzowej, a supeł zawiązywał jej się

na żołądku i nie mogła złapać tchu, dopóki nie zmusiła się, by pomyśleć o czymś innym. Klątwa przypominała o sobie również wtedy, gdy przychodziło jej do głowy, by poprosić kogoś, żeby skontaktował się z cesarzową w jej imieniu, lub nawet zlecić komuś zamordowanie czarnoksiężnicy. Jej umysł wypełniało wówczas otępiające przerażenie, które tłumilo wszelką racjonalność i zdolność planowania.

Nie mogąc zrobić nic więcej, Luby skupiła wszystkie wysiłki na trenowaniu swojego oddziału pod kątem rychłego starcia z owslankami. Wymyśliła, że ta misja może zakończyć się powodzeniem tylko przy wykorzystaniu dwóch uzupełniających się zagrań taktycznych – miażdżącej przewagi liczebnej i próby schwytania ich, a nie zabijania. Owslanki miały twardszą skórę i mocniejsze kości, były też znacznie szybsze od normalnych ludzi, więc należało unikać otwartej konfrontacji.

Tak więc oddział Luby ćwiczył z łapisiatkami i więzikijami. Jeśli pozostałe owslanki rzeczywiście sprzymierzyły się z Badlandczykami, rozumowała, to najwidoczniej zostały opętane, tak samo jak ona. Jeśli uda się je złapać i przemówić im do rozsądku, to może uda się też odczynić zły czar. A potem... Już Sofi będzie wiedziała, jak poradzić sobie z Chippaminką.

Około południa, gdy jak zwykle maszerowała ze swoim oddziałem, zastanawiając się, jak efektywniej i bezpieczniej schwytać magiczne wojowniczkę, podbiegła do niej jakaś kobieta.

– Luby Zefir, masz chwilę?

– Jasne – odparła.

Czy ja ją znam? – zastanowiła się. Nie wydaje mi się.

Kobieta była kapitanem innego oddziału. Powiedziała Luby, że uważa całą tę eskapadę za szaleństwo i właśnie chce powiedzieć o tym Ayannie. Spytała, czy może liczyć na jej poparcie.

– Oczywiście – zapewniła ją Zefir, czując, jak znajomy strach odzywa się w jej wnętrzu.

– W takim razie chodźmy. Im szybciej, tym lepiej.

Luby wyobraziła sobie, że biegnie na czoło kolumny, by porozmawiać z cesarzową... i nagle zebrało jej się na mdłości. Zachwiała się, walcząc z podchodzącą do gardła treścią żołądka.

– Ja... nie mogę.

Rozmówczyni mierzyła ją chwilę wzrokiem.

– Jesteś taka sama jak reszta – wycedziła pod nosem, a potem pobiegła dalej.

Luby już ruszyła za kobietą, by przeprosić i wyjaśnić jej swoje położenie. Przebiegła pięćdziesiąt kroków, gdy nagle uprzytomniła sobie, że od tamtej nocy w namiocie nie była tak blisko Ayanny jak teraz. Mdłości natychmiast się nasiliły, tak że musiała się zatrzymać. Nie, powiedziała do siebie w duchu. Wcale nie zbliżam się do Ayanny. Biegnę za kapitan, by ją przeprosić. Byłam wobec niej nieuprzejma i powinnam się wytłumaczyć. Tylko dlatego biegnę w tym kierunku.

Jej żołądek się uspokoił, a ona wznowiła bieg, cały czas szukając wzrokiem Chippaminki. Nigdzie jej nie widziała, ale gdy kapitan dobiegła do Ayanny, a Luby dzieliło od nich trzydzieści kroków, przemożny strach zacisnął szpony na jej gardle i przemocą zatrzymał ją w pół kroku.

Kapitan powiedziała coś, czego Luby nie dosłyszała. Owslanka stała i patrzyła, zmagając się z mdłościami i paraliżującym strachem. Chciała pomóc kobiecie, lecz wiedziała, że nie będzie w stanie.



– Cesarzowo, zaklinam cię, to pomyłka. Musimy natychmiast wracać do Calnii.

Dowódczyni zagradyła jej drogę. Była tak blisko, że Łabędzia Cesarzowa Ayanna widziała pot perlący się na jej czole. Nie mogła przypomnieć sobie imienia żołnierki, ale pamiętała jej historię. Była młodą kobietą z wysokiego rodu, która zmagала się kiedyś z potworną otyłością. Przyjęła zakład, że jeśli zgubi sadło, zostanie mianowana dowódczynią własnego oddziału calnijskiej armii. Wygrała zakład i... coś więcej. Była teraz w świetnej formie, nawet jeśli nieco wisiała na niej skóra. Szybko awansowała na kapitana, którego dzieliło od zwykłego dowódcy oddziału ładnych kilka rang. Mówiono o niej jako o poważnej kandydatce na generała.

Cesarzowa rozejrzała się za Chippaminką, ale doradczyni gdzieś przepadła. Ayanna zdusiła uderzenie paniki. Potrzebowała Chippaminki.

– Stać! – krzyknęła do dwunastu mężczyzn dźwigających łabędzią lektykę. Leżący w niej Calniar nie wiedział, jak zareagować na nagłą zmianę, więc się rozwrzeszczał, jakby ktoś kąpał go w ukropie. Jeszcze kilka dni temu Ayanna pognałaby do niego, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale zdążyła już przywyknąć. Niemowlę dawało upust oburzeniu, ilekroć lektyka ruszała z miejsca, stawała i zmieniała szybkość. Cesarzowa kochała syna bezgranicznie, miał więc szczęście, bo każdego innego takiego krzykacza kazałaby stracić.

– Dlaczego uważasz, że to pomyłka? – spytała władczyni.

– Od czego mam zacząć, wielka cesarzowo? – wyrzekła kobieta błagalnie. – Nie mamy zwady z Badlandczykami, najeżdżamy ich bez powodu. Jeśli twoim celem jest podbicie nowych ziem i powiększenie imperium, źle się do tego zabierasz. Znaleźliśmy się o wiele za daleko od granicy Calnii. Nie mogę powiedzieć, żeby nasze linie zaopatrzenia były zanadto rozciągnięte, bo my po prostu nie mamy linii zaopatrzenia. Sprawnie dowodzona armia, która zna te ziemie i wykorzystałaby ukształtowanie terenu, żeby nas otoczyć, rozbiłaby nas w proch.

– Zdobędziemy badlandzką stolicę – odparła Ayanna z wyniosłym spokojem cesarzowej. Jej geografowie zgłaszali wprawdzie podobne obawy, ale Chippaminka wszystko im wytłumaczyła. – Wówczas naszą linią zaopatrzenia staną się Badlandy.

– Nawet wielka armia musiałaby się porządnie natrudzić, żeby przebić niskie mury otaczające naszą stolicę. Jeden z moich ludzi był w Badlandach. Mówi, że do stolicy, gdzie ma siedzibę ich wielki wódz, prowadzi jedna wąska droga, która wspina się po grzbiecie klifu wysokiego na kilkaset kroków. Cesarzowo, nigdy nie uda nam się zdobyć tak położonej twierdzy.

Niespodziewanie Ayannę naszły wątpliwości. Zrobiło jej się słabo. Naturalne fortyfikacje okalające stolicę Badlandczyków to kolejna kwestia, która spędzała sen z powiek jej geografów. Co dokładnie powiedziała im Chippaminka, by ich uspokoić? Ayanna nie pamiętała. Geografowie zezłościли się, a potem... nie, nie przypomni sobie. Wiedziała tylko tyle, że geografowie się mylili, a Chippaminka miała rację.

Tylko dlaczego argumentacja tej kobiety wydawała się taka przekonująca? Jak wojsko uzbrojone w łuki, proce, włócznie i maczugi

miałoby oblegać skalny masyw? Czy żołnierka miała rację? Nie, nie może być. Ayanna raz jeszcze poszukała wzrokiem Chippaminki, ale jej nie było. Calniar jęczał i wył – zbliżała się pora karmienia.

– Mamy w naszych szeregach łowców, a te ziemie obfitują w zwierzynę – odrzekła Ayanna, chowając wątpliwości za zdecydowanym tonem. – I nie było w historii świata armii tak licznej jak nasza. Rzucimy na Badlandczyków wszystkie siły i przedostaniemy się przez mur, choćby jedni żołnierze musieli stać na barkach drugich. Cesarstwo dwukrotnie zwiększy swój obszar i stanie się dość silne, żeby przetrwać tysiąclecia. – Musiała usiąść. Gdzie ta Chippaminka?

– Cesarzowo, to nie ma sensu. – Kapitan mierzyła ją niedowierzającym wzrokiem. Brzmiała całkowicie szczerze. – Gdyby były z nami owslanki, mogłyby poprowadzić atak, ale mamy tylko Luby Zefir. Na domiar złego słyszy się głosy, że reszta naszych wojowniczek sprzymierzyła się z wrogiem. Jeśli to prawda, jesteśmy w jeszcze większych tarapatach. Już sama Sofi i Chogolisa mogłyby z powodzeniem bronić wąskiego traktu na klifie aż do późnej starości, pozostawiając Badlandczykom łatwe zadanie zrzucenia nas w przepaść. Jeśli zrobimy wtedy odwrót, przystąpią do ataku i pogonią nas aż do Calnii, zabijając jedno po drugim. A co się stanie, jak już stracimy naszą armię? Jeśli zginiesz ty i twój syn Calniar? To będzie koniec calnijskiego imperium. Nie podwoimy jego obszaru, cesarzowo. Stracimy je. – W oczach wojowniczkę zalśniły łzy. – Wielka Łabędzia Cesarzowo, nie jestem tchórzem. Zginęłabym za ciebie tysiąc razy, ale sytuacja jest jasna i klarowna. Jeśli nie uda nam się zdobyć Badlandów, a nie uda się na pewno, to będzie nasz koniec. A jeśli podbijemy Badlandy, zdobędziemy tylko Morze Traw. – Rozłożyła ręce, pokazując rozległą prerię. – Ale czy ono jest nam do czegoś potrzebne? Jest olbrzymie i niezamieszkane. Jedynymi zaletami tego pustkowia są stada bizonów, jeleni i łajna do palenia w ogniskach, a przecież wszystko to mamy również w domu. Co my tu robimy, cesarzowo?

Za plecami Ayanny po horyzont widoczna była calnijska armia. Olbrzymia, choć pośród nieskończonych traw ciągnących się pod przestworem nieba wyglądająca jak kolumna mrówek.

– Jeśli zawrócimy teraz – podjęła kapitan – mamy jeszcze szansę. Od

Badlandów dzieli nas sześć, może nawet siedem dni drogi. Jeśli zarządzisz odwrót, to dysponując nietkniętą armią, powinno nam się udać wrócić do Calnii. Błagam, o cesarzowo, rozważ moje słowa. Stając przed tobą w ten sposób, nie chciałam okazać ci braku szacunku. Próbowałam porozmawiać z tobą od wymarszu, ale zawsze odchodziłam z kwitkiem. To desperacja zmusiła mnie do impertynencji. Zabij mnie za to, nie dbam o to, ale rozważ moje słowa.

Ayanna wwiercała się wzrokiem w tchnącą pokorą twarz dowódczyni. Pojęła ogrom tego, co właśnie robiła. Kapitan miała rację. Oczywiście, że tak. Objęła umysłem bezcelowość tej ekspedycji i zagrożenie, na jakie naraziła siebie, Calniara i wszystkich swoich poddanych – i niemal zważyło ją to z nóg. Zachwiała się i osunęła w ramiona strażników.

– Ja... – wydukała. – Ja myślałam...

Chippaminka minęła cesarzową i dłonią o wyprostowanych palcach uderzyła kapitan w szyję. Żołnierka trzymała się za gardło, nie mogąc złapać tchu. Oczy wyszły jej z orbit.

– Co...? – wydusiła Ayanna.

– Straciłam badlandzkiego szpiega, który rozsiewał wśród nas ziarna defetyzmu. Jesteś niezdrowa, cesarzowo. Wydadaj rozkaz, zatrzymajmy się na odpoczynek. Zaopiekuję się tobą, a rano wznowimy marsz.

Za plecami młodej czarnoksiężnicy kapitan zważyła się na kolana. Nikt nie pospieszył jej z pomocą.



Luby Zefir zobaczyła Chippaminkę, nim ta dotarła do Ayanny. Chciała krzykiem ostrzec kapitan, ale słowa uwięzły jej w gardle. Próbowała ruszyć się z miejsca, podbiec do niej, ale nie mogła. Patrzyła bezsilnie, jak dowódczyni ginie od ciosu czarnoksiężnicy.

Wówczas wzrok Chippaminki padł na Luby, a ona pierzchła jak spłoszony ptak. Wróciła sprintem do swojego oddziału, zawstydzona tym, że uczucie ulgi było silniejsze od poczucia winy.



Ayanna rzeczywiście była chora. Usłyszała samą siebie, jak wydaje

rozkaz zatrzymania się na posiłek, tak jak podsunęła Chippaminka. W jej uszach rozbrzmiewało echo jej własnego głosu. Ktoś pomógł jej się usadowić, rozpiął koszulę i przystawił do piersi płaczącego Calniara.

Siedziała z zamkniętymi oczami, znosząc razy bolesnego światła i słysząc odgłos rozbijanych namiotów. Ssanie chłopca sprowadziło na nią sen.

Chippaminka zbudziła ją o zachodzie słońca. Cesarzowa była ubrana, rozłożona na łożu w namiocie jak rozgwiezda na plaży w czasie odpływu. Nie była to najbardziej boska z póź.

Czarnoksiężnica rozebrała ją, kazała przynieść wannę i magiczną maść. Początkowo rozprowadzała ją dłońmi, potem ramionami, a potem całym swoim nagim ciałem, ślizgając się po rozebranej Ayannie, uciskając ją i głaszcząc, rozpuszczając w morzu rozkoszy wszystkie troski i myśli, sącząc do jej uszu ciepłe, pocieszające słowa. Gdy już Chippaminka wprowadziła cesarzową w senną błogość, jej dotyk zmienił się w coś jeszcze bardziej ekscytującego. Używając całego swojego ciała, rąk i ust, wzbudziła przyjemność innego rodzaju, wprawnie i skutecznie.

Ayanna oddychała coraz płycej, jej ciało dążyło do kulminacji... gdy poczuła na szyi drobne, silne dłonie. To coś nowego. Kciuki zaczęły napierać na jej krtań.

Cesarzowa usiłowała się podnieść. Dziewczyna ześlizgnęła się nieznacznie z jej naoliwionej piersi, ale zaraz oplotła talię silnymi nogami i przytrzymała w miejscu. Uścisk na szyi przybrał na sile. Ayanna nie mogła oddychać. Nawet narastająca panika nie dodała jej sił. Przestała się szamotać, spojrzała na swoją kochankę, błagając wzrokiem, by ją puściła. Nie chciała umierać. Nie mogła zostawić Calniara.

Chippaminka pochyliła się do niej, musnęła wargami jej usta. Uścisk na szyi zelżał, dłonie dziewczyny zaczęły pieścić i głaskać cesarzową. Korzenny aromat maści zmieszany z zapachem Chippaminki napłynął do nozdrzy Ayanny, odurzył ją jak opar narkotyku. Wciągnęła haustami powietrze, a potem ucałowała szyję dziewczyny. Jej usta zsunęły się na obojczyk, a potem wróciły do żuchwy, raz, potem znowu. Uwielbiała ją.

– Jesteś w mojej mocy – powiedziała Chippaminka, przesuwając swoim ciałem po ciele cesarzowej pulsującymi, zmysłowymi ruchami. Szczupłe, silne udo rozchyliło miękkie nogi Ayanny, napało na punkt

między nimi. – Rozumiesz?

– Tak – wydyszała Ayanna.

– Słuchasz tylko mnie, nikogo innego. Robisz, co ci każe. Czy rozumiesz?

– Zrobię wszystko, co rozkażesz.

– Wszystko?

– Wszystko.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

Część druga

PAJĄKI BADLANDÓW





Rozdział I W GŁĄB BADLANDÓW

Finnbogi Zbuk stał przy barierce Wędrowca Równin między Ottarem Niemową i Frejdis Złośliwą. Kraina, którą przemierzali, wypiętrzała się coraz bardziej, z niziny przechodząc w wyżynę, a na południu rosło w oczach monumentalne wzgórze o płaskim wierzchołku. Czy to może już góra? Wokoło rozciągały się połacie białej skały upstrzone kępami surowej, zielonkawej trawy. Niektóre formacje skalne były kanciaste, inne przypominały niskie murki, jeszcze inne były regularne jak kopuły. Niektóre stały samotnie, wielkie jak długie domy, inne skupiały się w grupach przywodzących na myśl miasteczka białych chat i szop. Skała wyglądała na miękką, jakby porządny kopniak mógł obrócić ją w pył.

Pomiędzy nimi skubały trawę i przemykały chyłkiem bizona, łosie, lisy i inne nizinne zwierzęta, a wśród nich tysiące futrzastych stworzonek kojarzących się z przerośniętymi, krótkowłosymi wiewiórkami o wielkich głowach. Biegały w kółko, goniąc się nawzajem. Ujrzawszy Wędrowca, krzyczały i chowały się w norach lub piszczwały dziwnie i nagłoco, albo też stawały słupka i patrzyły na przejeżdżającego obok kolosa, trzymając łapki przed sobą, niby pokorni petenci czekający, aż jarl skończy rozmowę, by mogli w końcu poprosić o coś, czego ten i tak im odmówi.

– To są pieski preriowe – zidentyfikowała gryzonie Sitsi, dołączając do nich. – Zwane też nieświszczukami.

– Czy są niebezpieczne? – zaniepokoił się Finnbogi.

– Oczywiście, że nie! – prychnęła Frejdis. – Wyglądają na krwiożercze bestie?

Sitsi roześmiała się.

– Są niebezpieczne, tylko jeśli jesteś konikiem polnym.

– Ale tyle ich jest... Jeśli miałyby kogoś w rodzaju przywódcy... – myślał głośno Finnbogi.

– To przejęłyby władzę nad światem, a świat stałby się dzięki temu o wiele lepszym miejscem – dokończyła Sitsi. – A przynajmniej Badlandy. Są już niedaleko.

– Skąd wiesz?

– Badlandy to wielka wychodnia skalna, w której Badlandczycy wryli swoje miasto. Te nagie skały, które widzimy wokoło, muszą być ostańcami tej właśnie skalnej formacji. Spójrz tam. – Sitsi wskazała palcem punkt na horyzoncie. – Ta ma czerwone paski. To pierwsza taka, którą mijamy. Skały w Badlandach są czerwone, żółte i białe, więc spodziewam się, że w miarę zbliżania się do stolicy będziemy widzieć więcej kolorów.

– Byłaś tu już kiedyś? – zaciekała się Frejdis.

– Nie, ale uczyłam się o Badlandach w Calnii.

– To tam, w oddali, to już Badlandy? – Finnbogi kiwnął głową na złowrobną, ciemną masę górującą nad horyzontem na zachodzie.

– Nie, to są chmury. Myślę, że stolica jest na północny zachód stąd. Pewnie niebawem skęcimy na północ. Myślę, że te chmury wznoszą się

nad Czarnymi Górami, jeszcze kawałek drogi na zachód od samych Badlandów.

– Jak myślisz – spytał Finn po chwili – co nas czeka w Badlandach?

Sitsi spojrzała ze smutkiem na niego i dzieci.

– Nie wiem.

– Wooo... – zaciągnął Ottar, a potem dodał nieco żałośniej: – ...taaaaaa.

– Nic dobrego – odpowiedziała za nią Frejdis. – Lepiej nacieszmy się końcówką podróży.

Finnbogi powiódł wzrokiem do Bjarniego, który wciąż tkwił przywiązany do barierki. Yoki Choppa podał mu płyn z Loki wie czym, po którym Kurza Twarz zasnął jak dziecko i tak siedział wiotki, bez ducha. Eryk nie opuszczał jego boku, choć czarnoksiężnik powiedział mu, że Bjarni będzie spał parę dni. Utrzymawał, że to jedyny sposób na zwalczenie infekcji, która rozprzestrzeniła się na klatkę piersiową. Ręka Eryka wciąż była owinięta bandażem po poparzeniu przez Chape Wangwę.

– Tak, Frejdis, masz rację – rzekł Finn do dziewczynki. – Umrzesz, kiedy umrzesz. Grajmy dalej w naszą grę. Wydaje mi się, że następnym drapieżnikiem, jakiego zobaczymy, będzie... niedźwiedź.

– Ja stawiam na lwa, a Ottar na jesiotra.

– Jesiotra? Nie kłam, Frejdis. Co naprawdę powiedział Ottar?

– Wilka.

– No chyba.



Wędrowiec Równin zawrócił na północ, a Sitsi z satysfakcją pokiwała głową. Miała rację co do położenia Badlandów.

Jakiś czas później minęli dwie rozwalone chaty, obok których rozrzucone były zwłoki kilkorga ludzi w różnym wieku. Może dwie dość liczne rodziny.

– Już prawie jesteśmy!

Finnbogi aż podskoczył. Chapa Wangwa zakradł się do nich za ich plecami.

– Ależ jestem podniecony! – zaśpiewał wyszczerzony Badlandczyk. – Jak to miło ze strony tych przemiłych ludzi, że posłużyli nam za

drogowskaz i przypomnieli, co nas czeka w Badlandach!

– Co im się przytrafiło?

– Może przeszkrobali sobie u Bobrocześnieka? On zabija ludzi, którzy go wkurzają. A może nie przeszkrobali sobie u Kełcza Ynczigama? Główny czarnoksiężnik zabija tych, którzy go nie wkurzają.

– Czy Kełcz Ynczigam jest przekornikiem? – zapytała Sitsi.

– Tak... – Uśmiech pozostał na twarzy oprawcy, ale powieki się zwęziły. – Skąd ty wiesz o przekornikach?

– Ona wszystko wie – wtrącił Finn.

– Nie wiem tylko, jak daleko jeszcze do celu podróży.

– Jesteśmy już bliźutko, bliźuteńko. Poczekajcie, aż pokonamy to wzniesienie. Poczekajcie... i... już!

– A niech mnie – zdumiał się Finnbogi.

Grunt opadał łagodnie do szerokiej doliny. Z jej dna strzelały w niebo skalne wieże i kopuły, wyolbrzymiałe wersje widzianych wcześniej niższych formacji skalnych. Z porośniętej trawą przeciwnej strony kotliny wznosiła się pod niebo nieprzerwana chropowata linia ostro zarysowanych klifów. Stanowiły one naturalną, wydźwigniętą z głębokości barierę rozciągniętą na długie mile ze wschodu na zachód, poznaczoną poziomymi liniami czerwieni, żółci i bieli. Zadziwiające barwy skał lśniły jaskrawo w świetle słońca, ale górujące nad nimi purpurowo-czarne niebo tchnęło grozą.



Yoki Choppa dźgnął zaróżowione ciało w miejscu, gdzie kiedyś ramię Bjarniego przechodziło w przedramię. Pacjent wciąż był pogrążony we śnie. Eryk Złośnik nie musiał pytać. Poznał po zapachu, że rana jest zakażona.

Nie powinien się obwiniać. Nie powinien się obwiniać.

– Eryku! – krzyknął Finnbogi z przeciwnego końca pokładu. – Chodź, zobacz!

– Zaraz. – Trzymał w ramionach oddychającego płytko, cuchnącego zgnilizną Bjarniego, podczas gdy Yoki Choppa przyciskał do rany nasączony lekarstwem okład, który następnie owinął świeżym bandażem. Otrzymał od Cuguajów. Byli bardzo pomocni, choć nie

poczuwali się do winy ani nie wyrażali skruchy w związku z wypadkiem Bjarniego. Bo i czemu by mieli? Ostrzegali go, a on zachował się jak głupiec. Eryk wiedział, że z tego właśnie powodu nie powinien się obwiniać, a jednak... Gdyby tylko go nie zostawił! Gdyby tylko przyszło mu do głowy sprawdzić go drugi raz, gdy wrócił z rzeki, zanim sam ułożył się do snu. Umierasz, kiedy umierasz, to prawda, ale Eryka smuciło niepomniernie, że zmuszony był patrzeć, jak umiera ktoś tak pełen życia jak Bjarni Kurza Twarz.

Zanim zmienili mu opatrunek, Wędrowiec zatrzymał się, a gołębie sfrunęły na ziemię. Eryk odczuł ich ulgę. W końcu wróciły do domu. Ta emocja przebiła się przez stałe poczucie bezpieczeństwa i spokojną radość wynikającą z bycia częścią wielkiej gromady. Od czasu wystosowanego przez Chapę Wangwę ostrzeżenia Eryk nie próbował już porozumiewać się ze zwierzętami, ale coraz częściej wyłapywał mimochodem ich emocje. U gołębi czuł zwykle ich rozpaczliwą potrzebę bycia otoczonym przez miliony innych gołębi. U bizonów – coś na kształt gamoniowatej niechęci. U pajaków nie czuł nic. Ich milczenie przyprawiało go o dreszcze.

Eryk i Yoki Choppa wstali i spojrzeli ponad barierką. Eryk dowiedział się od gołębi, że ich wędrówka przez Morze Traw dobiegła końca. Wiedział, że Badlandy to niezwykle miejsce, ale nic nie przygotowało go na rozpościerający się przed nim widok.

– A niech mnie – wyrwało mu się.

Wokoło jeźdźcy zeskakiwali ze sztyletozębów, zostawiając je pod opieką pokornych sług z pajęczymi pudełkami na szyjach. Inni biegli w kierunku Wędrowca Równin w asyście Pustych Dzieci na wielkorogach.

Kawałek na zachód od nich poderwał się z ziemi inny zaprzężony w gołębie wehikuł i potoczył się naprzód. Miał może ćwierć długości Wędrowca i o wiele mniej liczne stadko. Zamiast bizonów niosła go pokaźna wataha wilków.

Po wschodniej stronie Wędrowca dostrzegli rozległe skupisko budynków, namiotów, klatek i jaskiń wykutych w wyrastającej z prerii skale. Miasteczko było kilkukrotnie większe od głównego osiedla Lakchanów.

Nad tym wszystkim górował od północy wyszczerbiony i stargany przez erozję klif, wysoki na kilkaset kroków, pokreślony czerwonymi, żółtymi i białymi paskami, wcinający się w niebo niczym kły sterczące z zuchwy boga-aligatora. Badlandzki dowódca Rappa Hoga mknął już na swoim sztyletozębie traktem wiodącym ku kolczastym skałom. Wielki mężczyzna i masywne zwierzę wyglądali przy gigantycznych klifach jak dziecięce zabawki.

Eryk Złośnik wpatrywał się intensywnie w skalną ścianę. Nie sądził, że istnieje na świecie coś takiego. Z oszołomienia wyrwał go głos Chapy Wangwy, który zwoływał wszystkich na rufę Wędrowca. Badlandczyk stał obok sześciorga Pustych Dzieci i uśmiechał się jeszcze szerzej niż zwykle.

– Oto kres naszej podróży, moi kochani! Dotarliście do miejsca waszej śmierci!

Eryk podniósł rękę do pudełka, ale w porę się opamiętał.

– Wehikuł, który tam widzicie – podjął wyszczerzony kat – to osobisty pojazd Bobroczłeka. Biegacz Równin. Wyobrażacie sobie? Tak wielki okręt dla tylko jednego człowieka? Może nie jest tak ogromny jak Wędrowiec, ale wierzcie mi, popindala, aż miło! Tresujemy wilki tak, żeby maksymalnie zwiększyć ich prędkość. Biegają tak szybko, że same nie mogą się dogonić. A teraz spójrzcie tam. Wydaje wam się, że to miasto, he? Otóż bynajmniej. Tam mieszkają zwierzęta, niewolnicy i drobni więźniowie. Tu kończy się podróż Wytrzeszczów i wielkiej stopy. Reszta z was – wrócił wzrokiem do owslanek i Wotan, popatrzył na każdego z osobna, jakby chciał nacieszyć się widokiem – zejdzcie z Wędrowca i pójdzcie za mną w głąb Badlandów. Możecie zabrać ze sobą broń, będziecie jej potrzebować, ale pamiętajcie, jeden fałszywy ruch, a czeka was natychmiastowa śmierć w wyniku pokąsania przez sympatyczne stworki w waszych pudełkach. Czemu się marszczysz, Frejdis Złośliwa? Ach tak, oczywiście, cenisz precyzję wypowiedzi. Prawda, nie jest to natychmiastowa śmierć. Natychmiastowe jest bolesne pogruchotanie kręgosłupa, twarzy, nóg i rąk, później zaś umiera się długo, baaardzo długo. Masz rację, głuptas ze mnie.

Ottar krzyknął coś, wyskoczył z tłumu, wskazał Chapę Wangwę palcem i pokręcił głową.

– Co on mówi? Co on mówi? – domagał się Badlandczyk. Jego usta zastygły w uśmiechu, ale oczy miał wybałuszone i groźnie poruszał płatkami nosa. Eryk uprzytomnił sobie nie bez ukłucia satysfakcji, że on boi się chłopca.

– Zanim ci powiem – odrzekła Frejdis – ośmielę się przypomnieć, że on nie zmyśla. Dobia go głos z innego miejsca, ale nie chce mi powiedzieć skąd.

– Mówże, mała dziewczynko, gdyż nie mogę się doczekać.

– Dobrze. Mówi, że jesteś wrednym, nieszczęśliwym człowieczkiem, którego nikt nie kocha i który umrze w bardzo brzydki sposób.

– Gadatliwy ten twój braciszek.

– Mówi tylko to, co słyszy.

– Rozumiem. Kto wie, może mówi prawdę. Bo chcielibyście, żeby to była prawda, co? Fajnie by było, gdyby stary Chapa Wangwa umarł w jeszcze większych męczarniach niż człek pokąsany przez pająki beeba. To bardzo nieładnie z waszej strony, ale wolę myśleć, że po prostu zapomnieliście, jaka to straszna śmierć. A skoro tak, może wypada wam przypomnieć. Zaraz każę pająkom pokąsać ciebie, Frejdis Złośliwa.

– Nie – powiedział Wulf.

– Spróbuj mnie powstrzymać, Gruby Wulfie, a pająki pogryzą też twoją żonę Sassę i tego gadatliwego brzdąca na dokładkę, bo i czemu nie. To jak? Spróbujesz szczęścia?

Wulf oblał się tak jaskrawym rumieńcem, że Eryk przeraził się, że zaraz stanie w płomieniach.

– Proszę, nie zabijaj dziewczynki – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Zabij mnie zamiast niej – wyrzekła Gunnhilda, wychodząc naprzód.

– Wracaj do szeregu albo zabiję i ciebie, i Sassę, i Ottara. I tę małą też.

Kif Berserk zrobił krok w kierunku Badlandczyka, ale Wulf powstrzymał go wyciągniętą ręką. Gunnhilda cofnęła się o krok. Maniacki wyszczerz Wangwy jeszcze się rozszerzył.

– Nie krępujcie się, zróbcie coś, powstrzymajcie mnie. Pająki zamknięte w waszych pudełkach będą miały używanie, a ja apetyczną przystawkę przed daniem głównym.

Sześcioro Pustych Dzieci sterujących gołębiami i bizonami siedziało ze

wzrokiem utkwionym w nicości, ale Eryk czuł, że ich myśli skupione są na zwierzętach na szyjach jeńców. Jego własny pajak poruszył się, łaskocząc go odnóżami. Po raz pierwszy Eryk coś od nich poczuł, emocję tak zimną i tak doszczętnie wyzuta ze współczucia, że wiedział, iż nie ma dla Frejdis ratunku. Może i odważyłby się oddać życie za małą, by nie patrzeć, jak umiera sama, ale to by oznaczało też śmierć Ottara. Byli w kropce.

– Dobrze, widzę, że się rozumiemy. Że dotarło do was, jak absolutną władzę sprawuję nad wami wszystkimi. Robicie tylko to, co każe wam robić stary Chapa Wangwa. A wy, Puste Dzieci, każecie pajakom pokąsać tę małą, gdy doliczę do trzech.

Wszyscy zacisnęli pięści i zęby w niemym wyrazie bezsilności. Wszyscy poza Ottarem, który włożył palec do ust, wyciągnął coś spomiędzy tylnych zębów i obejrzał krytycznie. Frejdis stała wyprostowana, również zaciskając pięści i gromiąc kata nienawistnym spojrzeniem. Nie dała się złamać przerażeniu, choć wiedziała, że już po niej.

A więc jednak, pomyślał Eryk, wiedząc, że wszyscy czują to samo co on. Nie byliśmy w stanie uchronić najmłodszej z nas przed tym strasznym losem. Stanie się to, czego obawialiśmy się od początku.

Pozorna swoboda pajęczych obroży wzbudziła w nich fałszywe poczucie bezpieczeństwa, ale teraz naga prawda ukazała się ich oczom. Wszyscy tu umrą. Gdy zginie mała, niewinna Frejdis, nie będą już mogli dłużej udawać. Ich płonne nadzieje umrą wraz z nią. Wówczas będą zmuszeni stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością – Badlandczycy zamęczą ich, jak chcą i kiedy chcą, a oni nie będą mogli zrobić nic, by im przeszkodzić.

– Jeden! – zawołał Wangwa. Sofi Tornado postąpiła w jego stronę. – Ktokolwiek ruszy palcem, zginie. A potem zginie i dziewczynka, i chłopiec. Czy to jasne? Tak? Bardzo mnie to cieszy.

Ottar krzyknął, ściągając na siebie wzrok wszystkich. Wrzeszczał na owo coś, co wygrzebał sobie z buzi. Gdy zauważył, że jest w centrum uwagi, zachichotał.

– Dwa!

Trwali w bezruchu jak kamienne figury. Skakali wzrokiem od Chapy

Wangwy przez Frejdis do Pustych Dzieci. A co się stanie, pomyślał Eryk, jeśli ruszymy na niego wszyscy?

– I trzrzrz...

Paloma Widłoróg wystrzeliła z miejsca jak strzała z łuku. Ruszyła prosto na Chapę Wangwę.

Prawie jej się udało.

Gdy dzieliło ją od niego pół kroku, nagle zwinęła się w powietrzu. Badlandczyk odstąpił na bok, Paloma potknęła się i przywaliła o pokład. Przetoczyła się i wylądowała na nogach w przysiadzie, twarzą do towarzyszy. Podniosła rękę do obroży. Jej skóra pociemniała o dwa tony, szyja napuchła wyraźnie, a później opuchlizna przeniosła się na twarz.

Wstała, drżąc, i rozdygotaną ręką uniosła swój kostur. Chapa Wangwa cofnął się o krok, szczerząc się w zdumieniu. Spazm wstrząsnął Palomą, ale utrzymała się na nogach.

– Silna jesteś! – powiedział z uznaniem.

Syknęła, jakby ktoś uderzył ją w brzuch, i zrobiła kolejny krok w jego stronę. Twarz miała prawie czarną, ciemność pochłaniała też jej ramiona i pierś. Na tym etapie działania trucizny poprzednia ofiara szamotała się już na ziemi z potrzaskaną szczęką i kręgosłupem.

Przez chwilę wyglądało na to, że Paloma zdoła trafić Chapę Wangwę, lecz wtedy prędkostopa biegaczka zgarbiła się, jakby spadł na jej barki niewidzialny ciężar, a potem rozwarła usta, wrzasnęła i wstrząsana drgawkami padła na plecy, machając bezładnie rękami i nogami.

Eryk i inni – w pędzie nie zobaczył kto – podbiegli do niej, złapali za członki, próbując nie dopuścić do ich pogruchotania. Trzymali ją.

Czerń pokrywająca jej skórę rozcieńczyła się, oddech, choć płytki, powoli się wyrównywał.

Chyba sto lat trwało, nim Paloma uniosła głowę i wycharczała:

– Będę...

Chogolisa podniosła ją i podtrzymała tak, by mogła zwymiotować. Ale Paloma nie zrobiła tego. Zamknęła tylko oczy i zwiotczała w ramionach Zadrzyziemi.

– O kurde! – wrzasnął Chapa Wangwa. – Umarła?

Yoki Choppa wyczuł puls na jej szyi.

– Nie.

– Być nie może! Ależ twarda sztuka! Wracając, co to ja... Ach, już wiem. Miałem właśnie zabić naszą małą Frejdis Złośliwą. Ale myślę, że zachowamy ją sobie na później. Paloma może i nie zmieniła się w drgającą kupę mięsa, ale chyba dostatecznie się tu przed nami namordowała, żeby przeszła wam ochota na wygłupy. Jak już wspomniałem, jad beeby nie wywołuje natychmiastowej śmierci. Niebawem wasza towarzyszka doświadczy agonii, jaka nie śniła się większości ludzi na tym świecie, po czym niechybnie umrze.



Rozdział 2

SKAŁY JAK PTAKI

Sassa szła z Frejdis i Thyri za Chapą Wangwą, który prowadził obydwie plemiona w sobie tylko znanym kierunku przez badlandzkie terytorium.

– Patrzcie, patrzcie! – emocjonowała się Frejdis. Najwyraźniej otrząsnęła się z ponurych gróźb ciemżyciela i z widma niechybnej śmierci Palomy. – Białe pieski preriowe.

– Strach dziecka jest jak letni deszcz – zaintonowała Gunnhilda Pobożna. – Potężny, lecz przelotny, szybko umyka w niepamięć.

– I oba są niepożądane na pikniku – dodał Kif Berserk.

Sassa spojrzała tam, gdzie wskazywała Frejdis. Przesunęła wzrokiem

po trawiastej skarpie okalającej chropawy klif, gdzie grzebały w ziemi setki stworzonek, które dojrzeli wcześniej z Wędrowca. Hugin i Munin warczały.

– Sama wymyśliłaś tę nazwę? – zaciekawiała się Thyri.

– Pieski preriowe? Nie, Sitsi Pustułka powiedziała, że tak się właśnie nazywają, a ona jest prawie tak mądra jak mój starszy brat.

– Owslanki nas zawstydzają. – Thyri kopnęła kamień na drodze.

– To nieprawda – sprzeciwiła się Sassa. – Gdyby ktokolwiek z nas rzucił się na Wangwę, zginąłby. Nawet ty, nawet Eryk i Wulf. Owslanki są magiczne. Mają utwardzone kości i Freja raczy wiedzieć co jeszcze potrafią. Nie możesz się z nimi porównywać.

– A jednak mogę.

– Nie powinnaś. Nasz czas w końcu nadejdzie. Jeszcze pokażesz, ile jesteś warta.

Szły dalej. Frejdis trajkotała o piaskach preriowych, Ottar hasał sobie w pobliżu. Przed nimi Chogolisa Zadrzyziemia i Sofi Tornado niosły nieprzytomną Palomę na noszach, a obok nich Eryk i Finnbogi – Bjarniego. Jeden z jej najstarszych przyjaciół oraz najnowsza przyjaciółka leżeli bez ducha, ich ciała poruszały się bezwładnie na nierównym trakcie. Sassa miała bardzo złe przeczucie, że to dopiero początek. Weź się w garść! – rozkazała sobie. Umierasz, kiedy umierasz, a Paloma i Bjarni jeszcze dychają.

Płaska, szeroka ścieżka wspinała się na klif. Rozejrzawszy się, Sassa doznała wrażenia, jakby rośliny i ziemia odpadły od skał, ukazując toczone zarazą, gnijące kości świata. Skały przy drodze wyglądały jak kopce usypane z mokrej ziemi, lecz dalej wznosiły się wysoko w formie szpiczastych iglic i płetw morskich bestii przekreślonych pasami bieli, czerwieni, żółci i fioletu. W innych okolicznościach Sassa być może uznałaby je za piękne, lecz teraz budziły przestrasz i odrazę, jakby zło drzemiące w czarnych sercach Badlandczyków skaziło zamieszkaną przez nich krainę.

Klify były upstrzone małymi okrągłymi jaskiniami o średnicy jednego kroku. Kilka podobnych dziur Sassa zauważyła przy drodze. Freja jedna wiedziała dokąd prowadzą te wąskie tunele.

Gryziwarga położyła sobie rękę na brzuchu i zadrżała.

– Tamta skała – powiedział Wulf, podbiegłszy do nich – wygląda zupełnie jak kutas.

Sassa spojrzała na wskazaną przez niego wysoką na pięć kroków żółto-czerwoną skalną kolumnę. Nie była w nastroju na takie szczeniackie żarty, ale musiała przyznać mu rację. Przysadzista wieża miała nawet pięknie ukształtowany purpurowy hełm.

– I tamta też. Wypisz wymaluj: dorodny ptak męski. – Wulf wskazał inną niezaprzeczalnie falliczną skałę. – Wkraczamy do krainy skalnych ptaszków.

– Nie da się ukryć – odparła Sassa, uśmiechając się po raz pierwszy od przybycia do Badlandów. – W dodatku tamten jest w takim samym kolorze co twój.

– Mój ma więcej czerwonych pasków. Nie wspominając, że jest większy.

– Możecie przestać? – obruszyła się Thyri. – Frejdis słyszy, i ja też.

– To co, że słyszę? – zdziwiła się Frejdis. – Tylko że nie rozumiem, o co chodzi. Która niby skała wygląda jak ptaszek, Gruby Wulfie?

– Tamta, o.

– Raczej jak człowiek bez rąk. Ja na pewno nigdy nie widziałam takiego ptaszka. A jak myślicie, co mieszka w tych dziurach w ziemi?

– Pręgowce – odparł Wulf. A potem, jakby specjalnie na potwierdzenie jego słów, z dziury po ich prawej smyrgnęły dwie pręgowane wiewiórki i wbiegły zwinnie po pionowej skale. Usiadły na szczycie na tylnych łapach i przyjrzały się przybyszom z wysoka.

Kompania szła dalej. Pojawiały się nowe zwierzęta, przez co Sassie kraina wydała się jeszcze bardziej obca i niebezpieczna. Małe króliki skakały między kępami trawy, gdzie dało się czasem dostrzec fioletowe kwiaty i ptaki o szpiczastych dziobach. Na każdej skalnej iglicy siedziały pręgowane gryzonie. Z pobliskiej stromizny zeszły z gracją dwa wielkorogi, z każdym krokiem dając początek małej lawinie.

– O rety, to chyba największe ptaszysko tego dnia – powiedział Wulf, gdy zza węgła wyłoniła się szczególnie okazała skała.

– Jakie ptaszysko, o czym ty mówisz? – domagała się wyjaśnienia Frejdis.

Sassa wbrew sobie zdusiła chichot.

To właśnie dlatego – może przede wszystkim dlatego – tak bardzo kochała Wulfa. Zawsze poprawiał jej nastrój. Zupełnie jakby jego wrodzona pogoda ducha wywabiała zwierzęta z kryjówek, by rozjaśnić jej dzień. Pomimo ich niewesołego położenia Sassa poczuła przyływ optymizmu.

A potem skręcili w prawo za załomem skalnym.

Pas ziemi, przez który wiodła ich ścieżka, zwężał się tutaj, a dróżka wciskała się w stromy żleb o szerokości piętnastu kroków. Ze skały zwisali przybici za ręce ludzie. Ściana pod każdym z nich była poznaczona czerwonymi i czarnymi plamami krwi. Niczym dekoracje, wszędzie wokół nich tkwiły przybite do ściany dłonie. Niektóre wyglądały na świeże, jakby odcięto je przed chwilą, inne były całkiem ogołoczone z mięsa, pozostałe prezentowały różne stadia rozkładu. Widzieli uczezione krwawych ochłapów ptaki i bzyzące czarne osy o czerwonych skrzydłach.

Wtedy Sassa zobaczyła, że jeden z wisielców próbuje odpędzić kopniakami skubiące go wiewiórki, i zrozumiała, że ci krwawiący, pożerani przez zwierzęta nieszczęśnicy żyją.



Dotarli drogą na szczyt klifu. Grunt obniżył się i przeszedł w trawiastą nizinę poznaczoną wychodniami skalnymi różnych kształtów i rozmiarów, od słupów dorównujących roslemu mężczyźnie po chropowate biało-czerwono-żółte wzniesienia o płaskich lub szpiczastych wierzchołkach. Wyspy nagiej skały jaśniały w słońcu, choć na północnym niebie tężały podbite fioletem ciemnobłękitne chmury zwiastujące burzę.

Tutaj również wisieli na ścianach ludzie oraz setki odciętych rąk. Skały roiły się od ptaków i innych zwierząt, niczym łowne knieje na wiosnę, ale wszystkie urocze leśne stworzonka zebrały się tutaj zwabione nie owocami i perspektywą godów, lecz posiłkiem.

Po okolicy kręcili się Badlandczycy z długimi oszczepami o grotach z ociosanego kwarcu, odpędzający zwierzęta i nakłuwający pośladki wisielców, by upuścić im krwi. Para Badlandczyków oparła dwie drabiny obok martwego nieszczęśnika. Kwarcowymi toporami odcięli

mu ręce w nadgarstkach i ciało opadło na ziemię.

No cóż, pomyślała Sitsi, to wyjaśnia te dłonie, które widzieliśmy wcześniej.

Miała świadomość własnej hipokryzji – na placu Słońca wraz z innymi owslankami poddawała swoje ofiary o wiele bardziej wymyślnym karom – a jednak czuła przerażenie, widząc wiszących na skałach ludzi. Szła obok leżącej na noszach Palomy i trzymała nieprzytomną przyjaciółkę za rękę. Czy ona umiera? Może alchemicznie ulepszone ciało uczyniło ją odporną na jad pajaków? Sitsi mogła tylko żywić taką nadzieję. Skóra pokąsanego owslanka nie odzyskała jeszcze właściwego koloru, ale Paloma przynajmniej oddychała normalnie.

Sitsi powiedziała niosącym nosze Sofi i Chogolisie, że chętnie którąś zmieni, ale obie pokręciły głowami. Ich twarze były wykrzywione w ponurym grymasie nienawiści i tylko pudełka na ich szyjach przypominały całemu światu o ich kompletnej bezradności.

Owslanki i Wotanie – dwoje nieprzytomnych, reszta nachmurzona niczym schwytni buntownicy prowadzeni na rzeź na oczach szydzących gapiów – wlekli się za Chapą Wangwą na najwyższe skalne wzniesienie.

Po obu stronach traktu stały sprytnie pomyślane chaty o lekkiej konstrukcji, ze ścianami i dachami wplecionymi z suchej trawy. Widać też było wykute w skałach mieszkalne jamy zakryte drzwiami z ciemnego drewna. Pochodowi przyglądały się całe rodziny Badlandczyków. Mieszkańcy nie mieli pajęczych obroży na szyjach.

Biała i płaska skała, na którą zaprowadził ich Chapa Wangwa, była upstrzona ciemnymi plamami. Obszar otoczony był skalnym wałem, w którym wykuto schodkową widownię. Luki zastawiono drewnianymi ławami. To była arena, taka jak plac Słońca. A skałę plamiła krew. W wielu, wielu miejscach. Im bliżej środka sceny, tym plam było więcej, aż wreszcie konsolidowały się w centrum w wielki czarnoczerwony kleks o średnicy kilkudziesięciu kroków.

Sitsi jęknęła. Jakież to poetyckie – owslanki dokonają żywota w otoczeniu ryczącego tłumu, na arenie podobnej do tej, na której własnoręcznie szlachtowały niezliczonych jeńców. Poetyckie w obiektywnym sensie, bo w sensie subiektywnym było to strasznie

wkurzające.

– A oto i Kełcz Ynczigam! – zaćwierkał Chapa Wangwa.

Mężczyzna szedł na rękach tyłem. Miał wymalowane na pośladkach wielkie oczy i o wiele za duży but na każdej nodze. Poza tym nie miał na sobie żadnych ozdób, o ubraniu nie wspominając.

Skoczył na nogi i wstał, dysząc. Był pozbawiony owłosienia, jeśli nie liczyć paska brody biegnącego wzdłuż zuchwy; szczupły, wręcz chudy, za to żylasty i dobrze umięśniony. Spomiędzy jego nóg zwisał długawy i smukły penis, lecz – choć Sitsi nie była w tej materii specjalistką – nigdzie nie było widać jąder. Był również brudny, jakby specjalnie wymazał się ziemią. To powszechna praktyka przekorników, zastępowali nią kąpiel.

– Do zrobaczenia, chujki zielone! – zawołał wysokim, piskliwym głosem, przeskakując tanecznie z nogi na nogę. – Znaleźliście się w miejscu, gdzie spędzicie miło czas, wcale nie umierając. Ja nie jestem Kełcz Ynczigam, z przyjemnością wyśpiewuję wam owo smutne pożegnanie.

Sitsi spotkała już kiedyś przekornika w jednej wiosce, do której wysłano owslanki w celu wymierzenia kary. Chogolisa uciszyła go przez okręcenie mu głowy na ramionach twarzą do tyłu. Choć teraz Sitsi była już wolna od okrucieństwa napędzanego mięsem grzechotnika, wcale nie żałowała tamtego człowieka. Nie znosiła przekorników. Byli przekorni dla zasady i uważali, że świadczy to o ich ponadprzeciętnej inteligencji. Nie była to prawda. Każdy głupiec potrafił przewidzieć, jakich czynów lub słów spodziewa się po nim otoczenie, a potem powiedzieć coś innego, a jednak z jakiegoś powodu ci szarlatani przekonywali do siebie całe plemiona, które obwoływały ich mędrkami i zrywały boki z ich prymitywnych żartów.

Z przyjemnością zorientowała się, że owslanki i Wotanie spoglądali na tego cudaka z należną mu pogardą, poza Bodilą Gęsiodziobą, która wpatrywała się w niego z rozdziawionymi w zdumieniu ustami. Ottar Niemowa odwrócił się i machał w kierunku mężczyzny tyłkiem, co Sitsi uznała za adekwatne powitanie.

Ynczigam obszedł ich grupę, węsząc. Kucnął przy noszach Bjarniego i odezwał się do nieprzytomnego mężczyzny:

– Pachniesz jak chmury w piękny letni dzień! Sprawiasz, że z nosa mi cieknie jak z załatanego garnka.

Matko, co za głupek, pomyślała Sitsi.

– Śmieszny jesteś! – roześmiała się Bodila.

Kełcz przyskoczył do niej, uśmiechając się cwaniacko, jakby nie było na świecie nic śmieszniejszego od skakania.

– Widzę cię, tak jak ślepy wąż widzi księżyc w pochmurną noc! Jesteś monstrualnie obrzydliwą kreaturą i nie chciałbym uprawiać z tobą nienawiści!

To powiedziawszy, skoczył z powrotem na ręce i odszedł, krzyząc:

– Dzień dobry! Dzień dobry!

– Co za miły koleżka – powiedział Kif Berserk.

– To przekornik – wyjaśniła Sitsi.

– Oprowadza ludzi po Badlandach?

– Czyż nie jest wspaniały? – krzyknął Chapa Wangwa. – Ale przyprowadziłem was tutaj przede wszystkim po to, żebyście poznali naszego wodza, Bobrocłeka. Ciekawe, gdzie też się podziewa? Poczekamy chwilę na niego, a w tak zwanym międzyczasie coś wam pokażę. Zostawcie tu nosze, będziemy tędy wracać. Puste Dzieci zaopiekują się rannymi.



Finnbogi Zbuk wraz z czterema owslankami, jednym czarnoksiężnikiem, dziewięcioma Wotanami i dwoma małymi szopami przeciął utytłaną posoką arenę i podszedł z uśmiechniętym Badlandczykiem do wyrwy we wschodniej ścianie.

– Tylko ostrożnie! – przestrzegł Chapa Wangwa. – Nie chcielibyśmy przecież, żeby ktoś spadł.

Wyrwa była dość szeroka, by wszyscy mogli przez nią wyjrzeć. Za jej krawędzią łąd opadał ostro w dół, uskokiem o wysokości kilkuset kroków, do głębokiego żlebu. Dalej jak tylko sięgnąć wzrokiem rozciągała się nieprzebyta kraina wąwozów i rozpadlin, pofałdowanych, chropowatych skalnych słupów, iglic i wież, urwisk i przepaści wyrzeźbionych przez przyrodę w żółtym, pokreślonym czerwonymi liniami, kruchym kamieniu. Najwyższe wzniesienie zwieńczone było

serią poziomych pasm twardszej skały, między którymi dostrzegali małe czarne jaskinie. Finnbogiego nawiedziła wizja olbrzymich insektów powracających do nich z upolowanymi ludźmi, chcących nakarmić nimi swoje tłuste, ostrożne larwy. Wzdrygnął się.

Miejsce takie jak to nie powinno w ogóle istnieć w świecie zamieszkanym przez ludzi. Widok zapierał dech w piersi, kraina była niezaprzeczalnie piękna, ale zarazem przerażająca i w nienaturalny sposób jałowa. Finnbogi zrozumiał już, czemu Badlandy nazywa się Złą Ziemią. W takiej krainie nie może mieszkać nic dobrego. Przyjrzał się i dostrzegł kępy niespecjalnie przerażającej trawy wyrastające z pęknięć w skale, ale tylko podkreślały one złowieszczość niegościnnego krajobrazu, gdzie z trudem dało się znaleźć glebę, a co dopiero roślinność.

Zwrócił spojrzenie w dół i utkwił je w stromej, głębokiej przepaści kończącej się w suchym, wąskim kanionie. Natychmiast powrócił myślami do chwili, gdy Garth trzymał go oburącz nad przepaścią nad Matką Wodą. Tu było jeszcze wyżej i jeszcze bardziej stromo. I jakimś sposobem...

Chapa Wangwa popchnął go, a on poleciał naprzód. Ale Badlandczyk złapał go za koszulę i wciągnął z powrotem, rechocząc.

Finnbogi dyszał ciężko i dziękował Thorowi, że zdążył się wcześniej wypróżnić. Odwrócił się do Chapy Wangwy, oddychając z mazołem, czując pulsujące żyły na skroniach. Zacisnął pięści.

Pajaki połaskotały go w szyję. Rzucił okiem przez ramię na badlandzki krajobraz i spróbował opanować oddech.

A potem ich zobaczył.

Najgłębsza z rozpadlin w nieforemnym krajobrazie zakręcała ostro od wschodu, tak wąska i stroma, że nie widział jej dna.

Tym właśnie wąwozem szły w ich kierunku drobne postacie. Były podobne do ludzi, ale nie mogły być ludźmi, bo niczym wielkie owady przeskakiwały przez szczelinę, z jednej strony na drugą, po czym przerywały na chwilę, by później wznowić zabawę.

Zniknęły, przysłonięte wysokim na pięćdziesiąt kroków nawisem skalnym, by chwilę później przesadzić go skokiem, cały czas zbliżając się do obserwujących ich Wotan.

Postacie zeskoczyły ze skarpy, przefrunęły nad szczytami skruszałych skalnych wież. Finnbogi dopiero teraz zobaczył, że jednak byli to ludzie popisujący się nadzwyczajnymi akrobatycznymi zdolnościami. Chyba nawet Paloma by im nie dorównała. Gdy się zbliżyli, Finn ogarnął wzrokiem ich umięśnione, smukłe ciała. Sami mężczyźni, wszyscy nadzy. Większość miała długie włosy, które powiewały za nimi w czasie skoku, dodając całej scenie dramatyzmu.

– Głowę dam, że wszyscy są strasznie tępi. Zdziwiłbym się, gdyby potrafili podtrzymać konwersację – powiedział do Thyri.

Drzewonoga stała obok niego, gapiąc się na nich bezwstydnie, choć byli przecież, jako się rzekło, nagusieńkimi facetami o aparycji półbogów. Albo zignorowała Finnbogiego, albo w ogóle go nie usłyszała.

Akrobaci dotarli do szerokiego na dwadzieścia kroków żlebu pod Calnianami i Wotanami. Finnbogi pomyślał, że tam się zatrzymają, ale oni przeskoczyli go i wdrapali się po ścianie jak pręgowce.

– Zróbcie miejsce! – rozkazał Wangwa.

Rozstąpili się, a mężczyźni przemknęli obok nich. Finnbogi zauważył tylko, że jeden miał rogi podobne do tych, które Finn widział u wierzchowców Pustych Dzieci. Minęli ich i pomknęli w swoją stronę – jak jeden mąż najznamienitsze okazy męskiej muskulatury – trzęsąc małymi, twardymi półdupkami. Finn nie zdołał się powstrzymać i rozdziawił usta.

Jeden zatrzymał się ze ślizgiem i wrócił do nich. Był nieco starszy od Finna, nieco niższy, ale o wiele szerszy w ramionach i węższy w talii. Ten miał krótkie włosy i wielkie, ciemne, lśniące oczy, a na twarzy krótką brodę. Jego penis i jądra zwisały ciężko jak dojrzałe owoce. Miał dziwną skórę. Był co prawda spocony, ale nie powinien lśnić jak wypolerowana misa.

Finnbogiemu nie spodobał się ten człowiek.

– Cześć – przywitał się. – Spodziewałem się was. Alchemiczna miska powiedziała mi, że nadchodzicie. Jestem Bobrocłek. – Sepleniał nieznacznie, zapewne przez brak dwóch przednich zębów.

– To nasz wielki wódz! – wrzasnął Chapa Wangwa. – Wszyscy na kolana i...

– Spokojnie, mój Chapo Wangwo, spokojnie. Nie bez powodu prosiłem,

żebyś oddzielił tych ludzi od reszty. Nie są wcale gorsi ode mnie. To słynne calnijskie owslanki i Harowianie, których przodkowie przybyli tu zza Dzikiego Słonego Morza wraz z Olafem Odkrywcą.

– Teraz jesteśmy Wotanami – powiedział Wulf, satysfakcjonująco niespieszony wiedzą Bobrocześka.

– Wotanie, Wotanie... Podoba mi się! Woou-ta! Nie tak smętnie jak Harowianie, co? Ty, jak tuszę, jesteś wodzem?

– Tak. Zwę się Gruby Wulf.

– Ale przecież nie jesteś... Ach, już rozumiem! Ha, ha, ha! Byłeś pulchnym dziecięciem, nie myłę się?

– Tak...

Finnbogi po raz pierwszy usłyszał, jak Wulf przedstawia się bez żartu na temat swojego przyrodzenia. Przy tym, co reprezentował sobą Bobrocześek, byłoby to cokolwiek niezręczne.

Nakazał sobie przestać wpatrywać się w genitalia wielkiego wodza. I przestał, lecz zaraz zorientował się, że zamiast tego ślizga się wzrokiem po potężnych mięśniach klatki piersiowej, grubych, lecz pięknie wyrzeźbionych bicepsach, nieprawdopodobnie zakreślonych mięśniach brzucha, wciśniętych niczym dwa bochny chleba tuż nad... W oczy, Finnbogi! – przywołał się do porządku. Patrz mu w oczy.

– Ty zaś – zwrócił się Bobrocześek do Sofi Tornado – jesteś dowódczynią calnijskich owslanek, niepokonaną Sofi Tornado.

Sofi utrzymała jego spojrzenie.

– Ale twój oddział jest niekompletny. Zaledwie cztery wojowniczkki. Wiem, że miałyście kłopoty, a jednak spodziewałem się pięciu.

– Jedną dziś rano ukąsił pająk – wyjaśnił Chapa Wangwa.

– Nie! Jaka szkoda. – Bobrocześek pociągnął wzrokiem po Calniankach i Wotanach, z jego błyszczących oczu lał się szczery smutek. – Zaklinam, dołóżcie starań, żeby nie podzielić jej losu. Proszę, pięknie proszę, żebyście wypełniali polecenia Chapy Wangwy i innych wspaniałych ludzi, którzy dla mnie pracują. Co się zaś tyczy ciebie, Chapo Wangwo, przestań ich podjudzać, żeby cię zaatakowali. Widziałem, jakiego brzydkiego figla splatałeś temu biednemu młodzieńcowi. – Wskazał Finnbogiego otwartą dłonią. – O mało zawału nie dostał. Ktoś mniej opanowany uderzyłby cię i byłoby po nim. Nie chciałbym stracić kolejnej

Calnianki ani kolejnego Wotanina przez pająki na ich szyjach. Wyprawimy zabitej Calniance pogrzeb ze wszystkimi honorami.

– Ona nie umarła – poprawiła Sofi.

– Że co proszę?! – zdumiał się Bobroczył, jakby powiedziała mu, że świnia może wdrapać się na drzewo, jeśli tylko się ją pochwali.

– Nie umarła... jeszcze. – Chapa Wangwa się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że wróci do siebie – rzekł badlandzki wódz, jakby rzeczywiście żywił taką nadzieję. – Jeśli zajdzie potrzeba, moi uzdrowiciele i czarnoksiężnicy są do waszej dyspozycji, choć myślę, że niezrównany Yoki Choppa zrobił już, co w jego mocy. – Przeniósł wzrok na Sofi. – Znam wszystkie owslanki. Twoja postawa sugeruje, że ty jesteś Sofi Tornado. Tak wysoką kobietą może być tylko Chogolisa Zadrzyziemia. Jutrzenkę zdradzają maczugi. A Sitsi Pustułkę, łuczniczkę, jej oszalamiające oczy. Nie znam jednak nikogo z Wotan, nie licząc Grubego Wulfa. Czym prędzej naprawmy to niedopatrzenie.

Wódz przywitał się z każdym z osobna, pytając o imię i do każdego z osobna mówiąc:

– Jestem Bobroczył, witam w Badlandach.

Powitał wszystkich, również dzieci, z najwyższym szacunkiem i wedle wszelkich przesłanek – najzupełniej szczerze.

Po uprzejmościach – Finn czuł podskórnie, że Bobroczył to jeden z tych dupków, którzy pamiętają imiona każdego, kto im się przedstawi – wódz wskoczył na mały występ skalny, by zwrócić się gremialnie do wszystkich:

– Zanim pokażemy wam, gdzie zamieszkacie i gdzie się osiedlicie, chciałbym wam coś pokazać. Z pewnością zastanawiacie się, dlaczego wieszamy ludzi za ręce gdzie popadnie, żeby ich krew spływała po skale. Chodźcie za mną, wyjaśnię po drodze, więc proszę, nie oddalajcie się za bardzo, a już pod żadnym pozorem nie odchodźcie zbyt daleko od Pustych Dzieci. Powtórzę raz jeszcze: nie dopuście do tego, żeby pogryzły was pająki beeba. Mam co do was inne plany.

Pomaszerowali za wodzem z powrotem do pustej areny, gdzie wciąż leżeli w noszach Paloma i Bjarni. Wódz zbadał ich, pytając przyjaciół o okoliczności pogorszenia stanu zdrowia, szczególnie troszcząc się o Bjarniego.

– Brawo, Yoki Choppo – rzekł w końcu. – Zastosowałeś dokładnie tę samą kurację, którą i ja bym zastosował. Wieści o twoich nadzwyczajnych umiejętnościach nie były przesadzone. A teraz ci, którzy mogą chodzić, niech pójda za mną.

Poprowadził ich przez wyrwę w północnej ścianie areny do miejsca, skąd widzieli, jak osobliwa kraina rozwidła się na dwie wąskie trawiaste doliny, otoczone skalnymi murami i szczytami. Na ścianach wisieli za ręce kolejni nieszczęśnicy i wszędzie kłębiły się zwierzęta, zwłaszcza pręgowce, króliki, wielkorogi i całe mrowie maleńkich jaskrawych ptaków. Wiele zwierząt pożywiało się wisielcami.

– My pójdziemy tą drugą ścieżką. – Wskazał szlak odbijający najbardziej na prawo. Ruszyli skalistą dróżką przez porośniętą trawą łąkę i minęli kilka krępych, ciemnolistnych drzew.

Nizina różniła się od lesistych łąk, które Finn znał. I nie tylko ze względu na jęczących, krwawiących, podżeranych przez zwierzęta wisielców oraz pary bezpańskich rąk przybite do skał. Wierzchołki skalnych słupów ponad poziomem wiszących cierpiętników przerobiono na jamy mieszkalne połączone systemem drewnianych kładek. Z ich wysokości patrzyli na nich z góry zamieszkujący je Badlandczycy, głównie dzieci i starcy.

Bobroczyłek oprowadzał i opowiadał.

– Czy czujecie się zaszokowani widokiem naszych więźniów?

Nikt nie odpowiedział.

– Finnie, mój chłopcze. Czy to cię szokuje?

Finnbogi poczuł się wyróżniony. Z nich wszystkich wódz zwrócił się akurat do niego.

– Hm... Ja bym ich nie wieszał? – Tylko tyle był w stanie wydusić z siebie na temat setek torturowanych, najpewniej bogom ducha winnych ludzi.

– Większość... wiem, bo pytałem... nie przepada za tym widokiem. Rozumiem to. Lecz przecież wszyscy jemy zwierzęta, prawda? Potrawkę z bizona jedliście chociażby na pokładzie Wędrowca. My, Badlandczycy, jesteśmy świadomi wielkiej życiowej prawdy o tym, że ludzie nie są lepsi, ale i nie gorsi, zaznaczam, od zwierząt. Wszystkie żyjące stworzenia są tyle samo warte. W świetle powyższego rozpatrzmy, co

następuje: większość plemion zabija tyle zwierząt, ile chce, a więc to, co tu widzicie – zamknął w geście ręki otaczający ich horror – jest zupełnie w porządku.

– Nie sędzę, żeby to było w porządku – odezwała się Gunnhilda. – I płoszenie bizonów również nie jest w porządku...

– Uważasz zapewne, że zabito ich zbyt wiele, bo nie zostały zjedzone ani wykorzystane w inny sposób, prawda? – przerwał jej Bobroczek.

– Tak.

– I co w tej sprawie zrobiłaś?

– Mam pająki przy szyi i...

– Bez pajaków zrobiłabyś tyle samo. Czyli nic. Może zwróciłabyś komuś uwagę, ale nie zrobiłabyś nic. Nie uważasz, że wychodzisz na hipokrytkę, przejmując się losem bizonów, skoro sama jadłaś bizonie mięso, które Goachikowie cztery razy w roku oddawali Harowianom na ting? Nie były wam potrzebne, ale jedliście je z radością, choć zabił je dla was ktoś inny.

Gunnhilda prychnęła pod nosem. Nie miała na to odpowiedzi.

Skąd on tyle o nas wie? – pomyślał Finnbogi.

– Tak więc zabijamy zwierzęta wedle woli – tłumaczył Bobroczek. – A czymże jest człowiek, jeśli nie zwierzęciem? Nasi przodkowie powybijali większość drapieżników, więc ludzie rozmnożyli się ponad skalę. Jest ich zbyt wiele. Więc dla dobra tego świata należy ograniczyć ich liczbę.

W górze przed nimi, zapewne dla odmiany od standardowego przybijania za ręce, tkwił przyszpilony do wielkiego głazu za ręce i nogi mężczyzna. Głaz osadzono niezbyt stabilnie na wieży z kruchej skały pięć stóp nad dnem doliny. Nieszczęśnik patrzył na nich wybałuszonymi oczami. Ściągną na szyi miał napięte jak postronki.

– Tak więc – podjął wódz – nie ma nic złego również i w tym, co zaraz zobaczycie.

Badlandczyk podbiegł do wieżyczki, odbił się i kopnął głaz obunóż. Po czym zaczął spadać głową w dół. Przez krótką chwilę Finnbogi był pewien, że robi sobie krzywdę, lecz mężczyzna odbił się rękami od podłoża, uskoczył przed gładem z przybitym człowiekiem, gdy ten zachwiał się na niestabilnej podstawie i stoczył z niej, uderzając

o podłoże z chrzęszczącym hukiem.

Mężczyzna wył i wył, i trudno mu się dziwić. Kamień chybotął się z jednej strony na drugą, aż stanął tak, że mężczyzna był w górze, przedtem jednak zmiądzzył mu rękę i bark. Bobroczek przysunął się do wrzeszczącego nieszczęśnika tanecznym krokiem i zajrzał mu w oczy z zainteresowaniem i współczuciem dziecka badającego dziupłę w drzewie. A potem, wykazując się siłą równą sile Chogolisy, przetoczył głaz, miażdżąc więźniowi głowę.

Wycie ustało.

– Chodzi mi o to – podjął Bobroczek, jakby zatrzymał się, by jedynie powąchać kwiatki – że zabijając ludzi, wyświadczamy przysługę nie tylko światu, ale również sobie. I to w dwojnasób. Przede wszystkim to dobra zabawa. Ludzie od zawsze uwielbiali zabijać się na wszelkie możliwe sposoby, czyż nie tak, Sofi Tornado?

Dowódczyni zmilczała.

– Zgadzasz się, Sofi Tornado? – spytał idący za nią Chapa Wangwa. – Odpowiedź albo pająk.

– Zgadzam się.

– Świetnie. A więc zarówno w Calnii, jak i w Badlandach ludzie zabijają się nawzajem z przyjemnością i jesteśmy zgodni co do tego, że nie mają się czego wstydzić. Przykładowo, zabijemy większość lub nawet wszystkich was dla zabawy, bo jesteście tacy interesujący. Nasi mniej interesujący goście nie umrą w taki zabawny sposób. Umrą powoli. Tą drogą dotarliśmy do kwestii drugiej związanej z wyświadczaną sobie przysługą, choć skłamałbym, mówiąc, że i świat nie czerpie z niej korzyści. Ale nie będę was zanudzał, niebawem wam pokażę.

Szli dalej przez upstrzoną zielonymi łąkami dolinę. Torturowani, krwawiący, wiszący ludzie kontrastowali ze śpiewem, ćwierkaniem i chrobotaniem zwierzątek o zakrwawionych pyszczkach.

Kanion przeszedł w wąski korytarz meandrujący pomiędzy dwiema skalnymi ścianami. Miał dwa kroki szerokości i na szczęście nie wisieli w nim ludzie. Otwierał się na głęboką, okoloną klifami i podobną do misy kotlinę o średnicy dwustu kroków. Poszli za wodzem na drewnianą platformę. Boki misy tworzyła typowa dla Badlandów biaława i krucha skała, ale ściany do połowy pokrywała ciemna, lśniąca maź, która

zdawała się sączyć ze skał i zbierać w misie. Daleko w dole dno kotliny wypełniało jezioro, które lśniło w ciemności jak polerowany metal. Z głębi wyrastało ponad taflę kilkanaście wysepek długich na piętnaście kroków.

Sitsi Pustułka zachłysnęła się powietrzem. Gdy oczy Finnbogiego oswoiły się z półmrokiem, zrozumiał dlaczego. Kształty w czarnej wodzie się poruszały. Osobliwe guzy, za wielkie, by mogły być zwierzętami, wydawały się żywe. Widział teraz, że ciemna, połyskliwa substancja była krwią, która wysączała się ze ścian i zbierała na dnie kotliny.

– Zarówno Badlandczycy, jak i Calnianie są dumni ze zdobyczy nauki, którą zwiemy alchemią – ogłosił Bobroczyłk rzeczowym tonem. – Ale jak to zwykle z dumnymi ludźmi, niezależnie od wieku, bywa, balansują na granicy arogancji. Istnieje jeszcze starsza i jeszcze potężniejsza magia, napędzana energią życiową lub, jak spieraliby się pewnie ludzie, którymi obwieszono są Badlandy, śmiercią. To kwestia perspektywy. Ta kraina odbiera im energię życiową i oddaje ją stworzeniom, które właśnie widzicie.

– Co to jest? – spytała Sitsi. – Wieloryby?

– Słusznie podejrzewasz, że to wieloryby, gdyż to jedyne istniejące współcześnie zwierzęta, które dorównują im gabarytami. Ale nie, to nie wieloryby. Miliony lat temu, o wiele dawniej, niż umiecie sobie wyobrazić, i na długo przed pojawieniem się człowieka, zamieszkiwały te ziemie olbrzymie i groźne zwierzęta.

Finnbogi zauważył, że owslanka najeżyła się na te słowa. Bobroczyłk nie miał pojęcia, ile lat potrafi sobie wyobrazić Sitsi.

– Owe wielkie zwierzęta wymarły, tak jak ostatecznie wymrze wszystko, co żyje. Ale niewyobrażalnie wiele lat później te ziemie zalało morze, a ich truchła zostały przykryte przez błoto i piach. Błoto i piach, drzewa i inne rośliny, zwierzęta i ptaki tonęły w tym morzu i warstwa po warstwie zalegały na jego dnie. Przez miliony lat nagromadziło się ich tyle, że ich ciężar ścisnął je tak mocno, iż zmieniły się w skały. A potem, wciąż tak dawno temu, że nawet nie możecie zacząć sobie tego wyobrażać, morza cofnęły się, zostawiając po sobie warstwy nowej skały, którą widzicie wokół. – Pokazał palcem bok klifu, na którym

rzeczywiście rysowały się wyraźne pasma.

– Który bóg opowiedział ci to wszystko? – zapytała Sitsi.

– Żaden bóg. Uczyłem się od starszych i obserwowałem ten proces samodzielnie. Tak właśnie było. – Bobroczek kiwnął głową, w jego oczach pełgał uśmiech.

– Zawsze myślałem – powiedział Eryk – że łąd uformowany został przez rzeki i strumienie, które wcinały się w niego na przestrzeni wieków.

– To późniejszy etap. Skała jest pozostałością po morzu, stąd warstwowa konstrukcja skał, którą możecie zaobserwować w całych Badlandach. Następnie deszcz gromadzi się w strumieniach i rzekach, a one sprawiają, że skała ulega erozji. Przodkowie wyposażeni w cierpliwość o wiele większą od mojej odkryli, że tu, w Badlandach, rzeki wrzynają się w grunt na mniej więcej jeden krok w ciągu trzydziestu lat, bo tutejsza skała jest względnie miękka. Zwykle ten proces jest o wiele bardziej rozciągnięty w czasie.

Finnbogi nic już nie rozumiał i zaczynał się nudzić, ale Eryk, Sitsi i kilkoro innych – Wulf, Sofi, Sassa i Thyri – słuchali każdego słowa. Finn podejrzewał, że Thyri tylko udaje zainteresowanie.

– Zakończę już mój wykład i przejdę do sedna, gdyż mam wrażenie, że nasz biedny Finn nie nadaża za materiałem.

– Nadażam.

Bobroczek obrzucił Finnbogiego takim spojrzeniem, jakim ojciec mógłby obrzucić syna, który mimo plamy na spodniach twierdzi, że wcale się nie zmoczył.

– Jak słusznie zauważył Eryk – podjął po chwili – rzeka wcina się w grunt, i wcina, i wcina, aż odsłania kości zwierząt, które umarły dawno temu. Choć zdążyły już skamienieć, wciąż zawierają w sobie esencję życia. Wystarczy więc, że weźmiemy jakiś żyjący organizm, przefiltrujemy jego magię przez głęboką magię samych skał i wylejemy na te stare kości. Te na powrót obrastają mięśniami i budzą się do życia. To oczywiście pewne uproszczenie, proces jest bardzo skomplikowany, ale to wszystko, co musicie wiedzieć. W rezultacie owe przerażające bestie, które milenia temu chodziły po świecie, chodzą po nim i dziś. Nazywamy je królewskimi jaszczurami. Kontrolujemy je za pomocą

Pustych Dzieci. Mają przebogate zastosowania. Moglibyśmy na przykład zmusić je, by rozerwały na strzępy całą calnijską armię.

Finnbogi spojrział na nurzające się we krwi guzowate stwory. Poruszały się, wyglądały na żywe, ale na razie wciąż były tylko zlepkiem bezkształtnej masy. Trochę im jeszcze brakuje do oddziału monstrów zdolnych pożreć całą armię.

– Czyżbyś był sceptyczny, Finnie?

Thyri zmrużyła oczy i popatrzyła na Finnbogiego. Widocznie nie podobało jej się, że przedstawił się wrogowi skróconym imieniem.

– Nie...

– Spójrz tutaj. – Młody wódz podbiegł na skraj drewnianej platformy. Finnbogi i reszta dołączyli do niego. Bobroczył wskazał kamień, który wyglądał jak skorupa żółwia. – Nie wyrzeźbiliśmy tego – powiedział. – I nie było tego tutaj, gdy urodził się mój ojciec. Woda wymyła to ze skały.

– Czy to jakiś rodzaj żółwia podziemnego? – podsunął Eryk.

– Nie, zresztą nie o to chodzi. Popatrzcie, ma płetwy, nie nogi. To nie żółw podziemny, ani nawet nie ziemny, tylko morski. Żył w oceanie, który pokrywał kiedyś te ziemie. Umarł miliony lat temu. Zmienił się w kamień.

– O kurwa – powiedział Eryk.

Bobroczył okazał lekkie zdumienie na ten dobór słów, ale po chwili podjął:

– Mamy więc dowód na to, że te kamienne zwierzęta to tak naprawdę skamieniałe szczątki zwierząt żyjących przed laty. Spytacie: a gdzie dowód na to, że magia może wpompować w nie życie? Nie obawiajcie się, królewskie jaszczury to nie pierwsze stworzenia, które przywróciliśmy do życia. Wiemy, że nasza metoda działa. Te tutaj niebawem powinny stanąć na nogach o własnych siłach. Część z was może pożyje dość długo, żeby to zobaczyć.



Rozdział 3

MARSZ KU ZWYCIĘSTWU

W południe calnijska armia zatrzymała się na odpoczynek, a Luby postanowiła skorzystać z okazji i wcisnąć w przerwę mały trening. Dostała jej się zbieranina mniej lub bardziej zdolnych żołnierzy, od gorliwych, lecz niedoświadczonych, aż po zupełnych przygłupów, którzy nie odróżniali topora od własnej dupy. Tych pierwszych uczyła atakować w grupie, a tych drugich – nie włączyć w drogę pierwszym. Trenowanie tak zróżnicowanego oddziału okazało się zarówno fizycznie, jak i mentalnie wyczerpujące, ale przynajmniej odrywało jej myśli od Chippaminki i martwej kapitan.

Widziała, że Ayanna się waha... Cesarzowa słuchała odważnej kapitan,

dopóki nie pojawiła się Chippaminka i nie zabiła żołnierki. To pokazało Luby, że czar rzucony na Ayannę można rozproszyć perswazją. Musiała tylko przekonać samą siebie, że idzie spotkać się z cesarzową w jakiejś innej sprawie, by w ten sposób oszukać zaklęcie, które zostało rzucone na nią. A potem poczekać na odpowiedni moment, aż cesarzowa będzie sama. Do Badlandów zostało im pięć lub sześć dni drogi, więc musiała działać szybko. Ta myśl przejmowała ją strachem, ale skoro kapitan prawie udało się przemówić Ayannie do rozsądku, jej też się uda. Musi tylko poczekać na dogodny moment.

Demonstrowała właśnie swoim podkomendnym, jak dwie osoby mogą za pomocą pętli na kijach poradzić sobie z silniejszym przeciwnikiem, gdy usłyszała głos:

– Luby Zefir, czy mogę na słówko?

Odwróciła się. Lodowaty strach złapał ją za gardło, gdy błysnęły na nią zimne oczy Chippaminki.

– Ja... – usłyszała swój głos, czując się tak, jakby ziemia rozstąpiła się pod jej nogami, a ona spadała na spotkanie śmierci.

Ruszyła za młodą czarnoksiężnicą, ale szła niechętnie, jakby ta wlokła ją za sobą na smyczy. Pokonały może z dwieście kroków, gdy pod Luby ugięły się nogi.

Przetoczyła się na plecy. Błękitne niebo i białe chmury miały ramę z wysokiej trawy. Chippaminka pojawiła się w jej obrębie, wyciągnęła do Luby rękę. Owslanka przyjęła ją. Ale kobieta nie pomogła jej wstać. Zamiast tego przez jej rękę wpłynęła do Luby cała żałość tego świata. Porwała ją potężna fala rozpaczliwego smutku. Szlochała i szlochała, Innowak jeden wie jak długo.

– Będziesz trzymać się z daleka od Ayanny – powiedziała Chippaminka bez śladu emocji w głosie.

– Nie chcę nawet się do niej zbliżyć – wyjęczała Luby. Bo nie chciała. Za nic.

– A czego chcesz? – Dziewczyna uniosła pytająco brew.

– Szkolić żołnierzy. Zaatakować Badlandy. Zrobić wszystko, co mi każesz.

– Dobrze. Weź się w garść, wróć do swoich wojowników, powiedz im, że jestem nieocenionym dodatkiem do calnijskiej armii, że cesarzowa

i Calnia nie mogą się beze mnie obyć.

– Tak.

Chippaminka zostawiła Luby siedzącą na trawie, ocierającą łzy z oczu i smarki z nosa. Doprowadzi się do porządku, bo to właśnie kazała jej zrobić Chippaminka. Uszczęśliwienie Chippaminki było najważniejszą rzeczą na świecie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio myślała o czymś innym.

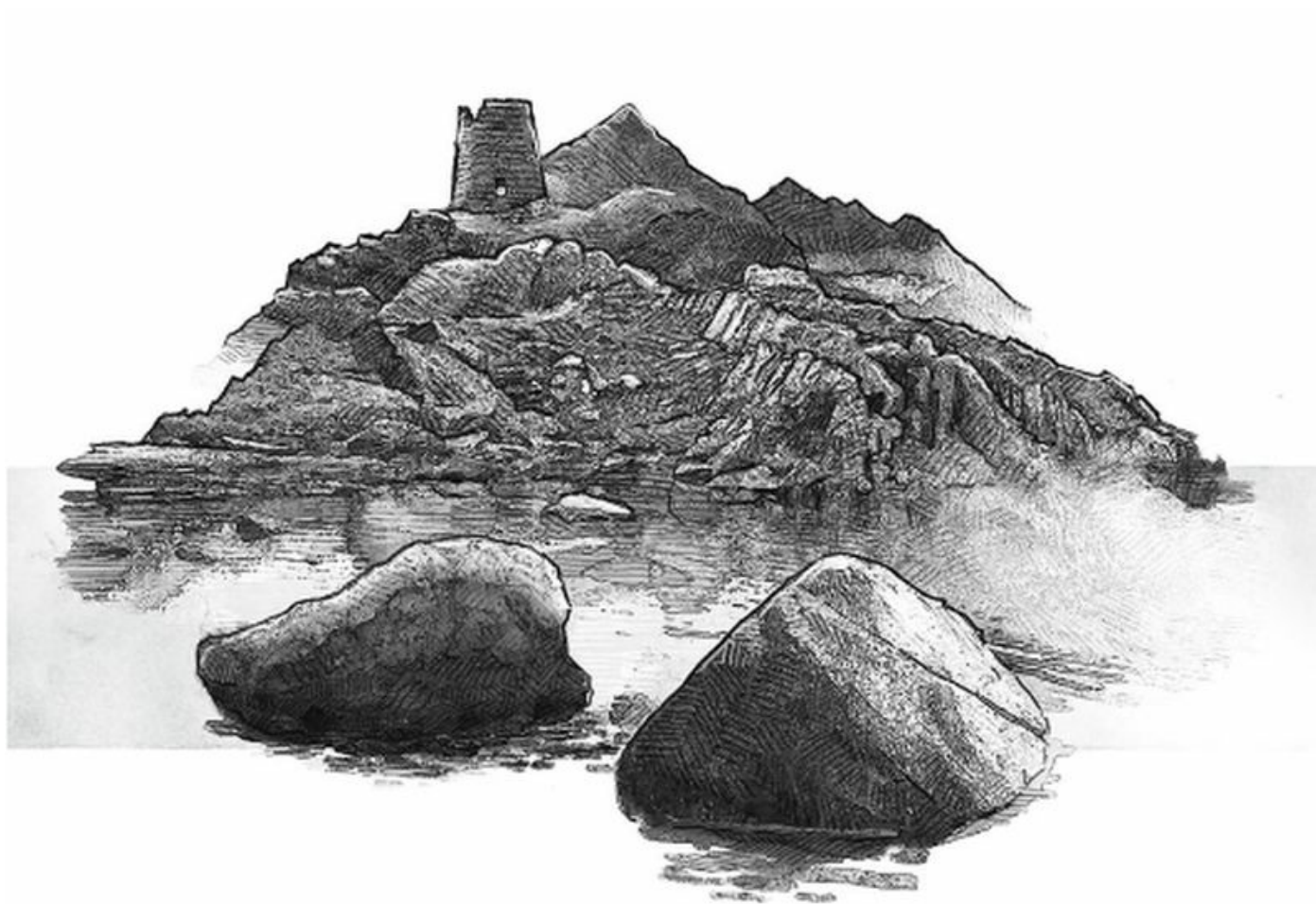


Calniar ssał, a Ayanna bujała go delikatnie na rękach. Cały dzień marszu zmęczył ją, więc cieszyła się, że ma pretekst, by nieco odpocząć. Dzięki magicznej maści Chippaminki karmienie już nie sprawiało jej bólu, więc była to teraz jej ulubiona pora dnia, gdy kochała syna najbardziej na świecie. Był spokojny i zadowolony, potrzebował jej. Mogła głaskać jego miękką główkę i podziwiać widok równin, pełnych przemierzających je stad zwierząt i latających nad nimi ptaków. Wszystko to będzie niebawem należeć do Calnii, a Ayanna przejdzie do historii jako ta, która przyłączyła do imperium te rozległe tereny. Gdy Calniar obejmie już tron, będzie władał tą krainą mądrze i sprawiedliwie, a po nim jego dzieci i ich dzieci. Wszyscy zapamiętają Łabędią Cesarzową Ayannę jako założycielkę najwspanialszej dynastii, władającej najwspanialszym imperium na świecie. A poza tym ona sama pochłonęła w życiu tyle dusz, że prawie na pewno powróci jako wcielenie w którymś ze swoich potomków. Czy Innowak spojrzy na nią przychylnym okiem i pozwoli zachować pamięć z obecnego wcielenia? A niby czemu nie? W końcu zasłużyła sobie.

Raptem, zupełnie nieproszona, przyszła jej na myśl wczorajsza rozmowa z kapitan. Dlaczego w ogóle słuchała tych bzdur? Oczywiście, Ayanna nie urodziła się wczoraj i wiedziała, że nawet w najpotężniejszej armii świata znajdzie się jakiś zapluty malkontent. Jeśli wszyscy są zadowoleni z tego, co robisz, to znak, że coś robisz źle. Była wdzięczna Chippamince za jej miłość i wsparcie. Gdy zwycięska armia powróci pod Górę Słońca, uczyni Chippaminkę swoją królową. To będzie wydarzenie bez precedensu w historii cesarstwa. Niektórym się to nie spodoba, ale jako się rzekło, jeden malkontent nie jest w stanie odwrócić biegu

historii.

Spojrzała na północny zachód. Niebo nad horyzontem upstrzone było drobnymi białymi chmurkami. Czy wiszą nad Badlandami, wskazując Ayannie cel podróży i miejsce, gdzie okryje się wieczną chwałą?



Rozdział 4

UROCZE WIĘZIENIE

Bobroczek zostawił ich przy sadzawce potworów, a sam wspiął się po ścianie klifu niczym wielki nagi pająk z przerośniętym przyrodzeniem. Sassa doszła do wniosku, że młody wódz Badlandczyków jest szpanerem pierwszej wody. Wracając z Chapą Wangwą na arenę, pomyślała jednak, że szpanerem nad wyraz intrygującym.

Rozłożony na noszach Bjarni oddychał płytko, za to Paloma Widłoróg gdzieś zniknęła, podobnie jak jedno z pilnujących ich Pustych Dzieci. Jego wielkoróg stał jednak na miejscu razem z pozostałymi.

Sassa rozejrzała się i doznała ulgi, widząc przyjaciółkę wybiegającą

zza załomka skały. Niosła na barana Puste Dziecko.

– Musiałam się przebiec – wyjaśniła. – Nie chciałam, żeby znowu pogryzł mnie ten przeklęty pająk, a mały nie miał nic przeciwko, żebym zabrała go ze sobą, więc...

– Posadź go z powrotem na wielkorogu – rozkazał Chapa Wangwa. – Ale już!

– Się robi, Piczo Wangwo.

– Co powiedziałaś?

– Chapo Wangwo, a co?

– Ostrożnie, koleżanko. – Wangwa błysnął pełną klawiaturą zębów. – Przeżyłaś, choć powinnaś była umrzeć, i wydaje ci się nie wiadomo co. Obraż mnie jeszcze raz, a pająki znowu cię pogryzą. Drugiego razu raczej nie przeżyjesz. A może chcesz się przekonać?

– Raczej nie.

– Myślę. W drogę!

Chapa Wangwa odwrócił się, a Widłoróg wykonała za jego plecami bardzo brzydki gest.

Sassa uśmiechnęła się, ale potem zauważyła, że oczy Palomy są przekrwione, jej zwykle lśniąca skóra ma niezdrową woskową barwę, a włosy kleją się do czaszki i opadają w strąkach na czoło. Wciąż była bardzo chora. Sassa domyśliła się, że przebieżka i pyskówka to tylko poza. Nie wiedziała, czy przez to wierzy bardziej, czy mniej, że uda im się opuścić cało tę krainę okrutników.

Oprawca prowadził ich na zachód. Przeciął ścieżkę, którą się tu wspięli, i poszedł dalej. Groteskowa sceneria kopuł, małych gór i bladych skalnych iglic z widocznymi poziomymi pasami ciągnęła się wszędzie wokół, ale trawy i zwierząt było coraz więcej. I bogom dzięki, nie widziała już drenowanych z posoki wisielców. Ścieżka była obsypana świetnie zakamuflowanymi żółtymi świerszczami, widocznymi tylko wtedy, gdy umykały ludziom spod nóg. W miejscu gdzie trakt przecinał szeroką plamę nagiej skały, ziemia zawałona była otoczkami i żwirem we wszystkich kolorach, a zwłaszcza lśniącą kwarcową drobnicą.

Sassie przyszło na myśl, że chyba opuścili świat, gdzie przyrodą władali bogowie, i znaleźli się w krainie na jego obrzeżach, gdzie ludzie i przyroda robili, co im tylko przyszło do głowy.

Wangwa zatrzymał się na łące w połowie otoczonej górującą nad nimi półkolem biało-różową skałą. Na jej szczycie znajdowały się charakterystyczne płetwy i iglice, wysokie może na sześć kroków w najwyższym punkcie. Na polanie w równych odstępach rozbito pozbawione ozdób stożkowe namioty z bizoniej skóry, wyglądające na całkiem nowe. Były połączone siecią wydeptanych bladych ścieżek; na jej środku znajdowało się wygaszone ognisko, obok niego zaś sterta opału – bizoniego łajna – sprzęt kuchenny i kilka bali do siedzenia.

– Tutaj zamieszkacie – poinformował ich Chapa Wangwa. – Będziemy przynosić wam suchy prowiant i mokre picie. Widzicie tę linię? – Wskazał dużym palcem u nogi kreskę na ziemi. – To nieprzekraczalna dla was granica. Możecie oddalić się od ognia na dwieście kroków, co zupełnie wam wystarczy. Jeśli ją przekroczycie, to... Zresztą doskonale wiecie, co się stanie. Tak więc macie oto przed sobą wasze uroczne więzienie. Nie obawiajcie się, przyjdziemy po was, jak będziemy was potrzebować.



– Sofi Tornado! Gruby Wulfie!

Następnego dnia rano Sofi podniosła wzrok znad śniadania i ujrzała idącego w ich stronę Chapę Wangwę z małym oddziałem wojowników i gromadką Pustych Dzieci.

– Chodźcie ze mną! – zawołał, jak zwykle uśmiechnięty.

– Jak zjemy – odparł Wulf, nie odrywając wzroku od miski.

Sofi poczuła na szyi pajęczę odnóże. Poznała po raptownych wdechach, że inni także.

– Nie – powiedział Wangwa. – Teraz.



Sofi była przyzwyczajona do walki na placu Słońca, wiedziała więc, co czeka ją na zakrwawionej arenie, na którą przyprowadził ją wyszczerzony Badlandczyk. Powiodła wzrokiem po setkach widzów na trybunach, przeanalizowała wydawane przez nich odgłosy i ich gesty, po czym zepchnęła te informacje na bok. Teraz w jak największym stopniu

musi skupić się na walce.

Zamknęła oczy i wyteżyła słuch. Po południowej stronie areny tkwiły w ukrytej zagrodzie dwa olbrzymie niedźwiedzie. Jeśli się nie myli, były to te białe miśki z dalekiej północy. Jej dłoń zsunęła się na rękojęść Wrogobójcy. Białe niedźwiedzie były znacznie większe od garbatych niedźwiedzi z tych stron. I podobno o wiele bardziej dzikie. Strzygła uszami, wyłapując nowe, niepokojące dźwięki. Słyszała jakieś wielkie zwierzęta w podziemiach. Rezonujące dyszenie reanimowanych przez Badlandczyków przedwiecznych bestii przechodziło przez skałę. Poza tym nie wyłapała żadnego innego zagrożenia.

Otworzyła oczy i spojrzała na Wulfa. Choć raz zapomniał języka w gębie. Gapił się tylko wokoło na wpatrzonych w niego Badlandczyków. Sofi uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie widział tylu ludzi naraz w jednym miejscu. Miała nadzieję, że nie zeżre go trema.

Był wysoki i dobrze zbudowany. Jego usztywniona kamizela chroniła go przed ciosem nożem zadany przez zwykłego człowieka. Wiedziała też, że potrafi siać zniszczenie tym wielkim młotem, który właśnie ujął w rękę. Sofi uznała, że gdyby walczył z jakimkolwiek niewzmocnionym alchemicznie wojownikiem, to stawiałaby na Wulfa.

Ale z białymi niedźwiedziami? Rozszarpią go w trzy miga. Miałyby jakieś szanse, gdyby walczył włócznią, lecz młot nie sprawi się w tej potyczce lepiej niż, dajmy na to, indycze pióro.

Przez wzgląd na Wulfa miała nadzieję, że Badlandczycy pozwolą im walczyć w parze.

– Jak myślisz... – zaczął Wulf, ale przerwał mu ryk rozentuzjasmowanego tłumu, gdy wprowadzono na arenę dwa niedźwiedzie na więzikijach. – O to właśnie chciałem spytać! – wódz Wotan przekrzyczał zgiełk. – Cofnij się, Sofi, ja się nimi zajmę.

Uniosła brew, a on odśmiechnął się do niej.

– Choć właściwie są dość duże. – Podrapał się w głowę. – Może gdybyś odwróciła ich uwagę, mógłbym...

– Cicho.

Zamilkł.

Harmider na trybunach przeszedł w cichy pomruk, gdy Rappa Hoga wkroczył na zlaną krwią arenę i podszedł do dwojga wojowników. Jego

ciemna, opięta na wytrenowanych mięśniach skóra lśniła w słońcu. Sofi z niejakim zaskoczeniem uprzytomniła sobie, że jego widok sprawił jej radość.

– Dzień dobry. Bobroczek kazał przekazać, że bardzo przeprasza, ale coś mu wyskoczyło i nie może przyjść. Żywi nadzieję, że spodoba wam się postawione przed wami zadanie.

– Cześć – przywitał się Wulf. – Nie masz może włóczni pod ręką?

– Dawajcie je tutaj – powiedziała Sofi.

– Na razie damy tylko jednego, tego przeznaczonego dla ciebie. Wulfie, czy mógłbyś poczekać na zachodnim skraju areny na swoją kolej?

Wulf dotknął pudełka na szyi.

– Jasna sprawa. Powodzenia, Tornado! – powiedział i potruchtał we wskazane miejsce.

– Czy rozważyłaś moją ofertę? – rzucił Hoga do Sofi.

– Rozważam.



Tansy Burna była tak podekscytowana, że aż podskakiwała na swoim miejscu na trybunach. Bestiarowie wprowadzili właśnie na arenę dwa wielkie białe niedźwiedzie. To będzie dobre! Raptem spostrzegła, że zwraca na siebie uwagę. Miała kawał ławki tylko dla siebie i każdy widział, że niecierpliwi się jak mała dziewczynka. Podskakiwała dalej. Nie będzie się powstrzymywać tylko dlatego, że patrzy na nią jakiś mały kutasina, któremu przeszkadza jej podskakiwanie. Niestety, mimo to uszła z niej cała radość.

Tansy uwielbiała przychodzić na arenę, ale jej znajomi nie dzielali jej entuzjazmu. Uważali, że prawdziwy wojownik nie powinien zniżać się do uczestnictwa w tym cyrku dla gawiedzi, że jego żywiołem winna być jedynie prawdziwa wojna, a nie wojna na niby. Tansy miała w dupie to, co powinna, a czego nie powinna lubić, ale irytowało ją, że nie udało jej się przekonać żadnego innego jeźdźca, by poszedł z nią na widowisko. W otoczeniu kamratów mogłaby podskakiwać, krzyczeć i machać rękami, nie przejmując się tym, kto patrzy i co sobie myśli.

„Nie wierzę, że kumpluję się z kimś, kogo bawi ta farsa” – ośmielił się skwitować jej zaproszenie inny dowódca sztyletozębów. „A ja nie wierzę,

że kumpluję się z kimś, kto ocenia innych na podstawie tego, jak lubią się bawić” – zripostowała, celnie i punktowo. Następnego dnia rano. Idąc samotnie na arenę.

Tymczasem nie wiedzieć skąd pojawił się Kełcz Ynczigam. Mężczyzna podskoczył tanecznym krokiem do uwolnionego niedźwiedzia, machając trzema nadmuchanymi pęcherzami na kiju. Przekornik był nagi, jeśli nie liczyć monstrualnego kapelusza z wysuszonego plastra miodu, takiego, jaki matki panien młodych zakładały na wesele córek. Zwierzę uniosło łapę, ale Kełcz Ynczigam ucałował je w nos i niedźwiedź odskoczył na środek areny, gdzie czekała na niego Sofi Tornado.

Tansy oblizwała usta. Dowódczyni owslanek wyglądała po prostu świetnie. Jej odsłonięte ciało emanowało zwierzęcą siłą i gracją. Wyglądała na jeszcze potężniejszą i bardziej sprawną niż podczas podróży Wędrowcem przez Morze Traw. Tansy przyznawała to z niechęcią, ale Sofi nadałaby się jak ułał dla Rappy Hogi, obiektu jej skrytych westchnień. Tak, są dla siebie stworzeni. Najlepsi wojownicy schwytani przez łowców Wędrowca zawsze byli zapraszani w szeregi Badlandczyków. I jak dotąd wszyscy zaproszeni się zgodzili. Co miało sens, zważywszy na to, jaki los im groził.

Niedźwiedź wspiął się na zadnie łapy. Był dwukrotnie większy od Sofi. Runął na nią, ale Calnianka uskoczyła przed ciężkim ciosem, przetoczyła się, a potem chlasnęła bestię mieczem po nodze. Niedźwiedź przysiadł i zaryczał, a Sofi wskoczyła mu na grzbiet, wykonała jeszcze jeden karkołomny sus i oburącz urżnęła potworowi łeb.

Tansy spodziewała się, że szlachetna wojowniczką oszczędzi zwierzę. Odczuła ukłucie rozczarowania, że tak się nie stało.

Calnianka podniosła wielki łeb drapieżnika i obracając się powoli, pokazała go tłumowi, a krew lała się na jej twarz i ramiona, ściekała czerwonymi strugami na brzuch i nogi.

Tansy była w niewielkiej grupie tych, którzy wznieśli wiwat na ten widok. Większość widowni klaskała uprzejmie, ale na twarzach malowały się różne odcienie irytacji i zawodu. Badlandczycy nie lubili, gdy wygrywali więźniowie, za to Tansy nie miała nic przeciwko. Przychodziła tu, by zobaczyć dobrą walkę, a nie podreperować swoje badlandzkie ego jak reszta.

Gruby Wulf, Wotanin, ruszył na środek sceny, by zmienić Sofi. Tym razem to niedźwiedź jest pewniakiem, pomyślała Tansy. Szkoda. Kochała patrzeć na mordujących się ludzi i bestie, ale lubiła też, gdy zwyciężał przystojny mężczyzna. Ten Wotanin był na swój dziwny sposób prawie tak piękny jak Rappa Hoga.

Dwoje więźniów rozmawiało chwilę. A właściwie mówiła Sofi, a Wulf kiwał głową. Niezależnie od tego, jakiej porady mu udzieliła, Wulf z pewnością nie wyjdzie z tej walki cało. Sofi chciała wcisnąć mu swój wspaniały miecz, ale on pokazał jej młot i pokręcił przecząco głową. Jego oręż również wzbudził podziw Tansy. Pierwszy raz widziała tak wielką grudę żelaza, ale co on może nią zdziałać w walce z białym niedźwiedziem?

Wulf przybrał pozycję bojową. Bestiar spuścił ze smyczy drugiego niedźwiedzia.

Tym razem Kełcz Ynczigam poszedł za nim i pociągnął niedźwiedzia za ogon. Zwalisty zwierz obrócił swój wielki łeb raz i drugi, by ryknąć na czarnoksiężnika, lecz z jakiegoś powodu, którego Tansy nie rozumiała, nie próbował rozszarpać go na sztuki.

Niedźwiedź podszedł do Wulfa, a przekornik odpląsał poza zasięg ciosów.

Zwierzę stanęło dęba, wyraźnie górując nad wysokim przecież wojownikiem.

Wulf rzucił się naprzód, zamierzając się młotem na kolano niedźwiedzia. Dobra taktyka, oceniła Tansy. Gdyby tylko misiek nie opadł na przednie łapy i nie przyszpilił Wotanina do ziemi, deptając mu łapami po ramionach. Nie było to szczególnie zręczne posunięcie, ale za to skuteczne, bo wszystko wskazywało na to, że niedźwiedź jest górą.

Wulf ryknął i szarpnął się, ale nie zdołał się wyrwać. Niedźwiedź obwąchał mu twarz, liznął, a potem rozdziawił paszczę, bryzgając na Wulfa kroplami śliny.



Finnbogi Zbuk czekał z wszystkimi na powrót Sofi i Wulfa. To znaczy z wszystkimi poza Yokim Choppą, Ottarem Niemową i Frejdis Złośliwą. Czarnoksiężnik siedział z dziećmi przy ognisku i uczył je tajemnej sztuki

gotowania bizoniej potrawy.

Gdy Finnbogi o tym usłyszał, prychnął z pogardą. W takiej chwili zebrali się na gotowanie? Lecz później doszedł do wniosku, że lepiej zająć czymś myśli, niż chodzić w kółko i się zamartwiać. Po prostu wolałby, żeby Wotanie zebrali się i zaczęli wspólnie omawiać plan ucieczki. A może już to robili, tylko trzymali to w tajemnicy przed Finnem, pierwszym ciapciakiem plemienia...?

– Aaa! – wrzasnął ktoś nad jego uchem.

Finnbogi podskoczył i się obrócił. Eryk Złośnik uśmiechał się do niego.

– Rety! – zdumiał się Finn. – Jak ty to robisz, że tak się skradasz? W ogóle cię nie słyszałem.

– Właściwie nie wiem, jak to robię. Nauczyłem się tego, spędzając zbyt wiele czasu z rudym lisem numer trzy.

– Z kim?

– Z jednym lisem, którego kiedyś znałem.

– No tak.

Jak taki dziwak może być jego starym?

– Może zdołam cię tego nauczyć. Zaczniemy od chowania się na widoku. Może sam się dowiem, jak to robię. – Eryk odszedł na dwa kroki, stanął przy namiocie i wniknął w siebie, a potem w otoczenie.

Finnbogi odwrócił wzrok, a potem znowu spojrzał na Eryka. Widział go, ale tylko dlatego, że wiedział, że on tam stoi. To było zadziwiające: po prostu wtopił się w otoczenie, tak jak robiły to kojoty na Morzu Traw, widoczne tylko wtedy, gdy się poruszyły.

– Teraz ja spróbuję – zapalił się Finnbogi. – A ty powiesz, jak mi poszło.

Eryk kiwnął głową. Finn stanął przy namiocie. Przyciągnął do siebie ramiona, przechylił głowę. Czuł się jakoś głupio, ale wydawało mu się, że to się robi jakoś tak.

– I co, widzisz mnie? – spytał.

– Widzę. Stojąc, jakbyś zwałił się w portki, jeszcze bardziej zwracasz na siebie uwagę.

– Aha. Chyba nigdy nie załapię.

– Stajemy się ekspertami w tym, co często robimy – wygłosiła Gunnhilda Pobożna, wychodząc z namiotu, w który próbował wtopić się Finn. – Powiedz mi, a zapamiętam, zademonstruj, a się nauczę, zaś...

– Wrócili! – wrzasnęła z drugiej strony obozu Bodila Gęsiodzioba.

Gunnhilda, Eryk i Finn podbiegli do dwojga przywódców. Sofi i Wulf szli traktem ze wschodu w eskorcie Pustych Dzieci. Twarz Wulfa ociekała krwią, ale nie wydawał się poważnie ranny.

– Jesteś cały? – zatroskała się Sassa.

– Cały nie cały! Z czym walczyłeś? – zapalił się Kif.

– Z białym niedźwiedziem.

– Wooo-ta! – Kif wykonał piruet i rozwalił toporem łeb niewidzialnemu niedźwiedziowi. – I jak go pokonałeś?

– Nie pokonałem.

– Co?

– Sofi raz-dwa utłukła swojego. Potem ja walczyłem z moim. Nie szło mi zbyt dobrze, już miał odgryźć mi głowę, ale uratował mnie Kełcz Ynczigam.

– Ten przekornik? Ale czemu?

– Przekornicy robią rzeczy, których robić nie mają – wyjaśniła Sitsi Pustułka.

To wytłumaczenie zaspokoilo ciekawość wszystkich, ale Finn kręcił nosem. Dlaczego Badlandczyk miałby ocalić życie Wulfowi? Przez życzliwość? Czy może po to, żeby później zaserwować mu jeszcze bardziej okrutną śmierć?



Rozdział 5

GRZECHOKONDA

Przyłączmy się do Badlandczyków, prawda? – wypaliła znieńska Jutrzenka.

Minął dzień od starcia z białym niedźwiedziem. Jutrzenka od wczoraj próbowała rozmówić się z nią w cztery oczy, a Sofi unikała jej, bo wiedziała, o czym chce pogadać.

– Chyba nie zaproponowali tego Wotanom, co? Tylko nam – dodała, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Sofi słyszała, że w stronę obozu jadą na wielkorogach dwa łyse dzieciaki, które jeszcze nie znalazły się w polu widzenia.

– Do nikogo się nie przyłączmy – odparła.

– Rappa Hoga spytał cię o to, gdy pierwszej nocy poszłście na stronę,

nie myślę się?

– I co z tego? Idziemy z Wotanami na Łąki.

– Dlaczego?

– Bo Yoki Choppa twierdzi, że to powinniśmy zrobić.

Jutrzenka odwróciła się od niej. Jedynym Wotaniem w pobliżu był Ottar. Chłopiec stał dwadzieścia kroków dalej, rzucał kamkami w górę i próbował złapać je w usta. Drobinka żwiru uderzyła go w czoło i zapisał. A potem rzucił kolejny kamyk. Dwa małe szopy bawiły się u jego stóp, popiskując i gryząc się nawzajem, a potem gryząc chłopca po nogach.

– Nie ulega wątpliwości – zaczęła Jutrzenka, przeciągając sylaby – że to właśnie temu małemu geniuszowi powinniśmy zaufać i rzucić się do walki z siłą, która chce zniszczyć świat. Co nam po Bobrocłeku i jego owslanach, sztyletozębach i łosiach, lądowych okrętach, wielotysięcznej armii i napędzanych krwią magicznych potworach?

– Yoki Choppa mówi, że chłopiec jest niezbędny dla powodzenia misji.

– A ty w to wierzysz?

– On w to wierzy, to mi wystarczy.

– Więc co dokładnie chcesz zrobić? Po prostu sobie stąd pójść?

– Uciec.

– Jak?

Sofi wzruszyła ramionami. Jej plan doprowadzenia Wotan do Łąk miał jedną poważną wadę, nie wiedziała mianowicie, jak uciec z Badlandów. Przemyślała dogłębnie wszystkie możliwości i uznała, że mają znikome szanse powodzenia. Badlandczycy wyświadczyli im przysługę, wioząc ich kilkaset mil bliżej celu, ale na tym korzyści się kończyły.

Jutrzenka wskazała palcem pudełko na jej szyi.

– Tkwimy w pułapce doskonałej, Sofi. Paloma może i przeżyła ugryzienie, ale wciąż nie doszła do siebie i nie wiadomo, czy my wykażemy się taką odpornością. Możemy dołączyć do Badlandczyków lub szczeznąć na ich arenie. Oni mają w zanadrzu rzeczy, które mogą nas zabić. Tak, Sofi, nawet nas. Co, jeśli każą ci walczyć z tym małpoludem? Może ty lub Chogolisa wyszłybyście z tej walki zwycięsko, ale Paloma i Sitsi miałyby dokumentnie przesrane. A wielka stopa to wcale nie

najgorsze, co może nas spotkać. Kombinacje Yokiego Choppy doprowadziły do śmierci Talisy. Masz zamiar czekać, aż kolejna z nas się przekreśli?

Sofi pokręciła głową.

– Mają nas w garści. Mówi się trudno, zostałyśmy pokonane i tyle. Zdarza się. Teraz musimy jak najlepiej wykorzystać naszą obecną sytuację. Musimy się do nich przyłączyć.

– Wcale nie musimy.

– Albo to, albo śmierć. Proszę cię, obiecaj mi przynajmniej, że się nad tym zastanowisz.



– Jak myślisz, o czym rozmawiają? – spytał Finnbogi Eryka.

Oparzenie na dłoni Złośnika wciąż przypominało mu o tym, by nie próbował komunikować się ze zwierzętami, wkładał więc wszystkie siły w nauczanie syna skradania się jak zwierzę. Niestety, szło mu niesporo. Albo Finn był kiepskim uczniem, albo Eryk kiepskim nauczycielem. Albo jedno i drugie. Jak dotąd udało im się tylko zdenerwować siebie nawzajem.

– Prawdopodobnie zbierają się na odwagę, żeby zaproponować ci trójkącik – odparł Eryk.

W Finnbogim wezbrał śmiech, lecz jednocześnie poczuł obrzydzenie, że o takich rzeczach mówi mu ojciec.

– Spójrz, jak łypią na Ottara – odpowiedział, starając się nie wyobrażać sobie igraszek z Sofi i Jutrzenką. Ale czuł, że wróci do tego później. – Chyba chcą nas porzucić.

– Zaszły tak daleko. Jutrzenka próbowała poświęcić się dla ciebie nad wodospadem.

– Już z nią o tym rozmawiałem. Powiedziała, żebym ani przez moment nie myślał, że ją obchodzę. Po prostu szukała okazji do ucieczki.

– Pozują na wredne, ale nie są takie. A w ogóle to nie Jutrzenka dowodzi owslankami, tylko Sofi. A Sofi nas nie zostawi.

– Lepiej by sobie radziły bez nas. Na pewno zdają sobie z tego sprawę.

– Nie jesteśmy całkowicie bezużyteczni – westchnął Eryk. – Pomożemy w ucieczce, wydostaniemy się stąd wspólnymi siłami.

– Naprawdę? Jak? Jak ucieknie Bjarni?

Obydwaj spojrzeli na leżącego w słońcu Kurzą Twarz. Finnbogi wciąż wierzył, że przyjaciel wróci do zdrowia, choć Yoki Choppa orzekł, że powinien już nie żyć.

– Tego jeszcze nie rozwikłałem, synu. Podobno jesteś cwany. Zastanów się i zobacz, czy nie wpadniesz na jakiś dobry pomysł.



Finnbogi myślał i myślał, jak tu przechytrzyć pająki beeba i uciec z Badlandów. Kilkukrotnie wpadł na pomysł, który zdawał się mieć potencjał, lecz ostatecznie zawsze znajdował jakąś fatalną niedoskonałość. Fatalną w dosłownym sensie.

Głowił się nad tym następnego dnia przy śniadaniu z bizoniego mięsa i kaczych jaj, gdy jego rozmyślania przerwał Chapa Wangwa, który pojawił się ze świtą wojowników i Pustych Dzieci.

– Finnbogi Zbuk i Frejdis Złośliwa! Za mną proszę.

– Mów mi Finn... – zdążył powiedzieć, zanim nagły cyklon przerażenia porwał jego wnętrze do tańca. On i Frejdis?

– Dokąd ich zabierasz? – zażądał Gruby Wulf.

– Na arenę, gdzie będą walczyć o życie. Szczęście raczej nie dopisze im tak jak tobie, bo tym razem nie będzie tam Kełcza Ynczigama.

Teraz Finnbogi wiedział już na pewno, że to sen. Spojrzał po swoich przyjaciółach. Sassa była oszołomiona, Gunnhilda zatrwożona. Wotanie, w tym Thyri, oraz owslanki przysunęli się w kierunku Chapy Wangwy. Tylko Jutrzenka wydała się nieporuszona. Siedziała na kamieniu, jedząc wdzięcznie pieczone ptasie udko i patrząc na niego z zupełnym spokojem.

– Cofnijcie się wszyscy – usłyszał swój głos. – Nic nam nie będzie. Nie dajcie się zabić.

– Chłopak ma rację. Cofnąć mi się zaraz albo pokąsają was beeby – zagroził Wangwa.

– Czemu nie bierzesz wojowników? – zapytała Sofi.

– Ty i Wulf nieźle sobie poradziliście, ale właśnie w tym sęk. Badlandczycy lubią oglądać zwycięskich Badlandczyków i to właśnie dzisiaj zobaczą.

– Nie zabierzesz ich. – Gunnhilda Pobożna postąpiła krok naprzód.

– W porządku, Gunnhildo. – Finnbogi nie miał pojęcia, skąd bierze się cała ta jego odwaga. – Nie daj się pogryźć. Póki życia, póty nadziei. Zaopiekuję się Frejdis i wszystko będzie dobrze. Thyri uczyła mnie walczyć.

– Nie mów im tego, głupku jeden – parsknęła Thyri. – I nie umrzyj mi tam.

– Idziemy – rzucił Chapa Wangwa, ale czekał, aż Finnbogi i Frejdis wyściskają wszystkich Wotan i Sitsi, Palomę oraz Chogolisę. Uśmiechał się szeroko, jakby zabawa już się zaczęła. Gdy Finn schylił się, by przytulić Thyri, ich pudełka uderzyły o siebie zbyt mocno i pająki wpadły w amok. Thyri chyba też to poczuła, bo odskoczyła jak oparzona.

Nie było to idealne ostatnie pożegnanie z miłością jego życia.

Jutrzenka zrobiła pauzę między dwoma gryzami i spojrzała na nich. Finnbogi myślał, że może chce życzyć im powodzenia, ale się pomylił – przełknęła i wróciła do jedzenia.

Sofi Tornado była nieco bardziej wylewna.

– Powodzenia – rzekła.

Wreszcie podeszli z Frejdis do Bjarniego.

– Trzymaj się, Bjarni.

Finnbogi przeraził się, gdy rzuciło mu się na myśl, że Bjarni umarł. Ale Bjarni, nie otwierając oczu, powiedział:

– Skopcie im dupy, aż im odpadną. A potem je podepczcie.

To najdłuższe zdanie, jakie złożył od przybycia.

Ostatnią osobą, z którą się pożegnali, był Ottar Niemowa. Chłopiec siedział na występie skalnym i patykiem doprowadzał do szachu wchodzące i wychodzące z dziury mrówki.

Spojrzał na nich nieobecny wzrokiem, a potem na powrót zajął się mrówkami. Nie podniósł już głowy, choć Frejdis wymówiła jego imię z dziesięć razy.



Finnbogi wziął dziewczynkę za rękę i ruszyli z Badlandczykami na wschód, gdzie czekała na nich arena. Odwrócił się jeszcze, by pomachać współplemieńcom, ale ci już zniknęli mu z oczu.

Ścieżka wiodła ich wzdłuż głównej ściany, stanowiącej skraj badlandzkiego masywu. Szli przez ciasne żleby i wąskie szczeliny, przecięli zieloną łąkę, jak zawsze zamrowioną różnymi zwierzętami. Z żółtego skalnego kopca przyglądały się pochodowi dwa kojoty.

Dotarli do obszaru, gdzie zwisali z zakrwawionych pasiastych skał więźniowie. Finn zauważył, że było ich więcej niż ostatnio. Rozpoznał trzech mężczyzn i kobietę z plemienia Wytrzeszczów, którzy podróżowali wraz z nimi Wędrowcem. Powieszono ich w rzędzie. Finnbogi zastanawiał się, czy to lepiej, czy gorzej dzielić mękę z przyjaciółmi. Kobieta, Sandea, poruszyła się i jęknęła żałośnie, gdy się zbliżyli. Frejdis nawet ich nie zauważyła. Finn pomyślał, że może powinien się przywitać. Tylko niby po co? Przeszedł dalej. Miał własne problemy.

Spodziewał się, że prędzej czy później Wangwa zabierze kogoś na arenę. Wiedział, że ta chwila nadchodzi. Ale naprawdę, naprawdę nie spodziewał się, że padnie na niego. Mimo to czuł się gotów. Trenował codziennie, był szczuplejszy i silniejszy, pokonał nawet jedną Badlandkę. I co z tego, że Tansy pewnie by z nim wygrała, gdyby nie łut szczęścia? Może teraz też mu dopisze? Czy to możliwe, by wybrali go do walki ze względu na umiejętności?

Tylko jeśli tak, to dlaczego wzięli też Frejdis? Z całą pewnością nie spodziewał się, że ona też zostanie wybrana. To chyba bez znaczenia. To i tak stałoby się prędzej czy później, no i oczywiście – umrzesz, kiedy umrzesz...

– Sądzisz, że powinniśmy poprosić o broń? – spytała Frejdis takim tonem, jakby zastanawiała się, czy dostaną syrop klonowy do herbaty. Po raz pierwszy w życiu spytała Finnbogiego o radę. – Jak nie będę miała broni, pójdę do hali dla dzieci, ale jak będę miała, trafię do Walhalli lub jakiejś innej hali dla dorosłych.

– Myślę, że powinnaś poprosić o broń. Wtedy trafimy do tego samego miejsca.

– Byłoby fajnie, Finnbogi Zbuku. Ale skąd Ottar będzie wiedział, dokąd trafiliśmy?

– Znasz go. Odnajdzie nas.

– Tak, chyba tak.



Finnbogi wyobrażał sobie wiwatujący tłum tysięcy widzów, może nawet z okazałym stadkiem atrakcyjnych kobiet w pierwszym rzędzie, które co prawda będą z początku drwić z niego, lecz gdy zacznie już wbrew wszelkim oczekiwaniom gromić przeciwników jednego po drugim, zerwą z siebie skąpe ciuszki i zaczną machać w jego stronę obfitymi biustami.

Zamiast tego ujrzał dziewięciu wojowników siedzących na tyłach areny wraz z Bobrocłkiem oraz dalsze trzydzieści osób rozproszonych po trybunach, zajętych rozmową i niezwracających większej uwagi na dwoje Wotan.

Gdy Finnbogi miał może dziesięć lat, Gunnhilda zmusiła go, by dołączył do grupki młodszych dzieci inscenizujących podróż Thora i Lokiego do krainy olbrzymów. Chciała, by ktoś większy od małałatów odegrał rolę króla olbrzymów. Nauczyli się swoich kwestii i ćwiczyli tygodniami. Spodziewali się, że w dzień przedstawienia każdy jeden Harowianin pojawi się na widowni, więc zastawili cały Rynek Olafa ławami, przytargali nawet obrąbane z gałęzi pnie z całej wioski. Finnbogi modlił się do wszystkich bogów, byle tylko czegoś nie spartolić, ale był też podekscytowany, bo czuł, że robi furorę, przez co wszyscy ujrzą go w nowym świetle i uznają za dobry materiał na bohatera. Ostatecznie na widowni pojawili się tylko rodzice dzieci zaangażowanych w przedstawienie, którzy nie wypełnili nawet pierwszego z piętnastu rzędów.

Teraz czuł się podobnie. Denerwował się, że tłumy ludzi będą bacznie śledzić każdy jego krok, a tymczasem widzów było tyle, co sztyletozębny kot napłakał. Jeśli miał na oczach innych walczyć na śmierć i życie albo być zamęczony przez Chapę Wangwę, to przynajmniej chciał, by rzeczywiście był to rozwrzeszczany, zdziczały tłum, z tabunami gorących lasek, a nie gromadka znudzonych cierpiętników, siedzących jak na kazaniu Gunnhildy Pobożnej.

Podeszli do Bobrocłeka. Finnbogi rozpoznał jego świtę – to byli ci sami ludzie, którzy skakali z nim po skałach. Teraz mieli na sobie skórzane spodnie i bawełniane koszule. Doznał ulgi, widząc, że nie musi oglądać ich muskularnych torsów. Ten z rogami też tu był. I wciąż miał

rogi na głowie. Właściwie wyglądały, jakby były częścią jego ciała. Finn podszedł bliżej i zauważył, że z miejsca, gdzie wnikają w skórę, sączy się ropa, jakby reszta ciała próbowała je odrzucić.

Pozostali owslanie Bobrocześka byli ludźmi o regularnych twarzach z wyraźnie zarysowanymi żuchwami i zimnym spojrzeniem. Calnijskie owslanki wybrane zostały do świty swojego cesarza w równej mierze ze względu na umiejętności, jak i wygląd. Bobrocześek stosował chyba te same kryteria. Spoglądali na Finnbogiego i Frejdis z beznamiętną pogardą.

Za to Bobrocześek patrzył na nich z uśmiechem na twarzy.

– Witajcie, Finnie i Frejdis! Dobrze wam u nas?

– Zaprzyjaźniłam się z rysiem.

– To świetnie.

– Hugin i Munin chyba go nie polubiły.

– Szopy i rysie rzadko się przyjaźnią. Podejdźcie tutaj, proszę. Śmiało! Usiądźcie o, tutaj, przede mną. – Pokazał miejsce na ławie u swoich stóp, a potem swoich wojowników. – To moi przyjaciele, przedstawiłbym ich, ale nie są zbyt rozmowni, a wasza znajomość nie potrwa długo. Ach! Zaraz następny pokaz. Macie farta, będzie na co popatrzeć.

Finnbogi i Frejdis zajęli miejsca na najniższej ławie. Czy przyszli tu tylko po to, by obejrzeć walkę z Bobrocześkiem i jego oddziałem milczków? Finnbogi bał się oswajać z tą myślą.

Na arenę wyszedł mężczyzna z pajęczym pudełkiem na szyi, uzbrojony w kamienny topór podobny do tego, którym władał Finnbogi. Zbuk prawie plasnął się dłonią w czoło, uświadomiwszy sobie, że powinien był poprosić Sofi, by oddała mu miecz. Chyba nie spierałaby się z nim w takich okolicznościach? A kto ją tam wiedział.

– Stój! – krzyknął Chapa Wangwa, gdy wojownik znalazł się na środku areny.

Mężczyzna obrócił się wolno, z uniesionymi lekko ramionami, trzymając broń w pogotowiu. Podniósł głowę i wykrzywił wyzywająco usta. Miał wypiętą pierś i wymalowany na twarzy permanentny, na pół nerwowy, na pół groźny uśmiech człowieka, który jakoś zdołał się przekonać, że jest świetny, choć w głębi duszy wie, że to nieprawda.

Złapał spojrzenie Bobrocześka, zrobił dwa kroki w jego stronę

i zawołał:

– Jestem Grunyan! Ojciec zamordowanego syna, syn zamordowanego ojca! Jestem człowiekiem, w odróżnieniu od was, bando dziwolągów! Dajcie mi tutaj przeciwnika, człowieka, zwierzę lub potwora, rychło wysłę go na spotkanie z bogami!

– Ten Grunyan jest po prostu okropny – szepnął Bobroczyłk, nachyliwszy się do dwojga młodych Wotan. – Jego plemię praktycznie na kolanach błagało moich łapaczy, żeby go zabrali. Opowiedział nam tę historię o zamordowanym synu i ojcu przed swoją pierwszą walką. Zaintrygowało mnie to, więc pozwoliłem mu żyć i porozmawiałem z kilkoma jego współplemieńcami, których pojaliśmy wraz z nim. Z radością opowiedzieli mi, jakim obmierzłym typem jest Grunyan. Nigdy nie dochował się dzieci, ani zamordowanych, ani żadnych innych, i jego rodzice żyją i cieszą się dobrym zdrowiem, zwłaszcza odkąd, jak to ujęli jeńcy, Grunyan poszedł sobie w cholerę. Pozwoliłem mu wygrać kilka walk, bo bawiło mnie to, jak ze starcia na starcie jego przemowy stają się coraz bardziej dramatyczne. Wczoraj napuściliśmy na niego dwa stare kojoty. Gdy uskoczył przed ich niezdarnymi łapami i rozwalil ich kruche czaszki, latał po arenie jak ptaszek na wiosnę. Szkoda, że nie zobaczycie jego zwycięskiego tańca, bo już mi się znudził i dzisiaj przegra.

A może Bobroczyłk docenił mój bystry umysł? – przyszło na myśl Finnbogiemu. Może nie chce patrzeć, jak umieram, tylko ze mną porozmawiać? To by tłumaczyło, dlaczego nie zaprosił na arenę owslanki czy któregoś z silniejszych Wotan. Z drugiej strony mówimy o człowieku, który z przyjemnością patrzył, jak ktoś ginie zmiażdżony przez głaz...

– Zauważyłeś może te wielkie dziury w ziemi? – spytał Bobroczyłk.

– Owszem.

– Ja też – dodała Frejdis.

– To świetnie. To ważne w życiu, żeby pielęgnować dociekliwość. Patrzcie uważnie na tamtą. – Wódz wskazał dół na granicy areny.

W tej sekundzie pojawiła się w nim głowa. Na pierwszy rzut oka Finnbogi pomyślał, zapewne ze względu na rozmiary, że to młody bizon, ale wkrótce za głową wypełzło z dziury lśniące cielsko i wiedział już, że

to nie bizon, ani mały, ani duży, tylko wąż. Wielki, abso-kurwa-lutnie olbrzymi wąż.

Zielony, pokryty czarnymi kropkami potwór wypełził z jamy na pięć kroków i znieruchomiał. Loki raczy wiedzieć ile cielska spoczywało jeszcze pod ziemią. Wąż wysunął z pozbawionego warg pyska długi, czarny, rozdwojony język, którym machnął w górę i w dół, podczas gdy wielki łeb kołysał się na prawo i lewo. Zbliżył się do stojącego na środku areny Grunyan i jego język zrobił się bardziej ruchliwy. Nagle wąż rzucił się na wojownika, a kolejne zwoje jego cielska wyłaniały się na powierzchnię z podziemnego świata.

Frejdis przysunęła się do Finnbogiego. Otoczył ją ramieniem i ścisnął mocno.

Grunyan odwrócił się, jakby chciał uciec, ale opanował się i stanął z powrotem przodem do węża. Podskakiwał na palcach, a na jego wykrzywionej twarzy pewność siebie zmagiała się z bladym strachem.

– Przepiękne zwierzę, czyż nie? – zachwycił się Bobroczek. – Jego przodków przywieziono mi z bezkresnego lasu wiele mil na południe stąd. Były to potulne i całkowicie niejadowite stworzenia. Władający toporem głupiec, taki jak Grunyan, mógłby na otwartej przestrzeni zabić każdego z nich bez kłopotu, ale my poddaliśmy je działaniu alchemii, łącząc ich esencję z o wiele bardziej wrednym i jadowitym węzem. Efekt naszej magii macie przed sobą. Nazywamy go: grzechokonda.

Grzechokonda wreszcie wyłoniła się z dziury. Jej ogon, najmniej obrzydliwa część całego obrzydliwego zwierzęcia, przypominał gigantyczną segmentowaną larwę. Zupełnie jakby wiedząc, jaki jest obrzydliwy, wąż uniósł przysadziłą końcówkę i potrząsnął nią. Głęboki, melodyjny grzechot postawił Finnowi włoski na karku; chłopak zadygotał, dotknięty prymitywnym, zwierzęcym strachem. Frejdis pisnęła i wcisnęła się mocniej pod jego rękę.

Grzechokonda popełzła przez arenę. Finnbogi myślał, że cichy syk dobywa się z jej monstrualnej paszczy, lecz zaraz uprzytomnił sobie, że ten dźwięk wydaje przesuwające się po skale cielsko. Po drugiej stronie areny Finnbogi zauważył dwoje Pustych Dzieci z głowami zwróconymi w stronę potwora.

Grunyan przerzucił topór z ręki do ręki.

Grzechokonda stanęła dęba. Wzbijając się w powietrze ponad wojownikiem, otworzyła paszczę, pokazując dwa długie i cienkie kły.

Frejdis wtuliła się w pierś Finnbogiego i zakryła oczy dłonią.

Wąż runął na Grunyana.

Mężczyzna zawył i zamachnął się toporem, ale wąż zrobił unik i zacisnął szczęki na jego głowie. Tak prędko, że niemal niedostrzegalnie, oplótł ciało przeciwnika. Błotnistozielona, spryskana czarnymi kropkami, pulsująca masa ścisnęła Grunyana, jakby chciała wyżąć go do sucha. Zwierzę otworzyło paszczę i odchyliło się, ukazując głowę mężczyzny.

Jego twarz oblała się purpurą, Grunyan dyszał, jakby nie mógł złapać tchu. Wąż mocniej zacisnął zwoje. Dyszenie przeszło w rżenie, a potem w piskliwy jęk. Skóra mężczyzny pociemniała, oczy wyglądały, jakby miały zaraz wyprysnąć z czaszki.

– To ciekawe – powiedział Bobroczyłek. – Zauważcie, że wąż wcale nie ugryzł go na poważnie. Bawi się tylko swoją ofiarą. Lub może jedynie się przed nami popisuje. Szpaner zabity przez szpanera.

– Ale czy węża nie kontrolują Puste Dzieci? – spytał Finnbogi.

– Otóż nie. Zachęciły go tylko do wyjścia z jamy, a potem puściły wolno. Oczywiście, potrafią go kontrolować i zrobią to, jeśli zaatakuje kogoś na widowni, ale grzechokondy wydają się rozumieć, że dla nich przeznaczona jest osoba na arenie, a nie widzowie. Nie wydaje mi się, by miało to coś wspólnego z nadzwyczajną węzową inteligencją, raczej instynktownie przedkładają łatwy łup nad coś, co pewnie wygląda dla nich jak przedziwne zwierzę z mnóstwem głów i rąk. Jak ujęłaby to wasza Gunnhilda: nic nas tak nie przeraża jak nieznane.

Głowa Grunyana drgnęła i Finnbogi pomyślał, że biedak wyzionął ducha, ale jego oczy wciąż śledziły poczynania węża, który właśnie obniżył łeb. I rozwarł szczęki. Jego kły ociekały przezroczystą substancją, która mogła być śliną, trucizną albo obiema naraz.

Błyskawicznym ciosem wąż jednym kłem ukłuł Grunyana w czubek głowy. Z rany siknęła cieniutka strużka krwi, strzeliła w górę pod dużym ciśnieniem i opadła jak czerwony deszcz, nakrapiając człowieka i gada.

– Jakim prawem uważamy się za lepszych od zwierząt – podjął Bobroczyłek – skoro tak urokliwie zabijają?

Potwór wolno obniżył łeb, aż cała głowa Grunyana zniknęła w jego paszczy. Zwoje zsunęły się z ramion ofiary, paszczyka rozwarła się szerzej i chwilę później górna część korpusu mężczyzny znalazła się w gardzieli grzechokondy. Wąż zupełnie już rozluźnił uścisk, cofnął się i przełknął. Grunyan zanurzył się w pracującej spazmatycznie gardzieli potwora. Podłużne cielsko nabrzmiało i spuchło.

Powoli, przemieszczając posiłek w głąb kontrolowanymi skurczami, grzechokonda opadła na ziemię i wsunęła się z powrotem do swojej dziury. Ruchomy guz znajdujący się w jednej trzeciej masywnego cielska wydał się, jakby Grunyan próbował kopać.

– Czy on...? – spytał Finnbogi.

– Żyje? Na to wygląda. – Wódz kiwnął głową. – W dodatku próbuje uciec. Kiedyś jeden człowiek wyposażony w bardzo ostry nóż zdołał się jakoś wyswobodzić na tym etapie. Rzucił się w moim kierunku, zapewne miał jakieś pretensje. Z jego zachowania wywnioskowałem jednak, że oślepiły go kwasy żołądkowe węża, bo pobiegł w niewłaściwą stronę, przewrócił się i rozwrzeszczał, gdyż jego skóra była już nieco nadtopiona. Wąż też zdechł, ale za to nauczyliśmy się, że żołądek węża wypełniony jest żrącą substancją, więc lepiej go zabić, zanim nas połknie.

Patrzyli na znikającą pod ziemią grzechokondę.

– Już po wszystkim? – spytała Frejdis, wciąż nie odkrywając oczu.

– Na pewno dla Grunyana. Skończyły się też cierpienia ludzi, którzy musieli znosić jego obecność. Jak dotąd dzień jest bardzo udany, trzeba przyznać. Teraz twoja kolej.

– Moja? – spytała Frejdis z oczami wielkimi jak jajka.

– Twoja i Finna. Wy też staniecie do walki z grzechokondą. Nie tą, ma się rozumieć. Ta najadła się na długie tygodnie. Ale mamy ich jeszcze mnóstwo.

– A czy nie moglibyśmy powalczyć ze starymi kojotami? – podsunęła Frejdis. – Mamy niewielkie szanse w walce z grzechokondą.

– Niekoniecznie. Zawsze jest szansa, że wam się uda. Bylibyście pierwsi, ale to teoretycznie możliwe, zwłaszcza że udzieliłem wam wskazówek. A wiecie, że prawie chcę, żebyście wygrali? – Bobrocłek spojrział ponad ich głowami. Odnalazł wzrokiem Chapę Wangwę. –

Chapo Wangwo, zawołaj drugiego węża.



Rozdział 6

FINNBOGI NIEUSTRASZONY

Czy Frejdis może dostać jakąś broń? – spytał Bobrocześnie Finnbogi zwany Zbukiem.

– Czemu?

– Gdy zginie z mieczem w ręku, trafi po śmierci do dworu Odyna. W innym wypadku znajdzie się w miejscu, do którego trafiają dzieci. Chciałaby pójść tam, gdzie ja, a ja chciałbym się nią opiekować.

Bobrocześnik wyprostował się, wyraźnie zaintrygowany.

– Opowiedz mi o tym całym Odynie – powiedział do Finnbogiego, a potem dodał głośniej, by słyszeli go jego poddani: – I niech ktoś znajdzie dziewczynce nóż.

Finnbogi opisał Odyna jak potrafił najlepiej, a zachęcony przez wodza, opowiedział też o dworach innych bogów, o Thorze, Lokim, Frei, Balderze, Hel i innych.

Finn był świadom, że próbuje tylko odwlec moment pożarcia przez wielkiego węża, lecz po jakimś czasie sam wciągnął się w swoją opowieść, starając się, aby była jak najciekawsza, i obdarzając różne postacie różnymi głosami.

Chwilę to trwało. Owslanie Bobrocześka wiercili się niecierpliwie na swoich miejscach. Chapa Wangwa przerywał raz po raz, informując, że grzechokonda jest gotowa, ale Bobrocześek unosił palec, każąc mu czekać. Gdy widzowie zaczęli się rozchodzić, wódz rozkazał Wangwie zachęcić ich do pozostania pod groźbą starcia z grzechokondą zaraz po Finnbogim i Frejdis.

Po długiej chwili Frejdis wywróciła oczami.

– Ale nudy. Możemy już zaczynać z tym węzem?

Bobrocześek wydawał się lekko zdziwiony, ale odparł:

– Lubię twoje opowieści, Finnbogi. Chyba tym razem ci odpuszczę.

– Tak? – Finnbogi nie był zaskoczony. Nie mógł uwierzyć, że człowiek tak interesujący, ciekawy świata i najzwyczajniej w świecie fajny jak Bobrocześek mógłby rzeczywiście skazać ich na śmierć. Chciał ich tylko trochę wystraszyć, zanim poprosi Finna, by się zaprzyjaźnili.

– Frejdis, stań, proszę, obok Chapy Wangwy.

Dziewczynka usłuchała.

Bobrocześek obniżył głos, by słyszał go tylko Finnbogi.

– Albo ty i Frejdis staniecie do walki z grzechokondą, ty z toporem, ona z nożem... – Spojrzał w niebo, pogłaskał się po podbródku.

Czy Bobrocześek poprosi Finna, by został jego osobistym bajarzem? Albo by dał się zaprosić do jego siedziby na suto zakrapiany obiad?

– Albo Frejdis wróci do waszych ludzi, a ty staniesz do walki z dwiema grzechokondami, bez broni.

– Słucham?

– Powiedziałem: albo Frejdis wróci do waszych ludzi, a ty staniesz do walki z dwiema grzechokondami, bez broni.

– Więc mogę albo umrzeć z Frejdis, albo umrzeć sam. To jest mój wybór?

– Pierwszy wybór, z Frejdis i bronią, daje ci jakieś szanse. Może zdołasz zadać cios grzechokondzie, gdy będzie jadła Frejdis.

– Myślałem, że podobają ci się moje opowieści.

– Podobają, ale ciekawi mnie, jakiego dokonasz wyboru. I jestem pewien, że Gunnhilda Pobożna zna legendy waszego ludu co najmniej tak dobrze jak ty.

Finnbogi popatrzył na spokojnego, pewnego siebie, tryskającego zdrowiem i siłą wodza, a potem na słodką Frejdis z tymi jej zaciekawionymi oczami, które lśniły nie mniejszą pewnością siebie. Może i była mądrą małą bestyjką, często, jak się zdawało, mądrzejszą od Finnbogiego, ale wciąż – sześciolletnią dziewczynką.

– Ale z ciebie chuj – powiedział do Bobrocześka.

– Tak, już mnie tak nazywano.



Eryk Złośnik chodził w kółko. Był bliski łez i nachodziły go mdłości. Zabrali jego syna na pewną śmierć, a on nic nie mógł na to poradzić! Chciał rzucić w coś kamieniami. Właściwie robił to jakiś czas. Trochę pomogło, ale potem zaczął się wstydzic. Stał więc, rozpaczliwie szukając jakiegoś sposobu na wyciągnięcie Finna z opresji.

Jak zwykle przyglądały im się Puste Dzieci na wielkorogach, stojące na płaskim występie skalnym kawałek na północ, nieruchome i obojętne na tle błękitnego nieba. Ich nieobecne spojrzenia w jakiś sposób powiedziały mu, że wiedzą, co mu chodzi po głowie, choć nie powinno chodzić.

– Eryku, ja wiem, że łatwo mi mówić – zaczął Gruby Wulf, podchodząc do niego – ale nie powinieneś się tak zamartwiać. Finn jest cwańszy, niż się wszystkim wydaje.

– Jest?

Dowódca hirtu wzruszył ramionami.

– Może. Frejdis jest na pewno. Wróć. Ale musimy stąd uciec, zanim zaczną nas wykańczać jedno po drugim.

Eryk miał w głowie zaczątek niejasnego planu ucieczki. Zaczął już nawet strugać drewniane dyski, które można by włożyć między pudełka a szyje, by nie dopuścić do pokasania. Ale nie miał pojęcia, czy zdąży taki

dysk wcisnąć, zanim pająki rzucą się na niego, i nie zdobył się jeszcze na odwagę, by spróbować.

Minionej nocy powiedział o swoim pomysłe Wulfowi, Sofi i Yokiemu Choppie, mając nadzieję na małą burzę mózgów. Rzecz w tym, że nigdy nie dogadywał się z pająkami, czy w ogóle z robalami. Powiedział towarzyszom, że kiedyś kontrolował pszczoły, ale kilka miesięcy zajęło mu skłonienie ich, by po prostu przeleciały z jednego ula do drugiego. Aby pokonać pająki, potrzebowałyby roztoczyć nad nimi o wiele większą kontrolę. Niestety, Chapa Wangwa natychmiast dowiedział się o tym, że próbował porozumieć się z beebami, ukarał go za to, a potem zagroził, że oślepi Frejdis rozgrzanym grotem strzały, jeśli Eryk spróbuje znowu.

Spytał Yokiego Choppe, czy zna jakiś sposób na zwiększenie jego telepatycznych umiejętności.

– Nie – zgasił płomyk jego nadziei czarnoksiężnik.

Teraz Eryk stał z Wulfem, tocząc wzrokiem po ścieżce, na której ostatni raz widzieli Frejdis i Finnbogiego. Czuł, że zaraz oszaleje ze zgryzoty.

– Eryk, Wulf? – Obrócili się, słysząc głos Sofi. Rozejrzała się. Nikogo. – Jeśli się zgramy, uda nam się skorzystać z dysków Eryka w taki sposób, żeby pająki nie zdążyły nas ukąsić. Ale jeśli któryś z was zdradzi pozostałym to, co wam zaraz powiem, zabiję jak psa. Jasne?

Eryk i Wulf spojrzeli po sobie, kiwnęli głowami.

– Dobrze. To niewiele, ale może wystarczy. – Raz jeszcze obejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje. – Potrafię rozpoznać, kiedy pająki śpią.

– Jak to? – zdumiał się Wulf.



Finnbogi Zbuk wyszedł na środek areny. Sam. Bez topora czuł się jak bez ubrania. Niektórzy widzowie patrzyli na niego z umiarkowanym zainteresowaniem, inni nawet go nie zauważyli, pogrążeni w rozmowie.

Przypomniął sobie, że Kełcz Ynczigam ocalił Wulfa ze szponów białego niedźwiedzia. Potoczył wzrokiem po trybunach, szukając przekornego czarnoksiężnika. Nie było go.

Odnalazł za to tę żółtooką kobietę, którą pozbawił przytomności podczas pojmania i która później podrywała go na narkotykowej

biesiadzie u Cuguajów. Pomachała do niego, tak jak macha się do starego kumpla. Nie była jakąś skończoną pięknoscią, ale była kobietą między piętnastym a czterdziestym rokiem życia, w dodatku niebrzydką, więc przypadła do gustu dziewiętnastoletniemu Finnbogiemu. Odrzucił jej zaloty tylko dlatego, że był naćpany i przerażony. I oczywiście dlatego, że Thyri by mu nie wybaczyła.

Chociaż więc nie była stadkiem wiwatujących piękności, o jakim marzył, musi mu wystarczyć. Teraz należało jeszcze tylko jej zaimponować, mordując gołymi rękami dwie grzechokondy.

Z dziury po przeciwnej stronie areny wychyliła się głowa pierwszej z nich. Ohydna kreatura wysunęła się z dołu do połowy długości i wystawiła obrzydliwie ruchliwy język.

– Za tobą! – wrzasnęła żółtooka kobieta.

Finnbogi okręcił się. W jego kierunku pełzła też druga grzechokonda. Z obnażonych kłów ciekła jej trująca ślina.



Sofi Tornado usłyszała powracającą Frejdis, ale nie Finna.

Jeszcze przez jakiś czas nie będzie widać dziewczynki, więc nie było sensu mówić Erykowi, że jego syn poległ na arenie. W niczym to nie pomoże, a poza tym Sofi nie chciała zdradzać zbyt wiele na temat swojego słuchu. Zresztą była teraz zajęta.

Gdy Eryk i Wulf biedzili się nad kolejnym niezbyt mądrym planem, Sofi zadumała się nad tym, jaką niebezpieczną i dziwną rzeczą jest wiedza. Wiedziała, że Eryk będzie nieszczęśliwy. On jeszcze tego nie wiedział. To ciekawe, jeśli się nad tym zastanowić.

– Dziewczynka wraca – oznajmiła. – Nie ma z nią Finna.

Nie wiedziała dokładnie, dlaczego mu powiedziała. Ale uznała, że zasługiwał na to, by wiedzieć.

Eryk podbiegł do zakreślonej linią granicy.

– Co się stało? – rzucił do Frejdis.

– Wielki wąż grzechokonda zjadł człowieka imieniem Grunyan. Połknął go żywcem i widziałam, jak on się w nim rusza.

– Ale co z Finnem?

– Mnie odesłali. Finnbogi Zbuk głądził Bobroczyłkowi o bogach.

Pewnie wciąż głądzi. Ale trochę mu się pomieszało i gadał bzdury.

- Nie walczy?
- Nie wiem. Może walczy.
- Chuj, dupa i kamieni kupa!
- Eryku Złośniku!



Złapię to i zjem – wymówił jakiś przedziwny głos.

Co to było, do chuja? – pomyślał Finnbogi, umykając przed nadciągającym węzem, co niestety, oznaczało, że nieuchronnie zbliżał się do tego drugiego.

Ucieka. Dobrze. Lubię, jak uciekają.

To wąż mówi!

Nie zabijaj mnie! – próbował odpowiedzieć w myślach Finn. Wcale nie chcesz mnie zabijać!

Chcę zabijać wszystko – padła odpowiedź.

Wcale nie.

Chcę.

Wcale nie chcesz – próbował myśleć po węzowemu Finn.

Chcę.

Ta rozmowa nie miała sensu. Drugi wąż pełzł już w jego stronę. A Finn biegł mu na spotkanie.

Od grzechokondy na wprost przed nim dzieliło go pięć kroków. Poczynił chwiejne założenie, że mniej więcej taka sama odległość dzieli go od drugiego węża za jego plecami, i dał susa w prawo. Wężowy łeb skorygował kurs, ale Finnbogi już biegł po skosie, pompując szaleńczo rękami i nogami, w kierunku miejsca, gdzie stanął po wejściu na arenę. Usłyszał, jak za jego plecami dwie grzechokondy zderzają się ze sobą, a potem – i to już usłyszał w myślach – klną po węzowemu, rozzłoszczone wymykającą się ofiarą.

Finnbogi tymczasem gnał w kierunku Bobrocześka i jego ludzi. Odkrył, że trening z Thyri przyniósł wymierne rezultaty: był znacznie silniejszy i sprawniejszy niż w Harówce. Bieganie i skakanie sprawiało mu przyjemność, a na pewno większą niż miesiąc – i całe życie – temu. Wódz Badlandczyków sprowadził go na ziemię, kręcąc wymownie głową,

jakby był rozczarowany. Czyżby Finnbogi o czymś zapomniał?

Przebiegł myślami przez wszystko, co powiedział mu Bobrocłek. Grunyan był szpanerem. Grzechokondy stanowiły mieszankę grzechotników i wielkich anakond z południowych dżungli. Nie kontrolowały ich Puste Dzieci. Najlepiej pokonać je, zanim człowieka połkną. Nigdy nie atakowały widzów, bo siedzieli w kupie na trybunach, a nic tak nie przeraża jak nieznane...

Grzechokondy są olbrzymie, ale to wciąż węże. Grzechotnik, taki zwyczajny, potrafi zabić ukąszeniem, ale ucieka, gdy słyszy, że ktoś się zbliża. Każdy wie, że najlepszym sposobem na uniknięcie ukąszenia przez grzechotnika jest narobienie hałasu.

Finn zatrzymał się i obrócił przodem do dwóch wielkich bestii, które zdążyły się już wyplątać z siebie nawzajem, a teraz sunęły ławą w jego stronę, jakby się ścigały.

Ja będę pierwszy, to będzie moje!

A nie, bo ja! Ja to zjem!

Finnbogi zamknął oczy i rozłożył ramiona. Wyobraził sobie Gartha Kowadłogębego całującego Thyri Drzewonogą – tamten długi, niespieszny pocałunek, na który musiał patrzeć, gdy zbliżali się do nich uzbrojeni Lakchanowie. A potem otworzył usta i wrzasnął, wyrzucając z siebie całą zapiekłą nienawiść i zazdrość, które tłumił dotąd na dnie serca.

Otworzył oczy.

Węże stanęły jak wryte.

Co? Co to robi? Czy to na pewno ofiara? – odczuł ich myśli.

Finnbogi wyobraził sobie Gartha, który niespodziewanym ciosem oddaje go na pastwę cyklonu.

I ryknął, przywoławszy całą swoją złość na tego kowadłogębego skurwiela.

Zacisnął pięści tak mocno, że o mało nie połamał palców, zaczął podskakiwać jak opętany w górę i w dół, wykrzykując swoją nienawiść do Gartha i frustrację wynikającą z własnych niedostatków.

Węże odskoczyły.

Nie podoba mi się to. Czy to orzeł? Może podziobać, rozedrzeć ciało.

Może nas złapać, polecieć wysoko i spuścić na skały!

Finnbogi wyobraził sobie swoją matkę umierającą w połogu, wydającą go na świat wraz z ostatnim swoim tchnieniem. Wrzask przybrał na sile, zdziczał; zrozpaczony Finn machał rękami, trząsł głową, zaciskając powieki. Była tutaj. Leżała w skołtunionej pościeli, piękna i utyłana krwią, otwierając przymglone oczy, spoglądając po raz pierwszy i ostatni na swojego płaczącego synka w ramionach kogoś innego. Wiedziała, że umiera, że opuszcza swoje dziecko, które samo będzie musiało stawiać czoła okropnościom tego świata. Wiedziała, że ominie ją widok jego pierwszego uśmiechu, brzmienie jego pierwszego słowa, że nie zobaczy, jak wspina się na swoje pierwsze drzewo i łowi pierwszą rybę. Umierała, a on nigdy jej nie pozna, nigdy nie odczuje szaleńczej siły jej miłości. Umierała, by nigdy nie otrzeć mu łez, nie przygarnąć do serca, nie zachłysnąć się jego dziecięcym zapachem, nie powiedzieć mu „kocham cię”. Umierała. To takie niesprawiedliwe!

Finnbogi uniósł głowę i ryknął z całych sił. Chciał do mamy, jego mama nie powinna była umrzeć. Wrzeszczał i krzyczał, wyciem dawał upust pogardzie, jaką żywił do okrutnego, obojętnego świata. Tłukł powietrze pięściami. Po policzkach pociekły mu łzy. Smarki wyciekały mu z nosa i napływały do ust. Teraz wszyscy na niego patrzyli, ale miał to gdzieś.

Co...? – Węże jakby się skurczyły.

– Pierdolone łuskowate pokraki! – Wszystkim się dzisiaj dostanie, jak bogów kocham. – Wy też chcecie mnie zabić?! Jakim prawem, pytam?! Spierdalać mi stąd! To ja was zabiję, wy długie chuje!

I pobiegł na nie, machając pięściami jak wiatrak w czasie wichury.

A grzechokondy uciekły. Schowały się w swoich jamach.

Finnbogi się zatrzymał.

Mógł się już uspokoić.

Otarł łzy i gluty, a potem wytarł dłonie w spodnie.

Kilkoro widzów klaskało, ale chyba tylko z uprzejmości. Jakby chcieli jakoś nagrodzić udaną zagrywkę drużyny gości. Tylko żółtooka dziewczyna wiwatowała w pełnym tego słowa znaczeniu.

No proszę, pomyślał Finn. Marzenia się czasem tak jakby spełniają.

– Doskonale – powiedział Bobrocłek, podchodząc i kiwając z uznaniem głową. – To było coś! Dwie grzechokondy, ty bez broni... Nie

zabiłeś ich, ale jak niby miałbyś to zrobić. Zrobiłeś, ile mogłeś, i zadziałało. A teraz chodź za mną.

Świetnie, westchnął w duchu Finnbogi. Co teraz?



Rozdział 7 PIEŚŃ

Bobroczek powiódł go drogą w kierunku krwawej skalnej misy, w której unosiły się żyjące guzy mięsa zwane, o ile Finn pamiętał, królewskimi jaszczurami.

Dwaj Badlandczycy z wiadrem pomyj i szmatą na kijku karmili nieszczęśników przybitych do ścian. Trzymali szmatę nad głową jednego z nich, a on wyciągał szyję jak pisklę łaknące posiłku z przetrawionych przez matkę glizd.

– Instynkt przetrwania niełatwo zagłuszyć – skomentował Bobroczek.

Finnbogi czuł się słabo. Wciąż kręciło mu się w głowie po potyczce z wężami. Czuł się tak, jakby trafił z areny do innego świata, tylko

z wierzchu przypominającego ten, w którym przeżył dziewiętnaście lat.

– Na to wygląda – wybąkał.

– Dlaczego nasi dawcy krwi domagają się pożywienia, skoro w ten sposób przedłużą tylko własną agonię? Nie wiedzą, że umrą szybciej, jeśli przestaną jeść i pić?

– Może mają nadzieję, że nie umrą.

Wódz pokiwał z zapalem głową.

– Tam, gdzie jest życie, jest też pragnienie życia.

To dziwne, ale te bzdury brzmiały lepiej, gdy wypowiadał je Bobroczył, a nie Gunnhilda. Finnbogi uświadomił sobie, że rodzi się w nim podziw dla wariata, który rzucił go na pożarcie węzom, i że ten podziw przyćmiewa miłość do kobiety, która usynowiła go i opiekowała się nim, jakby był jej rodzonym dzieckiem. Życie jest jakieś nienormalne.

Stanęli przy sadzawce królewskich jaszczurów. Żyjące guzy były większe niż poprzednio, wyraźniej ukształtowane, miały teraz szyje i głowy. Finn zauważył, że przemieściły się, odkąd zobaczył je po raz pierwszy.

– Czy one...

– O nie się nie martw. My idziemy tędy.

Bobroczył, tak jak poprzednio, wspinał się po pionowej ścianie.

– Ale ja... – Finnbogi chwilę ścigał go wzrokiem, a potem rozejrzał się. Został sam. Nie było tu nikogo, a zwłaszcza Pustych Dzieci... co pewnie oznacza, że Bobroczył ma tę samą władzę nad beebami co one. Oczywiście.

Gdy przyjrzał się bliżej skale, zauważył coś, co w przypływie dobrej woli można by nazwać uchwytami na ręce i nogi.

Wspinaczka była mozolna i straszna, ale taki to już był dzień.

Nie wiedział, jak długo piął się do szerokiego na dwa palce występu skalnego, sterczącego z położonej wyżej skalnej półki, która wychodziła na południową stronę Badlandów. Rozejrzawszy się, ujrzał postrzępioną, zadartą linię urwiska, przysłaniającą rozciągający się z wysokości widok na wschód. Spojrzawszy na północ i zachód, zobaczył panoramę szpiczastych wzgórz, świecących łysiną skalnych pagórków oraz płaską jak stół prerię. Odnalazł też wzrokiem formujący półksiężyc załomek skały okrywający obóz Wotan i owslanek. Jakże chciałby już tam wrócić.

Nie widział za to nigdzie Bobrocześka, ale mógł pójść tylko w jednym kierunku – drogą nad urwiskiem wznoszącym się nad sadzawką królewskich jaszczurów. Wiodła w głąb widocznej nieopodal doliny. Skały wokoło miały różowo-żółtą barwę, były kruche i nie porastała ich roślinność. Nie było też widać zwierząt. Tylko te groteskowe słupy i skalne garby.

Podążył zygzakującą nad otchłanią drogą, otoczył przysadziłą kolumnę, która na pewno skojarzyłaby się Wulfowi z częścią męskiej anatomii, i odnalazł Bobrocześka. Wódz zdjął koszulę. Jego osobliwie lśniący, smukły, choć umięśniony tors jakimś sposobem podkreślał łagodne oczy i chłopięcą twarz bez dwóch przednich zębów. Finnbogi przełknął ślinę. Nie wiedział, dlaczego poszedł za wodzem do tego wąskiego, odludnego kanionu, ale miał nadzieję, że nie będzie się to wiązało z rozbieraniem. Z drugiej strony – rozbłysło mu w głowie – jeśli już by miało, to mógł trafić gorzej, wszak ten gładkoskóry, bezwłosy, szczupły i silny...

– Nic tu nie rośnie. – Słowa wodza przerwały odkrywcze myśli, które nieco Finna zdezorientowały. – Za to dolina poniżej opływa w roślinność. Dlaczego?

– Pojęcia nie mam.

– Tu jest odrobinę chłodniej, odrobinę wietrzniej i deszcz spływa stąd nieco szybciej, a więc jest też dość sucho. Każda różnica jest drobniotka, ale wszystkie razem czynią ten kawałek gruntu niezdatnym dla roślin. Wszystko to, co w naturze najpiękniejsze: kwiaty i zwierzęta, nie może tu mieszkać. Nie ma tu żadnych, nawet najlepiej przystosowanych do ugorów roślin, a jedynymi zwierzętami są ptaki i jaszczurki. Z ludźmi jest tak samo. Wystarczy, że nieznacznie zmieniają się warunki, w których bytują, a cała bujna roślinność człowieczeństwa schnie i pierzcha, ludzie zaś uciekają się do najbardziej pierwotnych instynktów. Ten biedak, który tak zawzięcie walczył o łyk pomyj z brudnej szmaty, był kilka dni temu dumnym wojownikiem.

Finnbogi kiwnął głową, choć wcale nie słuchał. Znadto obawiał się tego, co zaraz nastąpi.

Ruszyli ciasnym i dusznym żlebem, wspięli się po schodkowato ukształtowanej skarpie i dotarli do wąskiej wyrwy między dwoma

wysokimi skalnymi rogami.

Po dwóch jej stronach siedzieli czterej mężczyźni, a każdy z nich trzymał między kolanami wielką zwierzęcą czaszkę.

O co tu chodzi, na cycki Lokiego? – myślał gorączkowo Finnbogi.

Zbliżył się do wyrwy i zorientował, że znajdują się na granicy badlandzkiego masywu. Rozciągał się stąd widok na wiele mil – Finn widział dokładnie szlak, który pokonali Wędrowcem Równin, oraz rozciągającą się na zachód zieloną, nieskończoną prerię, upstrzoną łąsami, różowo-żółtymi kamiennymi wysepkami, między którymi roilo się od bizonów.

Zobaczył osiedle, gdzie zeszli z pokładu Wędrowca. Wehikułu nigdzie nie było, ale pojazd Bobrocześka, Biegacz Równin, leżał na trawie jak olbrzymi owad.

Gdy Finn stanął nad samą przepaścią, zobaczył, że w kotlinie pod nimi, jakieś sto kroków niżej, stoją tysiące ludzi. Zebrali się w szerokiej skalnej misie wyniesionej z podłoża, pośród rzadkiego lasu ciemnozielonych drzew.

Młody wódz zwrócił się do Finna:

– Finnbogi, podejdz i stań tutaj, na krawędzi.

Zaczyna się. Finnbogi zrobił, jak mu kazano, czując, że żołądek przyrasta mu do kręgosłupa. Błyszczący nadczłowiek strąci go z urwiska. Wymknął się Garthowi i pokonał gigantyczne węże tylko po to, by i tak skończyć na dnie jakiejś zasranej przepaści. Miał dziwną pewność, że Garth, zasiadający teraz na najlepszym miejscu przy stole biesiadnym Thora, śmieje się w głos na ten widok.

– To dzięki wam wpadłem na pomysł zbudowania Wędrowca i Biegacza. A dokładniej: dzięki waszym okrętom – wyznał Bobrocześek.

– Byłeś w Harówce? Myśmy nigdy nie...

– Kilka osób z tego plemienia przepłynęło Dzikie Słone Morze, a potem wróciło.

– Naprawdę? Myślałem...

– Że ludzie po tej stronie morza nie są w stanie zrobić tego samego, co zrobiliście wy?

– Nie. Po prostu... nie wiedziałem, że to zrobili.

– Budujemy wielkie kajaki. Popłynęliśmy, popatrzyliśmy,

przepłynęliśmy niezauważeni i wróciliśmy. Popłynęliśmy też w drugą stronę, przebyliśmy o wiele większe morze. Ludzie, którzy zamieszkują krainy za nim, są jeszcze dziwniejsi od was.

– Kiedy tego dokonaliście? Co...

Z doliny dał się słyszeć wiew. Ludzie zauważyli na skale swojego wodza.

– Uwielbiają mnie – powiedział Bobroczek takim tonem, jakby ptaki obsrały mu pranie. – Prości ludzie potrzebują przywódcy, którego mogliby uwielbiać. Niewiele mężczyzn i kobiet wynosi się ponad tłum i doświadcza czegoś podobnego, mój Finnbogi. W Badlandach ja jestem takim właśnie człowiekiem, wodzem i przywódcą, istotą wyższą. Jestem szybszy, silniejszy i mądrzejszy od wszystkich tych ludzi pod nami.

Na pewno nie jesteś tak szybki jak Paloma Widłoróg, nie tak silny jak Chogolisa Zadrzyzemia i nie tak mądry jak, no cóż, ja, zaripostowałem w myślach Finnbogi.

– A jednak wszystko to, czym jestem, dokonało się za sprawą alchemii. W jakim stopniu jestem sobą, a w jakim wytworem magii? Czy ci ludzie czczą mnie, czy potęgę alchemii? Czy wiesz, Finnie, jakie jest moje zwierzę mocy? Mam ich kilka, ale co jest tym najważniejszym, którego moce czynią mnie najpotężniejszym ze wszystkich magicznych wojowników?

– Nie wiem... Lew? Wilk? – Pochlebstwo z trudem przechodziło Finnowi przez usta, ale odkrył, że stojąc nad przepaścią w towarzystwie absurdalnie silnego mordercy, skłania się ku niemu z łatwością.

– Otóż nie – zaprzeczył wódz, wyraźnie posmutniały. – Nie. Moim głównym zwierzęciem mocy jest kleszcz.

– Aha. – Czy Bobroczek zabiłby Finna, gdyby ten się roześmiał?

– Jestem bardzo silny i prawie niezniszczalny, tak jak kleszcz. Znajdź jednego i spróbuj go zabić, a przekonasz się, o czym mówię. A więc ci ludzie nie uwielbiają mnie, tylko małego pasożyta, którego ulubioną czynnością jest wczepianie się w jelenie jaja i wysysanie z nich krwi. Sam rozumiesz, skąd moje egzystencjalne rozterki.

– Teraz rozumiem. – Finnbogi był prawie pewien, że rozumie, co znaczy „egzystencjalne”.

– Ale jest jedna umiejętność, którą posiadam, zanim jeszcze magia

wzięła mnie w obroty.

Zrzucanie ludzi z klifów? – pomyślał Finnbogi.

Jak się okazało, to nie było to.

– Ludzie potrzebują piękna, tak samo jak igrzysk na arenie. – Wódz zaczerpnął tchu, rozłożył ramiona i zaczął śpiewać. Z jego ust wydobyła się długa, słodka nuta.

Tłum pod spodem krzyknął, a potem umilkł. Głos młodego wodza zniżył się do zaskakująco basowego pomruku, a potem wzbił się wysoko, jeszcze wyżej i powrócił do pierwszego tonu. Bobroczył dysponował donośnym, krystalicznym i naturalnie melodyjnym głosem.

A więc jego jedynym niemagicznym talentem był śpiew? Finnbogi byłby mniej zaskoczony, gdyby wódz zmienił się na jego oczach w różową wiewiórkę w kropki. Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

Gdy Bobroczył trzeci raz dotarł do niskiej, basowej nuty, czterej mężczyźni wydobyli głębokie, chrapliwe dźwięki z wielkich czaszek. Ktoś – lub coś, Finnbogi nie widział – stoczył z klifu kilka kamyków, wzbogacając muzykę o rytmiczny akompaniament, który brzmiał potężnie, jak morskie bałwany rozbijające się o skały. Głos wodza, czaszkorogi i kamienna perkusja złożyły się na ton tak smutny, a jednocześnie euforyczny, że Finnbogi zaczął kiwać się rytmicznie, czując, że wszystkie włoski na ciele stanęły mu dęba. Na jego usta wypłynął uśmiech, a z oczu polały się łzy.



Rozdział 8

ATAK CALNIJSKIEJ ARMII

Te dwa dni po starciu Finnbogiego z grzechokondami upłynęły Sassie Gryziwardze zarówno szybko, jak i wolno. Szybko – bo ćwiczyła strzelanie z łuku z Sitsi Pustułką, znacznie zwiększając swoje zdolności pod nadzorem bystrookiej owslanki. Wolno – bo dłużyły się noce, gdyż nigdy nie było wiadomo, kiedy i kogo wywoła na arenę Chapa Wangwa.

Czuła wstyd, że najbardziej obawia się o siebie, czy może dokładniej mówiąc: o dziecko. Leżała z dłońmi złożonymi na brzuchu, bojąc się, że jej maluszek albo będzie dorastał bez matki i ojca, albo w ogóle się nie narodzi.

Nie wierzyła, że nikt jeszcze nie zorientował się, że jest w ciąży. Wulf

nie podejrzewał, że ukochana może coś przed nim ukrywać, co było zarazem urocze i użyteczne, lecz w tej konkretnej sytuacji wolałaby, żeby się jednak domyślił. Jednocześnie chciała i nie chciała porozmawiać z nim o potomstwie. Słyszała, że ciąża potrafi namieszać kobiecie w głowie.

Niemniej jednak dwie rzeczy były więcej niż pewne. Pierwsza: nie chciała wyznać nikomu innemu, że jest przy nadziei, żeby przypadkiem nie zapeszyć. Kobiety często roniły w początkowej fazie ciąży, a gdyby jej się to przytrafiło, nie zniosłaby tego współczucia i obchodzenia się z nią jak z jajkiem bogowie wiedzą jak długo. Druga: nie chciała, by jej nienarodzone dziecko umarło na arenie ku uciesze Badlandczyków.

Trzeciego dnia po walce Finnbogiego odkryła tuż po obudzeniu, że owslanki zniknęły. Zabrał je gdzieś Bobrocłek.

Wotanie wzięli się do śniadania, starając się zachowywać normalnie, ale Sassa nie mogła nie myśleć o tym, co będzie dalej. Poznała po twarzach współplemieńców, że nie była sama w swojej rozterce.

Może to przez ciążę, może to przez to, że zniknęły jej obrończynie, ale tego dnia nawet badlandzkie powietrze wydało się Sassie wrogie, a przynoszące zwykle ulgę powiewy wiatru wzbijały tylko między namiotami duszące chmury pyłu.

Gdy więc Chapa Wangwa wparował do ich obozu, a wraz z nim troje Pustych Dzieci, ręka Sassy powędrowała samoczynnie do gardła – nieomal zwróciła śniadanie przez przypływ porannych mdłości i bardzo złe przeczucia. Reszta Wotan spoglądała na niego wzrokiem znamionującym różne stopnie strachu i pogardy.

– Czy ten umierający już umarł? – przywitał się Badlandczyk, stając w rozkroku nad nieprzytomnym Bjarnim i lustrując jego twarz ciekawskimi oczkami. – Jeszcze nie? Ależ trzyma się życia! Bawi mnie to za każdym razem. – Potoczył wzrokiem po Wotanach, prezentując pełny zestaw zębów. – Boki zrywać.

– Widzę, że masz nam coś do powiedzenia – rzekł Wulf. – Powiedz i idź sobie.

– Nie krzyw się, bo ci tak zostanie! Spokojnie, nikt z was dzisiaj nie umrze. Chyba że ten umierający, ma się rozumieć. I każdy, komu przydarzy się jakiś nieszczęśliwy wypadek. Badlandy to w końcu dość

niebezpieczne miejsce.

– Czego chcesz? – spytała Thyri.

– Nie chodzi o to, czego ja chcę, ale o to, czego chce Bobroczyłk. Myśli, że jesteście kimś wyjątkowym, chce więc sprawić wam dzisiaj przyjemność. Za mną zatem, wszyscy poza umierającym i dziećmi.

– Ktoś powinien zostać, żeby zaopiekować się Bjarnim, Ottarem i Frejdis – zauważył Wulf.

Chapa Wangwa wzruszył ramionami.

– Czemu nie? – Wskazał Bodilę i Gunnhildę. – Wy dwie zostaniecie w obozie. Ty, Bodilo, bo jesteś za głupia, żeby w pełni docenić cokolwiek. A ty, starowinko, bo już mi się znudziłaś. Miałem nadzieję, że twoje błyskotliwe sentencje będą mnie bawić, ale okazało się, że wcale nie są takie błyskotliwe. Jesteś nudną, kluchowatą starą babą. Przestań stroić miny, bo się pogniewamy. Pamiętaj, że jestem zastępcą samego Bobroczyłka.

– Wrzód na tyłku jarla to wciąż tylko wrzód – wyrzekła Gunnhilda z takim jadem, jakiego Sassa nigdy by się po niej nie spodziewała.

Gunnhilda i Chapa Wangwa mierzyli się wzrokiem. Zadrżał kącik uśmiechniętych ust Badlandczyka.

– Nie zabiję cię od razu, starucho, bo zaplanowałem już dla ciebie śmierć. Jestem cierpliwy, wszystko w swoim czasie. Zostań tu, gdzie twoje miejsce, z mniej ważnymi Wotanami, i zobacz, czy zdołasz odgadnąć sposób, w jaki pozbawię cię życia. Ale wątpię, żeby ci się udało. Jest tak ohydny, że twój mały mózdzek nie zdoła tego ogarnąć. Reszta za mną!

Chapa Wangwa poprowadził Sassę, Wulfa, Eryka, Kifa, Finnbogiego i Thyri drogą biegnącą na wschód po linii urwiska, w kierunku areny, gdzie Finn pokonał trzy dni temu dwa wielkie węże. Troje Pustych Dzieci jechało stępa za nimi.

Wulf zwolnił, by zrównać się z Sassą. Ujął jej dłoń i ścisnął lekko. Uśmiechał się, ale wiedziała, że denerwuje się tak samo jak ona. Bał się o nią, oczywiście. Nie był typem, który zanadto troszczy się o własne bezpieczeństwo. Czyżby zgadł, że Sassa jest w ciąży?

Badlandczyk skręcił na północ, w rzadziej uczęszczaną odnogę traktu. Wotanie powlekli się za nim jak na niewidzialnej smyczy.

– Ta droga nie wiedzie do areny – zorientował się Finnbogi. – A przynajmniej ja nie szedłem nią tamtego dnia, gdy...

– Gdy pokonałeś węże, płosząc je wrzaskiem. Tak, tak – powiedział Kif. – Brawo ty. Klękajcie przed bohaterem, który spłoszył dwa gady. Wszyscy pamiętamy wspaniałą sagę o wielkim Thorze, który wystraszył ropuchę dzikim krzykiem. I tę o Lokim, który nieomal doprowadził zółwia do zawału serca, gdy...

– Moje gady były bardzo duże – bąknął Finnbogi.

– Pewnie, że duże. Duże i tchórzliwe.

Sassa uśmiechnęła się. Kif nie posiadał się z oburzenia, że to Finna wybrano do walki na arenie, a nie jego. Nasłuchiwała się przez ostatnie dni o tym, jak to Kif na pewno pokroiłby grzechokondy na plasterki swoim toporem, a nie tylko zagnał je z powrotem do nory. Właściwie to więcej słyszała o tym niż o walce stoczonej przez Finnbogiego, który, co dziwne, unikał tego tematu. Wiedzieli o jego potyczce tylko tyle, ile udało się wywnioskować z lakonicznych odpowiedzi na zadawane przez nich pytania. Sassa zastanawiała się, czy ta niechęć świadczy o tym, że dojrzeła i staje się skromny, czy może na arenie zaszło więcej, niż chciałby im powiedzieć.

Przecieli trakt, którym wkroczyli do Badlandów sześć dni temu, i podeszli do najwyższej części kolczastych, gołych wzgórz. Dzień był skwarny i jasny, ale chłód śmiertelnego strachu pełzył Sassie po karku.

– Zniknęli! – wyrwało się Thyri, a Sassa przez moment nie rozumiała, o co może chodzić. Wtedy zauważyła, że z umazanych posoką skał zniknęli wisielcy.

– Spełnili już swoje zadanie – wyjaśnił Chapa Wangwa.

Wulf ponownie ścisnął jej palce.

Doszli do zbocza i wspięli się po wykutych w nim stopniach. Zmachali się co niemiara.

– Szedłem tędy z Bobrocześnie – powiedział Finnbogi, gdy wdrapali się na szczyt. – Szkoda, że nie wiedziałem, że jest łatwiejsza droga na górę. My wspięliśmy się tamtędy i... Ooo.



Łabędzia Cesarzowa Ayanna wpatrywała się w najeżone iglicami

ściany Badlandów i nie mogła powstrzymać drżenia. Ani przez chwilę nie sądziła, że okażą się tak wysokie i zniechęcające. Ani tak czerwone. Była to sceneria żywcem wyjęta z koszmarnego snu, wręcz nierealnie groteskowa. Nie wspominając o tym, że znacznie utrudniająca oblężenie i zdobycie badlandzkiej fortecy.

– Skała jest miękka – powiedziała Chippaminka, jakby czytała jej w myślach. – Pęknie pod naporem naszej armii. Badlandczycy o tym wiedzą. Spójrz! Wysłali poselstwo, żeby powiadomić nas, że się poddają.

Rzeczywiście, szedł ku nim mężczyzna niosący w wyprostowanej ręce pęk białych piór. Gigantyczny maszyn Badlandów za jego plecami czynił z niego nieledwie karła, biały punkcik na tle żółto-czerwonego przestworu.

Za nim podążało sześć osób. Jedna z nich była potężna, mniej więcej tego samego wzrostu co Chogolisa Zadrzyziemia.

Zbliżali się. Postać na czele przybrała kształt młodego, uderzająco przystojnego mężczyzny o osobliwie lśniącym ciele. Niósł włócznię z piórami przyczepionymi pod grotem. A dwieście kroków za nim maszerowali Yoki Choppa, Sofi Tornado, Sitsi Pustułka, Paloma Widłoróg, Jutrzenka i Chogolisa Zadrzyziemia. Talisy Sarny i Sadsy Wilczycy nigdzie nie było widać.

– Nie obawiaj się – uspokoiła cesarzową Chippaminka. – Zabójcy owslanek pod dowództwem Luby Zefir zajmą się tymi zdrajczyniami. Wytrenujemy nowe owslanki.

Ayanna kiwnęła głową. Chippaminka miała rację. Skoro stworzyli jeden oddział, stworzą i drugi. Może i straciła Yokiego Choppe, ale miała teraz Chippaminkę, która była o niebo lepsza od niego. Wszystko będzie dobrze.

Włóczyk zatrzymał się, owslanki również. Wciąż dzielił je od Ayanny ładny kawałek drogi. Cesarzowa wyprostowała się, przyjąwszy pozę z gatunku tych najbardziej cesarskich. Nabrzmięte od mleka piersi i obwisły po ciąży brzuch nie pomagały wyrzeć boskiego wrażenia, ale Ayanna była zdania, że jakieś wady trzeba mieć.

– Jestem Bobrocłek, wódz Badlandczyków – powiedział atrakcyjny młodzieniec. Jego brzuch z pewnością nie był sflaczały. Szkoda, że nie mogła cesarskim dekretem obciążyć mężczyzn obowiązkiem rodzenia

dzieci.

– Bobroczyłek – powtórzyła Ayanna. – Dobry Człek. Mówiono mi, że tak się nazywasz. Uznałam to za żart.

– Ludzie o śmiesznych imionach tłumaczą je zwykle poczuciem humoru rodziców – westchnął Bobroczyłek. – Ale to chyba jasne, że moi nie mieli poczucia humoru. Zresztą tylko oni śmiali się z mojego imienia. Więc ich zabiłem.

– Czemu go nie zmieniłeś?

– Bo potrzebuję, żeby coś mi przypominało, że nie jestem bogiem.

– Moja armia ci w tym pomoże.

Uśmiechnął się, nie zdradzając ani krztyny strachu.

– A czy ty jesteś boginią?

– Oficjalnie tak. Ale ja także mam coś, co przypomina mi, że jestem tylko człowiekiem. Jeśli uważnie posłuchasz, usłyszysz płacz tego czegoś.

– Ach, rzeczywiście. Gratuluję. Urodziłaś syna.

– Jesteś dobrze poinformowany. Zmieńmy temat, widzę, że masz przy sobie moje owslanki.

– Teraz to moje owslanki.

– Owslanki, do mnie!

Yoki Choppa i kobiety ani drgnęły.

Bobroczyłek wzruszył ramionami. Jego chłopięca uroda kontrastowała z ciałem wojownika.

– Jak już mówiłem...

– Co to za pudełka na ich szyjach?

– Znak poddaństwa wobec władcy Badlandów. Coś jak calnijskie garoty.

– Ty je kontrolujesz! Co jest w tych pudełkach?

– Ależ skąd. Po prostu wolą trzymać ze zwycięzcami. A właśnie, nie chciałabyś się poddać?

– Poddać? Ja? Skoro jesteś tak dobrze poinformowany, z pewnością wiesz, jak wielką dowodzę armią.

– Mniej więcej dwadzieścia tysięcy wojów, do tego wsparcie i podążająca za armią czereda rzemieślników, bestiarów i kogo tam jeszcze. – Bobroczyłek ze smutkiem pokiwał głową. – Szkoda zabijać taką masę ludzi. Powiem ci coś: jeśli się poddasz, pozwolę twojemu synowi

powrócić do Calnii z dziesiątą częścią armii.

– Dziesiątą? – Ten człowiek nie miał bladego pojęcia, w jakim położeniu się znajduje. A może to wariat? – A co, że pozwolę sobie zapytać, chciałbyś uczynić z pozostałymi dziewięcioma?

– Mam swoje zainteresowania.

– Bobroczłeku, pomyśl o swoich ludziach. Przy obecnym rachunku sił nie masz najmniejszych szans na zwycięstwo. Pomyśl o dzieciach Badlandczyków, które zostaną dzisiaj osierocone, jeśli ruszy na ciebie moje wojsko. Wcale nie musi do tego dojść. Włączę Badlandy do calnijskiego imperium, a ty będziesz mi płacił trybut. Oszczędzę cię. Pozwolę zamieszkać w Calnii. Będziesz wiódł dostatnie i wygodne życie.

– To ty, Ayanno, powinnaś się poddać, żeby twoje dziecko nie zostało sierotą. Je mogę oszczędzić, ale nie ciebie, chyba że poddasz się natychmiast. Inaczej oderwę go od martwych piersi matki i wychowam jak własnego syna. Będę mu o tobie opowiadał. Powiem, że byłaś demonicą, która pragnęła jego krwi.

Gdzieś za jej plecami Calniar się wydarł. Ayanna czuła wzbierającą złość. Wiedziała, że powinna nad sobą panować, ale wiedziała też, że nie zdoła. Nie gdy ten cudak grozi jej synkowi.

– Ty gnoju! – charknęła. – Już wystarczająco długo traktowałam cię jak człowieka. Spierdalaj z powrotem do swojej jaskini i zabieraj ze sobą te zdrajczynie. Niedługo spotkamy się ponownie, ale wówczas nie będziemy już rozmawiać, bo każę moim wojownikom wyrwać ci język. Nie będę ani chwili dłużej słuchać twojego pierdolenia.

Nad ich głowami zaskrzeczał orzeł, niechybnie dając znak, że Innowak stoi po stronie Calnian.

– Dobra, jak chcesz. To cześć. – Bobroczyłek był zupełnie nieporuszony jej tyradą. Doprowadzało ją to do szału. Po trzech krokach odwrócił się do niej. – Na twoim miejscu wysłałbym Calniara do Matki Wody razem z najszybszymi biegaczami. Nie żebyś zdołała go w ten sposób uratować, bo i tak wysłałbym za nimi najszybszych żołnierzy. Ale lżej ci będzie umierać, wiedząc, że zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby ocalić syna.



Sofi Tornado patrzyła na to wszystko z podkurczonymi palcami stóp. Każde włókno jej ciała skwierczało tłumioną furią. Zacisnęła dłoń na rękojeści pięknego, lecz zupełnie teraz bezużytecznego miecza.

Słyszała każde słowo. Próbowwała pochwycić wzrok cesarzowej, ale stały zbyt daleko od siebie. Bobroczek przestrzegł, że pająki ukąszą ją i każdą inną owslankę, która zrobi choć pół kroku naprzód, powie coś lub wykona jakikolwiek gest mogący być próbą porozumienia się z calnijską armią. Słyszała, jak beeby w pudełkach przebierają niecierpliwie odnóżami. Istniała możliwość, że wszystkie owslanki mają taką samą odporność, jaką wykazała się Paloma, a więc że nie umrą. Ale i tak pajęczy jad wywoła dziki ból, pozbawi je przytomności na parę godzin i na kilka dni przykuje do łóżka. Mogły więc tylko stać nieruchomo jak słupy soli.

Co tu robi cała calnijska armia? – zapytała pod nosem, nie chcąc już myśleć o własnej bezradności. Bobroczek wiedział, że Calnianie nadchodzą. Wiedział o tym od tak dawna, że zdążył przygotować swoje jaszczury. A to oznaczało, że wiedział, zanim jeszcze Ayanna podjęła decyzję o inwazji.

Tylko jakim, kurwa, cudem?

W czasie nieprzystojnej pyskówki z Badlandczykiem na podwyższeniu obok Ayanny stała tylko ta szczupła dziewczyna, która nie miała chyba jeszcze dwudziestki. Podczas ataku Goachików, z powodu którego owslanki zostały wysłane na tę nedorzeczną misję, Sofi usłyszała, jak dziewczęcy głos wołał: „Zabili szambelana Hatha!”.

Gdy załatwiły Goachików, Sofi znalazła zwłoki szambelana. Nosicielka jego alchemicznej torby, ta nowa dziewczyna, którą przygruchał sobie podczas swoich podróży, wyszła z ukrycia, jęcząc i szlochając nad trupem. Sofi wiedziała, że to krokodyle łyzy, ale wcale jej to nie dziwiło. Też udawałaby żalobę, gdyby taki oślizgły, choć potężny facecik, który ją bzykał, zginął po przybyciu do rodzinnego miasta.

To właśnie ta dziewczyna stała teraz u boku Ayanny. Przypadek? Oczywiście, że nie. Dziewczyna musiała być czarnoksiężnicą Bobroczełka, która podsunęła Ayannie pomysł najazdu na Badlandy. Podsunęła? Nie, raczej zauroczyła ją czarami, bo przecież każdy widział, że ta ekspedycja to szczyt głupoty, który może pociągnąć za sobą

dramatyczne konsekwencje. Takie jak na przykład zagłada całego imperium.

Czy Yoki Choppa też był w to zamieszany? A Wotanie? Czy misja Wotan i wszystko, co się od jej rozpoczęcia wydarzyło, było dziełem Bobrocześka?

– Zabiję go – wycedziła Jutrzenka przez zaciśnięte szczęki, niczym echo powtarzając myśli Sofi. – Nie wytrzymam ani chwili dłużej.

– Nie rób głupot – szepnęła do niej Sofi.

– Co robić, Sofi?

– Nic nie możemy zrobić, dlatego musimy stać.

– To chujowy rozkaz: stać i nic nie robić.

– Żebyś nie przeholowała, Jutrzenko.

Mierzyły się groźnym wzrokiem, choć łączyła je ta sama frustracja i obie rwały się do czynu. Pająk połaskotał Sofi w szyję, przypominając subtelnie, że cokolwiek by teraz przedsięwzięła, będzie to równoznaczne z samobójstwem.

Powiodła wzrokiem od wschodu do zachodu, przyglądając się wielkiej armii. Nigdy nie widziała tylu ludzi naraz. To naprawdę była całutka calnijska armia.

Sofi pomyślała o kawalerii sztyletozębów, o łosich jeźdźcach... i o królewskich jaszczurach. Żołądek związał jej się w supeł.



– Ooo. – Finnbogi wyjrzał za krawędź. Dołączyli do niego Sassa i reszta. Znajdowali się nad wypełnioną krwią kotliną, gdzie, jak powiedział Bobrocześek, rosną królewskie jaszczury.

Oczy Sassy potrzebowały chwili, by po półmroku żlebu przyzwycząić się do blasku słońca odbitego od białych skał. Wówczas zobaczyła kilkanaście olbrzymich śpiących zwierząt. Bardzo urosły, odkąd widziała je ostatnio, kilka dni temu. Ich potężne cielska rozdymały się w rytm spokojnego, sennego oddechu. Najmniejszy z nich był większy od obory w gospodarstwie Sassy w Harówce. Stwory miały grube, ostro zakończone ogony, a każdy z nich musiał ważyć tyle co dwadzieścia wielkich stóp. Ich jajowate głowy były po prostu gigantyczne, jak dwa bizony związane razem.

– Chodźcie, Wotanie! – ponaglił ich od czoła pochodu Chapa Wangwa.
– Wiem, są zadziwiające, ale poczekajcie tylko, aż zobaczycie je w akcji!

Powiódł ich budzącą przestach dróżką okrążającą skalną wieżę, biegnącą nad samym skrajem przepaści, ponad krwawą sadzawką jaszczurów, a potem przez wynaturzoną, pozbawioną najmniejszych oznak życia dolinę, gdzie Wulf irytował i pocieszał Sassę, wskazując jej co piękniejsze okazy skalnych penisów.

Patrząc przez wyrwę w skale, przy której, jak opowiadał Finnbogi, Bobrocłek dał popis swoich zdolności wokalnych, Sassa ujrzała miejsce, gdzie kilka dni temu zakończyli długą podróż na pokładzie Wędrowca Równin. Nie widziała nigdzie monstrualnego wehikułu ani jego mniejszego braciszka, zniknęło też tętniące życiem miasteczko badlandzkich robotników. Nie tylko było opuszczone, w ogóle go nie było. Ktoś zwinął setki chat i namiotów.

Ale jeszcze bardziej zaskakujący od wioski, która wyparowała, był widok olbrzymiej, stojącej na równinie przed nimi armii.

– Calnijskie wojsko! – zaćwierkał wesoło Chapa Wangwa. – Bobrocłek chciał, żebyście na własne oczy obejrzel zagładę. Zostawiam was teraz. Pod opieką Pustych Dzieci, ma się rozumieć. – Popatrzył po Wotanach, uśmiech nie schodził z jego warg. – Nie smućcie się tak! Uśmiechnąć mi się zaraz! Każdy lubi patrzeć na mordowanych ludzi, każdy z nas! Nudziarze i smutasy będą się zarzekać, że wcale nie, ale okłamują w ten sposób i siebie, i innych. Tak więc oglądajcie i bawcie się dobrze. Jak już będzie po wszystkim, możecie sobie pójść, tylko że wtedy pokasają was beeby i umrzecie.

Zostawił ich wpatrzonych w mrowie ludzi na równinie. Pomimo nadzwyczajnej liczebności armia nagle zdała im się zupełnie bezbronna.

– Jak myślicie, ile ich tam jest? – Sassa Gryziwarga osadziła dłoń na brzuchu.

– Strzelam, że ze trzydzieści tysięcy – powiedziała Thyri.

– Trzydzieści tysięcy luda?

– Raczej ze sto tysięcy – orzekł Kif.

Choć Sassa widziała ich przecież jak na dłoni, nie mieściło jej się w głowie, że żyje na świecie aż tylu ludzi. Każdy z nich miał własne troski, tajemnice, obawy i strachy. Dziesiątki tysięcy żołnierzy, dziesiątki

tysięcy osób. Chciało jej się płakać nad wszystkimi i nad każdym z osobna. Była zła. Człowiek rodzi się, żyje, jak umie, a potem umiera. I po co? Jak ona i jej dziecko mogą mieć jakieś znaczenie w świecie, po którym chodzą tak nieprzebrane masy?

– A gdzie są Badlandczycy? – zaciekała się Thyri.

– Na wzgórzach, po lewej i prawej od nas. A przynajmniej tak myślę – odpowiedział Eryk. – Tam jest od zajebania... znaczy, przepraszam, mnóstwo kamieni i gładów. Pewnie czekają, aż podejdą, żeby zrzucić im je na głowy.

– Albo chcą dobrze widzieć, jak potwory Bobroczełka zżerają Calnian – zdradził się z przypuszczeniami Kif.

– Myślisz, że jesteśmy tu bezpieczni? – spytała Sassa.

– Bezpieczni? – prychnął Kif. – No cóż, zobaczmy: mamy na szyi najniebezpieczniejsze pająki na świecie, pod nami jest dziura wypełniona potworami, a przed nami armia, która już raz próbowała nas zabić, ponadto jesteśmy więźniami morderczego wariata, który nawiasem mówiąc, oświadczył nam, że wszystkich nas pozabija, nie wspominając o...

– Już starczy, Kif – wszedł mu w słowo Wulf. – Tak, Sasso, jesteśmy tu bezpieczni.

Puste Dzieci nie odrywały od nich wzroku, mogli więc tylko patrzeć na calnijską armię, która właśnie zbudziła się do marszu.

Gdy pierwszą falę dzieliło od masywu może trzysta kroków, z trzewi ziemi podniósł się długi, głęboki pomruk, od którego zadrżał grunt pod nogami Wotan.

– Odsunąć się od przepaści! – krzyknął Wulf.

Basowy grzmot potężniał, potworniał. Wydawał się dochodzić zewsząd i znikąd jednocześnie. Twarze wszystkich naznaczył strach, pomijając może znużone oblicze Kifa, który wydłubywał toporem brud spod paznokci. Grunt drżał, a teraz zaczął się trząść.

– Padnij! – zawołał Wulf.

Padli. Wszyscy poza Kifem.

Trzęsienie ziemi dziczało z sekundy na sekundę. Grzmot zmienił się w ryk. Żwir i kamyki z szumem i stukotem osuwały się ze szczytu widocznego po zachodniej stronie wyrwy. Sassa zamknęła oczy

i otoczyła głowę ramionami. Czowała, że klęczy przy niej dwoje ludzi, Wulf i Thyri.

Ryk przebrzmiał, ścichł do pomruku, po czym nagle ustał jak ucięty nożem. Sassa otworzyła oczy, dźwignęła się na nogi. Wotanie pokryci byli skalnym pyłem, mrugali i tarli powieki. Szczyt po zachodniej stronie wyrwy jak stał, tak stał, ale ten po wschodniej zniknął. Zawalił się i rozsypał po równinie, a wraz z nim wielka część masywu ciągnąca się w kierunku areny. Gdyby Wotanie stali dziesięć kroków na wschód, spadliby w dół wraz z lawiną kamieni i leżeli teraz martwi, przysypani zawaliskiem i okutani chmurą pyłu.

Za nimi wciąż siedziało na wielkorogach troje Pustych Dzieci. Przyprószonych skalnym kurzem, ale wciąż wpatrzonych w Wotan martwym wzrokiem, jakby tuż obok wcale nie rozsypała się bez powodu góra.

– A to chuje! – wykaszała Kif. Ponieważ stał, wciągnął do płuc więcej pyłu niż reszta.

– Co? – nie zrozumiała Thyri.

– Ta góra nie rozpadła się ot tak. Nie wiem, czy to sprawka alchemii, czy jakiejś maszyny, raczej to drugie, i chyba nawet wiem, jak to działa, ale opowiem wam później, w każdym razie to Badlandczycy rozwalili tę górę. Chcieli zrzucić ją Calnianom na głowy, tylko że spudłowali!

Sassa podpełzła z powrotem do wyrwy. Natarcie ustało, ale Calnianie nie odnotowali ofiar. Ława zatrzymała się daleko przed granicą obszaru zawalonego teraz głazami i odłamkami skalnymi, nad którym wciąż rosła żółtawa chmura kurzu.

– Jak można rzucić w kogoś górą i nie trafić? – pieklił się Kif. – Co za banda debili! Ja bym poczekał, aż...

Powietrze rozdarł ryk. Przez krótki moment Sassa bała się, że rozstąpi się ziemia pod ich nogami, ale ten dźwięk... był inny. Bardziej zwierzęcy, przypominał głęboki, basowy krzyk. Rozbrzmiał kolejny, a potem jeszcze jeden. Jakby gdzieś wyszły na wolność bardzo duże i bardzo złe stworzenia.

– Nie byłbym taki pewien, czy to góra była ich tajną bronią – powiedział Eryk. – Słuchajcie.

Z kłębow kurzu, które podniosły się w niebo po upadku góry, dobiegł

ich ogłuszający odgłos wielu kroków. Coś, jakieś zwierzęta biegły w ich stronę. Dziwne, trudne do zidentyfikowania ryki przybrały na sile. Wotanie obrócili się w kierunku, skąd nadbiegało nowe niebezpieczeństwo. Sassa położyła obie ręce na brzuchu.

Zza węgła wyjechało na wielkorogu Puste Dziecko, a za nim kolejne i kolejne. Przemknęło obok i pognało naprzód, wspinając się stromym szlakiem na ocalałą z zawalenia wieżycę po zachodniej stronie. Tam szybko dołączyły do niego pozostałe i po chwili twarzami do równiny stanęło na karkołomnie stromym stoku dwadzieścioro Pustych Dzieci.

A zza skalnej zasłony poniżej, ze strony wschodniej zawaliska, wyłoniło się pierwsze z ryczących zwierząt.

– O. Ja. Cię. Nie. Mogę – wydyszała Sassa.

To był królewski jaszczur. Wielka bestia zatrzymała się, uniosła ohydny gadzi pysk na Sassę i resztę Wotan, powęszyła, otworzyła paszczę, w której zmieściłoby się dwuosobowe czółno wraz z obydwoma wioślarzami, i ryknęła-wrzasnęła z tak przejmującą siłą, że stanęły dęba wszystkie włoski na ciele Sassy, która na moment zapomniała o oddychaniu.

Potwór miał szarozieloną skórę, jak większość napotykanych na co dzień gadów, ale największe z nich, jakie widziała dotąd Sassa, były wielkości dużego królika. A ten tutaj był większy od kraszponów, o wiele większy, olbrzymi jak drzewo i przysadzisty jak Chogolisa. Musiał ważyć tyle, ile całe jej plemię. Jego łeb wydawał się nieproporcjonalnie wielki, nawet na czubku tak gigantycznego cielska, a paszczękę wypełniały po brzegi dwa rzędy kłów wielkich jak saksy.

Stwór pobiegł naprzód, skacząc nad hałdami skał na silnych zadnich nogach. Trójpalczaste łapy zakończone były czarnymi pazurami, grubymi jak pnie drzew i zaostrozonymi w zakrzywione szpice. Sassa zauważyła ku swojemu zdziwieniu, że same stopy były niemalże dokładnymi, choć o wiele większymi wersjami kurzych łapek. Co wyglądało cokolwiek dziwnie w zestawieniu z malutkimi, jakby niedorozwiniętymi przednimi kończynami. Zupełnie jakby grubasowi przyszyto wątle rączki chudzielca. Potwór biegał na tylnych łapach, podczas gdy przednie powiewały bezwładnie w rytm ciężkich kroków. Sassa doszła do wniosku, że z tak wielką paszczą gad nie potrzebował

rąk. Mógłby połknąć wielką niedźwiedzicę Eryka, nawet jej nie gryząc.

Z zawaliska wybiegł drugi królewski jaszczur, a potem kolejne. Wszystkie zsuwały się niezgrabnie z zawalonej góry, rozgarniając potężnymi zadami zalegające wokół głazy, zamiast je obiegać, i biegnąc prosto na calnijską armię.



Yarg Homar biegł w pierwszej linii szturmującego Badlandy wojska, przerzucając włócznię z ręki do ręki co dwadzieścia kroków, tak by ani prawa, ani lewa się nie zmęczyła. Poradził innym, by robili to samo, ale czy go posłuchali? Wszystkich ich pokróliczkowało. Biegli jak wariaci, trzymając krzepko swoje włocznie w jednej ręce, jakby druga nadawała się tylko do podcierania tyłka. Przez swoją głupotę przystąpią do walki z przemęczonym ramieniem. Idioci. Co gorsza, niektórzy przedkładali nad włocznie kamienne topory. Poważnie chcieli walczyć toporami z wrogiem, do którego musieli się wdrapać po skarpie? Zaprawdę pokróliczkowało ich wszystkich do reszty. Brak im pomysłu, ot co. Na miłość Innowaka, płakać się człowiekowi chce nad stanem dzisiejszej armii.

Yarg doszedł do wniosku, że głównym problemem związanym ze starzeniem się było to, że z czasem widział coraz wyraźniej, iż wszyscy poza nim to kompletni kretyni. Kiedy Yarg patrzył na problem, dostrzegał rozwiązanie. A kiedy zabierał się do rozwiązywania tegoż problemu? Ma się rozumieć, jak najszybciej. A inni stali z rozdziawionymi ustami lub, co gorsza, włązili mu w paradę.

A już najgłupsza była jego żona. O, na wielkie, kudłate króliczki Innowaka, nie było w Calnii większej idiotki od jego starej. Niczego nie umiała zrobić porządnie, nigdy nie była gotowa, kiedy miała być gotowa, a jak już dotarli, gdzie mieli dotrzeć, Yarg mógł być pewien, że zapomniała o czymś bardzo ważnym. Tak jak wtedy, gdy pojechali odwiedzić jej rodziców – jej rodziców, a nie Yarga, więc to chyba jasne, że nie było to dla niego nic miłego, choć oczywiście to on musiał zaplanować całe przedsięwzięcie. No więc pojechali do jej rodziców, a ona co? Zapomniała przywieźć dość jedzenia dla trojga dzieci. Rzecz jasna, Yarg natychmiast znalazł rozwiązanie i zostawił ją z teściami,

paplającą Innowak raczy wiedzieć o czym, podczas gdy on zrobił i założył wnyki. A potem, ponieważ pozwoliła dzieciom się przy nich bawić, nic się nie złapało i musieli zadowolić się jagodami, które nazbierała. Nie powiedziała ani słowa, ale Yarg widział, że rozpiera ją duma, bo wydawało jej się, że rozwiązała problem, choć przecież niczego nie rozwiązała, ale tylko spieprzyła jego rozwiązanie, nie upilnowawszy dzieci, przez co musieli jeść owoce zamiast mięsa. Inni ludzie są po prostu straszni!

Wiedział, że nie spodobało jej się, gdy zmienił imię z Yarga Hamara na Yarga Homara. A nie spodobało jej się, bo nic nie rozumiała. Owslanki miały fajne odzwierzęce imiona, które odzwierciedlały ich talenty, a on nie był przecież gorszy od jakiegś tam owslanki. Zabierał się do napotykanym w życiu problemów tak, jak homar zabiera się szczypcami do swojej ofiary. To całkiem, kurwa, proste i nie trzeba być króliczkowanym geniuszem, żeby przeniknąć jego sprytny zamysł.

– Czy przeszkadza ci, że zmieniłem imię? – spytał ją kiedyś.

– A co ja mogę na to poradzić? – odparła jego ślubna.

– Ty może niewiele – zaripostował. – Ale ja radzę sobie ze wszystkim!

Yarg nie pałał nienawiścią do kobiet i zdawał sobie sprawę, że jego żona wcale nie jest bardziej durna niż przeciętny przedstawiciel populacji. Po prostu spędzał z nią więcej czasu, więc jej głupota była w jego oczach jaskrawsza. Wiedział, że inni ludzie są durni co najmniej w tym samym stopniu. Nikt nie miał dość oleju w głowie, by zrozumieć, że Yarg jest po prostu najmądrzejszym facetem, jakiego znają. Czy to czas płynął dla niego wolniej, czy może Innowak pobłogosławił go zdolnością rozumienia tego, jak różne rzeczy działają i oddziałują na siebie nawzajem, podczas gdy inni byli pozbawieni tej zdolności? Jedną z nielicznych tajemnic, jakich nie potrafił zgłębić, było źródło jego własnego geniuszu.

Skoro więc nie mógł zaufać nikomu w kwestii poprowadzenia ataku na Badlandy, sam musiał się tym zająć. Znaczący nie dowodzeniem w sensie ścisłym, nie był w końcu kapitanem ani kimś w tym guście – ale fakt faktem, był jednym z pierwszych wojowników biegnących zwartym szykiem w kierunku kamiennej ściany. Musiał być, bo ktoś powinien pokazać reszcie, jak się wchodzi na kamienną ścianę i daje łupnia

Badlandczykom. Sam nie miał jeszcze całkowitej pewności, jak się do tego zabierze, ale wiedział, że gdy stanie twarzą w twarz z problemem, przeprowadzi wnikliwą analizę i natychmiast znajdzie rozwiązanie. Taki już był.

Biegł w tłumie mężczyzn i kobiet. Nigdy nie czuł się szczęśliwszy. Wkrótce wszyscy będą zawdzięczać życie Yargowi Homarowi. Wreszcie ujrzą go w akcji. Wreszcie zrozumieją. Będą przy ogniskach wznosić toasty na jego cześć. Ayanna wyniesie go do rangi kapitana. Albo raczej poprosi go o jej przyjęcie, a on się zastanowi. I każe jej się króliczkować, bo nie było w imperium większych przygłupów niż kapitanowie. Yarg nie potrzebuje tytułu, by trzymać swoich ludzi w garści. Instynktownie oddadzą się pod jego rozkazy.

Ściana była coraz bliżej, a wroga ani widu, ani słyhu. Najwidoczniej Badlandczycy też byli głupcami. Zaskoczyło go to, ale nie aż tak bardzo. Gdyby zrzucili z góry trochę kamieni, rozkróliczkowaliby łąby większości Calnian (choć, oczywiście, nie Yargowi), lecz zamiast tego pozostawali w ukryciu, czekając, aż Yarg Homar znajdzie sposób na zabicie ich wszystkich.

Od klifu wciąż dzieliło ich kilkaset kroków, gdy potężny kawał ściany odpadł z masywu i runął w dół.

Czy ta wielka lawina zbiła Yarga z tropu? A gdzieżby tam. Można by pomyśleć, że owszem, tylko dlatego, że nigdy jeszcze nie widział lawiny. Ale nie, nie zbiła. Tak wysokiego klifu też jeszcze nigdy nie widział, ale co to dla niego?

– Dalejże! – wołał. – Do wyłomu!

Nie zwolniwszy kroku, zmienił kierunek na północno-wschodni, mierząc prosto w wyrwę w skale.

Oczywiście znalazł się dwa kroki przed resztą żołnierzy, a to dlatego, że w odróżnieniu od nich wcale nie zwolnił. Ogarnął problem: wielki klif, i rozwiązanie: lawinę. Wszyscy drapali się w dupę, myśląc: „O kurde, lawina! To takie niespodziewane! Skąd nagle lawina? Jak to na nas wpłynie?”.

Yarg wcześniej przemielił te wszystkie myśli w swojej dobrze naoliwionej łepetynie i teraz był gotów wziąć sprawy w swoje ręce. To nieważne, co spowodowało lawinę, i równie nieważne, że było

niespodziewane. Ważne natomiast jest to, by wyłomem dostać się do Badlandów. Im szybciej to zrobią, tym prędzej dopadną wroga, zanim ten zdąży zareagować na nietypowy obrót spraw.

Dokonają tego. Yarg tego dokona.

Na dyndające króliczki Innowaka, dlaczego ci wszyscy ludzie byli takimi lebiegami?

Nagle jakiś bardzo dziwny ryk spowolnił go na pół oddechu. Yarg nie był ideałem, on sam pierwszy gotów był to przyznać. Ale choć zwolnił, biegł dalej – bo niewiele mu do ideału brakowało.

A ze źródłem hałasu upora się, jak już je odnajdzie.

Nie skrzył, ale wiedział, że jego ludzie mitrzą z tyłu. I dobrze. Zobaczą go w akcji, to zrozumieją, o ile jest od nich dzielniejszy i sprytniejszy.

Dobiegły go nowe wrzaskoryki. To pewnie trąby, Badlandczycy chcieli ich wystraszyć trąbami, spowolnić, by dać sobie czas na opracowanie nowego planu działania, skoro poprzedni przekreśliła niespodziewana lawina. Takie pierdoły nie zbiją Yarga Homara z pantałyku, mowy nie ma. Chcieli zaadaptować się do nowej sytuacji szybciej niż Yarg? Niedoczekanie! Nie ma na drugie Refleks, ale powinien mieć. Yarg Refleks Homar. To brzmi dumnie, a więc adekwatnie.

Sunął prosto w chmurę pyłu, gdzie jak pamiętał, znajdowała się ściana klifu. Doznał więc lekkiego szoku, gdy zamiast niej zobaczył wybiegające na niego monstrum, wielkie jak drzewo.

Na moment – tak, możliwe, że na cały moment – zawahał się. A potem zwiększył tempo. Ujrzał problem: wielki do nieba potwór z kłami jak sztylety. I znalazł rozwiązanie. Wbiegnij mu między nogi, Yarg, ponaglił sam siebie. A potem wraz mu włóczyń w bebechy.

Jakże wspaniale musiał wyglądać, pędząc dwa kroki przed resztą na spotkanie atakującego monstrum! Musiało ważyć chyba ze sto razy tyle co on – albo i więcej! – ale czy Yarg się bał? Chyba was pokróliczkowało.

Przerzucił włóczyń do drugiej ręki, żeby nie przemęczyć zanadto ramienia – skoro już patrzyli, niechże się czegoś nauczą – a bestia obniżyła łeb, co oznaczało, że jej rozdziawiona paszcza sunęła teraz w kierunku Yarga, jakby była siatką ze sztyletów, a on rybą.

Napotkał problem, wymyślił rozwiązanie.

Kilka kroków od stwora zrobił wślizg i pomknął po gładkiej trawie. Obejrzał sobie podbrzusze skołowanego niechybnie potwora, odczekał, aż jego imponująca paszcza przefrunie nad jego głową, a potem siadł i zadał cios włócznią. Wbije kamienny grot w potworne brzuszysko, a drzewce osadzi w ziemi. Pęd potwora odwali resztę roboty, a tymczasem Yarg bezpiecznie się spod niego wyturla.

Grot zetknął się z brzuchem. Drzewce pękło w eksplozji drzazg. Kamienny grot upadł na ziemię. Gdy olbrzymi szpon rozorał mu nogę, Yarg pożałował, że nie wykonał swojej włóczni własnoręcznie.

Jego ludzie pobiegli dalej. Yarg otaksował wzrokiem ranę. Och, niech to króliczki przekicają, ależ zawracanie głowy. Ten przygłupi zbrojmistrz nie utwardził należycie drewna, jego włócznia pękła. Yarg powiedział mu, jak to się robi, ale ten idiota zignorował jego radę. Wadliwy sprzęt rozproszył na moment jego uwagę i nie odtoczył się, jak zamierzał, no i proszę, nieszczęście gotowe...

Jego noga była w kiepskim stanie, ale, o dziwo, nie bolała. Widział swoją kość udową. Z poszarpanej rany lała się krew, ale nie buchała, co świadczyło o tym, że szpon nie uszkodził żadnej szczególnie istotnej żyły. Przeżyje, musi tylko znaleźć uzdrowiciela. Już zorientował się, jak najlepiej zabrać się do leczenia rany.

Spróbował wstać. W nodze jednak odezwał się ostry ból, nie utrzymała jego ciężaru. Siadł na ziemi twarzą do ściany badlandzkiego masywu.

Nadchodziły trzy kolejne potwory. Takie same jak ten pierwszy, może tylko nieco większe. Ten na przedzie zauważył go i zwolnił.

Yarg napotkał problem, wymyślił rozwiązanie.

Położył się i przetoczył na twarz. W ten sposób przeżył kiedyś spotkanie z garbatym niedźwiedziem, a był to przecież największy mięsożerca, z jakim się dotąd zetknął, więc założył, że te wielkie stwory myślą podobnie. Czarne niedźwiedzie to co innego, z nimi trzeba było walczyć, ale w przypadku wielkich mięsożerców najlepszą taktyką było udawanie martwego.

Usłyszał, że bestia zwalnia. Zamknął oczy. Był zbyt odważny i zbyt pewny siebie, by czuć strach.

Poczuł, jak kły zagłębiają się w jego boku, a potem

z nieprawdopodobną siłą miażdżą mu korpus. Głupie zwierzę! Miało go obwąchać i zostawić!

Bestia uniosła go w górę. Ujrzał kołyszące się źdźbła trawy i niebo. Kły wyszły z jego ciała i przez moment leciał w powietrzu, a potem wpadł prosto w paszczę stwora. Gdy potworna siła zmiażdżyła jego klatkę piersiową, przyszła ciemność. Potem chwila ulgi, a potem znowu coś go zmiażdżyło, aż poczuł, że rwie się skóra, trzaskają kości, a wnętrzności pękają i leją się jak woda.

On mnie przeżuwa. Dlaczego ja jeszcze żyję?

Yarg Homar, któremu przypadł w udziale honor bycia pierwszym żołnierzem pożartym przez królewskiego jaszczura od sześćdziesięciu pięciu milionów lat, przeklinał zbrojmistrza za swoją spartoloną włócznię, przeklinał Ayannę za najechanie Badlandów, przeklinał pozostałych żołnierzy za to, że zostali w tyle, a nade wszystko przeklinał swoją żonę, że pozwoliła mu wyruszyć na wojnę. Ostatnim obrazem, jaki rozbłysł w jego umyśle, był widok jej uśmiechniętej radośnie twarzy – i dopiero wówczas pojął w pełni, jakim dupkiem był przez całe swoje dorosłe życie.

Króliczek, pomyślał.



Ayanna stała na skalnej kopule, skąd mogła obserwować szturm swoich żołnierzy na Badlandy. Jediną osobą u jej boku była Chippaminka. Cesarzowa w jeden dzień podwoi obszar imperium i zapewni im wszystkim poczesne miejsce w snuty przy ognisku opowieściach. Żaden nieużyty generał nie wniósł nic do sprytnego planu Ayanny i Chippaminki, nie zasługiwali więc, by stać tu teraz wraz z nimi i patrzeć na jego urzeczywistnienie.

Obrana taktyka była genialna w swojej prostocie: wpaść do Badlandów i zabić każdego, kto się nawinie. Armia calnijska miała nad badlandzką przewagę liczebną wynoszącą dziesięć do jednego. Skomplikowana strategia byłaby w tym przypadku głupotą.

Zabójcy owslanek pod wodzą Luby Zefir czekali w odwodzie, by w razie potrzeby zająć się wojowniczkami Sofi, ale Ayanna była prawie pewna, że taka potrzeba nie zajdzie. Bobroczek jakimś sposobem

okiełznał jej kobiety, ale zmusić je do zaatakowania Calnian? To zupełnie inna para mokasynów. Każda z nich, może z wyjątkiem Jutrzenki, prędzej targnęłaby się na własne życie.

Ayanna obserwowała natarcie swoich wojowników, którzy skupili się wokół przedziwnych żółto-czerwonych skał punktujących trawiastą równinę. Biegli w kierunku drogi wciętej w skalny mur badlandzkiej fortecy.

Potoczyła wzrokiem po postrzępionej linii klifu, szukając wrogich strzelców, i uniosła brwi w nieznacznym zdziwieniu, gdy potężna część masywu po prostu się zawaliła. Niewyobrażalna masa skał zsunęła się na ziemię z ogłuszającym łomotem, przez który przebijał się gardłowy rykowrzask – przetoczył się przez równinę i wstrząsnął jej skalnym podwyższeniem.

Co to za dźwięk? To na pewno nie przypadek, że zabrzmiał w tym samym momencie, w którym zawaliło się pół góry. Jakimś sposobem Bobrocłek zburzył właśnie część swojej warowni. Widocznie dlatego był tak pewny siebie. Czekał na sposobność, by zrzucić masę skał na głowy jej żołnierzy, gdy tylko znajdą się dostatecznie blisko. Głupiec! Pospieszył się i zamiast zmiażdżyć jej wojowników, otworzył im drogę do serca Badlandów.

Wcześniej Ayanna była optymistycznie nastawiona, teraz ogarniała ją euforia.

Calnianie rzucili się do ataku. Jeden wojownik wyskoczył przed szereg i gnał na czele całej armii, niby drzazga niesiona falą. Kłęby kurzu były w błękitne niebo, a tymczasem od strony Badlandów ponownie rozległ się ten dziwny zwierzęcy ryk.

Jej pewność siebie zachwiała się. A gdy z chmury pyłu wyłonił się potwór – rozpadła się w drobny mak. Kolejne olbrzymie stwory wyłaziły z chmury jego śladem, podbiegły, by się z nim zrównać. Drugi z nich przystanął na moment, by pozrecć tego najdzielniejszego, ale zgubionego Calnianina.

Zwierzęta były wprost olbrzymie, niczym monstra z koszmarnego snu, ale to wciąż tylko zwierzęta. Jeśli nafaszerować je strzałami i kamieniami z proc, umrą jak każde inne. Samotny wojownik nie miał z nimi szans, lecz walka w grupie z silniejszymi zwierzętami była tym, co

człowiek potrafił najlepiej. Calnia zwycięży.

Oddziały wojów zbrojnych w maczugi i topory wycofały się, a w ich miejsce pojawili się włócznicy, którzy twardo bronili pozycji. Ayanna poprzysięgła sobie, że nagrodzi sowicie zarówno ocalałych, jak i rodziny poległych.

Potwory nacierały na jej zastępy, jakby ktoś wydawał im rozkazy. Jak się tresuje takie wielkie bestie? – zastanawiała się cesarzowa. Aż szkoda ich zabijać.

Kapitanowie uformowali z włóczników szerokie półkoliste formacje i kazali strzelcom zająć pozycje na kamiennych kolumnach i kopułach. Doskonale, pochwaliła ich w myślach Ayanna. Ona zrobiłaby to samo.

– Co to za potwory, Chippaminko? – spytała. – Czy spotkałaś je kiedyś w czasie swoich podróży?

– Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Ale jestem pewna, że strzelcy i łucznicy poradzą sobie z nimi. – Chippaminka wskazała ścieżkę wykutą wprost w zwieńczonej koroną płetw i iglic skalnej ścianie. – Nie spotkałam też nikogo takiego.

Jakieś czworonożne stwory zbiegały ścieżką z o wiele większą szybkością, niż mogłby rozwinąć zwykły człowiek, i wzbijały w niebo kłęby kurzu.

O nie, pomyślała Ayanna. A co to za nowy dziw?



Tansy Burna galopowała zboczem za Rappą Hogą, prowadząc do walki swój oddział sześciu sztyletozębów. Inni mieli w rękach maczugi, łuki i noże, Rappa Hoga – swój wielki obsydianowy topór. Tansy Burna miała tylko dmuchawkę z sześćdziesięcioma zatrutymi strzałkami w torbie przy skórzanym pasie przerzuconym ukośnie przez pierś. Próbowwała już walczyć z kociego grzbietu bronią krótką, ale odkryła, że takie skakanie i machanie tam i nazad zaburza rytm biegu sztyletozęba, a poza tym kot potrafił zabijać i bez jej pomocy. Zresztą wcale nie chcieli zabijać Calnian. Rozkaz brzmiał: za pomocą usypiających strzałek pojmać ich jak najwięcej do niewoli i do kolekcji. Wyrabiacze pajęczych pudełek pracowali dzień i noc od wielu tygodni.

Widziała po południowej stronie pola bitwy biegnące na spotkanie

wroga królewskie jaszczury, które wzbijały w powietrze pył i kępy trawy swoimi potwornymi kurzymi łapami. Tansy z trudem oderwała od nich wzrok, by skupić się na drodze przed sobą. Były po prostu zadziwiające, to z całą pewnością największe dzieło Bobrocześka. A jak ryczały! To był zupełnie nowy dźwięk, jakby wrzeszczały góry lub wył z nieboskłonu jakiś wściekły bóg. Co teraz wymyśli wódz? Bo królewskie jaszczury ciężko mu będzie przebić. Z drugiej strony zgromadzą dziś mnóstwo siły życiowej, więc ktoś zdoła przewidzieć, jakie nowe pomysły zrodzą się w genialnym umyśle Bobrocześka?

Trakt skręcał na południe, a potem wypływał na trawiastą prerię. Jadący przed Tansy Rappa Hoga sunął już przez równinę. Pokierował swojego sztyltozęba na wschód i gnał teraz wzdłuż linii masywu wraz ze swoimi ludźmi. Zadaniem wielkich kotów było podążyć za jaszczurami i uderzyć w broniących się Calnian z flanki, obsypać ich gradem strzałek i utrzymać na dystans, dopóki nie przetoczy się po nich oddział łosi, likwidując niedobitków.

Na usta Tansy Burny wypłynął dziki uśmiech. Dalejże, prędzej!



Podczas rozmowy władców Luby Zefir wodziła wzrokiem po twarzach owslanek. Jeszcze w Calnii Jutrzenka zebrała kiedyś ochrzan i została ukarana za ucieczkę z baraków i przelecenie kilku facetów. Było to wieczorem przed pierwszą walką owslanek z jeńcami na arenie. Następnego dnia miały zabić po raz pierwszy. Jutrzence zabroniono wystąpić, ale pozwolono patrzeć. Wyglądała wówczas tak samo jak teraz – była poważnie wkurzona i nie mogła się doczekać, by kogoś ukatrupić.

Nie. To Bobrocześek kontrolował je w jakiś sposób. To pewnie nie przypadek, że wszystkie miały obroże na szyjach.

Musiała się do nich dostać.

Gdy wielkie bestie ruszyły do ataku, Luby postanowiła wykorzystać szansę. Przekazała rozkazy swojemu zastępcy – trzymać się z dala od bitwy – a potem pomknęła na zachód. Jeśli uda jej się okrążyć pole bitwy, może zdoła przemknąć się niepostrzeżenie do Badlandów, znaleźć owslanki i wyrwać je spod władzy zauroczenia lub może zagrożenia, które uniemożliwiałoby im działanie.



Ayanna obserwowała. Pierwszy potwór wbił się w szeregi calnijskich wojowników, paszczą poderwał kobietę z ziemi i wyrzucił wysoko w niebo jej zmasakrowane ciało. Drugie zwierzę miotało się w tłumie jej żołnierzy, deptało, zamiatało ogonem, kęsało i patroszyło jej ludzi. Mężczyźni i kobiety przystąpili do ataku, ale jaszczur nawet tego nie zauważył. Zabił z sześćdziesięciu, siedemdziesięciu wojowników, zanim do rzezi przyłączył się drugi stwór. Po chwili następny gad wygryzł sobie drogę przez tłum jej żołnierzy.

Łucznicy wypuszczali strzałę za strzałą, ale pociski odbijały się od grubej skóry potworów. Celnie ciśnięte włócznie lądowały na ziemi, nie czyniąc bestiom krzywdy. Wojownicy wbiegali między ich nogi, by szpilić włóczniami ich odsłonięte brzuchy, lecz nawet przeciw nim broń nic nie wskórała.

A jednak dzielni Calnianie nie ustawiali w ataku. Potwory miażdżyły i kęsały, wyrzucały pod niebo rannych i martwych wojowników, zgarniały ich z pola bitwy potężnymi ogonami, okaleczając i zabijając.

Ayanna nie wierzyła własnym oczom. Każda kolejna chwila była katastrofą – a chwile przemykały jedna po drugiej. To nie mogło się skończyć inaczej jak tylko unicestwieniem jej armii.

Potwory człapały w kierunku Ayanny, zostawiając po sobie szlak usłany setkami kalek i trupów.

Owe tajemnicze stwory, które dostrzegła na zboczu po zachodniej stronie, okazały się sztyletozębami. Z ludźmi na grzbietach, na litość Innowaka.

Galopowały skrajem pola bitwy, niektórzy jeźdźcy ciskali w łuczników i procarzy bronią krótką, ale ogólnie trzymali się na dystans. Nie widziała dokładnie, ale wnioskując z tego, jak przykładali ręce do ust i jak padali Calnianie, strzelali do nich z dmuchawek. To parszywe zagranie, pomyślała ze złością.

A teraz drogą zbiegającą z badlandzkiego masywu – czyli tą samą, którą Ayanna zamierzała tryumfalnie wkroczyć do twierdzy – nadchodziły kolejne monstrualne zwierzęta. Nową falę ataku Badlandczyków tworzyły setki jeźdźców na łosiach.

Jaszczury bez większego trudu kierowały się ku Ayannie, zabijając po

drodze, co się nawinęło. Spodziewała się, że w końcu przynajmniej jedna z bestii upadnie, że jeden z kapitanów, odkrywszy metodę na pozornie niezwyciężone monstra, krzykiem podzieli się nią z resztą i wkrótce jaszczury zaczną padać jak muchy, nawet jeśli ich unicestwienie zostanie srogo okupione. Ale nic podobnego nie nastąpiło. Potwory sunęły na nią, brodząc przez morze śmierci. Nie jadły ludzi, nie zabijały dla pożywienia, jak robią to zwykle zwierzęta. Mordowały w krwawym amoku, praktycznie zdeptując jej armię.

Pokręciła głową. Co za ponura, nędzna śmierć – zostać zmiażdżonym przez przerośniętą jaszczurkę.

Najbliższego stwora dzieliło od niej sto kroków. Ociekał krwią, kopał i deptał, zamiatał ludzi ogonem, jakby byli kotami kurzu. Z kłów sterczących pionowo z jego żuchwy wisiał trup.

Za linią olbrzymich bestii widziała pędzące na Calnian kolejne oddziały jeźdźców. Jeśli się nie pomyliła, były to łyse dzieci na kozłach, lub może wielkorogich owcach. Raptem wszystko stało się zbyt popierdolone, jak na jej gust, i chęć ratowania się ucieczką nieomal wzięła nad nią górę. Ale nie, nie ucieknie, zostanie tu i umrze z godnością. Ale Calniar, Calniar musi przeżyć.

Ayanna zwróciła się do swojej nowej czarnoksiężnicy:

– Chippaminko, znajdź Calniara i zabierz go stąd.

– Nie.

– Nie? – Ayanna zmierzyła dziewczynę wzrokiem.

– On też umrze. – Chippaminka opromieniła ją uśmiechem.

Gdy cesarzowa pojęła, co się święci, poczuła się tak, jakby olbrzymia dłoń plasnęła ją w czoło.

Jak mogła być aż tak głupia?

Dziewczyna była badlandzką czarnoksiężnicą. Planowała to wszystko od samego początku. Ayanna tańczyła w jej dłoniach jak zauroczona marionetka.

Zamachnęła się i trafiła czarnoksiężnicę prosto w szczękę.

W jej zaciśniętej pięści eksplodował ból. Gwiazdki zatańczyły jej pod powiekami, łzy zapiekły w oczach. Gdy je otworzyła, dziewczyna wciąż się do niej uśmiechała. Na jej twarzy nie było śladu po ciosie cesarzowej.

– Byłaś bardzo dumna ze swoich owslanek, prawda? – wymówiła

Chippaminka. Masakrujący żołnierzy potwór przerwał dzieło zniszczenia, uniósł rozwartą paszczę i krzykoryknął w niebo. – Ale jak sądzisz, kto opracował alchemiczne formuły, dzięki którym powstały? Twój czarnoksiężnik Pakanda był Badlandczykiem, który opuścił ojczyznę, ażeby szukać chwały w mieście złotej piramidy, stolicy brudnych, napuszonych Calnian. Gdy go wygnałaś, wrócił w rodzinne strony. Gdy ty pokazywałaś światu swoje dzieła, my trzymaliśmy nasze w ukryciu.

– Aż do teraz.

– Nie. Pozostaną tajemnicą. Martwi głosu nie mają. Kto miałby opowiedzieć światu o naszych bestiach i wielkiej magii, która przywróciła je do życia?

– Przywróciła? – Pomimo wielkiego pragnienia, by zabić Chippaminkę tam, gdzie stała, Ayanna nie mogła powstrzymać ciekawości.

– To niezwykle stary gatunek zwierząt, które chodziły po ziemi na długo przed pojawieniem się ludzi. Ożywiliśmy ich resztki za pomocą magii i dodaliśmy szczyptę alchemii, żeby uczynić je jeszcze twardszymi i wścieklejszymi.

– Dlaczego?

– Dla naszej zabawy. I po to, żeby zetrzeć Calnię z powierzchni ziemi.

– Czy pozwolisz żyć mojemu synowi? Odkąd pojawiłaś się w Calni, samotna po śmierci jedynej bliskiej ci osoby, okazałam ci wyłącznie życzliwość.

– A jak myślisz, kto zabił Hatha? Twoja życzliwość wynikła z czaru, jaki na ciebie rzuciłam, więc nic nie jestem ci dłużna. Teraz cię zabiję, a potem zabiję Calniara. Ale nie od razu. Już od dawna wyczekuję chwili, gdy wreszcie dam mu powód do płaczu.

– Nie, poczekaj...

Dziewczyna podcięła cesarzowej nogi, tak prędko, że rozmazała jej się przed oczami. Ayanna upadła ciężko na ziemię, uderzając głową o kamień.

Gdy wzrok jej się przejaśnił, zobaczyła, że Chippaminka ją dusi, jak często to robiła ostatnio, lecz teraz jej silne ręce, niegdyś kojące i podniecające dotykiem, miażdżyły jej krtań.

Ogień, pomyślała Ayanna, tracąc przytomność. Ciekawe, czy ogień

podziiała na potwory?



Tansy Burna przylgnęła ciaśniej do grzbietu galopującego sztyletozęba, trzymając w ręku przygotowaną dmuchawkę, wodząc wzrokiem za żywymi Calnianami i szpikując ich strzałkami. Nigdy nie przykładła rurki do ust w galopie, bo gdyby sztyletozab natknął się na wybój, mogłaby połknąć strzałkę. Teoretycznie dmuchawki skonstruowane były tak, aby wykluczyć taką ewentualność, ale Tansy lubiła dmuchać na zimne.

Spod sterty trupów dźwignęła się chwiejnie na nogi ranna calnijska wojowniczką. Fup! Strzałka Tansy wbiła jej się w szyję. Zaśnie teraz na ładnych parę godzin, a gdy odzyska przytomność, będzie już miała na szyi pajęcze pudełko lub będzie wisieć ze skały, a czarnoksiężnik zajmie się gromadzeniem jej krwi, niezbędnej do kolejnego magicznego eksperymentu.

Tansy lustrowała pole bitwy, szukając kolejnej ofiary, ale nie widziała żadnej w pobliżu. Rappa Hoga zszedł z kota i chodził pośród zmasakrowanych Calnian, szpikując ocalałych strzałkami. Tansy wolała tego nie robić. Jej kuzynka została zabita ciosem nożem w podbrzusze przez człowieka, którego po bitwie wzięła za trupa.

Zatrzymała kota i stanęła, dysząc lekko. Z południa niosły się krzyki, królewski jaszczur szalał tam wśród zastępów wroga, rozrzucając wokoło odgryzione członki i chlustając w niebo calnijską krew. Potwory były niezmordowane w sianiu zniszczenia.

Martwi i umierający Calnianie zaścielali pobojowisko na setki kroków w każdym kierunku. Oddział łosi dotarł do pola trupów z drugiej strony i również obezwładniał niedobitków strzałkami.

Za jeźdźców wyłonili się Bobrocłek i jego owslanie, wszyscy nadzy i nieuzbrojeni. Mężczyźni to biegli, to dawali wielkie susy naprzód. Chcieli dogonić królewskie jaszczury i znaleźć więcej ludzi do zabicia.

Z północy biegła badlandzka piechota, za nią sunęły po ziemi wielkie sanie zaprzężone w bizony, a także jechało kilkoro Pustych Dzieci na wielkorogach. Naszpikowani strzałkami Calnianie zostaną saniami przewiezieni do twierdzy. Martwi zaś – usypani na stosy i spaleni.

Ziemia zasłana była niezliczonymi trupami. Resztki bitewnego szału Tansy wyparowały, a w jego miejsce pojawiło się uczucie bliskie rozpacz. Zobaczyła calnijską kobietę, która z trudem wstała z ziemi, a potem krzyknęła, gdy obciążyła ranną nogę, i upadła. Kawalek dalej mężczyzna bezskutecznie próbował się czołgać. Inny wgramolił się na nogi, rozejrzał i coś zauważył, zapewne martwego przyjaciela. Padł przy nim na kolana, zanosząc się szlochem.

Wiele podobnych scen rozgrywało się na całym polu bitwy. Ha, zupełnie jakby rozegrała się tu jakaś bitwa. „Rzeź” to o wiele bardziej adekwatne określenie. Tansy uświadomiła sobie, że choć dla niej, siedzącej sobie wesoło na sztyltozębie, te momenty mogą być tylko przelotnymi scenami smutku i zgryzoty, to dla tych ludzi są to doniosłe i ostateczne chwile, które na zawsze zmienią ich życie.

Pojechała przed siebie i zobaczyła zgubionego człowieka, który siedział ze wzrokiem utkwionym we własne wylewające się z rozdartego brzucha flaki. Strzeliła do niego z dmuchawki. Kazano im usypiać tylko tych, którzy mieli szansę na przeżycie, nie ma sensu bowiem marnować amunicji na kogoś, kto i tak umrze. Jednak wydało jej się, że dobrze zrobiła, skracając męki tego człowieka.



Luby Zefir szła między szeregami Calnian, ściągając na siebie zdziwione spojrzenia. Kierowała się prosto do badlandzkiego masywu. Zdezorientowani żołnierze patrzyli na nią, a potem odwracali wzrok, przekonani, że chyba im się przywidziało.

Nikt mnie nie widzi, mówiła do siebie w myślach, nie zwalniając kroku. Po raz pierwszy od dawna w jej głowie zrodził się plan. Odbije swoje przyjaciółki.

Już prawie minęła szeregi wroga, gdy popełniła błąd i obejrzała się za siebie. Uznała, że do tego czasu potwory powinny już zostać pokonane, a przynajmniej kilka z nich. Tymczasem wszystkie wciąż siały zniszczenie w calnijskich zastępach – zabijały wszystkich na swojej drodze, nie napotykając znacznego oporu pomimo wytężonych wysiłków tysięcy wojowników. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce uwolnione owslanki nie będą miały kogo ratować.

Spostrzegła Ayannę, stojącą z Chippaminką na różowo-żółtym wzgórk. Nagle cesarzowa uderzyła zauszniczkę w twarz. A dziewczyna ani drgnęła. Tymczasem potwory kierowały się wyraźnie w ich stronę. Jeśli Chippaminka nie zabije Ayanny, zaraz zrobią to one.

Luby kochała swoją cesarzową. Nie dlatego, że była lizuską, lecz dlatego, że przed zauroczeniem przez Chippaminkę Ayanna była dobrą i szlachetną władczynią, która naprawiła imperium po latach pustoszenia go przez Zaltana. Wszystkim żyło się pod jej rządami lepiej, może poza swołoczą, która również znajdowała uciechę w perwersjach poprzedniego cesarza.

Luby musi ją uratować.

Ta myśl otworzyła w jej głowie drzwi, przez które wlał się zimny strach. Gdy zaczęła wyobrazać sobie, że robi dwa kroki w kierunku cesarzowej, odruchowo złapała się za głowę i krzyknęła. Potwory jej nie przerażały, mogła przed nimi uciec. To ten przeklęty magiczny urok Chippaminki! Mówiło się, że pierwszym i najważniejszym krokiem do wyzwolenia się spod władzy złego czaru było uświadomienie sobie, że jest się we władzy złego czaru. Luby nie wiedziała, kto to powiedział, ale była pewna, że pieprzył bzdury.

A może jednak nie? Zrobiła krok w kierunku cesarzowej. Jej umysł zawył, członki zrobiły się ciężkie jak z żelaza, w przegubach rąk i nóg odezwał się ból. Kolejny krok. I jeszcze jeden. Przed każdym musiała zbierać się na odwagę, jakby miała skoczyć ze skały.

Ale po dziesięciu krokach zrobiło się lżej. I nagle, zupełnie jakby przedarła się przez gęsty las na słoneczną polanę, biegła już do Ayanny.

Chippaminka powaliła cesarzową i wskoczyła na nią.

Luby Zefir puściła się pędem. Wszędzie wokoło ranni Calnianie wołali o pomoc. Kilkunastu wojowników, którzy cudem umknęli ogoniastym bestiom, walczyło z jakimś nagim Badlandczykiem i ponosiło sromotną klęskę. Mężczyzna, najwidoczniej ulepszony mocą alchemii, uśmiechał się, bez najmniejszego trudu wrywając komuś rękę ze stawu.

Luby musiałyby zboczyć z trasy. Ale tylko na moment. Nigdy sobie nie wybaczy, jeśli tego nie zrobi.

Wpadła w bitewną gęstwę tak jak zefir, od którego przejęła imię. Badlandczyk złapał bezrękiego Calnianina za szyję i ścisnął. Atak zza

pleców nie przynosił jej chwały, lecz walka z nieulepszonym przeciwnikiem również nie była szczególnie honorowa. Luby dwoma obsydianowymi mieczami cięła Badlandczyka po wewnętrznej stronie kolan. Miał twardą skórę, ale owslanka spodziewała się tego i uderzyła z całej siły. Skóra ustąpiła, odsłaniając mięśnie i ścięgna. Wojownik zachwiał się, poleciał w tył, machając rękami, a Luby wbiła mu półksiężycowy miecz w samo oko. Nie zdążył upaść na ziemię, a ona już mknęła naprzód.

Dotarła do wzgórków i wdrapała się szybko na górę. Jej umysłem wstrząsał szaleńczy wrzask, który zagłuszał mroźną krew w żyłach wycie potworów i krzyki mordowanych Calnian, każąc zawrócić i zostawić Chippaminkę w spokoju.

– Tralala, zamknij się! – stłumiła go.

Raptem spostrzegła, że Chippaminka ją zauważyła. Choć nie powinna. Błyskawicznie podniosła się znad powalonej Ayanny.

– Jesteś silna, Luby. Udało ci się oprzeć mojemu zaklęciu. Ale ja mogę rzucić silniejsze. Mogę sprawić, że sama poderzniesz sobie żyły tymi swoimi pięknymi mieczami. Czy to obsydian?

– Tak.

– Zaprawdę piękna broń. Nie obawiaj się, nie mam zamiaru zmuszać cię do samobójstwa. Lubię czasem powalczyć, a minęło już wiele czasu, od kiedy ostatnio zabiłam alchemicznego wojownika. Teraz cię odczaruję. Pokaż, co potrafisz.

Chippaminka wyciągnęła rękę i wykonała ruch, jakby zdejmowała z Luby niewidzialny całun. Urok ulotnił się z jej umysłu przez nozdrza. Nie było to przyjemne uczucie, ale ulga nieomal zwała ją z nóg.

Luby opanowała się i stanęła naprzeciwko czarnoksiężnicy. Czuła się tak silna i szczęśliwa jak jeszcze nigdy w życiu.

Jej przeciwniczka była szczupła i świetnie zbudowana, ale w porównaniu z atletyczną sylwetką owslanki robiła wrażenie wątlej. Luby była na oko dwa razy cięższa, choć nie miała na sobie ani krztyny tłuszczu, o głowę wyższa i uczyła się walki od dziesięciu lat.

Mimo to podeszła do przeciwniczki ostrożnie, przygotowana na wszystkie sztuczki i pułapki, które są bronią czarnoksiężnika. Wyprowadziła cięcie prawym ostrzem. Chippaminka odskoczyła w bok,

tak jak należało się spodziewać, lecz tam czekało już na nią lewe ostrze.

Dziewczyna uskoczyła również i przed nim, przypadając płasko do ziemi, a następnie odbiła się mocno nogami i potężnym hakiem od dołu trzasnęła Luby w żuchwę.

Owslanka zachwiała się, świat zatańczył jej przed oczami.

Chippaminka poszła za ciosem. Raz po raz wtłaczała drobne piąstki w żołądek Luby, zasypując ją gradem ciosów prędkich jak uderzenia dzięcioła i silnych jak kopnięcia bizona.

– Jakie to irytujące – wyrzekła między dwoma ciosami. – Ale zawsze taka byłam. Zawsze mówię sobie: przeciągnij pojedynek, naciesz się nim, nie spiesz się. Ale nigdy nie mogę się powstrzymać. Nigdy! Z jedzeniem mam tak samo. Znika, ledwie poczuję smak.

Luby zamachnęła się na Chippaminkę bez żadnej taktyki czy strategii, rozpaczliwie próbując powstrzymać bezlitosne natarcie. Wreszcie czarnoksiężnica przestała ją bić, ale nie oznaczało to, że walka dobiegła końca. Owslanka zobaczyła, jak Chippaminka wybija się w powietrze, ale była zbyt zdyszana i zaskoczona, by móc zrobić cokolwiek poza patrzeniem.

Czarnoksiężnica trafiła ją kopniakiem w bok głowy. Luby pociemniało przed oczami i na chwilę straciła przytomność.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła, że Chippaminka stoi plecami do niej po przeciwnej stronie wzgórzka. Nad głową trzymała nieprzytomną Ayannę. Ta dziewczyna jest silniejsza, niż na to wygląda.

Jaszczurowaty potwór zatrzymał się i spojrzał na nie z góry z potulnym wyrazem malującym się na zakrwawionym pysku. Luby, nie doszedłszy jeszcze całkiem do siebie, widziała go jak przez mgłę i wyobraziła sobie, że bestia wygląda jak posłuszny syn, który po drodze do domu zerwał kwiat dla mamy.

Stwór otworzył paszczę. Spomiędzy kłów żuchwy zwisała noga.

– Chodź! Chodź! – krzyczała Chippaminka, stając na palcach. Obróciła cesarzową w rękach i teraz trzymała ją pionowo, obejmując dłońmi w biodrach. Wystawiła ją potworowi na pożarcie głową do przodu.

Luby zerwała się na nogi.

Potwór obniżył łeb.

Pobiegła bezgłośnie naprzód.

Otworzył szerzej paszczę nad wciąż nieprzytomną Ayanną.

Luby oburącz złapała Chippaminkę w pasie tak mocno, że jej palce niemal zagłębiły się w ciało. Dziewczyna zachłysnęła się powietrzem i wypuściła Ayannę z rąk, obróciła się do połowy, a wtedy Luby z całych sił podrzuciła dziewczynę w górę.

Ayanna upadła na skałę, a Chippaminka pofrunęła do paszczy stwora. Bestia kłapnęła pyskiem. Gdy zaczęła żuć, krew trysnęła spomiędzy kłów.

Luby zamrugła oczami. To było łatwiejsze, niż się spodziewała.

Łabędzia Cesarzowa była nieprzytomna – ale żyła. Gdy olbrzymi gad unosił łeb, by przełknąć przeżutą czarnoksiężnicę, Luby przetoczyła Ayannę za krawędź wzgórzka, amortyzując jej upadek własnym ciałem. Wylądowały, przekoziółkowały na skarpie i znieruchomiały, oparte o kurzą stopę jaszczura. Na szczęście bestia nic nie poczuła i w czasie gdy szukała ich na szczycie wzgórza, Luby odwlokła cesarzową w przeciwnym kierunku. Jaszczur obwąchał skałę, prychnął, nieufnie ogarnął ją wzrokiem raz jeszcze, po czym ryknął i poczłapał w swoją stronę.

No i dobrze, pomyślała Luby. W jej kierunku biegli sprężyste trzej nadzy mężczyźni, zapewne wspomagani alchemiczną magią pobratymcy tego, którego zabiła przed konfrontacją z Chippaminką. Za nimi gnał oddział jeźdźców na sztylotozębnych kotach oraz setki wojowników na łosiach. Nie uda jej się uciec z Ayanną z pola bitwy.

U podstawy skalnego wyniesienia Luby zauważyła szczelinę wielkości człowieka. Sprawdziła szybko, czy nie ma w niej węży – gdyby naraziła Ayannę na śmierć od ukąszenia na polu bitwy, gdzie roiło się od potworów i alchemicznych wojowników, nigdy by sobie tego nie wybaczyła – a potem wcisnęła cesarzową do środka. Nie była to idealna kryjówka, ale chwilowo musiała wystarczyć. Jeśli dopisze jej szczęście, może nie wygrzebią jej stamtąd wielkie jaszczury i znajdzie ją jakiś ogarnięty Badlandczyk, który zorientuje się, jak cenny jeniec mu się trafił.

Z tą nadzieją pobiegła i wtopiła się w calnijską armię, chcąc zrealizować swój drugi zamysł – ominąć badlandzkie wojsko od strony zachodniej i odnaleźć resztę owslanek. Teraz będzie jej o wiele trudniej,

bo wiedziała, że musi lawirować między jaszczurowatymi potworami, unikać patroli sztyletozębów i trzymać się z dala od łosi, nie wspominając o setkach badlandzkich piechocińców, którzy zwartym strumieniem wypływali z Badlandów na pole bitwy.

Przemykała chyłkiem, zrywami, na przemian biegnąc i kryjąc się, tak że nawet ci, którzy przebiegali dwa kroki od Luby, mogliby przysiąc, że nikogo tam nie było.

Zauważyła jeszcze trzech nagusów rozrywających na strzępy niewielką, oddzieloną od trzonu armii grupkę Calnian, która jakimś sposobem wymknęła się jaszczurom. Zawahała się. Tamtego pokonała z łatwością, ale podkrađła się do niego. Nie była najlepszą wojowniczką. Wygrałaby z każdym nieulepszonym wojownikiem, ale z kolei każda owslanka pokonałaby ją w otwartej walce, nawet Sitsi.

Tak więc szanse przeciwko trzem alchemicznym wojownikom przedstawiały się cokolwiek blado. Ale czy wolno jej zostawić Calnian na pewną śmierć?

Podbiegła pochylona w ich kierunku, nie wychodząc z ukrycia, nie wiedząc właściwie, co chce zrobić.

Calnijscy żołnierze spostrzegli nagich wojowników i zaczęli szyc do tego na czele. Ów zatrzymał się i stanął z wypiętą pierśią, pozwalając strzałom dosięgnąć celu. Kamienne groty odbiły się od jego skóry, jakby był wykuty z granitu. Uśmiechnął się. Nie miał dwóch przednich zębów.

Luby się zatrzymała.

Mężczyzna o nieprzebijalnej skórze zaszarżował na oddział Calnian. Na spotkanie wyszli mu topornicy, zasłaniając nieprzestających strzelać łuczników. Golas trzasnął w kark jednego z nich ustawioną poziomo dłonią. Głowa topornika pofrunęła w niebo, znacząc trajektorię lotu warkoczem krwi, jakby Badlandczyk miał miecz zamiast dłoni. Dwaj pozostali wojownicy dołączyli do ofensywy i w kilka sekund roznieśli oddział gołymi rękami.

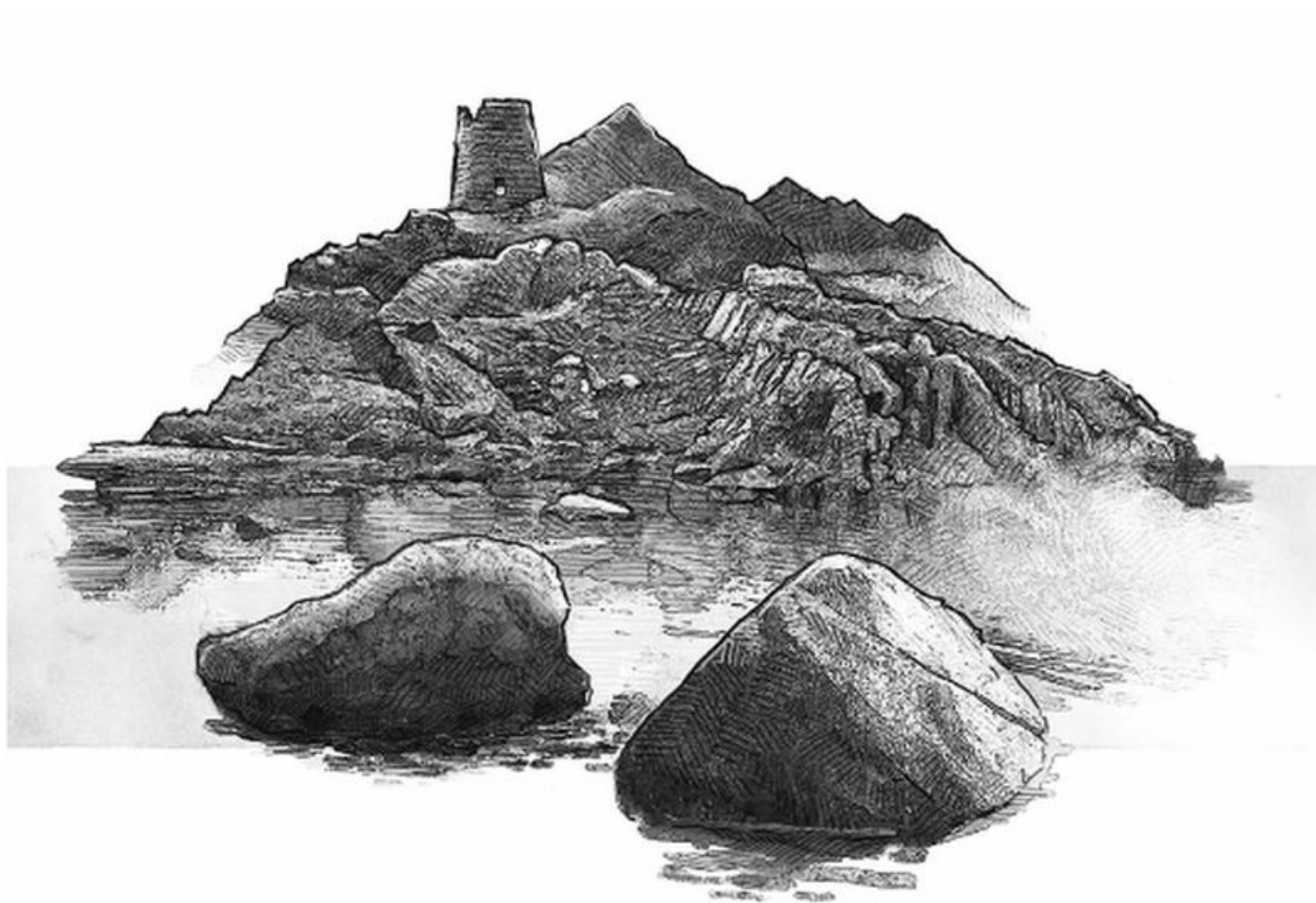
Luby odwróciła się i puściła biegiem, w dalszym ciągu kierując się wprost na masyw Badlandów.

Musiała to sobie wybaczyć. Nic nie mogła zrobić. Walka z tymi trzema mijała się z celem. Na pewno by ją zabili, niczego by tą drogą nie osiągnęła. Mogła za to uratować owslanki, a później wraz z nimi przyjść

rodakom z odsieczą i pokonać zwyciężających Badlandczyków. Podjęła dobrą decyzję.

Sto kroków dalej monstrualny gad jednym machnięciem grubego ogona zmiażdżył dwunastu Calnian. Muszę, muszę biec dalej, powtarzała sobie. Jeśli mogę pomóc, to tylko w ten sposób.

Opuściła pole bitwy, omijając mrożące krew w żyłach potyczki i zamykając oczy na wszelkie okropieństwa. Niestrudzenie mknęła ku monumentalnej czerwono-żółtej skale.



Rozdział 9

SPOTKANIE, OPOWIEŚĆ I ŚMIERĆ

Z powrotem w osłoniętym skalnym grzebieniu obozie, gdzie trzymano owslanki przez całą bitwę, Sofi Tornado i pozostałe Calnianki słuchały uważnie opowieści Wulfa o tym, jak Badlandczycy zrównali z ziemią ich armię. Sofi aż tutaj słyszała niosące się z pola bitwy ryki i wrzaski. Choć nie widziała na własne oczy, wiedziała, co musiało się wydarzyć na polu bitwy, a mimo to relacja Wulfa sprawiła, że wszystkie włosy stawały jej dęba.

Wulf przemawiał spokojnie, ale wszystkie okropieństwa, na które się napatrzył, z pewnością poruszyły go do żywego. Jego zwykle brązowawa skóra miała szarawy odcień, rubaszny błysk w oku zgasł, nawet jego

kręcone złote włosy wydawały się matowe i blade. Mimo to powiedział im wszystko, co było do powiedzenia, w sposób zwięzły i treściwy. Nie wiedział, jaki los spotkał cesarzową, wiedział za to, że cała armia została zabita lub pojmana w taki sam sposób jak oni – za pomocą usypiających strzałek. Niektórzy Calnianie zdezerterowali i próbowali uciekać, ale w pogoń za nimi puścili się wojownicy na kotach i łosiach. Nie miał pojęcia, czy komuś udało się przeżyć.

Owslanki słuchały Wulfa pogrążone w smętnej ciszy, a z południa napływał do obozu słodkawy zapach stosów pogrzebowych.



Tej nocy Sofi nie mogła zasnąć. Leżała w namiocie, starając się doszukać jakiegoś sensu lub może wyciągnąć wnioski z tego, co powiedział im Wulf.

Na zewnątrz nocne stworzenia żerowały wśród skał, nieświadome doniosłych wydarzeń, które rozgrywały się pod ich nosem. Sto kroków dalej zastukały na miękkiej skale kopyta wielkoroga, zapewne z Pustym Dzieckiem na grzbiecie. Kim byli ci przedziwni mali ludzie? – zastanawiała się. Zdawało jej się, że zawsze strzeże ich ta sama grupa, której członkowie nigdy nie śpią i nie cierpią na odciski od tej ciągłej jazdy wierzchem na kościstych wielkorogach.

Powoli nabierała pewności, że słyszy coś jeszcze. Była całkowicie przekonana, że to człowiek skradający się z niezwykłą wprawą. Wtapiał się w odgłosy nocy – wykorzystywał dźwięk wiatru i nocnych zwierząt, by maskować i tak prawie niesłyszalny odgłos kroków.

Jedyną osobą potrafiącą tak się poruszać była Luby Zefir, ale Sofi zostawiła ją ciężko ranną pod opieką Caliski Kojot niemal miesiąc temu i tysiąc mil stąd. To nie mogła być ona.

Może to jeden z owslan Bobroczłeka? Mężczyzna zażywający podobnej kombinacji alchemicznych substancji, który rozwinął takie same umiejętności jak Luby? Jeśli tak, to raczej nie skradał się tutaj po nocy dla jaj lub żeby obdarzyć je prezentem niespodzianką.

Do namiotu przedarło się światło księżyca, gdy od zewnątrz ktoś rozsunął płachtę na grubość palca. Potem pojawił się cień pochylonego u wejścia człowieka. Sofi stężała, gotowa do przywitania

niezapowiedzianego gościa.

– Sofi? – rozległ się szept.

Tornado nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Cześć, Luby.

Owslanka wślizgnęła się do środka cicho jak cień. Sofi usiadła, uśmiechając się szczerze pierwszy raz od wieków. Była zadowolona, że wykryła Luby swoim wyczulonym słuchem i że Luby wciąż była na tyle biegła w swojej sztuce, że nie usłyszał jej nikt poza dowódczynią. Ale przede wszystkim cieszyła się na widok starej przyjaciółki. Pomimo wszystkiego, co się stało, poczuła, jak w jej sercu kwitnie radość.

Kobiety uściskały się serdecznie, osunęły na posłanie i długo jeszcze nie rozplatały objęć.

Gdy wreszcie Luby zaczęła swoją opowieść, Sofi przyłożyła jej palec do ust i wyszeptała, że najpierw powinny oddalić się od reszty śpiących owslanek i Wotan.

Zakradły się na tyły obozu i usiadły w cieniu skały.

Trzymając Sofi za rękę, Luby opowiedziała, jak musiała zabić Caliskę Kojot, jak Chippaminka rzuciła czar na cesarzową, by ta poprowadziła calnijską armię na pewną śmierć; powiedziała jej o bitwie i o potworach, o tym, jak zabiła Chippaminę i ukryła Ayannę, która żyła, ale nie była całkiem zdrowa ani bezpieczna. Poinformowała, że Badlandczycy nie ograniczyli się do wymordowania calnijskiej armii, ale też uwięzili kucharzy, rzemieślników i każdego Calnianina, który przekroczył Matkę Wodę.

Gdy przyszła jej kolej, Sofi opowiedziała Luby o tym, jak grzyboludy zabiły Sadsa nad Kamienną Rzeką i Talisę na Matce Wodzie, jak to się stało, że wędrowali przez Morze Traw z ludźmi, których kazano im zamordować, i jak grzyboludy przemianowały się na Wotan, oraz wyjawiała powód, dla którego owslanki nie mogły włączyć się do bitwy.

– Co masz zamiar zrobić? – spytała w końcu Luby, kiwnąwszy głową na pajęcze pudełko Sofi.

Dowódczyni spojrzała w niebo.

– Paloma przeżyła ukąszenie, więc możliwe, że my również byśmy przeżyły, ale nawet jeśli tak, będziemy niezdadne do walki przez długi czas. A Wotanie zostaną zabici.

– To znaczy, że chcesz ich ocalić?
– Tak. A na pewno Ottara Niemowę i... – Sofi westchnęła. – I resztę także.

– Wierzysz, że ten chłopiec ocali świat?

– Wierzę, że Yoki Choppa w to wierzy. Tyle mi wystarczy.

– Ale dlaczego chcesz uratować pozostałych?

– Bo są... ciekawi. Stali się naszymi sojusznikami. Wręcz przyjaciółmi.

– A więc co robimy?

– Uciekamy.

– Ale jak dotąd...

– Niewiele udało nam się przedsięwziąć, prawda?

– No cóż, tak.

Sofi pokręciła głową.

– Te pajęczne pułapki są nietypowe, ale efektywne. Opracowujemy już plan, ale potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś wmieszała się w ich niższe kasty i dowiedziała się o Badlandczykach, ile tylko się da. I o wielkich saniach Bobrocześnieka, o Biegaczu Równin. Chcę też, żebyś znalazła drogę, którą moglibyśmy wyjechać z Badlandów Biegaczem Równin w kierunku zachodnim, ku Czarnym Górcom. I jeszcze jedno: zdobądź mięso jaszczurki o nazwie sauromalus. Suszone, świeże, żywe, nieważne.

– Jasne. Gdzie znajdę tę jaszczurkę?

To był jeden z powodów, dla których Sofi lubiła Luby. Bo nie zapytała: „A po cholere ci jaszczurka?”

– Powinnaś znaleźć ją u ich czarnoksiężników.

– To niełatwe zadanie.

– Co to dla ciebie.

– A nie mogłabym znaleźć jej w dziczy?

– Mogłabyś. Zamieszkują okolice Lśniących Gór.

– Rozumiem. No cóż, jeśli w ten sposób pomogę was uwolnić...

Sofi westchnęła pod nosem.

– Celem mojego planu nie jest uwolnienie wszystkich. Jeśli dobrze pójdzie, a wątpię, żeby poszło, strzelam, że najwyżej połowa z nas ucieknie.

– A reszta?

- Umrze.
- To chyba nie jest najlepszy z twoich planów.
- Lepszego nie mamy, a coś zrobić musimy. W przeciwnym razie zaczną zabijać nas na arenie. To łut szczęścia, że jeszcze wszyscy żyją.
- Chujowo – skomentowała Luby.
- Nawet bardzo – potwierdziła Sofi.
- Jest jeszcze jedna rzecz, której nie rozważyliśmy. – Luby przekrzywiła głowę.
- Mówisz o przyłączeniu się do Badlandczyków?
- Tak.
- Zaproponowano nam to. Nam, nie Wotanom.
- Zainteresowana?
- Nie chcę, żeby zginęły kolejne owslanki. Oczywiście, że jestem zainteresowana. Ale nie, nie zrobimy tego.
- Lepiej przeżyć dzień jak lwica niż całe życie jako zdradliwa, tchórzliwa cipa?
- Tak bym to ujęła.



Luby Zefir wróciła następnego wieczoru z kawałkiem suszonego mięsa sauomalusa. Zdobyła też informacje o tym, co dzieje się poza obozem, o Biegaczu Równin i drodze do Czarnych Gór. Dowiedziała się także tego i owego o najnowszej historii Badlandów.

Sofi zaniósła mięso Yokiemu Choppie, by przygotował je dla Sitsi, a potem usiadła w cieniu skały i uważnie wysłuchiwała Luby.

Gdy niebo na wschodzie zaczęło sinieć, nocne zwierzęta pochowały się, a w ich miejsce zaczęły budzić sięienne, Sofi przerwała Luby i powiedziała, że powinna już iść.

- Ostatnia rzecz, zanim pójdę. Na pewno chcesz wiedzieć, co stało się z Pakandą, zgadłam?

Czarnoksiężnik Pakanda stworzył owslanki. To on opracował alchemiczne formuły, na których pracował kontynuator jego największego dzieła, Yoki Choppa. Czarnoksiężnik został wygnany z Calnii za to, że sprzedawał poufne informacje Jutrzence w zamian za usługi natury seksualnej. A przynajmniej taka była oficjalna wersja, bo

Sofi doskonale wiedziała, że narzucał się również dziewczętom młodszym, gorzej sytuowanym, bardziej bezbronny i mniej chętnym niż Jutrzenka. Poza tym wiedziała dobrze, że Pakanda był okrutnikiem. To, jak traktował Sofi i pozostałe dziewczyny w trakcie procesu przemiany w owslanki, wołało o pomstę do Innowaka. Gdy tylko jego stanowisko przejął Yoki Choppa, bicie i poniżanie dobiegło końca, a ich przemiana w superwojowniczkę uległa przyspieszeniu. Pakanda bił je, gwałcił i znęcał się nad nimi na wiele innych sposobów nie dlatego, że było to konieczne, jak utrzymywał, lecz dlatego, że po prostu to lubił.

Sofi nienawidziła więc Pakandy za to, że był sadystycznym pedofilem, ale jej nienawiść miała kilka warstw. Nienawidziła go głęboko, wręcz na poziomie egzystencjalnym. Odkąd przestały jeść mięso grzechotnika, uświadomiła sobie wiele rzeczy, a najważniejszą było to, że ona i jej kobiety były po prostu potworami. Albo przynajmniej zachowywały się jak potwory, znajdując przyjemność w zabijaniu niewinnych ludzi.

Sofi kochała to, kim jest. Pławiła się we własnej potędze. Ale jednocześnie, hołubiąc talenty swoje i swoich kobiet, nienawidziła swojej obojętności i bezwzględności. Nienawidziła Pakandy za to, że odebrał im umiejętność przejęcia się czynami, których się dopuszczały.

– Dobrze, powiedz mi, co się z nim stało – powiedziała. – Ale szybko.

– Pakanda, jak się okazało, był Badlandczykiem. Po wydaleniu go z Calnii Bobrocłek przywitał go z otwartymi ramionami i użył swoich umiejętności, żeby...

– Powiedziałam: szybko. Do rzeczy, proszę.

– Pakanda dalej rozglądał się za młodymi dziewczynami. Pierwszą, którą...

Zawył kojot. Lada moment Thyri Drzewonoga, jak co rano, wyjdzie pierwsza z namiotu, by potrenować.

– Zachowaj szczegóły na później. Czy on wciąż żyje? Jeśli nie, co się stało?

– Bobrocłek dowiedział się o dziewczynkach. Pakanda błagał go o litość, argumentował, że jest mu potrzebny, że ma jeszcze wiele alchemicznych sekretów, którymi może się podzielić. Ale Bobrocłek był niewzruszony, zabijał go długo i wymyślnie, koncentrując się głównie na masakrowaniu jego prywatnych części ciała. Zebrał wszystkich

Badlandczyków w charakterze widowni. Przestrzegł, że taki właśnie los czeka każdego, kto dopuści się podobnych czynów na dzieciach. Męka ciągnęła się całymi dniami. Gdy czarnoksiężnik wreszcie zdechł, wódz ugotował go i zjadł. Zwykle tu tego nie robią, to zakazane, ale Bobroczyłk zrobił dla Pakandy wyjątek.

Sofi kiwnęła głową.

– Lepiej już idź.

– Już mnie nie ma. Czekaj, jeszcze jedna sprawa. Większość Badlandczyków nie zgadza się z wyrokiem Bobroczyłka. Snują wyobrażenia o tym, jakich jeszcze cudów mógłby dokonać, gdyby wódz zachował go przy życiu. Uważają, że tak długo, jak Pakanda tworzyłby potwory i alchemicznych wojowników walczących pod badlandzkim sztandarem, Bobroczyłk powinien był pozwolić mu robić z dziewczynami, co tylko chce. Jeden powiedział mi, że przecież każdy lubi fikołki, więc wcale ich nie krzywdził. Znaleźli się wówczas tacy, którzy rzucili wyzwanie Bobroczyłkowi, a on wtedy spuścił im manto.

– Rozumiem. Dzięki. Popracuj dzisiaj nad tą drogą ucieczki. I nie daj się złapać.

– Złapać? Nie rozśmieszaj mnie... – Luby Zefir rozpląnęła się w cieniu.

– Thyri! – zawołała Sofi kilka chwil później, gdy Drzewonoga wyszła z namiotu.

Wotanka podeszła spacerowym krokiem, z wystudiowanym wyrazem obojętności na twarzy.

– Tak?

– Co powiesz na mały sparing, zanim obudzi się reszta?

Thyri stłumiła cisnący się na wargi uśmiech.

– Jasne. Jeśli chcesz.



Finnbogi zwany Zbukiem kontynuował trening z Thyri Drzewonogą. Uczyniłoby go to szczęśliwym jak szczypiorek na wiosnę, gdyby nie wiszące nad obozem ciężkie chmury niedawnej hekatombi.

Calnianie zabili im przyjaciół i rodziny, więc może Wotanie powinni się cieszyć, że Badlandczycy ich rozgromili. Ale tak nie było, bo teraz łączyły ich więzy przyjaźni z calnijskimi owslankami. Ich wisielczy

humor udzielił się również Wotanom. Pomimo że jeszcze niedawno owslanki również chciały pozabijać Wotan, a nie zrobiły tego tylko dlatego, że postanowiły zlekceważyć rozkaz swojej cesarzowej...

No cóż, to było trochę skomplikowane.

Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, wyjaśniła mu Gunnhilda.

– Ale co, jeśli ten drugi wróg był już twoim wrogiem, zanim jeszcze poznałeś tego pierwszego wroga? To czyniłoby tego pierwszego przyjacielem, a więc ten drugi wróg pozostałby wrogiem. A więc sytuacja przedstawia się następująco: wróg mojego wroga jest moim wrogiem – powiedział i odszedł, bardzo z siebie zadowolony.

Przez chmury przedzierał się jednak czasem promień słońca. Wprawdzie nie wydarzyło się nic konkretnego, co potwierdzałoby teorię Finnbogiego, a jednak był przekonany, że masakra zbliżyła do siebie owslanki i Wotan. Smętna atmosfera zrodziła większe poczucie solidarności pomiędzy dwiema grupami. Może dlatego, że obie poniosły podobne straty.

Ponieważ widok przysłaniały im wielki skalny grzebień otaczający obóz od tyłu oraz pofałdowana topografia, nie wiedzieli, co się dzieje w Badlandach. Nie mogli liczyć na to, że jakiś tubylec przyniesie im wieści, ponieważ nie odwiedzał ich nikt poza Pustymi Dziećmi. Ciekawiło go więc, skąd Sofi wiedziała te wszystkie rzeczy, którymi podzieliła się z nimi przy ognisku wieczorem następnego dnia po bitwie. Wiadomo było, że i tak mu nie powie, więc nie pytał. Calnianki może i były teraz ich przyjaciółmi (no może z wyjątkiem odpornej Jutrzenki), ale to była dziwna, podejrzliwa przyjaźń.

Sofi powiedziała, że w czasie gdy owslanki i Wotanie jedli, spali, trenowali i rozmawiali o pozbyciu się pajęczych pudełek, Badlandczycy spalili martwych Calnian, a niedobitków porozwieszali na skałach, które spijały ich krew na potrzeby kolejnego potwornego eksperymentu. Mogli się tylko domyślać, co to za eksperyment.

Kolejnego wieczoru Sofi oznajmiła im, że cesarzowa Ayanna i jej synek Calniar przeżyli hekatombę, ale trafili do niewoli Bobrocześka. Finnbogi miał to gdzieś.

Trzeciego dnia po bitwie wciąż nie widzieli żadnych Badlandczyków poza Pustymi Dziećmi. Finnbogi uznał, że wszyscy są zajęci.

Masakrowanie tysięcy ludzi to w końcu ciężka praca. Spędził poranek na treningu z Thyri, a nieopodal Sitsi szlifowała łucznicze umiejętności Sassy. I ku swojemu zdziwieniu zauważył, że Sofi pokazuje Gunnhildzie, jak efektywniej używać Skrælingotrzepa.

Po południu Thyri przerwała sparing i oświadczyła, że teraz czeka ją zaawansowany trening pod okiem samej Sofi.

– A mogę się przyłączyć? – spytał z nadzieją.

– Nie – padła odpowiedź.

Włóczył się więc bez celu po obozie. Wmawiał sobie, że wcale się nie dąsa. Zaczął spacerować wzdłuż linii wyznaczającej granicę obozu.

Gdy wrócił mu humor, usłyszał jakieś szamotanie po drugiej stronie skalistego występu. Zapuścił żurawia za skałę i zobaczył jasnoniebieskiego ptaka wyciągającego spod cienkiej warstwy gleby oporną zdobycz.

Ptak zauważył go. Nagle, jakby otworzyły się w jego głowie jakieś drzwi, Finn wiedział, że ptak zaraz odleci, porzucając niedoszły posiłek.

Nie bój się – próbował mu powiedzieć.

Zwierzę przekrzywiło na niego głowę, nieco uspokojone, ale wciąż gotowe ratować się ucieczką.

Nie bójmy się ani ty, ani ja – powtórzył w myślach. Nie ma się czego bać.

Podziałało. Ptak wrócił do posiłku, widocznie uspokojony. Finnbogi próbował jeszcze raz sięgnąć do niego umysłem, ale nie znalazł w nim nic więcej.

Spędził resztę dnia na próbach komunikowania się z różnymi zwierzętami, które przemykały lub przelatowały w okolicy obozu, ale zabrakło mu szczęścia i zaczynał skłaniać się ku myśli, że tylko wyobraził sobie rozmowę z niebieskim ptakiem.



Chapa Wangwa zjawił się w obozie po czterech dniach. Przyprowadził ze sobą grupkę wojowników i Puste Dzieci. Uśmiechał się, ale był to wymęczony uśmiech, pozbawiony zwykłej pewności siebie.

– Jutrzenka i Kif Berserk – powiedział – za mną!

– No wreszcie! – Kif dał susa naprzód, obcinając Duporąbem głowy

wymyślonych wrogów. Dawno nie był taki uradowany.

– Szczęścia życzę – rzucił Wulf.

– Nie będzie mi potrzebne – zaświergotał Kif.

Sofi położyła Jutrzence rękę na ramieniu. Kobiety skinęły głowami.

I zanim ktokolwiek zdołał coś zrobić, zanim nawet Gunnhilda zdążyła powiedzieć coś doniosłego – ruszyli w drogę.

Jutrzenka szła na przedzie, dumna i niedostępna jak lwica, która minęła obóz parę dni temu. Finnbogi słyszał od Sassy, która rozmawiała o tym z Palomą, że piękna owslanka jest ni mniej, ni więcej, tylko rodzoną córką byłego cesarza Calnii. Dlatego jest taka zdystansowana, w końcu zrozumiał Finn. Sassa uważała, że wysokie urodzenie to kiepskie wytłumaczenie dla bycia pindą. Finnbogi zgadzał się w całej rozciągłości. Paloma powiedziała, że Jutrzenka z czasem przekona się do Wotan i że to porządna dziewczyna, ale zważywszy na to, jak się krzywiła, rozmawiając z nim przy tych kilku nielicznych okazjach, Finnbogi wcale nie był przekonany.

Dopisało mu szczęście w starciu z grzechokondami, ale uznał, że Kif i Jutrzenka poradzą sobie z nimi w lepszym stylu. Przy założeniu, ma się rozumieć, że również będą walczyć z wielkimi węzami. Cokolwiek przeciw nim wystawią, mieli szczęście, że nie było z nimi Frejdis.

Nie powiedział nikomu o wyborze, jaki postawił przed nim na arenie Bobrocłek. Praktycznie poświęcił się dla Frejdis, a trudno o coś bardziej heroicznego. Chciał się tym pochwalić, ale wiedział, że jeśli to robi, wyjdzie na zupełnego cyca.

Najbardziej na świecie chciał, by dowiedziała się o tym Thyri. Większość czasu, gdy nie spał, spędzał z nią na ćwiczeniach. Ledwie się powstrzymywał, ale wiedział, że nie wolno mu się chełpić. Z wszystkich Wotan jej najmniej zaimponuje wyśpiewywanie peanów na własną cześć. Pewnie dlatego, że tylko to słyszała z ust Chnoba Białego, jej debilnego braciszka, oraz Rangvalda Mądrego, jej skretyniałego tatuśka. Stać mnie na więcej, powtarzał sobie Finnbogi.

Ależ to było frustrujące. Po cholere dokonywać bohaterskich czynów, skoro nikt się o nich nie dowie?

Może gdy Chapa Wangwa wróci z Kifem i Jutrzenką, skłoni jakoś Badlandczyka, by o nich opowiedział? Choć Chapa Wangwa pewnie też

nie wiedział o jego poświęceniu, był za daleko, żeby usłyszeć, jaką propozycję złożył mu Bobroczek, a poza tym wódz nie był typem faceta, który plotkowałby o takich rzeczach z podkomendnymi. Z drugiej strony Finnogi nie wiedział tak naprawdę, jakim typem człowieka jest Bobroczek. Był mordercą, śpiewakiem, urodzonym filozofem, nie mniej wprawnym katem, a do tego czarusem, stwórcyem potworów i ludobójcą. Chyba nie ma „typu”, który by to objął.



– Przestań się wygłupiać i słuchaj – rozkazała Jutrzenka przyciszonym głosem. Nie lubiła łamać swojej reguły nieodzywania się do grzyboludów, ale tym razem nie miała wyboru. No, właściwie to miała. Mogłaby pozwolić temu facetowi umrzeć i sama pokonać to, co wylezie na arenę. Ale... no cóż, ta jego broń robiła wrażenie, a on wymachiwał nią, jakby była przedłużeniem jego ramienia. Kto wie, może się przydać.

– Jasne. Co tam?

– Jak już znajdziemy się na arenie, rób, co ci każę. Jasne?

– Dobra.

Obrzuciła go wzrokiem. Był nieco wyższy od niej, miał nieproporcjonalnie małą głowę porośniętą cienkimi, puchatymi włoskami, jak u świeżo wyklutego kurczaczka. Wciąż nosił bandaż na oku i uchu. W spojrzeniu jego jedyne oko wyczytała szczerłość.

– Zrobię dokładnie to, co każesz – dodał. – Jedno z nas powinno dowodzić. A dokładniej: ty. Jesteś młodsza ode mnie, ale masz więcej doświadczenia i zdobyłaś je wśród doskonałych wojowników. – Zakręcił młynka toporem. – Takich jak ja.

– Dobrze to słyszeć – odparła, nie wiedząc, czy czasem nie stroi sobie z niej żartów. – Może będziemy walczyć z wielkimi węzami, może z czymś zupełnie innym, o czym nawet nie słyszeliśmy. Ale na pewno będzie to coś bardzo niebezpiecznego.

– Bardziej niebezpiecznego niż mój topór?

– Tak.

– Nie. Moż. Li. We.

– Jak uważasz. A teraz słuchaj dobrze...

– Czeka, zamieńmy się miejscami, żebyś mogła mówić do mojego

zdrowego ucha.

Przeskoczył na jej drugą stronę.

Jutrzenka poczuła coś dziwnego. Czy to poczucie winy? Przypomniała sobie, jakie męstwo okazał Wotanin, gdy Talisa obcinała mu ucho. Niech szlag trafi Yokiego Choppe, który pozbawił je mięsa grzechotnika!

– Nie atakuj. Dźgaj toporem z daleka, pilnuj gardy, rób, co tylko się da, żeby utrzymać wroga na długość swojej broni. A ja zabiję go, albo ich, przy pierwszej okazji. Powtarzam: masz nie atakować, chyba że będziesz absolutnie pewien, że uda ci się zabić. Rozumiesz?

– Tak jest.

– Co się głupio śmiejesz?

– Długość mojej broni. Jest dłuższa niż broń przeciętnego mężczyzny, ale nie aż tak, żeby...

– Weź się zamknij. I dorośnij. Wiesz, o co mi chodzi. Po prostu nie spiesz się. Mogę zabić wszystko jednym ciosem mojej maczugi. Więc jeśli będziemy walczyć z czymś... Na Innowaka!

Zatrzymała się, bo gdy minęła załomek żlebu, otworzył się przed nią widok na nagie czerwono-zielone skały, gdzie niegdyś wisiały za ręce dziesiątki Badlandczyków, a teraz wisiały, krwawiły i umierały setki Calnian. Jej ludzi.

Dotknęła pajęczego pudełka. Nic nie mogła zrobić.

– Więc kluczem jest cierpliwość – podjęła. – Trzymaj się z tyłu i pozwól mi zabijać.

– Kumam!

Czy aby na pewno? Wcale nie była przekonana. Czy on z niej kpił? Grzyboludy miały dziwne poczucie humoru. Nie rozumiała go i nie chciała rozumieć. Ich wódz pokazywał im skały w kształcie penisów, na litość Innowaka. Calnianie wyrastali z takich gówniarskich żartów, kiedy uczyli się robić do nocnika.



Sofi Tornado uświadomiła sobie, że martwi się o Jutrzenkę. To nowe uczucie nie przypadło jej do gustu.

Wnioskując ze zdawkowych rozmów, niedokończonych posiłków i zatroskanych spojrzeń, pozostałe Calnianki czuły to samo, a snujący się

po obozie Wotanie w nie mniejszym stopniu martwili się o Kifa Berserka.

– Zbierzcie się wszyscy! – krzyknęła Sofi.

Ludzie zgromadzili się wokół niej.

– Usiądźcie. – Wskazała pnie dookoła głównego ogniska. – Opowiem wam coś.

Sitsi i Chogolisa nie zdziwiłyby się bardziej, gdyby Sofi wyciągnęła zza ucha wiewiórkę i odgryzła jej głowę. Paloma była tak samo zaskoczona, tylko lepiej to ukrywała.

Sofi poczekała, aż zapadnie cisza, co było równoznaczne z uciszeniem Bodili przez Wulfa, a potem zaczęła:

– Daleko na północy leży słabo zaludniona kraina wielkich jezior i wysp. Gówniane miejsce do zamieszkania. Przez całą zimę jest tam tak zimno, że plwocina spada na ziemię jako bryłka lodu. Latem teren robi się bagnisty, a wszędzie roi się od wielkich, gryzących owadów, które tak kęsają niedźwiedzie, że te robią się wyjątkowo wredne, atakują i zabijają wszystko, co się rusza, łącznie z ludźmi. Ale pomimo tego wszystkiego wyrosło tam miasto niewiele mniejsze od Calnii. Władzę dziedziczyli po sobie mężczyźni potomkowie...

– Poczekał – przerwała jej Sitsi. – Jesteś pewna, że to nie mit? Ja nigdy...

– Może i mit. Sama tak myślałam, ale ostatnie wydarzenia skłoniły mnie do rewizji tego poglądu... Mogę dalej?

Sitsi pokiwała głową, zarumieniona.

– Władzę dziedziczyli po sobie mężczyźni potomkowie. Wszyscy urzędnicy byli mężczyznami, było to więc miasto rządzone przez mężczyzn. Nikt nie wie, jak i dlaczego, a przynajmniej nie wiedział tego mój informator, ale miasto z czasem padło ofiarą seksualnej obsesji. Odpowiedzią na każde pytanie, sposobem na świętowanie każdego sukcesu i na odzyskanie spokoju w obliczu przeciwności losu było pieprzenie.

– Hmm... – mruknął Gruby Wulf i skinął na Frejdis i Ottara.

– Jedynym tabu było to, że syn nie mógł... – spojrzała na dzieci – nie mógł utrzymywać stosunków płciowych z własną matką, dopóki nie skończył czternastu lat. Poza tym wszystko było dozwolone. Babcie z wnukami, siostry z siostrami, wielkie okręgi mężczyzn połączonych ze

sobą...

– W tańcu? – podsunął Wulf.

Sofi kiwnęła głową.

– Coś w tym stylu. I w ten sposób owo miasto żyło sobie szczęśliwie przez kilkaset lat. Wówczas niewielka albo potężna grupa obcych pod wodzą kilku czarnoksiężników założyła kult wstrzemięźliwego boga. Utrzymywali, że kobiety niczym się nie różnią od mężczyzn. Chcieli to udowodnić, obcinając piersi i penisy i goląc ludziom głowy, ale potem już przesadzili, jak to czasem robią fanatycy, i za pomocą alchemii wysterylizowali całe miasto, żeby mieszkańcy przestali... tańczyć.

– Ja nie rozumiem – powiedziała Frejdis.

– A więc miasto wymarło? – spytała Gunnhilda.

– Wymarli dorośli, ale nie dzieci. Bezpłodni i skazani na zagładę, ale kierowani rozpaczliwą chęcią przetrwania, napoili swoje dzieci alchemicznymi miksturami, a one rozwinęły się w przeróżnych kierunkach. Niektóre wytworzyły dziwną więź ze zwierzętami, których mięso było składnikiem wypitej przez nie mikstury, ale starzejący się dorośli osiągnęli swój główny cel: gdy ostatnie pokolenie dzieci przeszło dojrzewanie, przestało się rozwijać. Dzieci przestały rosnąć. I wypadły im włosy.

– Puste Dzieci! – wrzasnęła Bodila, śmiejąc się i klaszcząc jak wiewiórka, która przypadkiem natknęła się na schowany minionej jesieni orzech.

– W rzeczy samej – potwierdziła Sofi. – Te dzieci musiały patrzeć na śmierć swoich współplemieńców, ale same jakoś dawały sobie radę, podczas gdy miasto chyliło się ku upadkowi. Okazało się, że średnia długość ich życia znacznie się zwiększyła. Niektórzy twierdzą nawet, że zyskały nieśmiertelność. Bobrocłek poprowadził ekspedycję na północ i przemierzył całą tę spierdoloną przez bogów krainę, a potem sprowadził je do Badlandów.

– Żeby je niecnie wykorzystać! – dodała Gunnhilda.

– Albo uratować – powiedziała Sassa.

– Właśnie – potwierdziła Sofi.



Ostatnie cztery dni były dla Tansy Burny nieprzyjemne. Jako jeździec nie uczestniczyła w zaganianiu jeńców do miasta ani paleniu trupów, ale swąd śmierci przesycił powietrze, a umierający Calnianie wisieli na każdym wolnym kawałku ściany. Wisieli nawet na skałach otaczających baraki jeźdźców sztyletozębów. Jakąś biedną kobietę przybili nad samymi drzwiami do kwatery Tansy. Nieszczęśniczka jęczała całe noce, podczas gdy uchodząca z niej krew wnikała w ściany. Tansy kusilo, by skrócić jej cierpienia lub nawet pomóc w ucieczce, ale karą za to była śmierć – zbyt wysoka cena za przespaną noc.

W dzień wolny od ćwiczeń Tansy postanowiła odpocząć od widoku wisielców i obejrzeć walkę na arenie. Odgadła, że jęczący więźniowie nie tylko jej dali się we znaki, bo bezowocne zwykle próby zgromadzenia widowni tym razem okazały się nadzwyczaj udane. Nawet obłądny Rappa Hoga zgodził się przyjść.

Spodziewała się, że obecność przyjaciół poprawi jej nastrój, tymczasem ich nieustanne paplanie doprowadzało ją do szału. Czy oni nie mogą się po prostu zamknąć i oglądać widowiska? Jeden Rappa Hoga trzymał język za zębami. Nic dziwnego, ranga dowódcy zobowiązuje, tylko kapitan potrafił się zachować.

Badlandczycy mieli do dyspozycji mrowie wojowników, więc walki trwały od bladego świtu i Tansy zdążyła już obejrzeć kilka znakomitych pojedynków. Trzej Calnianie uzbrojeni w maczugi sprawili się całkiem nieźle w walce z niedźwiedziami rozwścieczonymi alchemicznymi oparami. Byli na tyle mili, że umarli bardzo malowniczą śmiercią. Jeden z nich w ostatnim akcie desperackiej obrony tłukł jedno zwierzę po pysku odgryzioną ręką towarzysza, podczas gdy drugie odgryzało mu stopę, a trzecie wżerało się w jego wnętrzności.

Ogarnął ją smutek, gdy pomyślała o wszystkich zabitych tego dnia wojownikach. Nieczęsto się tak czuła, ale spodziewała się tego po nagłym przypływie litości, którego doświadczyła na polu bitwy. Nie przejmowała się tym za bardzo. Właściwie nawet polubiła tę emocję. Nadawała nowy smak całej zabawie na arenie.

Kolejne starcie zapowiadało się jeszcze ciekawiej, bo wystąpić w nim miało dwoje jeńców, których tak jakby znała. Przyprawieni tu przez nią żołnierze wreszcie się przymknęli, gdy Chapa Wangwa wszedł na

arenę i zapowiedział calnijską owslankę Jutrzenkę oraz Wotanina Kifa Berserka.

Gdyby bogowie chcieli stworzyć doskonałą pod względem fizycznym kobietę, wyglądałaby jak Jutrzenka, rzuciło się na myśl Tansy. Gra cieni na mięśniach jej brzucha zapierała dech w piersi, nagie ramiona i nogi były obrazem witalności. Gdy Jutrzenka wwiercała się wzrokiem w Bobrocłeka i pojmaną calnijską cesarzową Ayannę, ostry zarys jej zadartej żuchwy wydarł z ust Tansy westchnienie zachwytu.

Kif Berserk był tak brzydki, jak Jutrzenka była piękna – czyli bardzo. Ale jego broń przedstawiała wspaniały widok. Niby topór, ale o strasznie długim trzonku i z podwójnym półkolistym ostrzem ze szpicem. Tansy zastanawiała się, z czego ta broń jest zrobiona. Może to po prostu żelazo, tyle że wypolerowane na błysk? Cokolwiek to było, należało się spodziewać, że Bobrocłek zaraz każe swoim zbrojmistrzom ją skopiować. O ile już nie kazał, co źle wróżyło Kifowi.

Wypuszczono już pierwsze zwierzęta – parę grzechokond. Tłum zafalował, podniósł się okrzyk przestachu i zachwytu. Większość widzów nie bywała na arenie regularnie tak jak Tansy, nic więc dziwnego, że tak się emocjonowali, ale ona nie takie rzeczy już widziała. Spojrzała w lewo i prawo, unosząc brwi, by pokazać wszystkim, że to dla niej nic specjalnego.

Węże pełzły w kierunku ofiar, wydając dźwięk wleczonych po piasku zwłok. Grzechokondy były szczególnie rozrośnięte, ich masa wyraźnie je spowalniała, lecz zapewne czyniła też szczególnie silnymi.

Wotanin utrzymywał je na dystans swoim toporem, a Calnianka umykała poza zasięg ich ciosów. Trwało to jakiś czas. Wojownicy ze sztyletożębnej kawalerii zaczęli się nudzić i rozmawiać. Jeden z węży zwrócił się ku nim i syknął, jakby chciał ich uciszyć. Wówczas Jutrzenka dostrzegła lukę w wężowej gardzie i dała susa naprzód, zwinęła się w pół skoku i potężnym ciosem swojej przysadzistej podwójnej maczugi rozwalila wężowi łeb. Gdy pierwszy potwór dokonywał żywota, bryzgając krwią na piasek, drugi rzucił się na Wotanina. Ten uskoczył przed atakiem, ale nie przewidział, że wąż zmieni kierunek w pół ciosu. Tansy przez moment była pewna, że topornik słono zapłaci za ten błąd, lecz on błyskawicznie trafił go na odlew głównią. Łeb drugiej

grzechokondy pofrunął w powietrze i upadł na ziemię.

To zamknęło jeźdźcom usta. Niektórzy zaczęli przez grzeczność klaskać.

Następnie wyprowadzono na arenę wielkiego białego niedźwiedzia.

Zwierzę poczłapało w stronę swoich przeciwników i wspięło się na tylne łapy. Olbrzym był dwa razy większy od nich. Ryknął w niebo, błyskając długimi kłami i prezentując pazury rozpostartych łap. Mógłby nimi przerąbać bizona na pół jednym ciosem, oceniła Tansy.

Jutrzenka krzyknęła na Kifa, Tansy nie zrozumiała słów. Berserk rzucił jej swój topór, a ona z rozmachu wraziła niedźwiedziowi szpic w krtań.

Zwierzę zważyło się na ziemię, zatrzęsło niemrawo łapami i zdechło.

Kilka osób podniosło wiwat, ale większość zaczęła buczeć.

Tansy podążyła wzrokiem do Bobrocześka. Na jego twarzy malował się typowy dla niego zblazowany wyraz. Obok siedziała Ayanna, po królewsku wyniosła i sztywno wyprostowana, ze swoim małym synkiem na kolanach. Oto kolejna twarz, którą chyba sami bogowie dłutem rzeźbili. Człowiek widzący jedynie owslanki i cesarzową mógłby nabrać przekonania, że wszystkie Calnianki to skończone piękności, pomyślała Tansy, która napatrzyła się na ich wojowniczeki i wiedziała, że większość z nich to zwykłe paszczury.

Bobrocześek machnął dwoma palcami, na co Kełcz Ynczigam wystrzelił ze swojego miejsca kilka rzędów dalej i pofrunął na środek areny, wymachując nad głową włócznią.

O rety, westchnęła Tansy pod nosem. To trochę rozpaczliwa próba ratowania przedstawienia. Najwidoczniej biały niedźwiedź miał zająć dwoje wojowników na dłużej. Narazili wodza na śmieszność, kończąc walkę, nim przygotowana została kolejna.

Przekornik zbliżył się do Jutrzenki i Kifa, wyginając się w spazmatycznym pląsie, naprzemiennie machając i pchając włócznią. Owslanka zwróciła Wotaninowi topór, a ten podskoczył do czarnoksiężnika i zaczął kopiować jego przesadzone ruchy.

– Ostrożnie, Kif – warknęła Jutrzenka.

Dwaj mężczyźni hasali wokoło, wykonując cudaczne, spowolnione ciosy, które wcale nie miały za zadanie trafić celu. Wielu widzów straciło

zainteresowanie tym, co dzieje się na arenie, od trybun jeźdźców znów dał się słyszeć gwar rozmów, ale Tansy uznała ten dziwaczny taniec za całkiem urokliwy.

Jutrzenka stała i chwilę patrzyła na tych dwóch wariatów, niczym matka zastanawiająca się, ki demon podkusił ją, by postarać się o dzieci, po czym zwróciła głowę ku Bobroczałekowi i Ayannie.

Kełcz, który zdążył tymczasem znaleźć się za jej plecami, niespodziewanie odskoczył od Kifa i wbił włócznię w dolną część pleców owslanki. Był niesamowicie silny, jak na takiego chudzielca. Grot zanurzył się w ciele wojowniczkii i wylazł z jej idealnego brzucha.

Tłum zachłysnął się powietrzem. Kto gadał, ten się zamknął i gapił na Jutrzenkę wybałuszonymi oczami.

Kif zawył i wraził topór w głowę Kełcza Ynczigama. A niech to, ależ ostre cholerstwo, syknęła pod nosem Tansy, gdy na ziemię upadła połowa czaszki czarnoksiężnika, a zaraz potem on sam.

Jutrzenka obróciła się, przebita włócznią na wylot. Spojrzała na martwego czarnoksiężnika, a potem na Kifa. Skinęła głową. Czy nic jej nie jest? – gorączkowała się Tansy, uprzytomniła sobie, że bardzo nie chce, by coś Jutrzence było, choć nie do końca rozumiała dlaczego. Bobroczałek przeżył rany o wiele dotkliwsze od tej. Nie tak łatwo zabić alchemicznego wojownika.

Wotanin rzucił broń i podbiegł do Calnianki, ale ta powstrzymała go ruchem dłoni. Otworzyła usta jak do krzyku, lecz zamiast tego zwymiotowała krwią. Zakrztusiła się, pokręciła głową, jakby nie dowierzając, jakie to wszystko głupie, i upadła.



Niedługo po tym, jak Yoki Choppa zaczął gotować obiad, Kif wrócił do obozu. Sam, jeśli nie liczyć podążającego za nim Pustego Dziecka. Finnbogi podbiegł wraz z resztą na powitanie.

Berserk włókł się, niosąc przy boku Duporąba, zamiast jak zwykle sprężyście kroczyć. Nie podniósł wzroku, gdy Wotanie zebrali się wokół niego. Finnbogi nigdy nie widział go w takim stanie. Zauważył na jego toporze ślady krwi.

– Jutrzenka nie żyje – powiedział Kif.

Chogolisa zdusiła szloch i odeszła.

– Co się stało? – spytała Sofi Tornado z kamienną twarzą.



Rozdział IO

PRÓBA UCIECZKI

Eryk Złośnik zbudził się ze snu o wielkich wężach odpędzonych wywrzaskiwaniem przekleństw i przypomniał sobie, że poprzedniego dnia zginęła Jutrzenka.

Żałował, że to nie sen. Pomimo niewoli i ciągłej obawy o siebie i najbliższych zdążył polubić życie w obozie, treningi z hirdem, do których wrócił po wielu latach przerwy, dziwne, lecz wyśmienite jedzenie przygotowywane przez Yokiego Choppe i rozmowy z ciekawymi ludźmi. Głównie z Chogolisą Zadrzyziemią. Poza stałym zakresem tematów, czyli obmyślaniami sposobu na pozbycie się pajęczych pudełek i dociekaniem, czego chcą od nich Badlandczycy, po prostu opowiadali o sobie, o życiu, jakie wiedli, i o myślach, jakie snuły

się w ich głowach. Doszedł do wniosku, że Chogolisa prowadziła tysiącokrotnie ciekawsze życie od niego. Potężna owslanka odbyła co najmniej kilka niesamowitych misji, o których potrafiła ciekawie opowiadać, a mimo to z zainteresowaniem słuchała, gdy Eryk głądził o pszczołach, niedźwiedziach i Lakchanach, zadawała wnikliwe pytania i od czasu do czasu punktowała jego wypowiedź szczerym: „Niemożliwe!”, „Żartujesz!” lub „Czy on się z chujem na łby pozamieniał?”. Może to głupie, ale Eryk pomyślał, że tak dobrze dogaduje się z Chogolisą, bo oboje zawsze byli więksi niż wszyscy wokół.

Śmierć Jutrzenki mocno wszystkimi wstrząsnęła. Szczęście w nieszczęściu, jeśli można to tak nazwać, że Badlandczycy byli zbyt zajęci planowaniem i realizacją eksterminacji pojmanych Calnian, by skupiać się na owslankach i Wotanach. Ale nie ulegało wątpliwości, że jeśli ci zanadto się u Badlandczyków rozgoszczą, wszyscy zginą na arenie albo zostaną zabici przez kaprys Bobrocześka.

Z tego względu uciekną dzisiaj. Albo przynajmniej spróbują.

Eryka wzięło na mdłości.

Zapewne połowa z nich zginie. Żadna wielka ucieczka w harowiańskich i lakchańskich sagach nie kończyła się inaczej – połowa uciekinierów umierała od ran, litościwie dobijana przez rodzinę i przyjaciół. Choć usiłował się przed tym powstrzymać, co chwila rozglądał się wokół, zastanawiając się, kto z nich przeżyje ucieczkę. I rozważając, choć się przed tym wzbraniał, kogo sam chciałby zobaczyć wśród żywych.

Chogolisę? Na pewno. Finnbogiego? Ma się rozumieć. Bodilę? No cóż... Zamknij się! – nakazał sobie.

Mieszkańcy obozu robili to, co zwykle rano. Porozumiewali się uniesieniem brwi i kiwnięciami głów, by nie zwracać na siebie uwagi Pustych Dzieci. Jedną z początkowych wersji planu ucieczki opracowanego przez Sofi zakładała ich zabicie, ale Eryk się na to nie zgodził. Żadnego zabijania dzieci, ani pełnych, ani pustych.

Gdy dokończył śniadanie, Sofi usiadła obok niego i powiedziała wyraźnie, choć bardzo cicho:

– Twoje pająki śpią. Wulfa, Sassy, Kifa, Finnbogiego, Thyri, Yokiego,

Sitsi i Chogolisy też. Pająki Ottara i Frejdis są senne i zaraz zasną.

– A twoje?

– Rozbudzone jak para jaszczurek na rozgrzanym głazie.

Eryk chciał ją pocieszyć, okazać współczucie, ale zatrzymała rękę, którą chciał położyć jej na ramieniu.

– Znaliśmy ryzyko – skwitowała.

Eryk kiwnął głową. Umrzesz, kiedy umrzesz, powiedział w myślach.

Czekał i patrzył. Pozostali robili to samo, siedząc na balach wokół ogniska, ściskając w rękach małe, wąskie, oszlifowane drewniane talerze, które dla nich zrobił. Jedli z nich przez kilka ostatnich dni. Dopiero co zjedzony posiłek pokrył je ostatnią warstwą tłuszczu, ułatwiającą wsunięcie talerzy za pudełka, tak by oddzielały pająki od szyi.

Eryk i Sofi rozpuścili plotki, jakoby Yoki Choppa potrafił dowiedzieć się, które pająki śpią. Sofi chciała utrzymać w tajemnicy swój magiczny słuch, by – jak odgadł Eryk – wciąż cieszyć się reputacją niepokonanej wojowniczkii, która jest w stanie przewidzieć przyszłość, a nie tylko usłyszeć, jak spinają się poślądki atakującego przeciwnika.

Zdaniem Eryka i tak nie miało to znaczenia, bo akurat jej beeby były obudzone, co uniemożliwiało jej ucieczkę. Kto wie, może Sofi, tak jak Paloma, również jest odporna na jad pajaków? Ale nawet jeśli przeżyje ukąszenie, będzie jakiś czas uziemiona, co na jedno wychodzi. Ustalili, że jeśli beeby kogoś ukąszą, czy to owslankę, czy Wotanina, pozostali go dobiją, by uchronić go przed morderczym działaniem trucizny lub torturami Badlandczyków.

Ponieważ pająki Sofi i Gunnhildy ani myślały kłaść się spać, Tornado wzięła talerz Ottara, a Pobożna – Frejdis, żeby w odpowiednim momencie wsunąć je dzieciom pod obroże. Gdyby pająki Eryka były rozbudzone, przyjąłby na siebie ich rolę.

Eryk usiłował nie myśleć o Bjarnim Kurzej Twarzy, który leżał w swoim namiocie. Chłopak trzymał się życia jak kleszcz bizoniej dupy. Przez większość czasu był nieprzytomny, a kiedy nie był, i tak ledwie mówił. Yoki Choppa powiedział, że Bjarni praktycznie już nie żyje, ale po prostu nie zaakceptował jeszcze tego stanu rzeczy. Wiedzieli, że w jego przypadku ucieczka nie wchodzi w grę, więc plan zakładał zakończenie

jego męki. Była to ta część, której Gruby Wulf szczególnie nienawidził, ale po przedstawieniu alternatywnych propozycji, które nie miały szans powodzenia, zgodził się, że nie mają wyjścia, i oznajmił, że to on zabije Bjarniego.

Przysłuchawszy się beebom w chwilach zaskoczenia i poruszenia, Sofi uznała, że mają mniej więcej jedno uderzenie serca na oddzielenie się od nich drewnianą płytką, zanim zwierzęta zrozumieją, że ktoś majstruje przy ich pudełkach. Ci, których pająki nie spały, również spróbują skorzystać z talerzy, lecz było jasne, że mają najmniejsze szanse na ujście z życiem, nawet superszybka Paloma Widłoróg.

Sofi uniosła rękę.



Sassa Gryziwarga zacisnęła palce na kawałku drewna. Gdy ręka Sofi opadnie, wszyscy wsuną przygotowane przez Eryka dyski między własne szyje a obroże.

Miała poczucie winy, że cieszy się z tego, że jej pająki zasnęły, co zwiększało jej szanse na przeżycie tego wariactwa. Już zdążyła pokochać małego człowieka, który rósł w jej ciele, bardziej, niż kochała swojego męża i własne życie.

Wpiła się wzrokiem w rękę Sofi, czekając, aż pomknie w dół. Poprawiła uchwyt na drewnianym talerzu. Musiała to zrobić dobrze, musiało jej się udać...

– Przepraszam was – powiedziała Sofi, nie opuszczając ręki. – Przepadło. Spróbujemy innym razem.

Sassa patrzyła we wszystkie strony, chcąc zobaczyć, co popchnęło Sofi do zmiany decyzji, ale musiało minąć parę chwil, nim na drodze pojawił się Chapa Wangwa z oddziałem badlandzkich wojowników i Pustymi Dziećmi na wielkorogach. Skąd Sofi Tornado wiedziała, że przyjdą?



– Dzieńdoberek wszystkim! – zawołał Chapa Wangwa.

Paloma szpiła go wzrokiem spomiędzy półprzymkniętych powiek. Jej pająki nie spały. Czy ten popierdoleniec właśnie ocalił jej życie? Mimo to

nie miała ochoty słuchać, co ma do powiedzenia.

– Dzisiaj wielki dzień! – Badlandczyk uśmiechał się jak lis w kurniku. – Wczoraj zginęła jedna! Dziś umrze o wiele więcej! O wiele, wiele więcej!

Owslanie i Wotanie popatrzyli po sobie. No to jedziemy, pomyślała Paloma, przed chwilą o mało nie zabił mnie pajak, a teraz zeżre mnie wielki wąż.

– No co? Nikt nie ma ochoty na żarty? Babciu, żadna mądra sentencja nie ciśnie ci się na usta? – Chapa Wangwa skierował jadowity wzrok na Gunnhildę. Ta odwróciła głowę. – Wielka szkoda! Zupełnie jakby śmierć zaledwie jednego spośród was wprawiła was w wisielczy nastrój. Nieważne, na pewno piaski areny poprawią wam humor. Nie żeby dobre samopoczucie w czymś wam pomogło... Ale dość gadania, do roboty! Gruby Wulf i Chogolisa Zadrzyziemia, bierzcie Bjarniego Kurzą Twarz.

– On nie może walczyć – powiedział Wulf tonem skacowanego człowieka, któremu ktoś wydał o jedno polecenie za dużo.

– Nie będzie walczył. Zasiądzie na trybunach obok Bobrocześka. Szef lubi czuć kontakt ze śmiercią, a Bjarni dzisiaj umrze.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Jego pajaki powiedziały o tym Pustym Dzieciom, Dzieci powiedziały Bobrocześkowi, a on mnie. Dobry jestem w zaspokajaniu waszej ciekawości, co? Będę tęsknił za opiekowaniem się wami. Ale jeśli wydaje wam się, że jesteście kimś specjalnym, mylicie się. Nie jesteście! Moich następnych więźniów na pewno polubię tak samo. No, dalejże! Wulf i Chogolisa, łapcie za nosze. Sofi, Paloma, Eryk, Kif, Thyri i Ottar także pójdą ze mną. Nie zapomnijcie broni. Będzie wam potrzebna!

– Pominąłeś mnie – powiedziała Sitsi.

– Bo taki miałem zamiar – uśmiechnął się Chapa Wangwa.

– Możesz zamienić się ze mną – zaoferowała Paloma.

– Nie, nie może – powiedział czarnoksiężnik. – Sitsi zostanie tutaj. Ale nie martw się, moja mała Pustułko, twój czas nadejdzie niebawem. No i pomyśl, jak świetnie będziesz się bawić, czekając na powrót towarzyszy. Któż wie ilu wróci! Czy to nie ekscytujące? Ale masz fajnie, prawie ci zazdroszczę.

Sitsi wydawała się poruszona tym, że nie włączono jej do grupy, którą ewidentnie przeznaczono do walki.

– To wcale nie umniejsza cię jako wojowniczkę, Sitsi – uspokajała ją Paloma.

– No pewnie, ja też zostaję – włączył się Finnbogi. – A przecież pokonałem dwie grzechokondy.

– Ja bym powiedział, że jednak umniejsza – zauważył Chapa Wangwa.
– Biorę tylko najlepszych wojowników. A ty nie pokonałeś dwóch grzechokond, Finnbogi Zbuku, one uciekły z powrotem do jam, bo jesteś nudny jak flaki z olejem. Jutrzenka i Kif zabili wczoraj dwie. A potem Jutrzenka dała się zabić przekornikowi! Jakże to upokarzające.

Sitsi poczerwieniała na twarzy, a ręka Finnbogiego powędrowała do topora.

– Och, ależ proszę! Zaatakujcie mnie wreszcie! – Wangwa wysunął zuchwę na Finnbogiego. – No co, nie chcesz? Tak myślałem. Nie zaatakowałbyś mnie nawet i bez pajaków. Jesteś wdzięczny losowi, że masz je na szyi, bo to alibi dla twojego tchórzostwa. Dlatego nie zostałeś włączony do tej grupy. Dzisiaj walczą wojownicy. A ty, Sitsi, strzelasz z łuku. Łuk to nie broń, to narzędzie kobiet do zdobywania jedzenia, a ty nie jesteś wojowniczką, tylko właśnie kobietą. Chodźcie, idziemy.

Paloma bała się, że głowa Sitsi wybuchnie.

Chogolisa i Wulf wynieśli Bjarniego z namiotu. Miecz położyli mu pod ręką. Wybrani przez Chapę Wangwę pożegnali się z pozostałymi. Wulf uściskał Sassę, po której policzku spłynęła jedna łza.

A potem poszli. Szopy Hugin i Munin próbowały iść za nimi, ale Ottar je odpędził. Paloma odkryła, że pożegnanie Ottara z szopami poruszyło ją bardziej niż pożegnanie Wulfa z Sassą.



Luby Zefir przycupnęła na najwyższej skalnej iglicy, okryta płaszczem koloru spękanej skały. Obserwowała swoje przyjaciółki oraz ich nowych kompanów, gdy opuszczali obóz. To opóźni realizację jej planu. Całą noc nie spała, bo bała się o to, jak skończy się próba ucieczki. A teraz będzie się bała o to, co spotka je na arenie i czy w ogóle nadarzy się jeszcze okazja, by ten plan zrealizować.

Niebo na południu było fioletowoczarne, nasycone burzą, chyba jeszcze potężniejszą od poprzedniej. W cieniu burzowego nieba łatwiej

by było uciec. To znaczy jeśli wojownicy przeżyją arenę.



Rozdział II

BITWA NA ARENIE

Trybuny pękały w szwach. Paloma Widłoróg uznała, że obywatele Badlandów są irytująco podobni do Calnian, którzy zbierali się na placu Słońca, by patrzeć na owslanki mordujące jeńców. Może nie wyglądali tak olśniewająco – nie widziała zbyt wielu ozdób z kolców jeżozwierz ani wymyślnych fryzur czy kolorowych szat – ale ubrani byli o wiele lepiej niż na co dzień. Za to mordy mieli takie same, wykrzywione w standardowym grymasie żadnego krwi półgłówka. Przyszli tu, by zobaczyć rzeź, chcieli ujrzeć krew i flaki, pragnęli w gronie rodzinnym chłonać oczami rozrzucone po arenie trupy.

Bobroczyłek spoglądał na arenę ciełym wzrokiem, usadowiony

bezpiecznie na miejscu honorowym przy samej scenie. Obok niego siedziała Łabędzia Cesarzowa Ayanna, trzymając w rękach zawiniątko, które mogło być tylko jej synkiem. Ona też miała na szyi pajęczą obrozę. Cesarzowa nie patrzyła na owslanki tak, jak spogląda się na kogoś, kogo się zna i darzy przyjaźnią. Po prostu gapiła się na nie i wyglądała, jakby ledwie hamowała wściekłość. Paloma знаła to uczucie.

Chapa Wangwa poprowadził ich na skraj areny.

– Chogoliso, posadź Bjarniego obok wodza i byłej cesarzowej. Reszta, stańcie tam. Ruszcie się, a pogryzą was pająki i umrzecie. Zresztą dla wielu z was byłoby lepiej, gdybyście dali się pokąsać, ale mimo to proszę o wstrzemięźliwość w ruchach. Przysięgam, że jedna, może dwie osoby mają realną szansę na przeżycie dzisiejszego dnia.

Badlandczycy gwizdali i drwili. Tyle dobrego, że nie pluli. Calnianie też przechodzili etap plucia na ofiary owslanek. Sofi Tornado oduczyła ich tego, wyciągając na arenę najbardziej zajadłego opluwacza, ściągając mu portki i piorąc go po obnażonych pośladkach tak mocno, że jeden pękł. Potem nikt już nie pluł.

Ależ była heca... Paloma nie myślała, że kiedyś tak zatęskni za Calnią.



Sitsi Pustułka chodziła wzdłuż granicy wyznaczonego dla jeńców terenu, wodząc wzrokiem po wyżynnym krajobrazie, w którym zniknęły jej przyjaciółki. Widziała ich ślady, niknące w żlebie sto kroków dalej. Widziała badające je mrówki. Ale nic nie mogła zrobić.

Wydeła usta, zaciskając i rozluźniając uchwyt na łuku. Narzędzie dla kobiet do zdobywania jedzenia! Już ona mu pokaże. Z mili wpakuje mu strzałę między oczy.

Odkąd zaczęła regularnie jeść sauromalusa, miała wrażenie, jakby ktoś wymył jej błoto spod powiek. Widziała teraz, jak bardzo różniły się tutejsze owady od tych, które znała, jak zróżnicowane było upierzenie tutejszych ptaków, jak samo powietrze miało inny odcień od tego, którym oddychała w Calnii. Czowała się gotowa, by zawojować świat. Gdyby tylko nie utknęła w cholernych Badlandach z pajęczym pudełkiem na szyi...

Wyszarpnęła strzałę z kołczana, jedno z tych Sassy cudeniek

o żelaznych grotach. Tak, pomyślała, ta pięknie by wyglądała między oczami Chapy Wangwy. Nie wojowniczką, tylko kobietą... Szlag mnie trafi!

Okręciła strzałę w palcach i popatrzyła na Puste Dzieci. Odwzajemniły jej spojrzenie. Te beznamiętne i czujne oczy obserwowały ich bez ustanku. Zauważyła teraz, że dzieci nie były zupełnie łyse, ich jajowate czaszki porastały cienkie białe włoski. Oczy też miały białe, pozbawione źrenic. Więc jakim cudem widziały?

Gdy dyskutowali nad planem ucieczki, Eryk upierał się, by nikt nie zabijał Pustych Dzieci. Zgodziła się z nim. Nawet jeśli one miałyby ich zabić, gdy tylko wyjdą poza teren obozu, nie chciała tak okrutnie traktować już i tak skrzywdzonych przez los dzieci.

Gdy ogarnęła ją fala smutku, Sitsi zamrugła i na moment się rozkojarzyła. Przestała myśleć o okręcanej w palcach strzale, a ta wysmyknęła jej się z ręki i wylądowała na trawie dwa kroki za wyrysowaną na ziemi linią. Piętnaście czerwono-brązowych mrówek i trzy pomarańczowo-czarne żuki gnojowe podbiegły do niej, a potem pierzchły, przekonawszy się, że to nie padłe zwierzę, kawałek łąna ani nic jadalnego.

Przeskoczyła wzrokiem od strzały do Dzieci. Czuła, jak przebierają drobnymi palcami w jej umyśle. Nie, nie, nie – szeptały. Sięgnij po strzałę, a pająki zaczną kąsać.



– Czekaście tutaj i ani drgnijcie – powiedział Chapa Wangwa. – Ty – dodał i wskazał Ottara Niemowę – za mną.

Badlandczyk pomaszerował na drugą stronę areny z potykającym się za nim chłopcem. Sofi Tornado, Gruby Wulf, Chogolisa Zadrzyziemia, Paloma Widłoróg, Eryk Złośnik, Thyri Drzewonoga i Kif Berserk mogli tylko odprowadzić Ottara wzrokiem.

W gardle Eryka wezbrał krzyk. Cierpliwości, uspokajał się w myślach, cierpliwości. Tylko czy ma dość czasu, żeby pozwolić sobie na cierpliwość? Co, jeśli Wangwa wyjmie nóż i zabije Ottara na ich oczach, a oni będą gapić się na umierającego chłopca jak stado jeleni na pożeranego przez wilki jelenka?

– Dobra! – zawołał Badlandczyk, zostawiając Ottara na środku areny, a sam siadając na trybunach. Chłopiec wodził otępiałym wzrokiem po tłumie widzów. – Stój tam, a my...

Spomiędzy dwóch wykutych w skale ław wybiegł sztyletozębny kot. Był trzy, może nawet cztery razy większy od największego lwa, jakiego Eryk widział w życiu. Niewiele mniejszy od niedźwiedzicy Astrid.

Bestia ryknęła, powęszyła w powietrzu i skierowała ślepią na Ottara, jakby to jego właśnie szukała. Eryk próbował dostać się do umysłu kota, ale dostępu broniła nieprzebyta ściana dezorientacji i furii.

– Owslanie i Wotanie, gdy kot ruszy na chłopca, nie wolno wam kiwnąć palcem. A stanie się to lada...

Zwierzę puściło się biegiem w kierunku małego.

Wszyscy skoczyli naprzód, chociaż w porównaniu z prędkostopą Palomą ledwie zdążyli ruszyć się z miejsca.

Kot złożył się do skoku. Ottar pisnął i wtulił głowę w ramiona.

Zwierz wybił się potężnie i rzucił naprzód z uniesionymi przednimi łapami i rozwartą paszczą.

Paloma dała susa.

Nie zdąży, myślał gorączkowo Eryk. Zwierzę wylądowało twardo, wzbijając chmurę kurzu. Paloma wyłoniła się z niej z Ottarem w rękach, zahamowała z poślizgiem i pomknęła z powrotem do grupy. Kot ruszył za nią.

Sofi Tornado wyskoczyła naprzód i już brała zamach mieczem Finnbogiego. Skupione na rozpędzonej Palomie zwierzę nie zauważyło dowódczyni, która uniosła ostrze i obracając je na płasko w ostatniej chwili, przywaliła mu prosto w łeb.

Sztyletozab zatrzymał się oszołomiony. Calnianki i Wotanie zryli nogami piach i otoczyli go kordonem. Bestia machnęła łapą bez przekonania, ale Thyri odbiła ją płazem saksa.

– Chogoliso, bierz go – rozkazała Sofi.

Thyri krzyczała i machała ramionami, chcąc odwrócić uwagę zwierzęcia. Wielka kobieta runęła na jego grzbiet całym ciężarem ciała, nogi ugięły się pod nim i zwierzę upadło, przyszpilone do ziemi przez Chogolisę.

Paloma oddała Ottara Erykowi, który mocno przytulił wystraszonego

chłopca. Wzmocnił uścisk, gdy pojął, że Ottar drży.

– Chcesz swojego kota z powrotem? – zawołała Sofi do Chapy Wangwy.

Badlandczyk skinął głową.

– Więc niech twoje wyłysiałe susły je uspokoją i odeślą do jamy.

– Puste Dzieci, niech kot wróci do leża.

Sofi łypnęła z ukosa na Eryka. Sięgnął do umysłu zwierzęcia. Cios Sofi odebrał mu ochotę do walki i oszołomiony kot chciał już tylko zwinąć się w kłębek.

Eryk kiwnął głową.

– Zejdź z niego, Chogoliso. Tylko ostrożnie – zarządziła dowódczyni.

– Świetnie, świetnie! – Bobroczył szedł w ich kierunku sprężystym krokiem, jak zwykle promieniejąc żywotnością. – Uwielbiam patrzeć na pracę zespołową. Bardziej lubię chyba tylko poświęcenie. To będzie temat waszego kolejnego starcia. Wasz Finnbogi całkiem nieźle się sprawił w ostatnim takim wyzwaniu.

– A co? Poświęcił swoją godność, zanudzając dwa węże na śmierć? – spytał Kif.

Bobroczył utkwił spojrzenie w Berserku. Twarz wodza jak zwykle była maską melancholii, lecz jego spojrzenie skrzyło czymś na kształt uznania.

– Czyżby wam nie powiedział?

– Niby o czym?

– To dobrze o nim świadczy. Może ma więcej ikry, niż się wszystkim wydaje. Otóż kazałem mu wybrać między bardzo prawdopodobną śmiercią jego i Frejdis Złośliwej a pewną śmiercią jego samego. Wybrał to drugie.

– Chyba nie taką pewną, skoro przeżył? – W głosie Kifa pobrzmiwało rozczarowanie.

– Chłopak pokonał dwie grzechokondy. Nieuzbrojony. Był pierwszym, który tego dokonał.

– Czyli poświęcił się dla Frejdis? – spytała Thyri.

– Taki miał zamiar. A potem uciekł się do podstępów, żeby wygrać w pozornie przesądzonej walce. Odniósł większe zwycięstwo, niż gdyby uciął grzechokondom głowy toporem.

– Jasne, już ci wierzę. – Kif wzruszył ramionami.

Ale Thyri pokręciła głową z uśmiechem.

– No proszę. Myślisz, że kogoś znasz...

Eryk nie mógł się doczekać, aż opowie synowi o reakcji Drzewonogiej. Zakładając, że przeżyje, by mu opowiedzieć.

– Zastanawiam się, czy ktoś z was przebije Finnbogiego. No cóż, przekonamy się. Powodzenia.

Wódz okręcił się na pięcie i pobiegł zająć miejsce przy cesarzowej Ayannie i Bjarnim. Kobieta wyglądała na zrezygnowaną i dogłębnie nieszczęśliwą. Mężczyzna wyglądał jak trup.

– Następne wyzwanie: poświęcenie! – ogłosił Chapa Wangwa, wyskakując na arenę i zacierając ręce. – Uch, aż drzę z podniecenia!



– Co robisz? – spytała Bodila Gęsiodzioba.

– Właściwie nie jestem pewna – odparła Sitsi Pustułka. – Chyba czekam na powrót pozostałych. Wiem, że to bez różnicy, gdzie stoję, a jednak...

– To twoja strzała?

– Tak, ale... Nie!

Bodila przekroczyła linię, podniosła strzałę, wróciła i oddała ją Sitsi.

– Masz.

Sitsi wybałuszyła oczy na Bodilę. Potem na linię. A potem na Puste Dzieci. Wydawały się obojętne, jak zwykle.

– Jak to... a twoje pająki? – powiedziała, przyjmując strzałę.

– Jakie pająki? – Bodila rozejrzała się przestraszona.

– Bodilo, jak pragnę zdrowia, pająki w pudełku na twojej szyi.

– Nie cierpię pajaków. Gdzie ty widzisz pająki?

– Masz dwa w pudełku na szyi, Bodilo.

– A to nie są mrówki?

– Pająki!

– Głowę bym dała, że mrówki.

– Pająki, mrówki, nieważne. Grunt, że powinny były cię ugryźć, a nie ugryzły. Nie wiesz, dlaczego...

– Moją mamę raz ugryzł pająk. Noga jej spuchła.

– Nie wiesz, dlaczego twoje pająki...

– Było groźnie, ale w końcu opuchlizna zeszła i...

Sitsi z pasją ucapiła za ramiona wyższą od siebie Wotankę.

– Bodilo, błagam, zamknij się i posłuchaj.

– Aj!

– Przepraszam, nie chciałam, ale posłuchaj mnie, proszę, bo to ważne.

Czy wiesz, dlaczego pająki w twoim pudełku nie ugryzły cię, gdy przekroczyłaś linię?

– Nie chcę, żeby mnie pogryzły.

Sitsi westchnęła.

– Ale i tak by im się nie udało – dodała Bodila.

– Czemu nie?

– No bo chyba drewna by nie przegryzły?

– No nie, nie przegryzłyby, ale...

– Przynajmniej taką mam nadzieję. Strasznie mnie wkurzały, jak się tam kotłowały w tym pudełku, więc włożyłam za obrozę jeden z tych małych talerzyków Eryka. Patrz, pokażę ci.

Bodila sięgnęła do obroży, a Sitsi dopiero wówczas zauważyła, że rzeczywiście ma przy szyi drewniany dysk.

– Nie! Nie. Zostaw go tam, gdzie jest. Proszę cię, najlepiej w ogóle go nie dotykaj.

– Ale teraz wkurza mnie talerz. – Złapała za naczynie.

Sitsi przytrzymała ją za nadgarstek. Wbiła paznokcie w jej ścięgna, by w ten sposób rozewrzeć palce.

– Aua! No weź!

– Bodilo, jeśli usuniesz talerz, umrzesz. Czy rozumiesz?

– Puszczaj!

Łuczniczka złapała ją za drugi nadgarstek i wcisnęła kciuki w ścięgna. Nie chciała tego robić, ale nie miała innego wyjścia. Bodila zamrugowała, gdy łyzy zamigotały w jej oczach, ale chyba wreszcie do niej dotarło.

– Jeśli dotkniesz talerza, złamię ci nadgarstki, a to będzie bolało. Rozumiemy się czy nie?

Bodila pokiwała głową, wpatrując się w nią wystraszonym wzrokiem.

– Jeśli przyjdzie ci do głowy, żeby zrobić to, kiedy nie będę patrzeć, ja i tak się dowiem i, jak Innowaka kocham, połamię ci ręce. A teraz skup

się i powiedz mi, kiedy włożyłaś talerz za obrożę?

– Zeszłej nocy.

– Ale przecież umówiliśmy się, że rano zrobimy to wszyscy na znak Sofi.

– No, zastanawiałam się, o co wam chodziło, ale nie chciałam robić zamieszania. Wszyscy wydawali się tacy podekscytowani, a zwykle gdy ja próbuję się włączyć w takie rzeczy, to mi nie wychodzi i wszyscy się złością. Kiedyś w Harówce Vifil Samotnik ukradł Garthowi Kowadłogębemu portki...

– Cicho! Kucnij i nie ruszaj się.

Bodila wykonała polecenie. Sitsi przyłożyła ucho do pudełka Wotanki. Słyszała, jak w środku kotłują się oszalałe pająki, drapiąc odnóżami w talerz Eryka.

A więc, wydedukowała Sitsi, pająki chciały ukąsić Bodilę, gdy ta przekroczyła linię, a teraz złością się, bo nie mogą. Ale czemu Puste Dzieci nie reagują? Wyglądało na to, że wydały pająkom polecenie, by pogryzły Bodilę, ale nie wiedziały lub nie obchodziło ich, czy beeby to zrobią, czy nie.

Owslanki i Wotanie założyli, że Puste Dzieci dowiedzą się o włożeniu talerzy za obroże i oddzieleniu pajaków od ciała, po czym zawiadomią Bobrocześka lub doprowadzą do pokąsania tych, którzy tego nie zrobili, albo ukarzą ich w inny sposób. Jak się okazało, to założenie było błędne. Jeśli domysły Sitsi były słuszne, to nie musieli nawet wsuwać talerzy w tym samym czasie. Wystarczyło, że wsuną je wtedy, gdy poszczególne pająki będą spały. Oddzielenie wszystkich zajęłoby góra jeden dzień, bo beeby przesypiały co najmniej kilka godzin na dobę. Później wystarczy zaczekać na właściwy moment i po prostu opuścić Badlandy.

– Obiecuj mi, że nie dotkniesz talerza, dobrze? – Sitsi pogroziła palcem na tyle, jak miała nadzieję, złowróźnie, by Bodila nie chciała się buntować.

Dziewczyna pokiwała głową z przestachem w oczach, a owslanka pobiegła do Yokiego Choppy, by go poprosić, żeby użył swoich czarów i powiedział jej, które pająki śpią.

Nie mogła się już doczekać, aż powie reszcie. Zakładając, że wróca.



Wielka stopa, bestia, którą Sofi widziała na pokładzie Wędrowca Równin, wtoczyła się na arenę, kołysząc masywnymi ramionami w rytm człaplanych kroków. Szła jak człowiek, miała ręce i nogi na kształt ludzkich, ale całe jej ciało porastało czerwoczarne włosie i była niemal dwukrotnie wyższa od Złośnika.

Do człowieka upodobniało ją również pajęczne pudełko na szyi.

– Panie i panowie, oto wielka stopa! – zaprezentował kolejnego przeciwnika Chapa Wangwa. – To wam się spodoba. Już trzeci raz zaprosiliśmy naszego kudłacza na arenę. W tak krótkim czasie zdołał wyrwać piętnaście nóg i dwadzieścia trzy ręce! Wiem, bo liczyłem! On po prostu nie lubi, jak ludzie mają wszystkie kończyny. Ale nigdy też nie spotkał na swojej drodze nikogo tak wielkiego jak Chogolisa. Z drugiej strony zawsze walczy przynajmniej z siedmioma chłopą naraz, w dodatku z samymi uzbrojonymi, więc któż może wiedzieć co się teraz wydarzy! Eryku, odłóż maczugę i przejdź wraz ze swoją przyjaciółką Chogolisą na przeciwny koniec areny. Stańcie obok wielkiej stopy. Na mój znak rozpocznie się walka.

Eryk odrzucił maczugę i poszedł z Zadrzyziemią we wskazane miejsce.

– Thyri Drzewonoga i Kif Berserk – podjął Wangwa. – Czy widzicie tego mężczyznę o tam, na trybunach, z bizonimi rogami na głowie?

– Tak – potwierdziła Thyri.

– Wygląda jak głupek – prychnął Kif.

Oko i ucho Wotanina zagoiło się na tyle, by mógł już zdjąć bandaż. Pusty oczodół i miejsce po uciętym uchu zakrył skórzanym hełmem, który zdawał się jeszcze pomniejszać jego tycią główkę. Wyglądał, myślała Sofi, jakby jakiś czarnoksiężnik przeszczepił dorosłemu mężczyźnie głowę niemowlaka.

– Wy dwoje weźmiecie Ottara i staniecie przed bizonią czapką. Zachowajcie broń. Bo jak nie zachowacie, będziecie żałować! Reszta, stańcie tam. Jak się ruszycie, zginiecie. Jasne? Jasne.

Sofi Tornado, Paloma Widłoróg i Gruby Wulf wyszli na środek areny i spojrzeli po sobie.

Gdy Ottar, Thyri i Kif podeszli do rogatego Badlandczyka, monstrialny wąż wypełził zwinnie z jamy na obrzeżu areny, wysuwając język i wodząc po nich wzrokiem. Sofi drgnęła. Gdy była dzieckiem, widziała

węże podobne do tego, ale ten nieco się od nich różnił – był o wiele za szybki, jak na tak ogromne zwierzę, dziwaczny, niczym dorosły bizon skaczący po drzewach jak wiewiórka.

Wąż wyślizgnął się z dziury i sunął teraz po skalistym podłożu. Uniósł odrażający segmentowy ogon i zagrzecotał. Sofi znowu nie zdołała opanować drżenia. Szeleszczący dźwięk podniósł jej włoski na przedramionach. Bestia zbliżała się do trojga Wotan.

Z innej dziury wychynął kolejny wąż, a potem jeszcze dwa.

Cztery grzechokondy na troje Wotan, w tym jednego małego, który gotów jest prędzej uściskać węża, niż z nim walczyć.

Kif i Thyri obrócili się przodem do węży, unosząc saks i topór.

Sofi wyteżyła słuch, chcąc usłyszeć pająki swoje, Palomy i Wulfa. Jej beeby spały. Wulfa też. Palomy nie. Puste Dzieci nie spuszczały ich z oczu.

– Zbliżcie się – mruknęła półgębkiem. – Przygotujcie swoje talerze. Na mój znak włożycie je za obroże. Eryku, twoje beeby śpią. Twoje nie, Palomo.

– Świetnie – burknęła Widłoróg.

– Zrób to szybko, tak szybko, jak niczego jeszcze w życiu nie robiłaś, a może ci się uda.

– Albo się uda, albo druga dawka jadu mnie zabije. Nie mogę się doczekać, aż się przekonam.

– Na razie spokojnie. Zrobimy to, tylko jeśli będzie trzeba.

– Wielka stopa, do ataku! – wydarł się Chapa Wangwa z przeciwnej strony areny. – Węże też!



– Ale dlaczego musimy czekać na powrót Sofi? Nie rozumiem!

Yoki Choppa wzruszył ramionami.

Sitsi Pustułka aż tupnęła nogą. Nie wytrzymam! – myślała, sfrustrowana jak nigdy w życiu. Tłumaczyła jak głupiemu, a ten cholerny czarnoksiężnik nie chciał jej powiedzieć, które pająki śpią, a które nie. I ani myślał wyjaśnić dlaczego! Nienawidzę tego przekłętogo dziada, łeb mu urwę przy samej pomarszczonej dupie!

– A jeśli Sofi nie wróci? – wycedziła, z trudem hamując złość.

Czarnoksiężnik popatrzył na nią i wzruszył ramionami tak nieznacznie, że zauważyła to tylko dzięki swojemu nadludzkiemu wzrokowi.

– Na litość Innowaka!

Poszła sobie. Wystarczyło, że mają na głowie Badlandczyków. Ani myślała przejmować się jeszcze bezsensownym uporem Yokiego Choppy.



Luby Zefir wspięła się na uformowane z miękkiej skały wzniesienie tworzące południową ścianę areny, w której wykute były trybuny. Przesadziła wierzchołek i usiadła na najwyższym miejscu na widowni w takiej pozie, jakby siedziała tam od dawna. Była teraz jednym z tysięcy Badlandczyków podziwiających rozgrywającą się na arenie walkę. Gdyby ktoś szukał jej pośród gapiów, po prostu prześlizgnąłby się po niej wzrokiem, tak bardzo nie zwracała na siebie uwagi.

Jakaś kobieta o kiepsko ufarbowanych na fiolet i złoto włosach obróciła się rozzłoszczona, otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zaraz zrezygnowała i na powrót utkwiała wzrok w scenie. Poza tym Luby nie zwróciła niczyjej uwagi.

Wszystkie oczy skupione były na zwartych w boju wojownikach i potworach.

Jej przyjaciółki owslanki i ich bladokórzy przyjaciele mieli kłopoty.

Kudłate monstrum zamachnęło się na Chogolisę. Uratowała ją tylko niespodziewanie szybka reakcja tego brodatego Wotanina.

Ten jednooki oraz jego koleżanka o masywnych udach całkiem sprawnie bronili się przed wężami – to jest całkiem sprawnie, jak na zwykłych ludzi – ale stwory powoli spychały ich na skraj areny, a jeden zachodził od flanki, najwyraźniej ostrząc sobie zęby na chłopca, którego, jak utrzymywała Sofi, należało za wszelką cenę bronić.

Zefir dostrzegła siedzącą na trybunach Ayannę z Calniarem na rękach, a obok Bobrocześnieka i tego ćpuna bez ręki. Przeniósłszy wzrok na Sofi, domyśliła się po jej postawie, że dowódczyni ma zamiar coś zrobić. Luby nie miała pojęcia, co za plan kluje się w głowie dowódczyni i jak chce go wykonać z pajakami na szyi. Ale wiedziała, że Sofi przyda się pomoc.

Luby wstała, zwracając na siebie uwagę kilku gapiów, a potem zeszła

schodami w dół, ściągnając kolejne spojrzenia. Przemieszczała się krokiem, który skłaniał patrzących do myślenia, że nie jest nikim interesującym. Jasne, widzę ją, ale zupełnie mnie nie obchodzi.



Kudłacz przywalił Erykowi na odlew, aż w uszach zadzwoniło. Chogolisa przyskoczyła do potwora, owinęła nogami jego masywny kark i ścisnęła potężnie. Bestia ledwie zwróciła na nią uwagę, choć ten uścisk mógłby połamać zebra niedźwiedziowi.

Złośnik zebrał się do kupy, przygotował do ataku, gdy nagle – klik! – ktoś wdarł się do jego umysłu.

Tak, słucham?

Chcesz ocalić chłopca? – powiedział znamionujący inteligencję głos, niepokojąco podobny do głosu Astrid, matki Finnbogiego.

Jasne... – pomyślał z ociąganiem.

Więc podejdź, a ja cię złapię tak, jakbyśmy walczyli na poważnie.

Dobra... – Eryk nie uznał za celowe się spierać.

I bądź tak miły, poproś swoją koleżankę, żeby nie ścisnęła mnie tak mocno. Jest bardzo silna.

Eryk dał susa naprzód. Małpolud złapał go za szyję i przyciągnął do siebie, tak że usta Eryka znalazły się przy uchu Chogolisy.

– On jest po naszej stronie – szepnął. – Udawaj, że z nim walczymy, ale nie ścisnąj go tak mocno.

O, tak lepiej. Dziękuję. Ale nie jestem nim, tylko nią. Mam na imię Ayla.

Wybacz, Aylo.

Nie przejmuj się. A teraz słuchaj, za dwa uderzenia serca zerwę wam pajęczę pudełka. W teorii: zabiję cztery wasze pająki i będziecie wolni. W praktyce: któż wie co się stanie. Z góry przepraszam, jeśli coś pójdzie nie tak i zabiję was oboje.

A co z twoimi pająkami?

Sądzę, że Puste Dzieci zorientują się, że wasze pająki umarły i że to moja sprawka, więc każą moim mnie pogryźć. Może umrę, może przeżyję. Jestem całkiem silna.

Zrobisz to dla nas?

Nie pochlebiaj sobie. To nie dla was, tylko dla chłopca. Zrób, co w twojej mocy, żeby go ocalić. A teraz wtajemnicz w nasz mały fortel swoją koleżankę i przejdźmy od słów do czynów.

Się robi.

Ach, jeszcze jedno.

Tak, Aylo?

Wysoka kobieta jest w tobie zakochana, a ty odwzajemniasz jej uczucie. Jeśli przeżyjesz, powinieneś coś w tej sprawie przedsięwziąć.



Sofi Tornado wiedziała, że Thyri i Kif nie mają szans w walce z węzami. Jeśli czegoś nie zrobią, Ottar Niemowa, chłopczyk, który zdaniem Yokiego Choppy jest zbawcą całego świata, umrze.

– Wulf, Paloma. Gotowi?

Kiwnęli na tak.

– Teraz.

Wszyscy wsunęli drewniane dyski między obroże i szyje.

Sofi słyszała, jak beeby Palomy wbijają ostre kły w jej ciało. Usłyszała, jak pająki jej i Wulfa budzą się i wgryzają w drewno.

Paloma wrzasnęła, chlasnęła się dłońmi po szyi i padła na kolana.

– To się... robi... nudne... – warknęła przez zwarte szczęki.

Po drugiej stronie ringu Thyri upadła na ziemię, gdy grzechokonda podcięła jej nogi błyskawicznym ciosem ogona. Zwierzę natychmiast oplotło ją lśniącym cielskiem, zacisnęło na niej potwornie silne mięśnie. Kif toporem odganiał od siebie trzy pozostałe gady, ale nie mógł ich trafić. Stwory nieubłaganie spychały go do miejsca, gdzie siedział na arenie Ottar, obserwując bitwę z poruszeniem kogoś, kto przygląda się falom nad brzegiem morza.

Sofi usłyszała dudniące kroki i odwróciła się. Bobroczek wbiegł na arenę i pędził w ich stronę.

Wodziła wzrokiem między klęczącą, pokąsaną przez beeby Palomą, nieświadomym śmiertelnego niebezpieczeństwa Ottarem i szarżującym Badlandczykiem.

– Sofi, ratuj małego – powiedział Wulf, kiwając głową na Bobroczełka.

– Ja się zajmę tym gnojem.



Teraz! – pomyślała wielka stopa imieniem Ayla.

– Teraz! – powiedział Eryk.

Olbrzymka zmiażdżyła pudełka na szyjach jego i Chogolisy, jakby były zrobione z suchych liści, a potem zawyla, jakby ktoś rozrywał ją na sztuki.

Eryk zerwał zniszczone pudełko z szyi i odrzucił od siebie.

Ayla grzmotnęła o ziemię, wyjąc przeraźliwie, wijąc się i trzymając za szyję.

Sofi Tornado biegła w stronę Kifa, Thyri, Ottara i węży. Wulf stał obok klęczącej Palomy, gotów do walki z pędzącym Bobrocześniekiem.

Chogolisa pobiegła pomóc Sofi. Eryk puścił się pędem w kierunku Wulfa.



– Włóżcie talerze! Kif, Thyri, Ottar, teraz! – krzyknęła Sofi, mknąc w ich kierunku. – Teraaaz!

Kif odskoczył w tył, włożył talerz, a potem płynnie podjął walkę.

Thyri, miażdżona zwojami wielkiego potwora, nie mogła kiwnąć palcem.

A chłopiec po prostu się na nią patrzył.

Sofi obrała za cel węza duszącego Thyri, wtem nagle zobaczyła wyskakującą jak spod ziemi Luby Zefir. Wiedziała, że przyjaciółka dobiegnie pierwsza, zmieniła więc kierunek i pospieszyła z pomocą Kifowi.

Zamachnąwszy się potężnie Wrogobójcą, urznęła głowę jednemu węzowi, potem tnąc na odlew, zdekapitowała drugiego, powierzając ostatniego Kifowi. Słyszała, jak Luby szlachtuje swoimi półksiężycami grzechokondę mordującą Thyri. Kreatura rozluźniła uścisk na Wotance, a ta, opadając na ziemię, przeszła płynnie do przewrotu i zwinnie wsunęła talerz za obrozę. Thyri nie była owslanką, ale miała zadatki.

Sofi pobiegła do Ottara. Musiała uwolnić go od pajaków.

Była o krok od niego, gdy zaczęły go kąsać.



Erykowi brakowało do Wulfa dziesięciu kroków, gdy Bobroczyłek spadł na niego z siłą huraganu. Wulf wyprowadził cios Gromem. Badlandczyk sparował uderzeniem ręki. Młot i pięść zderzyły się z impetem, wojownicy odskoczyli od siebie.

– Co to za broń? – spytał Bobroczyłek, może niezupełnie zainteresowany, ale na pewno nieco mniej znudzony niż dotąd.

– To Grom – odparł Wulf. – Tak po kres czasu będzie brzmieć odpowiedź na pytanie, jak nazywała się broń, którą zabito Bobroczyłeka.

– Ładnie powiedziane. Choć właściwie pytanie będzie brzmieć inaczej: jak nazywała się broń, którą Bobroczyłek odebrał dzielnemu cudzoziemcowi i którą zmienił jego głowę w krwawą miazgę.

Eryk nie uchwycił wzrokiem błyskawicznego ruchu Bobroczyłeka, który w jednej chwili stał dwa kroki przed Wulfem, a w drugiej trzymał w żelaznym uścisku jego nadgarstek. Wulf miał jeszcze dość czasu, by skrzywić się w grymasie zdziwienia, nim Bobroczyłek przyładował mu z byka w twarz, a potem poprawił pięścią. Gruby Wulf zatoczył się na nogach, oszołomiony. Bobroczyłek zerwał skórzaną pętlę młota z jego nadgarstka i odebrał mu broń. Przerzucał Groma z ręki do ręki.

– Wspaniały – powiedział, prawie się uśmiechając.

Eryk porwał z ziemi swoją maczugę, Najlepszego Przyjaciela Indyka. Bobroczyłek w tym momencie skupił na nim spojrzenie. Jego ciemne oczy zajrzały głęboko w oczy Eryka.

– Nie krępuj się – rzucił Badlandczyk, opuszczając rękę trzymającą młot. Wskazał Eryka metalową głowicą.

Najlepszy Przyjaciel Indyka stanowił potężną broń, która zwiększała szanse zwycięstwa w walce z dowolnym przeciwnikiem, lecz teraz, gdy Eryk miał stanąć w szranki z najsilniejszym alchemicznym wojownikiem na świecie, uzbrojonym w legendarny magiczny młot, od niepamiętnych czasów przekazywany z pokolenia na pokolenie kolejnym harowiańskim wojownikom – jego maczuga wydawała się użyteczna w tym samym stopniu co liść tataraku.



Bjarni Kurza Twarz zebrał wszystkie siły i otworzył oczy. Na wielkie suty Odynda, jeszcze nigdy nie wkręcił sobie takiej fazy. Chciał, żeby już

się skończyła. W końcu pewnie przeminie, jak każda faza, ale ten haj trwał już tak długo! Nie pamiętał już czasów, gdy cały świat nie był wirem świetlistych sztyletów przeszywających gnijący grzyb jego umysłu. Widział węże, na miłość Thora, kurewsko wielkie węże!

W końcu mgła nieco zrzędła. Wszędzie wokoło roilo się od ludzi, którzy krzyczeli i wołali. Nie, nie wszędzie wokoło, bo kawałek gruntu przed nim był pusty, jeśli nie liczyć kilku tańczących postaci. Zachichotał, lubił tancerki. Nie, zaraz, to przecież Gruby Wulf! Wulf tańczy dla niego. Oto coś, na co miło popatrzeć. Chciał siłą woli przyciągnąć Wulfa bliżej.

Ale Wulf nie tańczył. On walczył. I przegrywał! Leżał na ziemi. Ten wredny błyszczący typ go powalił.

Bjarni spostrzegł, że ma coś w ręce. Trzymał Pogromcę Lwów.

No cóż, to chyba jasne, co musi zrobić. Odepchnął się obiema rękami i z mozołem dźwignął na nogi.

Po czym przewrócił się i przywalił głową o skałę.

O jasna cholera. Tylko jedna ręka! Czy to część fazy?

Leżał na boku. Przyszło mu na myśl, że to nawet śmieszne, że się przewrócił i że jest tak spizgany, że wydaje mu się, że nie ma ręki.

Ale to nie czas na śmieszki, Wulf ma kłopoty.

Ktoś pomógł mu wstać. Jego zamglony umysł przejaśnił się na krótką chwilę: szczególnie urodziwa starsza kobieta, jedną ręką tuląca do piersi dziecko, a drugą stawiająca Bjarniego na nogi.



– Przestań na chwilę, Finnbogi Zbuku – nakazała Frejdis Złośliwa. – Co robi Sitsi Pustułka?

Finn opuścił broń i osadził wzrok na wielkookiej łuczniczce. Akurat demonstrował Frejdis, Gunnhildzie i Sassie swój nowy cios toporem z półobrotu, by poprawić im nastrój. Sitsi tymczasem stała kawałek dalej z rękami wspartymi na biodrach i gapiła się na nich, a dokładniej: na obroże na ich szyjach. Przeskakiwała wzrokiem od jednej do drugiej, a na jej twarzy malował się wyraz głębokiego zamyślenia.

– Wydaje mi się, że potrafię rozpoznać po drganiu pudełek, które pająki śpią, a które nie – powiedziała. – Twoje chyba śpią, Gunnhildo.

Twoje też, Sasso.

– No i?

Pustułka opowiedziała im o teorii Bodili, wedle której Puste Dzieci nie dowiedzą się, że więźniowie włożą sobie talerze za obroże.

– A więc myślisz, że nic nam nie grozi, jeśli to zrobimy? – uśmiechnęła się Gunnhilda.

– Tak. Ale...

– Zrobię to.

– Zróbmy to jednocześnie – zaproponowała Sassa.

– Właściwie nie jestem pewna. Yoki Choppa mógłby nam pomóc, ale on twierdzi, że musimy poczekać na Sofi, a...

– A my nie wiemy, czy Sofi w ogóle wróci – dokończyła Gunnhilda. – I czy jeśli wróci, nadarzy się stosowna okazja, więc im szybciej podstawimy beebom drewno do gryzienia, tym lepiej. Najlepsza chwila na posadzenie drzewa to pięćdziesiąt lat temu. Druga najlepsza to dziś.

– A nie czterdzieści dziewięć lat i trzysta sześćdziesiąt cztery dni temu? – zastanawiała się Sassa.

Gunnhilda puściła jej słowa mimo uszu, podniosła drewniany talerz, wzięła głęboki wdech.

– Chryste, miej mnie w opiece.

– Czekaj. – Sassa ujęła swój. – Razem. Na trzy. Raz, dwa...



Paloma Widłoróg otworzyła jedno oko. Gruby Wulf wyglądał na całkowicie pokonanego, wspierał się na łokciach i kolanach, śliniąc się krwią. Eryk szarżował z maczugą na Bobroczełka, ale wcale nie wyglądał na pewnego siebie.

Ukąszenie pajaków bolało jak... no, dokładnie tak bardzo, jak poprzednim razem, to jest kurewsko. Ale za to ku jej zaskoczeniu reakcja organizmu na truciznę okazała się o wiele łagodniejsza. Paloma czuła, że jad rozchodzi się po jej ciele, ale nie wywołuje innej reakcji jak tylko gwałtowną potrzebę płaczu i wymiotów. Zdołała powstrzymać się przed jednym i drugim. W końcu ludzie na nią patrzyli.

Albo tym razem dostała mniejszą dawkę, albo zwiększyła się jej odporność. Zresztą nieważne. Grunt, że talerz był na miejscu, ona czuła

się nieźle i była gotowa do akcji.

Mimo to dalej klęczała z otwartym nieznacznie okiem. Sofi powiedziała jej, że lśniącej skóry Bobrocześka nie da się przebić ostrzem ani grotem. Aby go pokonać, będzie więc musiała uciec się do podstępów.

Eryk zamachnął się maczugą. Wódz zrobił zwód i wyprowadził cios młotem od dołu, który przepołowiłby górę. Eryk zrobił unik, ale Bobrocześek poszedł za ciosem, jego młot śmigał w powietrzu jak wielki wściekły szerszeń.

Eryk odskoczył na bok, robił unik za unikiem, blokując zatrważająco potężne ciosy tylko wtedy, gdy nie miał innego wyjścia. Pech chciał, że walczący mężczyźni okręcili się, przez co Bobrocześek stał teraz twarzą do Palomy. Owslanka wiedziała, że jeden jej fałszywy ruch zdradzi, że jest zdolna do walki, ale prędzej czy później któryś cios musi... O właśnie. Obuch zdzielił Eryka w pierś, mężczyzna legł na arenie, jeśli nie martwy, to oszołomiony.

Bobrocześek stanął nad najbardziej włochatym Wotaninem i oburącz uniósł masywny żelazny młot z ewidentnym zamiarem rozłupania mu czaszki.

W cholerę z planowaniem, pomyślała Paloma, zrywając się na równe nogi. Puściła się biegiem na Badlandczyka i z całej siły trafiła go kosturą w bok głowy.

Uderzenie wstrząsnęło jej ramionami z taką mocą, że rozproszyło to jej uwagę. Gdy ją odzyskała, Bobrocześek wciąż stał na nogach. Uśmiechał się, zapomniawszy o leżącym za jego plecami Eryku.

Mogła uciec. Najlepszą obroną Palomy nie był atak, lecz umiejętność błyskawicznej ucieczki.

Ale jeśli ucieknie, Bobrocześek zabije Eryka i Wulfa. Brodacz, jęcząc, przetoczył się na bok, nie stanowił już zagrożenia. Wulf powoli wracał do sił, ale nie zdołał jeszcze wstać z kolan i kręcił głową. Minie jeszcze jakiś czas, nim wróci do walki.

Westchnęła. I zaatakowała.

I nawet trafiła kilka razy. Choć każdy z tych ciosów zakończyłby nokautem walkę z innym przeciwnikiem, nie zdołały nawet zmazać uśmiešku z ust Badlandczyka. Tyle dobrego, że Paloma była od niego szybsza, więc on nie trafił jej ani razu.

Tańczyła po polu bitwy, wyprowadzając pchnięcia w nerki, łomocząc go po głowie i po jajach, gdy tylko zdołała sięgnąć. Ale ten potwór nie reagował na ciosy, zupełnie jakby biła się z żelaznym posągami.

Uderzała coraz mocniej, aż wreszcie przesadziła z siłą i nie zdołała się zasłonić. Jego palce natychmiast wykorzystały ten błąd i zacisnęły się na jej szyi.

Wówczas naparł na niego wciąż oszołomiony Wulf.

Badlandczyk jednym ciosem posłał go z powrotem na ziemię, a potem jego również ucapił za szyję.

Tłum wył. Paloma i Wulf szamotali się w uścisku, ale równie dobrze liście mogłyby starać się obalić drzewo. Bobroczyłek zaciskał palce coraz mocniej, zaglądając im głęboko w oczy, tak jak rozpuszczone dziecko mogłoby patrzeć na mordowane króliki.

Widownia oszalała z zachwytu, wiwat niósł się pod samo niebo, gdy najpierwszy spośród Badlandczyków pokonał dwoje wojowników w tak wielkim stylu. Kiedy Calnianie nagradzali w ten sposób występy Palomy, czasem zastanawiała się, jak to jest być po drugiej stronie. Teraz już wiedziała i nie podobało jej się to ani trochę.

Po przeciwnej stronie areny Sofi, Chogolisa, Thyri i Kif powalili węże, a teraz zmagali się z oddziałem badlandzkich wojowników. Gdy pociemniało jej przed oczami i zaczęła osuwać się w mrok, uświadomiła sobie ostatkiem sił, że nigdzie nie widzi Ottara.



Gunnhilda Pobożna śmiała się.

– Brawo, Sitsi Pustułko.

– Mogłybyście teraz zdjąć pudełka – powiedział Finnbogi, gapiąc się na zupełnie niepogryzione Gunnhildę i Sassę. Jego własne pająki poruszyły się, a on poczuł ukłucie, na szczęście tylko zazdrości.

– Lepiej je zostawić – odparła Sitsi. – Lepiej, żeby myśleli, że wciąż... czekaj. Pająki Frejdis chyba też śpią. Bodili, o ile się nie mylę, także.

– A moje? – spytał Finnbogi, choć znał odpowiedź.

– Twoje tańczą jak wiewiórki na wiosnę.

Zawsze wiatr w oczy, pomyślał.



Nikt nie był bardziej zdziwiony od Bobroczłeka, gdy z jego krtani wyłoniła się klinga.

Poluzował uścisk. Paloma klapnęła na tyłek obok Wulfa, oboje łapali powietrze charkliwymi haustami.

Eryk Złośnik wygramolił się na nogi i podszedł chwiejnie.

Bobroczek machał wątle rękami, nadziany na klingę. Zdołał odwrócić głowę i wówczas Paloma ujrzała, że broń dzierżył Bjarni. Umierający Wotanin wbił ostrze między łopatki wodza i przepchnął je na wylot. Niesamowity miecz, pomyślała. I niesamowita siła, skoro Bjarni zdołał wbić go w odporne ciało alchemicznego wojownika.

Bjarni pchnął Bobroczłeka, a ten upadł na ziemię, wykonując nieskoordynowane ruchy ramionami. Z gardła wodza dobywało się zduszone, spazmatyczne rżenie.

Paloma spostrzegła, że na arenę weszła cesarzowa, trzymając w rękach śpiące niemowlę. Niektóre dzieci zasną w każdych warunkach.

– Gratulacje – powiedziała owslanka, wskazując dziecko ruchem głowy.

– Dziękuję – odparła jej władczyni.

Głuchy odgłos ściągnął ich uwagę. To Bjarni padł na kolana przed Wulfem.

Nikt z obecnych nie robił wrażenia okazji zdrowia, ale Kurza Twarz wyglądał szczególnie źle. Z rany po amputowanej ręce rozniosło się zakażenie, bok jego twarzy lśnił czerwienią od nabiegłej ropy. Oko zapadło się i zaczęło wyciekać z oczodołu, ale spojrzenie drugiego było przytomne i szczere.

– Kocham cię od zawsze, Wulfie – wyznał Bjarni. – I nie jak brata. Jak mężczyznę.

No proszę, pomyślała Paloma.

Leżący na ziemi Bobroczek przestał się ruszać. Patrzył.

Wulf otoczył Bjarniego ramieniem.

– Wiem.

– To była moja tajemnica, mój ciężar...

– Cicho. – Wulf pochylił się, ujął tył głowy Bjarniego jedną ręką i pocałował go, rozwierając usta... z języczkiem?

Pocałunek trwał długo.

Gdy wreszcie się skończył, Wulf odchylił głowę, ale nie puszczał Bjarniego.

– Wiem – powtórzył Wulf. – Wiedziałem. I ja też cię kocham, Bjarni, choć nigdy nie chciałem nic z tym zrobić. Moi rodzice, nasi współplemieńcy... wiesz, jak jest.

Bjarni kiwnął głową.

– A potem zakochałem się w Sassie. Darzę ją prawdziwym uczuciem, kocham ją, a ponieważ to było dozwolone... Ale wiedz, proszę, że nigdy nie przestałem kochać ciebie.

Bjarni uśmiechnął się. W kącie jego zdrowego oka urosła wielka łza, która spłynęła po policzku. A potem zwiotczał i zachwiał się. Wulf złapał go, opuścił na ziemię i zamknął w czułym uścisku. Ułożył go na piasku i przyłożył mu dwa palce do szyi.

– Żegnaj, przyjacielu – wyrzekł z kamienną twarzą.

Wstał i odebrał młot targanemu drgawkami Bobroczyłkowi.

Paloma spojrzała na drugą grupę. Sofi powaliła właśnie ostatniego Badlandczyka. Tłum na trybunach mocno się przerzedził, gdy okazało się, że zwierzyna zjadła łowców. Chapa Wangwa przepadł jak kamień w wodę.

Wulf skinął na Palomę i Eryka, a ci ruszyli za nim, by dołączyć do pozostałych.

– Czy bylibyście skłonni rozważyć niemówienie nikomu o tym, co tu zaszło? – zapytał. – Nie dbam, co ludzie o mnie wiedzą, ale nie chcę, żeby Sassa czuła się umniejszona.

Palomie przyszło do głowy z dziesięć żartów naraz, a gdyby dostała chwilę, doszłoby pewnie jeszcze z dziesięć.

Ale ugryzła się w język i westchnęła.

– Bjarni uratował mi życie. Tobie i Erykowi także. Zginął jak bohater i na pewno ucztuje już w waszej Walhalli, przygotowując miejsce dla pozostałych. Tyle powiem każdemu, kto spyta.

– Ja także – dodał Eryk.

– Dzięki.



Sofi poderżnęła gardło ostatniemu badlandzkiemu siepaczowi i puściła się biegiem, chcąc wspomóc Palomę w walce z Bobrocześniekiem. Wówczas spostrzegła, że cała trójka już idzie w jej stronę. Rzuciła okiem tam, gdzie jeszcze niedawno siedzieli Rappa Hoga i jeźdźcy, ale ci gdzieś przepadli. Dlaczego? – zastanawiała się przez chwilę.

A potem odnalazła wzrokiem pogryzionego przez beeby chłopca. Ottar Niemowa leżał na plecach z zamkniętymi oczami. Thyri Drzewonoga uklękła przy nim. Drżała.

– Wylize się – powiedziała do niej Sofi.

– Co? – Thyri podniosła na nią wzrok, wycierając nos przedramieniem.

– Mówię, nic mu nie jest.

– Jak śmiesz? Skrælingowie może inaczej pojmują śmierć, ale to tylko mały chłopiec, który miał całe życie przed...

– Spokojnie – przerwała jej dowódczyni. – Naprawdę nic mu nie jest. Ottar, zabawa skończona. Wstawaj.

Chłopiec otworzył oczy.

Sofi była o niego spokojna, bo słyszała bicie jego serca i oddech. Już od jakiegoś czasu wiedziała, że beeby Ottara nieco się różnią od pozostałych pajaków, ale nie miała pojęcia, że nie są jadowite. Może Bobrocześnik poznał się na Niemowie i również nie chciał jego śmierci? Tylko skoro tak, to dlaczego kazał mu ryzykować życie na arenie? Czyżby ktoś podmienił jego pajaki?

– Co tu się...? – zachłusnęła się Thyri. – Skąd ty...?

– Nie kłopotz się tym teraz. Wracajmy do reszty.



Rozdział I2 PO DRUGIEJ STRONIE

To czekanie doprowadzało ją do szaleństwa. Sassa Gryziwarga czuła się przez to podwójnie chora. Poranne mdłości i paraliżujący strach o Wulfa to była prawdziwa mieszanka wybuchowa.

Nad jej głową zbierały się czarne chmury, a przez iglice i skalne szczeliny przeciskał się przenikliwy, lodowaty wiatr. Jak dotąd ulewa nie spadła, ale w końcu spaść musi. Czy odwołają walki na czas deszczu? Czy tylko je wstrzymają, wydłużając jej agonię?

Przynajmniej nie musiała już martwić się swoimi pająkami, choć Sitsi Pustułka, Yoki Choppa i Finnbogi wciąż musieli uważać na własne. Sitsi wiedziała, że beebys Finna i Yokiego nie śpią. Próbowwała przekonać

czarnoksiężnika, by użył swojej magii i powiedział jej, czy jej własne beeby drzemią, czy tylko czekają na okazję do kąsania, ale starzec się uparł. Frustracja o mało nie doprowadziła jej do łez.

– Nie rozumiem! – Sitsi aż podskoczyła w miejscu. – Czemu nie? Czy potrzebujesz składników, których nie masz? Może ktoś mógłby...

Przerwała w pół słowa, gdy do obozu wpadła z potworną szybkością Paloma, ryjąc ziemię obcasami.

– Bjarni zginął – oznajmiła. Nie byłaby mniej zdyszana, gdyby od godziny siedziała na krześle. Jej wiadomość nie zasmuciła Sassy, wręcz przeciwnie, Gryziwarga doznała ulgi. Ale co z Wulfem? – Cała reszta przeżyła. Wszyscy Wotanie są ranni, ale nikt poważnie. Poradzili sobie na arenie. Praktycznie pokonaliśmy Bobroczałka i jego zwierzęta. Owslan tam nie było, Innowakowi dzięki. Odbiliśmy też Ayannę i jej dziecko. Aha, Ottara użarły beeby, ale nic mu nie jest.

– Kto to jest Ayanna? – zaciekawiała się Bodila.

– Nie ma czasu – zbyła ją Sitsi. – Odkryłam, że nie musimy wkładać talerzy w tym samym czasie! Zaraz, a gdzie twoje pudełko? Znowu cię pogryzły? Twoja szyja wygląda...

– My, którzy poszliśmy na arenę, pozbyliśmy się już pudełek. Powtarzam, nie ma czasu na wyjaśnienia. Mów szybko, co odkryłaś?

Sitsi pokręciła głową.

– Nieważne. My, którzy zostaliśmy w obozie, pomijając mnie, Finnbogiego i Yokiego Choppę, jesteśmy chronieni przez talerze Eryka, ale kazałam wszystkim zostawić pudełka na szyjach, bo myślałam, że one – wskazała przyglądające się im ze skalnego wzniesienia Puste Dzieci – poszczują beebami pozostałych. Ale skoro zobaczyły już, że ty nie masz pudełka, i nic nie zrobiły, najwidoczniej źle myślałam. Dobrze, że ty się domyśliłaś, bo inaczej przecież nie wparowałabyś tu bez pajaków, ryzykując nasze życie.

– No... pewnie, że się domyśliłam.

– Ach, Yoki Choppo – podjęła Pustułka – twoje pajaki właśnie zasnęły. Szkoda, że ty nie powiesz mi, jak jest z moimi.

Yoki Choppa bez zbędnych ceregieli wsunął talerz za obrozę i powiedział:

– Za mną. – Zaprowadził ją do miejsca, gdzie stała jego alchemiczna

miska. – Spójrz.

Sitsi zajrzała do naczynia i najwyraźniej zobaczyła, że jej beeby śpią, bo szybko włożyła talerz i odetchnęła z ulgą.

– Że też sama o tym nie pomyślałam – westchnęła. – Ale już dobrze, wszyscy jesteśmy bezpieczni. Teraz musimy...

– Ja nie jestem! – krzyknął Finnbogi. – Proszę, powiedz mi, że moje też śpią.

– Niestety, nie śpią. – Sitsi zaskoczyło to, jak bardzo zapomniała o Finnie.

– Nie ma czasu do stracenia – popędzała ich Paloma. – Reszta zaraz wróci, wtedy uciekniemy. Sofi powiedziała, że Rappa Hoga poszedł po posiłki, więc lepiej się pospieszyć.

Chwilę później na drodze pojawili się pozostali Wotanie i owslanki. Na czele biegła Sofi Tornado oraz ubrana po owslańsku kobieta, którą Sassa widziała po raz pierwszy.

Sofi zauważyła zmieszanie na twarzy Sassy i ku zaskoczeniu Wotanki przedstawiła jej nowo przybyłą.

– To Luby Zefir. Jest owslanką, jedną z nas. Przybyła tu z calnijską armią i ocalała z masakry.

– Miło poznać, jestem Sas...

– Ona wie, kim jesteście. Później wymienicie uprzejmości. Teraz czas w drogę.

Wtedy między ludźmi przepchnął się Wulf. Sassa musiała mu powiedzieć, by nie ścisnął jej tak mocno. Odstawił ją z powrotem na ziemię i odsunął się o krok. Z posiniaczonej twarzy patrzyły na nią jego szkliste błękitne oczy. Poczzerwieniał i spuścił wzrok.

– Umierasz, kiedy umierasz. Bjarni powinien był umrzeć już jakiś czas temu – powiedziała.

– Uratował mi życie. Palomie i Erykowi też. Może nam wszystkim. I...

– Sza. Zrobił to, co miał do zrobienia przed śmiercią. Będzie na nas czekał w Walhalli.



Finnbogi zwrócił uwagę, że wracający z areny towarzysze nie mieli pudełek na szyjach. Był więc ostatnim, który jeszcze je miał. Takie już

moje zafajdane szczęście, jęknął w duchu.

– Twoje pająki? – spytała go Sofi.

– Wciąż tańczą. Mam...

– Poza Finnbogim – zagłuszyła go Sitsi – wszyscy mamy talerze za obrożami.

– Dobrze – pochwaliła ją Sofi. – Paloma, Sitsi i Luby, pomóżcie wszystkim zdjąć pudełka, tylko ostrożnie. Potem wyruszamy. – Utkwiła spojrzenie w Finnbogim i przekrzywiła głowę, jakby nasłuchiwała. – Ty zostań tu i ukryj się. Jeśli cię nie znajdą, spróbuj za jakiś czas włożyć talerz, może o zmierzchu, a potem ruszaj naszym śladem. Idziemy w kierunku Czarnych Gór.

Czy ja się nie przesłyszałem? – Finnbogi obrzucił ją spojrzeniem.

– Ale... – zaczął, lecz ona już obróciła się do Frejdis, by zdjąć jej z szyi obrozę.

Finnbogi stał i gapił się, skacząc wzrokiem między ludźmi pozbywającymi się pudełek i Pustymi Dziećmi. Dziwaczne postacie nic nie robiły, po prostu siedziały na wielkorogach. Czyżby spały? Wyjął drewniany talerz i zbliżył rękę do obroży.

Sofi chwyciła go za nadgarstek.

– Ukryj się. Ale już. Przy odrobinie szczęścia Puste Dzieci zostaną w okolicy i nic ci nie będzie. – Sofi ruszyła w swoją stronę, ale zatrzymała się i obróciła. – Albo nie, nowy plan. Kto wie, może nawet zadziała. Paloma?

– Tak? – Owslanka podbiegła błyskawicznie.

– Podnieś rękę, wyprostuj palce, ułóż dłoń pionowo, o tak. Na mój znak – Sofi zademonstrowała ruch – wsuniesz ją między pudełko Finnbogiego i jego szyję, zanim ukąszą go pająki.

– Ale wtedy ugryzą mnie.

– Tak. Jak dotąd jakoś ci się udawało to przetrzymać.

Paloma rozdziawiła usta, jakby chciała zaoponować, ale raptem uszło z niej powietrze.

– No dobra, czemu nie, Wota mać. Stój spokojnie, Zbuk.

– Owslanki! Wotanie! Stać! – zagrzemiał głos, który przejął Sassę strachem.

Rappa Hoga galopował w ich kierunku na czele kolumny

sztyletozębnych jeźdźców. Zza skalnego załomu wyłaniały się kolejne zastępy wojowników. Jechali drogą między dwiema iglicami z czerwono-żółtej skały, oświetlonymi promieniami słońca i kontrastującymi z sinymi chmurami, które zbierały się na niebie.

– Paloma, teraz! – powiedziała Sofi.

Ręka Palomy wsunęła się między pudełko a szyję.

– Aj! – krzyknął Finnbogi.

– Aaaaaaj! – krzyknęła Paloma, zrywając mu pudełko z szyi i odrzucając je od siebie. Upadła na bok, tuląc do piersi pogryzioną rękę.

– Paloma! – zatroskał się Finn, przypadając do niej.

– Nic... mi... nie będzie... Biegnijcie. Dogonię was – wyrzęziła, zwinięta w pozycji płodu i drżąca, tak jak Poppo Białozęby, który kiedyś na tingu obżarł się mięsem bizona.

Finnbogi dotknął jej lśniących włosów.

– Dziękuję.

Podniosła na niego wzrok zabarwiony bólem i zdumieniem. I czymś jeszcze. Skąd ta delikatność w jej spojrzeniu?

– Weź spierdalaj! – warknęła. – Powiedziałam, że was dogonię.

– Zrobi to – zapewniła go Sofi. – Szybko, trzeba wiać. Oddaj mi mój topór, a weź to. – Podała mu rękonoż Wrogobójcy.

Sięgnął po nią z pewną podejrzliwością.

– Bierz. Zwracam ci go. Nie powinnam była go zabierać. Wybacz.

Oddał jej topór, przyjął miecz i oboje rzucili się do ucieczki. Reszta miała już nad nimi sporą przewagę. Finnbogi mknął naprzód, promieniejąc z dumy. Sofi darzy go teraz szacunkiem! Ale jak to? Czyżby dowiedziała się o poświęceniu, na jakie zdobył się na arenie? Czy może po prostu wpadł jej w oko?

Może i go szanuje, ale biega o wiele szybciej i ani myśli na niego czekać. Dobiegła do reszty, gdy jemu brakowało jeszcze dobrych czterdziestu kroków. Obejrzał się. Jazda prawie już ogarnęła Palomę, która wciąż siedziała na ziemi, trzymając się za rękę.

Finnbogi zwiększył tempo, choć Wrogobójca robił się coraz cięższy. Był, oczywiście, o wiele cięższy od topora Sofi. A ona oddała mu go, zanim zaczęli ratować się ucieczką. Bo go teraz szanowała.



Sassa Gryziwarga biegła. Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu, wielkie jak orzechy.

Przed nią na ramionach Eryka podskakiwała Frejdis, a Ottar trzymał się mocno nogami masywnego karku Chogolisy, tuląc do siebie schowane pod koszulą szopy. Na ramionach olbrzymki chłopiec wydawał się jeszcze mniejszy, jeszcze bardziej patykowaty i bezbronny. Obok nich pędziła Ayanna, całkiem szybko, zważywszy na trzymane w rękach niemowlę.

Sassa trzymała się z tyłu z Grubym Wulfem, wspólnie mieli oko na nieco wolniejszą Gunnhildę.

– Wulf, Sassa, szybciej – zawołała Sofi, dobiegając do nich. Musiała podnieść głos, by przekrzyczeć deszcz i wiatr. – Biegnijcie za Luby Zefir. Ja zostanę na tyłach.

Luby już znikła z pola widzenia za skalnym półksiężycem otaczającym obóz od południa. Sassa i Wulf zrobili, jak im kazano, minęli skalny grzebień, a pozbawieni jego osłony, poczuli się, jakby sam Thor chlusnął w nich kotłem zimnej wody.

– O w pizdę czapli, ależ wieje! – zaklęła Sassa.

Chwilę później zrównała się z nimi Paloma, najwyraźniej niezrażona burzową furią, wyjęła z kołczana Sassy garść strzał i rzuciła:

– Łuk poproszę!

Sassa nie spierała się. Widłoróg pomknęła naprzód.



Tansy Burna przyczepiła się wzrokiem do uciekających w burzy jeńców. Rappa Hoga zatrzymał pościg i obejrzał się za siebie. Czekał na Bobrocłeka.

Więźniowie zostawili go, by umarł na arenie, nadziany na długą metalową broń, która podobno przybyła tutaj z Dzikiego Słonego Morza. Chapa Wangwa wespół z gromadą czarnoksiężników próbował wydobyć ostrze z ciała wodza, ale była to żmudna robota. Wódz był prawie nieśmiertelny. Prawie. Czarnoksiężnicy orzekli, że dalsze uszkodzenia narządów wewnętrznych mogą rzeczywiście go zabić, a przynajmniej okaleczyć.

Bobrocłek, niespecjalnie zaprzatając sobie głowę obcym metalem

sterczącym mu z gardła i pozycją na czworaka, którą przybrał, by pomóc magikom wydobyć broń, kazał swoim wojownikom złapać uciekających więźniów.

Tansy wiedziała, dlaczego Rappa Hoga postanowił poczekać, lekceważąc rozkaz. Jeźdźcy znajdą się w niekorzystnej sytuacji, jeśli przyjdzie im walczyć z uciekinierami w wąskich wąwozach i jarach Badlandów, zwłaszcza że jest wśród nich przynajmniej jedna alchemiczna łuczniczka. Bobroczek był odporny na strzały. Rappa Hoga i reszta, zwierząt nie wyłączając, nie. Dowódca sztyletozębów był dzielny jak rosomak broniący młodych, ale nie miał zamiaru ryzykować życia swojego i swoich ludzi w idiotycznym akcie samobójczej odwagi.

Ale Bobroczek nie nadchodził, w końcu musiał więc krzyknąć:

– Naprzód!

Tansy wbiła pięty w futrzaste boki swojego kota, bestia wyrwała do przodu. Uwielbiała gonitwy, nawet jeśli w każdej chwili mogła zarobić strzałę w oko.



Finnbogi Zbuk wreszcie dogonił swoich. Zrównał się z Thyri Drzewonogą, Erykiem Złośnikiem i Chogolisą Zadrzyziemią, zmagając się z wiatrem i zacinającym deszczem. Zupełnie jakby przedzierał się przez rój trzmieli lecący w przeciwnym kierunku.

Obejrzał się przez ramię. Lokiemu dzięki, sztyletozęby zrezygnowały z pogoni, a przynajmniej na razie.

Paloma Widłoróg przemknęła obok ze świstem, ściskając w ręce łuk, a Finnbogi doznał ulgi, widząc, że wróciły jej siły. Przyspieszył, by ją dogonić, ale w try miga zniknęła mu z oczu. Zwolnił więc i wrócił do Thyri. Ta obdarzyła go uśmiechem, którego nie dało się interpretować inaczej niż jako przyjacielski. Dziwne.

– Nadjeżdżają! – wrzasnęła Frejdis, oglądając się na ramionach Eryka.

Thyri okręciła się w pół kroku z saksem w ręce.

– Biegnijcie dalej! – krzyknęła zamykająca kolumnę Sofi.

Finnbogi spojrział za siebie. Przecinali pas prerii rozciągający się między dwoma usypiskami kamieni. Gunnhilda i Sofi znajdowały się dziesięć kroków za Finnbogim. Dwieście kroków dalej nabierała tempa

badlandzka kawaleria.

Minęli kolejny róg i ujrzeni przed sobą, między dwoma hałdami ukruszonej skały, wąski przesmyk, za którym nie było widać nic prócz burzowego nieba. To musiała być krawędź badlandzkiego masywu.

Na szczycie skalnej ściany po obu stronach szczeliny stały na szeroko rozstawionych nogach, z rozwianymi włosami i łukami w dłoniach, mokre od deszczu Sitsi Pustułka i Paloma Widłoróg. Finnbogi nieomal się zatrzymał, by chłonąć wzrokiem widok wyprężonej Palomy. W porę jednak się opamiętał i pobiegł dalej, postanowiwszy na zawsze zapamiętać ten obraz. Żadna kobieta nigdy nie wyglądała tak wspaniale.

Sitsi skinęła na Palomę i łuczniczki posłały dwie strzały nad głowami uciekinierów. Doganiająca ich kawaleria pierzchła na boki.

Luby czekała przy szczelinie wraz z Wulfem, pomagając Wotanom przejść na drugą stronę.

Gdy Finnbogi zbliżył się do przejścia, ujrzał rozciągającą się w dole równinę. Daleko w dole. Jak stromą skarpe przyjdzie im pokonać? Bo wyglądało to tak, jakby dzielił ich od niej wcale nie mały klif.

Dotarł do szczeliny i spojrzął w dół. „Nie mały” to mało powiedziane. Sassa, Bodila, Yoki Choppa i Kif już pobiegli dalej i zniknęli mu z widoku. Zastanawiał się, jakim sposobem tak szybko znaleźli się na dole. Gunnhilda i Sofi dogoniły go, ta pierwsza sapiąc jak zdychająca owca, a druga podskakując na palcach i po raz pierwszy, odkąd Finn ją poznał, wyglądająca na szczęśliwą.

– Luby oczyściła nam szlak, zejdziesz na dół, ani się obejrzysz – poinformował go Wulf, a potem zasadził mu kopa w tyłek.

Finn wystrzelił jak z procy, piszcząc niczym podrzucony w powietrze szczeniak. Klapnął na skałę, ale trudno to było nazwać lądowaniem, bo zjechał dalej traktem zbiegającym po stoku śliskim od deszczu, nieudolnie zapierając się rękami i nogami i usiłując odzyskać kontrolę nad własnym ciałem. Miał pewność, że – wyjąwszy Palomę – przez krótką chwilę był najszybszym człowiekiem na świecie. Leciał na łeb na szyję, usiłując wymijać skały na swojej drodze. Gdyby tylko miał pewność, że nie rozkwasi zaraz nosa o głaz albo nie spadnie w przepaść, może nawet by mu się to podobało.



Sofi Tornado stała na skraju klifu między dwiema łuczniczkami. Ayanna, mały Calniar i reszta owslanek zjechały już znalezionym przez Luby stromym traktem, ale ostatni Wotanie, Wulf i Gunnhilda, dopiero tu dotarli. Gunnhilda odmawiała współpracy.

– Musisz skoczyć, i to już – przekonywała Sofi.

Wulf był bardziej skuteczny w negocjacjach – objął wyrywającą się Gunnhildę, podniósł ją, opadł na tyłek i zjechał razem z nią, machając członkami jak uwięziony kot.

Sofi pokręciła głową. Calniar i Gunnhilda z pewnością nie przyspieszą ucieczki. Obróciła się, by ocenić zagrożenie ze strony wroga.

Rappa Hoga i jego ludzie skradali się w ich kierunku, pełząc żlebami i przemykając chyłkiem między skalnymi kolumnami. Za każdym razem, gdy wystawiali się na atak, Sitsi i Paloma wypuszczały strzałę. Trafiły kilka kotów w łapy, ale jak rozkazała Sofi, nie raniły żadnego śmiertelnie i nie celowały w jeźdźców.

Kawaleria była coraz bliżej. Sztyletozęby zaraz znajdą się w dogodnej odległości do skoku.

– Skończyły mi się strzały! – zawołała Paloma.

– Uciekajcie obydwie.

– Ja mam jeszcze mnóstwo – powiedziała Sitsi.

– Przydadzą ci się potem. Idź.

Dwie kobiety zniknęły za krawędzią.

Sofi Tornado czekała z toporem w ręce. Po mieczu Finnbogiego topór leżał jej w dłoni, jakby się z nim urodziła. Zacisnęła palce na rękojeści, ciesząc się jego krzepiącym dotykiem, jakby odnalazła zaginionego przyjaciela – lekkiego i mocnego, który świetnie zabijał. Jeśli dzisiaj umrze, to przynajmniej z własną bronią w garści.

Rappa Hoga wyjechał z głębi żlebu i ruszył w jej stronę. Barczysty i ciemnoskóry, wyglądał na tak potężnego jak bestia, której dosiadał.

Sofi nie cofnęła się, nawet gdy Badlandczycy spostrzegli, że osłaniające ją łuczniczki dały nogę. Wychynęli z kryjówek i zwarli szyk za swoim dowódcą.

– Ostatnim razem cię powaliłem. – Miał niższy głos, niż zapamiętała.

– W takim razie moja kolej. – Uśmiechnęła się. – Zapraszam.

Rappa Hoga zsunął się z kota i dobył topór.



Eryk dojechał do końca traktu, trzymając Frejdis w ramionach. Skoczył na nogi i puścił się biegiem. Chogolisa czekała już na niego, trzymając w rękach wyszczerzonego Ottara. Oboje byli oblepieni czerwonożółtym badlandzkim kurzem, ale Chogolisa promieniała radością. Niebo pojaśniało, a oberwanie chmury zelżało do lekkiego deszczyku, który przyjemnie rosił skórę.

Umazana błotem, zdyszana i kolosalna Chogolisa była wcieleniem piękna.

Patrzyli sobie w oczy dłużej, niż było to konieczne.

– Eryk, chodź! – krzyknął Wulf. – Jesteś potrzebny. Ty też, Finnbogi!

Ojciec, syn i gigantyczna kobieta poszli za Wulfem i resztą na wschód, po linii masywu.

– Czy idąc tędy, nie wejdziemy do jaskini niedźwiedzia, z której dopiero co uciekliśmy? – spytała Zadrzyziemia.

– Pewnie tak – odparł Eryk. – Ale nigdy nie uciekniemy im na nogach. Wasza Luby Zefir ma inny plan.



Sitsi i Paloma skoczyły jednocześnie i zjechały z pochyłości podobną drogą, a jednak Paloma dotarła na dół, gdy jej przyjaciółka była dopiero w połowie. Nie była wiele cięższa, obydwie zjeżdżały na tyłkach, a ich krótkie spodnie zrobione były z tej samej skóry przez tego samego zbrojmistrza. Więc jakim sposobem – dziwowała się Sitsi – Paloma zjechała szybciej?

Ta jawna niesprawiedliwość zepsuła jej całą przejażdżkę.

A do tego Paloma nie tylko miała czelność szczerzyć się cwaniacko, gdy Sitsi dotarła na dół, lecz także uniknąć utyłania w błocie. Stała czysta i olśniewająca, podczas gdy Sitsi czuła zasychającą na twarzy maskę błota. To jedyne logiczne wyjaśnienie: Innowak kochał Palomę, a za Sitsi nie przepadał.

Obie kobiety powiodły wzrokiem na szczyt wzgórza. Nie dostrzegły nigdzie Sofi. Spojrzały na siebie. Dopiero teraz uświadomiły sobie, dlaczego dowódczyni została z tyłu.

- Powinnyśmy były... – zaczęła Sitsi.
- Wracam na górę. – Paloma zrobiła krok naprzód, ale Sitsi złapała ją za nadgarstek. Widłoróg szarpała się, ale nie zdołała się wyrwać. Może i była szybsza, ale Sitsi miała ramiona łuczniczki.
- Gdyby chciała pomocy, kazałaby nam zostać. Chodź, pozostali potrzebują nas bardziej niż Sofi.



Tansy Burna zobaczyła, że kolejni jeźdźcy opuszczający kryjówki nie kończą naszpikowani strzałami, więc sama delikatnie popędziła naprzód, rozglądając się za łuczniczkami, które przepadły nie wiedzieć gdzie. Jeńców również nie było widać. Została tylko jedna z nich. Ich dowódczyni, Sofi Tornado.

Rappa Hoga zszedł z szablożęba i kroczył w jej stronę, trzymając w ręce swój obusieczny topór. Jak zwykle miał na sobie tylko skąpą przepaskę biodrową, więc z miejsca, w którym się znajdowała, mogła podziwiać wybrzuszące się przy każdym kroku mięśnie. Ścisnęła wierzchowca udami, kot warknął.

Tansy zapałała szacunkiem dla tej odważnej kobiety, która stanęła do walki z całym oddziałem, by kupić swoim towarzyszom nieco czasu, choć wiedziała, że to bezcelowe. Rappa Hoga zabrał ich wszystkich z areny i kazał dosiąść kotów, a potem ścigać uciekinierów, ale zrobił to z ociąganiem. Nie tylko dlatego, że chciał poczekać na Bobroczałę, który ostatecznie nie nadszedł, lecz również dlatego, że wiedział doskonale, iż więźniowie nie mają dokąd uciec. Masyw rozciągał się na wiele mil w kierunku zachodnim i północnym. Na wschodzie drogę zagradał nieprzebyty dla zwykłego człowieka pas iglic i rozpadlin, z kolei na południu ciągnęły się w nieskończoność rozległe prerie. Jedynym miejscem, do którego mogli uciec, były Czarne Góry, ale te oddalone były o dwa dni szybkiego marszu na południe, a potem na zachód. Mogliby dać Calniankom i Wotanom jeden dzień forów, a i tak kocia kawaleria i wszystko, co tylko Bobroczałek zechce posłać za nimi w pogoń, dogoni ich, zanim znajdą się u celu podróży.

- Jeśli cię pokonam – zawołała Sofi – ty i twoi ludzie nie ruszycie w pościg za nami aż do południa.

– Nie pokonasz mnie – odrzekł Rappa Hoga głębokim, pewnym głosem. – Nie jesteś w pozycji do stawiania warunków. Musisz podjąć walkę.

– Prawda. Ale skoro, jak powiedziałeś, na pewno przegram, to co ci szkodzi przyjąć mój warunek? – Przemawiała bardzo spokojnie, jak na kogoś, kto zaraz zbierze bęcki. Czyżby wiedziała coś, o czym oni nie wiedzieli? Calnianki i Wotanie to szczone bestie. Świadczył o tym fakt, że oni pierwsi pozbyli się pudełek.

– Co racja, to racja – uśmiechnął się Rappa Hoga. – A zatem ty przyjmij mój warunek: jeśli cię pokonam i przeżyjesz, przystaniesz do moich wojowników.

– Zgadzą się. A ty? Ruszysz w pościg dopiero w południe?

Rappa Hoga spojrział w niebo. Do południa jeszcze szmat czasu, ale chyba nie będzie już dzisiaj padać. Wytropią ich w try miga. Ta kobieta była odważna, ale kiepsko się targowała. No i nie miała szans na wygraną.

– Będą was ścigać również inni, nad którymi nie mam żadnej władzy.

– Spróbujemy szczęścia.

– Nie licz na szczęście, uciekając przed nimi.

– W walce z tobą też mi nie dopisze, więc co mam do stracenia?

– Przystaję na twój warunek.

– Dobrze. Ale zanim mnie pokonasz, chcę wiedzieć jeszcze jedno. Dlaczego wybiliście calnijską armię? Czy chcecie najechać imperium?

Rappa Hoga przez dłuższą chwilę przyglądał się owslance, a potem wzruszył ramionami, jakby uznał, że nic się nie stanie, jeśli jej powie.

– Kto został w Calnii? – spytał.

– Wszyscy Calnianie, nie licząc wojowników.

– Zgadza się. Dzieci, starcy, urzędnicy, uczeni i ci rzemieślnicy i artyści, których nie potrzebowała wasza armia.

– A więc chcecie najechać Calnię.

– Bynajmniej. Chcieliśmy stworzyć sytuację, w której nie będzie już trzeba jej najeżdzać. Plemiona podbite przez Calnian nie lubią płacić podatków. Więc przestaną je płacić i Calnia umrze z głodu. Albo, co bardziej prawdopodobne, plemiona zbuntują się i spróbują zagarnąć imperium dla siebie. Ale ponieważ żadne nie jest na tyle silne, by tego

dokonać, dojdzie do wojny, która będzie trwać jeszcze długo po upadku imperium.

– Ściągając na dziesiątki tysięcy niewinnych ludzi niewypowiedziane nieszczęście i ból.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bobrocłek wierzy, że człowiek jest pasożytem, którego należy wytępić.

– Ale ty w to nie wierzysz.

– Bobrocłek ma dość przekonujące argumenty.

– Więc nie tknie Calnii nawet palcem?

– Planuje najechać ją, gdy populacja Calnian znacznie się zmniejszy. Wówczas zniewoli niedobitków i będzie kontrolował ich populację.

– Strzelam, że na Calnii jego ambicje się nie kończą?

– Trafiłaś w sedno. Chce kontynuować podbój, zagarnąć nawet ziemie za wielkimi morzami.

– Oczywiście. Powiedz mi, Rappo Hogo, czy w tej opowieści to Badlandczycy są tymi dobrymi? Czy może to oni właśnie są plagą, którą należałoby wyplenić?

Rappa Hoga zwlekał z odpowiedzią tak długo, że Tansy zrobiło się nieswojo. Czy on się wahał? Tansy sama się nad tym zastanawiała jeszcze przed bitwą z Calnianami.

– Zgadzam się ze wszystkim, co robi i mówi mój wódz. – Rappa Hoga uniósł swój obsydianowy topór i podszedł do Sofi.

– Poczekaj. – Owslanka podniosła rękę.

– Co znowu?

– Potrzebny nam egzekutor. Jeśli wygram, możesz nie być w stanie dowodzić.

Rappa Hoga skinął głową.

– Tansy Burna?

Tansy opanowała podniecenie i podjechała w ich stronę.

– Tak jest.

– Jeśli Sofi Tornado wygra, czyniąc mnie niezdolnym do dowodzenia, dowodzenie obejmiesz ty. Ruszysz w pogoń za uciekinierami nie wcześniej niż w południe. Czy rozumiesz i czy przyrzekasz wykonać

polecenie?

– Błagam, przecież ona nie... – urwała, widząc wyraz twarzy Rappy Hogi. – Rozumiem i przyrzekam.

– Świetnie, a więc zaczynamy.

Sofi Tornado zrobiła krok naprzód, przerzucając kamienny topór z ręki do ręki.

Tansy Burna pochyliła się. Nie chciała uronić ani chwili ze sromotnej klęski Sofi, bo wiedziała, że taka wojowniczką nieczęsto przegrywa.



– Ha! Haaa! – wołał Kif Berserk, wymachując Duporąbem nad głową i biegając w kółko jak postrzeleniec. Ludzie pracujący przy Biegaczu Równin spojrzeli na niego raz, a potem uciekli, nie oglądając się za siebie.

Finnbogi musiał się uśmiechnąć.

Na północy wzbijał się w niebo na setki stóp badlandzki masyw, ciemny od deszczu, już spowity mgiełką parującej wody. Wiodąca nań droga, którą poszli pierwszego dnia, tuż po przybyciu do Badlandów, znajdowała się kilkaset kroków na wschód. Za nią wciąż widać było zawaloną górę oraz dolinę, z której wyszły królewskie jaszczury.

Poza uciekającymi sługami nie widzieli w okolicy żadnych Badlandczyków. A przynajmniej jak dotąd.

Finn rzucił okiem na południe. Na otwartej prerii przycupnął długi i smukły pojazd Bobroczełka, zaprzęgnięty w tysiące tysięcy gołębi od strony dziobu i z rufą wspartą na grzbietach kilkudziesięciu wilków.

Usłyszał płacz małego Calniara. Sassa podbiegła do Ayanny, ale cesarzowa odprawiła ją ruchem dłoni, uśmiechem wyrażając wdzięczność. Usiadła na ziemi, odsłoniła pierś i podała ją Calniarowi.

Finnbogi odwrócił wzrok. Właśnie zobaczył cycek cesarzowej. Rozejrzał się za Bjarnim, który z pewnością zrozumiałby jego ekscytację, lecz oczywiście Bjarniego nie było.

Eryk siedział na wysokim na krok skalnym wybrzuszeniu i gapił się na gołębie. Ptaki (ile ich było? chyba z milion!) rozsiadły się w trawie i dziobały w ziemi, przywiązane pajęczymi włóknami do dziobu drewnianej jednostki.

Wszyscy patrzyli na niego. Wiedzieli, że skoro porozumiewał się z niedźwiedzicą Astrid, potrafi też dogadać się z innymi zwierzętami. Czy zdoła nakłonić gołębie do lotu?

Finn przyskoczył do ojca.

– Jak ci idzie?

– Czuję je, ale nie mogę do nich dotrzeć. – Eryk zamknął oczy i zmarszczył brew.

– Niedawno udało mi się pogadać z ptakiem – powiedział Finnbogi.

– Głosem umysłu? – Eryk nie otworzył oczu.

– Nie, normalnie, paszczą.

– To fajnie.

– Oczywiście, że głosem umysłu! Po co bym ci mówił?

– No cóż, to może spróbujesz z nimi? Ze mną chyba nie chcą gadać.

Finnbogi zamknął oczy i sięgnął umysłem poza ciało, wyzwalając swoje myśli, każąc im wzlecieć w niebo i opaść niczym ciepła mgła na skryte wśród traw ptaki. Ograniczył się do prostych komunikatów, dostosowując treść do nieskomplikowanych zwierzęcych umysłów. Zgrał ruch głowy z posuwistymi ruchami gołębi.

Jestem przyjacielem – wymówił głosem umysłu. Jestem z wami, jesteśmy jednym. Chcemy latać, musimy latać. Wszyscy bijmy skrzydłami i wznieśmy się w górę, w górę, w górę.

– I jak? – spytał Eryk.

– Tak sobie.

Większość gołębi dalej grzebała w ziemi. Niektóre zaszczyliły Finna i Eryka niezobowiązującym spojrzeniem.

– Nadchodzą! – wrzasnął Kif.

Finn otworzył oczy. Dziesiątki łośich jeźdźców galopowały drogą spływającą z badlandzkiego masywu. Widział powiewające w ich rękach łapisiatki i więzikije. Na największym łośiu na czele jechał Chapa Wangwa. Byli wciąż daleko, ale Finnbogi już widział wszystkie jego odsłonięte w uśmiechu zęby. Zauważył, że łośie wydają się człowiekowi o wiele większe, gdy szarżują prosto na niego.

– Ottar, Frejdis, Bodila, Sassa, Gunnhilda, Yoki Choppa i Ayanna – zawołał Gruby Wulf – na okręt! Reszta do mnie!

Sitsi, Chogolisa, Luby i Paloma strzeliły wzrokiem na Yokiego, który

kiwnął głową. Sitsi i Chogolisa pobiegły za Wulfem, Kifem i Thyri na spotkanie jeźdźców. Paloma pognąła naprzód, wyprzedziła Wotan w okamgnieniu, meandrując między skalnymi słupami i kopułami, i skierowała się prosto na wroga.

Finnbogi zapomniał o gołębiach i śledził ją wzrokiem z rozdziawionymi ustami.

Tymczasem niewalczący Wotanie i Calnianie pomagali sobie nawzajem wleźć przez poręcz na pokład Biegacza Równin. Jednostka była mniejszą wersją Wędrowca, liczącą pięćdziesiąt kroków długości, wyposażoną w tylko jeden otwarty pokład. Pięćdziesiąt wilków zaprzęzonych do wehikułu warczało i szczekało na nieznanym pasażerów. Kilka nawet wyło, jakby chciało zaalarmować prawowitych właścicieli kradzionego pojazdu. Gołębie przed dziobem w dalszym ciągu nie chciały wzbić się w powietrze.

– Dalej, Finn! – powiedział Eryk. – Musimy skłonić je do lotu. Jak już się z nimi uporamy, wilki ruszą same!

Finnbogi potrząsnął głową, zamknął oczy i raz jeszcze skupił całą siłę na ptakach.

Ja też jestem ptakiem – przekonywał. Jednym z was. No dalej, lećmy. Czas trochę polatać.

Tak! Złapał kontakt. Siłą woli skłonił ptaki do wzbicia się do lotu. Czuł, że unoszą się w powietrze. Wyżej, jeszcze wyżej, pod samo niebo... Otworzył oczy, by obrać kierunek.

Gołębie wciąż były na ziemi, wyglądały na tak skore do lotu jak stado bizonów.

Słyszał już wyraźnie tętent łośi.



Ayanna oddała Calniara wysokiej Wotance o złotych włosach i skrzywionych ustach, po czym wdrapała się na pokład i wyciągnęła ręce po swoje dziecko.

– Nie – odezwała się ta stara kobieta, którą zwali Gunnhildą. – Będziesz musiała walczyć. Sasso, oddaj chłopca Frejdis. – Podała Ayannie kij. – Trzymaj. Jak zbliży się łoś, trzepnij go przez łeb.

Ayanna przyjęła zaimprovizowaną broń i wlepiła w nią wzrok.

Jeszcze niedawno słudzy wyścielali jej drogę matami z miękkiej trzciny. Owymi matami obdarowywano tylko najznamienitszych Calnian, a ci przyjmowali je z wdzięcznością i zapisywali w spadku swoim potomkom jako najcenniejszy ze wszystkich skarbów.

A teraz jakaś blada raszpla zza morza, którą niedawno sama kazała zabić, rozstawia ją po kątach i komenderuje jej synkiem. Ayanna patrzyła, jak Sassa przekazuje chłopczyka Frejdis. Dziewczynka wzięła go pewnie na ręce, a Calniar nie zgłosił sprzeciwu.

Biła się z myślą, czy nie wydrzeć jej dziecka i kolektywnie wszystkich nie opieprzyć za bezczelność, ale jakaś jej część wiedziała, że stara kobieta ma rację. Bardziej się przyda, trzymając broń, a nie dziecko. W tej chwili najlepszą rzeczą, jaką mogła zrobić dla Calniara i dla siebie, było wykonanie polecenia.

Łodziopodobna konstrukcja, na którą wsiedli, poruszała się chyba za sprawą zaprzężonych do niej zwierząt. Kudłaty dryblas i ten loczkowaty młodzik próbowali chyba popędzić je do ruchu. A więc reszta będzie musiała podjąć walkę z Badlandczykami do czasu, aż im się to uda.

Ayanna mocniej ścisnęła kij i przygotowała się do obrony.



Paloma śmigła między Badlandczykami jak błyskawica, maczugą wybijając im z rąk i ust dmuchawki. Uprzytomniła sobie, że to właśnie powinna była zrobić podczas pierwszego starcia. Zresztą nieważne. Wtedy było wtedy, a teraz jest teraz. Badlandczycy nie pokonają owslanek po raz drugi.

Kilku z nich miało przy sobie łuki. Je też połamała. Skakała na boki i kryła się za innymi Badlandczykami, unikając strzałek, strzał, siatek i pętli. Świat wokoło rozmazywał jej się przed oczami, ale była całkowicie skupiona i w pełni kontrolowała sytuację. Jeźdźcy na łośiach byli teraz zdani na jej łaskę. Wiła się między nimi jak fryga, nieuchwytna i tak szybka, że zauważali ją dopiero wtedy, gdy było już za późno. Wciąż bolała ją pogryziona przez beebę ręka, ale Paloma wiedziała już, że uodporniła się na jad. Rozbijając kolano kolejnemu wojownikowi, pomyślała, że to zabawne, jak działa ludzki organizm.

Większość jeźdźców patrzyła na nią, ale nikt nie celował do niej

z dmuchawek i łuków, bo już żadne im się nie ostały. Doskonale, pomyślała. Misja wykonana. A teraz przekona się, czy Chapa Wangwa dalej będzie się uśmiechał, gdy wybije mu wszystkie zęby.

Dała susa naprzód, wylądowała i wystrzeliła przed siebie. Jej stopa omsknęła się na śliskim kamieniu, zgubiła tempo zaledwie na ułamek sekundy. W tym momencie coś uderzyło ją w bok głowy.

Upadła na ziemię, pokoziołkowała naprzód, tracąc kontrolę nad własnym ciałem, i wpadła pod kopyta potężnych zwierząt i w zasięg włóczni jeźdźców.



– Sassa, do mnie! – Sitsi Pustułka złapała ją za rękę i bez trudu wciągnęła na sterczącą z ziemi wysoką, porośniętą trawą skalną wysepkę. – Strzelaj jak leci! – rozkazała z widoczną radością. Ależ te owslanki lubiły walczyć.

Widoczny na wschodzie skalny paluch badlandzkiego masywu wskazywał na południe, gdzie rozciągały się trawiaste przestwory, dalej Sassa zobaczyła porośniętą trawą wyrwę, a jeszcze dalej przysadziłą żółto-zieloną skałę w kształcie piramidy. Wulf i reszta stali w szeregu dwadzieścia kroków od wyrwy. Sassę i Sitsi dzieliło od nich trzydzieści kroków.

Pojawił się pierwszy jeździec. Niemal natychmiast dostał w czoło strzałą Sassy i zwałił się z wierzchowca. Sassa zdążyła tylko zakląć, że to nie Chapa Wangwa, gdy wyrwa wypełniła się kolejnymi wojownikami. Wzięła na cel pierwszego z brzegu.

Wymierzyła, wypuściła strzałę i... spudłowała. Przez wyrwę przejechało dwudziestu jeźdźców. Wycelowwała, strzeliła. Trafiła mężczyznę w szyję, nie w pierś, gdzie mierzyła. Zalała ją fala emocji. Właśnie zabiła, a przynajmniej boleśnie okaleczyła człowieka, który mógł być czyimś mężem, ukochanym przez dzieci ojcem, który zaciągnął się do badlandzkiej armii, bo tak robili mężczyźni. Na tej samej zasadzie, wedle której Wulf dołączył do hirdu... Tylko że nie istniał inny sposób na ocalenie Ottara i Frejdis, Wulfa i reszty, o jej nienarodzonym dziecku nie wspominając.

Kazała poczuciu winy iść męczyć kogo innego i wzięła na cel

kolejnego wojownika.

Pomimo że ustrzeliła już sześciu wrogów, przez wyrwę przedostało się kolejnych czterdziestu jeźdźców.

W mordę ryjówki. Mieli kłopoty.



Paloma Widłoróg przetarła zalepione kurzem oczy. Odpełzła z dala od galopujących łośi i wlaźła do wykutej w skalnej kopule niszy. Po unoszącym się w powietrzu fetorze poznała, że to jama badlandzkiego plebejusza. Usiadła na służącej za dywan szmacie, zamrugła oczami i wreszcie poczuła, że może wstać. Świat napuchł jej przed oczami, potem skurczył się, zawirował lekko i w końcu się uspokoił.

Na wielkie i obolałe jaja Innowaka, Paloma wprost nienawidziła dostawać po łbie.

Obmacała delikatnie ranę. Krwawiła, ale nie tak znowu obficie. Czaszka była cała. Czas przestać się pokładać i wracać do bitwy. Jeśli ta jeszcze się toczy. Nie umiała ocenić, jak długo wracała do siebie.

Wyłoniła się z jamy. W zasięgu jej wzroku znajdował się tylko jeden łośi jeździec. Leżał na brzuchu i obserwował przebieg bitwy z wierzchołka skalnego występu pięćdziesiąt kroków od Palomy. Po wrzaskach i odgłosach oręża poznała, że po drugiej stronie kryjówki Badlandczyka bitwa trwa w najlepsze.

Wyciągnięty na ziemi człowiek wyczuł ją i obejrzał się.

Był to Chapa Wangwa.

Paloma natychmiast zapomniała o swojej ranie. Rozciągnęła usta w uśmiechu niemal tak szerokim jak sztandarowy wyszczerz tego małego skurwysyna. I puściła się pędem w jego kierunku.



Sitsi była pod wrażeniem umiejętności łuczniczych Sassy, ale i czuła satysfakcję, widząc, że przebija Wotankę pod względem szybkości i celności.

Ale nie była to dobra chwila na próżność, bo łośich jeźdźców było coraz więcej. Na każdego, którego ustrzeliły wraz z Gryziwargą,

wyjeżdżało z wyrwy kolejnych pięciu.

Chogolisa chwyciła pierwszą bestię za poroże i zakręciła nią nad głową, powalając na ziemię dwie inne. Oto, dlaczego zwalista wojowniczką nie nosiła broni. Cały świat był jej orężem.

Kif wpadł między jeźdźców i pchnął pierwszego lepszego sztychem topora. Raptem wyskoczył na niego wojownik, którego Kif nie zauważył, i zamachnął się kamienną maczugą. Sitsi wycelowała w jeźdźcę, lecz zanim zwolniła cięciwę, jak spod ziemi wyrosła Luby Zefir i błyskawicznymi cięciami bliźniaczych ostrzy rozorała mu gardło.

Sitsi odszukała kolejny cel. Centrum bitwy przeniosło się znacznie bliżej, miała więc utrudnione zadanie.

Wulf brał się za bary ze zrzuconym z wierzchowca Badlandczykiem, potem z dwoma i trzema, gdy kolejni wojownicy ruszyli na pomoc swojemu kamratowi. Szamotał się i obdzielał wszystkich ciosami, ale wkrótce zniknął pod naporem wrogów. W końcu złapali go za ręce i przytrzymali, dwóch ruszyło w jego stronę z kamiennymi nożami w dłoniach.

Sitsi uniosła łuk, naciągnęła cięciwę... która pękła.

– Sassa! Wulf! – wrzasnęła.

Gryziwarga okręciła się, by wziąć tych dwóch na cel, ale Thyri już wirowała między nimi, jednemu rozcinając gardło saksem, a drugiego tnąc przez twarz ciosem znad głowy. Wulf wymknął im się z rąk, na odlew przygrzmocił jednemu toporem w głowę, a drugiego powalił na ziemię ciosem pięścią, jakiego nie powstydziliby się Jutrzenka.

Jutrzenka... Sitsi już miała poprosić Sassę o łuk, ale myśl o przyjaciółce sprawiła, że zmieniła zdanie.

– Sasso, pożyczysz mi nóż?

Wotanka wyrwała ostrze z pochwy i podała łucznicze.

Sitsi zeskoczyła z wysokości na grzbiet łośa, chlasnęła jeźdźcą po rękach i zepchnęła go na ziemię.

Jej łoś pędził w kierunku Biegacza Równin, gdzie Yoki Choppa, Bodila, Gunnhilda i Ayanna opędzali się długimi kijami od jeźdźców. Frejdis stała na pokładzie z Calniarem na rękach, przyglądając się bitwie. Ottar z szopami u stóp stał na dziobie, patrząc na gołębie, wciąż schowane w trawie, wyglądające, jakby było im tam zupełnie dobrze.

Wierzchowiec Sitsi był jednym z wielu mknących w kierunku Biegacza, co stwarzało pewien problem. Jeśli Badlandczycy odbiją lub zniszczą wehikuł Bobroczełka, nie będzie sposobu na opuszczenie Badlandów.



Rappa Hoga natarł na Sofi, zataczając koła ciężkim obsydianowym toporem, który śmigał w jego rękach jak dziecięca zabawka. Tym razem nie będzie się z nią certolił. To będzie krótka walka.

Tansy Burna drżała z podniecenia.

Mężczyzna zamachnął się i uderzył, tańcząc jak akrobata, lecz Sofi zwinnie umykała z drogi rozpędzonej głowni. Każdy cios Rappy Hogi wyglądał, jakby miał być tym ostatnim, lecz jakimś cudem Calnianka unikała jednego po drugim.

Sofi nie zadawała ciosów. Tansy zastanawiała się, czy Hoga w ogóle zwróciłby uwagę na uderzenie takim małym toporkiem. Zresztą nieważne, bo to tylko kwestia czasu, zanim któreś z potężnych cięć wypatroszy zuchwałą Calniankę jak rybę.

Świst, szust, ciach. Topór Rappy Hogi był wszędzie, tylko nie tam, gdzie umykała przed nim Sofi Tornado.

To nie do wiary! – emocjonowała się Tansy. Tyle razy spudłować o pół cala, zadając tak szybkie ciosy... Rappa i Sofi wyglądali jak para kuglarzy prezentująca publiczności ćwiczony miesiącami bitewny taniec. Czy ta cała Sofi była ulubienicą bogów? Czy może dowódca pudłował specjalnie? Nie, nie mógł. Przy tak raptownej sekwencji ciosów musiał trafić ją choćby niechcący.

A więc to Sofi robiła uniki. Czy to jej alchemiczna moc? – zastanawiała się Tansy. Czy była osłabiona, gdy poprzednio walczyli?

Sofi robiła zwód za zwodem, cofając się zręcznie przed nacierającym wojownikiem. Nie wiedziała o tym, że zaraz znajdzie się na porośniętej trawą krawędzi skały. Będzie w pułapce i przed kolejnym ciosem już się nie uchyli.

Tańczyli coraz bliżej krawędzi: Rappa Hoga młóćący bronią jak opętany kowal młotem, Sofi Tornado unikająca ciosów, jakby była duchem, a nie człowiekiem z krwi i kości. Oboje nie wyglądali na

zmachanych.

Sofi cofnęła się nad samą krawędź. Tansy zagryzła wargę. Rappa Hoga zaraz ją zarąbie.



Oczy Finnbogiego były zamknięte. Słyszał dochodzące z coraz mniejszej odległości odgłosy bitwy, ale ufał, że współplemieńcy obronią jego i ojca przed łosimi jeźdźcami. Czuł, że jego wysiłki lada moment przyniosą rezultaty. Może nie tak prędko, jak by chciał, ale naprawdę czuł, że powoli zmienia się z człowieka w gołębia. Zaczynał rozumieć, jak te ptaki myślą. Pragnęły towarzystwa. Nie, nie tyle pragnęły, ile potrzebowały. Nie chodziło o jakość, tylko o ilość. Im nas więcej, więcej, więcej, tym lepiej. Wciąż jest nas za mało, nawet jeśli stado w locie przyćmiewa słońce na niebie. Czemu jeszcze je widać? Dopóki nie zgaśnie zupełnie, wciąż jest nas za mało. To łaknienie było silniejsze od potrzeby oddychania. Finnbogi przypomniał sobie, jak Garth Kowadłogęby, ta kupa oślego łajna, przytrzymał mu głowę pod powierzchnią Słodkiego Morza Olafa, a Finn uświadomił sobie, jak ważne jest oddychanie i jak bardzo go nie doceniał.

Więcej, jeszcze więcej gołębi!

Tętent kopyt grzmiał coraz głośniej. Łosie były tak blisko, że już czuł ich zapach. To rozproszyło jego koncentrację, ale robił, co mógł, by ją utrzymać.

A potem usłyszał krzyk. Znajomy krzyk ojca.

Otworzył oczy. Złapali Eryka w siatkę – leżał na plecach, szamocząc się jak obrócony na grzbiet żuk, i wrzeszczał na dwóch jeźdźców, którzy uparli się, by go gdzieś zawlec.

Biegacz Równin był otoczony przez mrowie Badlandczyków. Thyri stała na nadburciu, chlastając wrogów saksem.

Finnbogi dobył Wrogobójcę.

– Nie! – krzyknął Eryk. – Chcą znaleźć więcej gołębi! Muszą znaleźć więcej! Ty wiesz, gdzie one są!

Wiem? – zdziwił się Finn. A potem zrozumiał, o co chodziło Erykowi. Zacisnął powieki.



– Dzieńdoberek, Chapo Wangwo! – przywitała się słodko Paloma.

W czasie gdy ona pokonała pięćdziesiąt stóp dzielących ją od Badlandczyka, on zdążył tylko przetoczyć się na plecy. Próbował odpełznąć od niej jak pająk, uśmiechnięty jak wariat.

Paloma zakołysała biodrami, machnęła kosturem i zdruzgotała mu kolano. Zawył. Ciosem pięścią strzaskała mu żuchwę. Gdy przyłożył rękę do ust, wycie przeszło w bulgotliwy jęk.

Następnie trzasnęła go w łokieć.

Zdołał obrócić się na brzuch i zadrżał, jakby chciał zakopać się w miękkim żółtym kamieniu.

– Zasługujesz na to, co cię teraz spotyka – powiedziała do jego pleców. Nie wiedziała, czy słyszy, ale chciała też przekonać samą siebie. Ta gnida zasługiwała na najokropniejszą śmierć, jaką można sobie wyobrazić, ale przez niedobór grzechotnikowego mięsa Paloma nie czerpała przyjemności z torturowania go. Niech cię cholera, Yoki Choppo! Życie okrutnicy było o wiele zabawniejsze.

Kazała sobie wziąć się w garść i włożyć w kaźń więcej serca. Osadziła stopę na jego tyłku. Zaszamotał się, ale siłą przytrzymała go w miejscu i wraziła mu drzewce między kręgi.

Dał się słyszeć na poły przyjemny, na poły przyprawiający o mdłości chrzęst. Nieuszkodzone ramię Chapy Wangwy wciąż wiło się jak wyrzucona z wody ryba, ale reszta jego ciała zwiotczała.

Paloma zmiażdżyła mu kolejny krąg, a potem jeszcze jeden. Kiedy już nie było czego miażdżyć, złapała go za stopę i okręciła na plecy.

Miał połamaną szczękę, ale wciąż się uśmiechał. Lecz gdyby oczy mogły krzyczeć, jego darłyby się na cały głos.

– Patrzyłeś, jak twoje pająki w taki właśnie sposób zabijają innych – powiedziała. – Na pewno nigdy nie myślałeś, że coś podobnego przydarzy się tobie. Jak ty to ująłeś? Że nie sposób wyobrazić sobie agonii, ale można wyczytać ją ze spojrzenia?

Gdzieś niedaleko rozległ się przenikliwy krzyk. Bitewny zgiełk przybrał na sile. Musiała biec.

I pobieгла, zostawiając Chapę Wangwę na pastwę śmierci. Po chwili się zatrzymała. Jeśli w ogóle przeżyje, będzie sparaliżowany do końca

swojego parszywego życia. Ale z pomocą współplemieńców nawet kaleka mógł żyć długo i szczęśliwie, nie korzystając z członków. Istniała też możliwość, że badlandzcy czarnoksiężnicy, widocznie o wiele bardziej zaawansowani w swojej sztuce od calnijskich magików, zdołają uleczyć jego rany.

Cofnęła się, wybiła wysoko w powietrze, patrząc prosto w jego wybałuszone przyjemnie oczy, a potem z całą mocą wylądowała na jego głowie, która prysnęła jak upuszczona na skałę miska owsianki.

– Z głowy – mruknęła pod nosem.

I pobiegła w kierunku, z którego dochodziły stukot oręza i krzyki.

Biegacz Równin jak stał, tak stał. Rozczarowujące. Wotanie i owslanki byli otoczeni ze wszystkich stron, a poza tym nigdzie nie widziała Sofi Tornado. Żadne z jej przyjaciół nie zostało zabite, ale jeźdźcy zajadle szturmowali Biegacza.

Paloma obejrzała się za siebie i znalazła wzrokiem ścieżkę zbiegającą z badlandzkiego masywu. Nie dostrzegła na niej nowych żołnierzy, lecz wiedziała, że to tylko kwestia czasu, nim Bobrocłek rzuci na nich kolejne oddziały. Łosi jeźdźcy to śmiertelni przeciwnicy, ale nie byli nawet w połowie tak groźni jak badlandzcy owslanie, sztyletozębne koty czy – w najgorszym przypadku – królewskie jaszczury.

Jeśli nie wprawia w ruch Biegacza Równin, to po nich. Bo po niej niekoniecznie. Paloma zawsze mogła po prostu uciec.

Mogła pomóc walczącym lub cofnąć się po Sofi, która przyda im się o wiele bardziej od niej. Odwróciła się i pobiegła do ścieżki, którą zjechali z masywu.



Sitsi Pustulka zaczynała żałować, że opuściła łuczniczą pozycję. Zsunęła się z łosia, gdy dowiózł ją do Biegacza, i zaczęła mordować jeźdźców celnymi ciosami noża Sassy, sęk tylko w tym, że nie była w stanie przerobić wszystkich. Matko, ile ich było! Wszędzie wokół łomotały kopyta, w miejsce każdego powalonego przez Sitsi jeźdźca pojawiała się dziesięciu kolejnych.

Pobiegła prosto do unieruchomionego wehikułu. Stojący na pokładzie Wotanie i Calnianki bronili się zaciekle. Chogolisa metodycznie okładała

ładujących się na Biegacza wojowników dwoma trzymanymi w wielkich dłoniach słupkami.

Ale nawet Chogolisa nie była wszechmocna. Sitsi dostrzegła, że Badlandczycy w kilku miejscach zbliżają się już do nadburcia. Coraz więcej ich zeskakiwało z wierzchowców na drewniany pokład. Jak dotąd wszystkich udawało się unieszkodliwić, ale Sitsi wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Jeden zdołał się przedrzeć i zaatakował Frejdis z dzieckiem – jakim chujem trzeba być, żeby atakować dzieci? – ale dziewczynka uskoczyła przed jego bronią, a on poleciał naprzód i nadział się na młot Wulfa.

Ale przerywając szyk, Wulf zrobił miejsce, w które wdarła się klinem badlandzka ofensywa. Czy to początek końca? Postanowiła cofnąć się do skały, gdzie zostawiła Sassę i swój łuk. Tam bardziej się przyda.

W pół kroku zatrzymał ją dziki, zwierzęcy ryk. Złowieszcze wycie przejęło ją drżeniem.

A to co?

Kudłaty olbrzym – rozpoznała wielką stopę, która jechała z nimi Wędrowcem Równin – pojawił się w wyrwie. Wzorując się chyba na Chogolisie, złapał łosia za tylne nogi i zamiótł nim ziemię, zrzucając jeźdźców z grzbietów. Sitsi nie czuła się dobrze z tą myślą, ale stwór okazał się jeszcze bardziej skuteczny od Zadrzyziemi. Przemaszerował przez zastępy Badlandczyków jak młocarz przez pole kukurydzy, zostawiając za sobą szlak zmasakrowanych zwierząt i ludzi.

Badlandczycy skupieni wokół Biegacza obrócili się na spotkanie giganta. W Kifa, Wulfa, Luby i resztę wstąpiły nowe siły.

Bitwa toczyła się dalej, ale jej wynik wcale nie był już przesądzony.



Finnbogi poczuł, że ktoś unosi go w górę. To była Chogolisa. Wzięła go pod pachę i pobiegła do pojazdu, objając po drodze czerepy napastliwym jeźdźcom. Pochwycił coś wzrokiem, coś mknącego naprzód z szybkością spadającej gwiazdy. To przecież Paloma! Czemu omija bitwę łukiem? Dokąd się zabiera?

Reszta Wotan była już na pokładzie Biegacza, łącznie z Erykiem. Całe szczęście, wyplątał się z siatki, ale wciąż byli w poważnych opałach.

Dziesiątki łosich jeźdźców nacierały na nich ze wszystkich stron, wojownicy skakali na burty, czepiali się poręczy, próbując wtargnąć na pokład.

Thyri i Luby rozsunęły się i wskoczyła między nie Chogolisa. Postawiła Finnbogiego na dziobie, obok Ottara.

– Zrób tak, żeby gołębie zaczęły latać! – powiedziała i na powrót rzuciła się w wir walki.

Finn zwrócił się w stronę ojca.

– One chcą znaleźć więcej gołębi! – wrzasnął Eryk, grzmocąc maczugą po głowie pechowego Badlandczyka, który skoczył z grzbietu łosia na pokład Biegacza. – Ja nie mogę, potrzebują mnie tutaj! No dalej, poradzisz sobie! Zabierz je tam, gdzie znajdą więcej swoich!

Finnbogi zamknął oczy.

Był na ziemi, wśród gołębi. O, tam idzie mrówka! Ależ przysmak... Nie, ma teraz coś ważniejszego do zrobienia. Zatrzepotał skrzydłami i wzleciał w niebo, rozejrzał się.

Jest ich o wiele za mało! Czuł się pusty i przerażony, widząc mikrą liczebność stada. Jego bracia i siostry czuli podobną pustkę i strach. Ale on może im pomóc, pomoże im z całych sił. Wiedział, gdzie są inne gołębie. Gdzie jest ich mnóstwo, całe mnóstwo.

Za mną! Wszyscy za mną! Wiem, gdzie jest więcej naszych! Liczne, nieprzeliczone stada! Możemy do nich dołączyć, zlać się z nimi w jedną całość, a potem lecieć całymi dniami, nie widząc nic poza gołębiami! No, dalej! Wszyscy za mną!

Od pobratymców naparła na niego fala nadziei wzmocniona radością i euforią. Zamachał mocniej skrzydłami, wzbił się jeszcze wyżej.

Dźwigał na barkach ciężar całego stada, a może tylko czuł go w myślach. Gołębie chciały z nim polecieć, pragnęły, by wskazał im drogę. Nie musiał wcale wylecieć naprzód, by je poprowadzić. Wystarczyło, że podzielił się z nimi drogą w myślach.

Lećcie! – powiedział do wszystkich jednocześnie. Lećmy!

Bolą nas nogi! – krzyknęło na niego milion ptaków, gdy napięły się ich pajęczne włókna. Uwolnijmy się, przerwijmy nici!

Nie! Zostawcie je! – zagruchał Finnbogi. Wciąż możemy fruwać, no nie? A skoro tak, możemy znaleźć naszych! Ciągnijcie włókna nogami! O,

widzicie! Możemy lecieć. Pamiętajcie o stadzie! Skupcie się na tym, że znajdziemy wielkie stado! Nie zwracajcie uwagi na włókna! Naprzód!

Poczuł, jak milion gołębic łebków kiwa na tak. Był przywódcą. Nie, nie przywódcą, ale jednym z nich. On był nimi, a one nim. Wszyscy byli królami i wszyscy poddanymi. Ale to nie miało znaczenia, ważne było to, że w końcu lecieli na spotkanie większego stada.

Czy był jakiś inny cel tego lotu? Jacyś przyjaciele, jakieś niebezpieczeństwo? Nie. To chyba mu się przyśniło. Gruuu, gruu! Nic im nie grozi. Szukali wielkiego stada, a on wiedział, gdzie go szukać. Nic innego nie miało znaczenia.



Biegacz Równin drgnął i uniósł się o dwie stopy. Luby Zefir słupkiem zepchnęła z poręczy kolejnego jeźdźca, a potem zaryzykowała spojrzenie przez ramię.

Wotanin Finnbogi stał na dziobie i machał rękami. Wyglądałby jak krety, gdyby za nim nie podniosła się w niebo olbrzymia chmura gołębi, która dźwignęła pojazd na ledwie widocznych włóknach łączących przód Biegacza z ptasimi nogami.

Zatrzeszczało drewno, deski i belki jęczały i krzyczały w proteście, ale wytrzymały. Wilki, obarczone ciężarem rufy, warknęły i ruszyły naprzód, najpierw powoli, potem przeszły do truchtu i w końcu puściły się biegiem.

Dziesięć uderzeń serca po tym, jak Luby uprzytomniła sobie, że jada, mknęli już co wilk wyskoczy, zostawiając za sobą badlandzki masyw. Trzymała się poręczy, zginając nogi w kolanach, gdy pokład szedł w górę, a potem opadał niczym wielkie czółno na falach.

Owslanki rozejrzały się wokoło. Nagle nikt już nie chciał ich zabijać, co było miłą odmianą. Jeźdźcy wciąż galopowali przy burtach, ale wszystkie ich wysiłki skupione były na tym, by nadążyć za rozpędzonym wehikułem.

Bo Biegacz z całą pewnością nabierał tempa. Sunąc prościutko na wielką żółto-czerwoną skałę.

– W lewo. Finn. Finn, w lewo! W lewo!!! – ryczał Eryk Złośnik do kiwającego głową i machającego ramionami syna.

Gdy stało się jasne, że kolizja jest nieunikniona, wehikułem szarpnęło w lewo. Kadłub ominął przeszkodę o grubość palca i potoczył się dalej.

Wszyscy jeźdźcy po prawej musieli odskoczyć, by również ominąć skałę. Gdy pojawili się po drugiej stronie, od burty dzieliło ich dwadzieścia kroków. I wciąż nie mogli nadążyć.

– Sitsi – powiedziała Luby – co jest szybsze: wilk czy łoś?

– Wilk, ale tylko trochę szybszy i tylko na krótkim dystansie. A te tutaj dźwigają nas i całą masę drewna.

– Ale łośie niosą ludzi.

– Prawda. No to się przekonamy.

– Nie ustrześliłabyś jeszcze kilku Badlandczyków?

– Zostało mi tylko pięć strzał.

– Rozumiem. Widzisz gdzieś Sofi?

Sitsi przebiegła wzrokiem po linii masywu.

– Widzę Palomę biegnącą w górę klifu, którym my zjechałyśmy w dół. Sofi ani śladu. Ale nie martw się, głowę dam, że... o kurwa.

– Co?

– Widzisz ich? Tam, na drodze na wschód?

Ledwie widoczne postacie zbiegały głównym traktem z badlandzkiego masywu.

– Widzę jakichś ludzi, ale...

– To owslanie Bobrocześka. A przynajmniej dziewięciu z nich. Wodza z nimi nie ma, ale zapieprzają o wiele szybciej niż wilk czy łoś. Na czele sady ten bydlak z rogami na czole. O nie!

– Co?

– Z klifu zbiegają też Puste Dzieci na wielkorogach. Jeśli przejmą kontrolę nad gołębiami, pójdziemy na dno.

– Ale wielkorogi chyba nie biegną szybciej od wilków?

– Niby nie, ale zwykle nie jadą na nich upiorne łyse dzieci, które kontrolują zwierzęta. Zobaczymy, jak będzie.

Badlandzcy owslanie zbiegli już na sam dół, a teraz pędzili na przełaj przez równinę w ślad za pojazdem. Puste Dzieci prawie dotrzymywały im kroku.

– Finn, w prawo – zawołał Eryk. – W prawo! W prawo, mówię!!!



Sofi wiedziała, że zaraz za nią jest krawędź. Słyszała wodę kapiącą na gliniaste podłoże ze źdźbeł trawy, która porastała urywającą się raptownie skałę.

Cóż to za rozkosz – żyć i cieszyć się czułym słuchem oraz odnowioną zdolnością do dokładnej analizy sytuacji. Ale jeszcze rozkoszniej było móc zmierzyć się z jedyną osobą, która kiedykolwiek pokonała Sofi w walce.

Rappa Hoga próbował ją mylić. Wiedział, na czym polega jej specjalna zdolność. Może miał dzięki temu nieco większe szanse na wygraną, ale teraz, gdy Sofi wróciła do pełnej sprawności, i tak nie ma z nią szans. Te sztuczki na nic mu się nie zdadzą, Sofi jest w stanie uniknąć każdego ataku, zupełnie jakby mówił jej zawczasu, co zamierza zrobić, a potem poruszał się przesadnie wolno, by przypadkiem nie wyrządzić jej krzywdy.

W życiu jej nie trafi, a widok zadufania przechodzącego na jego twarzy w zgoła inny wyraz, gdy zaczynał to sobie uświadamiać, był jak balsam dla duszy.

Teraz wiedział już, że ma przechłapanie. Nie bawił się z nią w kotka i myszkę, nie próbował zmęczyć. Każdy cios miał na celu szybkie zakończenie pojedynku. Skoczyła w lewo, potem w prawo. Odbiła się, dała susa do tyłu, a potem przesmyknęła się pod rozpędzoną głównią i przygotowała do skoku w lewo, który niechybnie zaraz nastąpi.

Jego noga pomknęła w kierunku jej kolana. Niemal w tej samej chwili zamachnął się na nią lewą pięścią, a potem ciał po przekątnej toporem. To byłby piękny cios, gdyby Sofi nie przewidziała go z taką dokładnością, jak ktoś inny mógłby wywróżyć deszcz z wiszących mu nad głową czarnych chmur.

Słyszała, że krawędź jest coraz bliżej. Wyłapała zmianę w oddechu Rappy Hogi. A więc za moment wyprowadzi obszerny cios od prawej strony, przed którym Sofi będzie musiała uskoczyć do tyłu. Ale wiedziała, że on wie, iż Sofi właśnie pod tym względem analizuje jego posunięcia. Chciał skłonić ją, by zamiast tego przypadła do ziemi, unikając morderczej główki. Niegłupie, musiała przyznać nie po raz pierwszy. Może by nawet podziałało, gdyby od kilku dni nie objadała się pójdką. Teraz słyszała, jak skóra jego ramienia ociera się o bok klatki

piersiowej, gdy składa się do zupełnie innego ciosu.

A więc skoczyła. Gdy ostrze Rappy Hogi przemknęło pod jej nogami, Sofi przyłożyła mu toporem w mostek.

Przez ułamek sekundy był oszołomiony. Oto jej szansa.

Sofi wylądowała na krawędzi i znowu skoczyła, napinając wszystkie mięśnie i wkładając cały swój ciężar w najpotężniejszego kopniaka w jej karierze wojowniczkich. Stopa wbiła się w bok jego czaszki i Rappa Hoga wyrznął o ziemię.

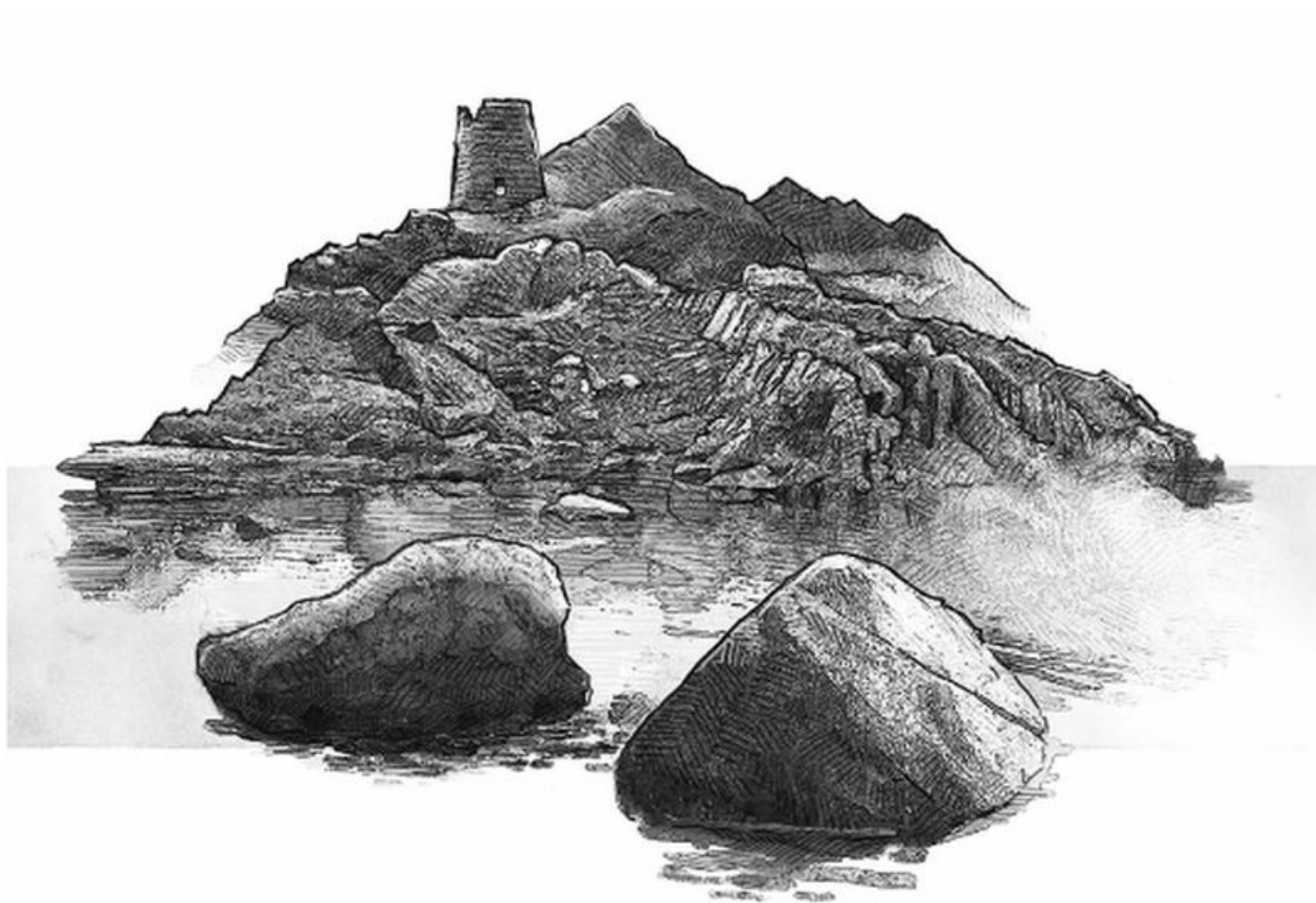
Wylądowała miękko na palcach i wymierzyła spojrzenie w badlandzkich siepaczy. Gapili się na nią z rozdziawionymi gębami.

– Żadnej pogoni aż do południa! – przestrzegła ich, a potem ruszyła ku zbiegającej z masywu drodze, gdzie czekała ją wolność.

Część trzecia

KU LŚNIĄCYM GÓROM





Rozdział I POGOŃ

Cześć – powiedziała Sofi Tornado, gdy Paloma pojawiła się w wyrwie na skraju masywu.

Brwi Widłoróg podskoczyły w górę jak stonogi na wyszarpniętym raptownie kocu. Pisnęła zdziwiona i odskoczyła zwinnie w tył, a potem próbowała ratować resztki honoru i zamaskować zaskoczenie.

– Długo cię nie było, więc...

Sofi uniosła palec i potoczyła wzrokiem po rozciągającej się w dole równinie.

Liczne stado gołębi ciągnęło Biegacza Równin na południe, a za nim wlekli się w rozproszonym szyku łośni jeźdźcy. Sofi nieomal się

uśmiechnęła. Nie spodziewała się, że Eryk poderwie ptaki do lotu. Uśmiech zamarł na jej ustach, gdy spojrzała na wschód.

Od strony skalnej fortecy Badlandów biegło dziewięciu owslan i sześcioro Pustych Dzieci na wielkorogach. Widziała kiedyś, jak alchemiczna gwardia Bobrocześnie skacze po skałach ze sprawnością, jakiej nie powstydziliby się Paloma. Słyszała, że owslanie rozgromili calnijską armię z taką samą łatwością, z jaką robiły to jej owslanki. Nadzy wojownicy gonili za Biegaczem Równin z szybkością większą od tej, którą jest w stanie rozwinąć Sofi. No i było ich dziewięciu, niemal po dwóch na każdą owslankę. Pocieszała się, że byłoby dziesięciu, gdyby Luby jednego nie zabiła, więc mogło być gorzej.

Wielkorogi dotrzymywały tempa Badlandczykom, co mogłoby budzić zaskoczenie, ale nie po wszystkich dziwach, na jakie napatrzyła się od opuszczenia Calni.

Za nimi biegła wielkimi susami na południowy wschód wielka, kudłata, człekokształtna postać, która mogła być tylko wielką stopą z areny.

- Zjeżdżajmy stąd. Jak najszybciej.
- Proszę bardzo. – Paloma wyciągnęła do niej ramię.
- Dziękuję pięknie.

Widloróg obróciła się i sięgnęła do tyłu drugą ręką. Sofi podała jej nadgarstki, a Paloma złapała je mocno i wspólnie zbiegły ze stoku.

Sofi miała wrażenie, że Paloma wyrwie jej ramiona z barków, a ułamek sekundy później frunęła już przed siebie z oszalamiającą prędkością. Widloróg zbiegała po niemalże pionowym zboczu, trzymając podskakującą za jej plecami Sofi, która dotykała ziemi może raz na dwadzieścia kroków towarzyszki. Biegły szybciej, niż gdyby spadały. Dotarły na dół, zanim Sofi przypomniała sobie o oddychaniu.

– Nic ci nie jest? – krzyknęła Paloma przez ramię, gdy sunęły przez równinę.

– Wszystko gra! – odrzyknęła Sofi, nawet za bardzo nie kłamiąc. Ciekawe, jak szybko biegły, może na pół gwizdka, znając możliwości Palomy? Ale wciąż dziesięciokrotnie szybciej, niż byłaby w stanie pobiec Sofi, i wrażenie było niesamowite. Gdyby dowódczyni mogła spędzić jeden dzień jako ktoś inny, byłaby właśnie Palomą.

Nieopodal na wschodzie spostrzegły zostających w tyle badlandzkich owslan. Jeźdźcy na łośiach oraz Biegacz Równin byli coraz bliżej. Kobiety przebiegły między długonogimi zwierzętami. Badlandczycy zdążyli tylko zrobić zdziwione miny. Minęły warczące, kłapiące paszczami wilki dźwigające rufę jednostki, zrównały się z nią, wtedy Paloma zwolniła, a Chogolisa złapała Sofi za ramię i wciągnęła ją na pokład. Paloma wybiła się mocno i wskoczyła sama, lądując w przysiadzie z jedną dłonią płasko na deskach, a drugą wyciągniętą za plecami. Zupełnie niepotrzebna, ale za to jakże efektowna zagrywka.

Udało im się.

Na dziobie stał na palcach Finnbogi, machając ramionami i kiwając głową, dokładnie tak jak robią to gołębie. Sofi zachwiała się i wsparła o poręcz. Nigdy nie była tak blisko wybuchnięcia śmiechem. Obok Finnbogiego stał Eryk wykrzykujący polecenia, a nieopodal – Ottar, gapiąc się na chłopaka, śmiejąc i klaszcząc, jak to Ottar.

Finn dobrze się sprawił.

Ojciec i syn wprowadzili pojazd na jeden z szerokich bizonich szlaków, a więc z dala od niespodzianek w postaci wystających skał lub klifów. Biegacz wspinał się teraz na łagodne zbocze podziurawione norkami piesków preriowych. Na widok wehikułu zwierzątka falami chowały się pod ziemią.

Reszta owslanek i Wotan stała przy burtach, żeby równomiernie rozłożyć ciężar. Gdy planowali ucieczkę, Eryk do znudzenia tłumaczył im, dlaczego to takie ważne.

Łabędzia Cesarzowa Ayanna karmiła dziecko, wsparta o burtę. Skinęła Sofi głową, a Sofi odpowiedziała tym samym. Yoki Choppa także kiwnął głową na przywitanie. Chogolisa i Luby wpatrywały się w nią z szerokimi uśmiechami na twarzach. Były tu też pozostałe kobiety, wszystkie wyraźnie uradowane jej widokiem. Jedynymi osobami, które się nie przywitały, byli Sitsi Pustułka i Kif Berserk, stojący obok siebie na tyłach jednostki i obserwujący pogoń. Mały palec Sitsi stykał się z małym palcem Kifa w miejscu, gdzie ich dłonie spoczywały przy sobie na burcie. Co tu się dzieje? – zdziwiła się Sofi.

Podeszła do nich na szeroko rozstawionych nogach, by nie stracić równowagi na falującym łagodnie pokładzie.

Dwieście kroków za rufą nadganiali ich wolno, lecz nieuchronnie badlandzcy owslanie i sześcioro Pustych Dzieci, których wielkorogi wciąż biegły o wiele szybciej niż zwykłe owce.

Sztyletozębnej kawalerii ani widu, ani słychu. Zresztą Sofi nie spodziewała się jej zobaczyć. Była dość pewna, że Rappa Hoga prędzej zginie, niż złamie dane słowo. Jeśli można ocenić kogoś w kilka uderzeń serca – a Sofi uważała, że czasem można – to kobieta, której powierzył dowodzenie, również była z tych honorowych. A więc niezależnie od tego, czy Hoga doszedł do siebie, czy nie, Sofi nie spodziewała się zobaczyć na horyzoncie wielkich kotów.

– Sitsi, ile strzał ci zostało?

– Pięć.

Sofi zaczęła układać w głowie plan pokonania Badlandczyków, gdy nagle przerwał jej dobiegający z północnego wschodu wrzaskliwy ryk. Był to dźwięk, który rozpoznała od razu. Niósł się od badlandzkiej fortecy i brzmiał coraz głośniej i głośniej.

Nadchodziły królewskie jaszczury.



Rozdział 2

FINNBOGI GOŁĄB

Tansy Burna stała u boku Rappy Hogi na krawędzi badlandzkiego masywu. Ich sztyltozębne koty kręciły się za ich plecami, wkurzone, że nie ma tu ani jednego suchego miejsca, na którym mogłyby się wylegiwać.

Patrzyli na łosich jeźdźców i dwie owslanki goniące za Biegaczem Równin. Od wschodu łączyło się z pogonią sześć królewskich jaszczurów.

– Śmiało sobie poczynają, jedni i drudzy – powiedziała Tansy.

– Dogonią ich jaszczury.

– Na pewno, ale oni wychodzili już cało z niejednej opresji. Jeśli istnieją ludzie zdolni pokonać królewskie jaszczury, albo przynajmniej

im uciec...

Rappa Hoga zwrócił się do niej:

– To brzmi tak, jakbyś chciała, żeby udało im się zbiec.

– Ależ skąd. Są wrogami Badlandów. Jeden z nich o mało co nie zabił Bobrocześka. Nigdy bym... – Dopiero teraz zauważyła grymas na jego twarzy. – Ależ... Rappo Hogo, a czy ty chcesz, żeby im się udało?

Przeszył ją spojrzeniem swoich ciemnych oczu. Patrzył długo. Hulający po równinie wiatr wspiął się po skałach na górę i rozwał jego długie czarne włosy.

– Jesteśmy Badlandczykami – powiedział po chwili. – Rozkazano nam złapać uciekinierów i to właśnie spróbujemy zrobić.

– A więc ruszamy?

– Nie. Czekamy do południa. Tak jak obiecałem.

– Oni jadą w kierunku Czarnych Gór.

– Tak.

– Biegacz Równin będzie musiał ominąć masyw od południa, żeby później skręcić na zachód, w stronę gór. Gdybyśmy tam na nich zaczekali...

– Nie. Podążymy tym samym szlakiem co oni.

– Ale może uda się odciąć im drogę. Mają nad nami przewagę. Nigdy ich nie złapiemy, jeśli...

– Już podjąłem decyzję.

– Ty naprawdę chcesz, żeby uciekli.

– Wystarczy, Tansy Burno.



Sassa Gryziwarga siedziała oparta o lewą burtę, kołysząc się w rytmie wyznaczonym przez pędzącą jednostkę. Jedną ręką trzymała pionowy słupek barierki, drugą złożyła na brzuchu.

Gdy wystrzeliła ostatnią strzałę, poczuła ostry ból po prawej stronie brzucha, który wkrótce zelżał, ale odzywał się tępo, gdy tylko się poruszyła. Nadwyreżyła mięsień, przekonywała samą siebie. Z dzieckiem wszystko w porządku. Wcale nie umiera, podczas gdy ona może tylko siedzieć i czekać...

Nie! Wiedziała, że jej dziecko nie żyje! Zabiła je tym głupim skakaniem

wte i wewte i strzelaniem, kurwa, z łuku!

Zacisnęła mocno powieki, chcąc odpędzić łzy, a potem otworzyła je i wwierciła się spojrzeniem w cesarzową, karmiącą synka przy przeciwnej burcie.

Sassa powinna teraz być w Harówce z mamą, która powiedziałaaby jej, że nie dzieje się nic złego i żeby przestała się gorączkować. Ale nie, jej mama była teraz z bogami, Sassa zaś jechała bogowie wiedzą dokąd z idiotycznie przystrzyżonymi włosami, atakowana przez demony, potwory i przez samą tę popieprzoną krainę, a wszystko dlatego, że ta pokręcona baba kazała ich zabić! W dodatku ma tak wielki tupet, że siedzi sobie jak gdyby nigdy nic pośród ludzi, których bliskich wyróżnili jej żołnierze, i popisuje się tym, jaka jest szczęśliwa, trzymając w ramionach swoje śliczne i zdrowe dziecko.

Na wschód od Matki Wody Sassa zabiła dwóch ludzi. Zamordowała ich. Od tamtej chwili mordowała regularnie, ostatnio dziś rano, ale czy można nazwać to mordowaniem, skoro ci ludzie próbowali zabić ją? A Garth? Gartha zabiła, kiedy sam próbował zabić Finnbogiego, więc bogowie przymkną na to oko. Ale to nie zmieniało faktu, że z zimną krwią zabiła Hrolfa. Milion razy usprawiedliwiała się sama przed sobą, ale gdyby zdobyła się na szczerłość względem siebie, przyznałaby, że zabiła go, bo nie lubiła, jak obłapiał ją wzrokiem, i bo była pewna, że ujdzie jej to na sucho. I wiedziała, że gdyby mogła cofnąć się w czasie i stanąć przed tą decyzją jeszcze raz, zabiłaby skurwiela po raz drugi.

Sens opowieści był taki: mordowała już wcześniej i odpuszczała sobie. Wmawiała, że to wszystko wydarzyło się w przeszłym życiu, hen za Matką Wodą. Teraz jest na drugim brzegu swojego życia, a wszystkie przewinienia zostały na pierwszym.

Ale wszystko wskazywało na to, że znowu postawi na nim stopę, gdy zamorduje Ayannę. Uciekali przed potworami, dziecko w jej ciele było martwe, tak jak jej rodzina, a winę za to wszystko ponosiła calnijska cesarzowa. To sprawiedliwa kara.

Nagle ukłucie bólu sprawiło, że aż podskoczyła. Co to było! Co z dzieckiem?

Nie wolno jej skupiać się na tym, mówiła sobie, bo wybuchnie płaczem i wszyscy się dowiedzą. A poza tym, na wypadek gdyby okazało

się, że maleńki człowiek w jej ciele jednak przeżył, powinna mimo wszystko zachować spokój.

Postanowiła skupić się na problemach poza ciałem i wstała, by zobaczyć, jak przebiega ucieczka.

Ta decyzja nie pomogła jej ochłonąć.

Badlandzcy owslanie i Puste Dzieci zmniejszyli odległość od Biegacza do pięćdziesięciu kroków. Kawał drogi za nimi, przynajmniej kilkaset kroków, widać było gigantyczne królewskie jaszczury. Pościg był coraz bliżej.

Sofi, Sitsi, Kif i Wulf stali na rufie, pomiędzy beczkami pełnymi pajaków, które przedły włókna dla gołębi. Pozostali byli tam, gdzie kazał im być Eryk, żeby równo rozłożyć ciężar na dziwnej, lądowej łodzi.

– Na pierwszym jaszczurze jedzie Bobroczyłek! – zawołała Sitsi.

Sofi kiwnęła głową.

– Zastrzel pięcioro Pustych Dzieci strzałami, które ci zostały.

Sitsi napięła łuk.

– Nie! – sprzeciwił się Eryk, trochę biegnąc, a trochę potykając się na rozkołysanym pokładzie. – Nie zabijamy dzieci.

Sofi westchnęła cierpliwie.

– Wkrótce znajdą się dość blisko, żeby dosięgnąć myślami gołębi. A kiedy to nastąpi, zatrzymają Biegacza, a wy zostaniecie zdeptani przez potwory. Jeśli dopisze wam szczęście i umrzecie szybko.

Sassa zwróciła uwagę, że Sofi mówiła „wy”, a nie „my”. Owslanka najwyraźniej nie miała zamiaru nadstawiać karku za Wotan. Jak bardzo muszą zepsuć się stosunki między nimi, żeby Calnianki porzuciły ich na pastwę Badlandczyków? Pewnie niewiele bardziej, niż są zepsute obecnie...

– Nie możemy kupić własnego życia za cenę życia dzieci – spierał się Eryk.

– Jest ich sześcioro. Nas osiemnaścioro. Sześć do osiemnastu. Z moralnego punktu widzenia mamy, uważam, pełne prawo.

Eryk rozejrzał się po pokładzie, licząc pod nosem.

– Siedemnaścioro! – zawołał tryumfalnie.

– Pominąłeś Calniara.

– Calniara? Kim, na Hel, jest Calniar?

– Dzieckiem Ayanny.

– A, no tak. Osiemnaścioro.

Sassa lubiła teraz Eryka nieco mniej. Mężczyźni rzeczywiście mieli w dupie dzieci.

– Tak czy inaczej – podjął Złośnik – nie wolno ich zabijać. Spróbuj, a będziesz miała ze mną do czynienia.

– I ze mną! – odezwał się Wulf.

Sofi westchnęła.

– Na razie poczekaj, Sitsi. Ale jeśli choć jeden z gołębi obniży lot, pięcioro z nich jest trupami.

– A to ostatnie?

– Może Finnbogiemu uda się obronić przed tym jednym. W przeciwnym razie Paloma będzie musiała pobiec i zlikwidować go z bliska.

– Będę? – spytała Paloma.

– Będziesz.

Sofi Tornado rozejrzała się po Biegaczu Równin wzrokiem twardym jak stal, z której wykuto młot Wulfa. Była bezwzględna, zaprawioną w bojach wojowniczką, dla której zabijanie było rzeczą tak normalną jak zjedzenie śniadania.

To zimne, wojownicze spojrzenie napotkało wzrok Sassy. Sassa sama próbowała wyglądać jak wojowniczka. Była gotowa do walki. Wcale nie była dręczoną paranoją kobietą w ciąży, przerażoną, że dziecko umarło w jej ciele. Sofi przeskoczyła wzrokiem do Ayanny i jej syna, a potem wróciła do Sassy.

Ona wie. Ona wie, że Sassa nosiła się z myślą zamordowania jej cesarzowej.

Sofi podeszła do łuczniczki. Wyraźnie rysujące się w jej ciele mięśnie świadczyły o wielkiej sile, a jednocześnie o ponadprzeciętnej zwinności. Szła twardo po ruchomym pokładzie, emanując gracją dzikiej kocicy. Każdy jej ruch obwieszczał, że jest szczytowym osiągnięciem alchemicznej magii i morderczego treningu. Była bez wątpienia najwspanialszą istotą ludzką, jaką Sassa widziała w życiu.

Ta chodząca wspaniałość stanęła nad nią. Sassa wzdrygnęła się. Sofi osadziła jej rękę na ramieniu. Gryziwarga pomyślała, że wyrwie je

z barku, więc uniosła rękę do szyi, lecz Sofi tylko nachyliła się do niej, aż jej usta dzieliło od ucha Sassy pół cala. Słowo daję, pomyślała łuczniczka, ona aż pachnie siłą.

– Twoje dziecko żyje – usłyszała szept. – Jest całe i zdrowe, rozwija się prawidłowo. Jeśli to się zmieni, natychmiast ci o tym powiem. Ale się nie zmieni. Dzieci są twardsze, niż ci się wydaje.

Sofi wróciła na swoje miejsce, a Sassa zamrugła oszołomiona. Położyła rękę na brzuchu. Czy czuła bicie serca? Tak jej się wydawało. Uśmiechnęła się, łzy zebrały się w kącikach oczu.

Powiodła wzrokiem do Ayanny, tulącej do piersi synka. Nagle poczuła się lekka. Patrzyła na matkę karmiącą dziecko. Może i kazała ich zabić, ale wciąż jeszcze nie miała okazji ich poznać. Jeśli jednak czyny, których Sassa dopuściła się po drugiej stronie Matki Wody, zostały jej wybaczone, to może sama powinna spojrzeć na Ayannę łaskawszym okiem.



Finnbogi Zbuk nie był już Finnbogim Zbukiem. Tylko gołębiem. Nawet nie Finnbogim Gołębiem. Po prostu gołębiem.

Zastanawiał się, czy nie wzlecieć wyżej, czy nie zapikować w dół, może obniżyć nieco lot, ale ilekroć te myśli zakołatały w jego głowie, zaraz przypominał sobie, że to nie o to tu chodzi, tylko o stado, o stanowienie jego nieodłącznej części. Wreszcie był częścią czegoś! Lecieli razem, byli jednością. Mógł sobie latać i latanie było w porządku, ale wciąż niczym w porównaniu z wszechogarniającą radością, którą czerpał z bycia małą częścią wielkiej całości. Która w dodatku niebawem znacznie się powiększy! Przed nimi, na zachodzie, żyło niesamowicie liczne stado. Musieli tylko lecieć naprzód i...

– W lewo, Finn! W lewo! – zadzwonił w jego głowie głos, który znał. Był to głos poparty autorytetem. Wiedział, że powinien – że oni wszyscy powinni – robić to, co im ten głos każe.

Zgodził się, wszyscy się zgodzili, więc obniżyli skrzydło i skręcili płynnie w lewo.

– Znakomicie! – pochwalił go głos, sprawiając Finnbogiemu, im wszystkim przyjemność. Dobrze, że skręcili, bo dzięki temu znaleźli się

bliżej wielkiego stada i z każdą chwilą skracali dzielącą ich odległość.

– Możesz przyspieszyć? – spytał głos kogoś, kogo darzył szacunkiem.

Pewnie tak, pomyślał Finnbogi i oni wszyscy. Zatrzepotali mocniej skrzydłami i wówczas...

Nie! A to co?

Chcemy skręcić! – powiedzieli inni.

Chcemy? Nie, nie, nie. Inni są na zachodzie – zagruchał Finnbogi. Najpierw musimy polecieć na południe, a potem skręcić na zachód.

Ale czuł, że reszta skręca w złym kierunku. Nic dziwnego, że nie zdołał ich przekonać. Nie był w końcu przewodnikiem stada, lecz tylko jednym z wielu. Teraz sam chciał skręcić, choć przecież wiedział, że nie powinien. Czy może powinien? Skoro wszyscy chcieli, to widocznie tam właśnie powinni lecieć.

– Zawróć, Finn! Zawróć, dasz radę! – krzyczał głos. Ale nie, to nie był głos gołębia, to nie był głos jednego z nich. Gołębie chciały skręcić, a Finnbogi był gołębiem, gołębie zaś były nim. Teraz liczyło się wyłącznie to, by zmienić kierunek lotu, a na samą myśl o tym serce rosło w jego piersi.

Dołączył do skandowania tysięcy głosów:

Zawróć! Zawróć na północ! Zawróć!



– Sitsi, zastrzel piątkę Dzieci. – Sofi niechętnie wydała ten rozkaz, wiedząc, że Eryk będzie oponował. Nie dbała o te dziwne dzieci na ich owcach czy kozłach, troszczyła się wyłącznie o ludzi, których starała się wyprowadzić z Badlandów. Puste Dzieci niebezpiecznie zbliżały się do Finnbogiego, a dziób wehikułu zaczął zwracać się na północ, z powrotem w kierunku badlandzkiego masywu. Sądząc po tym, jak sam Finnbogi również przechylił się na północ, Puste Dzieci dorwały i jego.

– Nie zastrzelisz ich! – warknął Eryk, biegnąc do niej z dziobu. Zabrzmiałby może bardziej władczo, gdyby chybotanie wehikułu nie zmusiło go do zygzakowania jak pijak, który próbował kiedyś przebiec na drugą stronę placu Innowaka podczas jej występu na arenie.

– Hej, Sofi – zawołała Gunnhilda Pobożna ze swojego miejsca przy prawym nadburciu. Owslanka zignorowała ją. Jeden kłopotliwy Wotanin

to i tak o jednego za wiele. Nie miała teraz zamiaru słuchać drętwych frazesów Pani Darmozjadowej.

– Eryku, nie mamy wyjścia.

Złośnik dobył maczugę.

Wulf opuścił swoje miejsce przy barierce, by stanąć obok Eryka z Gromem w dłoni.

– Nie zmienię zdania – orzekła Sofi. – Jeśli będzie trzeba, obję was obu. Sitsi, ognia.

– Sofi, posłuchaj mnie! – krzyknęła Gunnhilda.

Obejrzała się na nią.

– Co?

– A może zastrzelcie wielkorogi, a nie dzieci? Wszyscy jemy mięso, czyż nie, Eryku? Chyba przedłożysz nasze życie nad życie zwierząt?

Genialne w swojej prostocie.

– Sitsi, wielkorogi – szczeknęła do łuczniczki.

Chwilę później pięć owiec zaryło o ziemię, a ich mali jeźdźcy stoczyli się z ich grzbietów.

Sofi skinieniem podziękowała Gunnhildzie. Dlaczego sama o tym nie pomyślała?

Jedno Puste Dziecko wciąż jechało wśród nagich, rozpędzonych owslan. Najwyraźniej nie zauważyło, że jego kompani leżą na trawie za jego plecami.

Niestety, choć bizoni szlak skręcał na zachód, gdzie leżały Czarne Góry, Biegacz wciąż obracał się na północ. Wychodziło na to, że jedno Puste Dziecko wciąż miało przewagę nad Finnbogim. Sofi da mu jeszcze kilka chwil na odzyskanie kontroli nad stadem, a potem wysłała Palomę, by zabiła ostatnie zwierzę. Owslanie jakby odgadli jej zamiar i skupili się wokół wielkoroga.

– Na zachód! – krzyczał Eryk do Finnbogiego, wracając na dziób. – Musimy skręcić na zachód!



Północ, północ, wszyscy skręcamy na północ.

Finnbogi lubił machać skrzydłami, machanie było cudowne, ale manewr skręcania jeszcze cudowniejszy. Najlepsze w nim było to, że

wykonywali go, bo wszyscy tego chcieli. Ledwie już pamiętał, jak to było nie chcieć. Ależ musiał być głupkiem. Było ich tak wiele i wszyscy poruszali się w doskonałej harmonii.

– Na zachód! – usłyszał wołający głos.

Chwila. To dlatego nie chciał skręcać! Przecież to właśnie na zachodzie fruwało wielkie stado gołębi, a dołączenie do nich będzie jeszcze przyjemniejsze niż wspólne wykonanie manewru. Okrążyli już przeszkodę, która zmusiła ich do lotu na południe, więc teraz mogli wreszcie ruszyć na zachód, w kierunku gigantycznego stada.

Słuchajcie wszyscy! Lecimy nie w tę stronę! Musimy skręcić na zachód!

Z góry spadło na niego coś ciężkiego, zmuszając go do obniżenia lotu. Potem jeszcze raz, aż znalazł się poza stadem! Walczył, by utrzymać się w powietrzu. Musiał jak najszybciej wrócić do swoich braci. Z dwóch stron leciały na niego dwa kolejne gołębie. Zwolnił i odleciał na bok, unikając pierwszego, a potem przyspieszył, by nie zderzyć się z drugim, ale włókno przy kostce szarpnęło go w tył i pazur zaciął go w twarz.

Upadł. Musnął skrzydłami trawę, ale tym razem włókno mu pomogło, podrywając w tył i w górę. Z wysiłkiem walczył o odzyskanie wysokości, o powrót na ciepłe łono stada. Dlaczego go atakowali? Po prostu musiał wrócić do swoich!

Wcale nie musisz. Nie jesteś jednym z nas. Oponujesz. Nie chcesz skręcić na północ. Masz zły wpływ na resztę stada. Rozbij się o tamten kamień. Zabij się.

No to siup, pomyślał, korygując kurs. Miło było, czas umierać.

Gdy rzucił się w pojedynkę na spotkanie śmierci, doznał druzgoczącego wrażenia samotności i przypomniał sobie o wielkim stadzie na zachodzie. Musiał zjednoczyć oba stada.

Nie zabiję się! Zatrzepotał skrzydłami i pofrunął w górę.

Jeden z gołębi rzucił się na niego, jego szpony wbiły się w krawędź lewego skrzydła. Zamachał prawym jak szalony, ale wówczas zaatakował go kolejny ptak i przebił je szponami.

Dwa gołębie sprowadziły go w dół, coraz niżej i coraz dalej od stada. Poczucie straty towarzyszące opuszczeniu pobratymców było o wiele silniejsze od bólu spowodowanego zagłębieniem się w ciele ostrych

pazurów.

Trzy ptaki opadały w stronę skalnego wzniesienia, a gdy znalazły się blisko, zanurkowały ostro.

Rzucił się, ale gołębie mocno trzymały go za skrzydła. Próbował zrobić coś nogami, ale okazały się krótkie i bezużyteczne. Napastnicy byli poza zasięgiem jego dzioba. Gruchał z wściekłością, ale nic to nie dało.

Zawołał do pozostałych. Nie doczekał się odpowiedzi. Wiedział dlaczego. On też to czuł. Pragnienie lotu na północ było nieodparte, niemalże wszechogarniające, ale tylko niemalże. Wiedział, że powinni lecieć na zachód. Musieli znaleźć inne stado. Liczebność, liczebność ponad wszystko – tylko to jest ważne!

Mylisz się. Musisz umrzeć. Zabij się.

Stado krzychało na niego milionem głosów i... – miało rację! Skąd pomysł, że mógłby mieć słuszność, skoro ich było milion, a on był jeden? Jednostka się nie liczyła. A jeśli na dodatek nie zgadzała się z resztą stada – była wprost bezużyteczna. Mało tego, stanowiła zagrożenie dla reszty. A więc nie ulegało wątpliwości – stado ma rację. Musiał się zabić. Dla dobra wszystkich.

Puście moje skrzydła, przyjaciele – powiedział do swoich prześladowców. Wróćcie do naszych i nie traćcie na mnie czasu. Dziękuję, żeście wskazali mi drogę.

Doskonale – odparli. Oszalałeś, ale przynajmniej twój ostatni czyn będzie czynem szlachetnym.

Ptaki puściły jego skrzydła.

Finnbogi złożył swoje i zanurkował na główkę w kierunku skały. Czaszki gołębi były cienkie. Nie powinno bardzo boleć.

Ale zaraz, skąd wiedział to o gołębih czaszkach? I skąd wiedział, że sam jest gołębiem? Coś pyknęło mu w głowie. Nie! To on miał słuszność, stado musi lecieć na zachód. Rozbicie się o skałę to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę.

Ziemia mknęła mu na spotkanie. Rozpostarł skrzydła, za wszelką cenę chcąc spowolnić lot. Ale było za późno. Uderzy o skałę, i to mocno.

Na zachód wszyscy! My wszyscy! – zagruchał, spadając. Nawet w swoich ostatnich chwilach troszczył się o stado. Tam są nasi!

Skąła rosła w oczach. Finnbogi machał gorączkowo skrzydłami. Rozbije się, nie miał co do tego wątpliwości.

Zdołał się obrócić, żeby wystawić szpony naprzód, i uderzył o skałę.

Impet odebrał mu dech, stracił kilka piór, ale chyba nic sobie nie złamał. Kilka regenerujących kiwnięć głową i był gotów do lotu. Stado leciało dalej, tysiące i tysiące jego braci i sióstr, wciąż kierujących się na północ. Musi to zmienić.

Gruuu! Giń, zdrajco stada! Gruuu!

Jeden gołąb pikował prosto na niego, celując dziobem w głowę. Spadał prędko, z morderczą intencją.

Ale Finnbogi nauczył się robić uniki.

W ostatniej chwili zatrzepotał skrzydłami. Dał się słyszeć zduszony trzask, gdy napastnik zademonstrował, jak cienkie są w istocie gołębie czaszki.

Bracia! Siostry! – wołał Finnbogi, wzlatując w górę. Na zachód! Mówię wam, to tam znajdziemy naszych! Powitają nas z otwartymi skrzydłami! Nasze stado spotężnieje, rozrośnie się, będzie nas tak wiele, że większość nigdy już nie zobaczy nieba ani ziemi. Nie będziemy wiedzieć, czy to dzień, czy noc, bo wokół nas będą nasi pobratymcy, setki i tysiące, jeden obok drugiego.

Masz rację – powiedział głos stada wypływający z tysięcy i tysięcy gołębih umysłów. Wracaj do nas, wejdz między nas, skrećmy na zachód. Na zachód!



– Paloma – powiedziała Sofi – będziesz musiała zlikwidować to ostatnie Puste Dziecko.

Sofi wskazała postać na wielkorogu, który galopował w kordonie biegnących na złamanie karku badlandzkich owslan. I zupełnie jakby wypuściła strzałę z własnego palca – dziecko zachybotowało się i spadło z wierzchowca, który pobiegł niezrażony dalej. Zaległo nieruchomo na ziemi i wkrótce zniknęło w tumanie kurzu.

Biegacz Równin zatrzeszczał, gdy gołębie obróciły go przodem na zachód.

– Kiedy się tego nauczyłaś? – zdziwiła się Paloma.



Rozdział 3

NADZY MEŹCZYŹNI I OWSLAŃSKA ŚMIERĆ

Sitsi Pustułka przetrząsnęła całego Biegacza Równin w poszukiwaniu broni miotającej. Nie znalazła nic poza elementami okrętu, które gdyby nie mieli innego wyjścia, mogliby odłamywać, by ciskać nimi we wroga. Nie żeby kilka kawałków drewna wyrzuciło badlandzkim owslanom jakąś krzywdę, o jaszczurach nie wspominając.

Skorygowali kurs, tak by kierować się na zachód z minimalnym odchyłem na południe. Sitsi była całkiem pewna, że to właściwy kierunek.

Wiedziała, że Czarne Góry leżą jakieś siedemdziesiąt mil na zachód od Badlandów. Uczyła się o Zielonym Plemieniu, które je zamieszkiwało, wiedziała więc, że jego członkowie są wrogami Badlandczyków, którzy

nie ośmielają się zapuszczać do kniei porastających Czarne Góry.

Tylko że nie miała pewności, czy jej informacje są aktualne i czy w ogóle były kiedyś zgodne z prawdą. Nie byłby to pierwszy raz, gdy wędrowiec bazarz wprowadził w błąd cesarskich geografów. Badlandczycy mogli wybić lub zniewolić Zielone Plemię, lub nawet wejść z nim w sojusz. A może ci cali Zieloni są jeszcze gorsi od Badlandczyków? Może w ich puszczech czekają na Calnian i Wotan jeszcze większe okropności? Może to dlatego Badlandczycy nigdy nie zapuszczają się w ich Zielone Góry? Powiedziała pozostałym, że te góry są bezpieczne, a oni uwierzyli jej na słowo. Czy powinna z nimi o tym pomówić?

Może później, bo w chwili obecnej o wiele pilniejszym problemem byli badlandzcy owslanie, przybliżający się do Biegacza z każdym krokiem. Ośmiu było podobnych do siebie – sprawni młodzi mężczyźni, nadzy i nieuzbrojeni, biegnący z podobną prędkością bez oznak zmęczenia. Dziewiąty się wyróżniał. Był mniej więcej tego samego wzrostu, ale nad jego czołem sterczały rogi jak u wielkoroga. Jasnoczerwona skóra wokół nich oraz sącząca się ropa sugerowały, że wprawiono mu je w czaszkę, i to niezbyt umiejętnie. Sitsi zastanawiała się, czy korzysta z nich w walce. No cóż, wkrótce się przekona.

Dzięki zmianie kursu stracili z oczu królewskie jaszczury, a przynajmniej na razie. Wciąż dobiegał ich osobliwy wrzaskoryk, ale bestie nie skracały dystansu. I dobrze, bo problem owslan można było rozwiązać tylko w jeden sposób.

– Prędzej czy później będziemy musieli się zatrzymać i z nimi walczyć, co? – spytała Pustułka.

– Wolę się nie zatrzymywać. – Sofi wyglądała na zmartwioną, a nieczęsto podobny wyraz gościł na jej twarzy. Sitsi bardzo się to nie podobało.

– Coś cię gryzie? – Wulf przeciął pokład i podszedł do nich, balansując na szeroko rozstawionych nogach.

– Eryku, nie możemy jechać szybciej? – krzyknęła Sofi.

– Nie wydaje mi się – odparł tamten.

– A więc przesądzone – westchnęła Sofi do Wulfa. – Owslanie powinni dogonić nas na odcinku najbliższych kilku mil. Jeśli nie są w ciemną bici,

a zakładam, że nie są, zaczną zabijać wilki niosące Biegacza, który się wówczas zatrzyma. Może zdołamy pokonać owslan, a może nie. Oni również są napompowani magią, a w dodatku jest ich więcej. Lecz jeśli, jak przewiduję, unieruchomią Biegacza, to zaraz dogonią nas jaszczury. Wówczas będziemy mieli przejebane jak stąd do Calnii.

– A gdybyśmy tak schowali się przed jaszczurami?

– Niegłupie, tylko że wtedy stracimy przewagę czasu nad jeźdźcami sztyletozębów, które wyniuchają nas w sekundę. Nie, musimy dzisiaj dostać się do Czarnych Gór, a dokonamy tego, jedynie utrzymując tempo. Nie wolno nam więc dopuścić, żeby Biegacz się zatrzymał.

Wulf kiwnął głową. Sitsi wiedziała, że zdawał sobie sprawę z tego, iż Calnianki mogą w każdej chwili opuścić Wotan, by ratować własną skórę. Miała nadzieję, że docenia to, jak bardzo się poświęcają, i że sytuacja nie zmusi żadnej z nich do jeszcze większego poświęcenia.

– Czyli co robimy? – spytał Wulf.

– Chogolisa, Paloma, Sitsi, Luby i ja staniemy do walki z Badlandczykami. Finnbogi zwolni nieco, żebyśmy zdołały was dogonić, jak już się z nimi uporamy.

– Pójdę z wami. Kif, Eryk i Thyri także.

– Nie.

– Nie lubię się spierać, Sofi, ale hirdmani prędzej zginą, niż pozwolą innym toczyć za nich ich bitwy.

– Eryk musi kierować Finnbogim.

– Sassa poradzi sobie równie dobrze – krzyknął Eryk od dziobu. – Jej też posłucha. Sassa! Chodź tutaj i szepnij Finnowi do uszka, żeby skrzył trochę w lewo, a potem trochę w prawo.

Zrobiła to, podziałało.

– Nie podoba mi się, jak się szczyrzy, gdy mówię mu, co ma zrobić. – Sassa zmarszczyła nos.

– Nie przejmuj się tym. Jest teraz gołębiem i myśli jak gołąb. – Eryk przeszedł na rufę. – Idę z wami.

Sofi westchnęła.

– Dobra. Chogolisa i Wotanie, stańcie przy drugiej burcie. Luby, Paloma, Sitsi, wy tutaj. Sassa, każ Finnowi trochę zwolnić. Na mój znak ruszamy.

Sitsi podbiegła do Sassy, by znów pożyczyć nóż, a potem dołączyła do przyjaciółek. Wulf tłumaczył Wotanom i Chogolisie, w jakiej formacji mają się ustawić – w trójkącie z Chogolisą na przodzie.

Sofi milczała. Ona nie będzie ustawiać owslanek w żadnej formacji. Walczą indywidualnie.

Sitsi wspięła się na burtę.

Badlandczycy pojęli, co się święci, jak jeden mąż wyszczerzyli zęby w uśmiechu i popędzili ich ruchem rąk. Byli sprawni, byli młodzi, byli natchnieni alchemiczną magią. Ich pewność siebie to nie czcze przechwałki.

Czy to aby na pewno dobry pomysł? – zastanowiła się Sofi.

– Do ataku! – krzyknęła.



Sitsi Pustułka wylądowała z Sofi po jednej oraz z Luby i Palomą po drugiej stronie. Nie mogła wymarzyć sobie lepszego miejsca.

Badlandzcy owslanie zwolnili do chodu i rozdzielili się na dwie części. Czterech ruszyło na grupę Sitsi. Pozostała piątka, łącznie z rogaczem – na Wotan i Chogolisę.

– Rozproszyć się – rozkazała Sofi.

Ich nagość dekoncentrowała Sitsi, ale patrzyła na ich ciała bez przyjemności. Wzmagały tylko natrętne wrażenie osobliwości, bo wszyscy byli do siebie bliźniaczo podobni, jakby wyszli spod ręki tego samego rzeźbiarza. Sitsi uznała, że muszą być braćmi, może trzema grupami trojaczków jakiejś bardzo pechowej kobiety. A kto wie czy czasem wszyscy nie przyszli na świat tego samego dnia. Kroczyli sprężysto i pewnie, upiornie uśmiechnięci. Wyglądali jak weseli nieznajomi, którzy chcą zapytać o drogę, a nie jak banda krwiożerczych sadystów.

Nagle ruszyli naprzód, jeden na Palomę, jeden na Luby, dwóch na Sofi.

Sitsi miała ułamek chwili, by poczuć się obrażoną, że ją pominęli – pewnie dlatego, że jest najniższa – nim szok wypędził jej z głowy wszystkie myśli.

Ci dwaj, którzy zaatakowali Sofi, prawie natychmiast powalili ją na ziemię. Złapali najlepszą wojowniczkę na świecie za ramiona, podcięli ją

nogami i wbili w grunt. Każdy z napastników jedną ręką trzymał ją mocno za nadgarstek, a drugą uniósł wysoko, zamierzając się na jej twarz.

Sitsi nie miała czasu, by patrzeć, jak sobie radzą Paloma i Luby. Przyskoczyła do pierwszego Badlandczyka i wbiła mu nóż w kark.

Przestał młócić pięścią twarz Sofi, lecz zamiast paść na ziemię i umrzeć jak normalny człowiek, okręcił się błyskawicznie, a jego ramię strzeliło w bok i palce zacisnęły się na szyi Sitsi. Uniósł wojowniczkę w górę bez najmniejszego trudu.

Pustułka szamotała się bezskutecznie. Nie mogła uderzyć go ręką ani kopnąć. Ani oddychać.

Uśmiech Badlandczyka jeszcze się poszerzył. Zacisnął palce.



Ayanna obserwowała przebieg bitwy z rufy Biegacza, tak jak Gunnhilda, Bodila i dzieci. Kawalek dalej siedział pochylony nad swoją miską Yoki Choppa. Wilki biegły przed siebie, najwyraźniej pogodzone z losem, bo nie było już słyhać ich warczenia ani szczekania.

Cesarzowa zakrztusiła się powietrzem, gdy Sofi padła na ziemię, okładana kułakami przez dwóch Badlandczyków. To przecież niemożliwe, a przynajmniej dotąd tak myślała. Gdy Sitsi rzuciła się, by ją ratować, jeden z badlandzkich owslan podniósł ją jedną ręką, jakby nic nie ważyła. Ach, pomyślała Ayanna z ulgą, teraz Sofi wstanie i ich... Tylko że nie wstała. Napastnicy trzymali ją przy ziemi, raz po raz tłukąc po twarzy.

Luby Zefir sprowadziła jednego do parteru i zmagali się na ziemi w kłębach kurzu. Paloma toczyła z drugim walkę na pięści, biegając tu i tam, wybijając się mocno, by zadawać z wysokoku druzgocące ciosy.

Wotanie i Chogolisa radzili sobie lepiej. Stali w ciasnym trójkącie, którego przedni kąt tworzyła Chogolisa z solidną kłodą w rękach. Po lewej stał Eryk z maczugą i Thyri z tym swoim długim ostrzem, po prawej Wulf z młotem i Kif z długim toporem. Badlandczycy przyskakiwali do nich i odskakiwali, próbując wcisnąć cios w lukę w gardzie.

Jeden z nagusów chciał rozbić formację, przeskakując nad rozpędzoną

kłodą Chogolisy, ale Kif trafił go w brzuch sztychem topora i mężczyzna wyrznął o ziemię.

Ale zaraz się podniósł i ponowił atak, nie zważając na wylewające się z jego rozoranego brzucha wnętrzności. Szczęściem zaplątał się we własne jelita i znowu się przewrócił.

Ayanna wróciła wzrokiem do swoich kobiet, uchwyciła skaczącą po drzewach Palomę, za którą zwinnie jak mała mknął nagi Badlandczyk, lecz wówczas Biegacz Równin skręcił i walczący zniknęli jej z oczu.

Cesarzowa rozejrzała się po pokładzie. Finnbogi wciąż machał ramionami na dziobie, z zaangażowaniem odgrywając rolę gołębia. Przy nim stała Sassa, wyglądająca niebezpieczeństw na drodze. Bodila i Gunnhilda znajdowały się przy burcie, Ottar i Frejdis wrócili na miejsca w połowie pokładu, które wyznaczył im Eryk. Chłopiec zawzięcie tłumaczył coś swoim szopom, a jego siostra podziwiała widoki i śpiewając, plotła warkocz.

Dlaczego zapragnęła śmierci tych ludzi? To nie byli niszczyciele światów, gotowi utopić Calnię w morzu krwi. Z całą pewnością nie grali też w jednej drużynie z Badlandzyczkami. Gdyby nie wysłała swoich owslanek, by pozabijali tych honorowych i niewinnych obcych, Chippaminka nie rzuciłaby na nią uroku. Może, tak jak wierzyli Goachikowie, Wotanie byli ulubieńcami bogów i wszystkie nieszczęścia, które spadły ostatnio na jej cesarstwo, były karą za to, że ośmieliła się ich zaatakować? Powinna była zrezygnować, gdy Kimaman, jej kochanek i ojciec Calniara, zginął, najeżdżając Harówkę. Powinna była zrozumieć, że był to zły znak, ostrzeżenie samego Innowaka.

Zwróciła się do Yokiego Choppy... ale Yokiego Choppy nie było. Ayanna poszukała go wzrokiem na pokładzie. Starzec rozplątał się w powietrzu.



Sofi robiła unik za unikiem. Nie miała pojęcia, jakim cudem ją powalili, ale teraz wsłuchiwała się uważnie w świst wyprowadzanych ciosów, dzięki czemu mogła ich unikać, przynajmniej na razie. Sitsi włączyła się do walki, biorąc na siebie jednego z dwóch agresorów, lecz ten drugi natychmiast nogami przyszpilił ręce Sofi do ziemi. Zagryzła

zęby ze złości, gdy pojęła, że jest od niej silniejszy i o wiele cięższy, niż powinien być mężczyzna jego wzrostu.

Wiła się i szarpała, ale nie mogła się spod niego wyrwać. Za plecami Badlandczyka jego koleżka wyduszał życie z wiszącej w jego rękach Sitsi. Sofi musiała coś zrobić, i to szybko.

Sfrustrowana, źle oceniła kolejny cios i Badlandczyk sieknął ją mocno w zuchwę. Zaskoczenie wybiło ją z rytmu na tyle, że spóźniła się z kolejnym unikiem i oberwała w mostek. Uchyliła się przed dwoma następnymi uderzeniami, ale już wolniej, mniej zgrabnie, i dostała w czoło. Ból oślepił ją dosłownie na moment, ale to wystarczyło, by prawy hak Badlandczyka zetknął się boleśnie z jej skronią.

Potwornie silne palce zacisnęły się na jej szyi i zaczęły ją miażdżyć. Ramiona miała unieruchomione. Rzuciła się w prawo i w lewo, ale owslanin był zbyt ciężki. Wierzgnęła dolną połową ciała, chcąc zahaczyć go nogami, ale był zbyt daleko.

Mroczyki zamigotały jej przed oczami, myśli zasnęła gruba warstwa chmur. Nie jest dobrze.



Eryk wpatrywał się w wyszczerzonego Badlandczyka z rogami na czole. Z czego wszystkie te badlandzkie chuje tak się cieszą?

– Utrzymać szyk! – ryknął Wulf.

Kif wybebeszył jednego, Chogolisa połamala nogi drugiemu, ale mieli jeszcze przed sobą trzech, a Erykowi bardzo się nie podobało spojrzenie tego rogatego drania.

Jakby na potwierdzenie tych obaw, rogaty zaszarżował bykiem prosto na Eryka. Wotanin zamachnął się maczugą, ale mężczyzna dał nura pod pędzącym obuchem i przywalił mu głową w brzuch.

W następnej chwili Złośnik poczuł grunt pod plecami. Rogaty złapał go za koszulę i poderwał głowę, ewidentnie chcąc przywalić mu z byka. Eryk wolał tego uniknąć. Owslanin zajrzał mu głęboko w oczy, jakby chciał nasycić się tą chwilą, a potem, ponieważ był badlandzkim gnojem, błysnął zębami w uśmiechu.

Coś trzasnęło. Uśmiech skurczył się. Badlandczyk zezował na otwór, który pojawił się w samym środku jego czaszki.

– Rogaty, poznaj mojego przyjaciela z czasu żelaza! – krzyknął Gruby Wulf, wyprowadzając drugi cios Gromem.



Luby Zefir zamierzyła się oboma mieczami na Badlandczyka, ale ten odskoczył poza ich zasięg, a potem przypadł do Luby, złapał ją za ręce i wgniół w ziemię. Obsydianowe ostrza wypadły jej z palców i złapała mężczyznę w pasie. Zaczęli toczyć się po ziemi i siłować. Luby przyłożyła owslaninowi pięścią w szczękę, ale prawie tego nie zauważył. Trafiła go palcem w oko, lecz mężczyzna uśmiechnął się, jakby mu się to podobało. Zaczął odpierać jej ataki. Był silniejszy, szybszy i śliski jak piskorz. Luby była w ciemnej dupie.

Z trudem podniosła się na nogi. Gdyby tylko udało jej się skryć między tamtymi drzewami, mogłaby skorzystać ze swoich umiejętności i zniknąć. Chciała to zrobić, ale Badlandczyk złapał ją za stopę i Luby znowu wyrznęła o ziemię. Obrócił ją na plecy i oburącz złapał za głowę. Nic nie mogła zrobić, była obezwładniona.

Kurwa mać, pomyślała, gdy szarpnął i skręcił jej kark. Wciąż widziała, co się dzieje. Wiedziała, że nie oddycha i że niebawem umrze. Jedynym plusem potrzaskanego kręgosłupa jest to, że człowiek nie czuje bólu.

Widziała, jak inny Badlandczyk trafił Sofi w skroń i jak kolejny dusi Sitsi.

Czy to koniec owslanek?

Przypomniała sobie wszystkie występy na placu Innowaka. Zabijanie tych ludzi to była rozrywka, jakby tylko owslanki istniały naprawdę, a oni zostali stworzeni jedynie po to, by zabawiać złąkniony krwi tłum. Nigdy nawet przez sekundę nie myślała, że role mogą się odwrócić.

Ale to działo się naprawdę. Luby uznała, że prędzej czy później na każdego przychodzi koniec i już.

Gdy świat odpłynął nie wiedzieć gdzie, Luby zadała sobie pytanie, czy jej rodzice dowiedzą się kiedyś, jak zginęła, i co powiedzą znajomym. Uznała, że pewnie by się za nią wstydzili.



Ayanę wyrwał z zamyślenia głos Ottara Niemowy, który z emfazą paplał coś, zupełnie niezrozumiale, do swojej siostry. Frejdis rozdziawiła usta na pełną szerokość, a potem po jej policzkach spłynęły łzy i wstrząsnął nią płacz. Ottar też zaczął płakać.

Sassa i Finnbogi byli zbyt zajęci kierowaniem pojazdem, a Bodila i Gunnhilda, patrzące za burtę, nie usłyszały płaczących dzieci.

Ayanna podeszła do nich z Calniarem na rękach. Wehikuł nieco zwolnił, więc było jej łatwiej iść.

– Co się stało, mała dziewczynko? – spytała.

Frejdis Złośliwa pociągnęła nosem i podniosła na nią lśniące od łez błękitne oczy.

– Stało się coś złego – załkała.

Ayanna poczuła, że i w jej gardle wzbiera płacz. Kucnęła i wykonała zapraszający gest ręką.

– Chodźcie tu do mnie oboje.

Ottar i Frejdis pobiegli i uściskali ją. Jacy oni drobni! Czują ich unoszące się klatki piersiowe, gdy płakali, wtuleni w nią i w Calniara. To nie byli piewcy zagłady zza morza, tylko niewiele starsze od jej synka dzieci, które przeszły przez piekło, a wszystko to z jej winy.

Zastanawiała się, co je tak zasmuciło, ale nie chciała jeszcze pytać. Przytuliła je mocniej do piersi i pozwoliła swoim własnym łzom kapać na złotą główkę Frejdis.



Sofi potrząsnęła głową i otworzyła oczy. Nagi Badlandczyk uśmiechał się do niej, wznosząc pięść do ciosu. Targnęła się, ale bezskutecznie. Mężczyzna spojrział na swoje krocze, a potem na nią. Jego uśmiech jeszcze się poszerzył. Poruszył znacząco brwiami, jakby chciał powiedzieć: „Spójrz tylko, co tu mam”. Sofi podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła wielki, wzwiedziony, podskakujący znacząco członek.

No nie, tego już za wiele.

Szarpnęła się z całych sił, ale Badlandczyk tylko się szczyrzył. Pięść drgnęła i ruszyła w jej stronę.

Śmignął nad nimi jakiś cień. Usłyszała dźwięk kojarzący się odlegle z odgłosem wybuchającej purchawki. Badlandczyk zamachał rękami

i spadł z niej, drąc się i do krwi drapiąc twarz paznokciami.

Sofi skoczyła na równe nogi i ujrzała Yokiego Choppe wysypującego do dmuchawki coś ze swojej alchemicznej miski. Wzrok miał skupiony na robocie, skrzywione usta znamionowały całkowitą koncentrację.

Zza pleców runął na niego inny Badlandczyk. Sofi puściła się biegiem, ale wiedziała, że nie zdąży.

Czarnoksiężnik uchylił się przed ciosem, po czym nie zmieniając wyrazu twarzy, buchnął napastnikowi w twarz tajemniczym proszkiem. Badlandczyk zaskomlał i padł na ziemię. Yoki Choppa pobiegł tam, gdzie kolejny owslanin siedział na Sitsi.

– Sofi! Potykajka! – krzyknęła biegnąca w jej stronę Widłoróg z ostatnim Badlandczykiem na ogonie. Raptem zatrzymała się, przypadając do ziemi, a owslanin potknął się o nią i poleciał naprzód, gdzie czekała już Sofi z toporem. Trzasnęła go z impetem w skroń i mężczyzna rypnął o ziemię.

– Paloma, upewnij się, że nie żyje! – Sofi musiała sprawdzić, co z resztą.

Mężczyzna, który jeszcze niedawno przyduszał Sitsi do ziemi, wrzeszczał przeraźliwie i drapał twarz po tym, jak zajął się nim Yoki Choppa. Sitsi gramoliła się z wysiłkiem na nogi.

Dziesięć kroków dalej Gruby Wulf młotem wytłukł resztki życia z jednego ze swoich owslan.

Ten, który przedtem siedział na Sofi, teraz leżał na ziemi. Wciąż żył, sądząc po pieniającej się na ustach krwi, ale wydrapał sobie oczy i zerwał nos.

Gdzie jest Luby?

Sofi znalazła ją leżącą twarzą do ziemi na posłaniu z żółtych i niebieskich kwiatów.

– Luby? – powiedziała cicho. – Luby?

Nie słyszała oddechu ani bicia serca. Złapała przyjaciółkę za ramię i delikatnie obróciła na plecy. Głowa Luby opadła na bok. Skręcony kark. Oczy jej lśniły, ale na twarzy zastygł uśmiech, jakby umarła szczęśliwa.

Dowódczyni owslanek poczuła, jak w jej wnętrzu pęcznieje wielka kula żalu. Potrząsnęła głową, zdusiła smutek, zamknęła przyjaciółce oczy i wstała.

– Sitsi? – zawołała.

– Nic mi nie jest – wychrypiała łuczniczka z otwartymi szeroko oczami. – Mógł mnie zabić ot tak, ale nie spieszył się... To było naprawdę straszne, ale nic mi nie jest. Dziękuję, Yoki Choppo.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami. Sofi również zawdzięczała mu życie, ale później mu podziękuje.

– Czy ktoś jest ciężko ranny? Czy ktoś nie może biec?

– Nam nic nie jest, jakby co – zawołał Wulf.

– Chogoliso, weź Luby. Palomo, pomóż najwolniejszym. Reszta, ruszajcie za Biegaczem Równin, zwawym kłusem, ale bez przesady. Jeśli odczujecie zmęczenie...

Przerwał jej ryk królewskiego jaszczura. Potem kolejny i jeszcze jeden. Były o wiele bliżej, niż sądziła.

– W drogę.



Rozdział 4 KRÓLEWSKIE JASZCZURY

Dwie mile później Sofi Tornado siedziała oparta o burtę Biegacza Równin z głową Luby Zefir na kolanach, wsłuchując się w dudniący krok nadbiegających królewskich jaszczurów.

– Idziemy po was! – To był Bobroczek, który dosiadał jednego z potworów. Skurwiel wiedział, że Sofi go słyszy. – Poważnie rozważałem, czy nie darować wam życia. Bawicie mnie, a prawie nic już mnie nie bawi. Ale zabiliście moich chłopców. Nie mogliście po prostu zatrzymać się i poddać jak ludzie? Teraz będę musiał rzucić was na pożarcie moim zwierzaczkom. Z wyjątkiem ciebie, Sofi. Ciebie sobie zatrzymam.

Nie słuchała go nawet. Z zadowoleniem wywnioskowała tylko, że jest zbyt ranny, by na własnych nogach dotrzymać potworom tempa. Bobroczek nie był typem, który dosiadałby wierzchowca, gdyby mógł biec dumnie na czele, jak przystało na wodza. No i nie ulegało wątpliwości, że gdyby był w stanie, walczyłby wraz ze swoimi owslanami. I dobrze mu tak.

Spojrzała na piękną i bladą twarz Luby. Zabije Bobroczełka albo umrze, próbując. Jego rany powinny ułatwić sprawę. Nie będzie silić się na honorowy pojedynek. Po prostu rozsmaruje gnoja po całym Morzu Traw.

Sitsi oszacowała, że od Czarnych Gór dzieli ich może dwadzieścia mil, a od jaszczurów – najwyżej pół. Stwory były niesamowicie szybkie, więc dogonią ich na długo przed osiągnięciem przez nich celu. Sofi nie słyszała, by jechali za nimi jeźdźcy, co musiało oznaczać, że Rappa Hoga nie rzucał słów na wiatr, ale już z samymi jaszczurami będą mieli pełne ręce roboty. Obmyśliła kilka planów działania, nie zdecydowała jeszcze, który wprowadzi w życie. Wszystkie zakładały konieczność poświęcenia.

Westchnęła, delikatnie opuściła głowę Luby na pokład i wstała.

Bizoni szlak biegł przez rozległą dolinę aż do samych Czarnych Gór, przechodząc przez wąski przesmyk w niskiej, ale stromej skarpie. Idące nim stado bizonów odbiło na południe. Niebo na północy przecinały klucze dzikich gęsi, nieprzeliczone stado widłorogów wspinało się po zboczu. Płaskie dno doliny było porośnięte trawą i gdzieś tam znaczyły je podmokłe plamy – stanowiło odmianę po wyboistym, lesistym terenie, przez który przedzierali się od jakiegoś czasu. Przez niebieskie niebo wyciągały się białe palce wiszących nisko chmur. Opuścili już Morze Traw. Pomimo niełatwej sytuacji Sofi odczuła ulgę. Nie uroni łzy, jeśli już do końca życia nie będzie musiała patrzeć na prerię.

Ale i tak wolałaby ją od widoku sześciu potężnych jaszczurów, które właśnie pojawiły się za nimi. Całe szczęście, że Bobroczek zabrał ze sobą tylko sześć z dwunastu monstrów. Ale na tym szczęście się kończyło, bo z tego, co Sofi słyszała o nich od Luby, wystarczyłby mu jeden.

Poszła na dziób Biegacza. Eryk, który stał teraz przy tylnej barierce, obrócił się i zaczął coś mówić – pewnie o tym, że zaburzy idealne

rozłożenie ciężaru na pokładzie, jeśli nie cofnie się na swoje miejsce – ale ujrzał wyraz jej twarzy i umilkł.

Sassa Gryziwarga wciąż kierowała Finnbogim i nawet nieźle jej szło. Przed pojazdem radośnie trzepotały skrzydłami gołębie. Nieustający deszcz odchodów sprawiał, że wyglądały jak płynąca nisko po niebie deszczowa chmura. Jak niżej lecące ptaki unikają tego potoku gówna? – zastanawiała się Sofi. A może wcale nie unikają?

– Jak się czuje Finnbogi? – spytała Sasse.

– Jest zmęczony, ale chyba dociągnie do gór. Choć pewności nie mam. Nie znam się za bardzo na ludziach kontrolujących ptaki mózgiem.

– Dobrze sobie radzi.

– Tak. A...? – Wotanka położyła rękę na brzuchu i szerzej otworzyła oczy. Sofi słyszała bicie serca jej rosnącego jak na drożdżach dziecka. Małe serduszko pracowało tak szybko, że może by się zaniepokoiła, gdyby codziennie nie słyszała takiego samego rytmu u ciężarnych kobiet, które mijała na ulicach Calnii. Oto kolejne życie, które Sofi musi uratować.

Potrząsnęła głową. Jak to się stało, że w tak krótkim czasie zmieniła się z morderczyni w wybawicielkę? Ratowanie jest o wiele trudniejsze od zabijania i nawet w połowie nie tak zabawne.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Sassa.

– Z tobą wszystko w porządku. Jeśli coś się zmieni, powiem ci o tym, ale jak już mówiłam, wszystko będzie dobrze. Chyba że zje cię królewski jaszczur.

– Przykro mi z powodu Luby – powiedziała Wotanka całkowicie szczerze.

– Mnie też.

Sofi wróciła na miejsce, przygotowując się w duchu na nadchodzące wielkimi krokami – takimi jak obszerne susy królewskich jaszczurów – starcie. Plan, który dawał największą szansę zabicia potworów, kończył się śmiercią wszystkich owslanek. Pozostałe, nie tak dopracowane, kończyły się śmiercią dwóch lub trzech z nich. Nie udało jej się wymyślić takiego, z którego ona sama wyszłaby cała. Wkurzające. Choć ciekawiło ją, co czeka na nią w przyszłym życiu, chciała najpierw wycisnąć jeszcze trochę z obecnego.

Spojrzała w dół, na biegnące wilki. Eryk twierdził, że zwierzęta nie były zmęczone. Wyglądało na to, że tak jak wszystko w Badlandach, zostały wzmocnione alchemicznymi miksturami.

– Sofi – zwrócił się do niej Eryk.

– Już nie będę się kręcić.

– Ja nie o tym. Udało mi się porozumieć z pajakami w beczkach. Okazało się, że to całkiem proste, gdy nie ma w pobliżu Pustych Dzieci.

Eryk starał się zachować powagę, ale Sofi widziała, że z trudem hamuje uśmiech. Najwyraźniej wpadł na jakiś fantastyczny pomysł i chciał czym prędzej olśnić kogoś własnym geniuszem.

– Są bardzo podobne do pszczół, które trenowałem jeszcze u Lakchanów – podjął. – Trzeba tylko...

– Do rzeczy, Eryku. – Nie była w nastroju do słuchania o jego osiągnięciach na polu pszczelarstwa.

– Wybacz. Krótko mówiąc, rozmawiam z nimi od jakiegoś czasu i jak chcę, potrafię być bardzo przekonujący. Nie uwierzysz, jak bardzo beeby nienawidzą jaszczurów. Wiedzą, że są wybrykiem natury. Mówią, że ich czas już przeminął, więc nie mają prawa chodzić po ziemi.

Liczyła na coś więcej niż tylko to. Oczywiście sama rozważała posłanie pajaków do walki z jaszczurami, ale nawet gdyby nie rozlazły się tylko na wszystkie strony, nie wyrządzając nikomu krzywdy, to i tak skóra potworów była na tyle gruba, że nie dało się jej przebić nawet włócznią, a przecież pająki nie są w stanie poradzić sobie choćby z drewnianym talerzem.

– I co z tego, że nienawidzą? Nie zdołają ich pokąsać.

– Nie od zewnątrz... – zawiesił głos i uniósł brew.

– Eryk, streszczaj się.

– Pająki wiedzą, że nie przegryzą się przez ich skórę. Wiedzą też, że królewskie jaszczury mają absurdalnie wielkie paszcze oraz że mogą się do nich dostać. Muszą wskoczyć na ich łapy i pobiec w górę, a potem wleźć do środka, znaleźć miękki kawałek ciała i wgryźć się właśnie tam.

– Poważnie? Pająki wiedzą takie rzeczy?

– Właściwie nie wiem. I nie wiem, czy wszystkie udało mi się przekonać. W każdym razie pracuję nad tym.

– Czy ktoś może ci pomóc?

– Myślę, że jeśli już, to tylko Finn, ale on jest...
– Nikt inny?
– Nie.
– Masz. – Znikąd pojawił się Yoki Choppa. – Zjedz to. – Wyciągnął w jego stronę rękę. W palcach trzymał pączki jakiejś rośliny.
– Co to jest?
– Pomoże ci się skupić.
Eryk otworzył usta, zapewne chcąc spytać, czemu czarnoksiężnik nie dał mu tego w Badlandach.
– Znalazłem to, gdy walczyliśmy z owslanami – wyjaśnił, zanim padło pytanie.
Eryk zrobił, jak mu kazano, po czym usiadł i zamknął oczy.



Dotarli do przesmyku. Biegacz Równin zwolnił, gdy gołębie zaczęły z mozołem wyciągać go z doliny. Jaszczury były już w połowie zagłębienia i mknęły w ich stronę przez płytkie jezioro, wzbijając fale i płosząc chmary wodnych ptaków.

Sofi zobaczyła Bobroczałka uczeplonego szyi ostatniego jaszczura.
– Nie powinnaś była uciekać – powiedział, wyraźnie zasmucony. – Pomyśleć tylko, jakie wspaniałe plany snułem dla ciebie. Z tobą i Chippaminką u boku moglibyśmy wzbogacić ten świat. Szkoda, że...
Sofi przestała go słuchać.

Biegacz przelazł przez zrąb kotliny i zaczął przyspieszać. Czarne Góry zarysowały się przy horyzoncie ciemną, nieregularną linią. Krajobraz na zachód od doliny znów zaczął przypominać płaską, znienawidzoną prerię, ale porośnięte lasem pagórki oraz wzniesienia obiecywały większą różnorodność w trakcie dalszej drogi na zachód. Sofi wieki nie była w górach, a bardzo je lubiła. Miała nadzieję, że będzie jej dane zobaczyć z bliska te widoczne na horyzoncie.



Łabędzia Cesarzowa Ayanna spoglądała na wotańskie dzieci gapiące się na dinozaury. Chłopiec miał wybałuszone oczy i rozdziawione usta,

dosłownie pochłaniał olbrzymy wzrokiem. Frejdis trzymała go za rękę, jej twarz naznaczona była trwożliwym smutkiem.

Dlaczego, dlaczego Ayanna zadurzyła się w Chippamince? Dlaczego okazała słabość? Mogła oczywiście wymyślić całe mnóstwo wymówek, mogła obwiniać, kogo tylko chciała, ale fakty mówiły same za siebie – była słaba, a powinna być silna. Luby Zefir zdołała przełamać urok, by ją ratować, a teraz nie żyła.

Frejdis powiedziała coś do Ottara, a chłopiec potwierdził skinieniem. Ayanna wiedziała, że nie zniesie widoku umierających dzieci Wotan, a co dopiero – swojego własnego. Zrobi, co tylko zdoła, by je ocalić.



Paloma Widłoróg biegła z powrotem na wschód. Zbadła właśnie odcinek drogi na zachód od Biegacza Równin. Z wyjątkiem dziwnego stada jeleni, które przepłoszyła ot tak, dla zabawy, teren był czysty. Bizoni szlak wiódł do doliny i wychodził z niej, wnikając między góry, gdzie powinno już być bezpiecznie. Nie wiedziała, czemu niby miałyby tam być bezpiecznie, ale tak powiedziała Sitsi, a Sitsi wie wszystko.

Biegła nawet szybciej niż zwykle, próbując wyrzucić z siebie żalobę po Luby i chcąc wrócić na czas, by wspomóc towarzyszy w walce z królewskimi jaszczurami.

Pokonała wzniesienie i jej oczom ukazało się stado gołębi ciągnących Biegacza Równin. Nie widziała jeszcze samego wehikułu. Równie dobrze ptaki mogły wlec za sobą zawalony trupami wrak.

Wreszcie dostrzegła pojazd z Calnianami i Wotanami, bezpiecznymi na pokładzie. Tyle że od jaszczurów dzieliło ich już niespełna sto kroków, więc bezpieczeństwo, jak widać, było względne.

Na Innowaka, te potwory są wprost zadziwiające. O wiele większe od największych zwierząt, jakie w życiu widziała. Ale choć potężne i silne uda oraz olbrzymie szczęki o imponującym rozstawie rzeczywiście budziły przestraszanie, to te dziwne, witkowate łapki objadające się komicznie o ich potężne cielska niczym chude ramiona wypacykowanego paniczyka, które nigdy nie skalały się wysiłkiem, mogły budzić śmiech. Czy raczej budziłyby, gdyby nie należały do stwora, który mógłby połknąć w całości dorosłego mężczyznę.

Paloma zbiegła ze wzgórza i wskoczyła na pokład. Wotanie i Calnianie skinęli jej ponuro na powitanie, oprócz Finnbogiego, który dalej machał rękami niczym umęczony ptak wracający do domu z ciepłych krajów po forsownym locie przez ocean. Prawdopodobnie wszyscy niebawem zginą. Szkoda. Paloma robi, co w jej mocy, by jednak przeżyć. Jeśli wszystko pójdzie nie tak i stracą szansę na zwycięstwo, spierdoli stąd, aż się będzie kurzyć, ciągnąc za sobą Sofi i Sitsi. Nie zdoła ocalić Chogolisy, Yokiego Choppy ani żadnego z Wotan. Smutne, ale prawdziwe.

– Droga czysta aż do samych gór! – zawołała Paloma. – Szkoda, że na tej za nami taki tłok!

Sofi kiwnęła głową i zwróciła się do Eryka:

– Jak myślisz, teraz?

Odstęp stu kroków niebezpiecznie się kurczył.

– Co chcecie zrobić? – zaciekawiała się Paloma.

– Spróbujmy – przystał Eryk. – Chogoliso?

Zadrzyziemia podniosła jedną z beczek z pajakami. Była duża, niemal tak wysoka jak Paloma. W rzeczy samej dostatecznie wielka, by pomieścić połowę pajaków potrzebnych do tkania włókien, którymi przywiązuje się gołębie do dziobu Biegacza.

Paloma zrozumiała, co chcą zrobić, ale nie była pewna co do zasadności planu. Pajaki nie przebiją grubej skóry potworów.

– Tak wysoko, jak tylko ci się uda – poinstruował ją Eryk.

– Nie – zaoponowała Sofi. – O ziemię, żeby się rozbiła.

Chogolisa wykonała polecenie.

Beczka poszła w drzazgi, a z jej wnętrza buchnęła masa pomarańczowych pajęczaków. Chwilę później wbiegł w nie pierwszy jaszczur, a reszta pomknęła jego śladem.

Patrzyli.

Jaszczury dalej parły naprzód.

Czego oni się spodziewali, do licha? – nie rozumiała Paloma.

– Sitsi? – rzuciła Tornado.

– Sporo pajaków oblazło pierwszego i kolejnego jaszczura. Pełzną w górę.

Paloma wlepiła wzrok w biegnące monstra. Rzeczywiście, małe pomarańczowe punkciki wspinały się po nogach pierwszego potwora.

– W dupy im powłają czy jak? – prychnęła.

– Cholera, czemu sam na to nie wpadłem? – Eryk wydawał się rozczarowany samym sobą. – Z drugiej strony chyba mocno je zaciskają. Nie wiem nawet, gdzie mają otwór.

– Sitsi? – powiedziała Sofi.

– Oblazły tylko te dwa.

– Szlag by trafił.

Pierwszy jaszczur zorientował się, że po jego ciele biegają setki pajaków. Ryknął i zaczął opędzać się witkowatymi łapkami, zrzucając je z piersi. Paloma pomyślała, że na jego miejscu zrobiłaby dokładnie to samo.

– Sporo wlało mu do pyska, gdy wył! – powiedziała Sitsi.

Monstrum zarzuciło klocowatym łbem, rozwarło szczęki i wydało z siebie przeraźliwy dźwięk, jakby to wielki kot próbował zwymiotować kulę kłaków, która splątała mu się w żołądku. Bezskutecznie usiłował wypluć pająki, mało tego, coraz więcej ich wlało mu do środka.

– Rzuć drugą, Chogoliso – rozkazała Sofi. – Celuj w punkt dziesięć kroków za pierwszym jaszczurem.

Beczka pofrunęła łukiem i łupnęła o ziemię. Pierwszy jaszczur nie próbował już zrzucić z siebie beeb i wszystkie siły skupił na pogoni za Biegaczem Równin. Wyglądało na to, że połknięcie pięćdziesięciu jadowitych pajaków nie odbiło się w żaden sposób na jego kondycji. Przebiegł przez drzewo, rozwalając je w drobny mak i nawet nie zwalniając.

– Istnieje oczywiście możliwość, że jad beeb nie działa na królewskie jaszczury – zauważył Eryk. – Niektóre zwierzęta są odporne na trucizny szkodliwe dla ludzi.

Każdy krok potworów budził skojarzenie z grzmotem. Ryki niosły w sobie radość mającej się ku końcowi pogoni. Drugi łykający pająki stwór zareagował podobnie jak pierwszy: panika, kaszel jak u wieloletniego palacza fajki, a potem wznowienie biegu.

– Wszystkie pozostałe jaszczury są oblezione przez pająki – poinformowała Sitsi, jakby miało to jakieś znaczenie. – Poza tym, na którym siedzi Bobroczełek. Jemu się udało ominąć drugą beczkę.

– Calnianki, do mnie – powiedziała Sofi. – Wotanie też.

Zebrali się wokół niej.

– Czy wszyscy zgadzamy się, że naszym celem jest ocalenie Ottara i dostarczenie go na Łąki?

Większość pokiwała ponuro głowami. Paloma nie. Jej celem było dożycie spokojnej starości.

– Dobra. Jediną osobą, która zdoła bezpiecznie skryć się z chłopcem w Czarnych Górach, a potem zaprowadzić go dalej, jest Paloma. Kiedy więc jaszczury dopędzą Biegacza Równin, Paloma pobiegnie na zachód z Ottarem na barana.

– Mnie to pasuje! – uśmiechnęła się Widłoróg. – Ale co z wami?

– Jaszczurów jest sześć, do tego Bobrocłek. Nas jest więcej, a ponadto mamy wilki i w cholere gołębi. Eryku, zacznij rozmawiać z wilkami. Wmów im, że najbardziej na świecie nienawidzą jaszczurów.

– Robi się.

– Wulf. Chcę, żebyś ty, Thyri i Kif...

Ryk rozdarł powietrze na strzępy.

Przewodnik stada jaszczurów zaczął skomleć jak tysiąc obdzieranych ze skóry psów, potknął się i wyrznął o ziemię z ogłuszającym łomotem, potoczył się naprzód, młóćąc potężnymi nogami. Jedna z nich kopała szybciej, z wręcz wariacką prędkością, a potem się wyprostowała. Dał się słyszeć trzask łamiącego się drzewa, po czym olbrzymia kończyna obwisła i opadła na ziemię.

– Z drugiej strony – podjął Eryk – jest też możliwe, że pająki muszą zapuścić się daleko w głąb bestii, żeby znaleźć kawałek miękkiego ciała. Sofi... Sofi? Wszystko gra?

Tornado opadła na kolana z rękami przyciśniętymi do uszu.

Drugi grzmojaskzur ryknął w niebo, aż zatrzęsa się ziemia, a potem dołączył do niego kolejny. Jeden po drugim monstrualne jaszczury zanosily się mrozącym krew w żyłach wyciem i padały jak olbrzymie muchy.

Paloma zerknęła na dziób Biegacza. Sassa patrzyła na pokładające się bestie z otwartymi ustami, ale Finnbogi wciąż stał zwrócony na zachód, coraz słabiej machając rękami. Szkoda, pomyślała Paloma, że ominęła go śmierć królewskich jaszczurów. Ten widok wywarłby na nim wielkie wrażenie.

Wkrótce na bizonim szlaku zaległo pięć gigantycznych trucheł. Już kołowały nad nimi padlinożerne ptaki.

Chcecie przedziobać się przez skórę tych skurczybyków? – rzuciło się na myśl Palomie. Powodzenia.

Jeden jaszczur wciąż za nimi człapał. Widziała wyglądającą zza jego masywnego karku małą w porównaniu z nim głowę Bobroczałka. Wygrali pięć małych bitew, oceniła Paloma, ale on wciąż mógł wygrać wojnę.

Zwierzę kręciło się chwilę wokół powalonych towarzyszy, dzięki czemu Biegacz mógł odbić na parędziesiąt kroków. Gdy jaszczur wznowił pogoń, brakowało mu do okrętu około stu pięćdziesięciu, ale nie należało dać się rozpieszczać tak mikrej przewodze. Zwierz biegł szybciej niż poprzednio, jakby napędzała go chęć zemsty.



Gruby Wulf postukał ją palcem w ramię.

– Sofi, już przestały ryczeć!

Tornado podniosła się na nogi i zamrugwała. Ryki jaszczurów brzmiały przy jej czułym słuchu, jakby ktoś wbił jej w uszy dwa sztylety i przekręcił.

Pięć gryzie ziemię, jeden jeszcze dycha. Dobry początek, trzeba przyznać, ale Bobroczałek nie potrzebuje sześciu potworów, by roznieść ich na wszystkie strony świata.

– Paloma, daleko jesteśmy od gór?

– Na moje oko czternaście mil, mniej więcej.

Sofi pobiegła na dziób.

– Możemy pojechać nieco szybciej, Sasso?

– Nie da rady.

– Mogłabyś...

– Już i tak daje z siebie wszystko.

Wróciła na tył jednostki. Jaszczur nadgonił z pięćdziesiąt kroków.

– Mamy jeszcze jakieś beeby? – rzuciła nie wiedzieć do kogo.

– Nie bardzo – odparł Wulf.

– Tylko te tutaj – sprostowała Paloma, wskazując palcem zacienioną szczelinę w prawym rogu rufy, gdzie wcisnęło się sześć wielkich

i bladych pajaków, chcących uniknąć promieni słonecznych.

– Tylko sześć – orzekła Sofi.

– Z chęcią nam pomogą – powiedział Eryk. – Ale tym razem wszystkie muszą znaleźć się w paszczy jaszczura. Inaczej to na nic.

– Paloma, daj rękę. – Sofi wyjęła z uszytej przez Gunnhildę sakwy mięso pójdzki ziemnej. Widłoróg zrobiła minę. – Schowaj w bezpiecznym miejscu.

Pochyliła się nad pajęczą kryjówką i końcem sztyletu wgarnęła beeby do sakwy. Robiła to z uwagą i bez zbędnego pośpiechu, gotowa w każdej chwili odskoczyć, gdyby jej odsłonięta skóra znalazła się zbyt blisko szczękoczułek.

Wstała, trzymając w dłoni worek z sześcioma pajakami.

– Ktoś ma pomysł, jak otworzyć sakwę w gardzieli tamtego jaszczura, na tyle głęboko, żeby pająki go zabiły? – krzyknęła. Nie lubiła pytać o radę, ale sama znalazła tylko jeden sposób, który bardzo jej się nie podobał.

– Chogolisa mogłaby rzucić mną, celując w jego łeb – podsunęła Sitsi. – Wówczas mogłabym otworzyć sakwę i wsypać mu pająki do paszczy.

– W ten sposób nie znajdą się dostatecznie głęboko. Pewnie jaszczur je zgryzie, zanim zaczną kąsać. Jakieś inne pomysły?

Skakała wzrokiem między towarzyszami, wszyscy kręcili przecząco głowami. Wszyscy poza Bodilą, która uśmiechnęła się nerwowo i spytała:

– A co chcecie zrobić?

Yoki Choppa zbliżył się do nich i stanął obok Wotanki. Potworowi zostało tylko pięćdziesiąt kroków.

– Jeśli się zatrzymacie i zostawicie mój okręt w spokoju – powiedział Bobroczełek, wiedząc, że tylko Sofi go słyszy – to oszczędzę dzieci.

– Jeśli ty zatrzymasz się i wrócisz do Badlandów – zaripostowała Sofi – to oszczędzimy ostatniego z twoich zwierzączek.

– A zresztą co mi tam, kolejny Biegacz Równin już się buduje...

Zagłuszył go rykokrzyk królewskiego jaszczura. Sofi zatkała uszy.

– Jest jeden sposób – odezwała się niespodziewanie Ayanna, podchodząc do nich ze swojego miejsca przy barierce, gdy ryk przebrzmiał. – Ale głowę dam, że już o nim pomyślałaś.

Sofi kiwnęła głową.

– Nie musisz tego robić. – Cesarzowa uśmiechnęła się smutno. – Ja to zrobię.

– Nie.

– Nie pytam cię o zdanie, Sofi Tornado.

– W czasie bitwy nie przyjmuję rozkazów od nikogo, nawet od ciebie.

– A więc będę cię błagać.

– Odpowiedź brzmi: nie. Czy wątpisz w swoją najlepszą wojowniczkę, cesarzowo?

– A czy moja najlepsza wojowniczką wątpi w kobietę przepełnioną miłością do syna i rozpaczliwym pragnieniem zadośćuczynienia plemieniu, które zdziesiątkowała i wyprawiała wbrew woli w podróż na kraniec świata? Że nie wspomnę o rzuceniu na pewną śmierć dwudziestu tysięcy własnych ludzi i pozostawieniu imperium słabym i bezbronnym, wystawionym na atak i wieloletnią tyranie Badlandów?

Cesarzowa wytrzymała spojrzenie Sofi.

Wehikuł sunął naprzód, gnany przez zbliżającą się nieuchronnie bestię. Ayanna nie była nawet w połowie tak silna jak Sofi, ale z drugiej strony zadanie nie wymagało nadzwyczajnej siły.

– Jesteś pewna?

– Tak – kiwnęła głową Ayanna. – Daj mi sakwę i jeden z księżycowych mieczy Luby. Chogoliso! – dodała głośniejszym głosem. – Podejź tu, jesteś potrzebna.



Eryk przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Tyle przeszli i byli tak blisko celu, ale wszystkie starania i trudy mogą wziąć w łeb przez tego ostatniego jaszczura.

Nienawidźcie go, nienawidźcie – przekonywał wilki.

Nienawidzimy. Chcemy go zabić, zagryźć.

I tak się stanie, ale musicie poczekać, aż was uwolnię.

Tak się stanie, będziemy wyyyć i biegać, i skakać, i gryyyźć. Chcemyyy zrobić to teraz.

Plan Sofi zakładał, że wilki zaatakują jaszczura, odwracając jego uwagę. Wówczas Chogolisa miała cisnąć Sofi wysoko, tak by wylądowała na jego głowie i oślepiła go nożem Sassy, jednocześnie unikając ciosów

Bobroczłeka. Nie był to szczególnie dobry plan i Eryk źle się czuł z tym, że zmusza niewinne zwierzęta do walki ze stworem, który najprawdopodobniej je pozabija.

Nienawidźcie jaszczura, nienawidźcie go z całych sił – wmawiał im.

– Eryku – powiedziała Sofi i uszczypnęła go w ramię, by oderwać jego uwagę od zwierząt – spróbujemy czegoś innego, żeby obyć się bez wilków. Ale na wszelki wypadek trzymaj je w pogotowiu. Pewnie i tak będziemy ich potrzebować.

– Co zamierzasz?

Westchnęła.

– Zobaczysz.



Cesarzowa Ayanna wcale nie była taka pewna swojej decyzji. Jakże miałyby być? Chyba tylko głupiec mógłby mieć niezachwianą pewność. Sztuka polegała na tym, by przystąpić do realizacji swojego postanowienia, zanim się człowiek rozmyśli. Ludzie, którzy podejmowali w przeszłości podobne decyzje, raczej nie doczekali chwili, gdy ktoś zapytał ich po wszystkim o ich proces myślowy.

Stała na pokładzie sama. Śpiący Calniar spoczywał w ramionach Gunnhildy. Serce jej pękało na jego widok. Znała już każdą zmarszczkę na jego ciele, każdą minę, grymas i zapach. Zrobi, co w jej mocy, by przenieść te wspomnienia do swojego przyszłego życia. Zjadła tylu ludzi, że wróci na ten świat w glorii i chwale, więc nie powinna tak się bać.

A mimo to była przerażona.

Miała nadzieję, że Calniar pożyje dość długo, by wysłuchać opowieści o tym, jak zginęła jego matka, i zrozumieć, czemu to zrobiła. Miała nadzieję, że pożyje nawet o wiele dłużej i że nigdy o niej nie zapomni. A przynajmniej nie zapomni o jej poświęceniu. Marzyła, że kiedyś spojrzy on na swoje własne dzieci i powie im, że żyją dzięki poświęceniu babki Ayanny. I marzyła, że ona sama spojrzy na niego z miłością oczami swoich potomków.

Jaszczur był coraz bliżej. Ten drań Bobroczłek, uczepiony jego karku, wyglądał jak wielka narośl. Chwyciła sakwę z pajakami w jedną dłoń, palce drugiej zacisnęła na rękojeści księżycowego ostrza.

– Jestem gotowa, Chogoliso – wyrzekła do wielkiej kobiety. – Tylko wybierz dobry moment, proszę.

Potwór dobiegł już do Biegacza Równin. Górował nad nimi jak dąb nad krzewem leszczyny. Jego olbrzymie trójpalczaste nogi łomotały o ziemię trzy stopy za rufą. Nagle dało się słyszeć skomlenie i z miejsca, w którym biegły zaprzężone do Biegacza wilki, chlusnęła krew.

Potwór ryknął w niebo, pochylił się i szeroko otworzył ziejącą, najeżoną kłami paszczę, a potem ryknął raz jeszcze, dysząc nienawiścią do Wotan i Calnian.

Chogolisa wzięła rozmach i wyrzuciła Ayannę w powietrze. Cesarzowa przemknęła między rzędami ostrych zębów i wpadła w cuchnącą, wilgotną gardziel. Poczowała, jak szorstki, podobny do psiego jaszczurzy jęzor zdziera jej naskórek z twarzy i obraca nią w przepastnej paszczy, a potem spłynęła w dół przełyku, czując pod palcami mroczną, pulsującą, miążdzącą wilgoć.

Wypełniła płuca śmierdzącym powietrzem, myśląc, że to jej ostatni dech.

Mieli nadzieję, że Chogolisa rzuci ją dość daleko, tak by jaszczur połknął ją bez gryzienia, więc jak dotąd plan szedł jak z płatka. Ayanna zastanawiała się, choć nie zdradziła się z przemyśleniami, czy utonie, czy może rozpuści się żywcem w sokach żołądkowych potwora, zanim zdoła wypuścić pająki.

Gardziel kurczyła się i rozkurczała, pchając ją w głąb ciała. Przerzuciła worek do drugiej ręki i włożyła między nogi, próbując ścisnąć go na tyle mocno, by się nie zgubił, ale i na tyle luźno, by pająki nie pogryzły jej zamiast jaszczura. Chwyła ostrze Luby w prawą rękę.

Wewnątrz potwora było chłodniej, niż się spodziewała. Pamiętała, jak kiedyś trzymała swojego ojca za rękę w chłodny zimowy poranek. Patrzyli, jak łowcy oprawiają upolowanego niedźwiedzia. Jego rozplątane cielsko godzinami parowało na mrozie. Ojciec powiedział jej, że we wszystkich dużych zwierzętach płonie ogień. W tym zwierzęciu nie płonął.

Kiedy jesteś małym dzieckiem, wierzysz we wszystko, co mówią dorośli. A Calniarowi kto opowie o świecie? Ayanna miała nadzieję, że ten, kto go wychowa, okaże się człowiekiem byстрыm, troskliwym

i mądrym. Sitsi Pustułka nadałaby się jak znalazł. Powinna była oświadczyć, że życzy sobie, by to właśnie ona zajęła się edukacją małego księcia. No cóż, na to było już za późno. Ale spokojnie, Sofi zadba o niego. Porządna babka z tej Sofi Tornado.

Zamachnęła się i chlasnęła mieczem bok szyi jaszczura, a przynajmniej za szyję uznała płaską, wilgotną, kurczliwą przestrzeń, bo nie miała pewności, w którym miejscu układu pokarmowego potwora się obecnie znajduje. Ostre obsydianowe ostrze wsunęło się w ciało z łatwością. A więc tutaj było miętko. Ayanna sieknęła bronią raz jeszcze. Każde kolejne cięcie wzmagало jej satysfakcję. Czy to taki zły los odrodzić się jako robotnik? Słyszała, że praca fizyczna może być całkiem przyjemna, że odpoczywa wówczas umysł.

Ostrze napotkało przeszkodę. Sieknęła raz jeszcze, mocniej, a cokolwiek stawiało opór, pękło i chlusnęło jakimś płynem.

Wyczuła zaburzenie w miarowym rytmie kroków jaszczura. Czy się zatrzymał? Czy jej się udało? Czy uratowała wszystkich? To znaczy, że pająki są już niepotrzebne? A jeśli wciąż są potrzebne, to czy zlazła już dość głęboko, by je wypuścić?

Czuła gorąco na twarzy. Czy to ciepło ciała jaszczura, czy może kwas? Pewnie to drugie, bo uczucie gorąca się wzmagало. Tak bardzo, że aż zaczęło sprawiać jej ból. Raptem uświadomiła sobie, jak dawno już nie oddychała. Puściła ostrze, otworzyła sakwę i wywróciła ją na drugą stronę.

Pająki wypełzły na zewnątrz, kilka musnęło jej dłonie. Gorąco stało się nie do zniesienia. Czuła się tak, jakby roztopiona skóra spływała z jej ciała i kości. Wrzasnęła. Kwas wypełnił jej usta i wdarł się do gardła.



Finnbogi leciał dalej, zmachany, ale szczęśliwy z powodu odnowionego członkostwa w stadzie, niemalże ogarnięty euforią, ilekroć przypominał sobie o wielkiej chmarze ptaków na zachodzie, do których niebawem dołączą jego pobratymcy i on sam.

„Ale przecież sam wymyśliłeś to stado. Ono nie istnieje. A tak w ogóle to wcale nie jesteś gołębiem” – truł jakiś idiotyczny głos z tyłu jego głowy.

Zagłuszył ów głos gruchaniem i pogołębiował dalej naprzód.

Nad nim, pod nim i wszędzie wokoło machali skrzydłami jego niestrudzeni towarzysze. Coś poruszyło się w jego brzuchu i wycisnął z siebie strumyk ekskrementów. Ptaki pod spodem poruszyły się, jakby na komendę kolektywnego umysłu stada, i pozwoliły odchodom spaść na ziemię.

Gołębie zauważyły, że z zachodu leci w ich kierunku stadko żurawi. Jak na żurawie, stado było pokaźne, ale gdy zobaczyło chmarę gołębi, zmieniło kurs z kolizyjnego na południowy. Kilkaset ptaków nad głową Finnbogiego zesrało się ze szczęścia, że mogą być w stadzie o tyleż większym od tych kilku żurawi na krzyż. Machnął skrzydłami i przekrzywił głowę, przepuszczając potok odchodów.

Przed nami góry, droga czysta, ale gdzie to obiecane stado? – spytał kolektywny umysł nieco spanikowanym głosem.

Pewnie żeruje na ziemi – odpowiedział Finnbogi. Wkrótce dołączymy do uczty.

Tak, to ma sens – mruknęło pod dziobem milion gołębi.



Jaszczur potrząsnął głową, zwalniając na chwilę, a potem wznowił bieg. Czyżby Ayanna zginęła na próżno? Na tę myśl żołądek Sitsi wykonał salto.

Eryk, Chogolisa, Sofi i Wulf stali z tyłu na szeroko rozstawionych nogach, ściskając w rękach długie drągi, które okazały się tak skuteczne w walce z łosią kawalerią. Sitsi sądziła, że w potyczce z jaszczurem będą mniej więcej tak skuteczne jak kilka brzydkich słów, ale niestety, nie mieli nic więcej.

Potwór pędził przy samej rufie. Nie był specjalnie szczęśliwy. Kręcił głową i ewidentnie zmagał się z jakimś dyskomfortem, ale nie zwolnił. Gdy dopędził ich po raz drugi, wyglądał, jakby już uporał się z cesarzową, która stanęła mu kością w gardle, i był gotowy do rozpoczęcia jatki. Gruby Wulf rzucił się naprzód, celując drągiem w oko bestii, ale drzewce złamało się w zetknięciu z jej policzkiem. Wulf upadł na twarz. Głowa jaszczura wystrzeliła naprzód tak jak u czapli, która wypatrzyła rybę pod powierzchnią wody.

Chogolisa złapała Wulfa za nogę i szarpnęła potężnie w głąb pokładu. Paszcza królewskiego jaszczura wbiła się z trzaskiem w deski tam, gdzie pół uderzenia serca temu była głowa Wulfa.

Siedzący na karku stwora Bobroczyłk rozciągał usta w uśmiechu.

Sitsi kątem oka zobaczyła, jak Sofi Tornado rozpędza się, skacze i wbija sztylet w oko potwora. Broń utknęła w ciele, ale bestia jakby nie czuła bólu. Pomimo sterczącego ze źrenicy sztyletu udało jej się jakoś zgromić dowódczynię spojrzeniem z gatunku „lepiej byś na tym wyszła, gdybyś tego nie zrobiła”. Bobroczyłk nawet się nie poruszył, spokojny, wręcz wesoły, niczym cesarz czekający na ulubione śniadanie.

Bestia rzuciła się na Sofi, która odskoczyła z przewrotem poza zasięg potężnych szczęk. Wylądowała ciężko na pokładzie, a potwór wyciągnął szyję i otworzył pysk.

Sofi próbowała odpełznąć w tył, ale jej dłonie ślizgały się na deskach zboczonych wilczą krwią. Sitsi puściła się pędem, unosząc do ciosu nóż Sassy, ale Kif i Thyri pierwsi stanęli na drodze rozdziawionej paszczy. Berserk dźgnął stwora sztychem w drugie oko, a Thyri wraziła mu saks w chrapę.

Masywny łeb odskoczył, z paszczy dobył się ryk, który wstrząsnął Biegaczem Równin.

Ostrze Thyri wypadło z rozerżniętego nozdrza i wojowniczką złapała je zwinnie w powietrzu.

– Kiedy dupa jest zbyt daleko, żeby ją porąbać, wystarczy oko! – ryknął Kif, wymachując Duporąbem nad głową.

Wehikuł parł dalej naprzód, ale rozzłoszczony potwór bez trudu dotrzymywał mu kroku, ułożywszy ciało poziomo na wzór atakującego rekina. Wotanie i Calnianki czekali, aż bestia nadgoni jeszcze ze dwa kroki, by wygodniej było zadawać jej ciosy. Sitsi stała, nie wypuszczając z palców noża Sassy. Lepiej czułaby się z łukiem, no ale trudno.

Skoczyła wzrokiem do Palomy. Biegaczka spojrzała na swój kostur, jakby chciała spytać: „I co ja mam niby tym zdziałać?”. Sitsi uśmiechnęła się wbrew sobie.

Królewski jaszczur prawie napierał już piersią na rufę, ale nie spieszył się z atakiem, zapewne pamiętając zadane mu razy. Bobroczyłk wspiął się na jego głowę i ruszył naprzód, zachowując idealną równowagę.

Stanął na jej czubku i czekał na właściwy moment, by spaść na nich z wysoka. Nie doczekał się, bo niespodziewanie królewski jaszczur szarpnął się i zarył o grunt, a potem potoczył się naprzód i zaległ na ziemi, targany konwulsjami. Obie jego nogi drgnęły, wyprostowały się, a potem trzasnęły kości.

Biegacz Równin jechał dalej. Sitsi spodziewała się, że wódz zacznie gonić ich pieszo, ale on tylko stał i patrzył na nich. Przy swoim pokąsanym przez pająki, sparaliżowanym i miotanym drgawkami wierzchowcu wyglądał na samotnego i opuszczonego.

– Woouoooo-taaa! – zawołali Wulf i Kif. – Woou--taaa!

Reszta podchwyciła okrzyk i wkrótce darli się wszyscy, Wotanie i owslanki. Paloma, Chogolisa, Sitsi, Kif, Wulf, Thyri i Eryk skupili się w grupie, klepali po plecach, podskakiwali w jednym rytmie, skandując: „Ow-slan-ki! Ow-slan-ki!”, podczas gdy Calnianki rewanzowały się, krzycząc wyższymi, kobiecymi głosami: „Woou-ta! Woou-ta!”.

– Ow-slan-kiiiiii! – zapiszczała Sassa ze swojego miejsca przy machającym ramionami Finnbogim.

Yoki Choppa nie skandował i nie krzyczał, ale gdyby ktoś mu się przyjrzał, mógłby ujrzeć twarz wykrzywioną w delikatnym grymasie, dalece podobnym do umiarkowanego zadowolenia. Nawet Sofi Tornado uśmiechnęła się półgębkiem i powiedziała:

– Woou-ta.

Sitsi zaczęła tańczyć po pokładzie, ściskając w jednej ręce dłoń Palomy, w drugiej Kifa. Uśmiechała się tak szczerze jak chyba nigdy w życiu. Po raz pierwszy, odkąd siedemset mil na wschód pojмали ich Badlandczycy, ich życie nie było zagrożone.

Bodila, Gunnhilda i dzieci przybiegły i wspomogły ochoczy chór własnymi głosami. Gunnhilda trzymała w rękach małego Calniara. Może i zagrożenie minęło, ale ich kłopoty jeszcze się nie skończyły. Powinni pamiętać, kto poniósł najwyższą ofiarę, by ich ocalić.

– Ayanna! – wdarł się w radosne wiwaty głos Sitsi. – Ayanna!

Reszta podchwyciła okrzyk jak na komendę.

– Cicho, cicho! – zawołał Eryk po dłuższej chwili. – Wybaczcie, że zawracam głowę, ale wciąż goni nas kocia kawaleria. Starczy już tego skakania, wróćcie na miejsca przy barierkach.

Sitsi stanęła przy rufie obok Sassy Gryziwargi i Finnbogiego Zbuka.

– Czy będziemy bezpieczni w Czarnych Górach? – zdradziła się z wątpliwościami Sassa.

Sitsi przesunęła wzrokiem po ciemnej linii na zachodnim widnokręgu.

– Wiem z... pewnych źródeł, że w Czarnych Górach było coś, czego Badlandczycy panicznie się bali, więc nigdy się tam nie zapuszczali.

– Coś? A dokładniej?

– Tego moje źródła nie wiedziały.

– Więc może my też powinniśmy panicznie się bać?

Sitsi westchnęła.

– Pewnie tak. Ale mam nadzieję, że nie.



Rozdział 5 POD GÓRKĘ

Eryk Złośnik robił, co mógł, by się nie gapić. Niektóre z najstarszych harowiańskich opowieści, które przebyły wielkie morze wraz z Olafem Odkrywcą, opowiadały o górach, więc rozumiał mniej więcej, czym one są. Ale opowieści nie przygotowały go na coś tak monumentalnego.

Szlak bizonów wiódł ich przez szeroką dolinę, w której mrowiły się pieski preriowe. Zwierzątka chrobotwały i popiskiwały, zmykając z drogi Biegaczowi Równin, który trzeszczał i skrzypiał, mozoląc się pod górę. Niektóre wyglądały ciekawie ze swoich norek, inne stały wyprostowane na ich zrębach z przednimi łapkami złożonymi na piersi, całe mnóstwo

wskakiwało i wyskakiwało z dziur w ziemi, najwyraźniej połączonych skomplikowanym systemem korytarzy. Te pieski preriowe miały białe ogony, w odróżnieniu od swoich czarnoogoniastych kuzynów ze wschodu. Eryk otworzył usta, by podzielić się swoim spostrzeżeniem z Chogolisą, ale zrezygnował. Nie chciał jej zanudzać.

– Jak tak stoją, wyglądają jak małe grzmotojaszczury, nie? – powiedział zamiast tego.

Poza machającym niezmordowanie rękami na dziobie Finnbogim reszta Wotan i Calnian zajmowała wyznaczone przez Eryka pozycje przy burtach i odpoczywała. Złośnik i Zadrzyziemia siedzieli razem, majtając przerzuconymi między słupkami barierek nogami. Eryk próbował zmajstrować ze skóry mały bukłak ze smoczką dla Calniara. Skończył nakłuwać brzegi płatów i zabierał się do szycia. Wykończony, opierał się o ramię Chogolisy, która nie zgłaszała sprzeciwu.

– Może i podobne, ale dobrze, że nie tak wielkie. – Skinęła głową. – Gdyby tak było, torowanie sobie drogi między nimi byłoby cokolwiek problematyczne. Często dziękuję Innowakowi za to, że małe zwierzęta uczynił małymi.

Czarno-pomarańczowo-żółta osa wylądowała na poręczy, a potem odleciała, bzycząc.

– Wyobraź sobie osy wielkie jak bizony – zamyślił się Eryk.
– W kilka dni nie ostałby się na świecie ani jeden człowiek.
– Potrzebowałyby jakiegoś władcy, dowódcy.
– Mianowałabym się ich królową. Chogolisa Królowa Roju.
– No nie wiem. A może Eryk Król Roju?
– Nie jestem przekonana. Nie sądzisz, że Eryk Zbieracz Gnoju brzmi lepiej?
– Niezbyt. Nie jestem zbyt dobry w zbieraniu gnoju.
– To już lepiej zasiądź na tronie. Królowie nie muszą nic umieć. –
Otoczyła go ramieniem i ścisnęła.

Serce Eryka zakołatało w piersi, oblał się rumieńcem.

Biegacz toczył się rażno naprzód po coraz bardziej stromym zboczu, jednak o wiele wolniej, odkąd ospały Finnbogi wyraźnie zmniejszył tempo machania ramionami. Wotanin i owslanka siedzieli przy barierce, pokazując sobie nowe, nieznane dotąd zwierzęta – ciekawskie

rudobrunatne wiewiórki, lawendowe motyle i czarno-białe dziecięły o czerwonych główkach.

Ramię Chogolisy wciąż spoczywało na jego ramionach. Gdy gratulował jej wypatrzenia pary borsuków baraszkujących na obrzeżu lasu, poczuł, że to dobry moment, by objąć ją w pasie.

– A zauważyłeś, że te pieski preriowe mają białe ogonki? – spytała.



Dolina zrobiła się zbyt wąska, by mógł nią przejechać Biegacz Równin. Sassa kazała Finnbogiemu się zatrzymać. Gołębie opadły na ziemię szarobiałym całunem i wehikuł stanął.

Eryk spojrział za rufę, spodziewając się ujrzeć forpocztę sztylotozębnej kawalerii przecinającą dolinę w ich kierunku. A jednak dolina była pusta, jeśli nie liczyć z pół miliona piesków preriowych, które gapiły się na nich jak sroka w gnat.

A potem pojawiła się jakaś postać. Paloma. W jednej chwili była ledwie czarnym punktem w oddali, a w drugiej stała przy nich.

– Nie widziałam żadnych Badlandczyków – powiedziała. – A przynajmniej nie w obszarze dwudziestu mil wstecz. Czyli Rappa Hoga dotrzymał słowa.

Wyglądało na to, że zgubili pogoń. A przynajmniej na razie.

– Świetnie się sprawiłeś, chłopcze. – Eryk osadził masywną dłoń na ramieniu syna. – Ocaliłeś nas wszystkich.

Finnbogi mrugnął, poruszył głową po gołębiemu.

– Gruu... znaczy cieszę się. Dobrze, że już po wszystkim. Grumieram z głodu – powiedział, a potem zemdlął w ramionach ojca.

Pozwolili ptakom przedziobać pajęczę nici. Wilki były wprzęgnięte w taki sposób, że wystarczyło odpiąć jeden zaczep, by uwolnić wszystkie. Sofi kazała Palomie zostać przy okręcie i zrobić to dopiero wtedy, gdy pochód oddali się na dostateczną odległość. Najpierw jednak musieli usypać stos pogrzebowy dla Luby Zefir.

– Wiesz, że uwalniając watahę, zgotujesz tym pieskom preriowym taki sam los, jaki Bobroczyłk zgotował calnijskiej armii, kiedy uwolnił królewskie jaszczury? – spytał Eryk Sofi.

– Wolisz, żeby wilki zdechły z głodu? A może lepiej zabić je, zanim

wyruszymy?

– No cóż, wolałbym nie robić ani tego, ani tego...

– To weź się, kurwa, zamknij – rzuciła i poszła w swoją stronę.

– Nie bierz tego do siebie – powiedziała Chogolisa. – Nie miała dzisiaj dobrego dnia.

Wotanie wespół z Calniankami usypali stos w kilka chwil. Pomimo zapewnień Palomy wszyscy co rusz łypali za rufę Biegacza, jakby spodziewali się ujrzeć nie tylko oddział sztyletozębów, ale i samego Bobrocześka na czele wszystkich badlandzkich grzmotojaszczurów. Tylko dwie osoby nie pracowały przy stosie: Yoki Choppa, który zapuścił się w las w poszukiwaniu składników odpowiednich do tego, by mógł sporządzić z nich zamiennik mleka kobiecego dla Calniara, oraz Finnbogi, który siedział oparty o burtę i jadł jagody, poruszając głową krótkimi zrywami i ciągle mrugając.

Sofi ułożyła Luby na drewnianym posłaniu, ucałowała ją w czoło, odsunęła się na krok, wzięła zapaloną pochodnię i wsunęła ją między gałęzie.

Płomień rozrósł się i pochłonął młodą owslankę. Sofi wpatrzyła się w płomień. Jej twarz była jak wykuta z kamienia.

Po jakimś czasie dowódczyni odwróciła się od dopalającego się stosu i wręczyła dwa zakrzywione obsydianowe miecze Frejdis Złośliwej.

Dziewczynka podniosła na Sofi rozwarte na pełną szerokość oczy. Otworzyła usta, ale Sofi pokręciła głową, a Frejdis – jakby zrozumiała, co chciała powiedzieć dowódczyni – kiwnęła głową i przyjęła oręż. Wówczas Sofi minęła ją i ruszyła skarpą w górę. Dziewczynka pochłaniała wzrokiem przeraźliwie ostre miecze w swoich dłoniach.

– W nadchodzącej bitwie będziesz musiała odegrać przeznaczoną ci rolę, Frejdis – wyrzekła do niej Gunnhilda. – Czas, żebyś wzięła na swoje barki część ciężaru, który dźwiga nasze plemię. Kto czci własne dzieci jak bogów, ten wychowa diabły.

– Czy diabeł nie sprawiłby się lepiej na polu bitwy? – spytała Frejdis.



Wszyscy zebrali się wokół Gunnhildy, która zaimprovizowaną przez Eryka sztuczną piersią karmiła Calniara mieszanką sporządzoną przez

Yokiego Choppe. Bobas zaczął pić z entuzjazmem, ale po chwili przerwał i się rozplakał. Zaczęło się od ni to szlochu, ni to kaszlu, ale potem dziecko nabrało powietrza i zaczęło beczeć z całkowitym zaangażowaniem, jak to tylko niemowlę potrafi.

Eryk powiódł wzrokiem wokoło. Jeśli wrogowie lub ukryte w gęstwinie bestie nie spostrzegły jeszcze dymu bijącego od stosu, wkrótce ściągną je tu krzyki młodego księcia. Jak coś tak małego może tak się drzeć? I właściwie dlaczego to robi?

– Dość już wypił – powiedziała Gunnhilda w krótkiej przerwie Calniara na oddech. – Nie wiem, czy...

– Ottar chce go potrzymać – przerwała jej Frejdis.

– Nie sędzę, żeby Ottar zdołał...

Niemowa pociągnął ją za rękaw i pokiwał głową. Hugin i Munin piszczeli na nią z poziomu gruntu. Gunnhilda westchnęła i podała kwilące dziecko Ottarowi. Eryk nie słyszał, co mówiła, ale widział, jak z dezaprobatą kręci głową. Calniar przestał płakać w tej samej chwili, w której Ottar wziął go na ręce. Kilka uderzeń serca później już smacznie spał.

– Tylko młodzi rozumieją młodych – wygłosiła Gunnhilda, kiwając mądrze głową, jakby od początku zamierzała oddać mu dziecko.



Porośnięte drzewami obrzeża trawiastej doliny zeszły się na skraju wąskiego jaru. Wspinali się po coraz bardziej stromej pochyłości ścieżką biegnącą wzdłuż bystrego potoku, który rozlewał się tu i ówdzie w czarne i lśniące bajora o niemalże lustrzanych taflach. Na prawie każdej gałęzi i kamieniu siedziały małe zwierzęta. Piskliwe odgłosy wiewiórek, wibrujące bębnienie dzięciołów i inne dźwięki harmonizowały ze sobą, tworząc radosną muzykę dziczy.

Eryk wędrował u boku Chogolisy i Finnbogiego. Jego syn upierał się, że nic mu nie jest, choć przecież niedawno zemdłał. Utrzymywał, że po całym tym machaniu potrzebuje się po prostu porządniej najeść. Mimo to Eryk martwił się o niego. Finn z każdym krokiem pochylał głowę i cofał ją z powrotem, jakby szedł w rytm niesłyszalnej muzyki, i co jakiś czas przekrzywiał ją na bok, mrugając, wypisz wymaluj jak wielki,

patykowaty gołąb.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Gruu... znaczy gwarantuję, że wszystko gru. Gra.

Eryk skierował na Chogolisę zmartwione spojrzenie.

– Na pewno mu przejdzie – uspokoiła go.

Przed nimi wlokła się smętnie Frejdis, a obok niej Ottar i jego dwa szopy. Niemowa niósł Calniara w chuście, którą Yoki Choppa zawiązał jak nosidełko na ramionach chłopca. Ścieżka wiodła ich wciąż pod górę, ale miarowo, bez raptownych skoków wysokości, lecz ponieważ nie wędrowali od kilku tygodni, nawet łagodny stok dawał im się we znaki. Po krótkim czasie Ottar zaczął dyszeć i ciężko stąpać, przygięty do ziemi ciężarem Calniara.

– Chcesz, żebym cię poniosła? – zaoferowała Chogolisa.

Chłopiec przystanął i odwrócił się, kręcąc głową i wskazując po kolei na szopy i na śpiącego księcia.

– Wezmę was obu, a Hugin i Munin pójdą za mną, tak jak idą za tobą.

– Bra.

– A ja poniosę cię, Frejdis. Chcesz? – spytał Eryk.

– Nie, dziękuję, lubię tu chodzić. Bardziej niż po trawie. Finnbogi, mogę cię złapać za rękę?

Finnbogi podszedł do dziewczynki, wypinając pierś i tyłek, kiwając głową do swojego własnego ptasiego rytmu.

Pod porastającymi okolicę dziwnymi sosnami i nieznanymi im liściastymi drzewami o srebrnej korze rosło niewiele roślin. Szli głównie po gęstym dywanie opadłego igliwia, który nieznacznie ułatwiał wspinaczkę. Od czasu do czasu las otwierał się na łąkę lub polanę i wówczas ich oczom ukazywały się czerwone skały, o wiele wyższe od tych w Sercojagodowym Kanionie i nad Matką Wodą, które wywarły na nich tak wielkie wrażenie. Tutejsze miały barwę czerwieni głębszej niż krucha, wyrzeźbiona przez erozję skała badlandzkiego masywu. Wydawały się twardsze, pewniejsze i sprawiały wrażenie, jakby bogowie stworzyli je, bo byli niezadowoleni z fuszerki, jaką odwalili w Badlandach.

Gdy wychodzili na rozleglejsze przejaśnienia, widzieli przed sobą góry. Eryk nie mógł wyjść z podziwu, że może istnieć na świecie coś tak

wielkiego, co nie rozdziera nieba na strzępy. Kilka razy kłapnął raptownie ustami, gdy po dłuższej chwili uświadomił sobie, że wiszą mu otwarte jak pułapka na muchy. Nie chciał, by Chogolisa widziała go z rozdziawioną gębą.

Najstarszy ocalały Wotanin szedł ścieżką z dwojgiem cudownych dzieci, dwoma przyjacielskimi szopami, rodzonym synem i kobietą, którą strasznie lubił. Wypełnił płuca świeżym, pachnącym sośniną powietrzem. Wspinał się coraz wyżej, wnikając w tę zadziwiająco piękną, wonną krainę, gdzie roilo się od dzikiego zwierza, i czuł, jak serce rośnie w jego piersi. Miał wrażenie, że to właśnie jest jego miejsce na ziemi.



Sofi Tornado okoliczne lasy ani trochę nie przypadły do gustu.

Tysiące zwierzęcych głosów i szelest milionów liści zlewały się w szum, który znacznie obniżał efektywność jej wyczulonego słuchu. Na domiar złego była coraz bardziej pewna, że ktoś ich śledzi. Nie ludzie i nie sztylotozębne koty, ale z całą pewnością ktoś... a właściwie coś szło za nimi od samej doliny, nieustannie kryjąc się wśród drzew. Kazała swoim kobietom zbadać sprawę, ale Sitsi niczego nie wypatrzyła, a przedzierając się hałaśliwie przez las Paloma niczego nie znalazła.

Może tylko mi się wydaje, tłumaczyła sobie. Może śmierć Luby wytrąciła ją z równowagi bardziej, niż sądziła. Ale nie zdołała przekonać samej siebie. Coś ich śledziło, a ona chciała wiedzieć, co i dlaczego.

Zatrzymali się na polanie dwa kroki od rzeki. Sofi i Wulf objęli pierwszą wartę, a Paloma i Frejdis lustrowały okolicę z korony mijanego po drodze drzewa. Planowały spać na zmianę, a w razie pojawienia się Badlandczyków Paloma miała wziąć Frejdis na barana i błyskawicznie wrócić do obozu. Dziewczynka nie była słabeuszem, ale Sofi chciała jeszcze nieco ją zahartować, bo w miarę dalszej wędrówki przyjdzie im mierzyć się z coraz większym niebezpieczeństwem.

Po prostej kolacji, złożonej z pieczonych piezków preriowych i jagód, wszyscy poza Sofi i Wulfem, nawet Yoki Choppa, natychmiast zapadli w głęboki sen.

Sofi siedziała na zwalonym pniu, wpatrując się w światło bijące

z ogniska i tańczące na liściach pobliskich drzew. Myślała o życiu, o śmierci i o Luby Zefir. Wciąż była pewna, że obserwuje ich owo tajemnicze coś skryte w leśnej gęstwinie, ale im głębsza zapadała noc, tym bardziej Sofi się z tym faktem oswajała, bo gdyby chciało ich zaatakować, już dawno by to zrobiło. Czy to możliwe, by podążał za nimi duch Luby?

Sofi kazała sobie przerwać to bezowocne filozofowanie i skupiła wzrok na Wulfie, przechadzającym się wokół obozu. Ayanna oddała za nich życie. Luby także. Ale Sofi nie mogła winić za to Wotan. Wszyscy ryzykowali życie, próbując uciec z Badlandów. Luby zabił pech, a nie Wotanie. Dobrze się sprawili. Nie byli nawet w połowie tak bezużyteczni, jak myślała, i jeśli Yoki Choppa miał rację i Ottar rzeczywiście uratuje świat, to Luby wcale nie zginęła na próżno.

Sofi siedziała i myślała o wszystkich chwilach spędzonych z przyjaciółką, aż nadeszła godzina obudzenia Sitsi i Kifa, którzy mieli objąć następną wartę.



Sen Sofi o Luby Zefir kłócącej się z Wulfem na moście nad rzeką zlał się z rzeczywistością, gdy budząc się, uświadomiła sobie, że słucha Palomy Widłoróg rozmawiającej z kimś obcym.

Otworzyła jedno oko. Do świtu zostało parę minut, las okrywał się już całunem światła. Paloma i Gunnhilda stały u stóp wzgórza, rozmawiając przyciszonymi głosami z jakimś mężczyzną, którego Sofi nie знаła.

Opowiadał im o ścieżkach zmytych przez ostatnie nawałnice, tak dzikie i nieokiełznane, że nikt takich nie pamiętał.

– A na zachodzie szaleją jeszcze gorsze. O wiele gorsze.

Paloma powiedziała mu, że w czasie wędrówki też napotkali anomalie pogodowe.

– Niektórym z nas udało się przeżyć tornado – powiedziała Gunnhilda.

– O rety. To niesamowite, że udało wam się dotrzeć tak daleko.

– Można zerwać pojedynczą linę, ale splot wielu lin oprze się wszystkiemu – wygłosiła Gunnhilda.

– Co?

Sofi skoczyła na nogi i podeszła do nich.

– Cześć. Ty jesteś Sofi Tornado – przywitał się mężczyzna. Nie brzmiało to jak pytanie, ale jak oskarżenie. Przemawiał uniwersalnym językiem bez akcentu. Jego pewny ton powiedział Sofi, że tak jak ona nigdy nie skalał się tym, co uchodziło w mniemaniu niektórych za „porządną robotę”, jak rąbaniem drzew czy wyprawianiem skór. Był niski, nosił jasnozielony kubrak i ciemnozielone portki. Włosy na jego wielkiej, bąblowatej głowie cofały się z czoła na środek czaszki.

– To ja – odparła.

– Wysłano mnie, żebym powitał was w Czarnych Górach. Zwę się Klippsta. Witajcie na ziemiach Zielonego Plemienia. – Brzmiał tak gościnnie jak pustelnik mizantrop, który po raz trzeci tego dnia przyjmuje niezapowiedzianego gościa chcącego zapytać o sens życia.

– Skąd wiedziałeś, że nadchodzimy? I skąd znasz moje imię?

– Tatinka Bizon przewidziała wasze nadejście. Nie wiem, jak to zrobiła. A twoje imię znam, bo znają je wszyscy. Każdy słyszał o słynnej calnijskiej owslance Sofi Tornado. Kazano mi was powitać, obiecano mi przy tym, że mnie nie zabijesz. Zabijesz?

– Zobaczymy, jak potoczy się ta rozmowa. Kim jest Tatinka Bizon?

– Wodzem Zielonych oraz plemienną arcy czarownicą. Nazywa się Bizon, bo tak samo dużo z niej pożytku. Jeśli chcesz, opowiem ci o niej po drodze. Ale chodźmy od razu. Obudźcie swoich ludzi, czas w drogę. – Spojrzał między drzewa, a Sofi podążyła za jego spojrzeniem.

– Co tam jest? – spytała.

– Nic.

– Czyli nie musimy się spieszyć, tak? Może pogramy w coś, a dopiero potem pójdziemy?

– Nie! Znaczący... po prostu wolałbym dotrzeć do domu przed zapadnięciem zmroku. Ścieżka biegnie klifami, momentami jest bardzo nierówna, a moja żona nie lubi, gdy zostawiam ją samą z dziećmi na jedną noc, a co dopiero dwie. Zdołała skłócić nas nie tylko z moimi, ale i swoimi rodzicami, nie mamy więc nikogo, komu moglibyśmy podrzucić nasze szkraby i... A zresztą, nie będę obarczał was swoimi zmartwieniami.

Sofi patrzyła na niego.

– Nie ma żadnego innego powodu? Na przykład związanego z czymś,

co siedzi w lesie?

– Owo coś nie będzie nas kłopotać w ciągu dnia.

– Przecież ty szedłeś do nas w nocy – zauważyła Paloma.

– Nie. Podróż odbyłem wczoraj, a potem przespałem się nieopodal.

– Czego się boisz? Dlaczego nie powinniśmy iść nocą? – indagowała Sofi.

Klippsta utkwiał wzrok w ziemi.

– Niczego – odpowiedział. – Po prostu droga wiedzie przez piękne tereny, zwłaszcza gdy wspina się wysoko na skały. Pewnie uda się zobaczyć fascynujące, rzadko spotykane zwierzęta. Po drodze tutaj widziałem kilka niedźwiedzi z młodymi. Nie zobaczymy tego w nocy, no nie?



Sassę Gryziwargę obudziła Gunnhilda.

– Szybko, wstawaj. Ruszamy.

– Badlandczycy nadchodzą? – ziewnęła Sassa.

– Nie. Ale jak nie wyruszymy zaraz, ominą nas piękne widoki.

Sassa uśmiechnęła się.

– Wreszcie dobry powód, żeby się pospieszyć.

– Nieustanne zamartwianie się czyni z człowieka kalekę, ale to samozadowolenie zabija.

Gdy Wulf wrócił znad rzeki, Sofi podeszła do niego. Wyglądała zdecydowanie zbyt nieskazitelnie, jak na kogoś, kto spał w lesie.

– Wulf? – zagaiła.

– Co tam?

– Klippsta jest członkiem Zielonego Plemienia. – Wskazała obcego podbródkiem. Mikrus w zielonym ubraniu podskakiwał na palcach jak ktoś, kto już od dawna jest gotów do drogi. – Mieszkają na tych ziemiach. Sitsi twierdzi, że nie mamy powodu, żeby się ich obawiać. Za to w lasach siedzi coś, co może przedstawiać zagrożenie. Klippsta coś wie, ale nie chce mi powiedzieć.

– Domyślasz się, co to może być? – Wulf ziewnął, a Sassa wiedziała, że zrobił to po ty, by pokazać, że kpi sobie z niebezpieczeństwa.

Sofi pokręciła głową.

– Klippsta chce zaprowadzić nas do swojej osady, która leży o dzień drogi na północny zachód stąd. Zależy mu, żeby dotrzeć tam przed zmrokiem. Chce uniknąć tego czegoś, co siedzi w lasach. Myślę, że powinniśmy z nim pójść. A ty jak uważasz?

Zdaniem Sassy Wulf całkiem nieźle zapanował nad zdumieniem, które ogarnęło go, gdy pojął, że Sofi pyta go o zdanie. Gdy jego brwi wróciły na miejsce, odparł:

– Jakie mamy opcje?

– Możemy zostać tu na zawsze, wrócić do Badlandów, przebyć Czarne Góry, nie wchodząc w komitywę z Zielonymi, albo po prostu iść z Klippstą.

– Spotkajmy się z nimi. Chciałbym na kilka dni zawiesić młot w jakimś przyjaznym miejscu i głowę dam, że nie ja jeden.

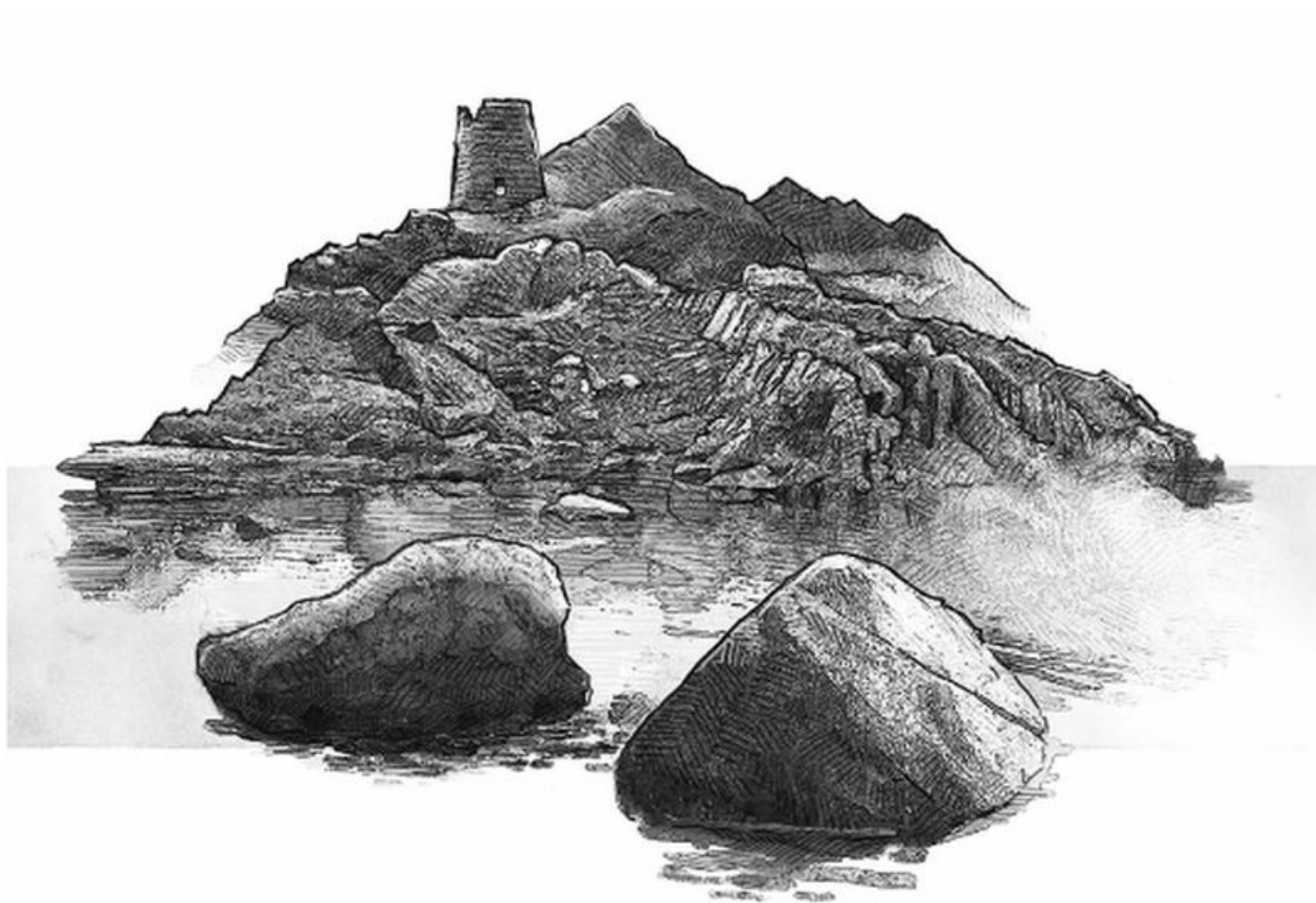
– Musimy też znaleźć dom dla Calniara – dorzuciła Sassa.

Sofi kiwnęła głową.

– Jasne.

– Wooo-ta! No i świetnie, co może pójść nie tak?

Wulf uśmiechnął się do Sassy, a ta zadrżała, choć nie było wcale zimno.



Rozdział 6

CHŁÓD

Włazenie pod górę było o wiele mniej męczące niż machanie skrzydłami jak gołąb. Sądząc po sprężystych krokach współplemieńców, oni też czuli się dzisiaj lepiej niż poprzedniego, obfitującego w wydarzenia dnia.

Finnbogi Zbuk szedł w środku grupy za Bodilą i Kifem. Trakt przecinały małe wodospady, w promieniach porannego słońca lśniła srebrna kora drzew, a wokoło roiło się od drobnych zwierzątek i ptaków, jeszcze bardziej rozradowanych i mniej onieśmielonych niż wcześniej.

Pomimo sielankowej atmosfery Finn czuł się zdezorientowany

i niepewny. Nie mógł wyzbyć się wrażenia, że jest wokół niego za mało ludzi. O wiele za mało. Kogo brakuje? Policzył towarzyszy. Rachunek się zgadzał. Nie było tylko Palomy, która wypuściła się na zwiad. Ale przecież powinno być ich więcej, o wiele więcej, prawda? Czuł, że zaraz wpadnie w panikę. Jest nas za mało! – wrzeszczał jego niespokojny umysł.

Skupił się na Bodili i Kifie, chcąc odwrócić uwagę od niepokojącego wrażenia osamotnienia. Miał poczucie winy w stosunku do Bodili. W końcu nigdy nie odbył z nią postkoitalnej rozmowy, którą obiecał Sassie. Z drugiej strony jego metoda okazała się równie, jeśli nie bardziej skuteczna i przysporzyła wszystkim o wiele mniej skrępowania niż rozmowa w cztery oczy. Bodila przestała naprzykrzać się Finnowi i zamiast tego skupiła uwagę na Kifie. Może Sassa nie była taka mądra, jak jej się wydawało.

Czy Bodila rzeczywiście czuje miętę do Kifa? Nie, nie może być. Finnbogi nie rozumiał, co niby miałyby zobaczyć w jednookim, jednouchym, małogłowym Kifie. A gdyby tak zrobili dziecko, które odziedziczyłoby wygląd po ojcu, a inteligencję po matce?

– Nad czym tak dumasz? – spytała Thyri, podchodząc do niego.

– Eee... – Rozejrzał się. Paloma biegła kawał drogi przed nimi, wielkimi susami przeskakując zwalone głązy.

Paloma – pachnąca jak miód, nieludzko piękna i obdarzona byстрыm umysłem, o talii osy, kształtnych nogach i smukłych ramionach, wręcz emanująca siłą, rozświetlająca noc blaskiem swej doskonałości, prawdziwa półbogini – była jedyną osobą na świecie atrakcyjniejszą od Thyri. Ale Finnbogi nie był w niej zakochany w taki sam sposób jak w Drzewonogiej, bo kobieta taka jak Paloma nigdy by nawet na niego nie spojrziała, choć nie oznaczało to, że czasem nie myślał o tym, by... Przywołał się do porządku. Nie mógł przecież zwierzyć się Thyri z tego dziwnego pociągu, który czuł do Palomy. Postanowił oczyścić umysł i podzielić się jakąś bezpieczniejszą myślą. Wówczas na przód jego zwichrowanego umysłu przepchnęło się uporczywe poczucie osamotnienia. Dlaczego jest nas tak mało, do diaska?

– Wciąż jesteś trochę oszołomiony po wczorajszym, co? – spytała go Thyri życzliwie, zamiast jak zwykle popędzić go, by wykrztusił z siebie

odpowieź.

– Łatwo nie było, ale cieszę się, że już po wszystkim. – Uff, pomyślał. Może kiedy jest się wybawcą swojego plemienia, coraz bardziej przypominającym bohatera ze starych sag, inni zaczynają wreszcie darzyć cię należnym szacunkiem, a małomówność biorą za wyraz wewnętrznej siły? Sofi Tornado odpowiadała może na jedno z pięciu pytań, które zadawali jej Wotanie, i każdy uważał, że jest niesamowita. Może jak jest się fajnym, nie trzeba już tak strzepić języka?

Tak właśnie jest, uznał. Ratując ich wszystkich, wszedł w nową fazę. Żegnaj, Finnbogi zagubiony chłopcze. Witaj, Finnbogi mężny mężczyzno.

– A wiesz, że wciąż chodzisz jak gołąb? – podjęła Thyri.

– Naprawdę?

– Naprawdę. O tak. – Thyri wypięła pierś i tyłek, zaczęła kroczyć ciężko na palcach, kiwając głową w przód i w tył.

Finnbogi z radością wykorzystał okazję, by nacieszyć oczy jej widokiem. Na jaja Thora. Paloma to laska nie z tej ziemi, ale Thyri wciąż była tak seksowna, że aż zapierało dech. Ale i tak nie powinna robić sobie jaj z faceta, który ich wszystkich ocalił.

– O, nie przejmuj się. Jestem pewna, że ci przejdzie. – Uśmiechnęła się. Uśmiechnęła się do niego pierwszy raz od przekroczenia Matki Wody. – Jesteśmy ci wdzięczni za to, co zrobiłeś, Finn. Ja jestem wdzięczna.

Finn! Nie Finnbogi ani nie Zbuk! Zwróciła się do niego: Finn!

– Ja tylko przez chwilę udawałem ptaka.

Roześmiała się.

– Zgoda, może nie stoczyłeś boju z lodowym olbrzymem, ale zrobiłeś coś, czego nikt inny by nie dokonał. Gdybyś tego nie zrobił, złapałiby nas albo zabili.

– Nie udało mi się ocalić wszystkich. – Przypomniał sobie wyraz twarzy Sofi patrzącej na pogrzebowy stos Luby.

– No cóż, to prawda. Ayanna i Luby poświęciły się dla nas i nigdy im tego nie zapomnimy, ale ty również odegrałeś znaczną rolę w naszej ucieczce. I tobie też nikt tego nie zapomni.

– Dzięki.

Szli dalej, słuchając szumu wiatru, odgłosów zwierząt i paplającej Bodili.

Finnbogi uświadomił sobie, że wcześniej każdą chwilę spędzoną z Thyri rozpaczliwie pragnął wykorzystać do tego, by zaimponować jej cwany dowcipem i inteligencją. Teraz już nie czuł takiej potrzeby. Zgadywał, że różnica polega na tym, że teraz miał już na koncie heroiczny czyn. Ba, nie jeden, lecz dwa! Bo oprócz zawładnięcia gołębiami stoczył przecież walkę z dwiema grzechokondami, ratując tym życie Frejdis.

To już nie te czasy, gdy wypatrywał okazji do zostania bohaterem. Już pokazał, ile jest wart. I to nie tak, że był próżny, po prostu czuł ulgę. Czuł, jakby przez całe życie nieświadomie dźwigał naręcze drew na opał, a teraz wreszcie wrzucił je do ognia. „Jesteś tym, co robisz, a nie tym, co mówisz” – przypomniał sobie jedno z powiedzonek Gunnhildy, które od zawsze nie dawało mu spokoju.

Wędrowali drogą upstrzoną plamami słonecznego światła, które przesączało się przez korony drzew. To był najfajniejszy dzień, odkąd opuścili Harówkę. Z masy zielonego lasu wyłaniały się czerwone urwiska, niczym niemi i życzliwi obrońcy. Wielkorogie owce, normalne, bez dosiadających je Pustych Dzieci, niespiesznie odnajdowały drogę wśród rozpadlin. Większe ptaki sunęły leniwie nad ich głowami, a te mniejsze i bardziej pulchne furkotały skrzydełkami wśród drzew.

I Thyri Drzewonoga szła obok niego, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Pełzające mu po kręgosłupie przerażenie rozmyło się w blasku nowego dnia. Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się taki szczęśliwy.

Dotarli do rzadkiego w tych stronach zejścia, gdzie grube, splecione nad ich głowami gałęzie zmieniały ścieżkę w rozpalony miękkim światłem, szumiący tunel.

– Finn – powiedziała Thyri.

– Aha? – Obrócił się, by obdarzyć uśmiechem piękną młodą kobietę u swego boku.

– Wciąż chodzisz jak gołąb.



Wędrówka była przyjemna, bardziej przypominała spacer, tyle że ciągnęła się w nieskończoność i Sasse bolały już nogi. Zaczynała mieć

powyżej uszu tej idyllicznej scenerii. Szczęśliwie okazało się, że wioska Zielonego Plemienia jest tuż za rogiem.

Dotarli tam nagle. W jednej chwili zsuwali się po stoku szerokim, obrośniętym drzewami traktem, nie napotkawszy po drodze żywej duszy, a w następnej szli już główną drogą przechodzącą przez wielką i gwarną osadę.

Barwnie odziani tubylcy kiwali na ich widok głowami i posyłali im promienne uśmiechy, witali serdecznie, jakby byli przyzwyczajeni do obcych. Właściwie to sami wyglądali jak pościel uszyta z wielokolorowych łąt, mieszanka członków przeróżnych plemion o różnych kolorach skóry, od ciemnego brązu po jasny róż.

– Nosicie takie wielobarwne ubrania – zagadnęła Sassa Klippstę. – Myślałam, że skoro ty jesteś ubrany na zielono i nazywacie się Zielonymi, to...

Ich przewodnik prychnął śmiechem. Wydawał się o wiele weselszy, odkąd opuścili las.

– Nosimy, co chcemy. Ja ubieram się na zielono, żeby zlać się z lasem i móc łatwiej obserwować zwierzęta, ale większość z nas nosi się na kolorowo. Jakieś dziesięć lat temu sprowadzili się tutaj ludzie, którzy mieszkali uprzednio na wyspie na południu. Jeden z nich był krawcem, który wzorował wykonywane przez siebie stroje na kolorowych rybach pływających w tamtejszym morzu. No i się przyjęło. Gdy byłem chłopcem, ludzie ubierali się tak ponuro, że oko bolało. Ja tam wolę, jak jest kolorowo.

– Choć sam ubierasz się na zielono?

– Tylko jak idę do lasu.

Wioska, czy raczej miasteczko, jak nazwał ją Klippsta, była rozproszonym skupiskiem skórzanych namiotów i lekkich chatynek, położonym w dużej części na zboczu doliny. Główna droga biegła wraz z rzeką, czasem przeskakując przez nią drewnianymi mostami, pięknie udekorowanymi rzeźbami zwierząt. Te małe architektoniczno-rzeźbiarskie cudeńka budziły skojarzenie z meblami w Harówce. Dalej wzdłuż drogi stały w luźnych odstępach szałas robotnicze. Kręcący się wokół nich krzykliwie odziani rzemieślnicy uprzejmie kiwali głowami na widok przybyszów.

Kif pobiegł na czoło pochodu, po raz pierwszy tego dnia odłączając się od Bodili.

- Mroźne macie zimy? – spytał Klippstę.
- Strasznie. Często grzęźniemy w zaspach na miesiąc lub dwa.
- I nie zamarzacie?
- Zanim spadnie pierwszy śnieg, okrywamy chaty bizonimi skórami.
- Tak też myślałem. A jak zapobiegacie...
- Cześć!

Sassa spojrzała w dół. Szła obok niej sięgająca jej do pasa dziewczynka. Miała na głowie białą czapkę, ubrana była w pomarańczową sukienkę z szerokim białym pasem na wysokości bioder.

– Skąd przybywacie? – spytała dziewczynka. Podobnie jak Klippsta, miała ciemną skórę i mówiła powoli, przeciągając słowa.

– Pochodzimy z dwóch plemion ze wschodu – powiedziała Sassa. – My jesteśmy Wotanami, a one to Calnianki.

- Jak się nazywasz?
- Sassa Gryziwarga.

Dziewczynka przyjrzała się bacznie jej ustom. Sassa uświadomiła sobie, że jak zawsze przygryza wargę. Więc przestała.

- Ale fajne imię! – uśmiechnęła się mała. – Ja jestem Tatinka.
- Miło cię poznać, Tatinko.
- Czemu odbyliście tak długą podróż na zachód?
- To długa opowieść.

– Do placu Manchingi jest z pół mili. Opowiedz mi tyle, ile zdążysz. – Tatinka opromieniła ją uśmiechem. Pomimo mikrego wzrostu i radosnego uśmiechu bił od niej niezachwiany autorytet. Sassa poczuła potrzebę, by wszystko Tatince opowiedzieć.

– Dobrze. Chyba wszystko zaczęło się pewnego dnia wczesnym rankiem w naszej osadzie, kiedy zobaczyliśmy bijące w niebo dwa słupy dymu...



Sitsi Pustulce nawet przypadło do gustu to miasteczko. Było luźniej rozmieszczone i nie tak szczegółowo rozplanowane jak nudna Calnia.

Nie miało też murów obronnych. To sugerowało wolność od skłonnej do dyktatorskich zachowań klasy rządzącej, jak również brak obawy przed najazdem, co miało sens w kontekście odbytej przez nią wcześniej rozmowy z Klippstą.

Wypytywała Zielonego o różne rzeczy przez większą część drogi do osady i czuła, że wie wystarczająco dużo o Czarnych Górach i jego plemienu, by móc dochodzić do własnych wniosków, nawet jeśli Klippsta nie zdążył podzielić się z nią wszystkim. Z ulgą przyjęła informację, że wodzem Zielonych wciąż jest Tatinka Bizon. Opowieści o jej nadzwyczajnej inteligencji i życzliwości sięgały aż do Calnii.

Pochód dotarł do pustego obszaru z dala od chat i namiotów. Sitsi odgadła, że to plac Manchingi, głównego boga Zielonego Plemienia, człowieka, który został wyniesiony do rangi boga po pokonaniu olbrzymich psów nękających jego plemię w dawnych czasach. (Sitsi czuła się jeszcze nieco winna przez tę watahę wilków, którą puścili wolno). Połowę obrzeża areny stanowił las, drugą połowę – skarpa, pełniąca też zapewne funkcję trybun. Panowała tu atmosfera błęgiego odosobnienia, niemająca nic wspólnego z olbrzymim placem Innowaka, gdzie na arenie owslanki zmasakrowały nieprzeliczone tłumy ku uciechu innych tłumów.

Jedyną dekoracją w tej części wioski była rzeźba wielkiego psa. Między jego przednimi łapami stało proste, ale porządne krzesło. Sitsi nie miała wątpliwości, że to miejsce wodza. Ale gdzie jest wódz?

Rozejrzała się, tknięta nagłą obawą. Dlaczego przyprowadzili ich na arenę? Oczami wyobraźni zobaczyła wychodzącego spomiędzy drzew i klaszczącego sarkastycznie Bobrocześka. Sofi też badała otoczenie wzrokiem. Jej zwężone powieki i zaciśnięte usta zdradziły Sitsi, że naszły ją takie same obawy.

Dziewczynka, która wcześniej przyczepiła się do Sassy, weszła na tron i stanęła na siedzeniu. Sitsi była całkiem pewna, że spotka ją bura za zajęcie miejsca należnego wodzowi. Już miała skarcić małą, gdy zauważyła, że to wcale nie dziecko, lecz bardzo niska, ale zupełnie dorosła kobieta.

– Czołem, Wotanie i Calnianie! – wygłosiła karlica. – Jestem Tatinka Bizon. Witam was w naszych skromnych progach w imieniu Zielonego

Plemienia oraz naszego boga Manchingi. Sassa opowiedziała mi o waszej ucieczce z Badlandów. Przykro mi, że nie dotarliście do nas w pełnym składzie, ale i gratuluję tym, którym się udało. Jesteście pierwszymi jeńcami Badlandczyków, którzy zdołali zbiec, odkąd wymyślili te przeklęte pajęczne pudełka. Witajcie, witajcie! Ma się rozumieć, wiele słyszałam o calnijskich owslankach. Nie posiadam się z radości, że udało mi się was spotkać. Nie mogę się doczekać, aż dowiem się o was więcej. Ale...

Tatinka zrobiła pauzę i powiodła po nich wzrokiem.

Oczywiście, pomyślała Sitsi. Wciąż trzymają wielkie psy, które miały niby zabić Manchinga, i zaraz będziemy musiały z nimi walczyć na tej tutaj arenie.

– Choć mamy wiele do omówienia – podjęła drobna kobieta – jak choćby kwestię waszej drogi do Łąk oraz tego, co zrobić z dzieckiem Ayanny, wszystko to może poczekać do jutra. Przebyliście szmat drogi i spotkały was wszelkie możliwe okropności. Tak więc gdy już przestanę głądzić, będziecie w końcu mogli odpocząć. Klippsta zabierze was nad rzekę, gdzie stoją przygotowane dla was kwatery. Znajdziecie tam więcej jedzenia, niż zdołacie zjeść, i więcej trunków, niż zdołacie wypić. Nie będziecie musieli z nikim rozmawiać i nikt nie będzie się wam naprzykrzał, cały ten obszar jest do waszej wyłącznej dyspozycji, jeśli nie liczyć raptem kilkorga Zielonych, którzy jak nikt potrafią przygotować wyśmienitego wielkoroga z różną, pilnując przy tym własnego nosa.

Sitsi bardzo chciała wydusić z siebie sympatię dla Tatinki i uwierzyć w jej słowa. Ale wyczuła coś pod maską życzliwości wodza, coś potężnego i nienazwanego. Nie wiedziała, czy jest to coś złego, czy dobrego, ale ostatnią osobą, która tyle się do nich uśmiechała, był Chapa Wangwa. Widziała, że Sofi też nie może się wyzbyć podejrzeń. Reszta odpowiadała uśmiechami na wyszczerz wodza, z wyjątkiem Yokiego Choppy, jak zwykle obojętnego, Ottara Niemowy, który szeptał bez ładu i składu do zawieszzonego na jego piersi dziecka, oraz Calniara, który patrzył spokojnie na swojego opiekuna.

– Jeszcze jedna rzecz i już was puszczam – kontynuowała Tatinka. – Oczywiście nic nie skłoni was bardziej do wystawienia wart niż obcy,

który wam powie, że nie ma takiej potrzeby, ale... naprawdę nie ma potrzeby. Widzieliście nasze miasteczko, widzieliście, że nie jest otoczone murami. Jesteśmy chronieni przez coś o wiele potężniejszego niż drewno i kamienie.

– Chronieni przed czym? – zaciekawiała się Sofi.

– Przed wszystkim – odparła Tatinka, krzyżując z nią spojrzenie. – A teraz idźcie i odpocznijcie. Zobaczymy się jutro w porze obiadowej. Jeśli zapragniecie czegoś, czego nie znajdziecie w chatach: picia, ziół, grzybów, mamki dla dziecka, czegokolwiek, dajcie znać Klippście, a my zrobimy, co w naszej mocy, żeby wam to dostarczyć.



Tego wieczoru, dobrze po zachodzie słońca, Finnbogi sikał prosto do rzeki długim i silnym strumieniem, zastanawiając się, czy istnieje większa radość niż sikanie do spokojnej wody w gwieździstą noc.

Ruszył z powrotem ścieżką w kierunku, z którego dobiegał gwar i migotał między drzewami płomień ogniska. Ostrożnie stawiał stopy w ciemności, bo kiedy człowiek wypił tyle miodu Zielonych, ile wypił Finnbogi, łatwo mógł nadziać się na krzak – o czym przekonał się na własnej skórze, schodząc nad rzekę. Na szczęście tym razem wrócił do obozu bez szwanku.

„Obóz” to właściwie mało powiedziane. Sioło było jakieś piętnaście tysięcy razy fajniejsze od najlepszego obozu, w jakim nocował od opuszczenia Harówki. Chaty, które przygotowała dla nich Tatinka, stanowiły niemalże osobną wioskę, a dwaj faceci, których przydzieliła im, by piekli owce, okazali się wyjątkowo troskliwymi gospodarzami. Nie rozmawiając z nikim i poruszając się tak cicho, że wprawiliby w zakłopotanie samą Luby Zefir, spełniali każdą ich potrzebę. A przynajmniej wiele z nich. Musieli dolać mu miodu z sześć czy siedem razy, choć Finn zauważył tylko dwa. Siadając na pniu obok Palomy, spostrzegł, że jego kubek znów jest pełen.

Uśmiechnął się do Frejdis i Ottara, śpiących na niedźwiedzich skórkach przy ogniu, a potem do wypełnionego po zrab kubka. A potem zobaczył, że wszyscy świdrują go wzrokiem.

– Co? – spytał, patrząc po sobie, czy aby nie zapomniał czegoś

schować. Nie zapomniał, dzięki niech będą Manchindze, pogromcy psów.

– Jesteśmy pod wrażeniem twoich ostatnich poczynań – powiedział Gruby Wulf. – Z własnej woli stanąłeś do walki z dwiema grzechokondami, żeby ratować Frejdis. I to bez broni. Tylko ktoś niezwykle mężny byłby zdolny do takiego poświęcenia. Mało tego, ocaliłeś nas wszystkich, obejmując kontrolę nad stadem gołębi i kierując nimi przez tak długi czas.

Wszyscy uśmiechali się do niego, łącznie z Thyri. Finnowi zebrało się na płacz.

– Więc porozmawialiśmy sobie, gdy cię nie było, i wszyscy postanowiliśmy, że nie będziesz już nosił imienia Finnbogi Zbuk.

Z trudem złapał powietrze i zamrugał oczami. Wulf wstał, podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Tak jest, odtąd nikt nie będzie zwracał się do ciebie per Zbuk. Aby nagrodzić twoją odwagę i podziękować za uratowanie nam wszystkim życia, a tym samym zachowanie od wyginięcia plemienia Wota, będziesz się odtąd zwać Finnbogi Gołębiojeb.

– A... aha. – Jego serce sflaczało jak przedziurawiony świński pęcherz. – Świetnie. Gołębiojeb. Pewnie, czemu nie.

– Żartuję!

Wszyscy buchnęli śmiechem, znaczy wszyscy poza nieśmiejącymi się nigdy Sofi i Yokim Choppą.

– Więc jakie imię mi nadaliście? – spytał Finnbogi.

– Właściwie to jeszcze nie nadaliśmy. Wedle tradycji podejmujemy tę decyzję, dopiero gdy się porządnie ubzdryngolimy. A więc zaczynajmy.

– Finnbogi Mężny? – podsunęła Sitsi Pustułka.

Finnbogi odczuł nagłą potrzebę wyściskania jej.

– Nie, nie, nie! – krzyknął Kif Berserk, niemal podskakując na swoim miejscu obok Bodili. – To tak nie działa. Finnbogi Mężny brzmi o wiele za fajnie. Jeśli o mnie chodzi, Gołębiojeb pasuje jak ulał. Często pierwsza myśl okazuje się tą właściwą, nie?

– Daj spokój, Kif – zaoponowała Thyri. – Łatwo kpić komuś, kto sam nazywa się Berserk. A nie zapominajmy, że mamy przed sobą człowieka, który nie tylko dokonał słusznego wyboru w niebezpiecznej sytuacji, ale

też jakimś magicznym sposobem przemówił do stada gołębi.

– Tak, Berserk to całkiem zaczepisty przydomek – przyznał Kif. – I taki być musi, bo w końcu jestem całkiem zaczepisty. A Finnbogi to... po prostu Finnbogi.

– A może Finnbogi Wielkie Jajca? – zasugerowała Paloma.

– Lepiej, ale to wciąż nie to – zamyślił się Kif.

– Finnbogi Małe Jajca? – zaproponowała Chogolisa.

– Całkiem niezłe! – powiedział Kif zupełnie poważnie. – A Finnbogi Tycikutas?

– A może Finnbogi Niezmordowany Koniobijca? – prychnęła śmiechem Gunnhilda.

Finn obrzucił ją zbulwersowanym spojrzeniem.

– Och, nie udawaj, że za każdym razem idziesz do lasu tylko po to, żeby obserwować chrząszcze – dodała bez cienia skrępowania.

Finnbogi pokręcił głową. To szło w złym kierunku.

– Może Finnbogi Rozbierający Wzrokiem? – podsunęła Sofi Tornado.

Finnbogi chciał wpełznąć pod jakiś kamień i tam już zostać. To znaczy, że Sofi widziała, jak obłapiał ją wzrokiem? Jakim cudem? Przecież był taki ostrożny...

– Tyle świetnych pomysłów! – powiedział Wulf. – Ale chyba jeszcze nie znaleźliśmy dobrego imienia dla naszego Finna. Czy ktoś wymyśli coś bardziej pochlebnego niż Zbuk?

– Wiem, że nie mogę sam sobie nadać imienia – odważył się na ryzyko Finnbogi – ale może mógłbym zamiast Finnbogi nazywać się po prostu Finn?

– Mowy nie ma! – oburzył się Kif. – Nie możesz zmienić pierwszego imienia, tylko przydomek.

– Tej reguły przestrzegali Harowianie – zauważyła Sassa – ale teraz jesteśmy Wotanami i tworzymy własne. Wulf?

– Pewnie, czemu nie. Niech będzie Finn. Oto staje więc przed nami Finn zwany...

– Finn zwany Farfoclem? – podsunęła Gunnhilda.

Finnbogi ponownie zgromił ją wzrokiem, a ona po prostu uśmiechnęła się, niespeszona.

– Finn Fikuśny niezbyt do niego pasuje – zastanawiała się Thyri. –

A może Finn Frymuśny? – Łyknęła z kubka, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona.

– Też mam śmieszny pomysł – powiedział Kif. – Finn Pizda.

Thyri prychnęła, aż miód poleciał jej nosem. Finnowi wcale się to nie podobało.

– A może Finn Co Lubi Thyri? – powiedziała Sassa.

Finn zgromił ją spojrzeniem, czerwony jak rak. Mrugnęła do niego. Łypnął na Thyri, która utkwiała wzrok w ziemi, już się nie śmiejąc. Czy mu się zdaje, czy się zarumieniła?

– Finn Filozof – powiedziała Bodila.

– To z Pizdą było niezłe – włączyła się Paloma.

– Co powiedziałaś, Bodilo? – spytał Wulf.

– Finn Filozof – powtórzyła dziewczyna.

O tak, tak, tak, błagał w myślach Finn.

Wulf kiwnął głową.

– Podoba mi się. Ale czy dokonał czegoś szczególnie filozoficznego?

– Uratował nas, to wymagało nie lada pomysłu. – Bodila uniosła palec.

– Ja też! – obruszył się Kif.

– Niby kiedy? – spytała Thyri.

– Kiedy te szajbuski urznęły mi ucho i wyłupiły oko, a ja i tak nie zdradziłem im, gdzie byliście. – Wskazał owslanki. Wszystkie, nawet Sofi Tornado, wydawały się mocno zawstydzone.

– Bo nie wiedziałeś, gdzie byliśmy. Sami zresztą nie wiedzieliśmy – sprzeczała się Thyri, coraz bardziej odbiegając od arcyważnej kwestii Finna Filozofa.

– No cóż, przynajmniej nie powiedziałem, dokąd idziecie. A poza tym ja i Duporab położyliśmy wczoraj więcej łośi niż ktokolwiek. U Cuguajów to ja popłynąłem wodospadem zamiast Finna i...

– Już starczy, Kifie – powstrzymała go Gunnhilda. – Słuchajcie, im szybciej załatwimy sprawę z imieniem, tym szybciej wrócimy do ciekawszych tematów. Nazwijmy chłopaka Finn Filozof. Może niezbyt akuratnie, ale ten przydomek na pewno bardziej przypadnie mu do gustu niż Zbuk. Może to i prawda, że nie sposób samym tylko słowem zmienić błota w złoto, ale Finn zasługuje na dobre imię, które będzie mu

przypominać o tym, jaką głębią ducha się wykazał. Może nawet zainspiruje go do tego, żeby z chłopca z potencjałem stał się mężczyzną, który dobrze ten potencjał wykorzysta.

Finn podziękował jej skinieniem. Nie ufał sobie na tyle, by coś powiedzieć.

– No, Wulfie? – dodała Gunnhilda.

– Pewnie, czemu nie. Żegnaj na zawsze, Finnie Zbuku. Witaj wśród Wotan, Finnie Filozofie.

Rozdziawił usta. Wszyscy na niego patrzyli. Thyri wyglądała, jakby była z niego dumna. Paloma uśmiechała się i kiwała poważnie głową.

– Ja tam wciąż wolę Finna Pizdę – bąknął Kif, ale gdy pochwycił wzrok Finna, mrugnął do niego swoim jedynym okiem.

Łzy były już niebezpiecznie blisko. Finnowi drgnęła dolna warga.

– Chciałem... – Usiłował zdusić szloch, ale łez nie dało się już powstrzymać. Finn Filozof pociągnął nosem, rozplakał się i uciekł. Gnał go śmiech innych.



Paloma Widłoróg znalazła go siedzącego na szerokim i płaskim kamieniu wysoko nad obozem. Noc była bezksiężycowa i bezchmurna, gwiazd na niebie było więcej niż ziaren piasku na plaży w Harówce. Niektóre migotały samotne, inne skupiały się w chmurach połyskliwych drobinek.

– O... cześć – powiedział.

– Spodziewałeś się Drzewonogiej?

– W sensie...

– Świetna dziewczyna, kiepska tropicielka. Szuka cię przy rzece.

– Nie wie...

– Cicho.

Dłoń Palomy opadła delikatnie na jego ramię i szarpnęła koszulę. Przez pół uderzenia serca myślał, że zasunie mu z byka, ale zamiast tego przysunęła się i rozchyliła usta. Odurzająca, zwierzęca woń i zapach miodu owionęły mu twarz, potem zetknęły się ich wargi, a jej język wcisnął się między jego zęby. Odnalazł go swoim, a potem ujął jej biodra i położył na skale, nakrywając sobą.



Sitsi Pustulka nie zdziwiła się, że Paloma poszła za Finnbogim – znaczy Finnem – choć wszyscy widzieli przecież, że Thyri też ruszyła go szukać. Sitsi widziała to już w Calnii nie raz i nie dwa. Gdy Widłoróg trochę popiła, budził się w niej nieodparty pociąg do mężczyzn podobających się innym kobietom.

Sitsi patrzyła, jak Finn robi maślane oczy do Drzewonogiej, odkąd ich poznała. Widziała też, jak Thyri raz po raz puszcza go kantem. Jeśli Paloma znajdzie Finna pierwsza, a znajdzie na pewno, mieszając szyki jaśnie pani Thyri, to bardzo dobrze. Będzie to lekcja pokory dla Drzewonogiej i czegoś zupełnie przeciwnego dla Finna.

Trzaskały płonące drwa, iskierki frunęły pod samo niebo. Wulf i Sassa życzyli wszystkim dobrej nocy i poszli do wspólnej chaty. Sitsi podejrziała, jak Sassa wylewa wszystkie porcje miodu, które Zieloni umieścili w jej kubku, nie biorąc ani łyżeczka. Natychmiast domyśliła się, dlaczego to robi. Uśmiechnęła się na tę myśl, choć wiedziała, że mogą być z tego kłopoty. Do Łak jeszcze szmat drogi.

Kif wstał, by pójść nad rzekę, a Bodila poszła z nim. Sitsi westchnęła. Czasem pragnęła być trochę jak Paloma.

– Wciąż chcesz wziąć pierwszą wartę? – rzuciła Sofi, wstając.

– Pewnie.

– A ty, Gunnhildo?

– Powstrzymałam się od picia. Nie zaglądam do rogu, gdy czeka cię praca.

– Słusznie.

Reszta też poszła spać, tylko Eryk i Chogolisa siedzieli razem na tym samym pniu i rozmawiali przyciszonymi głosami. Wielki mężczyzna wyglądał jak dziecko przy kolosalnej owslance, ale mimo to robili miłe wrażenie jako para.

Wielkooka łuczniczka odeszła od ogniska, by przyzwyczać wzrok do ciemności, a potem udała się na zwiad dookoła obozu. Idąc nad rzekę, spotkała maszerującą zamaszyście Thyri.

– Dobranoc! – zaczęła Sitsi.

Wotanka odwarknęła coś, nawet nie podnosząc wzroku. Gdyby Sitsi nie zeszła jej z drogi, Drzewonoga by ją staranowała.

Jakiś czas później Eryk i Chogolisa poszli nad rzekę osobno, a potem wrócili do swoich chat.

Chogolisie też dobrze by zrobiło, gdyby była czasem trochę jak Paloma.



Finnbogi obudził się na skale przemarznięty i ze zdrętwiałym ramieniem, na którym leżała Paloma Widłoróg.

Paloma Widłoróg.

Nie wstawał przez chwilę. Patrzył na jaśniejące niebo, wsłuchiwał się w chrobotanie zwierząt i wdychał jej zapach zmieszany ze świeżym aromatem lasu. Tę złotą chwilę psuła jedynie paląca potrzeba, by się odlać, ale jeszcze trochę wytrzyma.

Wreszcie Paloma obudziła się i obróciła na bok. Uśmiechnęła się do niego, zaspana, a potem wybałuszyła oczy, wyglądając przez chwilę jak spłoszona sarna.

– Wracamy do chat? – spytał. – A może zostaniemy jeszcze chwilę i...?

– Nie. Rano lubię się przebiec. Cześć!

I już jej nie było.



Rozdział 7 ZIELONE PLEMIĘ

Sassa Gryziwarga obudziła się na wygodnym pościeliu z futrem naciągniętym pod samą szyję. Wulfa już nie było. Nie przejmuj się, uspokoiła się. W normalnych okolicznościach przeważnie wstaje pierwszy. Normalne okoliczności! Słodki Odynie, cóż za rozkosz znaleźć się w końcu w normalnych okolicznościach. Najchętniej zostałaaby z Zielonymi na zawsze, ale wiedziała, że najprawdopodobniej najbliższą noc spędzą już na szlaku.

Czas miesięcznego cyklu Sassy nadszedł i poszedł. Nie potrzebowała już dowodu. Wiedziała, że jest w ciąży, w dodatku potwierdziła to Sofi Tornado. Zeszłej nocy Wulf po pijaku wygadał się, że sekretną

umiejętnością Sofi jest supersłuch. Nawet gdy jeszcze o tym nie wiedziała, ufała Sofi na tyle, by mieć pewność, że nie kłamie w sprawie zdrowia jej dziecka. Teraz więc czuła się jeszcze lepiej.

Ale jeszcze nie mogła powiedzieć Wulfowi. Na tak wczesnym etapie ciąży wszystko jeszcze mogło pójść nie tak. Oszacowała, że jest brzemienna od trzydziestu dwóch dni. Harowiański obyczaj stanowił, że należy czekać do dnia dziewięćdziesiątego, zanim powie się o ciąży komukolwiek poza matką. Postara się tyle zaczekać. Sofi, choć niezbyt nadawała się na matkę, na razie przejmie jej rolę.

Sassa niechętnie wygrzebała się z ciepłego posłania i wyszła na dwór. Życzyła miłego dnia Sofi i Bodili, po czym ruszyła ostrożnym krokiem w kierunku rzeki. Poranek był ciepły, szybko wypełnił się pluskami i krzykami Kifa i Wulfa, którzy markowali pojedynki na płyciźnie rzeki.

Kif wylazł z wody na jej widok i pobiegł do lasu ćwiczyć masakrowanie zastępów wyimaginowanych przeciwników.

Zawiesiła wzrok na myjącym się Wulfie, podobnie jak para bobrów, które wystawiły łebki z otworów pobliskiej tamy. Rodzinka piżmaków opuściła swoje leże skryte w szuwarach i przepłynęła zaraz obok Wotanina. Drobne ptaki sfruwały do rzeki i łykały wody.

– Jestem w ciąży – powiedziała, gdy Wulf wyszedł na brzeg, niemal tak zdziwiona jak on.

Otworzył szeroko oczy, jego usta rozszerzyły się w szerokim uśmiechu. Podbiegł do niej, by ją uściskać. Nie przeszkadzało jej, że jest mokry.



– Hej, Paloma! – zawołał Eryk Złośnik i pomachał owslance dwoma kawałkami drewna owiniętymi zwierzęcymi ścięgnami. Widziała, jak pracował nad nimi minionej nocy. Nie była pewna, czy to rakiety do gry w piłkę, czy może jakiś przyrząd do łowienia ryb. – Nie chciałabyś wypróbować nad rzeką tych dwóch cacuszek?

A więc pewnie to drugie. Rozejrzała się, głowiąc się nad jakąś wymówką i zastanawiając, skąd ten pomysł, że mogłaby chcieć pójść z nim na ryby.

– Może poproś Ottara... – zaczęła, a potem spostrzegła Finna Filozofa,

wracającego do wioski z miejsca, gdzie spędzili wspólnie noc. – Wiesz co? Właściwie czemu nie. Nad rzekę!

Minęli Wulfa i Sassę, uśmiechniętych jak wariaci.

– Nad rzeką jest byczo! – powiedziała Sassa.

– O, a jakże! – zawołał Wulf, tańcząc w kółko. – A jakże!

– Ktoś zamoczył dziś rano, i rzeka nie miała z tym nic wspólnego – mruknęła Paloma, minawszy rozentuzjzmowaną parę. Natychmiast tego pożałowała. Eryk z pewnością dowiedział się o jej schadzce z jego synem. Nie bzykali się tej nocy, w ogóle niewiele zrobili, ale tego Eryk nie wiedział. Ponadto Sitsi powiedziała Palomie rano, że Eryk też poszedł nad rzekę z Chogolisą, ale do niczego nie doszło, choć przecież powinno było dojść. Złośnik z pewnością teraz żałuje, że nie miał jaj, żeby wykonać jakiś ruch.

Dziwnie się czuła, idąc u boku ojca faceta, którego wyrwała minionej nocy. Ale z drugiej strony ostatnimi czasy wszystko było dziwne.

Dotarli nad rzekę.

– Dobra, załóż to jak buty i przywiąż. – Wyciągnął w jej stronę dwa kawałki drewna.

– Ale czemu?

Eryk położył dziwaczne przyrządy na kamieniu.

– Wpadłem na pomysł, oglądając wzbijające się do lotu kaczki... – zaczął i mówił dalej, udzielając Palomie szczegółowych wyjaśnień okraszonych obfitą gestykulacją i bieganiem z miejsca na miejsce. Paloma słuchała i patrzyła, trochę zmieszana, trochę rozbawiona.

– Dobrze – skwitowała wreszcie jego przydługi wykład. – Daj mi to. Skoro włożyłeś w to tyle trudu, spróbuję. Ale nie łudź się, to nie zadziała.

Usiadła na kamieniu i przymocowała wodne buty do stóp, czując się jak idiotka. Eryk kazał jej upewnić się, że leżą prosto, i przywiązać je jak najmocniej. Cały czas balansował na palcach jak niecierpliwe pachole.

– Świetnie – powiedział, gdy wstała. – Mam jeszcze raz powtórzyć dla pewności czy...

– Kumam.

Pobiegła wzdłuż nurtu tylko nieco szybciej, niż biegnie normalna osoba. Wskoczyła na powierzchnię rzeki i przebiegła po niej dwa kroki, zanim krawędź drewna zanurzyła się w wodzie i Paloma przewróciła się

z pluskiem. Drapnęła paznokciami kamień, zanurzyła się, uderzyła tyłkiem o dno, zamachała ramionami, a potem odnalazła swoje stopy i kazała im stanąć na podłożu, po czym nareszcie się podniosła. Woda sięgała jej do bioder i była zimna jak jajca białego niedźwiedzia.

Grupka pizmaków przepłynęła elegancko obok niej, najwyraźniej wracając do leża w szuwarach. Wszystkie czarne, błyszczące noski były rezolutnie zwrócone w tym samym kierunku. Może zwierzątka myślały, że jeśli nie będą patrzeć na przemoczoną owslankę, ona ich również nie zobaczy.

– Żyjesz? – krzyknął Eryk, brodząc do niej w lodowatej wodzie. – Świetnie ci poszło!

Odkaslnęła i zerwała z ramienia jakąś rzeczną pijawkę, a potem beknęła, jakby wychyliła cały kubek miodu na raz.

– Tak. Świetnie. Nigdy nie czułam tak wielkiej satysfakcji. I nigdy nie wyglądałam równie olśniewająco.

– Przecież zrobiłaś ładnych parę kroków!

– Rzeczywiście, masz rację. Kto wie, może to coś jednak zadziała. Może jeśli pobiegnę szybciej, szerzej rozstawiając nogi... I skupię się na ułożeniu stóp palcami do góry... Tak, to może się udać. Łebski z ciebie koleś, Eryku.

Jego brodatą twarz przedzielił uśmiech, a oczy pojaśniały. Właściwie to wyglądał o wiele lepiej od swojego syna, a przynajmniej był znacznie przystojniejszy.

– Pomóc ci wrócić na brzeg? – spytał.

Rzeka nie płynęła szybko, ale Paloma nie była zbyt wprawna pływaczką i wsysał ją nurt.

– Poradzę sobie – odrzekła. – Poczekaj, zaraz...

Uniosła nogę, ale woda złapała wciąż przymocowany do stopy wodny but. Nurt pociągnął Palomę. Okręciła się, balansując ramionami. Chciała podnieść drugą nogę, ale ta zaczepiła się o kamień.

Nie dość, że znowu znalazła się pod wodą, to na dodatek tyłkiem do góry. Obróciła się, ale prąd trzymał ją mocno i ciągnął ze sobą, tak że tylko jej stopy wystawały ponad powierzchnię wody.

Nie umrę w ten sposób, rozbłysło jej w głowie. To po prostu nie wypada najszybszej wojownicze na świecie.

Ale choć wierciła się i kręciła, nie mogła przyciągnąć nóg do siebie.

Zaczynała się już zastanawiać, czy to nie jest dobry moment, by wpaść w panikę, gdy dwie wielkie dłonie wsunęły się pod jej pachy i szarpnęły ją w górę. Z ulgą powitała powietrze w stęsknionych płucach.

– Dzięki! – wypluła wraz z wodą, gdy Eryk holował ją na brzeg.

Druga próba zakończyła się większym sukcesem, może dlatego, że tym razem wierzyła w jej powodzenie. Przebiegła po taflি na drugi brzeg, złapała się gałęzi i wyskoczyła z wody.

– Hura! – ryknął Eryk.

– Brawo, Wotaninie! – zawołała całkiem szczerze. Pomysł może i był prosty, ale ani Yoki Choppa, ani żaden inny czarnoksiężnik, którzy trenowali i poili owslanki magicznymi specyfikami, na niego nie wpadli. Oczywiście, powodzenie eksperymentu nie było tylko zasługą Eryka, na sukces złożyła się również jej niesamowita szybkość. Nikt poza nią nie przebiegłby rzeki. Ale... tak czy inaczej, była pod wrażeniem.

Gdyby miała wodne buty miesiąc temu, dorwałyby Wotan nad Kamienną Rzeką. I co by się wówczas stało? – przeszło jej przez myśl.

Przebiegła nurt jeszcze dwukrotnie. Za trzecim razem pobiegła w górę rzeki i udało jej się pokonać odległość trzystu kroków, zanim rozpadł się lewy but i wywinęła kolejnego spektakularnego orła. Tym razem skierowała się do brzegu, gdy tylko zorientowała się, że się przewraca, i obyło się bez akcji ratunkowej.

Przez całą drogę powrotną Eryk opowiadał o możliwych zastosowaniach swojego wynalazku i sposobach na jego ulepszenie.

Podniecony głos Wotanina musiał ponieść się aż do ich małej wioski, bo gdy wyszli spośród drzew, wszyscy przestali robić, co akurat robili, i zwrócili się w ich stronę.

Paloma nie powinna była cieszyć się uczuciem satysfakcji, które ogarnęło ją na widok Thyri i Finna gromiących ją wzrokiem. Nie, nie powinna była.



Sassa Gryziwarga i Gruby Wulf spędzili cały poranek, uśmiechając się do siebie. Od czasu do czasu Wulf ożywiał się i klaskał w dłonie. Pomimo wszystkiego, co przeszli, i wszystkiego, co jeszcze na nich czeka, Sassa

dawno nie czuła się tak szczęśliwa.

Wódz Tatinka Bizon odwiedziła ich w porze obiadowej, tak jak obiecała. Towarzyszył jej Klippsta i człowiek o twarzy, która wyglądała, jakby stopniała wystawiona na słońce. Jedno z jego oczu było zmasakrowane i nie do poznania, drugie bystre i uważne.

Klippsta był ubrany na zielono. Tatinka miała na sobie niebieską szatę i turkusową czapkę. Poparzony mężczyzna nosił skórzany brązowy kubrak z frędzlami, a u jego pasa wisiał kamienny toporek.

Dzień był ciepły, ale wietrzny, więc wszystkim dawał się we znaki dym z ogniska rozpalonego w środku okrągłego placu zakreślonego linią chat. Wódz zasugerowała, by przenieśli się na polanę przy rzece.

Na wodzie rozprysły się słoneczne refleksy, ptaki pikowały ku tafli, łykały wody i wzlatywały w niebo, wiatr szumiał w koronach drzew. Tatinka stanęła na polanie. Emanowała spokojem i pewnością siebie. Człowiek o stopionej twarzy robił wrażenie zabijaki, a jednocześnie wydawał się skrępowany, jakby wstydził się swojego wyglądu. Sassa próbowała dodać mu otuchy uśmiechem. Nieważne, jak wyglądasz, jesteś tak samo ważny jak my wszyscy, chciała powiedzieć. Dupki, które osądziłyby cię po wyglądzie, zginęły po drugiej stronie Matki Wody.

Gdy już wszyscy zebrali się na polanie, drobna kobieta wspięła się na powalony pień.

– Dzień dobry wszystkim. Mam nadzieję, że jesteście wypoczęci. – Wskazała gestem okaleczonego wojownika. – To jest Weeko Kieł.

Weeko Kieł skinął głową. Jego jedyne oko przyglądało się wszystkim po kolei.

– Weeko wrócił z Łąk.

Rozległy się okrzyki zaskoczenia. Weeko kiwnął głową raz jeszcze, głębiej.

– Weeko, czy zechcesz opowiedzieć naszym gościom o celu ich podróży? – poprosiła Tatinka tak spokojnie, jakby pytała o przepis na ciasto.

– Jasne – odparł głosem budzącym skojarzenie z workiem kamieni wleczonym po kamienistej plaży. – Przede wszystkim pragnę przeprosić za mój głos. Ucierpiałem w pożarze.

– No co t... Au! – Wulf powstrzymał niedelikatny komentarz Kifa

celnym ciosem w krocze.

– Wódz powiedziała mi, że chcecie dotrzeć na Łąki.

– Zgadza się – potwierdził Wulf.

– Wcale nie chcecie. – Weeko pokręcił głową. – Możecie mi wierzyć. Nie ma na świecie gorszego miejsca. Zginiecie, zanim w ogóle się tam zbliżycie.

Dłonie Gunnhildy opadły na ramiona Ottara, a chłopak po raz pierwszy nie zsunął ich z siebie. Gapił się z otwartymi ustami na Weeka Kła.

– Jest przepowiednia, którą musimy wypełnić – powiedziała Sofi.

– Nie zdołacie tego zrobić.

– Co tam się w ogóle dzieje na tych Łąkach? – zniecierpliwiała się Gunnhilda.

– Na zachód stąd ciągnie się łańcuch górski. To Lśniące Góry. Są o wiele wyższe od Czarnych Gór, tak wysokie, że na ich szczytach nawet w najgorętsze lato zalegają zimowe czapy. Po drugiej ich stronie jest Pustynia z Której Się Nie Wraca. Ciągnie się na setki mil na zachód, aż do samych Łąk. Ta pustynia jest domem śmierci i zniszczenia. Im bliżej Łąk się znajdziecie, tym dotkliwiej odczujecie na swojej skórze piętno tego przekłętą miejsca. To – wskazał zmasakrowaną połowę twarzy – jest pamiątka po zetknięciu z ognistym tornadem.

– Z czym? – spytał Kif, nieco bardziej podekscytowany, niż wypadało.

– To cyklon ognia, płonące tornado. Sunie po pustyni niczym gigantyczny, obracający się wokół własnej osi ognisty wąż tańczący na czubku ogona. Podpala i wyrzuca w powietrze wszystko, co znajdzie się na jego drodze. Czasem tworzy się nie jedno tornado, tylko dwa lub trzy, które przemierzają pustynię w grupie, niczym wilcza sfora, zostawiając za sobą chmury płonącego deszczu i spaloną ziemię. Siejąc śmierć.

– O kurde – sapnął Kif. Nie trzeba było mieć dwojga oczu, by dostrzec, że jest pod wielkim wrażeniem opowieści Weeka.

– Skoro tak, to jakim cudem ty przeżyłeś? – zdradziła się z wątpliwościami Paloma.

– Porzuciłem innych. Nie jestem z tego dumny. Nie byli moimi ziomkami, ledwie ich znałem, ale... – Pokręcił głową. – Po prostu uciekłem. Ogniste tornado poderwało mnie z ziemi. Zaraz wprowadzie

wypluło mnie do wody, ale nigdy nie zapomnę tego bólu.

Sassa strzepnęła z ramienia Wulfa muchę wyglądającą na taką, która lubi kąsać. Wyparowała z niej cała euforia.

– Tak, płonące tornado to najgorsze, co może was spotkać. Jeśli chodzi o pogodę, ma się rozumieć. Choć zwykle, niepłonące tornada, lawiny i powodzie również zabiły mnóstwo ludzi. Nie sądzicie jednak, że pogoda to największe niebezpieczeństwo, jakie wam grozi na Pustyni z Której Się Nie Wraca. Otóż bynajmniej.

– A co nim jest? – zaciekawił się Wulf.

– Potwory.

– Phi! Walczyliśmy już z potworami – prychnął Kif.

Dwaj jednoocy mężczyźni chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Nie z takimi jak te – powiedział Weeko.

– Głowę dam, że walczyliśmy z gorszymi. – Berserk zakręcił młynka toporem.

– A czy któryś latał?

– W sensie...

– Czy któryś miał szpony zdolne przeciąć rosnącego chłopca na pół?

– No...

– I czy było ich pięćset, a każdy wielki jak bizon?

– Właściwie to tak, z tym ostatnim walczyliśmy na...

– A czy któryś z tych, z którymi, jak mówisz, walczyliście, nadymał się jak bizoni pęcherz, zmieniał kolor na purpurowy i buchał trucizną na mile wokoło?

– Niezupełnie, ale...

– Więc nie wiecie, co to potwory. Takich, jakie żyją tam, nie widzieliście nigdy. Jakiś szalony bóg musi lepić je z najniebezpieczniejszych i najdzikszych zwierząt, jakie chodzą po tej ziemi, a potem powiększa je do absurdalnych rozmiarów. Wielkie jak wzgórze kraby o skorpionich ogonach zamiast szczypiec. Kolosalne łyse niedźwiedzie z kłami tarantul. Grube jak ramię stonogi o...

Weeko przerwał wyliczankę i rozkasłał się sążnięcie. Tatinka podała mu kubek z wodą. Nawet Kif czekał w milczeniu, aż wojownik wypije kilka łyków.

– Najlepsze, co można powiedzieć o monstrach rojących się na Pustyni

z Której Się Nie Wraca – podjął Weeko – to to, że są chaotyczne. Te największe nie żyją zbyt długo. Rozpadają się i jak już mówiłem, potrafią wybuchnąć. Ale póki żyją... po prostu trzeba się przed nimi chować. I wydaje mi się, że teraz ich długość życia się zwiększyła. Przynajmniej te mniejsze nie umierają już tak szybko. Ostatnimi stworami poznanymi przeze mnie, gdy już opuszczałem pustynię, były chmary owadów wielkości człowieka, z kleszczami zamiast rąk. Ich wrzask sprawia, że człowiekowi z przerażenia topnieją wnętrzności. Zlatują nisko i fruną przy ziemi, drąc się tak głośno, że człowiek ze strachu zapomina się bronić, po czym masakrują całe wioski, ludzi i zwierzęta też.

– Ale skąd biorą się wszystkie te potwory i ta pokręcona pogoda? – spytał Wulf.

– To wszystko przez Łąki. Tam jest coś, co wykoślawia przyrodę, łamie prawa natury i rodzi żyjące koszmary.

– Ale co konkretnie na tych Łąkach jest przyczyną tych wszystkich okropności? – spytał Finn. Sassa pomyślała, że nigdy jeszcze nie zabrzmiał tak poważnie.

– Nie wiem. Ale słyszałem plotki. Wielu twierdzi, że to martwa czarnoksiężnica oplakuje swoje martwe dziecię. Kto wie, może to i prawda. Na Łąkach stoi potężna piramida, grobowiec królowej, która zmarła w dawnych czasach. To wszystko zaczęło się wkrótce po jej śmierci. Dwa największe plemiona Pustyni z Której Się Nie Wraca, Czarnoksiężnicy i Wojownicy, uznały, że w tym grobowcu ukryty jest jakiś magiczny artefakt. Oba plemiona zapragnęły go zdobyć, więc ruszyły na wojnę. Czy któreś go odnalazło, nie wiem. Wiem tylko tyle, że oba plemiona spotkała zagłada. A więc zaklinam was: nie idźcie na Łąki. Nawet jeśli przebędziecie Lśniące Góry... czego nie dokonacie, bo pełno tam wielkich stóp... więc nawet jeśli je przebędziecie, wszyscy zginiecie w ciągu kilku godzin.

– Wielkie stopy to nasi przyjaciele – powiedział Eryk.

Weeko obrzucił go takim spojrzeniem, jakim żona mogłaby obrzucić męża, który właśnie stwierdził, że trójkąt z wiewiórką znacznie ubarwiłby ich życie erotyczne.

– Byłeś kiedyś w Lśniących Górach, człowieku?

– Nie...

– Wielkie stopy w tych górach są okrutne i niezwykle cwane. Mają tak niemożliwie silne łapy, że rozerwą was wszystkich na strzępy i nawet się nie spocą. Poradzą sobie bez trudu nawet z twoją wielką kobietą. Ale wolą zabijać inaczej, mianowicie miażdżą serce mocą umysłu!

– Jeśli są cwane, to można się z nimi dogadać, nie? – rozumował Wulf.

– Nie, nie można. Darzą ludzi takim samym szacunkiem, jakim my darzymy ryby. Słuchałbyś, co chce ci powiedzieć ryba?

– Gdyby zaczęła do mnie gadać, pewnie bym posłuchał.

– No dobra, zły przykład. Ale zapamiętajcie, że nie uważają nas za partnerów do dyskusji. Lubią w nas tylko to, że można nas zabić.

– Jak udało ci się przemknąć?

Weeko zrobił wydech.

– Poszedłem z nimi na układ.

– Jaki układ?

– Obiecałem, że jeśli mnie puszczą, to przekonam mnóstwo ludzi, żeby poszli w Lśniące Góry, żeby wielkie stopy mogły ich pozabijać.

– Nieźle – powiedział Wulf.

– Nie miałem zamiaru dopełnić warunków tej umowy. Ani wówczas, ani teraz.

– Rozumiem. Tak czy inaczej, cokolwiek byśmy tam napotkali, musimy przebyć Lśniące Góry i zniszczyć źródło tej dziwnej mocy bijące na Łąkach – rzekł Wulf.

– Równie dobrze moglibyście próbować zniszczyć słońce. Radzę wam, trzymajcie się z dala od Łąk. Wróćcie na wschód i módlcie się, żeby ten koszmar nie wylał się zza Lśniących Gór na resztę świata, a przynajmniej tak długo, dopóki my żyjemy.

Na dłuższą chwilę zaległa cisza. Wiatr poruszający liśćmi drzew brzmiał w ich uszach jak szepty potworów, które lada moment wyskoczą na nich z gęstwiny. Sassa popatrzyła na swoich przyjaciół, na Wotan i Calnian.

– Powinniśmy zawrócić – przerwała ciszę Gunnhilda. Jej dłonie wciąż spoczywały na ramionach Ottara. Frejdis trzymała brata za rękę. – Nie możemy zabrać dzieci do takiego miejsca. To nie ujma wiedzieć, gdzie przebiega granica między odwagą a głupotą, i trzymać się po właściwej stronie tej granicy.

Wulf spojrział na Sassę. Rzadko znajdował się w sytuacji, gdy nie wiedział, co powiedzieć. Nawet Kif milczał, najwidoczniej dotknięty tą samą nagłą niemocą. Czy szli taki szmat drogi tylko po to, by zawrócić?

– Musimy iść na Łąki – odezwał się wreszcie Yoki Choppa, ściągając na siebie wzrok wszystkich. – Koszmar, o którym mówi Weeko, potężnieje. Wkrótce przeleje się przez Lśniące Góry i rozrośnie, pochłaniając cały świat. Wszystko zginie, ludzie i zwierzęta. Chyba że coś z tym zrobimy. Ottar Niemowa może pokonać niszczycielską magię Łąk. Potrzebuje naszej pomocy, żeby tam dotrzeć.

– Ale jak mały chłopiec miałby tego dokonać? – wyrzekła błagalnie Gunnhilda.

– Nie wiem – odparł Yoki Choppa.

– Powiedz nam wszystko, co wiesz! – zażądała Pobożna.

– Już to zrobiłem. – Czarnoksiężnik spojrział w ziemię.

– Jak się w ogóle do tego zabrać? – pociągnęła Gunnhilda. – Już wielkie stopy prawdopodobnie zniweczą nasze zamiary!

Sassa była wdzięczna Gunnhildzie za to, że zabrała głos, bo dzięki temu ona nie musiała tego robić. Nie uśmiechało jej się zabierać swojego nienarodzonego dziecka do krainy potworów i ognistych tornad, ale z drugiej strony nie chciała zdradzić się z tym, że tchórz ją obleciał.

– Weeko przeprowadzi nas przez Lśniące Góry – powiedziała Sofi.

– Nie dosłyszałaś tej części o moim układzie z wielkimi stopami? Spodziewają się, że przyprowadzę im owce na rzeź.

– Dzięki temu dostaniemy się na ich terytorium.

W dupę borsuka, zakłęła w myślach Sassa. Sofi przekroczyła granicę między odwagą a głupotą i zagłębiła się w głupotę na ładnych kilka mil.

– Dostaniecie się, a potem zginiecie – spierał się Weeko.

– Coś wymyślimy.

– Postradaliście zmysły.

– Być może. Ale i tak nas tam zabierzesz. Jesteśmy jedyną szansą na przetrwanie tego świata. Ty zaś masz dług honoru wobec towarzyszy, których zostawiłeś tam na pewną śmierć.

Weeko długo patrzył jej w oczy.

– Dobrze.

– Hmm... Sofi? – zaczął Wulf.

- No?
- Czy to dobry pomysł, żeby iść z Weekiem?
- A masz pod ręką innego przewodnika?
- Nie bardzo.
- No właśnie. Pakujcie się, wyruszamy.
- Nie – powiedział Wulf.
- Nie? – Sofi obróciła się do niego. Nie sięgnęła do rękojeści topora, ale Sassa widziała, że palce ją świerzbią.
- Wycierpieliśmy swoje w minionych dniach. My wszyscy. Odpoczniemy jeszcze jeden dzień, wyruszymy jutro.
- Wulf, tam umierają ludzie, teraz, w tym momencie. Moc Łąk rośnie z każdą chwilą.
- A więc jutro będziemy szli szybciej. Ale najpierw potrzebny nam odpoczynek.
- Sofi zadarła podbródek. A potem wzruszyła ramionami i skinęła głową.
- W sumie czemu nie. Tatinko, czy możemy zostać jeszcze jeden dzień?
- Ależ jak najbardziej. Choćby z tego względu, że jest jeszcze jedno, pilniejsze zagrożenie, z którym musicie się uporać.
- O nie... – westchnęła Bodila. – Co tym razem?
- Wasz stary znajomy Bobrocłek. Będzie czekał na was na południowym skraju ziem Zielonego Plemienia. Już tam zmierza wraz ze swoimi jeźdźcami.
- Skąd wie, którą drogą chcemy opuścić wasze ziemie? – spytała Sassa.
- Pewnie dowiedział się o tym tak samo, jak ja dowiedziałam się o jego zamiarach. Ale możliwe też, że sam się domyślił. Z Czarnych Gór wiedzie na południe tylko jedna dobra ścieżka. A wy, jak mniemam, zdradziliście mu, dokąd idziecie.
- No tak. A królewskie jaszczury?
- Wszystkie są martwe. Manchindze dzięki, tak wielkie bestie nie żyją zbyt długo. Te, które zabiliście, nie przeżyłyby trzech dni.
- Skąd ty wiesz to wszystko? – zdziwiła się Gunnhilda.
- Tatinka odpowiedziała uśmiechem.
- Manchinga widzi wszystko.

– Czemu Bobroczek nie zapuści się naszym śladem w Czarne Góry? – spytał Wulf.

– Bo się boi.

– A czy my powinniśmy się bać?

– Klippsta zaprowadzi was na południe. Tak długo, jak jesteście z nim, nic wam nie grozi. Manchinga wszystko widzi, ale i nad wszystkim trzyma pieczę.

– To ty tak twierdzisz – mruknął przewodnik.

– Już o tym rozmawialiśmy, Klippsto. Nie posyłałabym cię w drogę, gdyby była niebezpieczna.

– Czy twoi ludzie pomogą nam pokonać Bobrocza? – spytała Sofi.

– Nie są wojownikami. Mimo to obdarzę was bronią, która pomoże wam tego dokonać. Mam pięć strzał, które są w stanie przebić skórę badlandzkiego wodza. Wy zaś macie w swoich szeregach najlepszą łuczniczkę na świecie.

Sitsi zamruczała jak pogłaskana kotka.

– Jeszcze jedna rzecz – podjęła Tatinka. – Jest z wami małe dziecko. Nie przeżyje takiej podróży. Proszę, zostawcie je z nami.

– Sofi, co ty na to? – spytał Wulf.

– Chyba powinniśmy – powiedziała Gunnhilda, próbując, jak domyśliła się Sassa, nie zdradzić się z tym, że ma już dosyć opieki nad niemowlęciem.

– To dziedzic calnijskiego tronu – rzekła Tatinka. – Nie będziemy próbować tego wykorzystać, ale powiemy mu, kim jest. Może pewnego dnia odzyska odebrane mu imperium. Kto wie, może wy mu w tym pomożecie.

– A więc Calnar zostanie z wami – powiedziała Sofi.

– Jest jeszcze dwoje dzieci, które powinny tu z nami zostać. Osobiście dopilnuję, żeby niczego im nie brakowało – dodała Tatinka.

– Ale Ottar jest niezbędnym warunkiem wypełnienia przepowiedni, która... – zaczął Finn, ale nie skończył.

– Mówię o jego szopach.

Ottar rozejrzał się, zapomniawszy domknąć ust. Na jego twarzy zarysowała się rozpacz. Hugin i Munin wcisnęli się między jego kostki, piszcząc i skamłając. Ottar kucnął i przygarnął je do piersi.

Tatinka podeszła do niego.

– Ottarze, twoi mali przyjaciele są jeszcze młodzi i to dla nich zbyt niebezpieczna wyprawa. Mógłbyś je nieść, ty lub ktoś inny, ale szopy wolą chodzić na własnych nogach. Mogą zginąć, a osoba, która by je niosła, będzie obciążona, a więc również w niebezpieczeństwie.

Ottar jęknął i pokręcił głową.

– Ach, gdybyż tylko góry stały na waszej drodze, mój drogi chłopcze – mówiła dalej Tatinka. – Wówczas można by poważić się na ryzyko i zabrać na wyprawę twoich małych towarzyszy. Ale po drugiej stronie gór jest Pustynia z Której Się Nie Wraca, miejsce niezwykle niebezpieczne dla każdego szopa, nawet bez szalejącej tam magii. Jeśli je tam zabierzesz, zginą. Więc to okrutne wyprawiać je w podróż ku niechybnej śmierci. Rozumiesz, prawda?

Ottar wyściskał szopy, a potem podniósł zapłakane oczy na wodza Zielonego Plemienia i kiwnął głową.

Sassa nie zdołała powstrzymać własnych łez. Ani przyjemnego ukłucia satysfakcji na widok wszystkich owslanek – nawet Sofi – które odchodziły chyłkiem, by przypadkiem ktoś nie zobaczył, że najlepsze wojowniczkę na świecie płaczą przez chłopca i jego szopy.



Rozdział 8

HUZIA NA BOBROCZŁEKA!

Drobny deszcz wolno, lecz z sukcesem przemaczał ich do suchej nitki. Biegające wokoło jelenie najwyraźniej nic sobie nie robiły z penetrującej wszystko wilgoci. Było ich tu więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu mijanym po drodze. W czasie długiej marszruty pod górę z miasteczka Zielonego Plemienia napotkali ich chyba tysiące. Zaledwie kilka czmychnęło im sprzed nosa, większość tylko odrywała głowy od murawy i żuła, przyglądając się bez strachu Wotanom i Calnianom prowadzonym na południe przez Klippstę i Weeka Kła.

Również zawrodo Ottara nie wybiło jeleni z rytmu. Eryk Złośnik nigdy jeszcze nie widział nikogo pogrążonego w tak dojmującej rozpaczy. Frejdis usiłowała pocieszyć brata przez jakieś dwadzieścia

uderzeń serca, nim złożyła broń i pomaszerowała naprzód. Wówczas chłopiec klapnął na tyłek i rozplakał się na dobre, a potem położył się na ziemi i zaczął okładać ją rękami i kopać nogami.

Eryk Złośnik odczuł przyływ łzawego współczucia, które przeszło w samochwalcze zrozumienie dla rozgoryczonego malca, a potem w ciche pragnienie, by dzieciak zamknął w końcu japę. Młodego niosła teraz Chogolisa; Eryk mógł odłączyć się od niej i poczekać, aż mały wyjec wreszcie się zamknie, ale czuł, że powinien wesprzeć ją w jej trudach.

Dwie rzeczy poprawiały mu nastrój, przy czym obydwie miały ścisły związek z obuwiem. Po pierwsze, Tatinka obdarzyła wszystkich Wotan wysokiej jakości skórzanymi butami o twardych, lecz elastycznych podszwach (zaferowała je także owslankom, ale Sofi powiedziała, że takie wielkie buty będą im tylko przeszkadzać). W każdym razie Eryk był Tatince wdzięczny. Buty wyglądały sztywno, świetnie trzymały się rozmokłego szlaku, chroniąc nogi przed zimnem i nie przepuszczając wilgoci. Po drugie, eksperyment z wodnymi butami okazał się sukcesem, przy niemałym wkładzie Palomy Widłoróg. Eryk spędził miniony dzień na robieniu dwóch kolejnych par. Tym razem użył większej ilości ścięgien, by buty były mocniejsze, a potem uczynił z nich broń, utwardzając je w ogniu i zastrzając krawędzie. Druga para była mniej więcej tych samych rozmiarów co prototyp, trzecia wyraźnie mniejsza. Eryk sądził, że idealne wymiary to te gdzieś pośrodku, no ale nie od razu Harówkę zbudowano.

Widok Palomy Widłoróg przecinającej pędem jezioro, rozwiązującej wodne buty i atakującej niespodziewającego się niczego wroga radował go nawet bardziej niż nowe buty. Z drugiej strony widok Palomy siedzącej na brzegu i proszącej wroga, by chwilę poczekał, bo zanim przystąpi do młócenia go kosturem na krwawą miazgę, musi zdjąć te cholerne buciory, był niczym pływający w kotle ze strawą klocek. Będzie musiał zastanowić się nad jakimiś zapięciami lub czymś w tym rodzaju.

Ścieżka wyrównywała się z wolna, a wycie Ottara wreszcie ścichło do ledwie słyszalnego pochlipywania. Frejdis wróciła do nich i spytała, czy Eryk weźmie ją na barana.

Ruszyli raźniej przed siebie w upojnej ciszy, aż Chogolisa spytała:

– O czym myślisz?

- Jak ulepszyć wodne buty Palomy.
- Może nasmarować je sadłem, żeby nie nasiąkały wodą?
- Niezły pomysł, ale jakoś nie widzę Palomy brudzącej sobie ręce.
- No cóż, racja. A może pokryć je bobrzym futrem?
- Trudno będzie je zamocować tak, żeby nie zdarło się przy dużej szybkości.

Chogolisa podrzuciła mu jeszcze kilka pomysłów. Wszystkie były całkiem dobre, ale żaden dość dobry. W końcu poddała się i zmieniła temat:

- Jak myślisz, co siedzi w tych lasach?
- W pizdę jeleni?
- Eryku Złośniku! – ochrzaniła go Frejdis.
- Znaczy dużo jeleni.
- Tak, to ma sens. Bobroczek i jego armia sztyletozębnych jeźdźców nie zapuszczają się w Czarne Góry. Podobno są tam jelenie.
- A wuja Poppa raz ugryzł jeleni – powiedziała Frejdis. – Ale to była jego wina.

Gdy Frejdis opowiadała historię pokąsanego Poppa Białozębego, Eryk wodził wzrokiem po ścianie lasu. Wydawało mu się, że coś wielkiego i o wiele ciemniejszego od jelenia mignęło mu między drzewami, lecz zaraz znikło.

– Masz rację, coś musi tam siedzieć. Tylko co? – powiedział z namysłem, gdy Frejdis skończyła opowieść, a Chogolisa przestała się śmiać.

– Naprawdę chcecie wiedzieć? – spytał Klippsta, zakradłszy się bezgłośnie za ich plecami.

- Pewnie – odpowiedzieli jednocześnie.
- To na pewno duchy – rzekła Frejdis.
- Celny strzał! – pochwalił ją Zielony. – Właściwie masz rację. Badlandczycy parają się przedwieczną magią, tworząc swoje wynaturzone zwierzęta. A kiedy to robią, esencja życiowa danego zwierzęcia, nazwijmy ją duszą, opuszcza jego ciało. Nie wiem, jak to się dzieje, ale Tatinka przywołuje te dusze, żeby zamieszkały w tutejszych lasach.

– Dlaczego? – spytał Eryk.

– Żeby mnie straszyły, gdy chadzam nimi sam. Czasem czuję, że przenikają wprost przeze mnie. – Klippsta aż się wzdrygnął.

– I żeby powstrzymać Badlandczyków – powiedziała Frejdis.

– To oficjalny powód. Nie wiem, co te wszystkie dusze zrobią Bobroczałkowi i jego żołnierzom, ale on chyba wie, bo żaden Badlandczyk nie zapuścił się w te lasy od lat.

– Mnie nie wydają się takie straszne – powiedziała Frejdis.

– Bo ty nie będziesz musiała wracać tędy sama po nocy – odgryzł się Klippsta.

Eryk zarechotał.

– Co cię tak śmieszy? – zaciekawiała się Chogolisa.

– A nic, po prostu Klippsta przypomniiał mi klasyczny lakchański dowcip.

– Opowiedz.

– Dobra. Dziecko i morderca idą razem przez mroczny las. „Ale tu strasznie!”, mówi dziecko. „Ty się boisz?”, obrusza się morderca. „To ja będę wracał sam!”

Eryk zaśmiał się ponownie, ale nikt poza nim. Szli dalej w ciszy.

– Nieśmieszny ten dowcip – powiedziała Frejdis po chwili.



Mżawka rozplynęła się w mgłę, oplatającą eterycznym bluszczem drzewa i skały, aż bóg słońca Innowak uznał, że już wystarczy, a następnie rozpedził ją swoimi oślepiającymi promieniami i wprowadził w lśnienie wilgotne liście i kamienie. Chmary ćwierkających ptaków wyskoczyły ze swoich kryjówek i nasyciły rzeński poranek śpiewem, jakby chciały muzyką dodać sił wędrującym.



Na południowy skraj Czarnych Gór szli dwa dni. Pierwszej nocy rozbili obóz na brzegu rozległego czarnego jeziora. Klippsta powiedział im, że do jego powstania walnie przyczyniły się bobry, które zatamowały całą dolinę.

Finn Filozof odszedł kawałek na południe, by obejrzeć

płaskoogoniaste stworzenia oraz efekty ich budowlanych zapędów. Nie miał wiele do roboty. Paloma cały czas spędzała z Erykiem, biegając po powierzchni jeziora w specjalnych butach, które wymyślił jego ojciec. Rozumiał, czemu ta nawodna biegania może sprawiać przyjemność, ale nie rozumiał, czemu muszą się przy tym tyle śmiać i czemu po każdym biegu Widłoróg musiała wpadać mu w ramiona. Najwidoczniej wolała spędzać czas z jego ojcem niż z nim. I dobrze, co w tym złego? Ojciec był świetnym facetem. Finn naprawdę nie miał nic przeciwko temu. Był w końcu Finnem Filozofem i nie przejmował się takimi drobnostkami. Nawet jeśli Paloma, spędziwszy z nim noc, nie próbowała nawet się z nim zaprzyjaźnić, zanim przerzuciła się na jego tatę.

Próbował rozmawiać z Thyri, ale była tak zajęta ostrzeniem saksu, że nawet go nie usłyszała. To również nic, czym należałoby się martwić.

Przyjrzał się z zaciekawieniem wzniesionej przez bobry tamie. Niesamowite. Jak one przenoszą te wielkie pnie? I jak to robią, że trzymają się one w miejscu?

Gapił się na drewnianą konstrukcję, aż nie mógł już dłużej udawać, że rzeczywiście tak go interesują budowlane umiejętności bobrów, ale gdy wrócił, Eryk i Paloma wciąż dokazywali. W dodatku dołączyła do nich Sofi Tornado. Paloma holowała ją po tafli wody. Podeszwy stóp dowódczyni utrzymywały się na powierzchni, wzbijając w górę pióropusze wody. Finnowi wydało się, że słyszał, jak Sofi krzyczy z uciechy, ale uznał, że to niemożliwe. Pewnie krzyczała Paloma lub może gęgała dzika gęś.

Rozejrzał się, chcąc sobie znaleźć jakieś zajęcie. Zobaczył, że na kamieniu nad jeziorem siedzi płaczący cicho Ottar Niemowa. Finn usadowił się obok chłopca i otoczył go ramieniem.

– Nie smuć się. Wrócimy tutaj i wtedy znowu spotkasz się z Huginem i Muninem.

Ottar zrobił minę, która upodobniła jego twarz do wyżymanej po praniu koszuli, po czym zaryczał z bólu jak ranny łoś. Ku własnemu zaskoczeniu Finn zrozumiał, co chłopiec chciał przez to powiedzieć. Dziękował Finnowi, choć wiedział, że nigdy już nie zobaczy swoich szopów.



Gdy ruszyli w drogę następnego dnia, wokół roztoczyły się tak wspaniałe widoki – krajobrazy zdominowane przez monumentalne masywy szarej skały wypiętrzające się z zielonego lasu – że Finn prawie zapomniał o tym, że ani Paloma Widłoróg, ani Thyri Drzewonoga nie zamieniły z nim słowa, odkąd pocałował owslankę nad rzeką, do cholery. Oraz że z jakiegoś powodu, który na pewno usprawiedliwiłaby jakąś wkurzającą maksymą, unikała go także ciotka Gunnhilda.

Zbliżało się południe, gdy Gruby Wulf podbiegł do Finna z twarzą przedzielną uśmiechem, którego nie powstydziliby się Chapa Wangwa:

– Spójrz tam, człowieku, i zapamiętaj ten moment na zawsze, albowiem nigdy nie ujrysz skały, która bardziej niż ta przypominałaby pindola.

– Głowę bym dał, że już to kiedyś słyszałem.

Wulf wskazał skalną wieżycę przewyższającą sześciokrotnie dorosłego mężczyznę. Jej ukoronowaniem był głaz w kształcie hełmu. Dwa olbrzymie okrągłe kamienie u nasady iglicy wystawały z kępy jodeł.

Wulf podskakiwał, uradowany jak mała dziewczynka w dzień urodzin.

– Nawet łoniacze ma! To dowodzi niezbitości prawdziwości mojej hipotezy. Z całą pewnością istnieje jakiś skræliński bóg kutasów, który znaczy ślad swojego przejścia tymi monumentalnymi posągami. To przecież jedyne logiczne wytłumaczenie. Przecież to niemożliwe, żeby... Na Thora! Tam sterczy kolejny! Jest jeszcze lepszy! Ewidentnie człon kogoś bardziej tęgiego... A może tęgi gnat jakiegoś chudzielca?

Dwaj młodzi bohaterowie szli spacerowym krokiem, wynajdując ukryte w różnych punktach krajobrazu kamienne penisy i zrywając boki ze śmiechu. Entuzjazm Wulfa dla cudów fallicznej geologii pozwolił Finnowi zapomnieć o troskach, którymi obarczył go okrutny świat. Później, popołudniową porą, zeszli drogą biegnącą w dół po łagodnym stoku, oglądając widoczne w oddali kolejne jezioro, także dzieło pracowitych bobrzyczych budowniczych. To było nieco mniejsze, otoczone z jednej strony skalnymi kopułami i pionowymi płytami szarego kamienia, z drugiej zaś pasem łąki przerywanym przez ścianę lasu. Nigdzie nie było widać bobrów. Może dlatego, że na przeciwległym brzegu stał z rękami wspartymi na biodrach wpatrzony w nich

Bobrocłek we własnej uśmiechniętej osobie.

– Oto granica ziem Zielonego Plemienia – ogłosił Klippsta. – Miło było, wpadnijcie jeszcze kiedyś, cześć.

I poszedł w cholerę.

– Czy Bobrocłek nas widzi? – spytała Bodila.

Nikt nie odpowiedział.

– Masz strzały, Sitsi? – chciała wiedzieć Sofi.

– W kołczanie.

– Dobrze. Tamten wysoki skalny słup wygląda jak doskonały punkt obserwacyjny.

Raczej jak kutas, pomyślał Finn. Spojrzał na Wulfa. Kapitan hirdu, przewodnik Wotan odpowiedział mrugnięciem. Finn przygryzł wargę, by powstrzymać śmiech, ale przedarł się jeden wyjątkowo niemęski pisk.

– Chogoliso, idź z Sitsi – mówiła dalej Sofi, przeszywając Finna takim spojrzeniem, że aż pot wystąpił mu na czoło.

Sitsi i Chogolisa udały się na wskazaną pozycję. Finn patrzył, jak Eryk odprowadza wzrokiem potężną kobietę. Niebieskie oczy jego ojca wyrażały troskę. Wszyscy zauważyli, że Złośnik i Zadrzyziemia mieli się ku sobie. Więc dlaczego tyle czasu spędzał z Palomą?

– A gdzie schowała się kocia jazda? – spytał Kif.

– Między drzewami za Bobrocłkiem – odpowiedziała Sofi. – Wulf, weź Eryka, Thyri i Sassę, zajmijcie pozycję po wschodniej stronie jeziora. Szybko przetnijcie łąkę i skryjcie się między drzewami. Trzymajcie się razem i miejcie się na baczności. Sasso, zastrzel każdego, kto będzie miał przy sobie dmuchawkę. Nie wahaj się. Oni się nie zawahają, ich celem jest zabicie ciebie i twoich ludzi. Jeśli walka pójdzie nie po naszej myśli, ucieknijcie przez jezioro na skalisty brzeg. Nie przepłyną tak szybko jak wy, a jeśli będą próbować, Sitsi ostudzi ich zapał strzałami. Reszta z was niech zostanie tutaj i ma oko na dzieci.

Finn rozejrzał się. Weeko Kieł rysował coś palcem na ziemi. A więc bohater, który wrócił z Pustyni z Której, jak wieść niosła, Się Nie Wraca, nie miał nic przeciwko niańczeniu dzieci w czasie bitwy? No cóż, Finn miał coś przeciwko.

– Powiniennem pójść z hirdem – powiedział.

– Tu też się przydasz. Koty są szybkie, mogą z łatwością ominąć

wojowników i dopaść was. Możecie nie przeżyć bitwy równie dobrze jak my.

– Aha. A to w porządku.



Finn widział Palomę i Sofi między drzewami, gdy zbiegały ze stoku. Hird wraz z Sassą mknął na przełaj przez łąkę, by wtopić się w las na wschodnim brzegu, tak jak rozkazała Tornado. Sitsi pojawiła się na szczycie najwyższej skały po zachodniej stronie jeziora.

Stacjonująca na południowym brzegu kocia kawaleria jechała stępą ku Wulfowi i pozostałym.

Finn spojrział na Ottara i Frejdis. Niemowa wciąż chodził przybity, okazując zerowe zainteresowanie motylkiem, którego pokazywała mu siostra.

A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Bobroczełek wystrzelił z miejsca i przeciął polanę. Paloma Widłoróg przebiegła jezioro na swoich wodnych butach, holując za sobą Sofi Tornado. Wódz Badlandczyków zatrzymał się na brzegu. Czekał na nie. Gdy zastygł w bezruchu na jedno uderzenie serca, strzała Sitsi trafiła go w pierś.

Ha, dobrze ci tak! Finn zorientował się, że podskakuje z ekscytacji, więc przestał. Ale przecież Sitsi trafiła Bobroczełka prosto w pierś magiczną strzałą!

Naprawdę nie wydawało mu się, że to będzie takie proste.

Powinien był się domyślić, że wcale nie będzie.

Bobroczełek jakby nie widział drzewca sterczącego mu z klatki piersiowej. Pobiegnął Sofi i Palomie na spotkanie. Kolejna strzała wbiła mu się w ramię i na moment wytrąciła go z rytmu. Ale tylko na moment.

Owslanki dotarły do brzegu, Paloma prędko zabrała się do rozwiązywania butów, a Sofi już szła w kierunku Bobroczełka, wymachując toporem.



Sitsi poczuła, jak serce zapada jej się w piersi. Przecież go trafiła!

Jakim cudem Bobroczelek wciąż żyje? Tatinka powiedziała im, że te strzały przebiją jego skórę, i miała rację. Sofi podejrzewała, że nie wyrządzą mu wielkiej krzywdy, i też miała rację.

Sitsi usiadła, złożyła łuk na kolanach. Skała zachybotowała się pod nią. Czubek słupa, na który się wdrapała, był oddzielnym głazem, który jakimś sposobem od wieków nie spadał na ziemię. Chybotanie ustało i Sitsi odetchnęła z ulgą. Rozkaz Sofi był jasny. Strzel dwa razy, a potem czekaj na widoku na kolejne polecenie.



– Wotanie!

To był Rappa Hoga. Spomiędzy drzew widać już było sztyletozębne koty i jeźdźców. Sassa kilka razy uniosła łuk, ale jak dotąd żaden nie wystawił się na cel.

– Co jest? – odkrzyknął Wulf.

– Zostańcie, gdzie jesteście. Nie atakujcie nas, a może dożyjecie do zachodu słońca. Zrozumiano?

– Pytasz, czy rozumiem, co powiedziałaś, czy się na to zgadzam?

– To drugie.

– W takim razie pierdol się! Idziemy po was! – zawołał Wulf. – Woooooota! – A potem dodał chrapliwym szeptem: – Nie ruszać się. Nie atakować, dopóki nie powiem. Sassa, nie strzelaj do nich.

– Radzę mimo wszystko, żebyście nie ruszali się z miejsca – powiedział Rappa Hoga.



Sofi przyspieszyła do biegu i skoczyła na Bobroczeleka, cały swój ciężar i siłę wkładając w cios, którym zamierzała roztrzaskać mu głowę. A przynajmniej takie chciała sprawić wrażenie. Uniósł ramię, chcąc zablokować uderzenie. Dokładnie tak, jak się spodziewała. Zmieniła cel i trafiła go w łokieć, a potem otwartą dłoń wbiła mu nos w głąb czaszki.

Odskoczyła. Nos Badlandczyka zmienił się w miazgę, a z jego łokcia sterczała biała kość. Ale Sofi odkryła ku swojemu zaskoczeniu, że nie

utoczyła mu ani kropli krwi.

– Moim głównym zwierzęciem mocy jest kleszcz – wyjął wódz. – Nie najdostojniejsze ze zwierząt, ale niezniszczalne i silne jak cała armia. No chodź, pozwolę ci spróbować raz jeszcze, zanim cię zabiję.

Rzuciła się naprzód, zamachując się toporem. Usłyszała, że przeciwnik składa się do ciosu pięścią. Może i jest niezniszczalny, ale na pewno nie taki szlachetny, za jakiego chciał uchodzić. Uchyliła się i ciosem topora od dołu rozwalila mu żuchwę, niemal jednocześnie wbijając wyprostowane palce w wątrobę z nadzieją, że jego niższe organy wewnętrzne okażą się bardziej podatne na razy.

Nie okazały się.

Bobroczył naparł na nią, szaleńczo wymachując rękami i nogami. Sofi nie lubiła, gdy ktoś atakował ją w tak nieskoordynowany sposób. Nie była w stanie uchylić się przed każdym ciosem, któryś prędzej czy później musiał dosięgnąć celu. Przeciwnik trafił ją kolaniem w udo, mięśnie eksplodowały bólem. Pięść uderzyła ją w mostek z taką siłą, jakby kopnął ją łos.

Odtoczyła się zamroczona, a on rzucił się na nią, objając jej korpus ciosami jak uderzenia młota. Na koniec zamachnął się potężnie i strzelił ją w twarz wierzchem dłoni.

Usłyszała, że Bobroczył cofa się o krok, a potem zbiera się do ciosu, który wedle jej szacunków powinien zmieść jej głowę z barków. Wiedziała, że nie zdąży się zasłonić.

Wtem coś trafiło ją z impetem i porwało w powietrze.



Sitsi mogła tylko patrzeć, jak Bobroczył masakruje jej dowódczynię.

Sofi kazała jej czekać, choćby nie wiadomo co się działo, więc Sitsi czekała, ale po prostu nie była w stanie tego oglądać. Gdyby Tornado nie była owslanką, już dawno rozpadłaby się na kawałki.

Bobroczył złożył się do ostatecznego ciosu... Ale wtedy Paloma, która w końcu uporała się z butami, przemknęła dystans dzielący ją od Sofi, dała nura w kierunku dowódczyni, porwała ją z ziemi i pobiegła z nią w las, prędko jak spadająca gwiazda.

Oto znak, na który czekała Sitsi.

Bobroczełek obrócił się, by ruszyć w pogoń za owslankami. Sitsi wypuściła strzałę. Pocisk przeleciał nad jeziorem i przebił na wylot kark Badlandczyka.

Wysokie umiejętności wcale nie gwarantowały łucznikowi stuprocentowej skuteczności. Niedoskonałości materiałowe związane z gryfem, cięciwą, drzewcem, grotem i pierzyskiem wpływały na tor lotu strzały, podobnie jak wiatr, wysokość, temperatura i wilgotność powietrza. Tak więc Sitsi ogarnęły szczęście i duma, że wypuszczona przez nią strzała trafiła Bobroczełka w sam środek karku, przerywając rdzeń kręgowy.

Lecz ten, zamiast zwalić się na ziemię jak szmaciana lalka, obrócił się powoli, a na jego zmasakrowanej twarzy zarysował się upiorny uśmiech. Ruszył biegiem w kierunku Sitsi. Gdy dobiegł do jeziora, Pustułka myślała, że je przeplynie, ale nie. Badlandczyk przebiegł je tak jak Paloma, z tym że nie miał na nogach wodnych butów. Przełknęła ślinę.

Dobiegł do podstawy jej skalnej kolumny i wskoczył na nią jak wiewiórka. Błyskawicznie wdrapał się na szczyt i wyłonił się tryumfalnie na ruchomym głazie na wierzchołku.

Pozostałe wojowniczkę może podjęłyby walkę, ale Sitsi dobrze znała swoje mocne i słabe strony. Prosząc Innowaka, by miał ją w opiece, zeskoczyła ze skały i pofrunęła w dół.



Tansy Burna jechała przez las z nosem przy grzbiecie kota, starając się, by zasłona drzew oddzielała ją od Wotanki z łukiem. Odnalazła Rappę Hogę siedzącego na grzbiecie swojego wierzchowca. Czekał na skraju lasu, obserwując Bobroczełka biegnącego przez jezioro, wdrapującego się na skalną wieżę i zganiającego z jej wierzchołka owslańską łuczniczkę. Wódz zeskoczył w ślad za nią.

– Moglibyśmy zejść z kotów – zagadnęła Tansy – podczołgać się do nich i zdjąć wszystkich dmuchawkami.

– Moglibyśmy – przyznał.

– Mam wydać rozkaz?

– Nie.

– Musimy... – zaczęła, ale uciszył ją, kręcąc głową.



Paloma spojrzała przez ramię. Nikt ich nie gonił. Zatrzymała się.

– Nie pobiegł za nami – powiedziała Sofi takim głosem, jakby miała usta pełne jagód.

– Trzymasz się? – spytała Widłoróg, kładąc dowódczynię na usłaną sosnowymi igłami ściółkę.

Sofi zwęziła powieki oka, którego jeszcze nie zamknęła opuchlizna. Z jej ust i kilku rozcięć sączyła się krew.

– Pewnie, że się trzymam – odpowiedziała, wstając. – Chodź, trzeba... Aj... – Opadła z powrotem na ziemię. – Chyba musisz mi pomóc wstać. A potem wracamy.



Finn Filozof zauważył, że coś jest nie tak. Znaczy coś jeszcze poza tym, że Bobroczyłek praktycznie zmiotł Sofi z powierzchni ziemi, a Sitsi najwyraźniej popełniła samobójstwo.

– Gdzie jest Bodila? – zaniepokoił się.

– Poszła o tam – odpowiedziała Frejdis, pokazując odcinek drogi biegnący po skarpie w dół.

– Och, na miłość Lokiego...

Zlustrował wzrokiem podstawę skarpy, ale nigdzie nie zobaczył Bodili. Miał się nią opiekować. Dokąd ona polazła? Miał nadzieję, że przez jego nieuwagę wszystko nie spieprzy się jeszcze bardziej, niż już się spieprzyło.



Sitsi, spadając z naciągniętym łukiem, zobaczyła, że Bobroczyłek skacze za nią. Wystrzeliła. W następnej chwili całe powietrze uciekło jej z płuc, gdy złapała ją Chogolisa. Olbrzymka postawiła łuczniczkę na ziemi i spojrzała w górę.

Bobroczyłek wisiał przyszpilony do skały strzałą, która trafiła go w miejsce, gdzie obojczyk stykał się z ramieniem. Machał rękami i nogami jak niemowlę leżące na plecach, a potem schwycił drzewce i szarpnął.

Sitsi sięgnęła po ostatnią strzałę, naciągnęła cięciwę.

Cięciwa pękła.

Sitsi natychmiast sięgnęła do schowka przy kołczanie po zapasową. Była pusta.

– Gdzie moje cięciwy, do diaska? – Jeszcze niedawno miała dwie!

– Poczekajcie tylko! Zaraz tam zejść i was zabiję! – powiedział szarpiący się ze strzałą Badlandczyk takim tonem, jakby wracał do chaty po zapomnianą czapkę.

– Daj mi strzałę – powiedziała Chogolisa.

Zadrzyziemia złapała drzewce zębami, dała susa na skalny słup i zaczęła się wspinać, jakimś cudem odnajdując załamki skalne, w których mieściły się jej stopy i dłonie.

Dotarła do miejsca, gdzie wisiał Bobroczyłek, i nie zważając na kopniaka w twarz, przebiła strzałą jego nogę. Następnie wielka wojownicza przeszła na drugą stronę skały, znikając Sitsi z oczu. Bobroczyłek cały czas próbował wyszarpnąć strzałę z ramienia. Nie ulegało wątpliwości, że zaraz tego dokona.

Chogolisa pojawiła się na szczycie kolumny, wyrwała strzałę z ramienia Badlandczyka, a potem wbiła ją mocniej, głębiej w ciało i skałę, aż z rany wystawały tylko kawałeczek drzewca i pierzysko. Bobroczyłek machał rękami, ale nie mógł dosięgnąć Chogolisy.

Lecz wtedy Zadrzyziemia popełniła błąd.

Uderzyła otwartą dłonią, by wepchnąć drzewce głębiej w skałę, i cel osiągnęła, ale strzała wbiła się też w jej dłoń i szepiła z szamoczącym się Badlandczykiem.

Szarpnęła. Bobroczyłek złapał ją za rękę.

Chogolisa warknęła z bólu, szarpnęła raz jeszcze, ale nie udało jej się wyswobodzić.

Sitsi patrzyła z rozdziawionymi ustami, jak gład na szczycie słupa chwieje się i toczy wraz z przyszpilonymi do niego Chogolisą i Bobroczyłkiem. A potem usłyszała, jak kamień i dwoje ludzi z nieopisanym hukiem wpadają do wody.



Eryk Złośnik stał wraz z Wulfem na zalesionym brzegu jeziora. Na ich

oczach Chogolisa wdrapała się na wieżę, a potem spadła z niej wraz z czubkiem i przybitym do niego Bobrocześniekiem.

Eryk upuścił maczugę, rozebrał się i dał nura do wody, a potem zaczął płynąć jak oszalały żółw, błyskając mokrymi, nieopalonymi pośladkami.



Sitsi Pustułka wspięła się na skały i zobaczyła, że ktoś płynie w ich kierunku z przeciwnej strony jeziora. Wiedziała, że kimkolwiek by był, nigdy nie zdąży na czas. Zrobiła głęboki wdech i rzuciła się w spienioną toń.

Zawsze kiepsko pływała.

Szum wypełnił jej uszy, woda wlała się do nosa. Nie miała pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół. Uchwyciła półotwartym okiem jakiś ruch w ciemności. Zmusiła się do zachowania spokoju. A potem zobaczyła Chogolise szarpiącą się z wielkim głazem, który przygniatał do dna jej rękę. Bobrocześek – uświadomiła sobie – jest pod nim, zmiażdżony na placek.

Nie miała pojęcia, jak tego dokonała, ale jakoś udało jej się dopłynąć do przyjaciółki. Złapała ją za wolny nadgarstek, zaparła się nogami o dno i pociągnęła z całych sił. Chogolisa też dawała z siebie wszystko, ale nawet jej wielka siła nie była w stanie wydobyć ręki spod olbrzymiej skały.

Podrywany z podłoża muł zdusił je czarną chmurą. Sitsi powoli traciła siły. Czowała, że jeśli zaraz nie zaczerpnie powietrza, utonie. Ostatni raz pociągnęła Chogolise za rękę, ścisnęła ją na pożegnanie i wybiła się nogami ku powierzchni.

Gdy wypór pchał ją w górę, obok niej przemknęło w dół coś czarnego.



Sitsi przebiła taflę, wzięła głęboki haust powietrza. Odczekała, aż jej płuca przestaną piec, i chciała zaraz wracać do Chogolisy. Płynący mężczyzna wciąż był daleko. Zrobiła głęboki wdech i już miała dać nura, gdy Zadrzyziemia wyskoczyła spod wody, a za nią jakiś ciemny kształt, który mógł być tylko Bobrocześniekiem.

Ucapiała go za głowę, chcąc wcisnąć ją pod wodę, lecz gdy właściciel głowy pisnął jak dziewczyna, uświadomiła sobie, że to nie Badlandczyk. To była Bodila Gęsiodzioba.

– Hejka! – powiedziała Wotanka, gdy Sitsi przestała ścisnąć jej czaszkę.



Popłynęły razem na brzeg, na którym jeszcze niedawno stał badlandzki wódz, ale co rusz oglądały się przez ramię, czy Bobrocłek czasem nie pruje w ich stronę, wyswobodziwszy się spod głazu. W drodze spotkały się z Erykiem, który odchodził od zmysłów; kiedy dowiedział się, że nic Chogolisie nie jest, o mało nie zemdłał ze szczęścia i sam się nie utopił.

Wyczłapali z wody na brzeg, a z lasu wyszła Sofi Tornado wraz z Palomą Widłoróg. Sitsi już miała pomachać im na powitanie, gdy zza ich pleców wyłonił się spomiędzy drzew Rappa Hoga na swoim wielkim sztyletozębie. A wraz z nim jego kawaleria.

– Miałem nadzieję na rychły rewanż, Sofi Tornado – rzucił.

Sofi charknęła i splunęła krwią.

– Tylko... chwilę odsapnę. Potem walczymy.

Usiadła na ziemi, a Rappa Hoga zsiadł ze sztyletozęba.

– Zostaw ją. Ja będę z tobą walczył – powiedział Eryk, wychodząc naprzód, nieuzbrojony, nagi i ociekający wodą.

Kapitan sztyletozębów zmierzył go wzrokiem. Nie przybrał bojowej pozycji, nie dobył broni. Uniósł tylko rękę.

– Wotanie i Calnianie na wzgórzu i w lesie! – krzyknął tak głębokim i potężnym głosem, że Sitsi dreszcz przebiegł po plecach. Nie było to nieprzyjemne uczucie. – Chodźcie tu wszyscy. Macie moje słowo, że moi ludzie nie wyrządzą wam krzywdy. Chcę z wami porozmawiać.

Jego kot warknął, jakby chciał zgłosić jakieś obiekcje. Sitsi spojrzała na Sofi, dowódczyni skinęła głową.

– Zróbcie, o co prosi! – krzyknęła Pustułka nie tak głębokim głosem. – To rozkaz Sofi!

– I, na litość – dodał Rappa Hoga, wskazując nagiego Eryka – dajcie mu jakieś ubranie.

Sitsi nie mogła oderwać wzroku od kota dowódcy. Nie był tak

olbrzymi jak monstrum powalone przez owslanki po drodze do Harówki kilka tygodni i milion lat temu, ale wciąż wielki. I piękny.

– Calnianie, Wotanie! – zaczął Hoga, gdy już wszyscy się zebrali. – Pragnę was przeprosić w imieniu wszystkich Badlandczyków i swoim własnym za to, że przeszkodził wam w wykonaniu waszego zadania, za śmierć czworga z was i za wszystkie cierpienia, których wam przysporzyliśmy.

Calnianie i Wotanie spojrzeli po sobie. Tego się nie spodziewali.

– Filozofia Bobrocześka miała w moich oczach wiele sensu i kochałem go – podjął Rappa Hoga. – Nie jestem pewien dlaczego, może to dzięki waszemu wpływowi, ale w minionych dniach doszedłem do wniosku, że zapędziliśmy się za daleko. O wiele za daleko. Bo kimże jesteśmy, żeby decydować, kto powinien żyć, a kto może umrzeć? Nie powinniśmy też używać magii i alchemii do niecznych celów. Myślę, że Bobrocześk miał dobre intencje, ale z czasem jego czyny stały się złe. Jednak nawet zrozumiawszy to, nie śmiałem przeciwstawić się jemu i jego owslanom. Dopiero ludzie tak dzielni i silni jak wy...

– Dobra, wszystko fajnie, tylko co teraz? – przerwał mu Kif.

– Przepraszam za niego – powiedział Wulf.

Rappa Hoga tylko się roześmiał.

– Ma rację. Czasem popadam w górnolotny ton. Powiem wam, co teraz. Otóż każdy pójdzie w swoją stronę. Ja wrócę do Badlandów i ogłoszę się wodzem, po czym przekreślę wszystkie plany Bobrocześka. Uwolnię wszystkich calnijskich więźniów, pomogę im wrócić do domu i wybrać nowego władcę. – Prześlizgnął się wzrokiem po tafli jeziora. Były wódz najwyraźniej nie spieszył się na powierzchnię. – Wy możecie ruszać dalej. Sofi, jesteś ranna, wędrówka sprawi ci trud.

– Nic mi nie będzie.

– Zostawię ci mojego kota. Będzie odtąd twoim wierzchowcem. Finnbogi...

– Teraz nazywam się Finn.

– Skoro tak mówisz. Finnie, to ty kontrolowałaś gołębie, czy nie tak?

– Tak, to byłem ja.

– Dobrze. A czy umiesz porozumieć się z moim sztyletozębem?

Finn zamknął oczy.

– Tak.

– A więc nie sprawi wam kłopotów. Uwolnijcie go, gdy nie będziecie go już dłużej potrzebować, a wróci do mnie. – Zwrócił się do swoich żołnierzy: – Tansy Burno, czy mogę pojechać z tobą?

Tansy pokraśniała i pokiwała skwapliwie głową.

– Komu w drogę, temu czas. Żegnajcie i dziękuję wam.

Badlandzka jazda zniknęła wśród drzew.



Rozdział 9

POCAŁUNEK I POTWÓR

Brzeg jeziora stanowił idealne miejsce na obóz, ale każdy chciał jak najszybciej oddzielić się od Bobroczałka jak największą odległością. Niby wszyscy byli zgodni co do tego, że nawet on nie przeżyłby tak długo pod wodą, a nawet jeśli by przeżył, to tkwił pod głazem wielkim jak dom, więc pewnie donikąd się nie wybiera... ale strzeżonego bogowie strzegą. Jakkolwiek by patrzeć, ocalał przeszyty mieczem na wylot, więc któż wie do czego jeszcze jest zdolny, a poza tym widzieli, jak własnoręcznie przewrócił głaz niewiele większy od tego, który uwięził go na dnie, jeśli więc ktokolwiek miałby wyskoczyć z jeziora i ich zaatakować, byłby to właśnie Bobroczałek.

Calnianie i Wotanie opuścili Czarne Góry drogą odbijającą lekko na południowy wschód, która wyprowadziła ich na rozfalowane lesiste niziny, porośnięte trawami, zamieszkałe przez bizona, indyki i widłorogi. Sofi, Ottar i Frejdis jechali na czele na grzbiecie wielkiego sztyletozębnego kota.

Szli prędko, zbiegając z pochyłości. Nikt nie miał ochoty na wygłupy i nawet Bodila prawie się nie odzywała. Niedługo przed zachodem słońca zatrzymali się w miejscu jako tako nadającym się, by rozbić w nim obóz. Napełnili brzuchy nazbieranymi orzechami, owocami i młodym bizonem, którego oprawił, pokroił na wąskie paski, natarł ziołami i upiekł na rozgrzanych kamieniach Yoki Choppa. Po kolacji wszyscy, którzy nie pełnili warty, udali się na spoczynek.

Słońce wstało, a Bobroczyłek nie pojawił się i nikogo nie zamordował, więc mogli odetchnąć z ulgą. Płaska kraina, porośnięta z rzadka drzewami i pełna bizonów, była co najmniej tak piękna jak Czarne Góry. Wszyscy poczuli się o wiele lepiej.

Wytyczali trasę zgodnie ze wskazówkami, których chrapliwym głosem udzielał im Weeko Kiel, i szli śladem wielkiego sztyletozęba, niosącego Sofi oraz dzieci. Zdążali na południe, już nie tak szybko jak minionego dnia, prawie nie oglądając się przez ramię.



Eryk Złośnik postanowił sobie coś w momencie, gdy Chogolisa wynurzyła się na powierzchnię jeziora. Znalazł kilka wymówek, by odłożyć realizację swojego zamysłu, ale gdy przemierzali zalesioną, rozbrzmiewającą chrobotaniem wiewiórek dolinę, nad którą od północy wznosił się potężny czerwony klif, a od reszty towarzyszy oddzieliła ich kępa drzew, powiedział do Chogolisy:

– Bardzo cię lubię.

To wyznanie nie zaburzyło rytmu jej kroków, nawet na niego nie spojrzała.

– Nie tak się to robi – powiedziała po około dwudziestu uderzeniach serca, które w głowie Eryka ciągnęły się w nieskończoność.

– Co?

– Nie mówi się „bardzo cię lubię”. Czeka się do wieczora, a kiedy

kobieta odejdzie od ogniska, idzie się za nią i próbuje się ją pocałować.

– Rozumiem. Masz rację. Wybacz.

– Wybaczam.

– Poczekaj chwilę. – Eryk podrapał się w brodę. – Chcę to zrobić, jak należy.

Stanęli. Obróciła się i spojrzała na niego z góry. Eryk wciąż nie mógł dojść do ładu z tym, że ktoś tak olbrzymi może być tak śliczny. Cichutki głos w jego głowie mówił mu, że ktoś pewnie pomyśli, że lubi Chogolisę, bo tęskni za swoją niedźwiedzicą, ale prawda była taka, że niezależnie od powodu bardzo Chogolisę lubił, i koniec.

– Jeśli mam cię pocałować, musisz uklęknąć.

Pokręciła głową.

– Całe życie klękam. Nie chcę klęczeć podczas naszego pierwszego pocałunku. Widzisz tamten kamień?

– Ano.

– Powinieneś na czymś stanąć, czemu nie na nim?

Wskoczył na zanurzony do połowy w ziemi głaz.

– Tak lepiej?

– O wiele.

– Co teraz powinienem zrobić?

– Mówisz coś w stylu: och, chyba mucha wleciała mi do oka, możesz spojrzeć, proszę?

– Zabawne, otóż właśnie przed chwilą mucha wleciała mi do oka.

– O, naprawdę? Daj, spojrzę.

Stała przy kamieniu. Była teraz tylko odrobinę wyższa od Eryka. Ujął Chogolisę w talii, czując, jakby miał zaraz wybuchnąć z emocji. Otuliła jego twarz ranną dłonią i przechyliła się do przodu.

– Nie widzę jej – powiedziała. – Pochyl się troszkę...

Całowali się bardzo długo. W którymś momencie Eryk otworzył oczy i zobaczył szarobrązową wiewiórkę, przyglądającą im się z zaciekawieniem z konara pobliskiego drzewa. Mrugnął do niej, zamknął oczy i na powrót pogrążył się w pocałunku.

Gdy wreszcie rozłączyli usta, rzekł:

– To będzie nie lada wyzwanie szukać głazu za każdym razem, gdy będziemy chcieli to zrobić.

– Nikt nie mówił, że miłość jest łatwa. A poza tym zawsze możemy się położyć.



Następnego ranka Eryk Złośnik szedł przed siebie uśmiechnięty jak grubas po sutym posiłku. Wędrowali bizonim szlakiem na południe przez pofałdowaną krainę porośniętą trawą i lasami. Gdzie nie było bizonów, tam brykały widłorogi i inne jeleniopodobne zwierzęta. Po lasach buszowały w amoku indyki, a preria była pokryta ruchomym dywanem piasków preriowych i upstrzona ich kopcami.

Wyglądało na to, że nie bytują tu żadne drapieżniki, aż do chwili, gdy po południu pochód natknął się na watahę chytrych szarych wilków, które zaczęły skubać po nogach młode bizony. Zostały odgonione przez grupę okazałych byków. Wilki pierzchły jak niepyszne, oglądając się na bizony z wyrzutem w wygłodniałych ślepiach, jakby chciały powiedzieć: „I tak już mieliśmy spadać. Ale jeszcze tu wrócimy”.

Na długo przed tym, jak nadszedł czas na postój, kot Sofi się zatrzymał. Reszta dogoniła go spokojnym krokiem. Eryk spojrział w dal. Dobrą milę od nich stała na wzgórzu jakaś postać.

– Dziewczynka – powiedziała Sitsi. – Na oko dziesięcioletnia. Wysokie czoło, wydatne usta. Patrzy na nas.

– Jest tam ktoś jeszcze? – upewnił się Wulf.

– Nikogo nie widzę.



– Jesteś tu sama? – spytała Sofi Tornado, gdy dotarli do dziecka.

Dziewczynka miała na sobie prostą brązową sukienkę i białe pióra wplecione we włosy. Eryk wiedział, że Pustułka ma sokoli wzrok, a mimo to ze zdumieniem ogarnął spojrzeniem wysokie czoło i rybie usta małej. On dostrzegł te szczegóły z czterdziestu kroków. Sitsi z mili.

– Jestem Chitsa – przedstawiła się dziewczynka, zupełnie niespeszona tym, że przepytuje ją wojowniczką na sztyletozębie. – Nanda Truposz uprzedziła nas o waszym przybyciu, więc wszyscy schowali się w dolinie kawałek na wschód. Pokazać wam?

– Kim jest Nanda Truposz? – spytała Sofi.
– To nasza czarnoksiężnica i moja ciotka. Nie żyje, ale wciąż chodzi i mówi.

– Czemu się schowali?

– Nanda Truposz powiedziała, że przybywają do nas magiczni ludzie ze sztyletozębnym kotem.

– A ty czemu się nie chowasz?

– Bo chciałam zobaczyć kotka. Mogę go pogłaskać po buzi?

– Lepiej nie – odparła Sofi.

– Mam wam pokazać, gdzie jest reszta?

– Nie, dzięki. Nie powinnaś do nich wracać?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Nie lubią mnie. A chcecie, żebym zamiast tego pokazała wam coś naprawdę niesamowitego? To coś znajduje się o tam, w dolinie. – Wskazała na południowy zachód.

Poszli za dziewczynką do miejsca, gdzie grunt opadał do płytkiego kanionu, w którym roilo się od królików, z jednej strony zamkniętego pionową skalną ścianą, z drugiej trawiastą skarpą. Środkiem biegła wychodzona ścieżka, ale nigdzie nie było widać żywej duszy.

– Sitsi, Paloma, jedna na skałę, druga na skarpę. Mieście oczy otwarte.

– Chodźcie tędy! – popędziła ich dziewczynka, idąc przodem ścieżką, gdy dwie kobiety wdrapały się na zbocza.

– Nie. Poczekamy tutaj, aż one upewnią się, że jesteśmy bezpieczni.

– Tu jest bezpiecznie. Zbyt bezpiecznie. A szkoda. – Chitsa wydeła swoje mięsiste wargi. – Ta dolina to najciekawsza część najnudniejszego miejsca na świecie.

– Czy to twój dom? – spytał Weeko.

– Nie. Przybyliśmy z za gór.

– Przybyliście z Pustyni z Której Się Nie Wraca?

– Tak.

– Dawno temu? – spytał Wulf. – Jak przeszliście przez Lśniące Góry?

– To nudna i smutna historia. Zabiorę was do moich ludzi, oni wam opowiedzą. Ale najpierw musicie zobaczyć to, co chcę wam pokazać.

– Mów, kim jesteś, ale już – zacharczał Weeko.

Dziewczynka wyglądała na przerażoną. Wulf położył wojownikowi

rękę na ramieniu.

– Dzięki, Weeko, ale poradzimy sobie. O wszystko wypytamy pobratymców Chitsy.

Weeko wzruszył ramionami. Paloma i Sitsi orzekły, że jest bezpiecznie, ale nie schodziły z krawędzi kanionu. Obserwowały pozostałych, którzy podążali ścieżką za Chitsą.

– O, proszę! – wykrzyknęła mała, wskazując palcem dziurę w północnej ścianie. Wlot był owalny, nieco szerszy przy podstawie. Otwór sięgał Erykowi do piersi.

– Dziura – stwierdził Kif. – Być nie może.

– Patrz na to. – Chitsa wysupłała pióro z włosów i upuściła je. A ono pofrunęło do jaskini, jakby ktoś pociągnął za sznurek. – Sam spróbuj.

Podążyła Kifowi kolejne pióro. Berserk puścił je i podskoczył, gdy natychmiast zassała je jaskinia.

– O kurde – powiedział zupełnie innym tonem niż poprzednio. Podniósł garść ziemi i zaczął powoli wysypywać z zaciśniętej pięści. Jaskinia wciągnęła wszystko co do ziarenka. – Czujecie to? – Pomachał pustą dłonią. – To wiatr. Wiatr wlatuje do jaskini.

Po chwili wszyscy ustawili się w kolejce, by wpuszczać do jaskini co popadnie. Nawet Sofi zlązła z kota, krzywiąc się z bólu, zerwała kilka źdźbeł trawy i patrzyła, jak fruną w głąb ziemi.

– Co to takiego? – spytała Chitkę, stojącą przy małej jaskini z cwany uśmiechem na owalnej twarzyczce.

– Nanda Truposz mówi, że to okno do innego świata. Podobno istnieje tam cały świat, który jest lustrzanym odbiciem naszego. W tej chwili po drugiej stronie dziewczynka pokazuje grupie ludzi zasysającą dziurę. Z tym że to nie ludzie, tylko demony.

– I zawsze tak wszystko ssie? – spytał Kif, wrzucając do środka garść trawy.

– Nie. Czasem ssie, czasem dmucha. Zależy od pogody tam, na dole.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Po prostu wiem.

– Idę tam! – Kif wywinął toporem młynka nad głową.

– Demony cię zjedzą – przestrzegła go Chitsa.

– Muszę zobaczyć, co tam siedzi. Wulf, weź potrzymaj mnie za nogi,

co?

Wulf zrobił to, a Kif precisiął się przez dziurę.

Wszyscy patrzyli w napięciu, aż wreszcie z głębi jaskini dobiegł ich zduszony krzyk Kifa, który chciał już wrócić do swojego świata. Gdy Wulf go wyciągnął, Berserk wstał i otrzepał ubranie.

– I co? – ponagliła go Gunnhilda.

– I nic. Ciemno jak w dupie.

Wszyscy buchnęli śmiechem, nie licząc Chitsy.

– Miałeś szczęście – powiedziała z powagą.

– Zostańmy tu chwilę – zaproponował Kif. – Poszerzymy dziurę, spleciemy linę, skombinujemy pochodnie i zobaczymy, co tam jest. – Wskazał drzewa rosnące po drugiej stronie kanionu. – Nadadzą się w sam raz. – Pobiegł tyłem na palcach. – Tak, tam postawimy ramę. – Pokazał, gdzie dokładnie. – Wystawimy z niej kilka pni, a potem zawiesimy gład na linie i będziemy walić nim w zręby dziury. W ten sposób otworzymy przejście i...

– Nie – ucięła Sofi. – Idziemy z Chitsą do jej plemienia, żeby zobaczyć, czego możemy się od nich dowiedzieć.

– Ale...

– To właśnie zrobimy, Kifie.

– Wulf, chodź tam ze mną. Wyobraź sobie: ty, ja, Duporąb i Grom w świecie demonów. To będzie coś! Skaldowie do końca świata będą snuć opowieści o naszych wyczynach!

– Dwóch gości wlało do dziury – powiedziała Sofi. – Znaleźli trawę i pióra, które wrzucili do niej ludzie, i nic poza tym. Rzeczywiście, wyczyn godny bogów.

– Posłuchaj, Kif – powiedział Wulf. – Mamy góry do przebycia i pustynię do przejścia, a poza tym całą chmurę potworów do pokonania. Jeśli to się nam znudzi, wrócę tu z tobą, obiecuję.

– Bjarni by ze mną poszedł... – wymamrotał Kif urażony.

– Dlatego właśnie nie powinniśmy tego robić – zgasła go Gunnhilda. – Tylko głupiec przedkłada przygodę nad obowiązek. Nędzna jego przyjemność i skromna nagroda.



Pierwszym, co rzuciło się Palomie w oczy, było to, że plemię Chitsy składało się wyłącznie z kobiet, bardzo starych lub bardzo młodych. Nie było wśród nich ani jednej wojowniczkę. Plemię liczyło może dwadzieścia osób. Dwie najstarsze babiny miały w ramionach niemowlęta. Wszystkie stały u wejść do swoich stożkowatych namiotów i wyglądały na podenerwowane – zresztą powinny, skoro do ich wioski wchodziły właśnie dwa oddziały wojowników i wielki sztylętozab. Może plemieńców było tu więcej, może pochowali się po kątach, czekając na stosowną okazję do zasadzki. Ale nie, coś mówiło Palomie, że wcale tak nie jest. Na przykład to, że namiotów było dokładnie tyle, ile osób miała teraz przed sobą.

Naprzód wyszła kobieta. Sądząc po czapie siwych włosów, bladej cerze i zapadniętych oczach, musiała to być czarnoksiężnica Nanda Truposz.

Sofi zapewniła ją, że nie mają złych zamiarów. Nanda kiwnęła głową i spytała, kim są i skąd pochodzą. Przemawiała spokojnie i wyraźnie, może nieco piskliwie. Zupełnie nie jak trup, pomyślała Paloma.

Sofi wyjawiała Nandzie, że są Calnianami i Wotanami i że zdążają na zachód, a potem wytłumaczyła, skąd się tu wzięli.

– Nasza wioska znajdowała się niedaleko na zachód od Lśniących Gór. Zniszczyła ją powódź, a potem napadły na nas potwory. Wtedy zginęłam.

– Jakiego rodzaju potwory? – zaciekawiał się Wulf.

Paloma była wdzięczna losowi, że nikomu nie przyszło na myśl spytać, dlaczego Nanda Truposz uważała, że nie żyje. Jej wyniosła poza była pretensjonalna i irytująca. Lepiej jej nie zachęcać do paplania na swój temat.

– Głównie olbrzymie owady – odparła ze śmiertelną powagą. – One nie były najgorsze, bo przed nimi mogliśmy się bronić. Ale gdy kilkadziesiąt łysych wilków zagryzło połowę naszego plemienia, łącznie ze mną, reszta postanowiła uciec.

– Jakim sposobem przedarliście się przez Lśniące Góry? – spytał Weeko.

– Nie przedarliśmy się – wyklarowała Nanda Truposz.

– Ale... przecież jesteście tutaj – nie zrozumiał Wulf.

– Większość z nas się nie przedarła. Wielkie stopy zabiły wszystkich

mężczyzn, młodych i starych, oraz wszystkie kobiety w wieku odpowiednim do tego, żeby być wojowniczkami.

– Czemu?

– Chyba dla przyjemności. Kilkoro z nas zamordowały mocą umysłu. Jakby przygrzmocily im niewidzialnym młotem. Resztę rozdarły gołymi rękami. Nie dało się z nimi walczyć, choć próbowaliśmy. Ledwie drasnęliśmy jedną z nich.

– Czemu was puściły?

– Powiedziały... mówię „powiedziały”, ale raczej wtłoczyły nam swoje myśli do głów... że puszczają młodych, żeby mogły na nich polować, gdy podrosną.

– A staruszki puściły wolno, żeby się nimi zaopiekowały, tak?

– Nie. Powiedziały, że stare mięso im nie smakuje.



Gościli u ludzi Chitsy całe popołudnie. Podczas gdy Wulf, Sofi i Weeko rozmawiali z Nandą i innymi członkiniami plemienia, chcąc dowiedzieć się jak najwięcej o Lśniących Górach i Pustyni z Której Się Nie Wraca, reszta polowała i zbierała żywność w lesie. Nie żeby zasilić własne zapasy, bo opuścili Zielone Plemię dobrze zaopatrzeni, ale żeby wspomóc uchodźców zza Lśniących Gór.

Po kilku godzinach gromadzenia żywności pod nadzorem Yokiego Choppy Finn usiadł wreszcie przy dużym, dopiero co rozpalonym ognisku i odetchnął z ulgą. Był wykończony. Odpoczął dosłownie minutę, gdy usłyszał, jak woła go Sofi:

– Wojownicy, przygotować się. Niewojownicy, schowajcie się. Coś idzie w naszą stronę. Nie wiem co, ale wiem, że jest wielkie. Sitsi, spójrz tam. – Pokazała palcem zachodnie niebo. – Co to jest?

Finn spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył pośród chmur czarną kropkę, która w kilka uderzeń serca zwiększyła się dwukrotnie.

– To chyba jeden z tych potworów, o których nam opowiadano – orzekła Sitsi. – Ma przerośnięte owadzie oczy, kły jak sztylretozab, nagie, bąblowate ciało niczym ogolona ciężarna kocica i dwie... nie, trzy pary skrzydeł, którymi bardzo szybko macha.

– Duży jest?

– Trudno powiedzieć, bo nie mam punktu odniesienia. Czekał, za nim przeleciał orzeł... Nie, nie za nim, tylko przed nim. I to kawał drogi. Ten potwór jest wielki, rozstaw skrzydeł wynosi jakieś sto kroków. Ciało może mieć podobną długość, ale nie mam pewności, patrząc pod tym kątem. Wiem za to, że leci prosto na nas.

Finn widział już rozmazane od prędkości skrzydła.

– Weeko, Nando, jakieś pomysły?

– Pierwszy raz widzę coś takiego – odrzekł Weeko. – Ale wydaje mi się, że dobrze by było się schować.

– Wszyscy do wąwozu – zawołała Sofi. – Wszyscy poza owslankami. Wulfie?

– Tak?

– Chcę, żeby Sassa stanęła na skraju wąwozu z łukiem w dłoni. Ma być gotowa do strzału i do ucieczki.

– Żaden Wotanin nie ucieknie do wąwozu – rzekł Wulf. – Pomijając dzieci i Gunnhildę, jeśli chce.

Finn zacisnął palce na rękojeści Wrogobójcy. Ku własnemu zdumieniu odkrył, że wcale nie chce schronić się w wąwozie.

– Odwaga to umiejętność przewyciężenia strachu – powiedziała Gunnhilda.

Chitsa i członkinie jej plemienia pobiegły z Ottarem i Frejdis do wąwozu. Nanda Truposz nie ruszyła się z miejsca.

– Rozproszyc się! – krzyknęła Sofi.

Finn znalazł się w punkcie najbardziej oddalonym od wejścia do wąwozu.

Kreatura podleciała bliżej, wydawała się jeszcze większa. Wkrótce każdy mógł przekonać się na własne oczy, jak ohydny przedstawiała widok. Sitsi pominęła w swoim opisie dyndające czarne segmentowe odnóża. Z szaroróżowego brzucha sterczało ich kilkadziesiąt, a każde z nich miało na końcu błyszczący kolec.

Może jednak przebiegnę się do tego wąwozu? – rzuciło się Finnowi na myśl.

Wówczas usłyszał odgłos skrzydeł stwora, kojarzący się ze strzepywaniem na powietrzu płata świeżo wyprawionej skóry. Do tego doszło dziwne charczenie, które musiało być oddechem. Spotworniały

owad wlatywał raz wyżej, raz niżej, jakby lot sprawiał mu trudność.

– Niech. To. Cap. Wygrzmoci – zakłęła Paloma, gdy monstrum zbliżyło się na odległość stu kroków. Jego żółte kły ociekały gęstą, maziowatą substancją.

Sassa spojrzała na nią, a Paloma posłała jej uśmiech.

– Sitsi, Sassa, spróbujcie strzelać w brzuch. Na razie po jednej strzale – padł rozkaz Sofi. – Już!

Dwa pociski zafurczały w powietrzu i zniknęły w wielkim, mięsistym brzuszysku.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem skrzydła przestały trzepotać i wielkie zwierzę spadło na ziemię sto kroków od nich z głośnym, mokrym plaśnięciem.

– To było łatwiejsze, niż myślałem – powiedział Kif. – Szkoda, że...

Przerwało mu głośne bzyczenie, gdy z rozdartego brzucha zestrzelonego stwora wyleciał rój owadów.

– Znam je – powiedziała Nanda. – Niedługo umrą, ale ich uządlenie jest śmiertelne. Nie lubią ognia, więc uzbrojcie się odpowiednio. – Porwała z ogniska płonącą żerdź.

Finn też chwycił zapaloną gałąź, a potem patrzył, jak chmura owadów rozrasta się, by następnie ciasnym rojem ruszyć na nich, wypełniając powietrze ziarnistym bzyczeniem.

Finn rozpoznał osy takie same jak ta, która sterroryzowała go na brzegu Słodkiego Morza Olafa wkrótce przed nadejściem Calnian – to były wielkie czarne skurwysyny o czerwonych skrzydłach.

Zrobił to samo, co wówczas – przykucnął, lecz tym razem miał do obrony płonący kawał drewna. Bzyczenie brzmiało jeszcze jakiś czas, a potem ucichło, gdy owady zaczęły padać na ziemię z odgłosem przypominającym grad szyszek spadających z potrząśniętego drzewa. Kilka odbiło się od Finna, który skrzywił się z obrzydzeniem. Wyglądało na to, że zagrożenie minęło.

Wstał wraz z innymi. Jedyne Gunnhilda leżała na plecach, targana konwulsjami. Rzucił się do niej.

Szyja jego ciotki była napuchnięta i fioletowa, twarz czerwona. Nabrzmiały język ledwo mieścił się w ustach. Na jej gardle odnalazł dwa żółte guzy z czerwonymi punkcikami po żądlach. Użarły ją, i to dwa

razy. Drżała, próbując zaczerpnąć powietrza i kwicząc dziwnie. Finn dostrzegł błaganie w jej wybałuszonych oczach.

– Na pomoc! – krzyknął.

Yoki Choppa przypadł do niej, klęknął po drugiej stronie z krzemiennym nożem przy jej gardle. Westchnął, prostując ramiona i dociskając ostrze, po czym przeciął skórę, by wpuścić powietrze do tchawicy. Finn patrzył przerażony, jak czarnoksiężnik tnie raz jeszcze, na ukos, by powiększyć otwór, a potem wkłada w niego swoją dmuchawkę.

Gunnhilda zwiotczała, ramiona opadły jej do boków, ale pierś zaczęła unosić się i opadać. Finn zrozumiał, że oddycha przez rurkę czarnoksiężnika.

– Ocaliłeś ją! – zakrzuszył się.

Yoki Choppa wykrzywił twarz w mętnej namiastce uśmiechu.

– Być może.



Rozdział 10 ORLI CZUB

Wotanie i Calnianki pomogli plemieniu Chitsy przenieść obóz poza obszar zasypany martwymi osami i byle dalej od cuchnącego truchła wzdętego potwora. W tym czasie Yoki Choppa zbierał próbki z ich ciał.



Następnego dnia rano Finna obudził Gruby Wulf.

– Gunnhilda zmarła – powiedział.

– Co... jak to?

– Nie wiem. Yoki Choppa twierdzi, że albo zabił ją jad os, albo po prostu umarła. Ludzie umierają. Umierasz, kie...

– Tak, wiem.

Wulf kiwnął głową i odszedł.

Finn leżał. Z jego oczu polały się łzy. Postanowił powstrzymać się od płaczu. Wyszedł ze śpiwora i podszedł do owiniętej kocami Gunnhildy.

Eryk i Chogolisa kopali jej grób jelenimi łopatkami. Frejdis patrzyła na nich, chlipiąc pod nosem. Na jej ramieniu spoczywała dłoń Sassy. Ottara nigdzie nie było.

– Chcesz ją zobaczyć? – spytał Eryk, wstając i przeciągając się.

– Nie. – Finn wolał pamiętać ją żywą. – Gdzie jest Ottar?

– Razem z Chitsą wrzucają rzeczy do dziury.



Pochowali Gunnhildę, a potem ruszyli na południe, odbijając lekko na zachód. Maszerowali całymi dniami i zatrzymywali się dopiero na noc. Opuściwszy wzgórze, po raz kolejny przywitani się z prerią, choć tym razem porastająca ją trawa była o wiele krótsza niż na wschodzie, gdzie sięgała im do pasa. Sitsi twierdziła, że te tereny nie zaliczają się do Morza Traw. Finn nie rozumiał, dlaczego tak mówi, bo wyglądały prawie dokładnie tak samo, ale nie spierał się.

Choć mógł oczekiwać jakiegoś pocieszenia od Palomy, Widłoróg trzymała się z dala od niego. Te kilka razy, gdy zdołał doprowadzić do spotkania, odnosiła się do niego grzecznie, aż za grzecznie, zważywszy na to, że w Czarnych Górach Finn spędził z nią jedne z najromantyczniejszych chwil w życiu. Z kolei Thyri wydawała się permanentnie wnerwiona. Trenowali co wieczór, ale prawie się do niego nie odzywała, a gdy trafiała go w walce, robiła to mocniej niż zwykle. Lokiemu dzięki, że całkiem nieźle radził sobie z blokowaniem jej uderzeń.

Wędrując, Finn próbował myśleć o Gunnhildzie, ale jego żalobę zakłócały natarczywe marzenia o Thyri i Palomie. Doszedł do wniosku, że był głęboko, wręcz bohatersko zakochany w Thyri, ale potem zmienił zdanie – stwierdził, że to Paloma jest najwspanialszą osobą na świecie i że to właśnie z nią musi być. Uznał, że to dość przykre, że

najprawdopodobniej nie będzie z żadną z nich.

Sam był daleko od szczęścia, ale usiłował cieszyć się szczęściem ojca. Eryk i Chogolisa wyglądali na rozradowanych, niczym króliczki zaraz po seksie. Dzielili zamiłowanie do zwierząt i ptaków. Ciągłe się razem śmiali, nawet chichotali, o ile to możliwe w ich przypadku. Finn uważał, że to słodkie. Obiektywnie patrząc, może to trochę nie w porządku, że ojciec, który porzucił syna, pierwszy znalazł miłość, ale przecież Finn nie był zawistnikiem. O nie, na Thora, co to, to nie.

Nie tylko o Eryka i Chogolisę Finn nie był zazdrosny. Wyglądało na to, że Kif Berserk znalazł się w korcu maku z Bodilą Gęsiodziobą. Patrząc na nich w ciągu dnia, nie sposób się było tego domyślić – Kif był zwariowany jak zawsze, a Bodila tępa, nie rozmawiali z sobą więcej niż poprzednio. Lecz każdego dnia wieczorem, gdy Sofi wyznaczała warty, Kif zawsze kończył sparowany z Bodilą. Dzielili nawet ten sam śpiwór. Podczas gdy Finn, pocałowałwszy Palomę, zdołał zrazić do siebie zarówno ją, jak i Thyri, Bodila i Kif gładko przeszli od przyjaźni do związku, który może potrwać całe lata. Dziwne. Ale Finn Filozof nie był zawistnikiem.

Rano trzeciego dnia drogi Sofi zeszła ze swojego kota i maszerowała chwilę obok, utykając na jedną nogę. Dzieci czasem jeszcze jeździły na jego grzbiecie, ale chyba nudziło im się to coraz bardziej, bo często szły na własnych nogach.

Spacer jest dobry dla ciała i ducha, mawiała czasem Gunnhilda.

Finn zdumiał się, gdy odkrył, że brakuje mu jej powiedzonek.

– Nie powinniśmy odesłać sztyletozęba z powrotem do Rappy Hogi? – spytał Eryk.

– Powiedział, że możemy go zatrzymać na tak długo, jak będzie nam potrzebny – odparła Sofi, mierzwiąc sierść między uszami bestii.

Szli dalej. Rozpadało się i zmokli. Gdy deszcz ustał, wyschli. Byli zupełnie jak bizona, rozmyślał Finn. Spędził mnóstwo czasu, przyglądając się tym zwierzętom i próbując oderwać myśli od dwóch kobiet. Czuł, że te tchnące melancholią oczy wnikają w głębię jego duszy, lecz gdy sięgał do bizonów umysłem, znajdował w nich tylko smutek spowodowany tym, że wszystko umiera.



Ósmego dnia zaczęli napotykać w trawie skaliste wybrzuszenia, które, jak poinformowała ich Sitsi Pustułka, zwiastowały Orli Czub.

– Orli Czub? – spytała Sassa Gryziwarga.

– Gdybym nie dołączyła do owslanek, moi rodzice wysłaliby mnie właśnie na Orli Czub. A przynajmniej tak twierdzili, choć nie powiedzieli mi o tym, dopóki nie znalazłam się już w szeregach owslanek, a wiadomo przecież, że łatwo stwierdzić cokolwiek, czego nie będzie trzeba nigdy udowodnić.

– Co to jest ten Orli Czub?

– Powiadają, że wielka skała z miastem na szczycie. Ja sama nigdy go nie widziałam. Powiadają również, że w tym mieście mieszkają najtęższe umysły znanego świata, najlepsi czarnoksiężnicy i najbłyskotliwsi myśliciele ze wszystkich plemion. Nie jestem pewna, co o tym myśleć, bo jeśli jest się w czymś tak dobrym, to pragnie się to robić. Zwykle tacy ludzie zostają w domu, żeby pomagać współplemioncom, albo ruszają w pielgrzymkę i uczą się nowych rzeczy. Na pewno nie zamykają się w mieście na szczycie góry i nie popisują przed innymi mózgowcami. Mówi się, że każdy mieszkaniec Orlego Czuba twierdzi, że to on jest tym najmądrzejszym, co potwierdza moje przypuszczenia, że to wyjątkowo straszne miejsce.

– A czy ty jesteś najmądrzejsza spośród owslanek? – nie wytrzymała Sassa.

– Może w pewnym sensie – przyznała Sitsi, oblewając się rumieńcem.
– Ale w sensie praktycznego zastosowania inteligencji i rozróżnienia, co jest złe, a co dobre dla grupy, najmądrzejsza jest Sofi. A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko, pójdę ustrzelić nam obiad.

Sitsi poszła prędko w swoją stronę. Sassa uśmiechała się szeroko.



Zanim ujrzeli tępy skalny kiel Orlego Czuba, ich oczom ukazała się gruba kolumna dymu.

– Czy to normalne? – zdziwiła się Sassa.

– Nie sądzę – opowiedziała Sitsi.

Tej nocy rozbili obóz nad osłoniętą od wiatru przez skalną ścianę skarpy, z której rozciągał się widok na ostrzyżoną przez bizony

trawiastą dolinę. Bizony najadły się i poszły, na niebie nie widać było drapieżnych ptaków, więc wokół roilo się od piesków preriowych. Wśród dziesiątek tysięcy brązowych zwierzątek dostrzegli też tysiące puszystych, okrągłogłowych młodych, które piszczały własnymi głosami, uganiając się za bzyczącymi w powietrzu owadami.

Zjedli suty posiłek. Sassa była pełna podziwu dla kulinarnych umiejętności Yokiego Choppy. Pomimo czekającego ich losu, śmierci Gunnhildy oraz bijącego z Orlego Czuba tajemniczego dymu Gryziwarga, obserwując płonące ognisko, wciśnięta pod ramię Wulfa, czuła się szczęśliwa.

– Powiedz im – nalegał Kif Berserk.

– Nie wolno jeszcze – upierała się Bodila Gęsiodzioba.

– Nie wolno nam też było odejść na dziesięć mil od Harówki, przeprować się przez rzeki, w których pływają rekiny, ani sprzymierzać się z wrogiem. A czy wolno tak sprawnie władać oburęcznym toporem, że wszyscy mają cię za boga?

– No to co?

– A to, że nie ma już żadnego „nie wolno”! Wszystko nam wolno, o!

– No chyba że tak. Dobrze, powiem im.

Bodila wstała. Zachodzące słońce zabarwiło jej ciemne włosy na ognistą czerwień.

– Hej, słuchajcie, słuchajcie!

Zbrali się wszyscy poza Palomą Widłoróg, która jak zwykle patrolowała okolicę. Sassa z przyjemnością patrzyła, jak Finn szuka Palomy wzrokiem, a potem, widząc, że jej nie ma, próbuje jak gdyby nigdy nic usiąść obok Thyri, która mu na to nie pozwalała. Sassa nie chciała być okrutna, naprawdę miała nadzieję, że Finn kiedyś sobie kogoś znajdzie, ale ten jego frasunek bawił ją niezmiernie.

– Słuchajcie – powtórzyła Bodila. – Nie wiem właściwie, czemu wam to mówię, ale Kif uważa, że powinnam, no to mówię. Jestem w ciąży.

Bodila i Kif bzykali się pierwszy raz dwanaście dni temu, obliczyła Sassa. Jeśli więc to rzeczywiście Kif ją zapłodnił, jeszcze by o tym nie wiedzieli. Jeśli w międzyczasie stało się coś, z czego Bodila się Sassie nie zwierzyła – a była całkiem pewna, że wiedziała o wszystkim – to Gęsiodzioba kochała się jeszcze tylko z jednym mężczyzną i to on musi

być ojcem, nie Kif.

Berserk uśmiechał się promiennie, ale ponieważ nigdy nikogo nie słuchał, wiedział bardzo mało o rzeczach, w które się nie angażował. Sassa uznała, że to bardzo możliwe, iż jest zupełnym ignorantem w kwestii ciąży. A Bodila była po prostu Bodilą. Jeśli istniała para, która mogła dojść do wniosku, że dziecko poczęte kilka dni wcześniej da o sobie znać tak szybko, to byli to właśnie oni.

Sądząc po ciszy, która zapadła przed lawiną serdecznych gratulacji, wszyscy wykonali te same obliczenia co Sassa. I tak jak ona wpatrywali się w Finna Filozofa.

– Finn Fioletowy! – szepnęła do Wulfa, widząc, jak chłopak oblewa się rumieńcem.

Wulf uniósł brew i tym razem przyszła jej kolej na to, żeby się zarumienić. Za zbytnią niefrasobliwość skarcił ją facet, którego hobby było wyszukiwanie skał w kształcie penisów. Tego jeszcze nie było.



Orli Czub był skupiskiem ułożonych schodkowo gór wyrastających wprost z płaszczyzny prerii. Ich zbocza pokreślane były pasami trawiastych urwisk i bladej skały pozłoczonej promieniami słońca. Dymu było mniej niż wczoraj, ale i tak o wiele więcej, by mógł pochodzić z ognisk. Wyraźna czarna struga wciąż sączyła się w błękitne niebo.

Gdy główny wierzchołek znalazł się w zasięgu wzroku, potwierdziły się najgorsze obawy Sitsi Pustułki.

– Spalone do ziemi – stwierdziła. – Całe miasto.

Pustułka słyszała, że budynki z drewna i skóry na Orlim Czubie miewają aż sześć pięter i że tłoczą się na szczycie góry, przedzielone wąskimi uliczkami. Wieść niosła, że wszystkie budowle są ozdobione skomplikowanymi, szczegółowymi rzeźbami i że równie pięknych próżno szukać gdziekolwiek indziej. No cóż, teraz próżno ich szukać również na Orlim Czubie, bo cały spłonął. W miejscach budynków ostały się tylko ich nadpalone szkielety.

– Tam, na prerii, jest obóz – powiedziała chwilę później, dostrzegłszy zbieraninę namiotów u stóp pierwszej góry. Ktoś szedł stamtąd w ich stronę. Przez moment Sitsi nie wiedziała, na co właściwie patrzy.

Wyglądało to, jakby dwa wilki wlokły za sobą mężczyznę. Jak się za chwilę okazało, dokładnie tak właśnie było.

W ich kierunku biegły dwa wielkie, wesołe wilki, ciągnąc trójkątne sanie. Pasażer siedział na wbudowanym drewnianym podwyższeniu, więc jego tyłek znajdował się na wysokości wilczych grzbietów, co oznaczało, że pewnie zobaczył ich z daleka.

Sanie zatoczyły półokrąg i zbliżyły się do wędrowców. Woźnica kierował wilkami za pomocą sznura przywiązanego do ich skórzanych obroży. Nie podskakiwał zbyt na nierównościach, bo drewnianą ramę zbudowano ze zgiętego, sprężystego drewna, które amortyzowało nacisk na nieregularności gruntu. Sitsi musiała przyznać, że ktoś dobrze to sobie wymyślił.

– Czołem! Jestem Lesta Heppul – zawołał saniarz, ściągając cugle. Mógł być jakieś dziesięć lat starszy od Eryka. Czubek głowy miał kompletnie wyłysiały, twarz ogoloną lub wyskubaną, ale po potylicy od ucha do ucha biegł pas czarnych włosów. Mężczyzna miał na sobie szatę z barwionych pstrokato piór i za duże skórzane buty z ostrymi noskami. – Obawiam się, że przybyliście nie w porę. – Nie wydawał się szczególnie zasmucony, brzmiał raczej jak ktoś bardzo zajęty, informujący kogoś o irytującej niedogodności.

– Co tu się stało? – spytała Sofi.

– Miasto spłonęło. Całe, calutkie. Dziesiątki, może setki ludzi nie żyją. Nigdy się nie doliczymy, ile dokładnie. Myślę, że większość uciekła. Trzeba być niezłym tłukiem, żeby zginąć w pożarze. Chyba że ktoś miał wyjątkowego pecha i akurat był w miejscu, gdzie trafiły pioruny. Albo w jednej z tych śmiesznych wież.

– Pioruny? W sensie: wiele piorunów?

– Przedziwna sprawa. Dwie noce temu przetoczyła się tędy burza, ale nie spadł deszcz, tylko zaczęły łomotać błyskawice, od cholery błyskawic, a wszystkie skupione na naszym dumnym siole, zamieszkałym przez bystre umysły i uczone dusze. Widziałem na własne oczy co najmniej pięć piorunów, a słyszałem jeszcze więcej. Nawet moją małą chatę zmiotło z powierzchni ziemi. Bardzo to irytujące.

– Przykro mi – powiedziała Sofi. – Jesteśmy...

– O, ja wiem, kim jesteście – wszedł jej w słowo Lesta. – Wy jesteście

owslankami z Calnii, a to wasz czarnoksiężnik. Obawiam się, że nie wiem, kim dokładnie jesteś, kolego, lecz – skinął na kobiety – widzę tu słynną Sofi Tornado, Chogolisę Zadrzyziemię, Sitsi Pustułkę i... – zmacał wzrokiem długie nogi Palomy – uda i łydki wprost stworzone do biegania... Paloma Widłoróg, a jakże. A gdzie reszta? Wszak powinniście podróżować w nierozzerwalnym oddziale liczącym dziesięć wojowniczek, kompanii sióstr, których nie ima się...

– Jesteśmy tylko my – zrewanżowała się Sofi.

– Rozumiem. – Lesta Heppul pokiwał głową. – Przykro mi. Oczywiście, że tylko wy. A reszta... Ty jesteś Weeko Kieł, gościłeś u nas już kiedyś. Zidentyfikowanie pozostałych podróżników przyjdzie mi z niejaką trudnością, ale kiedy się wyeliminuje nieprawdopodobne... Jesteście Harowianami! – Powiedział to tak, jakby wymówienie słowa sprawiało mu kłopot.

– Nieprawda! – zawołał Kif. – Jesteśmy Wooo-tanami!

Sitsi uśmiechnęła się.

– Wootanami? – Lesta Heppul zmarszczył brwi. – Rozumiem... Wootanie... Ale na pewno?

– Kiedyś zwaliśmy się Harowianami, teraz jesteśmy Wotanami – wyklarowała Thyri Drzewonoga. – Skąd wiesz o Harówce?

– Och, niech będzie pochwalony zdrowy rozsądek. Zmieniliście nazwę plemienia! Bo i czemu nie? Wotanie... Podoba mi się. O wiele bardziej od Harowian, co za straszna nazwa. A kiedy doszło do zmiany?

– Jakieś czterdzieści dni temu – odrzekła Thyri.

– Ach, doprawdy. No cóż, skąd mogłem wiedzieć? Ale teraz wiem, a oni nie wiedzą. Jakże mnie to cieszy. Wybaczcie moją ekscytację. Rozpoznawanie przedstawicieli różnorodnych plemion i gromadzenie wiedzy na ich temat to coś, co szczególnie mnie pasjonuje. Inną moją pasją jest budowanie różnych rzeczy, jak choćby tych oto sań, które tu widzicie. Jednak przede wszystkim badam trajektorie ciał niebieskich, a zwłaszcza ich wpływ na migracje zwierząt. – Popatrzył po Wotanach i Calnianach, jakby spodziewając się pytań dotyczących zajmujących go dziedzin. Gdy takowe nie padły, podjął: – Ośmielam się przypuszczać, że liczyliście na naszą gościnność. Niestety, muszę was zmartwić. Nasze zapasy są na wykończeniu... z pewnością rozumiecie. Tak więc z wielkim

smutkiem zmuszony jestem prosić was, żebyście ruszali w dalszą drogę.

– Jasna sprawa. – Sofi wzruszyła ramionami.

I tyle.

Ruszyli dalej, obrawszy kurs na Lśniące Góry. Sitsi czuła się rozczarowana tym, że na Orli Czub spadła zagłada, nim zdążyła go sobie obejrzeć, ale bardziej doskwierało jej zdumienie. Dlaczego Lesta Heppul zbył ich, jakby nie byli nikim szczególnym w tej części świata? Przecież ktoś tak zainteresowany ludźmi chciałby chyba wiedzieć, dokąd idzie ta dziwna grupa wędrowców. Może nawet zabrałby się z nimi, żeby wypytać ich o to i owo. Tymczasem nie dość, że zupełnie ich olał, to na dodatek nie wydawał się poruszony widokiem wielkiego sztyletozęba. Za to opowiedział im wszystko o sobie.

To potwierdziło domysły Sitsi na temat mieszkańców Orlego Czuba. Twierdzili, że fascynuje ich świat zewnętrzny, lecz tak naprawdę mieli wszystko w dupie, łącznie z własnymi głowami.



Finn Filozof nie płakał po Orlim Czubie. Miał własne zmartwienia. Jak to możliwe, że Bodila nie wie, czyje tak naprawdę dziecko urodzi? Spiknęła się z Kifem ledwie kilka dni temu, a od schadzki z Finnem nad Kamienną Rzeką minął blisko miesiąc. Pochwycił jej spojrzenie, a ona uśmiechnęła się do niego tak bezbarwnie, jakby wczoraj opuścili Harówkę. Odpowiedział tym samym, ale bez przekonania.

Czy to w ogóle możliwe, by się nie domyślała?

Finn bzyknął ją nad Kamienną Rzeką... Nie, nie „bzyknął”, to zbyt frywolne określenie na akt twórczy, którego owocem jest nowe życie. Ale przecież nie „uprawiali miłości” ani nic... Czy to miłość, jak robi się to od tyłu? Nieważne. W każdym razie – dziecko Bodili nie jest dzieckiem Kifa.

Tylko czy powinien powiedzieć o tym Gęsiodziobej? Albo Berserkowi? A może najlepiej przemilczeć całą sprawę? Ale co będzie, jeśli dziecko okaże się kropka w kropkę podobne do niego?

Wkrótce po tym, jak Orli Czub schował się za horyzontem, dorwał Sassę idącą samotnie na tyłach pochodu.

– Co ja mam zrobić z Bodilą? – spytał.

– Nic.

- Co?
- To właśnie zrobiłeś ostatnim razem, po tym jak obiecałeś mi, że z nią porozmawiasz. Czego innego mogę się po tobie spodziewać teraz?
- Przepraszam. – Spojrzał w ziemię.
- I słusznie, że przepraszasz. Poszedłeś na ławiznę. Na twoje szczęście sytuacja wyprostowała się sama.
- Tym razem z nią pomówię, obiecuję.
- Myślę, że tym razem nie powinieneś.
- Ale rozumiesz chyba, że to moje...
- Tak, cymbale jeden. Pewnie, że rozumiem. Ale to dziecko nie należy do ciebie tylko dlatego, że je spłodziłeś. Czy ty należysz do Eryka?
- Nie.
- Nie. A co ważniejsze – Sassa westchnęła – jest możliwość, że dziecko nie przetrwa.
- Jak to?
- Mieliśmy szczęście. Od przekroczenia Matki Wody straciliśmy tylko Bjarniego i Gunnhildę. Ciebie powinny były zabić węże, nas wszystkich tornado, olbrzymie jaszczury, wojownicy na łośiach i na sztylotozębnych kotach, Bobroczył, badlandzcy owslanie. Albo calnijskie owslanki, żeby daleko nie szukać. Albo jakieś inne zwierzęta lub nieszczęśliwe wypadki, które sypały się nam na głowy.
- Ale przetrwaliśmy. I przetrwamy kolejne przeciwności.
- Wystarczy chwila nieuwagi i po tobie. Przypomnij sobie Luby i Gunnhildę. Kto wie co się wydarzy przed Łakami, pomijając już same Łąki. Jeśli w ogóle dotrzemy w ich okolice, zanim przetoczą się po nas wszystkie potworności tego świata. Słyszałeś opowieść Weeka.
- Może trochę przesadzał?
- Widziałeś to latające monstrum. Jak możesz myśleć, że przesadzał?
- Bo jestem optymistą? – Pożałował tych słów, gdy tylko spłynęły z jego ust. Może i był Finnem Filozofem, ale wciąż nie potrafił rozmawiać z kobietami, nie gadając bzdur, które miały się nijak do tego, co naprawdę chciał powiedzieć.
- Nie optymistą, tylko idiotą. – Sassa pokręciła głową. – Zanim dotrzemy do Łak, ktoś jeszcze umrze. Może wszyscy umrzemy.
- Ty za to jesteś pesymistką. Nie sądzę, żeby...

– Na Thora i Odyna, Finnbogi! Jeśli nie uświadomiłeś sobie jeszcze, że większość z nas zginie, to jesteś większym idiotą, niż myślałam.

No, teraz to przesadziła. Nawet jeśli gadał bzdury.

– Wybacz – powiedziała, gdy uszło z niej powietrze. – Wcale nie jesteś idiotą. Po prostu jeśli ty umrzesz, a Kif i Bodila przeżyją, to nie muszą wiedzieć, że dziecko jest twoje.

– Powiedziałaś, że nie należy do mnie.

– Finn.

– Wybacz. Nie wierzę, że jeszcze się nie domyślili.

– Różni ludzie mają różne talenty.

– Albo niedziałające mózgi...

– A jeszcze inni są gówniarzami, którzy robią babom dzieci, chcąc odegrać się na innych babach, które ich nie chcą. Powtórzę ci to jeszcze raz, Finnbogi, bo naprawdę musisz to w końcu zrozumieć. Wiedza o tym, że puknąłeś Bodilę i zrobiłeś jej dziecko, jest im zupełnie i kompletnie niepotrzebna.

– Dobra, wybacz, już rozumiem. Ale... skoro miejsce, do którego idziemy, jest tak niebezpieczne, to czemu Bodila nie miałaaby wrócić do Zielonych? To chyba dość nieodpowiedzialne nieść małe dziecko do krainy potworów.

– Zatrzymaj się.

Staął. Sassa obeszła go i stanęła przed nim. Położyła mu ręce na ramionach i wpiła się w niego spojrzeniem błękitnych oczu. Chyba po raz pierwszy, odkąd lata temu zaczął przyglądać się Sassie z zainteresowaniem wykraczającym poza normy zdrowego koleżeństwa, nie przygryzała warg.

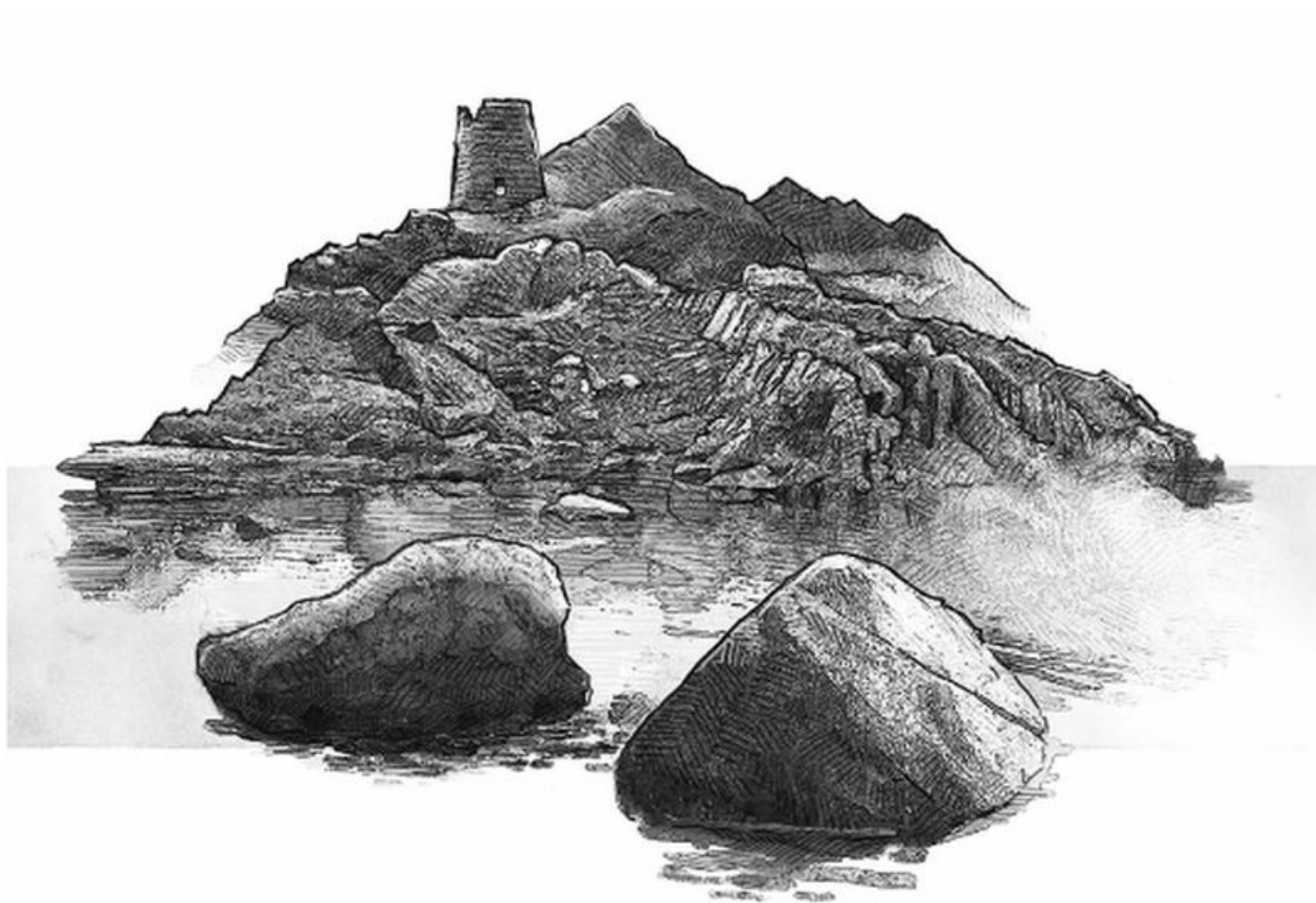
– Nie czujesz tego, Finn? – spytała.

– Hm...? – Chyba nie zacnie go podrywać jak wszystkie kobiety ostatnio?

– Mamy misję – powiedziała. – Wszyscy. Może dawnym Harowianom nie przeszkadzało siedzenie na tyłkach przez sto lat, ale mamy to we krwi. To nasza przygoda, nasza opowieść. I Calnianek też. Wszyscy siedzimy w tym po uszy, nikt z nas nie może zawrócić. Rozumiesz? Mamy misję. I tyle, od tego się zaczyna i na tym się kończy. Wykonujesz misję albo giniesz, próbując. Rozumiesz, o czym mówię?

Rozumiał. Nie myślał o tym za wiele, ale podróż na Łąki to wszystko, co miał, i wszystko, czego pragnął. No cóż, pragnął też Thyri i Palomy, nawet razem, gdyby tylko bogowie w przypływie niespodziewanej szczodroblewości zechcieli go tym obdarzyć, ale to było głupie, powierzchowne marzenie. Potrzebował zadania do wykonania, właśnie misji, której mógłby się poświęcić. Potrzebował jej tak, jak potrzebuje się powietrza.

Kiwnął głową. Uświadomienie sobie, że jego życie ma cel, przyniosło mu ulgę. A jeśli umrze, wykonując tę misję? No cóż, umrzesz, kiedy umrzesz.



Rozdział II WISZĄCE KLIFY

Szli na południe, torując sobie ścieżkę wzdłuż łańcucha wzgórz, który ciągnął się jak ogon za Orlim Czubem, a potem skręcili na południowy zachód. Weeko Kieł, któremu zaczęła doskwierać forsowna wędrownia, jechał na sztylatozębie, czasem sam, częściej z Ottarem i Frejdis. Pewnego dnia krótko po świcie napędziła im strachu wataha wilków, ale gdy sztylatozab ryknął, Sitsi i Sassa wystrzeliły kilka strzał, a Paloma wbiegła między nie i natłukła im po łbach – ocalałe drapieżniki pierzchły.

Ominęli kilka wzgórz oraz dziwną wypiętrzoną skałę o płaskim wierzchołku, przypominającą ząb trzonowy jakiegoś potwora, ale

w krajobrazie dominowała trawa i kępy karłowatych drzew. Było tu mniej zwierząt niż na porośniętej wysoką trawą wschodniej części prerii, ale i tak w każdej chwili dało się wypatrzeć w oddali jakiegoś widłoroga, jelenia, lwa, kilkaset bizonów lub jakieś inne zwierzę, które przypatrywało się ciekawie ich pochodowi. Na niebie tłoczyły się drobne ptaki, ale wypatrzyli też kołujące wśród chmur orły i pikujące w kierunku upatrzonej ofiary jastrzębie. Było gorąco, ale w jakiś nietypowy sposób, jakby słońce osłabło, ale zwiesiło się niżej nad wędrowcami, niczym wojownik, który zanim padnie, chce jeszcze zadać zwycięski cios.

Lśniące Góry były z początku tylko czarną masą na horyzoncie, ale wkrótce dostrzegli obsypane śniegiem wierzchołki. Same góry nie wydawały się aż takie wielkie, ale nie mogli pojąć, skąd śnieg w taką pogodę.

Niektórzy wydawali się całkiem szczęśliwi: Kif i Bodila, Wulf i Sassa, Eryk i Chogolisa, Ottar i Frejdis. Reszta po prostu wlokła się naprzód bez specjalnego entuzjazmu. Finn wciąż nie zdołał rozmówić się z Palomą ani z Thyri. Właściwie to z każdym dniem wydawały się lubić go coraz mniej. Paloma odrzuciła pozory i po prostu odbiegała, gdy do niej podchodził. Thyri wciąż trenowała z nim wieczorami, ale jej twarzy nie opuszczał taki grymas, jakby wyczuła zgniłe jajko, i nigdy nie rozmawiała z nim w ciągu dnia. Co on takiego zrobił? Czy Thyri naprawdę jest zła o to, że przespał się z Palomą? A czy Paloma czuje tak wielki wstyd na myśl o ich pocałunku? Miała tej nocy nieźle w czubie... W harowiańskich opowieściach to mężczyźni pili na umór i robili głupoty, których później żalowali.



Dziesiątego dnia po opuszczeniu spalonego miasta zeszli w dolinę stopniowo przechodzącą w kanion, którego dnem toczyła swe wody spływająca z gór rzeka. W górę stoku prowadziła dróżka, ledwie tylko zarysowana w surowym, nieułatwiającym wspinaczki podłożu i wkrótce rozplwająca się wśród skał. Pięli się, mijając głazy wielkości długich domów.

Sztyletozab ryczał i jęczał. Dzieci i Weeko Kiel zeszli z niego, gdy

zaczął mozolić się pod górę, lecz nawet odciążone zwierzę wkrótce stanęło, odmawiając współpracy.

– Odeślij go do domu, Finn – nakazała Sofi.

Finn zapuścił się w umysł zwierzęcia, ale zanim zdołał się z nim połączyć, kot okręcił się gwałtownie, jakby użarła go osa, po czym kilkoma długimi susami zbiegł ze stoku, najwidoczniej wcale nie zmęczony. Finna naszała myśl, że po prostu rozpaczliwie chciał uciec od czegoś, do czego się zbliżali.



Wędrówka była trudna, niebezpieczna i ślamazarna. Czasem przełazili przez kamienie, innym razem jedyną drogą naprzód było lodowate koryto rzeki. Od czasu do czasu otwierał się przed nimi widok na okryte śniegiem góry, na które, jeśli wierzyć Weekowi, będą musieli się wspiąć.

Jar stopniowo się zwężał, ściskając wędrowców między pionowymi ścianami nagiej skały, wśród których potężniał strumień. W szczególnie wąskim odcinku Wulf i Kif cztery razy próbowali wspiąć się wyżej i zawiązać linę, by wspomóc towarzyszy. Ostatecznie musieli cofnąć się po własnych śladach, by wyjść z kamiennego korytarza i obrać inną trasę. Sprawili sobie w ten sposób miłą niespodziankę, bo znaleźli łatwiejszą drogę sto kroków dalej.



Pierwszą noc w Lśniących Górach spędzili na oczyszczonej przez człowieka, lub może przez wielkie stopy, polanie, gdzie znaleźli krąg poczerniałych kamieni, pozostałość po dawno wygaszonym ognisku. Finn spał sam w swoim śpiworze, jak zwykle. Od czasów Bjarniego nie miał już kumpla z jednego wora.



Następnego dnia ścieżka zagłębiła się w kolejną dolinę, stawiając na ich drodze kolejne głązy i zakola rzeki, przez które musieli przechodzić.

Na szczęście później dolina wpłynęła w nachyloną lekko prerię.

Wotanie i Calnianie zatrzymali się, by nacieszyć oczy widokiem. Było tu więcej łośi niż gdzie indziej na świecie. Roiły się wkoło niczym stada gołębi. Jeszcze większe wrażenie zrobiły na nich śnieżne góry wiszące nad prerią, niczym ogry siedzące przy płaskim stole. Niższe partie stoków były porośnięte lasem, ale ponad prostą, jakby odmierzoną przez jakiegoś boskiego cieślę linią wspinał się w górę biały płat śniegu, spod którego wyzierała ciemna skała.

– Nie powinniśmy już napotkać jakichś wielkich stóp? – spytała Sofi Weeka. Mieli lekką przewagę nad Finnem i Erykiem, którzy szli ścieżką przy rzece kawałek na zachód od nich. Na drugim brzegu widzieli wpatrzone w nich stado grubych, kudłatych świstaków, które najwyraźniej nie uznawały ludzi za zagrożenie.

– Na pewno już wiedzą o naszym przybyciu. Jestem pewien, że przyjdą...

Weeko Kiel przeciągnął sylabę i padł na ziemię twarzą do dołu.

Eryk przybiegł do Sofi i pomógł jej obrócić go na plecy. Nie reagował na bodźce. Z jego nosa ciekła strużka krwi. Sekundę później był już przy nich Yoki Choppa, kucnął, przyłożył mu palce do szyi i otworzył jego zdrowe oko.

– Co się stało? – spytał Wulf, dobiegając wraz z Sassa.

– Nie żyje – orzekł Yoki Choppa.

– Co? Jak to? – spytał Wulf.

Czarnoksiężnik wzruszył ramionami.

– Mówił, że jest zmęczony – powiedziała Sassa. – Może po prostu nadszedł już jego czas i...

On nie umarł śmiercią naturalną – wyszeptał dziwny głos w głowie Finna. Jego umysł został zmiażdżony. Mogę zrobić to samo z każdym z was.

Wszyscy spojrzeli po sobie. Oni też słyszeli głos.

– Ktoś gada w mojej głowie! – pisnęła Bodila.

– Wszyscy go słyszymy – powiedział Eryk. – To wielka stopa. Zachowajcie spokój, a...

Przede wszystkim zachowajcie ciszę. Zostańcie, gdzie jesteście – podjął tajemniczy głos. Jak zaczniecie uciekać, zginiecie. Zginiecie, jeśli ruszycie

choć palcem.

– Kim jesteś? – zapytał Wulf. – I gdzie jesteś? Co...

Wybałuszył oczy. Z jego nozdrza kapnęła krew. Zarył o ziemię.

Zostaliście ostrzeżeni – powiedział głos. Nie ruszajcie się i bądźcie cicho. Inaczej zginiecie.

Finnbogi nie ośmielił się ruszyć głową, ale popatrzył wokoło samymi oczami. Szło w ich kierunku kilka wielkich stóp podobnych do Ayli, porośniętych futrem i dwukrotnie większych od dorosłego mężczyzny.

Sofi kiwnęła głową. Razem z Palomą ruszyły na nie. Widłoróg zaszła dalej niż Tornado, ale obie upadły na ziemię, zanim dotarły do kudłatych bestii.

Eryk mrugnął do syna na znak, że nie powinni niczego próbować. Finn patrzył na nieruchome sylwetki Sofi, Palomy i Wulfa. Był tak osłupiały i przestraszony, że prawie sam ruszył do ataku. Prawie.

Zamiast tego stał nieruchomo, zachodząc w głowę, co teraz będzie.

Koniec księgi drugiej

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję w pierwszej kolejności mojej żonie Nicoli za jej nieustające wsparcie. Wciąż traktuje poważnie moją karierę pisarza piszącego o potworach i wojownikach, sama pnąc się w górę w świecie wysokiej finansjery. Jest teraz dyrektorem na rynek amerykański w jednym z największych europejskich funduszy hedgingowych, więc przeprowadziliśmy się na Manhattan. To ciekawe miejsce.

Dziękuję swoim synom Charliemu i Otty'emu, którzy mają teraz kolejno cztery i dwa lata i są źródłem lwiej części całej radości, jaką obecnie odczuwam w życiu. Udało im się też wydobyć ze mnie temperament, o którego istnieniu nie wiedziałem, zniszczyli moje życie towarzyskie i są powodem, dla którego w zeszłym roku byłem w kinie tylko raz, ale ogólnie fajnie, że są.

Dziękuję moim pierwszym czytelnikom Amy Dean i Timowi Watsonowi. Zwłaszcza Amy włożyła w moje książki mnóstwo pracy w zamian za – przynajmniej jak dotąd – jeden ciepły posiłek. Obiecałem jej nieopisane bogactwa i złote czapki dla jej kurczaków, kiedy sprzeda się w końcu milionowy egzemplarz którejś z moich powieści. Tim jak dotąd nie otrzymał ode mnie nic, ale ponieważ jest moim bratem, który ponosi odpowiedzialność za wkręcenie mnie w fantasy, to jego wina, że w ogóle piszę, więc niech ma za swoje.

Dziękuję mojej redaktorce Jenni Hill z wydawnictwa Orbit, która jak zawsze była wspaniała. Dziękuję także Nazii Khatun za organizację serii imprez promocyjnych. Dziękuję Joannie Kramer za złożenie moich książek do kupy. Dziękuję również reszcie ekipy wydawnictwa, którzy produkują wspaniałe książki i tak pięknie je wydają, oraz wydawnictwu Hachette Publishing, które publikuje je na rynku amerykańskim, a w szczególności Willowi Hintonowi i Ellen Wright.

Dziękuję Richardowi Collinsowi, pilnemu adiustatorowi, który dzielnie przedziera się przez moje teksty i poprawia moje literówki

dyslektyka.

Dziękuję organizatorom konwentu Polcon w Lublinie i Dni Fantastyki we Wrocławiu, zwłaszcza Gosi Uchnast i Marii Chojnackiej. Te dwa polskie konwenty fantastyczne opłaciły mój samolot w obie strony i zapewniły mi wszystko, czego można zapragnąć, w zamian za to, że trochę pogadałem na swój temat. Świetnie się bawiłem na obydwu imprezach.

Dziękuję mojej agentce Angharad Kowal, która pracuje nieustrudzenie, sprzedając moje książki na całym świecie i starając się o prawa do ekranizacji.

Dziękuję Joyce Boxall, Evie Gabardo Lorenzo, Dannii Evans i Amber Scardino, które opiekowały się moimi chłopcami i umożliwiły mi kontynuowanie mojej niezwykle ważnej pracy, jaką jest wymyślanie różnych rzeczy.

Dziękuję Seanowi Barretowi, który czyta audiobooki. Poznałem go pewnego dnia i zupełnie mnie nie zdziwiło, że taki z niego fajny facet, wcale nie mniej czarujący w prawdziwym życiu niż na taśmie.

Na pewno jest jeszcze mnóstwo ludzi, którym należą się podziękowania, ale obiecałem Charliemu, że kiedy skończę książkę, zbuduję z nim samochód z klocków Lego. Ma dziewięćdziesiąt jeden części, a każdą musimy należycie omówić, więc lepiej już pójdę, żebyśmy uwinęli się przed kąpielą.

ANGUS WATSON

ZIEMI TEJ NIE OPUŚCISZ

TRYLOGIA
NA ZACHÓD
OD ZACHODU
TOM 2

*Ta historia to Mad Max zmieszany
z Kill Billem i rzucony w świat nordyckiej mitologii.*

fantasy-hive.co.uk

Dumne plemię Wotan kontynuuje wędrówkę na zachód. Po spotkaniu z niedźwiedziem, Matką Wodą, tornadem i niezwykle przyjaznymi plemionami pozostało ich dziewięcioro. Oraz dwoje dzieci. I dwa szopy. Razem z nimi wędrują krwiożercze wojowniczkę, które marzą tylko o tym, by ich **wszystkich wyróżnić do nogi** i spokojnie wrócić do domu. Na horyzoncie właśnie pojawili się Badlandczycy, znani głównie z bycia zwyrodniałymi sadystami.

Zapowiada się naprawdę
wesoła przygoda!



fabrykaslow.com.pl

 /fabryka

 /fabrykaslow